



Jan Karon



ŚWIATEŁKO W OKNIE

Rozdział pierwszy

BLISKIE SPOTKANIA

Gdy jesteś zatopiony w myślach, nie próbuj przechodzić przez ulicę, doszedł kiedyś do wniosku.

Czerwony dostawczy pick-up znajdował się zaledwie na wyciągnięcie ręki, kiedy go zobaczył. Był tak przerażony widokiem zbliżającego się w oszalamiającym tempie samochodu, że uskakując, zatoczył się na krawężnik i wylądował na nim w pozycji siedzącej. Zdążył dostrzec kierowcę rozmawiającego przez telefon, właśnie gdy pick-up zniknął za zakretem.

— Ojcie Timie! Czy nic się ojcu nie stało?

Winnie Ivey miała tak przerażony wyraz twarzy, że był pewien, iż jest ciężko ranny. Pozwolił, by pomogła mu się podnieść. Czuł przy tym tępy ból w miejscu, które dotknęło krawężnika.

Szeroka twarz Winnie poczerwieniała od gniewu.

— Co za szalenciec! Kto to w ogóle był?

— Nie wiem. Być może to ja jestem głupcem, bo nie patrzę, gdzie idę. — Zaśmiał się słabo.

— Proszę nawet tak nie mówić! Widziałam światło, świeciło się jeszcze żółte. Miał ojciec mnóstwo czasu, żeby przejść przez ulicę, a tu nagle pojawił się ten samochód, sunąc wprost na ojca jak pociąg towarowy, a kierowca rozmawiał przez telefon.

Odwróciła się w kierunku grupki osób, która wybiegła ze znajdującego się na Main Street baru Grill.

— Telefon w samochodzie! — wykrzyknęła z odrazą. — Dacie wiarę? Szkoda, że nie zapisałam numeru samochodu.

— Dziękuję ci, Winnie. — Otoczył ręką silne ramiona właścicielki cukierni Sweet Stuff Bakery. — Masz wyjątkowy talent do tego, żeby zawsze być we właściwym miejscu.

Percy Mosely, właściciel baru Grill, wybiegł z łopatką kuchenną w ręce.

— Na miejscu ojca poprosiłbym dobrego Boga, aby kopnął tego gościa w tyłek tak, żeby doleciał do samego Wesley. Zamiast jajek w szklance ma teraz ojciec jajecznicę.

Pastor pomacał ręką kieszenie, żeby sprawdzić, czy nie zgubił ciężkiego klucza do kancelarii i czy nadal ma portfel. Wszystko było na swoim miejscu.

— Nic się nie stało — zapewnił przyjaciół.

Przykre zdarzenie było dla niego po prostu wyjątkowo dramatycznym sposobem na rozpoczęcie pierwszego tygodnia w domu po powrocie z Irlandii.

Mimo że letnie miesiące spędził w Sligo, odkrył po powrocie, że nie ominęło go też lato w Mitford. Jego róże nadal kwitły, trawnik — pokryty pajęczyną wypożyczonych z miasteczka zraszaczy — wyglądał jak aksamit, a parafianie w dalszym ciągu zostawiali na jego ganku kosze pomidorów.

Gdy znalazł się na drodze prowadzącej do domu, usłyszał dochodzące z garażu donośne szczenie. To właśnie tego powitania brakowało mu każdego długiego, spędzonego za oceanem dnia.

Odkąd wrócił do domu, niecały tydzień temu, budził się codziennie i widział Barnabę, jak stoi obok jego łóżka i przygląda mu się uważnie. Pytanie, malujące się w oczach jego czarnego bouviera i psa pasterskiego zarazem, było proste: „Czy wróciłeś na dobre, czy to tylko żart?”

Wszedł do domu przez kuchnię i otworzył drzwi do garażu, a Barnaba — który podczas jego nieobecności urósł do rozmiarów niedźwiedzia — ruszył z radością w jego stronę. Opierając przednie łapy na ramionach pastora, spojrzał żałośnie w oczy swojego pana, którego okulary natychmiast zaparowały.

— Dobrze, już dobrze, przyjacielu. Daj spokój!

Barnaba odskoczył do tyłu, balansował przez chwilę na tylnych łapach, po czym rzucił się w przód i oblizął twarz pastora, zalewając jego lewe ucho potokiem śliny.

Ofiara próbowała obrony, przesuwając się w kierunku swojego zaparkowanego w garażu buicka, i uderzyła się łokciem w maskę pojazdu.

— „Dobrze jest dziękować Panu i śpiewać imieniu Twemu” — zacytował na głos fragment psalmu. — „Dziękujcie zawsze za wszystko Bogu Ojcu w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa!” — dodał wyjątek z Listu do Efezjan.

Barnaba usiadł natychmiast i patrzył na niego, zamiatając ogonem podłogę w garażu.

Poza własnym psem nie znał żadnej innej żyjącej istoty, która stawałaby się posłuszna na dźwięk Słowa Bożego. Był to fenomen, o którym Walter opowiadał w całej zachodniej Irlandii.

— Myślę, że już czas na przekąskę, przyjacielu. A ty — zwrócił się do królika Dooleya, Jacka — dostaniesz liście buraka.

Olbrzym belgijski przyjrzał mu się uważnie czarnymi jak węgle oczami.

W domu panowała całkowita cisza. Nie był to jeden z dni pracy Puny, a Dooley poszedł na trening gry w piłkę. Straszliwie tęsknił za chłopcem, czytając wielokrotnie jedyną, jaką otrzymał od niego w przeciągu dwóch długich miesięcy, nabazgraną wiadomość:

„U mnie wszystko w porządku. U Barnaby też. Koń jest potulny jak baranek”.

Tęsknił też za swoim starym domem, za jego hałasem i ciszą, słońcem i cieniem. Nigdy wcześniej w swojej pracy duchownego nie mieszkał w tak przytulnym albo wygodnym domu — domu, który zdawał się, w jakiś dziwny sposób, jego przyjacielem.

Zauważył je na kuchennej ladzie od razu. Było to charakterystyczne, niebieskie naczynie, w którym Edith Mallory przygotowywała potrawy.

Tego się właśnie obawiał.

Emma napisała do niego do Sligo, powiadamiając go o tym, że Pat Mallory zmarł wkrótce po jego wyjeździe do Irlandii. Atak serca. Nikt się nie spodziewał. Pat, pisała, poczuł gwałtowny ból w piersiach, usiadł na ostatnim stopniu schodów, przy drzwiach do swojej sypialni, i zmarł, siedząc, po czym stoczył się po schodach do holu, gdzie — tuż przed obiadem — znalazła go pracująca od trzydziestu lat u państwa Mallorych pokojówka.

„Och, proszę pana — powiedziała ponoć — nie powinien był pan tego robić. Na obiad będzie dzisiaj lasagna”.

Siedząc tam przy oknie wiejskiego domu i czytając pięciostronicowy list Emmy, doskonale zdawał sobie sprawę, że Edith Mallory nie będzie marnowała czasu, gdy tylko on wróci do domu.

Na długo przed śmiercią Pata kilkakrotnie wytrąciła go z równowagi, wsuwając mu do ręki swoją dłoń lub muskając go palcami po ramieniu. W którymś momencie zaczęła nawet mrugać do niego podczas kazań, co rozpraszało go do tego stopnia, że postanowił wrócić do dawnego zwyczaju zwracania się do wiernych i patrzenia przed siebie ponad ich głowami.

Jak do tej pory, udawało mu się nie wpadać w zastawiane przez nią sporadycznie sidła. Śniło mu się jednak, że był zamknięty razem z nią w garderobie w domu parafialnym i że rozpaczliwie dobił się do drzwi, błagając kościelnego, żeby go wypuścił.

Teraz Pat, stary poczciwiec, leżał już zimny w grobie, a na jego kuchennej ladzie stała gorąca potrawka Edith.

Potrawki! Duchowni już od dawien dawna poddawani byli ich kuszącemu działaniu, często z pozytywnym skutkiem dla pań, które je przygotowywały.

Sprezentowanie potrawki było przecież czynem, który z pozoru nie mógł się wydawać niczym innym jak tylko najbardziej niewinnym gestem dobrej woli. A gdy ofiara już raz posmakowała i wyraziła swoje uznanie dla pierwszego daru, zaraz zjawiał się następny, aż w końcu nieżonaty wikary kończył jako żonaty wikary, a rozwiedziony diakon wpadał w tak zręcznie zastawione sidła, że nawet nie wiedział, co się właściwie stało.

W języku potraw są potrawki i potrawki. Najczęściej podaje się je, by przyspieszyć powrót do zdrowia chorych lub podnieść na duchu przygnębionych. Niektóre z nich — o czym wiedział z wieloletniego doświadczenia — były tak przepojone pokusą i dwuznacznością, że przestawały być zwykłą potrawką z dodatkiem brokułów i sera, a stawały się strzałami wymierzonymi prosto w serce.

W każdym razie zawsze pozostawał problem, co zrobić z naczyniem. Przyzwoici ludzie oddawali je wypełnione czymś innym. Znaczyło to, że osoba, której się zwróciło naczynie, będzie w pewnym momencie zobowiązana do zrewanżowania się prezentem w postaci jakiegoś innego artykułu żywnościowego. Wszystko to prowadziło w konsekwencji do powstania całego niewyobrażalnie nudnego łańcucha zobowiązań.

Nikt nie wymagał oczywiście od duchowieństwa napełniania zwracanego naczynia czymkolwiek. Tak czy owak jednak należało je zwrócić. I tu właśnie był pies pogrzebany.

Zbliżył się do niezbyt miłej niespodzianki, jakby w środku czyhał zwinięty wąż. Jego liścik z podziękowaniem, który prześle jutro przez Puny, będzie krótki i dobitny:

„Droga Edith, pozwól, że powiem tylko tyle — jedynie nieliczni w naszym okręgu mogą się równać z Tobą, jeśli chodzi o talent kulinarny”. To nie było kłamstwo, tylko najprawdziwsza prawda.

„Jedynie Twoja dobroć przewyższa finezję smaku tej potrawy z (kropka, kropka). Stokrotne dzięki. Niech pokój Boży będzie z Tobą, ojciec Tim”.

Idealnie.

Podniósł pokrywę naczynia. W jednej chwili poczuł, jak ślinka cieknie mu do ust, a serce aż podskoczyło z radości.

Zapiekanka z mięsa krabów! Jedno z jego ulubionych dań. Przyglądał się z zachwytem kilkunastu delikatnym podplomykom domowej roboty, zdobiacym potrawkę ze świeżego mięsa krabów w aromatycznym sosie.

Nagle z rezygnacją pomyślał, że być może powinien zadzwonić w tej chwili do Edith Mallory i wyrazić jej swoją wdzięczność.

W chwili, gdy sięgał po słuchawkę, zdał sobie sprawę z tego, co robi — wkładał głowę do paszczy lwa.

Pospiesznie przykrył dymiącą potrawę pokrywką.

— Widzisz? — zauważył posępnie. — Od tego się zaczyna.

Gdy w grę wchodziły potrawy, nieustannie trzeba się było mieć na baczności.

— Edith Mallory robi wszystko, co w jej mocy, żeby cię usidlić — stwierdziła Emma.

Zanim padła ta niestosowna uwaga, w biurze panowała dźwięcząca w uszach cisza. Okna były otwarte i do środka wnikało poranne, rozbrzmiewające śpiewem ptaków powietrze. Sporządzanie notatek do kazania szło mu sprawnie, a swojska wygoda starego obrotowego krzesła zdawała się czystą rozkoszą.

— Nie rozumiem, co właściwie masz na myśli?

Jego zatrudniona przez Kościół na pół etatu sekretarka podniosła wzrok znad księgi rachunkowej.

— Ma na ciebie chrapkę.

Nie podobało mu się słownictwo, którego używała.

— Mam sześćdziesiąt jeden lat i przez całe życie byłem kawalerem. Dlaczego ktokolwiek mógłby chcieć mnie usidlić... dlaczego ktokolwiek miałby... to zupełnie nieprawdopodobne — zaoponował.

— Po prostu widzę, że cały czas chodzi jej to po głowie. Poza tym, pamiętasz ojca Appa, który ożenił się zaraz po tym, jak zaczęło mu przysługiwać dodatkowe świadczenie socjalne z tytułu ukończenia sześćdziesięciu pięciu lat? A ten diakon, który miał pięćdziesiąt dziewięć lat i poślubił tę rudą kobietę, właścicielkę firmy taksówkowej z Wesley? Potem był jeszcze ten sprzedawca, który pracował w Collar Button.

— Bądź tak miła i oszczędź mi szczegółów — rzucił szorstko, wysuwając szufladę i szukając korektora.

Emma spojrzała na niego sponad okularów.

— Wspomnisz jeszcze moje słowa — mruknęła.

— Jakie słowa?

— Ubezpieczony zawsze przezorny.

— Nie, Emmo. Przezorny zawsze ubezpieczony.

— A niech to. Zawsze mi się coś pokręci. Na twoim miejscu jednak trzymałabym się od niej z daleka.

Od dwunastu lat nic innego nie robię, pomyślał.

— Ale muszę jej jedno przyznać — stwierdziła Emma, rejestrując kolejny czek — jest wspaniałą gospodynią. Jak z pewnością zauważyłeś, pastor, wydając uroczyste kolacje, potrzebuje u swojego boku kogoś z takimi umiejętnościami. Osobiście jestem zdania, że niektóre żony pastorów mają do tego zupełnie lewe ręce. Oczywiście, gdyby miało dojść do czegoś pomiędzy tobą i twoją sąsiadką, a Bóg raczy wiedzieć, że na to liczę — powinieneś jedynie pójść do niej i dać jej ładny pierścionek zaręczynowy — wtedy Edith musiałaby przerzucić swoje zainteresowanie na kogoś innego.

— Emmo — odpowiedział, zdejmując gwałtownym ruchem ręki pokrywę z maszyny do pisania — przyszedł mi nareszcie do głowy pomysł, jak zabrać się do prawdopodobnie najważniejszego kazania, jakie udało mi się napisać w ciągu ostatniego roku...

— Nie mów mi tylko potem, że cię nie ostrzegałam — odparła, ściągając usta w sposób, którego wyjątkowo nie lubił.

W południe w drzwiach pojawił się Ron Malcolm, w gumowych butach oblepionych wyschniętym błotem i czerwonej czapce z daszkiem.

Po prawie dwumiesięcznej nieobecności każda znajoma osoba, jak również samo Mitford wydawały się pastorowi bardziej wyraziste i ostre. Nigdy wcześniej, na przykład, nie dostrzegł, że Ron Malcolm jest tak pełnym entuzjazmu i wigoru człowiekiem. Być może jednak to zaangażowanie emerytowanego przedsiębiorcy budowlanego w realizację projektu budowy domu opieki sprawiło, że nabrał rumieńców, a jego oczy rozbliły się żywszym blaskiem.

— Cóż, ojczu, ruszyliśmy i pracujemy pełną parą. Jacobs przysłał swojego nadzorcę budowlanego. Instalujemy dzisiaj dla niego na placu budowy przyczepę.

Uścisnął z ogromnym uczuciem dłoń pastora.

— Nie mogę uwierzyć, że w końcu udało nam się wcielić w życie nasz plan.

— Pięć milionów dolców! — wykrzyknął Ron. — Ten dom opieki jest największym realizowanym w okolicy projektem od czasów fabryki mebli w Wesley. Czy poznał już pastor Leepera?

— Leepera?

— Bucka Leepera. Nadzorcę budowlanego. Rozmawialiśmy o nim przed wyjazdem ojca do Irlandii. Mówił, że spróbuje podejść do ojca do kancelarii.

— Nie, jeszcze go nie poznałem. Będę musiał zaglądnąć na budowę, może w środę po południu.

Ron usiadł na ławce dla gości i ściągnął czapkę.

— Czy Emma jest dzisiaj w pracy?

— Tak. Wyszła w tej chwili na pocztę.

— Myślę, że będzie uczciwie z mojej strony, jeśli powiem ojcu całą prawdę o Bucku Leeperze. Kilka miesięcy temu mówiłem, że Buck nie lubi się bawić w sentymenty i że jest trochę grubiański. Wiem, że nie muszę się martwić o ojca, ale nasz nadzorca jest z typu tych, którzy potrafią sprawić, że człowiek zaczyna wątpić w Boga.

— Aha.

— Jego tato to Fane Leeper, o którym kiedyś pewien ksiądz powiedział, że jest największym bluźniercą, jakiego spotkał w swoim życiu. Fane Leeper był również najlepszym nadzorcą budowlanym na Wschodnim Wybrzeżu. Trzech przedsiębiorców budowlanych zrobiło dzięki niemu fortuny, a on się potem podobno rozpił. Powinien ojciec wiedzieć, że Buck jest dokładnie taki sam jak jego tato. Nauczył się swojego rzemiosła, przeklinania i picia od Fane'a, a jedynym sposobem na wyjście z jego cienia było przewyższenie go w tych trzech kategoriach.

Ron przerwał, jak gdyby czekając, aż informacje dotrą do pastora.

— Buck dostał tę pracę, ponieważ zaoszczędzi nam to dużo pieniędzy i wielu problemów. Zakończy inwestycję w terminie i zmieści się w budżecie, tego może być ojciec pewien. Z szacunku dla ojca prosiłem Jacobsa, żeby przysłał do nas kogoś innego, ale powiedzieli, że nie mogą powierzyć przedsięwzięcia tych rozmiarów nikomu innemu.

Wstał i zasunął zamek kurtki.

— Znienawidzimy prawdopodobnie Jacobsa za to, ale jeszcze zanim skończy, będziemy mu za to dziękować.

— Polegam na twoim zdaniu.

Ron otworzył drzwi i wychodził tyłem, trzymając w ręce czapkę.

— Może wygląda ojciec na człowieka o miękkim sercu, ale widziałem, jak poradził sobie ojciec w jednej czy drugiej sytuacji, i wiem, że poradzi sobie ojciec z Buckiem. Musi mu tylko ojciec pokazać jego miejsce.

Pastor spojrział przez okno na rosnący po drugiej stronie drogi klon, który od wczoraj zdążył przybrać rdzawy kolor.

— Nie wydaje mi się, żeby pan Leeper mógł stanowić jakikolwiek problem — odparł.

— Timothy?

Cynthia, jego sąsiadka, zaglądała do kuchni przez drzwi z siatką, przysłaniając oczy po obu stronach głowy dłońmi. Miała na sobie białą bluzkę, niebieską dzinsową spódnicę, a na jasnych włosach — bandanę.

— Wyglądasz jak Heidi! — przywitał sąsiadkę.

Chociaż utrzymywała, że ma pięćdziesiąt kilka lat, bywały chwile, gdy wyglądała jak dziewczynka. Po raz kolejny zauważył ze zdziwieniem, że postrzega ludzi w nowy, świeższy sposób, zupełnie jakby przed chwilą powstał z martwych.

Przeszła obok niego, rozsiewając w powietrzu delikatny zapach wistarii.

— Obiecałeś, że zastanowisz się nad sposobem, w jaki moglibyśmy uczcić twój powrót.

Podeszła do kuchenki i podniosła pokrywkę naczynia, w którym gotował zupę.

— Mniam, mniam — powiedziała, wdychając aromat.

Potem odwróciła się do niego i uśmiechnęła. Jej oczy przypominały szafiry, mroczne i głębokie, o fiołkowym odcieniu, który zawsze zdawał się go zaskakiwać.

— A ty zastanawiałaś się nad tym? — zapytał, obawiając się, że gdy zacznie mówić, załamie mu się głos.

— Mówi się, że ściany mają uszy. Wolę ci to szepnąć. Całkiem już zapomniał, jak idealnie mieści się w jego ramionach.

Udział w posiedzeniu rady miasta zdecydowanie nie był sposobem, w jaki chciał spędzić ten wieczór. Po dwóch miesiącach nieobecności prawie zupełnie nie orientował się w bieżących sprawach. Poza tym nadal odczuwał skutki długiej podróży samolotem i od czasu do czasu mocno potrząsał głową z nadzieją, że uda mu się jakoś pozbyć waty szczelnie otulającej jego mózg. Postanowił jednak pójść — być może szybciej wdroży się w życie miasta. Szczerze mówiąc, był też ciekaw, dlaczego pani burmistrz Esther Cunningham zwołała nieoficjalne spotkanie i dlaczego mogło ono dotyczyć właśnie jego.

— Nie jedz kolacji — uprzedziła go Esther przez telefon. — Ray przyniesie z domu gotowaną fasolę, sałatkę z kapusty i żeberka. Gotował cały dzień.

— Alleluja! — odparł z uczuciem.

W gabinecie pani burmistrz wyczuwało się radosne napięcie. Ray wykładał przygotowaną przez siebie w domu kolację na ogromny blat biurka, na którego przeciwległym końcu stały w ramach zdjęcia wszystkich dwudziestu jeden wnuków.

— Pani burmistrz — odezwał się Leonard Bostick — to wstyd, że nie gotuje pani tak dobrze jak Ray.

— Mam ciekawsze zajęcia — odcięła się. — Ja gotowałam przez czterdzieści lat. Teraz jego kolej.

Ray uśmiechnął się.

— Mów sobie, co chcesz, złotko.

— Hurra! — krzyknął Paul Hartley. — Wróciło nasze kochanie! Zapraszamy tutaj, ojcze, i prosimy o błogosławieństwo.

— Pospieszcie się! — zawołała pani burmistrz do grupki nadal kręcącej się w holu. — Czas na błogosławieństwo!

Esther Cunningham wyciągnęła ręce i wszyscy zgromadzeni ochoczo stanęli w kręgu.

— Panie — zaczął pastor — jesteśmy wdzięczni za dar przyjaciół, sąsiadów i tych, którzy są gotowi poświęcić się dla dobra tego miejsca. Dziękujemy Ci za spokój tego miasteczka i za Twoją łaskę, byśmy mogli wykonać pracę, którą nam zadałeś. Dziękujemy Ci również za ten posiłek i prosimy o szczególne błogosławieństwo dla tego, który go przygotował. W Imię Jezusa.

— Amen! — odpowiedzieli zebrani. Pani burmistrz była pierwsza w kolejce.

— Już ja ci dam szczególne błogosławieństwo — pogroziła mężowi. — Tylko spójrz na ten sos! Znowu to zrobiłeś, mój piękny.

Ray mrugnął do pastora. Oto, pomyślał pastor, prawdziwie szczęśliwy człowiek, jeśli tacy w ogóle chodzą po tym świecie.

— A co z ojca cukrzycą?

— Z żalem muszę przyznać, że nie strawi rewelacji, które ukryłeś pod pokrywką tego naczynia.

— Proszę wziąć wobec tego podwójną porcję mojej sałatki — zaproponował Ray, wypełniając po brzegi talerz pastora.

— Wiecie, o czym będziemy rozmawiać — zaczęła pani burmistrz.

Wszyscy z wyjątkiem pastora pokiwali głowami.

— Nie chcę, żeby ten temat został poruszony na oficjalnym posiedzeniu, i nie chcę, żeby formalnie go przegłosowywano, wetowano czy w jakikolwiek inny sposób się nim zajmowano. Spróbujemy po prostu dojść do porozumienia dzisiaj w tym miejscu, jak rodzina, i na tym poprzestaniemy.

Popatrzyła na ich twarze i wychyliła się do przodu.

— Rozumiecie?

— No, to się zaczyna — powiedział Joe Ivey, trącając pastora łokciem.

Linder Hayes wstał powoli, a jego szczupłość wydawała się jeszcze bardziej zauważalna. Dłonie skrzyżował starannie na plecach, spojrzał na swoje buty i odchrząknął.

— Szanowna pani burmistrz — zaczął Linder.

— Nie musisz mnie tak tytułować. To jest nieoficjalne spotkanie.

— Szanowna pani burmistrz — powtórzył Linder, który był prawnikiem i wołał przestrzegać pewnych zasad — chciałbym zabrać głos w imieniu właścicieli sklepów w tym miasteczku, którzy prowadzą własny interes i z tego żyją. Jak zapewne wszyscy zdajemy sobie sprawę, starsza kobieta ubrana w wieczorowy kapelusz i gumowce, kierująca ruchem wokół pomnika, nie jest właściwym obrazkiem dla turystów, szczególnie gdy zbliża się jesień. Mówi pani, że ta osoba jest zupełnie niegroźna, ale prawdę powiedziawszy, nie na tym polega problem. Proszę tylko pomyśleć, jak będzie wyglądać z tym swoim ohydny wystającym zębem i wojskowymi orderami, gdy nagle wyłoni się z mgły i zacznie machać do samochodów. Spławi stąd turystów tak szybko, że aż zakręci się nam w głowach.

— I bez żalu — rzuciła gniewnie pani burmistrz.

— Pani burmistrz, toczymy ten spór o turystów już od lat. Wszyscy usunęliśmy się, chcąc zrobić pani tyle miejsca, żeby mogła pani wykonywać swoją pracę, co też pani uczyniła. Pani wierna obrona tego, co dobre, właściwe i zgodne z charakterem miasta, skutecznie chroniła je przed gwałtem i spustoszeniem, jakie niosłyby ze sobą bezsensowny rozwój i lekkomyślna rozbudowa. Ale... — Linder zrobił dłuższą przerwę i rozglądnął się dookoła. — Dwie nagrody dla Modelowego Miasteczka nie zastąpią naszym właścicielom sklepów czystej gotówki. Widok tej starszej kobiety wystarczy, żeby doprowadzić do płaczu niemowlę i sprawić, że dorośli podwiną pod siebie ogon i uciekną gdzie pieprz rośnie. Jak dobrze wiecie, moje dochody nie zależą od turystów, ale na przykład dochody mojej żony tak i — cóż za zbieżność — tak samo połowy pani wnuków.

— No to teraz usłyszemy — szepnął Joe Ivey. — Powinienem był przynieść łóżko polowe i koc.

— Linder — zaproponowała Esther Cunningham — usiądź sobie i odpręż się.

— Pani burmistrz...

— Dziękuję ci, Linder — powiedziała pani burmistrz, wyraźnie wymawiając każde słowo.

Linder wahał się przez chwilę niczym targany wiatrem liść. Potem usiadł.

— Zanim rozpoczniemy naszą krótką dyskusję, chciałabym, żebyśmy przyjrzeni się kilku faktom — zaproponowała pani burmistrz. — Najpierw zastanówmy się nad moim programem politycznym. Nie ma w nim niczego takiego jak główny, poboczny czy pomocniczy punkt programu. Mój program jest prosty i zwięzły. Koniec, kropka. Joe, może mógłbyś nam przypomnieć jego brzmienie?

Joe wstał.

— Mitford dba o swoich! — powiedział dumnie i zarumieniwszy się lekko, usiadł.

— Mitford... dba... o... swoich. Taki był mój program przez ostatnie czternaście lat i taki pozostanie, dopóki jestem tu burmistrzem. Numer jeden. Panna Rose Watson może mieć wystający ząb i może być szalona, ale jest jedną z nas. Numer dwa. Ponieważ jest jedną z nas i ponieważ taki jest mój program, zadbamy o nią. Numer trzy. Kierowanie ruchem wokół pomnika to najlepsze, co ją spotkało

od czasów, gdy była małą dziewczynką, tak samo normalną jak ty czy ja. Wujaszek Billy mówi, że sypia teraz jak dziecko i nie tłucze się całymi nocami po tym starym domu, a ponadto zrobiła się dla niego tak miła, że hej. Kierowanie ruchem to dla niej prawdziwa odpowiedzialność. Jest z tego naprawdę dumna.

— Jest rzeczywiście świetna — dodała Ernestine Ivory i na dźwięk własnego głosu zrobiła się czerwona jak burak.

— Tak, Ernestine? — zapytała pani burmistrz.

— Panna Rose naprawdę świetnie kieruje ruchem drogowym. Oczywiście to tylko moja opinia...

— Tylko twoja i wielu innych, którzy myślą podobnie. Robi to bardzo profesjonalnie. Nie wiem, gdzie, na Boga, się tego nauczyła. A oto moja propozycja i proszę, żebyście rozważyli ją w swoich sercach. Codziennie pomiędzy dwunastą a pierwszą ruch uliczny zamiera i całe Mitford je lunch. W moim żołądku zaczyna burczeć punktualnie o dwunastej, tak jak całej zgromadzonej tu reszcie. Proponuję, abyśmy pozwolili pannie Rose kierować ruchem przez pięć dni w tygodniu, od dwunastej do pierwszej. W ten sposób będzie miała dokładnie taką liczbę samochodów, jaka jest jej potrzebna do szczęścia. Linder, zgadzam się z tobą co do tych wieczorowych kapeluszy i śmiesznych strojów, proponuję więc, abyśmy dali jej mundur. Granatowy kapelusz, spódnicę i marynarkę z czasów, gdy należałam do rezerwowej służby morskiej. Będzie pasował na nią idealnie. Byłam chuda jak szczapa, prawda, misiaczku?

Ray poparł panią burmistrz, unosząc do góry obydwie dłonie.

— Ernestine, chciałabym, żebyś poszła ze mną ubrać ją rano o dziesiątej, a ty, Joe, może zgodziłbyś się obciąć jej ładnie włosy. Przyprawimy ją do twojego zakładu około jedenastej.

— Z przyjemnością.

— Ojczy, chciałabym, aby i ojciec przyłączył się do nas, odmawiając w tej intencji modlitwę.

— Masz moje słowo — obiecał.

— Aha, Linder, kochanie, naprawdę doceniam to, że dbasz o interesy właścicieli sklepów. Na litość boską, przecież ktoś musi to robić. Jakies pytania?

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, pani burmistrz uderzyła młotkiem w biurko.

— Spotkanie uważam za zakończone. Kto za, proszę powiedzieć tak.

— Muszę przyznać — powiedział pastor, wracając do domu razem z Joe — że za każdym razem, gdy wychodzę ze spotkania z panią burmistrz, czuję się tak, jakbym właśnie zszedł z karuzeli.

„Gdy wrócisz do domu, zobaczysz nowego Dooleya” — napisała Marge tuż przed jego powrotem z Irlandii. Kiedy przeczytał te słowa, zrobiło mu się bardzo smutno. Zdążył już polubić starego Dooleya.

„Można śmiało powiedzieć, że uczy się mówić po angielsku” — pisała jego przyjaciółka z farmy Meadowgate. „Poczekaj tylko, aż zobaczysz na własne oczy. Będziesz zachwycony”.

Musiał przyznać, że wcale nie był zachwycony widokiem swojego dwunastoletniego podopiecznego. Po pierwsze, jego kogut w jakiś cudowny sposób zniknął. Gdy wyjeżdżał do Sligo w lipcu, kogut sterczał Dooleyowi do góry niczym tryskający gejzer, teraz po prostu go nie było i mówiąc szczerze, bardzo mu go brakowało. Po drugie zauważył, że piegi chłopca najwyraźniej zbladły — ta zmiana szczególnie go rozczarowała.

Odkrył też, że Dooley zrobił się rezolutny — tej cechy przedtem prawie zupełnie u niego nie dostrzegął — nie wspominając już o tym, że po użyciu zamykał butelkę z ketchupem i majonezem. Jak tak wiele zmian mogło zajść w ciągu zaledwie dwóch krótkich miesięcy?

— To nie moja zasługa — zakomunikowała Marge, gdy zadzwonił do Meadowgate rano pierwszego dnia po powrocie. — To wszystko ta orka na ugorze, którą sam wykonałeś, zwieńczona dużą dawką krowiego łajna i świeżego powietrza. Podczas ostatniego weekendu pomógł Halowi odebrać źrebaka. Poczul się tak pewnie, jakby zażył sporo środków dopingujących. Poza tym muszę ci się pochwalić, że Rebecca Jane postawiła swoje pierwsze kroki, idąc do... zgadnij do kogo? Wujka Doolsa!

„Ja siałem, Apollos podlewał, lecz Bóg dał wzrost” — rozmyślał pastor, zbliżając się do domu w drodze powrotnej z posiedzenia rady miasta. Joe Ivey zaproponował mu „łyček” brandy, gdyby zechciał wejść na górę do jego zakładu, ale odmówił. Nie mógł się już doczekać, kiedy znajdzie się w domu i włoży swój stary bordowy szlafrok, którego tak mu brakowało w Irlandii.

Po szybkim spacerze z Barnabą do żywopłotu otaczającego park Baxter i z powrotem wyjął butelkę wody mineralnej z szafki i razem z psem wszedł po schodach na górę.

— Dooley!

— Tak, proszę ojca?

Tak, proszę ojca? Przeszedł korytarzem do pokoju chłopca i zobaczył, że siedzi on oparty o wezglowie łóżka i czyta jakąś książkę, machinalnie drapiąc duży palec. Pokój wydał mu się wyjątkowo uporządkowany.

— Jak leci?

Dooley podniósł wzrok.

— Świetnie.

— To wspaniale. — Stał w drzwiach, czując radość i zażenowanie. — Co to za książka?

— *Dynamika lecznictwa weterynaryjnego*.

— Aha.

— Widzi ojciec? — Dooley wyciągnął w jego kierunku książkę. — To zdjęcie narodzin źrebaka. Wygląda dokładnie tak jak w ostatni weekend. To najlepsza rzecz, jakom... jaką kiedykolwiek zrobiłem. Chcę zostać weterynarzem. Doktor Owen powiedział, że to możliwe.

— Oczywiście, że tak. Możesz być tym, kim tylko zechcesz. Wszedł do pokoju.

— Nigdy wcześniej nie myślałem o tym, żeby kimś zostać.

— Być może nie miałeś żadnych pomysłów.

— Nigdy nie chciałem być astronautą, gwiazdą rocka czy kimś innym, jak chciał Buster Austin.

— Nic nie szkodzi. Nie ma po co się z tym spieszyć. Usiadł na łóżku.

— Tak właśnie myślałem.

Dooley wrócił do książki, nie zwracając na niego uwagi, ale jakby zadowolony z jego obecności.

— A co u Bustera?

Zaledwie kilka miesięcy temu chłopcy byli najbardziej zajadłymi wrogami, a Dooley dwa razy stłukł go na kwaśne jabłko.

— Super. Wymieniliśmy się dzisiaj lunchem. Jemu smakuje ta pieczeń, którą ojciec robi. Ja zjadłem kiełbasę bolońską.

— Odrobiłeś zadanie?

— Tak, proszę ojca.

Tak, proszę ojca. Te słowa dzwoniły w jego uszach jak jakiś obcy język.

— Jak radzisz sobie z pracą z matematyki? Czy będziemy ją kończyć w niedzielę wieczorem?

— Tak. Spodoba się ojcu. Jest naprawdę świetna.

Odkąd wrócił do domu z Irlandii, badawczo przyglądał się twarzy Dooleya, szukając w niej jakiejś odpowiedzi. Coś się zmieniło. Być może zabił rana. Dooley bardziej przypominał teraz chłopca, a nie kogoś, kto przedwcześnie wydorósł.

Minął już prawie rok od chwili, gdy Russell Jacks, kościelny i dziadek Dooleya, zachorował nagle na zapalenie płuc i musiał pozostać na leczeniu w szpitalu. Chłopiec wrócił z pastorem do domu i od tej pory mieszkał u niego.

Sprowadzenie Dooleya Barlowe'a do domu było jednym z jego najlepszych posunięć. Tak, sprawiał mu wiele kłopotów i niejednokrotnie był powodem zmartwień, ale to, co wnosił do jego życia, w dwójnasób rekompensowało wszystkie smutki.

— Słyszałem, że co tydzień odwiedzałeś dziadka. To dla niego bardzo dobre lekarstwo.

— Tak.

— Jak on się ma?

— Ta kobieta, która się nim opiekuje, mówi, że ma się bardzo dobrze, ale odkąd ojciec wyjechał, ani razu nie jadł wątróbki...

— Ach... uch.

— I bardzo się z tego powodu wściekał.

— Zaniesiemy mu trochę. Do zobaczenia przy śniadaniu. Czy Jenny zaglądała do ciebie?

— Już się nie bawię w tę dziecinadę.

Pastor uśmiechnął się. No, pomyślał. To mój stary Dooley.

W sypialni Barnaba wskoczył na leżący w nogach łóżka koc, a potem, gdy pastor wszedł pod prysznic, położył się, ziewając. Chociaż pokój na farmie w Sligo, z krokwiemi na suficie, był bardzo wygodny, długie przejście korytarzem do wymyślnego prysznica to już zupełnie inna historia. Nie miał wątpliwości, że minie kilka miesięcy, zanim spowszednieje mu urok jego prywatnej, sąsiadującej z sypialnią łazienki.

Gdy siadał na łóżku i wykręcał numer telefonu sąsiadki, czuł się beztroski i szczęśliwy jak nowo narodzone niemowlę.

— Halo?

— Halo, to ja.

— Timothy! — przywitała go Cynthia. — Właśnie o tobie myślałam.

— Z pewnością masz bardziej interesujące zajęcia.

— Myślałam o tym, że mój pomysł na uczczenie twojego powrotu jest zbyt niepoważny.

— Zgadza się, że jest niepoważny, ale nie zbyt niepoważny — odparł. — Prawdę powiedziawszy, zastanawiałem się, kiedy to zrobimy?

— Hm...

— Sobota wieczorem? — zapytał z nadzieją w głosie.

— A niech to! Przyjeżdża mój siostrzeniec. To znaczy, jestem zachwycona, że przyjeżdża. Musisz go poznać. Jest taki kochany. Sobota byłaby doskonała. A może poniedziałek wieczorem?

— Spotkanie rady parafialnej — odparł.

— We wtorek muszę skończyć ilustrację i wysłać ją pocztą kurierską z samego rana w środę. A może jesteś wolny w środę około szóstej trzydzieści?

— Posiedzenie komitetu budowlanego o siódmej.

— Do licha.

— Jestem wolny w piątek — powiedział.

— Wspaniale!

— Nie. Nie, poczekaj. W piątek już coś mam — sprostował, ciągnąc za sobą kabel od telefonu do komody, na której leżał jego czarny terminarz. Otworzył go. — Tak, zgadza się. Szpital wydaje oficjalną kolację na cześć Hoppy'ego, a ja mam wygłosić mowę otwierającą. Czy zechciałabyś mi towarzyszyć?

— Kolacja w szpitalu? To samobójstwo! Poza tym nie znoszę szpitali. Wiesz, że niewiele brakowało, a umarłabym w jednym z nich.

— Nie, nic nie wiedziałem.

— I nie wyobrażam sobie, jak kiedykolwiek się o tym wszystkim dowiesz, jeśli nie znajdziemy sposobu na to, żeby się spotkać. A może w niedzielę wieczorem? To zazwyczaj dobra pora dla ciebie. Niedziela byłaby cudowna.

— Będę pomagał Dooleyowi skończyć pracę z matematyki. Musi ją oddać w poniedziałek rano.

Nie dająca się wyrazić słowami rozpacz pozbawiła go wszelkiego zadowolenia, jakie jeszcze przed chwilą odczuwał.

— Mogłabym czekać na ciebie jutro o szóstej na ławce przy twoich niemieckich różach. Moglibyśmy zrobić to tam i mieć to z głowy.

On jednak nie chciał, żeby tak się stało. On chciał robić to powoli, delektować się tym.

— Wzdychasz — zauważyła.

— Problem polega na tym, że po dwóch miesiącach nieobecności dzieje się tak wiele.

— Rozumiem — odpowiedziała zwyczajnie.

— Rozumiesz? Naprawdę?

— Oczywiście, że tak.

— Zadzwoń do ciebie jutro. Ławka ogrodowa jest zbyt pospolita.

— Ten mokry grudkowaty mech — powiedziała, śmiejąc się.

— Ten zimny wilgotny beton — powiedział smutno.

— Śpij dobrze. — W jej głosie słychać było czułość. — Zmęczenie po locie samolotem utrzymuje się przez wiele dni.

— Tak. No cóż. W takim razie — powiedział, czując się niezmiernie głupio — mrugnij do mnie na dobranoc światłem w sypialni.

— Dobrze, mrugnę, jeśli ty też to zrobisz.

— Cynthia?

— Tak?

— Ja... — Odchrząknął. — Ty...

— No, wyduś to z siebie — powiedziała.

Zaczął mu się łamać głos. Za nic w świecie nie był w stanie wydobyć z siebie kolejnego słowa.

— Nie zamierzam się już więcej przejmować tym, że jestem niepoważna. To ty, Timothy, jesteś ze wszech miar niepoważny!

Serce biło mu mocno, gdy odkładał słuchawkę. Prawie powiedział jej, że ją kocha, że jest wspaniała. Niewiele brakowało i skoczyłby w przepaść, a jego upadku nie zamortyzowałyby żadna półka skalna.

Podszedł do okna i spojrzął na jej malutki domek. Zobaczył, jak w oknach znajdującej się tuż pod dachem sypialni mrugnęło dwa razy światło. Pobiegł, omijając łóżko, i przycisnął wyłącznik własnego światła, potem włączył je i ponownie wyłączył.

— Dobry Boże — powiedział, stojąc bez tchu w ciemnościach. — I kto w tym domu jest dwunastolatkiem?

Gdy zadzwonił do niej w południe, jej automatyczna sekretarka wyemitowała serię krótkich, wysokich dźwięków, po których rozległ się sygnał wolnej linii.

Zdażył odłożyć słuchawkę, gdy zadzwonił jego telefon.

— Ojcze! — To był Absalom Greer, kaznodzieja mieszkający poza miastem.

— Brat Greer! Chciałem zadzwonić do ciebie dzisiaj po południu.

— Cóż, ojcze, czy bardzo narozrabiałem?

— Moi parafianie wciąż mi opowiadają, jak bardzo podobały im się kazania pastora w Lord's Chapel pod moją nieobecność. Myślę, że ich zaskoczyliśmy. Mam nadzieję, że nie było ci zbyt ciężko, zwłaszcza na początku.

— W pierwszą niedzielę było dość skąpo. Twoje stadko nie bardzo cię posłuchało, żeby przyjąć z otwartymi ramionami starego kaznodzieję odprawiającego rekolekcję. Potem w następną niedzielę, powiedziałbym, prawie pół kościoła. W trzecią — cały kościół. I tak dalej, i tak dalej, aż zaczęli stać na schodach. Gdybyś nie wrócił tak szybko do domu, musiałbym wzywać parafian do zajmowania swoich miejsc i zachowywania spokoju. Pod koniec był to już jedyny sposób na to, żeby utrzymać dystans.

Ojciec Tim zaśmiał się.

— Będzie mi teraz trudno sprostać ich oczekiwaniom, przyjacielu.

— Staralem się też nie straszyć ich za bardzo piekłem, ale nie zawsze mi się to udawało. Okażcie żal za grzechy i bądźcie zbawieni! — powiedział święty Jan. Okażcie żal za grzechy i bądźcie zbawieni! — powiedział Jezus. To sedno sprawy. Jeśli nie okażesz żalu za grzechy, nie zostaniesz zbawiony. Stoimy więc przed alternatywą, a w dzisiejszych czasach ludzie nie chcą o tym słyszeć.

— Lepiej przygotuj swoją gromadkę na mnie, zanim zacznę nauczać w wiejskich kościółkach.

Absalom roześmiał się serdecznie.

— Obawiam się, że prosisz o niemożliwe!

Już widział twarze parafian swojego wiejskiego kościółka baptystów, gdyby stanął przed nimi ksiądz z prawdziwego zdarzenia, w długiej sutannie.

— Mam coś dla ciebie — powiedział ojciec Tim. — Chciałbym kiedyś ci to przywieźć i usłyszeć przy okazji, co widziały z mojej ambony oczy kogoś innego.

— Proszę, daj nam tylko znać, kiedy przyjedziesz. Przygotujemy wspaniałą ucztę.

— Załatwione! I niech Bóg ci błogosławi za cały wysiłek włożony w pracę w naszym kościele. Wartości tego nie sposób przecenić. Ron Malcolm powiedział, że głosiłeś ewangelię szczerze i zyczajnie.

— Kaznodzieja nie powinien wchodzić ewangelii w drogę i jeśli będziemy przestrzegać tej zasady, nasze nauczanie będzie zwyczajne.

Odłożywszy słuchawkę, pastor siedział przez chwilę nieruchomo, uśmiechając się. Tak naprawdę nie było nic zwyczajnego w starszym mężczyźnie z krzaczastymi brwiami i grzywą srebrnych włosów. Widok jego wysokiej szczupłej sylwetki na ambonie, z niebieskimi oczami sypiącymi iskry jak krzemień pocierany o skałę i gałązką wawrzynu w klapie, był naprawdę poruszający, mówiła Cynthia.

„Greer” — wpisał do kalendarza na trzeci tydzień października.

Wracał do domu z biura w delikatnym niczym mgiełka deszczu, gdy nagle z niebios runęła gwałtowna ulewa.

Przemoczony w jednej sekundzie, pobiegł do sklepu z wyrobami z wełny i stanął pod markizą, po której dudniły krople deszczu. Zastanawiał się, co ma zrobić. Hazel Bailey pomachała do niego z wnętrza sklepu, pokazując mu, że powinien wejść i schronić się w środku. Ponieważ i tak był już zmoknięty, postanowił ratować się ucieczką.

Uniósł gazetę nad głowę i właśnie zamierzał przebiec pod następną markizę, gdy usłyszał klakson samochodu. Był to czarny lincoln Edith Mallory, rozmiarów mieszkania w bloku.

Szyba opuściła się gładko jak naoliwiona, a kierowca pochylił się w poprzek siedzenia.

— Ojcie Timie! — wrzasnął Ed Coffey. — Pani Mallory zaprasza do środka. Zawieziemy ojca do domu.

Woda płynęła już wartkim strumieniem wzdłuż krawężnika. Wsiadł do samochodu.

Edith Mallory wyglądała jak Kleopatra w swojej łodzi, spowita w jedwabny płaszcz przeciwdeszczowy, który spływał na miękkie skórzane siedzenie i mahoniowy barek wyłaniający się z oparcia pod rękę.

— Sherry? — zapytała, uśmiechając się w ten enigmatyczny sposób, który powodował u niego nagły przypływ adrenaliny. Była to jednak adrenalina mobilizująca go do ucieczki.

— Nie, dziękuję! — wykrzyknął, usiłując jakoś poradzić sobie z rozmokłą gazetą. W ciepłym wnętrzu unosił się w powietrzu prawdziwy obłok perfum. W jednej chwili poczuł się oszołomiony, zamroczony, jak zapadające w drzemkę czteroletnie dziecko.

Właśnie tak było zawsze z Edith — w chwili, gdy należało się mieć na baczności, człowiek stawał się bezbronny.

— Okropna pogoda, a ty przede wszystkim powinieneś dbać o zdrowie...

Dlaczego przede wszystkim?, zastanawiał się zirytowany.

— ...Bo jesteś naszym pasterzem, oczywiście, a twoje małe stadko potrzebuje ciebie, żebyś się nami opiekował.

Edith spojrzała na niego dużymi brązowymi oczami, które zdawały się łagodzić jej ostre rysy, zupełnie jak, pomyślał, jeden z tych małych urwisów na obrazach malowanych na aksamicie.

— No cóż, masz trochę racji — odpowiedział sztywno.

Zobaczył oczy Eda Coffeya we wstecznym lusterku. Wydawało mu się, że w ich kącikach pojawiły się zmarszczki, jak gdyby uśmiechał się szeroko.

— Chcemy, żebyś był silny — szczebiotała — dla wszystkich twoich wdów i sierot.

Wyjrzał bezmyślnie przez okno, nie zauważając nawet, że minęli jego ulicę. Markiza nad barem Grill zerwała się w jednym rogu i deszczówka spływała wartkim strumieniem na chodnik, tworząc prawdziwy wodospad.

— Może skusisz się na maluteńką sherry — powiedziała, napełniając mały kieliszek trunkiem z karafki usadowionej w mahoniowym barku jak jajko w gnieździe.

— Naprawdę, nie wydaje mi się... — odparł, czując już w dłoni kieliszek sherry.

— Ależ, ależ! — przekonywała go. — To zdławi chorobę w zarodku!

Gdy się uśmiechała, w kącikach jej szerokich ust pojawiała się mnóstwo delikatnych, promieniujących na policzki zmarszczek, sprawiając, że skóra jej twarzy wyglądała zupełnie jak karbowana bibuła. Niektórym Edith wydawała się przecież atrakcyjna, napominał się. Dlaczego nie jemu?

Pospiesznie wypił sherry i zwrócił jej kieliszek, czując się jak dziecko, które wzięło lekarstwo na krup.

— Dobry chłopiec — powiedziała.

Gdzie w ogóle byli? Po szybach spływały strugi deszczu, a światła samochodu nie rozświetlały drogi przed nimi na tyle mocno, aby mógł w przybliżeniu określić, gdzie są. Właśnie minęli bar Grill, ale nie przypominał sobie, żeby potem skręcali. Może przejechali już koło pomnika i byli w drodze do Wesley?

— Dlaczego, aa, nie jedziemy do mojego domu? — Poczł lekłą panikę.

— Pojedziemy tam za maleńką chwileczkę — odparła, mrugając do niego.

Nie mógł uwierzyć, że jej dłoń przesunęła się po siedzeniu, w kierunku jego dłoni. Przypomniał mu się sen o garderobie i jak dobijał się do drzwi, wzywając Russella Jacksa.

Cofnął rękę, jak mu się wydawało — dość dyskretnie, i podrapał się w nos. Dzięki sherry gdzieś w głowie zapaliło mu się małe światełko. Być może wyobrażała sobie, że chodzi mu o jej pieniądze, które przydałyby się do sfinansowania budowy kilku sal dla szkoły niedzielnej, i że byłby gotów potrzymać się trochę za ręce, żeby je zdobyć. Potrzeba będzie aż dwustu tysięcy, żeby zamienić ten sypiący się kawał strychu w szkołę niedzielną, jaka marzyła się Josiahowi Baxterowi. On jednak nie miał najmniejszego zamiaru przykładać własnej ręki do uzyskania tych funduszy. Na spotkaniu, na które został zaproszony przez radę parafialną, przedstawił im listę tego, czego nie będzie robił, aby nikt nie miał potem pretensji.

Nie będzie, na przykład, uczestniczył w zbiórkach pieniędzy w miejscach innych niż ambona. Koniec kropka. Nie będzie osobiście nikomu nadszakiwał i przypochebiał się, nie będzie nikogo pouczał, brał na piękne słowa i nakłaniał do finansowania jakiegokolwiek budowy.

— Ach, Timothy — westchnęła Edith Mallory, pocierając tweedowy rękaw jego marynarki, jakby był kotem. — Irlandia zdziałała cuda, widzę to wyraźnie. — Przysunęła się do niego. — Odkąd zostałam wdową, czuję się taka samotna — powiedziała, pociągając nosem. — Czasami... ból mnie po prostu zżera.

Gdy w końcu dowieziono go do domu, przemoczonego nieomal do suchej nitki, Puny była już gotowa do wyjścia. Wkładając płaszcz, przyglądała mu się z niepokojem.

— Wygląda ojciec tak, jakby przeszedł przez coś strasznego!

— Przez piekło! — wykrzyknął. Osłupiała, słysząc z jego ust takie słowa.

Gdy przyszedł w poniedziałek rano do biura, przed budynkiem stał czerwony dostawczy pick-up. Ktoś siedział w środku i rozmawiał przez telefon komórkowy.

Pastor wyciągał właśnie z kieszeni klucz, gdy kierowca wysiadł z samochodu i zatrzaskał drzwi. Rzucił nie dopalony papieros na chodnik i rozgniół go szybkim ruchem obcasa.

Mężczyzna był postawny, muskularny i ciężki. Miał na sobie drelichowe spodnie, których nogawki wpuszczone były do wysokich butów, flanelową koszulę, pikowaną kamizelkę i kask.

— Czy to pan jest ojcem?

— Tak. Co mogę dla pana zrobić?

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów Lucky Strike, wyjął jednego, zapalił go i zaciągnął się głęboko.

— Buck Leeper — przedstawił się, podchodząc do pastora i wyciągając dłoń.

Uścisk dłoni trwał zaledwie jedną chwilę, ale w tym krótkim czasie pastor doznał dziwnego uczucia. Dłoń nieznajomego wydała mu się mocno nabrzmiała i czerwona, jakby ciało mogło wytrysnąć z niej gwałtownie i rozerwać skórę.

— Miło mi pana poznać — skłamał, słysząc, jak słowa rodzą się machinalnie i w ten sam sposób zostają wypowiedziane. Mimo to, w pewnym sensie, był jednak zadowolony, że go poznał; miał to już za sobą.

— Proszę wejść i napić się ze mną kawy.

— Za kawę dziękuję — odparł, wpychając się do środka przed pastorem.

Pastor powiesił kurtkę na wieszaku, zauważając, jak obecność mężczyzny sprawiła, że pokój nagle wydał się mniejszy.

— Malcolm mówił, żebym zapytał ojca o ogrodowe figury.

— Ogrodowe figury?

— Te, które leżą na placu budowy. Wykopaliliśmy je. Będzie ich ponad dziesięć, jedno uszkodzone, inne nie. Nie mam czasu, żeby się tym bawić. — Wypuścił obłoczek dymu.

— Jakie to niezwykle. Oczywiście. Zaraz tam będę. Proszę dać mi godzinę.

Nadzorca zaciągnął się szybko i głęboko.

— Przy stawce pięćdziesiąt dolarów na godzinę za buldożery nie stać mnie na taki luksus.

— W takim razie, co według pana powinienem zrobić? Ton głosu Leepera był obraźliwy i twarde.

— Proszę mi powiedzieć, że mogę zepchnąć te śmieci ze zbocza góry.

Pastor poczuł, jak jego krew ścina się w lód.

— Byłbym wdzięczny — powiedział spokojnie — gdyby zgasił pan papierosa. W tym małym pomieszczeniu nie da się palić.

Nadzorca przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, upuścił papierosa na podłogę i rozgniół go szybkim ruchem obcasa. Otworzył drzwi.

— Nie mam czasu, żeby biegać na posyłki dla pańskiego komitetu budowlanego. Jeśli chce ojciec te figury, to proszę po nie przyjść i je zabrać — oświadczył i wyszedł.

— Dobry Boże — jęknął Ron Malcolm, zwieszając głowę.

— Cóż, nie mogę powiedzieć, że mnie nie ostrzegaleś.

— Tak, ale wygląda na to, że nie ma ostrzeżenia, które byłoby w stanie przygotować kogokolwiek na Bucka Leepera. Nalegałem, żeby tu przyjechał, przywitał się, przedstawił i zapytał, co zrobić z tymi figurami. Myślałem, że chciałby je ojciec zatrzymać, ale nie byłem pewien. Obawiam się, że to moja wina. Ja powinienem był się tym zająć.

— Nie. Skończ już z tą samokrytyką. Nie ma tu winnego i nie będzie. Jeśli dzisiejszy ranek był jakkolwiek wskazówką, zanosi się na ciężką przeprawę. Ten człowiek jest najwyraźniej chodzącą bombą zegarową. Wszystko, czego pragnę, to trzymać się od niego z daleka i pozwolić mu, żeby spokojnie wykonał swoją pracę.

— W porządku — zgodził się Ron.

Jego przewodniczący komitetu budowlanego wyglądał na tak przygnębionego, że pastor otoczył go ramieniem.

— Nie łam się — powiedział bez zastanowienia.

Śmiali się jeszcze wtedy, gdy Ron ruszał swoim niebieskim pick-upem z miejsca przy krawężniku, wioząc do Lord's Chapel cały bagażnik kamiennych figur.

— Modliszka — oznajmiła cierpko Emma, podając mu słuchawkę telefonu.

— Zaprosiłam członków komitetu budowlanego na spotkanie u mnie w środę wieczorem. — Ton głosu Edith Mallory wyraźnie świadczył o tym, że jest z siebie zadowolona. — Oczywiście, byli

zachwyceni tym pomysłem. Magdolen zrobi swój słynny chleb z mąki kukurydzianej, ale ja przygotuję polędwicę.

Polędwicę!

— Wiem, jak bardzo lubisz polędwicę. Zamówiłam ją specjalnie z Nowego Jorku.

— To bardzo miłe z twojej strony. Ale naprawdę nie ma potrzeby, żeby zmuszać cię do przygotowywania całej kolacji na spotkanie komitetu budowlanego...

— Życie jest takie krótkie — odparła, pociągając nosem. — Dlaczego mamy organizować nudne spotkanie, skoro możemy się spotkać na uroczystej kolacji?

Nie potrafił znaleźć żadnego powodu. Rzeczywiście, dlaczego?

— Będiesz mógł zobaczyć obraz, który namalowałam na ścianie w salonie. Do złudzenia przypomina stare książki stojące na półce.

— Aha.

— Przyślę po ciebie Eda. Będzie u ciebie piętnaście minut wcześniej — zaproponowała.

Usłyszał delikatny dźwięk ssania, jaki towarzyszył zaciąganiu się tym przeklętym papierosem.

— Nie! — prawie krzyknął.

Jego samochód nadal stał w garażu z rozładowanym akumulatorem.

— Ach, nie, dziękuję. Przyjadę z Ronem. Mamy wiele spraw do omówienia...

— Oczywiście, ale Ron przyjedzie z Tadem Sherrillem, tak mi mówił, bo w jego pick-upie... co on to mówił... wypadła uszczelka, zdaje mi się.

— Wobec tego zabiorę się z nimi. Myślę, że jakoś się zmieszczę. I bardzo ci dziękuję, Edith. To bardzo miło z twojej strony.

Od razu odłożył słuchawkę i nie był zdziwiony, gdy zauważył, że ma lekko wilgotne czoło.

— W czerwcu — powiedziała Puny.

— Nie — jęknął pastor.

— Czternastego.

— Ale jak ja sobie bez ciebie poradzę? Właśnie tego się obawiałem.

— Nie będzie musiał ojciec sobie beze mnie radzić — odparła. — Wracam zaraz po naszym miesiącu miodowym. Mówiłam ojcu.

— Tak, ale czy nie powinniście razem z Joe Joe zaplanować czegoś... na przykład dzieci?

— Nie w tym momencie, jeśli nie ma ojciec nic przeciw — powiedziała figlarnie, stawiając na środku podłogi wiadro z wodą.

Pomyślał, że jego pomoc domowa nigdy dotąd nie wyglądała tak czarująco. Zdawało się, że jakiś szczególny blask otaczał jej rude włosy, a cała postać promieniowała szczęściem. Miał wrażenie, że w jego domu rozbłysło światło jakiejś cudownej lampy, i z pewnością nie chciał, żeby zgasło.

— Oczywiście — uspokajała go, zanurzając szczotkę do mycia podłóg w wodzie z płynem — nie zostawimy ojca na pastwę losu, Znajdą kogoś, kto zajmie się wszystkim w czasie mojej nieobecności.

— Nie chcę nikogo innego — powiedział rozżalony.

— Ale ojciec niemądry. W takim razie proszę zjeść marchewkę. Zrobiłam ją tak, jak lubił mój dziadek. Z masłem i odrobiną brązowego cukru. Żadnych innych słodczy ojciec dzisiaj nie dostanie.

— Dziękuję, Puny.

Nie mógł nie zauważyć, że od pewnego czasu nawet łajała i strofowała go z uśmiechem. Gdy tak się jej przyglądał, jak na kolanach szoruje kuchenną podłogę, w pozie bezgranicznej uległości, na którą nie mógł wręcz patrzeć, myślał o tym, jak nauczył się kochać Puny Bradshaw, jakby była jego najbliższą krewną.

Zastanawiał się, czy udało jej się skończyć ilustrację, tę, którą musiała jak najszybciej wysłać do wydawcy. Gdy zadzwonił, usłyszał jedynie koniec nagranej na automatycznej sekretarce wiadomości — „...sygnale, dziękuję” — a potem rodzaj zakłóceń przypominających odgłos pędzącego autostradą tira.

Gdy odłożył słuchawkę, siedział jeszcze przez chwilę i wpatrywał się w zacinający w okna biura deszcz. Uświadomił sobie, że w rzeczywistości wcale nie chce z nią rozmawiać. Odczuwał raczej pragnienie, aby ją zobaczyć.

W płaszczu i kapeluszu przeciwdeszczowym przemknął chyłkiem do domu, przyrzekając sobie solennie, że jutro rano poprosi Lew Boyda, żeby przyszedł i naładował mu akumulator. Przed pójściem do siebie zapukał do drzwi Cynthii.

Dach nad krótkim tylnym gankiem nie dawał żadnego schronienia. Gwałtowne porywy wiatru i deszcz smagały go bezlitośnie.

— Cynthia! — usiłował przekrzyczeć wicher.

Wiedział, że zamknęła drzwi z siatką, żeby podmuch wiatru nie wyrwał ich z zawiasów.

Ponownie wykrzyknął jej imię. Jedynie słabe światło jarzyło się gdzieś w okolicy schodów.

Ruszał drzwiami, starając się zrobić przy tym jak najwięcej hałasu, i stukał w nie, najgłośniej jak potrafił. Ujrzał, jak Violet skacze na kuchenną ladę i przygląda mu się badawczo, jakby był śmieciarzem.

— Czysty obłąd! — wymamrotał w końcu, uciekając przez przemoczony żywoplot do ciepłej kuchni w swoim domu.

Clear Day, wybudowany współcześnie, przestronny dom państwa Mallorych, stał na wzgórzu, z którego rozciągał się piękny widok na dolinę. W drzwiach powitała ich Magdolen.

— Wspaniale! Oto i ojciec! — oznajmiła radośnie, pomagając mu ściągnąć płaszcz przeciwdeszczowy. — Tak bardzo się cieszymy, że wrócił już ojciec z Irlandii. W tamtym kraju człowiek nigdy nie może być zupełnie spokojny o własne życie. To po prostu tragiczne.

Tad i Ron zostawili w holu ociekające wodą płaszcze przeciwdeszczowe i przeszli do biblioteki, gdzie gospodyni serwowała tartinki.

— Brakowało nam oczywiście ojca podczas całego tego... no wie ojciec — westchnęła Magdolen. — Dla pani Edith było to takie ciężkie przeżycie, a w dodatku nie mogła liczyć na wsparcie ze strony dzieci. Pomyślałam, że może chciałby ojciec zobaczyć, gdzie znalazłam pana Pata.

Zaprowadziła go pod schody.

— Dokładnie w tym miejscu — powiedziała, wskazując na trzeci stopień od dołu. — Zatrzymał się tutaj, siedząc oparty o barierkę. Gdy weszłam do holu, oczy miał szeroko otwarte i patrzył wprost na mnie. Wydawało mi się, że wygląda trochę blado. Powiedziałam więc: „Panie Pat, upiekłam dla pana wspaniałą lasagnię, proszę więc wejść i usiąść przy stole, zanim wystygnie”.

Wstrząsnął nią dreszcz i mocno ścisnęła go za ramię.

— Wtedy właśnie... stoczył się na sam dół.

— Magdolen! — powiedziała ostro Edith Mallory, biorąc pastora pod drugie ramię i ciągnąc go w kierunku biblioteki.

Pięciu zziębniętych członków komitetu budowlanego tłoczyło się już wokół buzującego i trzaskającego na kominku ognia.

— Coraz więcej i więcej błota — mówił Malcolm. — Rzeka błota.

— Morze błota — dorzucił posepnie Tad Sherrill.

— A będzie go jeszcze więcej, jeśli sprawdzi się prognoza — obwieściła Winona Presley, stukając długopisem w notatnik biurowy.

Rozgrzani winem cabernet z piwniczki państwa Mallorych, biesiadnicy z ożywieniem rozprawiali o wszystkich znanych im katastrofach spowodowanych złą pogodą.

— Pracowałem kiedyś przy pewnym projekcie w Kentucky — opowiadał Ron. — Deszcz padał wtedy ciągle przez dwadzieścia jeden dni.

Zauważył z zadowoleniem, że połędwicę można kroić widelcem.

— Gdy przestało padać, cztery ogromne koparki gąsienicowe stały w błocie, które sięgało po drzwi do kabin.

— A ja mam nadzieję, że nigdy więcej nie będę musiał oglądać płynącej rzeki błota. Czy kiedykolwiek widzieliście rzekę błota? Jest równie okropna jak lawa z wulkanu. Widziałem, jak zalewała domy aż po dachy...

— Wiecie, co lubię u Francuzów? — zapytała gospodyni. Odczekała dłuższą chwilę, w czasie której oczy wszystkich obecnych zwróciły się na nią.

— Podczas posiłków rozmawiają tylko o jedzeniu. Znajdujące się przed nimi potrawy stanowią temat najzagorzalszej dyskusji. Nie przyszłoby im do głowy, aby psuć swoje trawienie rozmowami o polityce, a już na pewno nie o błocie — oznajmiła lodowatym głosem.

— Ależ, Edith, kochanie — zauważył Tad — błoto to jeden z powodów, dla których się tu spotykamy.

Ojciec Tim był zdania, że spojrzenie, którym obdarzyła swojego uprzejmego gościa, niepotrzebnie było protekcyjne.

— To — poinformowała ich gospodyni — jest kolacja. Spotkanie na temat błota odbędzie się w bibliotece, przy kominku, i będzie mu towarzyszyła lampka brandy.

Zabębniła delikatnie palcami po stole i uśmiechnęła się.

Pastor nie mógł uwolnić się od pewnej narzucającej się myśli — a mianowicie, że Pat Mallory sam rzucił się ze schodów.

Po deserze złożonym z ciasta pomarańczowo-kawowego z bitą śmietaną, które — ku rozczarowaniu gospodyni — w jego przypadku mogło być jedynie uczta dla oczu, przeprosił wszystkich i poszedł sprawdzić poziom cukru. Cukrzyca była najżałośniejszą z dolegliwości, jakie można było zabrać ze sobą na uroczystą kolację.

W toalecie dla gości, tonącej w perkalu koloru borówkowego i czarnym marmurze, zrobił to, co miał do zrobienia, następnie opuścił pokrywę sedesu i usiadł na nim zmęczony. Prawdę powiedziawszy, wolałby spotkanie w domu parafialnym, podczas którego wszyscy piliby kawę ze styropianowych kubków.

A jeśli deszcz będzie padał jeszcze przez kolejny tydzień? Lepiej nie myśleć o tym, co mogłoby się stać, gdyby padało przez dwa lub trzy następne tygodnie. Zdarzało się to już wcześniej w Mitford, które miało własny mikroklimat. Ponieważ nie można było robić niczego przy domu opieki, czy powinni zatrudnić ekipę Bucka Leepera do prac na strychu?

Oznaczałoby to na początek pokaźne wydatki, zupełnie poza budżetem na budowę Domu Nadziei, a jak do tej pory, nie udało się zebrać na ten cel ani jednego centa. Poza tym deszcz może przestać padać, ekipa wróci na wzgórze, rozpoczęte prace na strychu będą czekać na kontynuację, a całe sanktuarium będzie pokryte warstwą kurzu.

Pomyślał, że to nie jest właściwy moment na rozpoczynanie projektu szkoły niedzielnej. Tak, coraz bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. Błoto nie jest dobrym powodem do uruchamiania prac związanych z przebudową strychu.

Wstał, wyszedł na korytarz i skierował kroki do biblioteki. Jego uszu dobiegał jedynie dźwięk uderzającego w świetliki na suficie deszczu, a dom wydawał mu się dziwnie cichy.

— Gdzie się wszyscy podziali? — zapytał Edith, która wyszła mu na spotkanie.

— Obawiali się, że znowu zacznie się ulewa, i stwierdzili, że będzie lepiej, jak wyjdą wcześniej. Oczywiście mieli rację. Powiedziałam im, żeby nie czekali na ciebie. Ed zawiezie cię do domu.

— Myślałem, że wszyscy mamy zobaczyć twój obraz w salonie.

Miał wrażenie, że na jego szyi zaciska się pętla. Rozpaczliwie szukał wzrokiem Magdolen. Czy nie stała w pobliżu drzwi do jadalni, gdy przechodził korytarzem? Jeśli nawet tak było, to najwyraźniej rozplynęła się w powietrzu.

Edith ciągnęła go za sobą, trzymając pod ramię.

— Oglądniemy go za chwilę, tylko ty i ja.

Ogień płonął jasno na kominku. Zauważył, że ktoś przysunął sofę bliżej ognia i że na małym stoliku, na którym zostawił swój notatnik, znajdowała się teraz srebrna taca z dwoma kieliszkami i kryształową karafką.

No to po mnie, pomyślał. Z pewnością właśnie tak oceniliby całą sytuację Dooley.

To, że zwróciła się do niego z prośbą o poradę, ponieważ na tym polegała jego praca, było jedną sprawą. To, że przetrzymywała go wbrew jego woli, było czymś zupełnie innym.

Gdy przysunęła się do niego bliżej na sofie, zerwał się na równe nogi i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Nie umiał wręcz wyrazić, jak bardzo jakiś rodzaj pracy na rzecz innych pomógłby jej w odzyskaniu równowagi. Szpital Dziecięcy w Wesley mógłby okazać się najlepszym obiektem, któremu mogłaby poświęcić swój czas i energię — on sam wspierał go już od lat. Szpital ten zbiera obecnie fundusze na budowę oddziału onkologicznego, a on wiedział z całą pewnością, że jest to odpowiedzialna instytucja, z którą współpraca dałaby jej największą satysfakcję.

Ale dlaczego miałyby się angażować w sprawy chorych dzieci, pociągnęła nosem, skoro to jedynie dodatkowo by ją przygnębiło? Poza tym, skąd miałyby wziąć na to czas? Wyrecytowała oszałamiającą listę nieruchomości, które Pat Mallory zostawił pod jej pieczęcią, z uwzględnieniem sklepu obuwniczego Shoe Barn wraz z sąsiadującymi nieruchomościami przy autostradzie, nie mówiąc już o budynku, w którym znajdował się bar Main Street Grill.

Na koniec stanął przed kominkiem, tak senny i wyczerpany długim dniem, ciężką kolacją, łąkowym monologiem Edith i wysoką temperaturą panującą w pokoju, że musiał się powstrzymać z całych sił, żeby nie upaść jak długi na podłogę.

O jedenastej pojawił się Ed Coffey, z kapeluszem w ręku, donosząc, że silnik w samochodzie przestał pracować i że upłynie trochę czasu, zanim zdoła go uruchomić. Najwyraźniej deszcz dostał się w jakiś sposób pod maskę.

Całkiem możliwe, pomyślał z rozpaczą. Było już za późno, żeby zadzwonić do Dooleya i powiedzieć, że coś go zatrzymało. Chłopiec miał oczywiście numer telefonu do państwa Mallorych, na wszelki wypadek, gdyby się martwił, że coś mu się stało. Istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że

Dooley śpi już głęboko i pochrapuje, wydając z siebie ten lekki świszczący dźwięk, co do którego pastor miał nadzieję, że nie jest spowodowany nie zdiagnozowanym trzecim migdałkiem.

Padający na świetliki deszcz nadal hałasował tak głośno, jakby maszerował po nich cały batalion. Na pewno zgubiłby się w środku tej burzy, wiatr wyrwałby mu z ręki parasol i cisnął go o drzewo, a przed nim rozciągałyby się jedynie kilometry nie oświetlonej drogi. Gdyby nawet jakimś cudem udało mu się dotrzeć do miasta, równie dobrze mógłby pójść prosto do szpitala i zgłosić się na pogotowie, ponieważ wkrótce na pewno umierałby na zapalenie płuc.

Usiadł na sofie pokonany, a Edith od razu wykorzystała tę okazję, żeby chwycić go za kolano. Czy to się nigdy nie skończy?

— Edith — powiedział stanowczo tonem, którego tak nienawidziła Emma — mamy za sobą długi dzień i obydwójce potrzebujemy odpoczynku. Chyba przeniosę się na fotel i zdrzemnę się trochę, kiedy Ed będzie naprawiał samochód.

— Nie chcesz zobaczyć mojego obrazu? — zapytała żałośnie.

W odpowiedzi ostentacyjnie podszedł do fotela i usiadł w nim, po czym złożył ramiona na piersi tak ciasno, jakby miały posłużyć mu jako zbroja. Na wszelki wypadek założył również nogę na nogę i mocno zamknął oczy.

Zasłużył sobie na to. Sam się o to prosił. Było tak, jakby sam padł na kolana i błagał o to, co go spotkało. Dlaczego nie poprosił Lew o naładowanie akumulatora zaraz pierwszego dnia po powrocie do domu? Mógłby wtedy przyjechać tutaj własnymi czterema kółkami.

Jeśli zacznie się do niego dobierać, czy pozostaje mu coś innego, jak tylko wziąć nogi za pas? Może śpiączka, jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót. Jeśli dobrze pamiętał, traciło się po prostu przytomność i upadało. W ten sposób jednak mógłby — zupełnie wbrew swojej woli — przyjąć najbardziej dogodną dla Edith pozycję.

Jeśli uda mu się wyjść cało z tej opresji, to... no właśnie, co takiego zrobi? Powie Cynthia, że chce z nią chodzić.

No właśnie. Miał wrażenie, że ta myśl czekała na to, by ją odkrył, by go zaskoczyć. Mimo to jednak wcale nie był zaskoczony.

W zamian dotarła do niego nareszcie niezaprzeczalna prawda, że Cynthia Coppersmith jest wyjątkową kobietą. Jej słodycz, odwaga, radość życia i świeżość urody — dlaczego potrzebował tak dużo czasu, żeby to docenić? I dlaczego miałby nie przyjąć niespodziewanego daru szczęścia, jaki z pewnością przyniosłoby jej towarzystwo?

Poczuł, jak na twarz wypływa mu swobodny uśmiech i coś na kształt uczucia wolności rodzi się w jego sercu.

Edith usiadła na poręczy jego fotela.

— Mmm — zaszczębiotała — wyglądasz słodko.

W jednej chwili owionął go zapach jej perfum i stęchłego tytoniu. Jeszcze mocniej zacisnął powieki.

— Wcale się tak nie czuję — powiedział przez zęby. — Chcę się znaleźć we własnym łóżku i zasnąć kamiennym snem.

— Już niedługo się tam znajdziesz! — rzuciła ze zniecierpliwieniem. — Kiedy wreszcie trochę się rozluźnisz?

Do domu pojechał o świcie z wymizerowanym Edem Coffeyem — przez całą drogę nie zamienili ze sobą ani jednego słowa. Deszcz osłabł i zmienił się w delikatną mżawkę.

Co by było, gdyby ktoś zobaczył go, jak sunie samochodem Edith Mallory o piątej nad ranem? Osunął się tak nisko na skórzanym siedzeniu, że siedział na własnym kręgosłupie.

Co będzie, jeśli miną Percy'ego Mosely'ego, który często przychodzi do baru Grill o piątą rano, żeby uzupełnić księgi rachunkowe i przygotować dzbanki z kawą?

Albo gdy wypatrzy go w drodze do cukierni Winnie Ivey?

Gdy zatrzymali się przy krawężniku przed jego domem, przez szybę widać było jedynie czubek jego głowy zakryty tweedową czapką. Pięciominutowa jazda samochodem wydawała mu się najwspanialszą częścią długiego dnia, który właśnie miał za sobą.

Ed odwrócił się, gdy pastor otwierał drzwi. Spojrzenie wyczerpanego szofera mówiło samo za siebie: „Bardzo mi przykro. Nie chciałem, żeby tak się stało”.

Pastor uściśnął dłoń Eda.

— Niech cię Bóg błogosławi — powiedział z uczuciem.

Gdy kierował swoje kroki za dom, w stronę tylnych drzwi, zobaczył w żywo płocie coś różowego. Była to Cynthia, w szlafroku i koszuli nocnej, z mnóstwem wałków na głowie. Wpatrywała się w niego, a tymczasem Ed Coffey ruszał bezszelestnie z miejsca przy krawężniku.

Przez jedną okropną chwilę patrzył na nią, odczytując w jej spojrzeniu pewną straszną myśl. W rękach trzymała ociekającą wodą Violet, która najprawdopodobniej całą noc spędziła poza domem.

Podniósł do góry rękę, jakby chciał pozdrowić swoją sąsiadkę, ale ona odwróciła się i szybko zniknęła za żywo płotem. Dół jej szlafroka frunął za nią niczym płaszcz koronacyjny. Stojąc tam w mżącym deszczu, usłyszał, jak zatrząskuje za sobą tylne drzwi.

Lunch z panną Sadie i Louellą sprawił, że poczuł się tak, jakby naprawdę wrócił do domu.

Zdał sobie sprawę, że przekonał się do ich białego chleba, a i smak zwykłego sera wydawał mu się na swój sposób wyjątkowy.

— Przez cały ten czas nie zdążyłam dostarczyć Oli vii Davenport jej kapeluszy — wyznała panna Sadie. — Dwa miesiące dobrych intencji i nic więcej! Razem z Louellą wybieramy się jednak w tym tygodniu na strych i zamierzamy znieść je na dół, prawda, Louello?

Przy ananasowym sorbecie gospodyni powiedziała, że chciałaby się z nim spotkać w niedługim czasie. Nie dzisiaj, dodała, ale wkrótce. Przypomnił sobie poprzednie spotkania z panną Sadie, z których zawsze wynikało coś bardzo ważnego. W tym sędziwym domu stojącym pośród paproci z pewnością rodził się jakiś wspaniały pomysł.

Opowiedział jej o odnalezionych fragmentach kamiennych figur, o porośniętym mchem świętym Franciszku bez ręki, o siedzącej Najświętszej Pannie z dzieciątkiem, o figurze Jezusa niosącego owieczkę i o grupce cherubinów bez skrzydeł.

— Piękne rzeźby! Razem będzie ich około dwunastu. Każemy je odrestaurować, a potem umieścimy w kościelnych ogrodach.

— Nie mogę sobie ich przypomnieć — odpowiedziała. — Po pożarze nikt z nas nie ośmielił się wrócić na teren dawnego kościoła. Zupełnie tak, jakby zdarzyła się jakaś straszna śmierć. Nigdy potem nie wracaliśmy już do tego tematu. Idąc drogą, nigdy nawet nie patrzyliśmy w tamtą stronę. Ale przez wiele lat, gdy wyglądałam przez swoje okno i patrzyłam na wzgórze, gdzie kiedyś stała widoczna na tle nieba wieża, miałam wrażenie, że panuje tam straszna pustka, jakby coś zostało skradzione z samych niebios.

Louella spojrzała na niego i potrząsnęła głową.

— To było naprawdę przygnębiające, słońko.

— Louello, czy myślisz, że możesz mówić do ojca: „słońko”?

— Myślę, że może — odparł pastor.

— Dobrze więc — zgodziła się panna Sadie. — Tato robił wszystko, co było w jego mocy, żeby nowy kościół zaczął jak najszybciej funkcjonować. Msze odbywały się, jeszcze zanim położono dach. Pamiętasz, Louello, siedzieliśmy na składanych krzesłach, takich, jakie zabiera się na wyścigi konne, a wokół nas stały jedynie konstrukcje ścian. To był piękny czas, czas uzdrowienia — świeże drewniane bale, nowy początek. Pamiętam, jak brzmiały śpiewane przez nas pieśni pod gołym niebem, a niczym nie skrepowana melodia niosła się po łąkach i szybowała ku wierzchołkom drzew. Myślę, że wielbiliśmy Boga tak, jak robili to pierwsi osadnicy, w prosty i słodki sposób. Pamiętam, że kiedyś w niedzielę rano przyszedł do kościoła Absalom. Stał z tyłu, trzymając kapelusz i Pismo Święte, a potem podszedł do nas, do przodu, i powiedział: „Bardzo mi przykro”. Miał na myśli oczywiście pożar i całą resztę. Wie ojciec, dałabym wszystko, żeby móc zakochać się w Absalomie Greerze.

Powinien coś zrobić, ale zupełnie nie miał pojęcia co.

Dzwonił do niej nieustannie, ale za każdym razem słyszał jedynie jakiś przypadkowy fragment nagranej na automatycznej sekretarce wiadomości. Dobijał się do jej drzwi podczas burzy, ale nie mógł jej znaleźć. Obiecał spełnić to głupie życzenie, ale absolutnie nic w tej sprawie nie zrobił. A teraz to.

Kwiaty. Pośle kwiaty.

Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek wcześniej posyłał komuś kwiaty, poza własnymi ciętymi różami. Z drugiej strony, jak by to wyglądało: wynurzyć się o świcie z samochodu jednej kobiety i zaraz potem posyłać kwiaty drugiej, która złapała cię na gorącym uczynku? Nie wydawało się to zbyt mądre.

W takim razie napisze liścik. Przelewanie na papier własnych myśli szło mu przecież całkiem dobrze. „Droga Cynthio”.

Wstał i zaczął wyglądać przez okno w biurze.

„Najdroższa Cynthio”.

„Moja droga Cynthio”.

„Cynthio”.

Mógł się tak zastanawiać godzinami. Być może nawet zajęłoby mu to kilka dni. A niech to!

— Powinieneś pójść do fryzjera — przerwała ciszę Emma. Zupełnie zapomniał, że jest w biurze.

— Coś jeszcze? — zapytał z sarkazmem.

— Powinieneś częściej spotykać się ze swoją sąsiadką.

Wracał do domu w gęstej mgle, rozmyślając, kiedy pojawi się rześkie i niebieskie jesienne niebo. Wybierze się wtedy na wieś, być może dokładnie w to samo miejsce, w którym siedział kiedyś z Cynthią na kocu, i pozwoli Barnabie wybiegać się i wyszaleć do woli.

„Najdroższa Cynthio, pamiętam ten dzień na kocu...”

Poczuł, jak się rumieni. Ten początek wydawał mu się zbyt bezpośredni. Z drugiej strony, do odważnych świat należy.

„...pamiętam ten dzień na kocu i jest to wspomnienie, które zawsze będzie bardzo drogie mojemu sercu”.

Jak mógłby kiedykolwiek zapomnieć, jak leżała na plecach, zupełnie jak dziewczynka, patrząc na chmury i widząc pośród nich Andrew Jacksona, i jak się z niego śmiała, gdy nagle pojawił się byk, a potem się wycofał? Z pewnością nie zapomni też nigdy, jak oparła się o niego, taka miękka i delikatna, gdy gładził ją po policzku. Mówili, że nie dopuszczają do tego, aby ścieżka przez żywopłot zarosła — powiedział, że nie mogą pozwolić, aby się to kiedykolwiek stało. Ile razy jednak z niej skorzystał, odkąd wrócił do domu dziesięć dni temu? Tylko raz, gdy uciekał do siebie, żeby schronić się przed ulewnym deszczem.

Nie o to jednak chodziło. Rzecz w tym, że był opieszawy i że było mu przykro, i że chciał to naprawić. Najbardziej jednak chciał jej powiedzieć, że to, co widziała, było bardzo mylące — mógł jej wszystko wytłumaczyć.

„Najdroższa Cynthio...”

Nagle zdał sobie sprawę, że minął przecznicę prowadzącą do domu i że stoi nieporadnie przed barem Main Street Grill. Właśnie to było tylko jednym z wielu powodów, dla których nigdy nie chciał stracić dla nikogo głowy.

Pastor był pewien, że gdyby Bezdomny Hobbes mieszkał w mieście, nie potrafiłby zwierzyć mu się z ani jednej myśli, które obecnie zaprzętały jego głowę. Wszystko jednak zmieniał fakt, że przyjaciel mieszkał w lesie, nad Little Mitford Creek.

Nie miał dość rozumu, żeby zrezygnować z filiżanki kawy zaparzonej przez Bezdomnego o piątej po południu. Przyglądał się, jak napełnia filiżankę, jakby oglądał jakiś film.

Bezdomny miał na sobie nowe spodnie na szelkach w kolorze burgunda i był na bosaka. Ujął w palce jedną z założonych na podkoszulek szelek i lekko ją naciągnął.

— Zupełnie jak nowe! Prosto ze sklepu z używaną odzieżą.

— To właśnie tam najczęściej zaopatruje się panna Rose.

— Widzi ojciec te spodnie? Nigdy nie chciałem mieć dwóch par. A teraz mam. Leżały tam razem z szelkami. Nie mogłem przepuścić takiej okazji.

— Nowy wizerunek na jesień.

— Mam nadzieję, że moje portki nie uderzą mi do głowy.

— Nie słyszałem jeszcze, żeby komukolwiek się to przytrafiło, więc nie martwiłbym się tym zanadto.

— Ale ojca coś martwi, daję głowę.

Pastor uniósł filiżankę w geście pozdrowienia.

— Masz dobre oko.

— Nie jestem pewien, czy to oko, czy raczej coś w środku. Dokładnie tutaj. — Bezdomny przyłożył dłoń w miejsce pod żebrami.

— Rzeczywiście, coś mnie martwi. Z żalem muszę przyznać ci rację.

— Tutaj, nad strumieniem, może się ojciec przyznać, do czego tylko ojciec zechce.

Jak, na Boga, miał o tym mówić? W ciągu swojej wieloletniej pracy duchownego miał tylko jednego przyjaciela, któremu mógł opowiedzieć o wszystkich najszybszych problemach. Ten przyjaciel był teraz jego biskupem, a on nie chciał zaprzętać Stuartowi Cullenowi głowy czymś, co mogło się wydawać błahostką.

Siedział, przyglądając się parującej czarnej kawie, i zastanawiał się, jak długo nie będzie mógł przez nią spać. Doszedł do wniosku, że co najmniej do Święta Dziękczynienia, i dzielnie wypił pierwszy łyk.

Był wdzięczny, że Bezdomny nie nakłaniał go do wyznań, tylko siedział w milczeniu. Drzwiczki pieca były otwarte, ukazując niewielki ogień rozniecony kilkoma kawałkami drewna, który miał przełamać nieco smutny nastrój wywołany szumem bębniącego nieustannie o dach deszczu.

Dzień nie będzie trwał bez końca, a perspektywa spaceru do domu brzegiem strumienia, po ciemku i w deszczu, nie wydawała mu się zbyt kusząca.

Gdy zaczął mówić, miał wrażenie, że skacze w przepaść.

— Chodzi o kobietę — powiedział. Bezdomny nawet nie mrugnął.

— Dobry Boże.

Rozdział drugi

ZGUBIONA

— Ale kto mógł przysłać mi kuchenkę mikrofalową? — chciał wiedzieć.

Puny uniosła do góry ręce.

— Mnie niech ojciec nie pyta.

— A kogo mam pytać, na litość boską? Czy nie było cię w domu, gdy ją dostarczono?

Wzruszyła ramionami.

— No dobrze, Puny. Kto posunął się do czegoś tak nikczemnego?

— Chcieli dać ojcu magnetowid — przyznała się — więc powiedziałam im, żeby przysłali kuchenkę mikrofalową.

— Nigdy się nie zgodzę, żeby coś takiego stało w mojej kuchni. Byłem pewien, że kiedyś to się stanie. Człowiek nie będzie nawet wiedział, kiedy taka rzecz zupełnie zdominuje jego życie.

— Jak ta kuchenka może zdominować ojca szacowne życie, skoro nie będzie jej ojciec nawet używał? Poza tym, kto w tym domu najczęściej gotuje? Jak będę chciała podgrzać trochę zupy dla ojca na lunch, mogę to zrobić w chwili, gdy będzie ojciec wchodził do domu. Jak Dooley będzie chciał hamburgera, wrzucę go tylko do środka i wyciągnę, zamiast stać godzinami przy kuchence, żeby nakarmić tę studnię bez dna. Nie musi jej ojciec dotykać. Może się ojciec w ogóle do niej nie zbliżać. Wieczorem, przed wyjściem, będę ją przykrywała serwetką, jeśli to ojcu bardziej odpowiada.

— Kto? — zapytał złowrogo.

— Rada parafialna.

— Znowu oni — powiedział.

— Chcieli tylko pomóc.

Pomóc! Od kiedy to rada parafialna ma prawo naruszać prywatność czyjejś kuchni? Czy na tym świecie nie ma już żadnych świętości?

— Mam nadzieję, że nie będzie miał ojciec mi za złe, jeśli powiem...

Wiedział, że będzie jej miał za złe.

— Powinien ojciec chyba wziąć coś na uspokojenie.

Przez wszystkie lata pracy duszpasterskiej pomagał bliźnim znajdującym się w potrzebie. Teraz nagle odkrył, że potrzebuje innych, by pomóc sobie.

Poszedł kibicować pannie Rose, gdy ta wypełniała swój obywatelski obowiązek, nie dlatego, że uważał, że tak wypada. Poszedł, ponieważ potrzebował tego, co mogła mu zaoferować, i choć było to dziwne, było też krzepiące i znajome.

W południe wyszedł na ulicę i stał na chodniku, podczas gdy panna Rose kierowała ruchem samochodów wokół pomnika. Brawo!

Był oszołomiony jej wyglądem. Żadnych wieczorowych kapeluszy, wojskowych odznaczeń i autentycznego, noszonego w prawdziwych okopach szynelu. Jedynie stary mundur Esther Cunningham z czasów, gdy należała do rezerwowej służby morskiej, i elegancki kapelusz oraz nowa fryzura. Fakt, że nadal paradowała w swoich nie zasnurowanych dwukolorowych półbutach zdawał się nie mieć żadnego znaczenia. Zmiany należy przeprowadzać stopniowo i cieszyć się z drobnych sukcesów.

Gdy ruch na chwilę ustał, zawołał do niej i uniósł do góry rękę.

Spojrzała na niego groźnie.

— Podoba mi się pani mundur! — krzyknął.

— Takie są przepisy! — ucięła rozmowę i odwróciła się do niego plecami.

— Wujaszku Billy — powiedział, siedząc w barze Grill — panna Rose zachowywała się tak, jakby mnie nie poznała. Czy aż tak długo mnie nie było?

— Ależ oczywiście, że ojca poznała. Chodzi tylko o to, że jak kieruje ruchem, to nie chce wdać się w prywatne rozmowy. Musi skupić się na pracy. Chce dać z siebie wszystko.

Starszy mężczyzna miał na sobie jeden z garniturów nieżyjącego szwagra i krawat, który — jak zorientował się ojciec Tim — był kiedyś jego własnością.

— To prawdziwe błogosławieństwo, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałem. Gdy wraca po pracy, jest wykończona i potulna jak baranek — przegryza coś tylko i śpi do kolacji. Potem jemy coś smacznego, oglądamy wiadomości i idziemy spać. To najspokojniejszy okres w moim życiu.

— Postawię wujaszкови hamburgera, żeby to uczcić.

— Byłbym zobowiązany, gdyby dorzucił ojciec jeszcze porcję frytek.

Velma starła stół.

— Powinien ojciec zamówić danie dnia — poradziła pastorowi. — Można je dostać tylko dzisiaj.

— Co to takiego? — zapytał ostrożnie.

— Cynaderki wołowe.

— Cynaderki wołowe? Co też przyszło Percy'emu do głowy, żeby przyrządzać cynaderki wołowe?

— Avis miał duży zapas cynaderek i postanowił je przecenić. Powinien ojciec spróbować — powiedziała gotowa, by przyjąć zamówienie.

— A czy ty spróbowałaś?

— No, cóż...

— A czy Percy spróbował?

— On nie jada podrobów. Wujaszek Billy wyglądał blado.

— Mów tak dalej i niczego nie będziesz musiała mi przynosić. Zwróciłbym wszystko z powrotem.

— Przynieś hamburgera z dodatkami i dużą porcją frytek dla mojego przyjaciela — powiedział pastor. — Ja wezmę sałatkę z kurczaka.

— Mam nadzieję, że nie będzie ojciec żałował — odpowiedziała posepnie, odchodząc. — Prawdopodobnie już nigdy więcej nie będziemy podawać cynaderek.

— No to uniknęliśmy śmierci, wujaszku Billy.

— Czy widział ojciec szkice pomnika Willarda?

— Nie, nie widziałem. Muszę zaglądnąć do biura pani burmistrz. A co wujaszek myśli?

— Ten siedzący jest doskonały, jeśli chce ojciec znać moje zdanie. Nawet Rose tak uważa, ale upiera się przy stojącym. Twierdzi, że tak wygląda dostojniej.

— Podoba się wujaszкови nowe mieszkanie? Jest przyjemne i ciepłe?

— Trudno sobie wyobrazić coś bardziej wygodnego.

— Dobry solidny dach?

— Tak, nic nie przecieka.

— W takim razie, jakie to ma znaczenie, czy pomnik będzie stojący czy siedzący?

Wujaszek Billy roześmiał się, odsłaniając w uśmiechu błyszczący ząb.

— Jeśli o mnie chodzi, to w chwili, gdy czuję napływające z przewodów wentylacyjnych ciepłe powietrze, mógłby stać nawet na głowie!

Chciał się zobaczyć również z Russellem Jacksem, z Betty, z Olivią i z Hoppym. I oczywiście z Marge i Halem, i Rebeccą Jane. Ale przede wszystkim chciał się zobaczyć z...

„Droga... Najdroższa Cynthio”.

Dlaczego nigdy nie udawało się mu posunąć dalej?

Gdy wracał do domu o czwartej trzydzieści, planował pójść do salonu, usiąść i zmusić się do napisania listu, który wszystko by wyjaśnił.

Zamiast tego jednak przeszedł na drugą stronę żywopłotu, wspiął się po tylnych schodach i mocno zapukał do jej drzwi. Wiedział, że jest w środku — jej mazda stała w garażu.

Głucha cisza. Miał wrażenie, że dobija się do grobowca.

Był pewien, że ktoś go obserwuje. Patrzyła prawdopodobnie na niego z okna łazienki, dusząc się ze śmiechu. Albo, co gorsza, pojechała do klubu z Andrew Gregorym i tańczyła właśnie tango z nowym dyrektorem do spraw socjalnych, który wyglądał ponoć jak Tyrone Power.

A niech to!

Przeszedł zły przez żywopłot i znalazł się w swoim ogrodzie. Może wybierze się na przejażdżkę skuterem. Może rozpędzi go na tej prostej drodze do Farmer i zobaczy w końcu, na co go stać. Musi pamiętać, żeby nie nacisnąć zbyt mocno hamulców; zablokowałyby tylne koło i skuter wywróciłby się. Powinien się pospieszyć, jeśli chce wrócić przed szóstą, żeby podać Dooleyowi, który poszedł na trening gry w piłkę, coś do zjedzenia.

Gdy otwierał tylne drzwi, powitał go cudowny aromat. Na kuchence było naczynie, w piekarniku potrawka, a na ladzie kartka:

„Proszę wyłączyć piekarnik o 5.30, ani chwili później. Mam nadzieję, że będzie ojcowi smakowało, proszę podzielić się daniem z sąsiadką, z poważaniem, Puny”.

Proszę bardzo. Idealny pretekst, żeby zadzwonić i powiedzieć, że wybiera się do niej z gorącą, domowej roboty potrawką.

„Dzień dobry — oznajmiła radośnie jej automatyczna sekretarka — przykro mi, że nie mogę rozmawiać z państwem osobiście, ale razem z Violet jesteśmy obecnie w Nowym Jorku. Proszę o pozostawienie wiadomości, a na pewno się z państwem skontaktuję. Dziękuję!”

Serce biło mu mocno, gdy odkładał słuchawkę.

W Nowym Jorku?

Nie w sąsiednim domu, gdzie mógłby pójść i porozmawiać, i ustalić, kiedy mogliby zrobić tę prostą rzecz, o którą prosiła. W Nowym Jorku.

Poczuł okropną pustkę. Nawet popołudniowe słońce nagle wydało mu się bezbarwne i monotonne.

Usłyszał, jak Barnaba szczeka w garażu, żeby go wypuścić, ale on usiadł na taborecie przy ladzie i wpatrywał się w poranną pocztę, w ogóle jej nie widząc.

Gdy zajrzał do biura pani burmistrz, żeby z nią porozmawiać i obejrzeć szkice pomników, zmierzyla go wzrokiem od stóp do głów.

— Wyglądasz na podenerwowanego — oznajmiła. — Powinieneś nosić ze sobą kawałek tytoniu do żucia. Ray tak robi i zawsze mu to pomaga.

— Idź do fryzjera!

— Spotkaj się z sąsiadką!

— Rozluźnij się!

— Weź coś na uspokojenie!

— Żuj tytoń!

Kobiety zawsze usiłowały mu powiedzieć, co ma robić. On natomiast potrzebował towarzystwa innych mężczyzn. Być może powinien zacząć jeździć na polowania. Ale z drugiej strony, nigdy w życiu nie polował.

Wyobraził sobie, jak podchodzi jakąś zwierzynę w lesie, na przykład jelenia, i poczuł, jak zbiera mu się na mdłości. Potem wyobraził sobie, jak potyka się o strzelbę, która wypala prosto w jego głowę.

Nie, zupełnie nie nadawał się do podchodzenia czegokolwiek. I nic w tym dziwnego. Jego ojciec nie dość, że sam nie zabierał go nigdy na polowania, czy choćby na ryby, nie pozwalał mu towarzyszyć w tych zajęciach nikomu innemu. Koniec końców, zawsze siedział z nosem w książce, podczas gdy mógłby w tym czasie gonić z powodzeniem za jakimiś przepiórkami z Tommym Nolesem.

Była na to tylko jedna rada. Jeśli pragnął męskiego towarzystwa i zrozumienia, musiał go szukać w swoim prywatnym klubie — tej najwspanialszej instytucji, znanej pod nazwą Main Street Grill.

Tymczasem poświęci się swojej pracy, tak jak nie robił tego już od lat. I będzie dbał o zdrowie z niespotykaną do tej pory energią. Nie, nie był jeszcze gotowy, by przejść na emeryturę. Stuart przez cały czas widział coś, czego on nie mógł dostrzec. Przed sobą miał jeszcze wiele lat posługi duszpasterskiej i właśnie to chciał robić za wszelką cenę. Zrozumiał w końcu, że jeśli nic nie wyjdzie z jego uczuć do Cynthii, chce kontynuować swoją pracę z jeszcze większym przekonaniem i wytrwałością.

Musi się przyjrzeć bliżej kółku czytelników Biblii prowadzonemu przez Olivie, które stało się tak słynne, że inne Kościoły w diecezji rezerwowały jego wizyty u siebie.

Musi znaleźć czas na kolację z członkami chóru młodzieżowego i poszukać czegoś, co mógłby oddać na wentę dobroczynną. Może ten koronkowy obrus, który wiele lat temu kupiła dla jego domu żona poprzedniego biskupa. Powinien osiągnąć dość wysoką cenę.

Zbliżał się termin zaplanowanej wizyty u Absaloma Greera, musiał dopracować kilka ostatnich szczegółów zamykających inaugurację śniadań modlitewnych dla mężczyzn, zorganizować pokaz slajdów z wycieczki do Irlandii dla Kościoła episkopalnego w Wesley i chóru oraz zająć się przygotowaniami do obchodów święta świętego Franciszka z Asyżu, które miały się odbyć w kościelnych ogrodach. Musiał też przygotować kilka słów, które wygłosi podczas poświęcenia fontanny, która stanie pośród róż w kościelnym ogrodzie.

Musiał zaglądnąć do panny Pattie i koniecznie sprawdzić, co słyhać u Russella Jacksa — kościelnego i dziadka Dooleya.

Mimo że nie znajdowało się to na liście jego kościelnych spraw, Dooley Barlowe potrzebuje nowych ubrań — od zaraz. Równało się to wieczorowi poświęconemu sortowaniu zawartości szafy Dooley'a, a następnie popołudniu spędzonemu w Wesley.

Musiał też przede wszystkim zająć się kazaniami, które czekają go w najbliższym czasie. To, które wygłosił tuż po powrocie z Irlandii, było niczym nieudolnie sklecona tratwa rzucona na wody

oceanu; niewiele brakowało, a poszedłby na dno. Nie potrafił uwierzyć, że mógł tak bardzo wyjść z wprawy zaledwie po dwóch krótkich miesiącach.

— Dlaczego nie może ojciec jeszcze raz wygłosić jakiegoś starego kazania? — zapytał Dooley.

— Kazania tak jak manna — odparł — muszą być świeże.

Słyszał kiedyś, jak pewien ksiądz mówił, że przygotowuje swoje kazania z rocznym wyprzedzeniem! Wydawało mu się to nie do pomyślenia.

Dla niego przygotowanie kazania było niczym nałożenie rano odpowiedniego stroju. W zależności od natchnienia człowiek wkładał to, na co miał danego dnia ochotę. Kto mógłby wygłaszać z przekonaniem przygotowane wcześniej kazanie o radości, będąc w psychicznym dołku? Nie, nigdy nie skusi się na gotowe kazania, tak jak nigdy nie skusi się na przygotowaną przez Puna osiem dni wcześniej pieczeń, leżącą teraz w celofanie w zamrażalniku.

W najbliższym czasie chciałby powiedzieć swoim parafianom o osobistym — w odróżnieniu od instytucjonalnego — zbawieniu. Przyznanie się do Chrystusa przed innymi było aktem instytucjonalnego zbawienia, którego już dawno temu dokonała większość uczęszczających do kościoła. Chciał się zająć czymś dużo bardziej brzemennym w skutki, czymś, co miało dużo większy wpływ na życie każdego człowieka — procesem osobistego wyznania, osobistej relacji z Bogiem. Chciał również podkreślić, że bycie księdzem nie gwarantuje mu nieba, tak samo jak bycie wiewiórką nie gwarantowałoby mu orzechów na zimę.

Zdał sobie sprawę, że nie czuł się tak silny od prawie roku. Pójdzie do domu, włoży ubranie do joggingu i pobiegnie razem z Barnabą na Church Hill, jeśli tylko ten przekłety deszcz wytrzyma jeszcze chwilę. Wczoraj słońce świeciło tak długo, aż wszystko, co obejmował wzrokiem, zaczęło jaśnieć własnym oślepiającym blaskiem. Dzisiaj z kolei szare chmury zaścięły całe niebo niczym stalowy baldachim.

Wyszedł właśnie zza zakrętu prowadzącego do domu, gdy to zobaczył.

Ciężarówka firmy organizującej przeprowadzki stała w odległości zaledwie kilku centymetrów od drzwi wejściowych Cynthii. Niewiele brakowało, a zahaczyłaby o krzewy, które Cynthia tak dumnie przyozdobiła w poprzednim roku sznurami bożonarodzeniowych światełek.

— Czekaście! — zawołał, biegnąc.

Dobiegł do ciężarówki dokładnie w chwili, gdy dwóch mężczyzn wychodziło na zewnątrz z deską do rysowania Cynthii.

— Co robicie? — zapytał chrapliwym głosem, czując, jak serce bije mu w uszach.

— Załadujemy tę ciężarówkę — odpowiedział mężczyzna z tatuażem na ramieniu.

— Po co? Dlaczego załadowujecie tę ciężarówkę, skoro tu ktoś mieszka? To zamieszkały dom!

— Coppersmith. Dostaliśmy zlecenie zorganizowania przeprowadzki od niejakiej Coppersmith.

I jeśli chcemy zdążyć na czas, musimy się stąd zabierać.

— Gdzie? Gdzie przewozicie rzeczy panny Coppersmith? Z obawą czekał na odpowiedź.

— Do Nowego Jorku — oznajmili zgodnie, znikając w ciężarówce razem z deską do rysowania.

— Niech ojciec zje trochę kaszy — zaproponował mu Percy.

— Jedzenie! Jedzenie! Czy tylko o tym wszyscy potrafią myśleć? Nie przyszedłem tutaj, żeby jeść.

Niewiele brakowało, a przekląłby. Już od lat nie był tego tak bliski. Miał to na końcu języka i już był gotów to wypowiedzieć, ale powstrzymał się, błąd z przerażenia.

— A niech to — powiedział cicho Percy.

Siedział bez ruchu w boksie, wdzięczny, że Emma nie przyszła do pracy z powodu bólu zęba. Gdyby został zamknięty dzisiaj razem z Emmą Newland w tym miniaturowym biurze, chyba by tego nie przeżył. Czuł się zraniony, porzucony i nie chciał z nikim rozmawiać.

Jeść. Jeśli nie po to tu przyszedł, to w takim razie, co tutaj robił? Na herbatę w ogóle nie miał ochoty. Podeszedł do lady i ściągnął z uchwytu swój kubek.

— Napiję się kawy. Pół na pół z bezkofeinową. Percy bez słowa napełnił kubek.

— Przepraszam.

Percy kiwnął głową. Jakoś mu to wynagrodzi, pomyślał pastor. Nie miał prawa warczeć na jednego ze swoich najbardziej oddanych przyjaciół. Czuł się upokorzony. Czy właśnie tak będzie wyglądało jego życie, ponieważ sprawy nie ułożyły się po jego myśli?

Krytyczny stary ewangelista, Vance Havner, nauczał kiedyś w kościele jego matki i opowiedział pewną historię, która utkwiała mu w pamięci. „Co u ciebie?” — zapytał kiedyś kaznodzieja jednego ze swoich parafian. „Nie najgorzej, zważywszy na okoliczności” — brzmiała odpowiedź. „Ja chciałbym wiedzieć — powiedział Havner, przyglądając się uważnie słuchaczom — co chrześcijanin robi w takich okolicznościach?”

Co, w rzeczy samej, robił w zaistniałych okolicznościach?

Sprowadź mnie, Panie, na dobrą drogę, modlił się, zanim zacznę przynosić wstyd Tobie i wszystkim innym.

„Tylko przeciętny człowiek jest zawsze u szczytu swoich możliwości” — powiedział Somerset Maugham.

Aha, pomyślał, mając nadzieję, że znajdzie w tym jakieś pocieszenie.

Nie znalazł.

— Czy rozpocząłeś już prace badawcze nad historią naszego rodu? — chciał wiedzieć jego kuzyn Walter, gdy zadzwonił z New Jersey.

— Nie miałem czasu się do nich zabrać — odparł. — Zbyt dużo się dzieje.

— Jak co, na przykład?

Wyrecytował przykładowie całą listę, myśląc, że mimo wszystko brzmi dość nieprzekonująco. Potrzebne mu było być może jakieś duże wesele albo chrzest. Zawsze uwielbiał uroczystości, które sprawiały, że kościół wypełniał się kwiatami, krewnymi oraz całym tym dreszczem emocji i miłości, dzięki któremu w taki szczególny sposób manifestowała się obecność Ducha Świętego.

— A co z twoją sąsiadką?

— Nie rozumiem.

— A niech to, Timothy! Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Powiedz mi wszystko albo dam ci Katherine. Ona będzie bezlitosna.

Na Boga, miał rację.

— Przeniosła się do Nowego Jorku.

— Co?

Dlaczego głos jego kuzyna brzmiał tak, jakby ktoś zrobił mu osobisty afront. Jakie to miało dla niego znaczenie, że przeniosła się do Nowego Jorku?

— Dlaczego?

— Nie znam szczegółów.

— Cóż, jeśli ty nie znasz szczegółów, to kto je zna?

— Walter...

— Pozwoliłeś się jej wymknąć, nieprawdaż, stary druhu? Odejść bez słowa. Jak byś mógł sobie na to pozwolić...

— Nie rozumiem, jak to, jak bym mógł sobie pozwolić...

— Ilu mężczyzn w twoim wieku, z twoimi dochodami może się poszczycić znajomością z atrakcyjną kobietą, która ma głowę na karku i która w dodatku zabiega o ich względy? Wydawała mi się losem na loterii, ale skoro ty się uwziąłeś, żeby zestarzeć się w samotności, bez nikogo, z kim...

— Walter — przerwał mu surowym głosem — daj mi Katherine.

— Cześć, Misiu!

Nazywała go tym śmiesznym imieniem już od dwudziestu lat. I tak był wdzięczny, że zrezygnowała z pierwotnej wersji, która w całości brzmiała: „Misiaczkę”.

— Ty niegrzeczna dziewczynko, jak się masz?

— W porządku, wydaje mi się, tak długo jak Walter jeździ do biura. Ale przez ostatnie kilka dni miał katar i był w domu. Można by pomyśleć, że umiera. Usługiwałam mu jak niewolnica.

— Dobra żona.

— À propos żony, co słyhać u twojej sąsiadki? Nigdy nie należała do dyskretnych.

— Przeniosła się do Nowego Jorku!

Był zaskoczony, słysząc, że mówi to prawie wesoło, z pewnym entuzjazmem. No właśnie. To najlepszy sposób. Rzucić to tak od niechcienia, jakby nic nie znaczyło. Jeszcze kilka razy i będzie mu szło jak z płatka.

— Timothy! — zawołała. — Jak mogłeś?!

— Katherine, nie będę o tym rozmawiał, koniec kropka. Wszystko stało się bez mojego udziału, nie mam na to żadnego wpływu i wygląda na to, że tak już zostanie. Proszę więc, daj sobie z tym spokój.

— Daj sobie z tym spokój! Ha! Zapominasz, z kim rozmawiasz. To ja, Misiu, ktoś, kto wierzy, że życie nie polega na dawaniu sobie spokoju, ale na upartym posuwaniu się naprzód! Pokłóciliście się?

— Nie. Prawie w ogóle się z nią nie widywałem, odkąd wróciłem do domu.

— Cóż, ty frajerze, w tym właśnie tkwi cały problem.

Czuł się tym wszystkim zmęczony. Miał ochotę przewrócić się na dywan i już się z niego nie podnosić.

Słońce świeciło jasno już od wielu dni i mógł do woli cieszyć się idealnym, bezchmurnym i intensywnie niebieskim niebem, na które tak czekał.

Wysoko na wzgórzu, gdzie od lat stały ruiny starego kościoła, działo się coś nowego, coś pokrępiącego. Słyszał huczące maszyny, dźwięczące kilofy, rozbrzmiewające tu i tam nawoływania. Nie był to jednak harmider, a odgłos podniecenia, a nawet radości.

Pamiętał, jak pewnego lata razem z Tommym Nolesem wisieli na ogrodzeniu otaczającym bezkresną czeluść, która na wiosnę stała się bankiem First National. Chociaż kochał baseball, nie pragnął niczego więcej, jak tylko przyglądać się, jak kamień po kamieniu powstaje ta stateczna szara budowla. Widok całego gmachu rosnącego na ich oczach zapierał dech w piersiach, był lepszy niż film, niż sto filmów.

Dałby wszystko, wszystko, co posiadał i co kiedykolwiek mógł posiadać, żeby wsiąść do kabiny jednego z tych dźwigów i coś przenieść, coś ogromnego, coś gigantycznego.

Jutro odwiedzi Russella i Betty, potem pójdzie na plac budowy i trochę się rozglądnie. Rozumiało się samo przez się, że będzie się trzymał jak najdalej od Leepera.

Betty Craig wyglądała dziesięć lat młodziej, a na dodatek wyszczuplała.

— Betty! Wyglądasz jak dziewczynka. Na czym polega twój sekret? Żądam, żebyś mi go zdradziła.

— Nie wiem! — odparła, rumieniąc się. — Wydaje mi się, że to dlatego, że pan Jacks pomagał mi tutaj tak bardzo. Nie mam pojęcia, jak ja sobie kiedykolwiek bez niego radziłam.

— Nie mówisz serio.

— Ależ tak! Proszę, niech tylko ojciec spojrzy na te zawieszony w holu półki.

Oddanie Russella Jacksa pod opiekę Betty Craig było genialnym posunięciem. Dzięki temu kościelny nie musiał również wracać do swojego walącego się domu ze złomowiskiem w ogrodzie i zabierać ze sobą Dooleya.

Betty wzięła pastora pod ramię i poprowadziła go wzdłuż niedużego holu.

— Proszę też zaglądnąć do mojego pokoju i obejrzyć to ładne wezgłowie łóżka, o którym zawsze marzyłam, i ten mały okrągły stolik nocny. To pan Jacks zrobił je dla mnie.

Na stoliku wykonanym przez starszego kościelnego znajdowało się radio z zegarem i Pismo Święte. Zdumiewające!

— I proszę spojrzeć — powiedziała, prowadząc go do okna — na te śliczne rabaty z bratkami, które zasadził dla mnie, żebym mogła na nie patrzeć, gdy wstaję rano!

— Piękny widok! Wygląda więc na to, że zupełnie wyzdrowiał, tak?

— O tak, proszę ojca, i jestem z tego powodu taka nieszczęśliwa, taka nieszczęśliwa! Proszę nikomu nie mówić, że tak powiedziałam, ale jak odejdzie, będą chcieli, żebym zajęła się panną Pattie, a wydaje mi się, że sobie z tym nie poradzę, och, ojciec...

Betty zaczęła załamywać ręce. Jeszcze przed chwilą radosna, posmutniała w jednej chwili.

— Nie martwmy się na zapas — pocieszył ją.

— Czy słyszał ojciec, co ostatnio wymyśliła panna Pattie? Jak Emma mogła zapomnieć mu o tym powiedzieć?

— Nie, a co takiego?

— Nago na dachu.

— Nie.

— Och, tak. Kiedyś wychodziła na dach w tym różowym szlafroku, ale teraz już nie. Nie, proszę ojca, teraz pokazuje się tak, jak ją Pan Bóg stworzył.

Położył rękę na jej ramieniu, gdy szli korytarzem.

Nie mniej niż Betty zależało mu na tym, żeby Russell pozostał w tym słonecznym domu z wykrochmalonymi firankami. Coś trzeba będzie zrobić, żeby nie dopuścić do jego powrotu na składowisko złomu, ale jeszcze nie wiedział co.

Westchnęła.

— Cóż, proszę wejść i porozmawiać z nim. Będzie się chciał z ojcem zobaczyć. Ojej, nie przyniósł ojciec wątróbki. Odkąd ojciec wyjechał, bardzo się awanturuje o tę wątróbkę.

— Muszę przyznać, że zapomniałem. Dwa miesiące bez wątróbki to rzeczywiście ciężka próba. Oczywiście, mogłaś poprosić Puny, żeby przywiozła trochę z Wesley. Zrobiłaby to z przyjemnością.

— Cóż, będzie szczęśliwy, gdy ją dostanie, jak nadejdzie właściwa pora. Wie ojciec, czasem dobrze jest obejść się bez czegoś, co ma dla nas duże znaczenie.

— Naprawdę, Betty? — zapytał, szczerze pragnąc poznać odpowiedź.

— Ależ tak. Potem, gdy dostaniemy to z powrotem, bardziej to cenimy.

On jednak nie wiedział, czy kiedykolwiek dostanie to z powrotem — czy kiedykolwiek będzie miał szansę, żeby to bardziej cenić.

— Czy Ojciec dobrze się czuje? — zapytała.

— Tak — odpowiedział i uśmiechnął się.

— Wszystko wyregulowałem. Chodzi jak brzytwa — zakomunikował mu Lew Boyd, wycierając ręce w gałgan. — Gdyby chciał go ojciec sprzedać, chętnie się potarguję.

Lew Boyd tak samo nie chciał kupić jego buicka, jak pojechać do Wesley skakać na bungee. Zawsze tak mówił swoim klientom. Uważał, że sprawienie, aby byli zadowoleni z samochodu, który właśnie skończył naprawiać, należy do jego obowiązków.

— Ile dałbyś mi za niego, Lew? — Przybrał poważny wyraz twarzy, zupełnie jakby stał na ambonie.

— Cóż — odpowiedział Lew — musiałbym... aa, to przemyśleć.

Usiłował nie roześmiać się, dopóki nie minął pomnika.

Robiło się chłodniej, płomień jesieni rozświetlił rosnące wzdłuż Lilac Road czerwone klony, a w powietrzu coraz częściej unosił się zapach palonego drewna. Był to jego ulubiony aromat, na równi z końskim nawozem i świeżo skoszonym sianem. A gdzie on zaopatrzy się w drewno, żeby mógł je palić w tym roku? Jego parafianie bardzo dobrze radzili sobie z zaopatrywaniem go we wszystko, począwszy od żywności na jego stół, a na cebulkach roślin do jego ogrodu kończąc. Prezent w postaci drewna nie przytrafiał mu się jednak zbyt często. Ale skoro Avis tak świetnie sobie radzi z organizowaniem dostawy kukurydzy, na pewno będzie wiedział, jak zorganizować dostawę drewna.

Ledwie starczało mu tchu, gdy skręcał z Lilac Road na Church Hill Drive, kierując swoje kroki w stronę Fernbank.

Louella zadzwoniła i poprosiła, żeby przyszedł. Czy panna Sadie była chora? Coś jeszcze gorszego, odpowiedziała złowieszczo.

Gdy Louella otworzyła mu drzwi, nic nie mówiła, potrząsała jedynie głową, jakby brak jej było słów do opisania tego, co się stało.

W znajdującej się na piętrze sypialni panny Sadie zobaczył stos kapeluszy na łóżku i ułożone w rogach pokoju oraz na toaletce pudła na kapelusze. Panna Sadie siedziała — tak jak wtedy, gdy opowiadała mu ostatni, tragiczny epizod historii swojej miłości — w fotelu z wysokim oparciem. Ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że jej stopy nie dotykają podłogi; ktoś mógłby ją wziąć za siedzącą na fotelu lalkę. Podobnie jak Louella, nic nie powiedziała.

Podawała mu poźółkłą metrykę urodzenia, a on usiadł w stojącym naprzeciwko niej fotelu.

„Niniejszy dokument zaświadcza, że Lydia Anne, córka (ojciec nieznan) i Rachel Amelii Livingstone, urodziła się w Arbourville, okręg Jackson, w Karolinie Północnej, 14 maja 1901 roku. Powyższe urodziny zostają zapisane w ewidencji pod numerem 5417”.

Powoli podniósł wzrok, gotowy spojrzeć jej w oczy, ale patrzyła w bok, przez okno.

Zdał sobie sprawę, że on też nie ma ochoty mówić. Trzy osoby w jednym domu oniemiały na widok kartki papieru, kartki papieru, która objawiła im prostą prawdę. Panięskie nazwisko mamy panny Sadie brzmiało Rachel Livingstone.

Najwyraźniej posłała po niego, żeby przyszedł i coś zrobił, on jednak nie mógł niczego zrobić. Spojrzał na jej twarz z profilu, oświetloną bezlitosnym jesiennym światłem, i dostrzegł w niej dziwny spokój. Cały pokój zdawał się tonąć w tym spokoju, który po chwili zaczął ogarniać i jego.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy, która okazała się bardzo kojąca. Nie pamiętał, żeby siedział tak z kimkolwiek, może z wyjątkiem tych przypadków, gdy towarzyszył komuś w pierwszych chwilach po śmierci bliskiej osoby. Być może to trudne przeżycie było dla niej rodzajem śmierci; jej matka, którą wielbiła jak świętą, zdradziła w końcu tajemnicę swojego nieślubnego dziecka.

— Weszłyśmy wczoraj na strych, żeby poszukać kapeluszy mamy. Powiedziałam, „Louello, zobaczmy, co jest w tej starej toalecie. Tak naprawdę, nigdy nie przeglądałam rzeczy, które zostały po mamie”. Znalazłyśmy tę metrykę urodzenia, złożoną i schowaną razem z parą małych skarpetek, w woreczku na chusteczki. Wczoraj w nocy, gdy nie mogłam spać, przypomniałam sobie, jak mama wychodziła ze swoim koszykiem, żeby odwiedzić biednych. Dwa razy w tygodniu, co tydzień, wychodziła i zawsze wracała taka smutna, taka smutna. W końcu przestałam ją błagać, żeby pozwoliła mi ze sobą pójść. Wychodziła odwiedzić moją starszą siostrę — powiedziała, spoglądając na niego ze zdumieniem. — Proszę tylko pomyśleć... miałam siostrę.

Uśmiechnął się, widząc, jak wzbiera w niej dziwne poczucie szczęścia, mimo że po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Nie próbowała ich powstrzymać, ani też odwrócić twarzy, ale pozwoliła im płynąć swobodnie.

— Mogłam ją znać przez te wszystkie lata! Mogłam skakać razem z nią przez skakankę albo pozwolić jej pleść moje włosy, albo opowiadać jej swoje sny! Gdybym tylko mogła ją zobaczyć albo dotknąć, moją rodzoną siostrę. Była tak blisko. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam. Bóg jednak ukrył jej istnienie przede mną... i podarował mi w zamian China Mae i Louellę. — Zaśmiała się przez łzy.

— Dwie za jedną — powiedział łagodnie.

— Muszę wierzyć, że Pan wiedział, co robi.

— Może być pani tego pewna.

— Moja cioteczna babka mieszkała w Arbourville. Być może dlatego mama urodziła dziecko właśnie tam. Półtora roku później wyszła za mąż za tatę... Nie przypuszczam, żeby się kiedykolwiek

dowiedział... Za kolejne półtora roku urodziłam się ja. — Na chwilę zabrakło jej tchu. — O, tak bardzo żałuję, że nigdy nie poznałam swojej siostry!

— A ja tak bardzo żałuję, że ona nigdy nie poznała pani, panno Sadie. — Wstał i podszedł do niej, pomógł jej wstać z fotela, objął ją i przytulił jak dziecko. — Kocham panią — powiedział zwyczajnie.

Spojrzała na niego, a w jej oczach błyszczały łzy.

— Postaramy się zrobić z tej wiadomości możliwie najlepszy użytek.

Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i wytarła nos.

— A teraz wróćmy do tego, co to wszystko zapoczątkowało. Pomoże mi ojciec dostarczyć te wszystkie kapelusze do Olivii Davenport, prawda, ojczcze?

— Oczywiście.

— Proszę tylko pomyśleć, jaką wielką radość sprawi nam widok Olivii w tych kapeluszach! Myśli ojciec, że będzie je nosiła, prawda?

— Nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Czy możemy zrobić to w tym tygodniu?

— Muszę się zorientować, jakie są szanse wynajęcia przyczepy — powiedział, uśmiechając się.

— Phi! Wszystkie możemy zapakować do mojego plymoutha. Mam bagażnik jak balie, a ojciec będzie prowadził.

— Umowa stoi!

— Tak bardzo się cieszę, że mam księdza, który mnie słucha — odparła.

Z drogi prowadzącej do Fernbank skręcił w lewo i poszedł w kierunku placu budowy. Church Hill dosłownie wibrowało pod jego stopami od wiercenia i wstrząsów wywoływanych pracą ciężkiego sprzętu, który dzięki dobrej pogodzie nareszcie mógł zostać uruchomiony.

Dziwiło go, że na ulicy nie ma tłumu gapiów, młodzieży szkolnej, która przyjechała tu w ramach szkolnej wycieczki, ani wynajętych autobusów z najodleglejszych zakątków okręgu. A wszystko dlatego, że tam, pod idealnie błękitnym i bezchmurnym niebem, w ziemi została wyorana otwarta rana, po której pełzała niezliczona liczba najcudowniejszych maszyn.

Czuł się wyjątkowo lekko. I nic w tym dziwnego — po raz pierwszy w życiu do koloratki włożył tenisówki, nawet jeśli było to chlebem powszednim dla ojca Rolanda i jego przyjaciół z Nowego Orleanu. Był przyzwyczajony do tego, że zawsze podąża za całym światem z kilkuletnim opóźnieniem, zamierzał jednak zdobyć się na wysiłek i to zmienić. Był już zmęczony zamykaniem cywilizacyjnego pochodzenia ludzkości.

Ciężkie maszyny przemieszczały się po placu budowy niczym stado mrówek, które rozbiegło się po wzgórzu. Jedynym wyjątkiem były dwie hałasujące żółte koparki gąsienicowe, stojące po przeciwnych stronach rozległego wykopu. Jego uwagę natychmiast przykuły ich ogromne paszcze, które

zanurzały się w ziemi, a potem pojawiały się na nowo, wypełnione czerwoną gliną. Ramiona maszyn obracały się dookoła i zrzucały ładunek na stertę.

Jakiś mężczyzna podjechał ciężarówką na plac budowy, wysiadł z niej i uniósł do góry rękę. Był to syn Rona Malcolma, który przyjechał specjalnie z Kolorado, żeby pracować przy tym projekcie. Mimo że Ed Malcolm zmierzał pośpiesznie w kierunku przyczepy, pastor zdołał go dogonić.

— Ed, co słyhać? Uścisnęli sobie dłonie.

— Wspaniale, ojczu, po prostu wspaniale. Jesteśmy bardzo zadowoleni z dobrej pogody.

— A my jesteśmy zadowoleni, że możesz tu pracować.

— Dziękuję, miło to słyszeć. — Spojrzał z zatroskaniem na przyczepę i ruszył biegiem. — Do zobaczenia — zawołał przez ramię.

Zaglądnę do wykopu, zanim wybierze się na lunch do baru Grill. Pamiętał, że zgodnie z planem w suterenie miała znajdować się kuchnia, kompostownia, magazyn, oddział szpitalny na dziesięć łóżek i nieduża apteka.

Gdyby miał na głowie kapelusz, ściągnąłby go z szacunkiem na brzegu krateru. Rozległy wykop zdawał się sięgać samego Pekinu, ukazując kolejno pojawiające się różnokolorowe warstwy gliny — od czerwonej niczym krew, poprzez purpurową i czarną aż do brunatnożółtej. Czy te warstwy niczym pierścienie drzewa opowiadały historię tego wiekowego wzgórza?

— Ty sukin... — To wszystko, co usłyszał, gdy ramię maszyny podniosło się z hukiem z czeluści, a potem ktoś szarpnął go za lewy bark do tyłu.

Stracił równowagę, ale zanim zdążył upaść, ktoś obrócił go dookoła i chwycił za klapę marynarki. Tym kimś był Buck Leeper. Jego twarz była tak blisko jego, że czuł na niej ślinę krzyczącego mężczyzny.

— Jeszcze raz pan to zrobi i będzie miał pan ze mną do czynienia. Zrozumiał pan? Mam dość kłopotów i bez jakiegoś głupca próbującego wpaść do wykopu. A teraz, niech pan zostawi moich ludzi w spokoju i trzyma się z daleka od mojego placu budowy.

Leeper przeklął i odepchnął go od siebie, a potem odszedł majestatycznym krokiem w stronę przyczepy.

Pastor odczuł brutalną siłę mężczyzny, jakby stanowił on element ciężkiego sprzętu, rodzaj jego przedłużenia w ludzkiej postaci. Roztrzęsiony, stał przez chwilę w miejscu, nie mogąc zrobić ani kroku.

— Wygląda ojciec, jakby zobaczył ojciec ducha — zauważył Percy.

— Chciałbym, żeby tak było — mruknął. Już od lat nikt nie potraktował go tak, jak Buck Leeper przed chwilą.

— W ojca boksie jest gazeta. J.C. przyszedł wcześniej i zostawił ją dla ojca. Mówił, żeby zaglądnął ojciec na piątą stronę.

Percy przyglądał się mu uważnie.

— Strona... piąta... — Powiedział to bardzo wolno, jakby mówił do kogoś głuchego jak pień.

Siedząc w boksie, zamieszał swoją nie słodzoną herbatę, jakby była trucizną. Nie przychodziło mu do głowy nic, czego nienawidziłby bardziej od szklanki herbaty bez kilku łyżek cukru.

Spojrzał na leżącą na stole gazetę, ale nie mógł się na niej skoncentrować. Miał przed oczami twarz Louelli, gdy zatrzymała go i przy wejściowych drzwiach.

— Powiemy jej o panie Olivii? Zastanawiał się przez chwilę.

— Nie. Coś mi mówi, że powinniśmy poczekać.

— Jeśli dowie się, że przez cały ten czas wiedziałam, że panna Olivia jest jej krewną, będzie na mnie bardzo zła i poczuje się urażona. Dobry Boże! — Twarz Louelli przybrała dziwnie szary kolor.

— Zachowajmy spokój — poradził. — A cokolwiek zrobisz, Louello, nie martw się. Wszystko się jakoś ułoży.

Szczerze mówiąc, nie był tego taki pewien.

Nadal mieszał swoją herbatę, jakby było w niej coś do zamieszania.

Co mogłaby pomyśleć panna Sadie o Louelli, gdyby się dowiedziała, że ukrywała ona przed nią tę dawną tajemnicę jej matki? A co gdyby powiedzieli panie Sadie, że to córka jej własnej siostrzenicy będzie nosiła jej kapelusze?

— Widział już ojciec?

Wydawca „Muse” cisnął swoją zniszczoną teczkę na ławkę i usiadł ciężko.

— Co miałem widzieć?

— Stronę piątą. Do cholery, mówiłem Percy'emu, żeby powiedział ojcu, że ma ojciec zaglądnąć na piątą stronę! — Wpatrywał się w pastora niezadowolony, aż ten znalazł stronę piątą. — Być może wie to już ojciec, skoro jest ojciec jej sąsiadem, ale chciałem, żeby zobaczył ojciec, jak to napisałem.

Wzmianka znajdowała się pod zdjęciem Hair House — nowego salonu piękności Fancy Skinner.

J.C. postukał krótkim grubym palcem w nagłówek.

— Dokładnie w tym miejscu — powiedział. — „Nasza krajanka zdobywa uznanie krytyków”.

Przeczytał po cichu artykuł.

„Cynthia Coppersmith, mieszkanka Mitford, a jednocześnie autorka i ilustratorka książek dla dzieci, otrzymała bardzo dobre oceny recenzentów za swoją najnowszą książkę, *Mysz w stajence*.”

Pani Coppersmith, mieszkająca na Wisteria Lane, w domu, który kiedyś należał do jej wuja, Joe Hadleigha, pisze i rysuje od dziesiątego roku życia, jak podaje nadesłana do miejskiej biblioteki informacja prasowa.

Opowieść pani Coppersmith o myszce, która była świadkiem narodzin dzieciątka Jezus, została nazwana przez jeden z dzienników literackich »rzadkim klejnotem«, a inny określił ją »małym dziełem sztuki«. Pracownicy naszej biblioteki są zdania, że »Książka może przynieść autorce kolejny medal«.

Avette Harris, kierowniczka miejskiej biblioteki, twierdzi, że książka idealnie nadaje się na godzinę głośnego czytania, o każdej porze roku. »Jedyny problem — mówi Avette — polega na tym, że obydwa nasze egzemplarze mają już na okładkach dżem czy coś podobnego i przydałoby się nam kilka nowych sztuk«.

Książka pani Coppersmitj, *Violet jedzie za granicę*, zdobyła pięć lat temu medal Davant. Jest to jedna z serii książek o jej białym kocie, Violet, który również mieszka na Wistoria Lane. Jeśli wierzyć tytułom książek, ten kot chodził do szkoły, nauczył się grać na pianinie i mówić po francusku, nie wspominając o tym, że odwiedził samą królową. Cały księgozbiór znajduje się w bibliotece, więc na traćcie czasu".

Gdy pastor odkładał gazetę na stół, redaktor pochylił się do przodu, wyraźnie zadowolony.

— Staralem się nadać tej informacji osobisty ton. Co ojciec myśli?

Co myśli? Nie był w stanie myśleć. Miał wrażenie, że ktoś zamieszał mu w głowie jego łyżeczką do herbaty.

— Wspaniale — powiedział słabo. — Cudownie. Co jeszcze mówiła informacja przesłana do biblioteki?

— Że lubi spacerować w deszczu i jeść kanapki z bananem i masłem orzechowym. Było też coś jeszcze, aa... niech się zastanowię, och, że lubi tańczyć rumbę. Wydawało mi się to wszystko trochę dziwne, więc nie wspominałem o tym.

— Dobry pomysł.

Miał wrażenie, że jego serce zrobiło się tak ciężkie, jakby było z ołowiu.

— Próbowałem do niej zadzwonić, żeby przeprowadzić wywiad, ale jej automatyczna sekretarka powiedziała mi, że wyjechała do...

— Nowego Jorku.

— Zgadza się. No cóż, muszę się stąd zbierać. U prezbiterian zanosi się na sensację.

Pastor nie spojrział na niego.

— Nie chce ojciec wiedzieć, co to takiego? — zapytał J.C., wycierając twarz nieśmiertelną chusteczką.

— Oczywiście, że chcę.

— Wystawiają na aukcję cadillaca — obwieścił J.C. Oniemiał.

— Co takiego wystawiają?

— *Adios, hasta la vista* — pożegnał się J.C, wstając z szelestem z winylowej ławki i pociągając za sobą pękata teczkę. — Do miłego zobaczenia.

J.C. niczego nie lubił bardziej, jak chodzić po mieście i opowiadać połowę historii, żeby w ten sposób zachęcić słuchaczy do kupienia jego gazety.

— Czy to nie bije wszystkiego? — zapytał Percy, który słyszał obwieszczoną przez J.C. nowinę. — Nie miałem pojęcia, że branża motoryzacyjna to działka Boga.

Natychmiast poszedł do biblioteki i wręczył zaskoczonej Avette Harris dwa banknoty dwudziestodolarowe.

— Na Boga! — zawołała, spoglądając na niego z zachwytem.

— To na wymianę tych egzemplarzy *Myszy w stajence* — wyjaśnił.

— Mówię szczerze, próbowaliśmy na wszystkie sposoby wyczyścić okładki tych książek. To coś podobnego do dżemu, ale nie chce zejść. Nie mamy pojęcia, co to jest. Nie uwierzyłyby ojciec, co się czasami dzieje z książkami dla dzieci. Kiedyś w *Małych kobietkach* znaleźliśmy nieżywego świerszcza i coś, co wyglądało na lasagnię w *Głodnej gąsienicy*. Pokiwał głową.

— Czy ta panna Coppersmith nie jest wyjątkowa? Wręcz pękamy z dumy.

Uśmiechnął się.

— Oczywiście to o wiele za dużo. Dwie małe książeczki nie kosztują czterdziestu dolarów! W każdym razie, jeszcze nie teraz.

— Jeśli coś zostanie — powiedział — proszę kupić torebkę cukierków i rozdać je pracownikom pracującym tu charytatywnie.

Był już na chodniku i szedł w kierunku poczty, gdy Avette go dogoniła.

— Przepraszam, ojcze, gdy ktoś ofiarowuje książkę, zazwyczaj na pierwszej stronie umieszczamy niewielką plaketkę z informacją o tym, kto jest ofiarodawcą. Co mamy napisać na książkach od ojca?

Myślał przez chwilę.

— Napiszcie: „Ofiarowana przez sąsiada panny Coppersmith”.

Kanapki z masłem orzechowym i bananem? Przysmak Tommy'ego Nolesa. Stanowił podstawę jego wyżywienia od czwartej klasy szkoły podstawowej do końca szkoły średniej. Jedynie od czasu do czasu Tommy urozmaicał swój jadłospis niewielką ilością galaretki z winogron. Preferował biały chleb i lubił, żeby banan był dobrze rozgnieciony i wymieszany z masłem orzechowym. Był ciekaw, jak Cynthia przyrządza kanapkę z masłem orzechowym i bananem.

Barnaba przystanął, żeby powąchać kamień.

Rumba! Co za niezwykły pomysł. On pomyślałby raczej, że fokstrot, gdyby w ogóle przyszło mu do głowy o tym myśleć.

Był zaskoczony liczbą spraw dotyczących Cynthii, o których nigdy nie myślał. Dlaczego nigdy nie interesował się bardziej jej życiem, jej pracą? Gdzie chodziła do szkoły, na litość boską? I dlaczego nie dowiedział się, z jakiego powodu nieomal nie umarła w szpitalu? Nie zdobył się nawet na uprzej-

mość, aby zapytać ją ostatecznie o siostrzeńca, który był dla niej tak drogi jak syn. Wydawało się to dość nieistotne, ale jak się nazywał? Nie wiedział nawet, czym się zajmował.

Poprosiła go, żeby pozował do postaci mędrca w *Myszy w stajence*, ale nigdy nie zapytał jej o ukończoną książkę. Co gorsza, nie przeczytał niczego, co kiedykolwiek napisała.

Zdał sobie sprawę, że traktował ją, jakby w ogóle nie istniała.

Uświadomienie sobie tego było dla niego ogromnym szokiem. Wierzył w to, co mówili mu parafianie, że jest czuły i troskliwy. A jednak było to kłamstwo. W rzeczywistości nie był ani taki, ani taki. Prawda była bolesna — był niewypowiedzianie egoistyczny i samolubny, szedł swoją drogą i robił to, co wydawało mu się pobożne. Było to obrzydliwe.

Jak mógł zejść tak daleko, nie zauważając, jaki naprawdę jest? Jak to się stało, że Bóg pozwolił mu żyć tak długo w tym ohydny fałszywym przekonaniu?

Barnaba podniósł nogę pod tulipanowcem.

Żył w przekonaniu, że nigdy się nie ożenił, ponieważ jego wybranką było powołanie. W rzeczywistości jednak pozbawiony był wszelkich cech, które umożliwiłyby mu prawdziwe pokochanie kogokolwiek.

Być może jednak był podobny do ojca, mimo że przez te wszystkie lata wierzył, że odziedziczył charakter po matce. Wierzył znajomym, rodzinie i staremu biskupowi Slade'owi, który mówił: „Łagodny jak matka! Cierpliwy jak matka! Wyrozumiały jak matka!”

A jednak pod wszystkimi tymi pozorami łagodności i przyzwoitości krył się człowiek skoncentrowany wyłącznie na sobie, na swoich własnych sprawach. I pod pewną cienką powłoką pozornego ciepła i troskliwości tkwiła zimna warstwa granitu.

Ostatnim miejscem, w którym chciałby się znaleźć pojutrze, była ambona. To wszystko było złym żartem, a ofiarą tego żartu był właśnie on.

Rozdział trzeci

ZNALEZIONA

— Powinien pozwolić ojciec, żeby Fancy przystrzygła ojcu włosy — zaproponował Mule Skinner podczas śniadania w barze Grill. — Zawsze to jakieś urozmaicenie.

— Nie narzekam na nudę, dziękuję — odparł pastor, który miał w planie dwa spotkania, wystąpienie w południe w Klubie Rotariańskim, doręczenie Russellowi Jacksowi wątróbki i wizytę na placu budowy z Ronem Malcolmem.

— Moim zdaniem, mógłby ojciec ściąć trochę po bokach — kontynuował Mule.

— Nikt nie pyta cię o zdanie — wtrącił Percy, podając J.C. talerz z tostami.

J.C. chwycił talerz i zamoczył kawałek tostu w żółtku.

— Gdybyś promował swój handel nieruchomościami tak, jak promujesz salon piękności żony, to byłbyś milionerem.

— Poza tym — dodał pastor — już niedługo minie czternaście lat, odkąd obcinał włosy u Joe.

— W tym właśnie problem — powiedział Mule. — Człowiek potrzebuje odmiany.

Percy nalał jeszcze jedną kolejkę kawy.

— Mam nadzieję, że będziesz w stanie spojrzeć Joe Iveyowi w oczy po tym, jak bardzo starasz się pozbawić go klientów.

— Poza tym — zauważył J.C. — dlaczego mężczyzna miałby chcieć obcinać sobie włosy u kobiety?

— Domyślam się, że nigdy nie słyszałeś o uniseksie — zaproponował Mule. — Fancy prowadzi salon typu uniseks. To oznacza, że obcina włosy wszystkim, zarówno osobom jednej płci, jak i drugiej. Tymczasem powinieneś pozwolić jej, żeby spróbowała, co uda jej się zrobić z twoją fryzurą.

— Gdzie ma swój salon? — zapytał pastor.

— W suterenie, tam, gdzie urządzaliśmy tę dużą imprezę z okazji dwudziestej piątej rocznicy ślubu. Powinien ojciec zobaczyć teraz to pomieszczenie — całkowicie wyremontowane, nowy różowy dywan, wszystko, o czym można sobie zamarzyć. Zainstalowała dwie umywalki, na wszelki wypadek, gdyby kiedyś chciała zatrudnić stylistę.

— Twój sąsiad nadal ma tego psa na łańcuchu? — zawołał Percy znad grilla.

— Ten pies nigdy nie dopuści nikogo do twojej sutereny — zauważył J.C. — Gdy zaczniesz doskakiwać do kogoś, kto będzie wysiadał z samochodu, już samo to wystarczy, żeby skrzyły mu się włosy.

— Ten pies zdechł — odpowiedział Mule, obrzucając go gniewnym spojrzeniem.

— Prawdopodobnie kupią następnego, który będzie taki sam — rzucił J.C. — Tak przeważnie bywa.

Pastor spojrział na zegarek.

— Powiedz Fancy, że życzę jej powodzenia. Jeśli Joe zachoruje tej zimy na grypę, to zastanowię się nad jej propozycją. Muszę uciekać. Do zobaczenia jutro.

— Nie do wiary — oświadczył Mule w chwili, gdy pastor był już w drzwiach. — Nadarza mu się szansa na jakąś odmianę w życiu, a on nawet nie spróbuje.

— Nie uwierzy ojciec — powiedział Ron Malcolm — ale natrafili na skałę na wzgórzu. Prawie cztery metry skały.

— Co to znaczy?

— Znaczy to tyle, że Buck Leeper musi wezwać specja od wybuchów. To z kolei oznacza pewne opóźnienie. Będą musieli się wwiercić w skałę i umieścić w niej, w pewnych odstępach, dynamit. To będzie seria wybuchów — bum, bum, bum — prawdopodobnie potrwa to ponad tydzień.

— To niedobrze.

— Jak już uda im się wysadzić skałę, będą ją chcieli stamtąd wydobyć za pomocą koparki i kuba czerpakowego. Na to potrzeba będzie jeszcze więcej czasu.

— I jeszcze więcej pieniędzy.

— Przy okazji — dodał Ron, jakby czytając w jego myślach — Buck jest dzisiaj w Wesley. Domyślam się, że nie będzie ojciec z tego powodu nieszczęśliwy.

Postanowił nie informować Rona o tym, że nadzorca obszedł się z nim wtedy tak grubiańsko; nie warto było o tym mówić. Architekt czekał na nich w przyczepie.

— Zastanawiałem się nad kilkoma rzeczami, ojcie. Mam wrażenie, że sufit kaplicy nie jest wystarczająco wyrazisty, wystarczająco... inspirujący. Za pozwoleniem ojca, chcielibyśmy wzbogacić nieco sklepienie. Mogłoby to tak wyglądać.

Rozwinął rysunek i rozciągnął go na metalowym stoliku.

— A gdybyśmy zastosowali tutaj wzór w jodełkę, używając jodły łączonej pod kątem na pióro i wpust? Jodła w sposób naturalny kojarzy się z tymi górami, a wzór podkreśliłby ogólne piękno kaplicy, nie wprowadzając przy tym optycznego dysonansu. Wszystko wykończylibyśmy szeroką listwą profilową z jodły u podstawy sklepienia. Co ojciec myśli?

— Podoba mi się ten pomysł — zgodził się pastor.

— Ditto — potaknął Ron. — Znamy pewnego człowieka i jego syna, którzy zrobią z tego arcydzieło. To prawdziwi miejscowi rzemieślnicy.

— Wspaniale! Regionalne wykonawstwo może znacznie podnieść walory estetyczne. Cudownie!

Architekt był najwyraźniej bardzo podekscytowany nowym planem i z wdzięcznością uściśnął dłoń obydwu mężczyznom.

— Jesteście zadowoleni z Bucka?

— Tak, bardzo — odpowiedział Ron, spoglądając na pastora.

— Fatalnie, że prace musiały zostać wstrzymane ze względu na tę skałę. Cóż, zamierzam się trochę rozejrzeć i zobaczyć, co się zmieniło od ubiegłego tygodnia. Chcą panowie pójść ze mną?

— Ty idź — zaproponował ojciec Tim. — Ja muszę zadzwonić.

Obaj mężczyźni wyszli, wpuszczając do wnętrza przyczepy kłujący podmuch wiatru. Przeszedł go zimny dreszcz, gdy siadał przy biurku na zniszczonym krześle obrotowym Bucka Leepera.

— Halo, Avis? Jestem trochę spóźniony. Czy mógłbyś przygotować dla mnie kilka rzeczy, które odbiorę przed zamknięciem sklepu? Pół kilograma mielonej polędwicy. Tak. Cztery litry mleka. Paczka bułek. Nie, nie pełnoziarniste. Dooley nie tknie ciemnego pieczywa. — Nadal czuł powiew zimnego powietrza na plecach. — Skoro już rozmawiamy, nie wiesz, gdzie mógłbym zdobyć zapas drewna na zimę? Oczywiście, poczekam.

W czasie gdy Avis odłożył na bok słuchawkę, żeby obsłużyć klienta, jego oczy spoczęły na zawierającym duży kalendarz bibularzu. Zamrugał.

W każdym kwadracie oznaczającym jeden dzień, aż do dnia dzisiejszego, dziewiętnastego października, znajdował się wykonany piórkiem zachwycający rysunek. Każdy z nich był niezwykle staranny i narysowany z dbałością o najmniejszy szczegół. Był tam maź, sowa, mur z cegieł, góra, most, łodziak, ozdobne schody, esy-floresy, spirale, hieroglify i piramida. Wszystkie tak misterne i doskonałe, że mogły się wydawać maszynowym wydrukiem.

W kwadratach nie było żadnych zapisków, żadnych spotkań, żadnych planów, żadnych spraw, o których należy pamiętać. W trakcie tworzenia rysunków ich autor naciskał piórkiem tak mocno, że każda linia wyglądała jak wygrawerowana.

W tej perfekcji i mistrzowskim opanowaniu było jednak coś wstrząsającego, jakby wszystkie te cechy łączyły się razem, żeby poprzez rysunki powiedzieć jednym wspólnym głosem coś ważnego. Ale co mówił ten głos?

Ta myśl przyszła mu do głowy nagle i nie miał co do niej żadnych wątpliwości. Ten głos wołał: Pomocy!

— Tędy, bardzo proszę — poinstruowała ich pani Kershaw. — Panna Olivia zrobiła dużo miejsca w ubieralni.

Stos pudeł na kapelusze, które niósł przed sobą, prawie zupełnie zasłaniał mu widoczność. Tuż za nim szły gęsiego panna Sadie, która ścisnęła kurczowo w każdej dłoni jedną wstążkę pudła, i Louella z pudłem pod każdą pachą.

— Na Boga, mam nadzieję, że to wszystko — zawołała gospodyni.

— Oczywiście, że nie — zaproponowała panna Sadie. — Będziemy musieli iść do samochodu jeszcze dwa razy!

Przeszli korytarzem do sypialni i zarazem ubieralni Olivii. Była na tarasie i weszła do pokoju, żeby się przywitać. Pastor pomyślał, że jej entuzjazm i radość życia jeszcze nigdy nie uczyniły jej tak piękną, a przecież zaledwie kilka miesięcy temu wynieśli ją z tego pokój u bliską śmierci.

— Na razie połóżcie je gdzieś tutaj — poprosiła, śpiesząc ucałować każdy policzek. — Jestem taka podekscytowana! Po lunchu urządzimy pokaz kapeluszy. Hoppy przyjedzie, a my wszyscy będziemy występować jako modele!

— Ja rezygnuję — uprzedził ojciec Tim.

Zaśmiała się i uścisnęła go serdecznie.

— Och, tak bardzo się cieszę, że was wszystkich widzę. Co za szczęście.

— Będziemy musieli iść do samochodu jeszcze dwa razy — poinformowała dumnie panna Sadie.

— Wszyscy pomożemy — nalegała Olivia. — Lunch jest na tarasie, ale wszystko jest przykryte, więc w salacie nie wylądują żadne trzmielce.

— Miłe panie, przejmuję dowodzenie. Wy idźcie usiąść na tarasie i spróbujcie wchłonąć jak najwięcej tego nieoczekiwanego słońca. Ja przyniosę kapelusze.

— Ale... — usiłowała zaprotestować Olivia.

— Słuchaj swojego księdza, moja droga — przykazała panna Sadie, z uznaniem przyglądając się dużemu słonecznemu pokojowi.

Lunch pod parasolem, w gorącym słońcu, a ze wszystkich stron otaczały go jesienne kolory i trawnik przyozdobiony gdzieś tam pierwszymi opadłymi liśćmi. Tak bardzo oddalił się od codziennych obowiązków, że wydawało mu się, iż jest w innym kraju.

Hoppy przyjechał dokładnie w chwili, gdy pani Kershaw stawiała na antycznym stole tacę z deserem.

— Przybywasz w samą porę, przyjacielu!

Pastor z radością przyglądał się swojemu lekarzowi i przyjacielowi, który wyraźnie przytył i nabrał kolorów. Jedyne gęsta czupryna jego siwiejących włosów wydawała się nie zmieniona. To był zupełnie inny mężczyzna niż ten, który jeszcze rok temu oplakiwał śmierć żony i przeklinał Boga.

Hoppy uściskał serdecznie każdego gościa, zostawiając na koniec Olivię. Podszedł i stanął obok niej, otaczając ramieniem jej wąską talię. Ich szczęście było wyczuwalne; jak pulsujące migotanie kolibra zdawało się wręcz elektryzować powietrze.

Ojciec Tim poczuł dziwne ukłucie w sercu.

— Mój przyjacielu, kto jest obecnie twoim lekarzem? Wyglądasz, bez przesady, jak nowo narodzony.

— Doktor Davenport czuwa nad moim zdrowiem — odpowiedział Hoppy, uśmiechając się. — Jest specjalistką od serca, jak wiesz:

Gdy panie wyszły do pokoju, żeby przygotować się do pokazu kapeluszy, Hoppy przyjrzał się mu dokładnie.

— Wyglądasz trochę blado.

— Czuję się dobrze. Znakomicie. Przestań nakręcać sobie interes.

— Chciałbym ci się przyjrzeć w przyszłym tygodniu. Nie badałem cię, odkąd wróciłeś z Irlandii.

— Jeśli nalegasz.

— Widziałem ten artykuł o twojej sąsiadce. Pastor spojrzał na niego przeciągle i uśmiechnął się.

— Więc jakie są nowiny? — zapytał Hoppy.

— Nowiny? Jeśli są jakieś, to na pewno ma je już J.C.

— Wiesz, o co mi chodzi. Spotykasz się z nią?

— Byłoby to trudne, ponieważ mieszka w Nowym Jorku. Doktor przeczesał palcami włosy.

— Do licha — powiedział.

W tym momencie rozległ się pierwszy przesywający wybuch na wzgórzu, jak gdyby odrzutowiec przekroczył właśnie barierę dźwięku.

— Co za wejście! — zawołał Hoppy, gdy wysmukła ciemnowłosa Olivia pojawiła się na tarasie w obłoku kremowego szyfonu.

— Tra-ta-ta-tam!

Miała na sobie kapelusz z szerokim rondem, zawiązany pod brodą szarfą z wiotkiej organdy. Kapelusz, kiedyś biały, miał teraz delikatną barwę kości słoniowej i był przyozdobiony aksamitnymi różami.

— Ten zachwycający model — oznajmiła — wkładany był na pikniki i często bywał ozdobą przyjęć w ogrodzie w Fernbank.

Hoppy wstał i zaczął klaskać.

— Brawo! — zawołał.

— A teraz — kontynuowała Olivia, wskazując na przeszklone drzwi — panna Sadie Baxter, która zademonstruje purpurowy filcowy kapelusz ozdobiony piórami leghorna, wręcz idealny na przejażdżki do Wesley własnym odkrytym samochodem...

„Kolejny ogłuszający wybuch rozległ się w chwili, gdy panna Sadie wkraczała radośnie na taras w kapeluszu, który całkowicie zakrywał jej głowę, odsłaniając jedynie usta i podbródek.

Zachęcona aplauzem, panna Sadie skłoniła się nisko, a wtedy kapelusz poszybował w dół wprost na rabaty kwiatowe.

— A teraz — powiedziała swoim szczebiotliwym głosem — Louella, moja przyjaciółka i najwierniejsza towarzyszka życia, w eleganckim słomkowym kapeluszu panamskim, który mama nakładała latem na msze do Lord's Chapel!

Louella zawołała głośno z pokoju:

— Panno Sadie, czy ja muszę brać udział w tej błazenadzie?

— Oczywiście, że tak, Louello! Na tym właśnie polega zabawa!

Ściskając w rękach torebkę, Louella wyszła dostojnym krokiem na taras w kapeluszu obsypanym jedwabnymi kwiatami bzu, które — od leżenia w pudle przez kilkadziesiąt lat — uległy całkowitemu spłaszczeniu.

— Niewolnictwo zostało zniesione wiele lat temu — rzuciła żalonym głosem w stronę pastora — a niektórzy zachowują się tak, jakby nadal istniało.

— No, no — powiedział z uznaniem Hoppy. — Powinna się pani zobaczyć. Wygląda pani olśniewająco.

Trącił pastora łokciem, żeby też jakoś skomentował wygląd Louelli.

— Genialnie! — wypalił.

— Serio?

— Czy okłamywalibyśmy panią?

— No dobrze — powiedziała z rozmysłem Louella, a na jej usta wypłynął charakterystyczny szeroki uśmiech.

— Jeszcze! Jeszcze! — krzyczał Hoppy, uderzając łyżeczką w szklanę.

Modelki zaprezentowały jeszcze sześć kapeluszy, a potem zaczęły protestować i opadły na fotele w sypialni Olivii.

Po wyjściu Hoppy'ego siedzieli i rozmawiali, a ich rozmowę przerywały jedynie miarowe wybuchy na wzgórzu.

— Mam nadzieję, że hałas nie będzie dla pani zbyt uciążliwy, panno Sadie — powiedział pastor. — To bardzo blisko Fernbank.

— Ależ skąd! Podoba mi się, że dla odmiany coś się w końcu dzieje. — Westchnęła z zadowoleniem. — Nie pamiętam już, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłam. Chyba zeszłej wiosny na uroczystej kolacji u ojca.

Olivia podeszła do podwójnej szafy stojącej za szezlongiem i wyciągnęła z niej pokrowiec na ubranie.

— Gdy porządkowałam szafy, żeby zrobić miejsce na cudowne kapelusze pani matki, znalazłam coś bardzo dla mnie cennego, coś, czym chciałabym się podzielić właśnie z wami. Należało to do mojej babci.

Rozsunęła pokrowiec i wyciągnęła z niego dziecięcy płaszczek z czerwonego aksamitu z białym futrzanym kołnierzykiem i mankietami. Na uchwycie miękkiego tekstylnego wieszaka zawieszona była biała futrzana mufka, wypchana bibułką. Uśmiechnęła się, unosząc płaszczek, żeby wszyscy go zobaczyli.

Z ust panny Sadie wydobył się dziwny dźwięk; być może było to tylko słowo: „Och”.

Louella opadła na fotel obok łóżka, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

— Dawno temu moja ciocia powiedziała mi, że moja babcia była nieślubnym dzieckiem. Nigdy nie mieszkała ze swoją mamą. Wychowała się w domu bardzo miłej kobiety. Ale mama odwiedzała ją co tydzień, nigdy nie zdradzając, kim jest. Ponoć zawsze przynosiła jej śliczne rzeczy, i ten płaszczek jest jedną z nich. Czyż nie jest piękny? Ciocia powiedziała mi, że babcia lubiła go najbardziej ze wszystkiego, co dostała. Skończyłam właśnie przeglądać rzeczy mamy, gdy go znalazłam. Minęło tak wiele lat, jestem więc spokojna, że mogę się podzielić tą dawną tajemnicą rodzinną z przyjaciółmi.

Z ust panny Sadie wyrwało się przerażające westchnienie, a Louella siedziała w fotelu jak przykuta.

— Panno Sadie, czy dobrze się pani czuje? — Olivia podeszła do starszej kobiety, która przyknęła powieki.

— Ojcie — poprosiła panna Sadie — czy mógłby ojciec przyjść tutaj i potrzymać mnie za rękę? Przynął do niej stojącą przed toaletką kanapkę i zrobił to, o co go poprosiła.

— Stało się — jęknęła Louella, która zrobiła się dziwnie popielata.

Oczy panny Sadie nadal były zamknięte. Potem zaczęła mówić wolno, jakby traciła siły.

— Jak... nazywała się twoja babcia?

— Lydia Anne. Ale to wszystko, co o niej wiem. Przez te wszystkie lata nigdy nie rozmawialiśmy o tym w rodzinie. Moja ciocia powiedziała mi, że nigdy nie powinnam poruszać tego tematu. Ale to działo się tak dawno, że z pewnością...

Panna Sadie otwarła oczy i spojrzała na Olivię.

— Widziałam już kiedyś ten płaszczek, moja droga. Znalazłam go w pudełku pod łóżkiem mamy i myślałam, że kupiła go dla mnie. Był troszkę za duży i pamiętam, że myślałam, że do niego dorosnę. Nigdy nie widziałam niczego równie pięknego. Kilka razy wyciągałam go z pudełka i przymierzałam, gdy mamy nie było w domu.

W pokoju zapadła długa cisza. Olivia wyglądała na zrozpaczoną.

— Nadeszły święta Bożego Narodzenia i minęły — mówiła panna Sadie — a mały czerwony płaszczek się nie pojawił. Weszłam więc pod łóżko mamy, żeby go znaleźć, ale jego tam nie było.

Pastor trzymał ją za rękę i modlił się po cichu.

— Olivio, moja droga — powiedziała starsza kobieta — mam wszelkie podstawy, aby sądzić, że twoja babcia była moją przyrodnią siostrą... i że ty jesteś moją cioteczną siostrzenicą.

Olivia usiadła na kanapce obok pastora, ściskając w dłoniach płaszcz.

— Przepraszam, jeśli powiedziałam coś... jeśli zrobiłam coś... Głos panny Sadie drżał.

— Właśnie się dowiedziałam, że zanim moja mama wyszła za mąż za mojego tatę, urodziła córkę, która miała na imię Lydia Anne. Co tydzień, przez wiele lat, widziałam, jak mama wychodzi z domu z koszykiem dla biednych i jak potem wraca niewypowiedzianie smutna. Jakie to dziwne, że odkryłam to, gdy przygotowywałam jej kapelusze, żeby ci je przynieść.

— Och, panno Sadie!

Olivia zsunęła się z kanapki i uklękła przy kolanach starszej kobiety, płacząc z żalu i niespodziewanej radości. Panna Sadie podała Olivii drugą dłoń.

— W porządku, moja droga. Poczekaj tylko, aż zobaczysz zdjęcie mamy. Będziesz miała wrażenie, że spoglądasz w lustro.

— Nie mogę uwierzyć, że ten płaszcz dał mi to, czego pragnę najbardziej — rodzinę!

— Rodzina! — powiedziała panna Sadie, pozwalając płynąć swoim łzom. — Najcenniejszy skarb na ziemi. Gdybym nie miała Louelli...

Louella podeszła i stanęła przy pannie Sadie, dotykając jej ramienia.

W pokoju skąpanym w promieniach złotego jesiennego słońca przysunęli się do siebie niczym szukające ciepła ptaki w gnieździe.

Nie był taki głupi. Nie będzie do niej pisał, tylko zadzwoni.

Fakt, że panicznie bał się chłodu, który mógł usłyszeć w jej głosie, nie miał teraz większego znaczenia. Chodziło o to, żeby nawiązać kontakt, żeby sprawdzić, czy istnieje jeszcze szansa na ponowne wydeptanie ścieżki przez żywopłot.

A gdyby nawet była dla niego chłodna? Czy nie stawiał już czoła lodowatym radom parafialnym i nieprzystępnym kongregacjom?

Z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu zawsze miał to szczęście, że przychodził do parafii tuż po jakimś kanonizowanym świętym, kimś, kto chodził w aureoli i był otoczony serafinami nawet wtedy, gdy szedł tylko po gazetę do kiosku na rogu.

W pierwszej parafii potrzebował całego roku, aby wybaczone mu jego młodzieńczy brak doświadczenia, gdy zastąpił księdza, który — posiadłszy zalety sędziwego wieku — był mądry i wszytkowiedzący, a na dodatek pełen prawdy i światła.

Mimo że nieodmiennie był faworytem wśród kandydatów, chłód pojawiał się nieuchronnie, jak tylko kongregacja przyjęła go na swoje łono.

Jedna z parafii wybrała go, ponieważ był nieżonaty, ale później chciała, żeby miał żonę i dzieci.

Innej spodobał się, gdyż był naturalny, ale potem zdecydowała, że brakuje mu charyzmy.

Jedna z komisji kwalifikacyjnych uważała, że skoro bez butów ma niecałe metr siedemdziesiąt sześć, to cecha ta nadaje mu pewnej duchowej pokory, ale potem zmieniła zdanie i chciała, żeby był wyższy.

Poza tym czego miał się obawiać?

Absolutnie niczego, oczywiście. Był tylko jeden problem — nie wiedział, gdzie do niej zadzwonić.

Po lunchu poszedł szybko do biblioteki i poprosił o jedną z książek o Violet. Usiadł w czytelni i zasłonił ją wtorkowym „Wall Street Journal”.

Violet udaje się z wizytą do królowej pełna była rysunków nieokiełznanej Violet, usiłującej się zaprzyjaźnić pod krzewami róż królowej z ogrodowymi królikami, skaczącej w salonie z półki nad kominkiem na ptasią klatkę i zmuszającej przerażone psy corgi do ucieczki w popłochu mrocznymi korytarzami pałacu.

„Violet chciała jedynie mieć przyjaciela — brzmiał napis na którejś ze stron ilustrowanej książki — za każdym razem jednak, gdy próbowała go znaleźć, robiła coś, co go odstraszało”.

Znalazł nazwę wydawnictwa i wpisał go do czarnego notesu z adresami.

Poszedł do biura, słysząc dochodzącą z okolic wzgórze serię rozdzierających powietrze wybuchów. Serce biło mu mocno na samą myśl o tym, co zamierza zrobić.

Usiadł na swoim krześle obrotowym i odmówił tak prostą modlitwę, jak tylko potrafił: Panie, jeśli dla tej przyjaźni nie ma przyszłości, proszę, zamknij drzwi. Jeśli jest ci miła, otwórz je szeroko i daj mi odwagę, żebym przez nie przeszedł.

— Bardzvar — powiedział ktoś po drugiej stronie.

— Przepraszam?

— Jedną chwileczkę.

Natychmiast został połączony ze skrzynką głosową kogoś, kto proponował mu, żeby zostawił wiadomość albo przycisnął klawisz z gwiazdką, jeśli chce się ponownie połączyć z operatorem. Nie miał żadnej wiadomości do zostawienia i nie mógł za żadne skarby znaleźć gwiazdki na klawiszach telefonu. Zauważył w końcu coś, co przypominało krzyżyk, ale po wciśnięciu usłyszał jedynie głuchą ciszę, za którą płacił. Odłożył słuchawkę.

Być może ośmieszysz siebie i na dodatek Cynthię. Zadzwoni jednak do samego wydawcy, prezes, redaktora naczelnego, dotrze do samej cholernej góry.

— Bardzvar.

— Z prezesem! — zażądał zdesperowany.

Połączony ze skrzynką głosową, usłyszał nagranie: „Dodzwoniłeś się do biura Helen Boatwright. Po usłyszeniu sygnału proszę pozostawić wiadomość bądź połączyć się z operatorem poprzez naciśnięcie klawisza oznaczonego gwiazdką”.

Odłożył słuchawkę i zadzwonił ponownie.

— Bardzvarkproszęczećkać.

Nieomal ogłuszyła go muzyka, która popłynęła ze słuchawki. Mozart. A może Vivaldi? Jakże niebezpiecznym przedsięwzięciem jest próba skontaktowania się z kimś z zewnątrz.

— Z kim chciałby pan rozmawiać?

Był zadowolony, że nigdy nie cierpiał na wysokie ciśnienie.

— Z szefem sekcji literatury dziecięcej, wydawcą, głównym...

— Argonauta.

W słuchawce zapanowała na chwilę głucha cisza.

— Czy mogę rozmawiać z wydawcą? — zapytał przez zęby.

— Jakiego działu?

— Dziecięcego. Dla nastolatków. Młodzieżowego.

— To jest dział dziecięcy.

— Próbuję znaleźć jednego z waszych autorów.

— Przykro mi, ale nie udzielamy informacji na temat miejsca pobytu, nie podajemy też adresów naszych autorów. Będzie pan musiał napisać list.

— Jestem sąsiadem tej osoby — powiedział złowieszczo — i bezwzględnie muszę się z nią skontaktować.

— Może pan przysłać list do naszego działu, a my prześlemy go do niej. Dziękujemy za telefon.

Uderzył pięścią w biurko. Wyglądało na to, że drzwi nie dość, że zostały zamknięte, to na dodatek zatrzęsnięte tuż przed jego nosem.

— „Jak słodka, jak niewypowiedzianie słodka jest samotność”.

— Cowper.

— W dzisiejszych czasach nie można już nawet być pustelnikiem.

— Dlaczego? — zapytał pastor, przysuwając się bliżej do promieniującego ciepłem pieca na drewno.

Drzwiczki do pieca były otwarte, a na ścianach domu, który był mniejszy niż kuchnia pastora, tańczyły cienie.

— Gdy wprowadziłem się tutaj kilka lat temu, mieszkałem nad strumieniem prawie zupełnie sam. Teraz w tym miejscu aż roi się od przyczep kempingowych i kipi od skleconych byle jak chałupek. Są tutaj narkotyki i alkohol, bije się żony, strzela z broni palnej i sztyletuje, cokolwiek chcesz. Tutaj, nad strumieniem, jest tak jak w każdym innym miejscu... mianowicie, szatan stąpa po ziemi jak długa i szeroka...

— ...rozglądając się, kogo mógłby pożreć.

— Wie ojciec, że mój pomysł wydawania w środy wieczorem zupy zyskał sobie tylu fanów, że ściągają ich tu za każdym razem trzydziestu albo i więcej. Sklep nadal dostarcza mi wiktuałów do mojego garnka, a ta lokata w banku z pieniędzmi z nagrody za odnalezienie Barnaby pomaga mi w wysu-
planiu od czasu do czasu funduszy na zakup to pary butów, to znów pary spodni. W zeszłym tygodniu wyposażyliśmy w okulary jedną małą dziewczynkę. Szkoda, że jej ojciec nie widział. Wyglądała w nich jak lalka, oczy miała duże jak spodki. Ale wie ojciec, czego naprawdę nam tutaj potrzeba?

— Czego?

— Wydaje mi się, że potrzebujemy kaznodziei. Nie zapędzi ojciec tej zgrai do kościoła, o nie, ale oni muszą usłyszeć coś konkretnego. Według mnie, z głoszeniem Słowa Bożego jest jak z zupą. Chcą, żeby był w niej kawałek mięsa i żeby była dobrze przyprawiona. Nie żałuj pieprzu, nie bądź zbyt oszczędny z solą i dopilnuj, żeby nie była zbyt wodnista. Nie wezmą jej, jeśli będzie wodnista, nawet gdyby mieli puste brzuchy.

Ojciec Tim zaglądnął do swojego kakao. Czy to mogłaby być misja dla niego?

— Prawdę powiedziawszy, uważam, że jest ojciec trochę za bardzo wykształcony dla tej zgrai. Bez obrazy, ale to nie byłaby zupa, to byłby bulion, jeśli wie ojciec, o co mi chodzi. Pastor pokiwał głową.

— Potrzebny jest nam jakiś cudownie zbawiony grzesznik, ktoś, kto ma w sobie Bożą iskrę, ktoś, kto stanie na tamtym pniu i nazwie rzeczy po imieniu. Oczywiście w zimie będzie bardzo trudno przepuścić przez ten domek z kart całą tę horde ludzi, nie mówiąc już o pomieszczeniu tutaj kaznodziei. Być może powinniśmy się zdecydować tylko na nauczanie latem.

— Nie zaszkodziłaby odrobina muzyki.

— Nie, proszę ojca, nie zaszkodziłaby.

— Pozwól, że się nad tym zastanowię. Pomódlmy się o to.

— Przystaję na to z ochotą — zgodził się Bezdomy, zdejmując pokrywkę z czarnego żelaznego rondla. — A co powie ojciec teraz na chochelkę kaszki kukurydzianej?

— Muszę to zobaczyć.

— Tak, ale czy nie ma ojciec jakiegoś spotkania albo czegoś innego? Widziałem, że ma coś ojciec zapisane w kalendarzu.

— Nie pójdę na to spotkanie. Są w życiu ważniejsze rzeczy niż spotkanie.

— Naprawdę?

— Tak. Dacie sobie radę, przyjacielu, z tymi z Wesley? Dooley uśmiechnął się.

— Tak im dołożymy, że będą płakać jak maminsynki.

Pastor był zdania, że Dooley doskonale prezentuje się w swoim stroju. Miał przed sobą przystojnego, zadbanego i szczęśliwego chłopca. Objął Dooleya, kładąc dłoń na jednym z jego wypchanych ramion. Z obrony do ataku. Cud!

— Wiesz co?

— Co?

— Super z ciebie gość. Jestem z ciebie dumny.

Dooley zaczerwienił się lekko i spuścił głowę.

W rzeczywistości chciał powiedzieć: „Kocham cię, przyjacielu”. Dlaczego nie przeszło mu to przez gardło? Miłość była przecież jego profesją.

W czasie jazdy samochodem do wiejskiego sklepu Absaloma Greera, Barnaba siedział na przednim siedzeniu, wpatrując się nieruchomo w ciągnącą się przed nimi drogę, jak gdyby chciał robić to tak jak należy.

— Słuchaj, stary przyjacielu, podchodzisz do tego zbyt poważnie. A może byś się tak rozluźnił i pomazał trochę szyby, które właśnie umyłem, albo przysunął tutaj pysk i zaparował moje okulary? Nie, nie. Cofam to, co powiedziałem! To zbyt banalne. Dlaczego nie miałbyś oblizać jęzorem kołnierza mojej czystej koszuli albo zaślinić mojej marynarki?

Barnaba nadal spoglądał przed siebie, ale zaczął strzyc lekko jednym uchem.

Pastor wyciągnął rękę i położył dłoń na szyi psa. Oto tu, w tym samochodzie, podróżował razem z nim jeden z najbardziej oddanych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miał. Może z wyjątkiem Tommy'-ego Nolesa i Stuarta Cullena czy Waltera dorzuconego dla równego rachunku.

Dlaczego nie robił tego częściej? Nie jeździł na wieś i nie rozmawiał ze swoim psem? Była to najprostsza z rozrywek i nie kosztowała ani centa.

Złota jesień była przepiękną piątą porą roku, która nie zdarzała się rokrocznie. Pojawiała się bez ostrzeżenia, jak niewypowiedziane miła nagroda, jak prezent, który sprawiał, że chód stawał się lżejszy i szybszy, a umysł swobodniejszy.

Absalom Greer wybiegł zza lady swojego wiejskiego sklepu, jak gdyby wszystkie nagrody obecnej pory roku spoczywały właśnie w nim.

Podali sobie dłonie i uścisnęli się serdecznie.

— Kaznodzieja Greer wysłał swojego syna, żeby wyszedł mi na przywitanie — powiedział pastor.

Starszy mężczyzna zaśmiał się.

— Dziwne, że to właśnie ojciec tak mówi, skoro pobyt w Irlandii sprawił, że sam wygląda ojciec na dziesięć czy może dwadzieścia lat młodszego.

— Co tak cudownie pachnie? Chwileczkę! Proszę nic nie mówić. Pieczony kurczak!

— Strzał w dziesiątkę. Chrupiący i złoty, z dużą ilością fasolki szparagowej, półmiskiem tłuczonych ziemniaków i sosem. Nie będziemy nawet wspominać o posmarowanych masłem podplomykach ułożonych na naszej najlepszej porcelanowej paterze.

— Alleluja i cztery razy amen — odpowiedział pastor, który nie chciał nawet myśleć o tragicznym wpływie tego menu na jego cukrzycę.

— Lottie gotuje od samego rana i proszę jej nie mówić, że niepotrzebnie robiła sobie tyle kłopotu. Robienie sobie kłopotu, gdy przyjeżdża do nas z wizytą ksiądz z miasta, to dla mojej siostry największa radość. Czy przywiozłeś ze sobą swojego psa?

— Tak. Jest w samochodzie.

— Nasz kot wybrał się na włóczęgę, więc możesz go przyprowadzić. Poczestujemy go domowym obiadem.

Absalom zawiesił na klamce drzwi wejściowych tabliczkę z odręcznym napisem „Zamknięte” i w trójkę podążyli po skrzypiącej podłodze do znajdujących się na tyłach domu pokoiów. Mimo że pastor był tutaj wcześniej zaledwie jeden raz, natychmiast poczuł się jak u siebie.

Po posiłku, który Greerowie nazywali obiadem, a on lunchem, Lottie poszła do ogrodu plewić grządki z warzywami, a Barnaba leżał z głową opartą na stopie Absaloma.

Pastor sączył mocną czarną kawę, parzoną na blasze.

— Czy pozwolili ci w końcu przejść na emeryturę?

— Na Boga, to jak z odstawianiem dziecka od piersi. Nie chcą mnie puścić, ale to nieuniknione. W najbliższą niedzielę wygłoszę kazanie dla mojej ostatniej garstki z Sandy Creek i to już będzie koniec. Potem będę już tylko jak ta stojąca w kącie miotła z wikliny.

— Być może będę miał dla ciebie pewną kongregację, jeśli Bóg pozwoli.

Absalom Greer odrzucił do tyłu głowę i zaśmiał się.

— Cały czas starasz się zaprząć mnie do jakiegoś zajęcia! Biedny stary siwy wiejski kaznodzieja nie może zaznać ani chwili spokoju i odpoczynku.

— To wyjątkowa kongregacja.

— Wszystkie są wyjątkowe.

— Ta gromadzi się w środy wieczorami, dzięki czemu miałbyś wolne niedziele, aby — w zależności od potrzeby — nieść strawę duchową którejs z tych niewielkich własnych kongregacji.

Starszy mężczyzna wyciągnął ze stojącego na stole koszyka jabłko i zaczął je obierać.

— Nauczałbyś tylko latem — kontynuował pastor. — Za ambonę służyłby pień orzecha. Zima nad strumieniem jest zbyt surowa. Trudno byłoby nawet tam się wtedy dostać.

— W listopadzie skończę osiemdziesiąt dziewięć lat, a tu nie ma ani chwili spokoju...

— Oczywiście, gromadka z Mitford Creek to coś zupełnie innego niż wierni z Sandy Creek.

— Na czym polega różnica?

Ukroił plasterki jabłka i podał go pastоровi na ostrzu noża.

— Nie są rozsmakowani w Słowie Bożym. Nie znają Kościoła. Raz w tygodniu zbierają się, żeby zjeść garnek zupy ugotowanej z odpadków, ale ty mógłbyś ich uraczyć prawdziwym bankietem.

— Ja miałem nadzieję na lekką przyjemną pogawędkę, a ty wytoczyłeś ciężką artylerię.

— Smaczne jabłko — rzucił pastor.

— Porozmawiam na ten temat z Panem — obiecał wiejski kaznodzieja.

Korespondencja leżała na biurku w salonie.

„Drogi Ojczy, przeniesiono mnie z pralni do kantyny, gdzie wydaję jedzenie i sprzątam. Przez te podzwrotnikowe temperatury panujące w pralni straciłem kilka kilogramów, wyglądam więc ostatnio jak pomoc naukowa na lekcję anatomii. Słabeusze nie mają czego szukać w więzieniu...”

Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy swoich parafian, gdy rok temu na wiosnę — dokładnie w chwili, gdy rozpoczynał kazanie — znajdujące się za amboną opuszczane schody nagle zaczęły zjeżdżać w dół. Serce waliło mu jak młotem pneumatycznym, gdy złodziej, który zrabował klejnoty i przez kilka miesięcy ukrywał się za dzwonami na kościelnym strychu, zszedł na dół i przyznał się do przestępstwa.

Już wtedy George Gaynor wyglądał niewiele lepiej niż szkielet, żywiąc się skradzionymi wiktalami przynoszonymi przez parafian na spotkania przy kawie, sokiem szkoły niedzielnej, warzywami w puszkach z piwnicy i od czasu do czasu kartonem soku rozmieszonym pół na pół z wodą. Nie wspominając oczywiście o cieście pomarańczowym Esther Bolick, które porwał z pudełka w czasie spotkania świeckich miłośników Pisma Świętego.

„...Dziękuję za *Wszystko, co mam najlepszego dla Boga Najwyższego*. W tej książce słabeusze też nie mają czego szukać. Jeszcze nigdy nie czytałem niczego tak poruszającego, z wyjątkiem oczywiście Pisma Świętego.

Chambers mówi o zastąpieniu wiary przekazanej przez Kościół własną wiarą. Mówi, że to właśnie dlatego tak wielu poświęca się idei, a tak niewielu Bogu. Bardzo silnie to do mnie przemawia i chciałbym, żebyśmy mogli spokojnie usiąść i o tym porozmawiać. Zostałem wychowany w wierze przekazanej przez Kościół i nie zdało to egzaminu. To bardzo niebezpieczna mistyfikacja, z której często zaczynamy zdawać sobie sprawę dopiero wtedy, gdy jest już za późno.

Podczas Ojca nieobecności Pete był u mnie dwa razy. Jego wizyta zawsze pozostawia niezapomniane przeżycia — podobnie jak wizyta Ojca...”

Podniósł wzrok znad listu i zdał sobie sprawę, że się uśmiecha. Nie — promienieje byłoby bardziej właściwym słowem. W czasie gdy modlił się tamtego dnia w nawie z Petem Jamisonem, George Gaynor zupełnie bez ich wiedzy przyłączył się do ich modlitwy ze swojej kryjówki na strychu.

Dwóch w cenie jednego, tak mówił George o prostej modlitwie o zbawienie, która skierowała życie każdego z mężczyzn na zupełnie nowe tory.

„...Proszę powiedzieć pani Bolick, że kilka razy śniło mi się jej pomarańczowe ciasto...”

Zaśmiał się. Legendarne ciasto Esther Bolick stało się ciepłym wspomnieniem dla skazańca, zostało spalaszowane podczas uroczystości chrztu świętego na posterunku policji i wtrąciło go w cukrzycową śpiączkę, która — niewiele brakowało — a doprowadziłaby go do śmierci.

— Można oddać za nie życie! — powiedziała kiedyś Emma i czy on sam tego nieomal nie udowodnił? Kartka od Pete'a Jamisona.

„Mój rejon został rozszerzony na sześć stanów. Modlę się i działa. Widziałem George'a. Zadzwoń do Ojca wkrótce. Niech Ojca Bóg błogosławi”.

Nie rozpoznał charakteru pisma na fiołkoworóżowej kopercie. Nie było adresu zwrotnego, ale znaczki i pieczętka były irlandzkie. Zanim ją otworzył, z niechęcią użył kuchenki mikrofalowej do podgrzania filiżanki kakao, a potem usiadł na kuchennej ladzie.

„Drogi Kuzynie Timothy,

jakże cudownie było Cię poznać na herbatce u Erin Donovan. Od lat słuchałam opowieści o kuzynie Timie, który jest księdzem w Ameryce, ale nigdy nawet nie marzyłam o tym, że kiedyś będziemy mieli okazję porozmawiać przy drinku. Uważam, że jesteś wyjątkowo inteligentny i uroczy, i tak bardzo podobny do ciotecznej babci Fiony, że gdyby nie spodnie, nie zauważyłabym żadnej różnicy.

Planuję zobaczyć Twój kraj, tak jak Ty zobaczyłeś mój, i spędzić trochę czasu pośród jego mieszkańców.

Bardzo miło z Twojej strony, że zapraszałeś mnie do siebie, jak tylko będę kiedyś w Ameryce. Serdeczne pozdrowienia, Meg Patrick”.

Na herbatce u Erin Donovan było przynajmniej kilkanaście osób z nim spokrewnionych i musiał przyznać, że nie pamiętał żadnej, która nazywałaby się Meg Patrick.

Wiedział, że po stronie jego babci byli kiedyś jacyś Patrickowie, ale trudno mu było stwierdzić, czy ktoś z nich jeszcze żył. Miło z jej strony, że napisała, chociaż był szczerze zdziwiony jej stwierdzeniem o jego rzekomym podobieństwie do osławionej ciotecznej babci Fiony, która na starym zdjęciu na biurku jego ojca wydawała mu się zawsze niesłychanie atrakcyjna.

Podniósł wzrok znad listu i uważnie przyglądał się swojemu odbiciu w oszklonych drzwiach kredensu. Być może rzeczywiście odziedziczył po swoich przodkach szerokie czoło i duże oczy.

Doszukiwanie się podobieństwa po tak wielu latach nieutrzymywania żadnych kontaktów z rodziną wydawało mu się dziwne. Ponieważ ojciec przez całe życie był bardzo powściągliwy w opowiadaniu o swoich przodkach, linia męska rodziny jawiła mu się jak nieomal zupełnie pusta kartka papieru, której jedynie niewielką część zajmował Walter.

Wycieczka jednak coś w nim poruszyła, podobnie jak zaczyn, który sprawia, że ciasto zaczyna rosnąć.

Wiedział niewiele, znał jedynie zdjęcia na biurku ojca i treść kilku listów, które z ogromną ciekawością przeczytał potajemnie w dzieciństwie. Jego dziadek przyjechał z Irlandii w wieku czternastu lat i z czasem dorobił się niewielkiej fortuny jako właściciel fabryki tektury. Jakieś nieporozumienie pomiędzy ojcem i dziadkiem, a później pomiędzy ojcem i wujkiem, przyczyniło się do zerwania na zawsze kontaktów z Irlandią.

Nic dziwnego, że tak mocno przyłągął do małej, zżytej ze sobą rodziny mamy, z jej silnymi tradycjami Kościoła baptystów. W ich gnieździe było ciepło, zawsze mówiono sobie prawdę bez owijania w bawełnę, ale z najczulszą miłością.

Rodzina jego matki była, mówiąc delikatnie, zasmucona, a bardziej poważnie — przeżyła prawdziwy szok, gdy wyjawiał im, że zamierza zostać pastorem w Kościele episkopalnym. Być może on sam do dzisiaj nie zrozumiał do końca swojej decyzji. Mimo że z racjonalnego punktu widzenia nie miało to żadnego sensu, wydawało mu się, że w ten sposób będzie mógł służyć pomocą duszpasterską swojemu episkopalnemu ojcu, jego zimnej duszy i wyniosłej pogardzie, chociaż jego ojciec zmarł, zanim on zdążył opuścić seminarium.

Wydawało mu się również, chociaż nie potrafił tego wyrazić, że dzięki temu uda mu się w jakiś sposób zaleczyć zadrę, jaka przez całe życie istniała pomiędzy nimi. Jeszcze bardziej jednak, ponad wszystko, pragnął służyć Bogu i Jego ludowi — i nigdy nie żałował swojej decyzji.

Irlandia z pewnością dała mu poczucie wspólnoty, którego tak pragnął, a gromadne spotkanie u Erin Donovan bliskich i dalekich kuzynów było kulminacyjnym momentem wizyty. Powszechnie mówiło się, że Irlandczycy narzekają na hordy Amerykanów, którzy płaczą się po parafialnych cmentarzach, pocierają kamienne nagrobki i depczą kwiaty w poszukiwaniu własnych korzeni. Gdy jednak dochodziło do spotkania, wszystko wyglądało zupełnie inaczej — gość był przyjmowany z otwartymi ramionami i rozpieszczany jak biblijny syn marnotrawny.

Jeśli jednak nawet spotkanie z kuzynostwem było punktem kulminacyjnym, inne wydarzenie okazało się jeszcze bardziej doniosłe. Był to dzień, kiedy razem z Katherine i Walterem wybrali się na przejażdżkę wypożyczonym samochodem, zabierając ze sobą ciasto z rabarbarem. Ich gospodyni zapakowała gorące, wyciągnięte prosto z piekarnika ciasto i przez wiele kilometrów ciekła im ślinka, w miarę jak aromat wydostawał się z koszyka i wypełniał samochód.

Z nagłym piskiem opon Katherine zatrzymała się na poboczu wąskiej drogi i spojrzała im prosto w oczy.

— Dłużej już nie wytrzymam — obwieściła.

Podeksytowani jak dzieci, unieśli brzegi płóciennej serwetki i nie zostawiając ani okruszka, spałaszowali ciepły jeszcze przysmak.

— Proszę! — oznajmiła Katherine, wycierając beztróska usta w brzeg sukienki. — Właśnie tak chcę żyć do końca moich dni!

Pamiętał, że Katherine wspinała się po stromym zboczu góry tuż przed nim, idąc i pomagając sobie laską. Walter był daleko przed nimi, na szczycie, gdy usłyszeli jego głos niosący się echem po nie kończących się zielonych wzgórzach i pradawnych kamiennych murach:

— Patrzcie! Znaleźliśmy go! Nie uwierzycie!

Omam się nie zabił, wspinając się na szczyt, żeby stać tam w kompletnym zdumieniu, z trudem łapiąc oddech, w towarzystwie swoich przyjaciół.

— Na Boga! — zawołał ochryplym z wrażenia głosem.

Ruiny rodzinnego zamku ciągnęły się wzdłuż szczytu sąsiedniego wzgórza i wyglądały jak zniszczona, zostawiona na pastwę samotności i mgły zabawka.

Bez słowa razem z Walterem wpatrywali się z podziwem w ruiny, które złączyły ich więzami krwi aż po grób.

Uginając się pod podmuchami wiatru, szedł do Fernbank na herbatę, ubrany po raz pierwszy tej zimy w puchową kurtkę, szalik i rękawiczki.

Trach. Czuł, jak ziemia drży pod jego stopami. Ron mówił, że wybuchy skończą się dzisiaj, a on myślał o tym, jak bardzo się do nich przyzwyczał.

Zdecydowanie wbrew woli panny Sadie, Louella zdobyła się na wysiłek i usunęła skórki z kromek chleba.

— Nie marnuj i nie żałuj! — przypomniała panna Sadie przyjaciółce setny raz w ciągu ich długiego wspólnego życia.

— Panno Sadie, jeśli jesteśmy tylko we dwie, to nie przeszkadza, że jemy chleb ze skórką, ale dzisiaj mamy gości.

Panna Sadie wyglądała na nie przekonaną.

— To ksiądz! — kontynuowała Louella. Panna Sadie zmarszczyła brwi. Louella wytoczyła ostatni argument.

— Czy pani mama podałaby kanapki ze skórką?

Wypowiedziała to słowo z takim obrzydzeniem, jakby mówiła o węzach.

Panna Sadie pociągnęła nosem i wrzuciła torebki herbaty do dzbanka. To już koniec dyskusji, pomyślała Louella, ozdabiając kanapki bez skórki pietruszką.

Siedzieli w żółtej sypialni panny Sadie, która stała się ostatnio ulubionym miejscem pani domu do przyjmowania gości.

— Żeby nie musiała patrzeć na stojące w salonie wiadra z wodą — wyjaśniła mu Louella. — Czekamy, aż się napełnią, a potem używamy ich do splukiwania w toalecie. Panna Sadie mówi, że to darmowe splukiwanie.

Louella ściągnęła fartuch i usiadła na kanapce, podczas gdy oni zajęli swoje zwyczajowe miejsca na fotelach. Pani domu westchnęła.

— Wydałam już wszystkie pieniądze taty, wie ojciec.

— Tak, wiem.

Ofiarowała lekką ręką pięć milionów dolarów na budowę Domu Nadziei, ambitnej placówki opiekuńczej, która zapowiadała się na supernowoczesny obiekt. Czyżby jego fundatorka miała zostać jednym z jego najbiedniejszych rezydentów? Być może powinien ofiarować coś z sekretnych funduszy Lord's Chapel.

— W takim razie — powiedziała, pogodniejąc — zaczniemy wydawać pieniądze mamy. Z żalem muszę przyznać, że kwota jest niewspółmierna do tego, co zostało po tacie. Mogłam zarządzać pieniędzmi mamy znacznie lepiej, mieć znacznie większe zyski. Ale gdy przez te wszystkie lata udało mi się zachować ogromną wstrzemięźliwość w gospodarowaniu pieniędzmi taty, postanowiłam poeksperymentować z funduszami mamy.

— Aha.

Spojrzała na złożone na kolanach dłonie.

— Okazało się to błędem. Przeprowadziłam bardzo pechowy eksperyment w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym i potem jeszcze raz w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym. — Potrząsnęła głową, potem podniosła wzrok i znowu się uśmiechnęła. — Ale wybaczyłam sobie i poprosiłam Boga, żeby też to zrobił. To już zamknięty rozdział!

— Tak trzymać.

— Wstyd mi przyznać, że jestem prawie doszczętnie splukana...

— Przykro mi.

Cóż za żalosna ironia!

— ...zostało mi niewiele ponad milion.

Miał nadzieję, że na jego twarzy nie odmalowało się zdziwienie i rozbawienie, a jedynie podziw, jaki czuł.

— W takim razie — kontynuowała — musimy zabrać się do ich wydawania... i myślę, że powinniśmy zacząć od Dooleya.

— Od Dooleya?

— Ten chłopiec powinien wyjechać do szkoły, ojciec, żeby mógł zdobyć wykształcenie, które pomoże mu rozwinąć wszystkie talenty, jakimi obdarzył go dobry Bóg. Szkoła w Mitford jest dobrą szkołą, ale w najlepszym wypadku może próbować nadrobić braki. Potrzebujemy czegoś, co je przewycięży! Rozumie ojciec?

— Ależ tak. Rozumiem. I bardzo dobrze to pani ujęła.

— Louella i ja zgadzamy się co do tego w stu procentach.

— Aha.

— Za rok będzie w ósmej klasie i jeśli chcemy, żeby się dostał do właściwej szkoły, musimy natychmiast coś z tym zrobić. Być może będzie nawet potrzebował korepetycji, szczególnie z angielskiego! Od czego powinniśmy wobec tego zacząć?

Tak, nie mylił się, znowu to zobaczył — dziewczynkę w Sadie Baxter.

— Nie bardzo... wiem, od czego zacząć.

— Ojciec — odparła trochę surowo — jeśli ja mam zrobić to, co do mnie należy, ojciec musi zrobić to, co należy do ojca. To ojca zadaniem jest dowiedzenie się, od czego zacząć!

Trach, rozległ się wybuch ostatniej porcji dynamitu, sprawiając, że zadrżały stojące na spodkach filiżanki.

Siedział przy biurku w gabinecie, gdy przypadkiem podniósł wzrok i wyglądnął przez okno. Po drugiej stronie, na skrzynce z kwiatami, z nosem przyklejonym do szyby siedziała Violet. Zamarł.

Violet przyglądała mu się uważnie, jakby był rybą w szklanej kuli.

On też się jej przyglądał.

Nigdy przedtem nie zauważył, że ma tak zielone oczy ani że jej obróżka jest dokładnie takiego samego koloru. Siedziała jak posąg, ze wzrokiem utkwionym w nim nieruchomo, biała sylwetka na tle zapadającego zmierzchu.

Ale czy to na pewno była Violet?

Bez wątplenia, stwierdził. Rzeczywiście, w Violet było coś wyjątkowego. I nic w tym dziwnego. Była przecież z wizytą u samej królowej, nie mówiąc już o tym, że brała lekcje gry na pianinie.

Nie chciał, żeby zbiegły z domu kot jego sąsiadki wystraszył się i uciekł. Chciał, żeby nie ruszał się z miejsca aż do chwili, gdy znajdzie się w jego rękach. Ponieważ — zdał sobie nagle sprawę — chciał go znaleźć.

Tak! Violet uciekła, ale on ją znalazł i zwróci ją jej zrozpaczonej właścicielce, całą i zdrową, znajdując jednocześnie pretekst do wizyty, którego tak bardzo potrzebował. Idealnie.

Podnosząc się z krzesła i stąpając po skrzypiącej podłodze, sam poruszał się jak kot. Violet śledziła go wzrokiem, jakby był rybką w stawie.

Dotarł do kuchni, w kilku susach znalazł się przy tylnych drzwiach, otworzył je na oścież i spojrział na skrzynkę z kwiatami. Violet zniknęła.

Do licha!

Wtedy poczuł, że coś ociera się o jego kostki.

Gdy w pośpiechu przechodził z wijącym się kotem przez żywoplot, zobaczył na dłoni czerwoną pręgę, z której sączyła się krew. Jeszcze lepiej, pomyślał z satysfakcją.

Cynthia otworzyła drzwi i spojrzała na niego gniewnie. Nie wiadomo skąd, wiedział dokładnie, co powie.

— Violet, ty potworze!

Wyrwała mu z rąk odnalezionego kota.

— Znalazłem ją! — zawołał, pokazując na dowód krwawiącą dłoń.

Ona jednak gwałtownie zamknęła drzwi i usłyszał jej cichnące kroki, gdy szła w głąb mieszkania.

Cały drżał, gdy dotarł do tylnego ganku swojego domu i otwierał kuchenne drzwi. Czuł coś, do czego nie chciał się przyznawać przed samym sobą, coś, przed odczuwaniem czego uciekał przez większość swojego życia. Była to wściekłość.

Jak mogła zamknąć drzwi tuż przed jego nosem, nie powiedziawszy nawet dziękuję ani żegnaj? Cóż on znowu takiego zrobił, żeby zasłużyć sobie na jej niewdzięczność i wrogość? Nic!

Czy nie próbował wiele razy dodzwonić się do niej i nie dobijał się do jej drzwi w szalejącej ulewie, i nie przywiózł jej z Irlandii kielicha z Waterford — nawet jeśli go jeszcze nie widziała — myśląc o niej nieustannie przez całe dwa miesiące?

Czy nie napisał do niej dwa razy ze Sligo?

Czy miał sobie coś do zarzucenia w całej tej eskapadzie do Edith Mallory?

Czy nie wydzwaniał do tego cholernego wydawcy bez końca, usiłując się z nią skontaktować, i nie układał w myślach nie kończących się listów z przeprosinami?

Miał już dość „Drogiej Cynthii” i „Najdroższej Cynthii”, i całej tej mieszaniny uczuć, która wybuchwała w nim na podobieństwo wulkanu, gdy tylko o niej pomyślał, i która ostatnio zaczęła osiadać niczym popiół na wszystkich, którzy znaleźli się w jego otoczeniu.

Nie, nie będzie pisał i nie będzie dzwonił. Nie będzie się miotał bezsilnie, aż całkiem postrada zmysły z powodu swojej obłudnej sąsiadki. Pójdzie tam w tej chwili, zapuka do jej drzwi i zażąda, żeby go wysłuchała. I niech się dzieje, co chce.

Wrzody!, pomyślał, czując gwałtowny skurcz w żołądku. Wiedział, że moment wahania w tej chwili będzie jego zgubą — że ta huśtawka uczuć i nastrojów będzie trwała w nieskończoność. Teraz albo nigdy, a najlepszym potwierdzeniem tego był pot, który wystąpił mu na czoło.

Potrzebował tylko jednego — modlitwy.

Ale kogo miał o nią poprosić? Zadzwoił do Waltera. Automatyczna sekretarka. Do licha!

Marge Owen. Nie będzie musiał powiedzieć niczego więcej poza: „Módl się za mnie” i jego prośba zostanie natychmiast spełniona. Cisza. Czy w dzisiejszych czasach nikt już nie bywa w domu?

Przyszło mu to do głowy tak nagle i z taką siłą, że nie wahał się ani chwili. Wykręcił numer i gdy odebrała, powiedział:

— Cynthia, idę do ciebie. Módl się za mnie. Sam też się pomodlił, przechodząc przez żywopłot.

Tylne drzwi były szeroko otwarte, najprawdopodobniej dlatego, żeby nie musiała go oficjalnie przywitać.

— Cynthia!

— Jestem tutaj — dobiegł go głos z pracowni.

Co usłyszał w jej głosie? Żelazo. Stal. Chłodne arkusze blachy. Noże.

Wszedł i zobaczył ją. Siedziała na podłodze i układała w kartonach książki. Poprawiła ręką włosy i spojrzała na niego. Miał wrażenie, że ktoś ugodził go prosto w serce, gdy zobaczył jej oczy. Były to najbardziej niezwykle oczy, jakie kiedykolwiek widział. Dlaczego zawsze wydawało mu się, że widzi je po raz pierwszy?

— Cynthia...

— Timothy.

Patrzyła na niego, chłodna i odległa.

— Posłuchaj mnie.

Usiadł na podłodze, naprzeciwko niej, a na kolana wślizgnęła mu się Violet.

— Na swoje nieszczęście zostałem obdarzony analitycznym umysłem — zaczął — zacznijmy więc gdzieś mniej więcej od początku.

Proszę! Głos mu się nie łamie i nie będzie się łamał. Miał głos Mojżesza głoszącego kazanie na górze Synaj. Od tego głosu mogły popękać wszystkie kieliszki w jej kredensie.

— Próbowałem do ciebie wiele razy dzwonić, ale twoja automatyczna sekretarka...

— Cóż się takiego działo z moją automatyczną sekretarką?

— Wydawała odgłosy pędzącego autostradą tira. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Raz pukalem do ciebie — kontynuował — ale padało.

— Padało. Och, jej — odparła z wyrazem znudzenia na twarzy.

— I nie wiem, co myślałaś tego ranka, gdy przyjechałem do domu w samochodzie Edith Mallo-
ry...

— Co myślałam? Nic nie myślałam. Czułam się tak, jakbym miała w głowie kompletną sieczkę.
Brnął dalej.

— Pomiedzy mną a Edith niczego nie ma. Zatrzymała mnie w swoim domu wbrew mojej woli.

— Doprawdy? — zapytała lodowatym głosem.

— Padał deszcz. Tad i Ron pojechali, zostawiając mnie samego. Ed Coffey miał zawieźć mnie do domu, ale deszcz zalał silnik. Spałem na fotelu. To było żalosne przeżycie.

— Obdarzenie ciebie uczuciem było żalonym przeżyciem. Zauważył, że użyła czasu przeszłego.

— Cynthia, bardzo mi przykro. Przyszedłem tutaj przede wszystkim dlatego, że chciałem ci to powiedzieć. Gdybyś tylko wiedziała, ile listów do ciebie napisałem...

— Nie dostałam żadnych listów.

— Pisałem je w myślach.

— Ach, o te listy ci chodzi!

— Próbowałem zadzwonić do ciebie do Nowego Jorku. Dzwoniłem do wydawcy, ale nie chcieli mi dać twojego adresu.

Coś tutaj było nie tak. Dlaczego błagał ją i się tłumaczył? Postanowił iść za ciosem.

— Słuchaj — powiedział stanowczym głosem — dlaczego nie powiedziałaś mi, że się przeprowadzasz? Dlaczego zniknęłaś tak bez słowa?

— Bez słowa? Ja od miesiący nie miałam od ciebie prawie żadnych wiadomości! Dwa listy, których adresatem równie dobrze mógł być jakiś daleki krewny, i to wszystko. Obiecałeś, że zastanowisz się nad tą moją idiotyczną propozycją, żebyśmy ze sobą chodzili, i że dasz mi odpowiedź po powrocie. To był twój warunek, nie mój. Ale oczywiście nawet o tym nie wspomniałeś. I nie dość, że prawie w ogóle się nie widywaliśmy, gdy wróciłeś do domu, to nie mogłeś nawet znaleźć czasu, żeby do mnie zadzwonić.

— Ale, Cynthio...

— Bez żadnych „Ale, Cynthio”, gdybyś był tak uprzejmy. I to ty powiedziałeś, że nie możemy dopuścić do tego, żeby trawa zarosła ścieżkę przez żywopłot. I co, widziałeś ją? Trzeba by było dzikiej świni, żeby można z niej było znowu korzystać.

— Co ty możesz wiedzieć o dzikich świniami? Głupie pytanie, ale tak jakoś padło.

— Jest wiele rzeczy, o których wiem, a o których ty nigdy nie będziesz wiedział, że ja wiem, ponieważ nigdy o nie nie zapytasz.

— Właśnie zapytałem.

Spojrzała na niego, przygryzając wargi.

— Albo za chwilę dam ci w nos, albo zacznę przeraźliwie krzyzczeć — powiedziała.

— Zasluguję na to pierwsze, ale decyzję pozostawiam tobie.

Ogromne łzy pojawiły się w jej oczach, a on podniósł się i ukląkł na gołej podłodze, a potem wziął ją w ramiona.

Cudownie było siedzieć blisko niej na maleńkiej dwuosobowej kanapce, czuć zapach wistarii, obejmować ją ramieniem i słuchać jej miękkiego głosu, który tak bardzo pragnął znowu usłyszeć. Violet rozciągnęła się na ich kolanach i mruzczała jak silnik samochodu kompaktowego.

— Tęskniłem za tobą — powiedział. — Strasznie za tobą tęskniłem. To było tak, jakby ktoś umarł. Mały domek był taki pusty, w oknach nie paliło się światło, i ta niepewność...

— To nie jest tak, że się przeprowadziłam — wyjaśniła, spoglądając na niego czerwonymi od płaczu oczami. — Musiałam jedynie ukończyć nowe ilustracje w bardzo krótkim czasie i mój wydawca zaproponował, abym przeniosła się do jego mieszkania na sześć miesięcy, ponieważ on wyjeżdża do Europy. Pomyślałam więc, że tak, oczywiście, cudownie się składa, a poza tym nie będę musiała zwracać sobie głowy moim... moim koszmarnym sąsiadem!

Pocałował jej włosy.

— Wprowadziłam się więc tam, dopóki nie skończę. Wysłałam tam większość moich książek i moją ulubioną deskę do rysowania, i moje łóżko, bez którego nigdy się nie ruszam — tylko kilka rzeczy. Prawdę powiedziawszy, sama nie wiem, co chciałam zrobić. Czułam się bardzo głupio, narzucając się tobie w taki sposób, podczas gdy ty cofałeś się z prędkością stu kilometrów na godzinę.

— Siedemdziesięciu.

— Modliłam się za ciebie, gdy zadzwoniłeś.

— Wiedziałem, że będziesz. Pocałował ją w skroń.

— Uważałam, że to bardzo sprytnie z twojej strony poprosić mnie, żebym to zrobiła.

— To Duch Święty miał taki szalony pomysł, nie ja.

Oparła głowę na jego ramieniu. Co za cudowna zmiana. Jeszcze godzinę temu siedział przy biurku na krześle z twardym oparciem, z bolącym sercem, pracując mozolnie nad kazaniem, a teraz obejmował kogoś miękkiego, delikatnego, pachnącego i drogiego, a na jego kolanach leżało ogromne włochate stworzenie. Wydawało mu się, że opadł na porośnięte mchem dno przejrzystego stawu i spoczywa tam niczym liść.

Ale właśnie takie fałszywe samozadowolenie wpędziło go ostatnio w kłopoty.

— Jak nazywa się twój siostrzeniec? — wypalił. — I jak się ma?

Podniosła głowę i przyglądnęła się mu dziwnie.

— Smith i ma się dobrze.

— A co z *Myszą w stajence*? Czy dobrze się sprzedaje? Czy dobrze wypadłem w roli mędrca ze Wschodu?

Czar prysnął, ona jednak naprawiła wszystko olśniewającym uśmiechem.

— Czego oczekujesz od towarzysza życia? — zapytał.

— Żebym mogła z nim rozmawiać — odparła, głaszcząc go po policzku. — Mój mąż był zbyt zajęty, żeby ze mną rozmawiać. Był zbyt zajęty płodzeniem dzieci z innymi kobietami...

— Czy to dlatego znalazłaś się w szpitalu?

— Tak. Próbowałam się zabić. Bolesność jej wyznania przeszła mu serce.

— Moi rodzice mieli dobre chęci, ale zawsze zbyt dużo zobowiązań towarzyskich, żeby ze mną rozmawiać. Tak więc, jak widzisz, w rzeczywistości pragnę czegoś bardzo zwyczajnego.

— O czym chcesz rozmawiać?

— O wszystkim i o niczym. Co robiłeś dzisiaj, co ja robiłam dzisiaj, co będziemy robić jutro. O Bogu i jak On działa w naszym życiu. O mojej pracy i o twojej pracy, o życiu, o miłości, o tym, co jest na obiad i jak rosną róże — czy niszczą je mszyce czy też chrząszcz japoński...

Pocałował ją w nasadę nosa, uśmiechając się.

— Życie jest krótkie — powiedziała.

— Tak, tak. To prawda.

Pocałował jej usta, jakby robił to przez całe życie. Była to najbardziej naturalna rzecz pod słońcem. Miał wrażenie, że spija jakiś odżywczy nektar, który sprawi, że będzie silny i odważny.

Wyjeżdżała dopiero w niedzielę po południu. Będzie poił ją winem i karmił, zapakuje w złoty papier jej kielich z Waterford, spełni to jej niepoważne i spontaniczne życzenie, kupi tuzin róż u Jeny, nową marynarkę na wyprzedaży w Collar Button, zrobi jej kanapkę z bananem i masłem orzechowym, kupi płytę z tangiem — a może to rumba jest jej ulubionym tańcem? Wykupi Barnabę, da Violet puszkę białego tuńczyka w wodzie źródlanej, poprosi Dooleya, żeby specjalnie dla niej włożył swój strój do gry w piłkę, będzie modlił się o deszcz i zabierze ją na spacer w jego strugach.

Śmiertelnie zmęczony, położył się do łóżka. Bez dwóch zdań, pomyślał, całe to zakochanie może być strasznie wyczerpujące.

Rozdział czwarty

KANAPKI Z BANANEM

— Wrócę do domu na Boże Narodzenie — powiedziała. Wydawało mu się, że siedzą w ten sposób, zapadnięci w sfatygowany pokrowiec jego sofy w salonie, od początku czasów.

— Na twoje powitanie rozwieszę światełka na krzewach przed twoim domem.

— Już samo to, że o tym pomyślałeś, jest takie cudowne! Och, Timothy, jak to możliwe, że przez te wszystkie lata nikogo nie kochałeś? Miłość wręcz od ciebie bije jak źródło na łące.

— Może uda ci się przekonać mnie o tym, ale wątpię. Wydaję się sobie samolubny i egoistyczny i gdzieś w środku twardy jak kamień. Spójrz tylko, jak cię potraktowałem.

— Tak, ale nigdy nie udałoby ci się oszukać mnie, że jesteś twardy jak skała. Zawsze zdradzałeś się ze swoją czułością wobec mnie. To było coś w twojej twarzy, twoich oczach, twoim głósie...

— W takim razie nic nie jestem w stanie przed tobą ukryć?

— W każdym razie bardzo niewiele.

— „Violet chciała jedynie mieć przyjaciela — zacytował — za każdym razem jednak, gdy próbowała go znaleźć, robiła coś, co go odstraszało”.

Spojrzała na niego z radością.

— Czytałeś książkę o Violet!

— Tak i dowiedziałem się czegoś o sobie samym, obalając twierdzenie, że książki o Violet przeznaczone są dla czytelników w wieku od pięciu do dziesięciu lat. Ja naprawdę staram się wyrazić moje uczucia do ciebie, ale zawsze cię odstraszam. Czasami już po prostu nie mam siły i jestem gotów dać za wygraną.

— Błagam! Nie znoszę, gdy ktoś tak mówi. Pamiętasz, co powiedział pan Churchill do klasy absolwentów odchodzących z jego dawnej szkoły?

— Muszę przyznać, że nie pamiętam.

— Kiedy pan Churchill był jeszcze uczniem, dyrektor szkoły powiedział mu, że jest beznadziejnie głupi i niepoważny, a potem, wiele lat później, gdy został przecież premierem i napisał historię narodu angielskiego, został zaproszony do swojej dawnej szkoły, żeby wygłosił przemówienie do klasy absolwentów. Spodziewali się jednej z jego błyskotliwych i długich mów, a oto cały tekst jego wystąpienia: »Moi drodzy — powiedział — nigdy, nigdy, ale to przenigdy się nie poddawajcie!« I usiadł.

Zaśmiał się.

— Nigdy — powiedziała poważnie.

— Potraktuję to jako dobrą radę.

— Przyświecała mi przez lata.

— Czy zjesz ze mną kolację w piątek wieczorem? Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

— Będzie to dla mnie prawdziwa przyjemność.

— Jak przyrządzasz kanapki z masłem orzechowym i bananem?

— Banana kroję na grube plastry, a potem rozgniatam je na warstwie masła orzechowego.

— Wolisz masło z kawałkami orzechów czy bez?

— Z kawałkami orzechów.

— Pieczywo białe czy ciemne?

— Białe.

— Ze skórką czy bez?

— Ze skórką.

Uzbrojony w tę wiedzę po wsze czasy czuł się niepokonany.

— Żółte czy czerwone? — zapytała Jena Ivey w Mitford Blossoms.

— Czerwone — odpowiedział.

— Luzem czy w bukiecie?

— Luzem.

— Do wazonu czy w pudle?

— W pudle.

Potrzebował asystenta, pomocnika, pracowitej mrówki, kogokolwiek, kogoś. Puny pomogła mu rozłożyć obrus i wypolerowała kieliszki, aż kryształowe szkło błyszczało niczym rzadki klejnot. Odkurzyła cały dom. i wysprzątała klatkę królika — na wszelki wypadek, gdyby Cynthia, która kochała króliki, chciała wziąć Jacka na kolana. Umyła okna w jadalni, uzupełniła pokarm w karmniku wiszącym przed oknami, wymieniła poprzecieraną wycieraczkę przed drzwiami wejściowych na nową, wywoskowała podłogę w holu i zrobiła zakupy spożywcze.

Była to jednak zaledwie kropla w morzu tego, co trzeba było zrobić. W końcu — a na samą myśl o tym zaczynało mu mocniej bić serce — będzie musiał skorzystać z rady Waltera i pozwolić, aby Duch Święty wygłosił za niego niedzielne kazanie, ponieważ zabraknie czasu na staranne sporządzenie notatek.

— W co mogę zapakować ten kielich? — zapytał Puny.

Zdał sobie sprawę, że chodzi po domu jak w transie, nosząc go w ręce.

— Czegoś takiego jeszcze nie widziałam — powiedziała, opierając ręce na biodrach. — Już od samego patrzenia na to, jak ojciec kręci się bez celu, czuję się zmęczona.

— Nie kręcę się bez celu. Szukam ozdobnego papieru.

— W kredensie, nie pamięta ojciec? Mówił mi ojciec, że właśnie tam trzyma ojciec taki papier. Jak mógł zapomnieć? Poczul, że się rumieni.

— Czy kupiłaś białego tuńczyka?

— Tak.

— W wodzie źródlanej?

— Nie wiem, w czym on jest.

— Chciałem tuńczyka w wodzie źródlanej. Specjalnie zaznaczyłem to na liście zakupów.

— To o to ojcu chodziło? Myślałam, że chce ojciec wodę źródlaną, więc kupiłam osiem butelek. Dlaczego wcale nie wydawało mu się to śmieszne?

— W Collar Button jest wyprzedaż — powiedział, starając się, żeby zabrzmiało to naturalnie.

— Pomyślałem, że może zdecyduję się na jakąś marynarkę. Jak myślisz, jaki kolor byłby najlepszy?

— A jaki ona lubi?

Powinien był wiedzieć, że przed Puny Bradshaw nic się nie ukryje.

— Błękitny. Wydaje mi się, że lubi błękitny.

— Świetnie! Mam już powyżej dziurek w nosie tych brązów w ojca szafie. Jej zawartość wygląda jak stera zwiędłych liści. Poza tym błękitny pasuje ojcu do oczu.

— Ciemno czy jasnobłękitna?

— Ciemnobłękitna. Niech ojciec kupi sportową.

— Dziękuję — odparł z autentyczną ulgą.

Teraz pozostawało mu jedynie wykapać Barnabę i kupić płytę z rumbą — a może to było tango? — i byłby już prawie gotowy.

— Niech mi to ojciec da! — zawołała, wrywając mu z ręki kielich. — Ja się tym zajmę. Białą papier czy czerwony?

— Białą — wymamrotał słabym głosem.

— Oczywiście! — odpowiedziała wyraźnie zde gustowana.

Nie był zdziwiony, że do sklepu muzycznego musi jechać aż na drugi koniec Wesley. Zdziwił się dopiero wtedy, gdy usłyszał, że w sklepie nie ma płyt analogowych.

— Nie ma płyt analogowych? Był oszołomiony.

— Jedyne płyty kompaktowe — wyjaśnił sprzedawca, przyglądając mu się uważnie, jakby przybył z innej planety.

Nie ma płyt analogowych! Do czego ten świat zmierza? Poważnie? Co miał zrobić? Tak po prostu wyrzucić zupełnie dobry adapter, który najprawdopodobniej nie nadawał się nawet do recyklingu? Jaki to wszystko miało sens?

Prawdę powiedziawszy, wcale nie chciał tego wiedzieć, ale uważał, że powinien zapytać.

— Jak się używa płyty kompaktowej?

Gdy wyszedł ze sklepu muzycznego, poszedł prosto do samochodu i włożył pudełko do bagażnika. Nie może dopuścić do tego, żeby Puni Bradshaw ujrzała jego zakupy. Za żadną cenę. Włożył torbę ze sklepu muzycznego, zawierającą kompakt z rumbą i tangiem, do bagażnika i zamknął go.

Tak, musiał przyznać, że zaczyna go ogarniać nastrój radosnego podniecenia, nie był on jednak na razie na tyle silny, żeby stłumić poczucie obawy przed tym, dokąd go to wszystko może zaprowadzić, i głębokiego instynktownego strachu, że w żadnym razie nie jest w stanie powstrzymać rozwoju wypadków.

— Jesteś zdecydowanie za bardzo przystojny w błękitnym — zauważyła.

Co najdziwniejsze, wiedział, że jego sąsiadka wypowiadając te niepoważne słowa, naprawdę tak myśli.

— Niemożliwe! Odkąd pamiętam, zawsze byłem bardzo przeciętny.

— Cóż, teraz, gdy już zacząłeś być zdecydowanie za bardzo przystojny, nic nie możesz na to poradzić. — Uśmiechnęła się. — To tak właśnie działa, rozumiesz.

Stał przy jej tylnych drzwiach, ponieważ postanowił skorzystać ze ścieżki przez żywopłot i pójść po Cynthię do jej domu. Nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby powiedzieć, czy też zrobić, wręczył więc jej puszkę tuńczyka.

— Dla Violet.

— Jak cudownie! W oleju, dokładnie tak jak lubi najbardziej. Dziękuję!

Poczuł tak ogromną ulgę, jak gdyby nagle skoczyły do góry ceny wszystkich akcji na giełdzie.

— I dziękuję za róże. Proszę, wejdz i zobacz, jak wyglądają!

Poczuł ich zapach, idąc wzdłuż korytarza. Stały w salonie, w wazonie, przed oszklonym wykuszem, oświetlone ostatnimi promieniami wpadającego przez firanki słońca.

— Proszę — powiedziała, wyciągając jedną długą różę z wazonu. — To dla ciebie.

Gdy się pojawiła w drzwiach, na chwilę zaparło mu dech w piersiach. Jej świeżość, jej radość życia były olśniewające. Wszystko w niej było takie wyraziste, jakby właśnie założył nowe okulary.

— Ja... — zaczął, biorąc różę z jej dłoni. Miał wrażenie, że zanurza się w niej, i nie był pewien, czy zdoła się utrzymać na powierzchni.

Wczoraj wieczorem czekał, aż Dooley pójdzie spać, i dopiero wtedy spróbował podłączyć sprzęt i włączyć płytę kompaktową. Był zdumiony, gdy muzyka zaczęła się sączyć z głośników — nigdy wcześniej nie słyszał czegoś takiego. Brzmiała tak czysto i wyraźniej tak do złudzenia przypominała żywy dźwięk. Przyznał się przed sobą, że nie będzie tęsknił za trzaskami wywołanymi starymi rysami na płycie i tarciem po jej powierzchni zużytej igły.

— Już od lat nie tańczyłem tanga — ostrzegł, biorąc ją w ramiona. Zaśmiała się.

— Rumby!

— No cóż, prawdę powiedziawszy, zawsze najlepszy byłem w fokstrocie.

— Ci, którzy są dobrzy w fokstrocie, zazwyczaj gdzieś w sobie mają ukryty talent do rumby.

Potrzeba jedynie trochę czasu i pracy, żeby wydobyć go na zewnątrz.

— Czy mogłabyś wobec tego trochę nade mną popracować?

Gdy taniec się skończył, stał razem z nią przed płonącym na kominku ogniem, przed stołem starannie zastawionym starą porcelaną Haviland, która należała kiedyś do jego babci, i pojedynczą różą w wazonie.

— Spójrz mi prosto w oczy — powiedział, ujmując jej twarz w obydwie dłonie.

— Już patrzę,

— Chcę ci zadać pytanie.

— Kocham pytania!

Przypomniał sobie, że zapytał ją kiedyś: „Czy jest coś, czego nie kochasz?” „Tak — odpowiedziała — ślimaków w ogrodzie, starych krakersów i ludzi, którzy zawsze się spóźniają”.

— W takim razie... czy byłabyś tak uprzejma i rozważyła możliwość... to znaczy nieuchronność... chodzenia ze mną?

Wybuchnęła płaczem.

— Cynthia!

— Zawsze płaczę, gdy jestem szczęśliwa — wydusiła przez łyzy.

— W takim razie, czy możesz odpowiedzieć na moje pytanie? — poprosił, wyciągając z kieszeni i podając jej chusteczkę.

— Tak. Rozważę to!

— Poczekaj chwilkę. Czy znowu zrobiłem coś źle? Poprosiłem cię, żebyś to rozważyła, ale chodziło mi o to, czy się zgodzisz? Od zaraz?

— Tak. Zgadzam się. Pragnął ją pocałować, ale nagle zaczęły się pod nim uginać kolana.

— Timothy! — zawołała, przytrzymując go. — Usiądź, zanim się wywrócisz!

Opadł na sofę, śmiejąc się.

— To beznadziejne — powiedział, czując, jak drżą mu kolana i jak wali mu serce. — Zupełnie beznadziejne.

Zanosila się od śmiechu.

— Przejdzie ci! — obiecała, obejmując go czule.

Nadal nie mogli opanować śmiechu, a po ich policzkach płynęły łzy, gdy do pokoju wszedł Dooley i rozglądnał się dookoła.

— Ekstra! — powiedział, po czym się wycofał.

Przyjedzie do domu na Boże Narodzenie, do którego zostały tylko dwa miesiące, spędzi tu tydzień lub dziesięć dni i pojedzie z powrotem do Nowego Jorku, gdzie będzie mieszkać aż do marca, a potem wróci do małego żółtego domku na dobre.

Doskonale, myślał, robiąc kanapki w sobotę wieczorem. Wręcz idealnie! Będzie miał mnóstwo czasu, żeby oswoić się z tym, co właśnie zrobił, poradzić sobie z niewyobrażalnym stresem towarzyszącym świątecznym dniom i być gotowym na jej przylot dokładnie w chwili, gdy zaczną kiełkować jego rośliny.

Po południu, kiedy Cynthia się pakowała, Dooley był na bardzo ważnym meczu piłki nożnej. Teraz wybrał się w odwiedziny do Tommy'ego, u którego miał zostać na noc. W związku z tym pastor włączył odtwarzacz płyt kompaktowych i po raz kolejny posłuchał tanga — a może rumbę?

Gdy tak stał przy kuchennej ladzie, poruszając nogami w takt muzyki, złapał się na tym, że uśmiecha się od ucha do ucha. Przez ponad sześćdziesiąt lat brodził w mokrym betonie; teraz miał wrażenie, że pływa w basenie na Karaibach.

„Bóg żąda — powiedział Raymond John Baughan — abyśmy wyrwali się z naszych warownych samotni i odnaleźli siebie nawzajem. Jedynie to jest w stanie uzdrowić udreżoną duszę i uwolnić serce, by się oddało miłości”.

Abyśmy wyrwali się z naszych warownych samotni!

Jak długo Cynthia musiała się dobijać do jego samotni, żeby w końcu się z niej wyrwał! Oprócz wielu innych rzeczy, na które zasługiwała, Cynthia Coppersmith zasługiwała również na medal.

Mając to na uwadze, posmarował jej kanapkę z bananem i masłem orzechowym ekstragrubo i pakując ją, dołączył do niej liścik.

— „Nie umiem żyć bez miłości do Ciebie” — zaczęła czytać jego liścik. — „Niech Bóg Ci błogosławi, otacza Cię swoją opieką i sprawi, żebyś bezpiecznie wróciła do domu. Twój, Timothy”.

Siedzieli na parkingu małego lokalnego lotniska w Holding, jedząc z papierowej torebki późny niedzielny lunch i popijając piwo korzenne.

Uśmiechnęła się i spojrzała na niego oczami koloru niebieskiego orlika.

— W takim razie, widzisz, jesteśmy do siebie bardzo podobni. Czy myślisz, że prześladowałabym ciebie, tak jak to robiłam, gdybym umiała żyć bez miłości do ciebie? Na pewno nie! — Ugryzła kanapkę. — Mniam, mniam, po tysiackroć mniam, mniam.

— Czy banany są rozgniecione tak, jak lubisz?

— Idealnie!

— Chciałem podać kanapki z bananem jako nasze główne danie podczas wczorajszej kolacji, ale zabrakło mi odwagi. Modliłem się też o deszcz, ale moja modlitwa pozostała bez odpowiedzi.

— Modliłeś się o deszcz?

— Żebym mógł cię zabrać na spacer w deszczu. Z informacji prasowej z biblioteki dowiedziałem się, że lubisz spacerować w deszczu.

Zaśmiała się. Kochał dźwięk każdego śmiechu, ale jej śmiech przepełniał jego duszę szczególną radością.

— Och, Timothy, jest tyle cudownych rzeczy do zrobienia, prawda? Modlę się, żebyśmy mieli jeszcze setki deszczy, w których będziemy mogli spacerować. Modlę się, żeby udało mi się odkryć wszystkie twoje sekrety i zdziałać dla ciebie takie cuda, jakie ty zdziałałeś dla mnie.

— Jednym z moich największych sekretów jest to, że lubię tapiokę — powiedział, uśmiechając się.

— Tapiokę? Ohyda! Zapomnę jednak o swojej osobistej niechęci i na bożonarodzeniową kolację będziesz miał tapioki pod dostatkiem.

— Czy będziesz do mnie pisała?

— Oczywiście, że będę. A gdy ty będziesz do mnie pisał, czy będą to listy, które mógłbyś wysłać do dalekiego krewnego, czy też będą bardzo osobiste, seksowne i rozkoszne?

— Zobaczę, co się da zrobić — obiecał, ujmując jej dłoń.

— Tak bardzo nie chcę wyjeżdżać.

— Tak bardzo nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

— Twoje kazanie było cudowne.

— Czy jest na tym świecie coś, co według ciebie nie jest cudowne?

— Kurze łapki, płamy starcze i pożegnania.

— W takim razie pocałuj mnie.

Stał na płycie lotniska i patrzył na jej mały samolot, jak zamienia się w punkcik na niebie. Prosił Boga, aby sprawił, żeby była bezpieczna, spokojna, ukończyła swoją pracę i żeby w jej życiu było wiele radości. „Daj jej radość” — powiedział na głos, odwracając się w stronę terminalu.

W samochodzie zastanawiał się przez chwilę, czy powinien spróbować odszukać Pauline, matkę Dooleya. Przez wiele lat mieszkała w Holding, ale gdy w czasie ostatnich świąt Bożego Narodzenia Dooley uciekł do niej i policja szukała jego i jej, poszukiwania spełzyły na niczym. Nie udało się jej

znaleźć i od tej pory nie mieli też od niej żadnych wiadomości. Tak może było lepiej, na pewno tak było lepiej. Cóż innego mogłyby sprawić wiadomości od zrozpaczonej matki Dooleya i alkoholiczki, jak tylko rozjrzeć na nowo jego rany, które właśnie zaczynały się goić?

Chciał pomóc Pauline, ale mógł to zrobić tylko w jeden jedyny mu dostępny sposób — pomagając Dooleyowi. Czy rzeczywiście mu pomógł? Być może. Z pewnością obdarzył go miłością, przyzwyczał się do niego i polubił nawet jego przykre nawyki. Ekstra, rzeczywiście! Jego własne serce ciągnęło do Dooleya Barlowe'a jak mucha na lep.

W środę przyszło zaproszenie od Edith Mallory.

„Zapraszam Cię serdecznie do Clear Day na kolację z okazji Święta Dziękczynienia” — pisała. „Mam nadzieję, że moje zaproszenie przychodzi na tyle wcześnie, że nie koliduje z żadnymi innymi Twoimi planami. Pragnę Cię zapewnić, że na świątecznym stole nie zabraknie żadnej z Twoich ulubionych potraw”.

Cóż ona mogła wiedzieć o jego ulubionych potrawach? Każe Emmie odpisać, że razem z Dooleyem wybierają się na doroczną kolację świąteczną wszystkich wyznań, której gospodarzami w tym roku są prezbiterianie. Jej papier listowy z monogramem cuchnął jakimś piżmowym zapachem, który pozostał na jego palcach po przeczytaniu wiadomości. Dlaczego nie może zostawić go w spokoju?

Gdy odłożył kartkę z zaproszeniem, Emma chwyciła ją i wyrzuciła do kosza.

— Modliszka! — syknęła.

Za kwadrans dwunasta zadzwoniła Puny.

— Czy wybiera się ojciec do domu na lunch?

— Planowałem, że zjem talerz zupy u Percy'ego.

— Na ojca miejscu przyszedłbym do domu — powiedziała tajemniczo.

Widok tuzina róż w pudełku na chwilę zaparł mu dech w piersiach. Bez wątpienia były najpiękniejszymi okazami, jakie gorliwa Jena Ivey zdołała zdobyć.

Cynthia własnoręcznie napisała bilecik przed wyjazdem: „Od kochającej sąsiadki, która strasznie za Tobą tęskni”.

Wieczorem Dooley uznał za stosowne przeczytać bilecik.

— Po dwakroć ekstra — stwierdził.

Dwa kolejne przymrozki ścięły pelargonie, ale za to ożywiły bratki na wszystkich rabatach. Mimo że nadeszła już połowa listopada, liście dębu w kolorze curry nadal nie chciały spaść z drzew, tworząc przepiękne tło dla resztek złota na klonach.

— Flamandzki arras! — wykrzyknął Andrew Gregory, mieszając gorący jabłecznik laseczką cynamonu.

Percy Mosely usiadł na stołku w Main Street Grill i obwieścił, że bardzo się cieszy, że z miasteczka wynieśli się turyści, bo miejscowi będą mieć teraz trochę ciszy i spokoju.

— Nic, tylko kraczą i skrzeczą od maja aż do jesieni. Jeden gość tydzień temu suszył mi głowę o to, że kawa jest taka słaba, że musi jej pomagać przy wylewaniu z czajnika. A to — zakończył pośpiesznie opowieść — najzwyczajniejsze jankeskie kłamstwo.

— Zima! — narzekał J.C. Hogan, jedząc parówkę z jajkami w znajdującym się z tyłu boksie. — Na samą cholerną myśl o niej robi mi się niedobrze.

— Potrzeba ci — radził szef policji Rodney Underwood — dobrej kobiety, żeby cię rozgrzała.

— Wątpię, żeby udało mu się znaleźć taką, która podjęłaby się tego zadania — zawyrokował Mule Skinner. — Już jako dziecko był taki brzydki, że mama musiała mu przywiązywać na szyi kawałek szynki, żeby psy chciały się z nim bawić.

Jak niosła plotka, wraz z pierwszymi mrozami panna Rose i wujaszek Billy Watson nastavili swój fabrycznie nowy termostat na siedemdziesiąt pięć i nie zważając na nic, oddali się rozkoszy mieszkania w ciepłym domu.

Właściciel sklepu spożywczego Avis Packard rozplątał się w zachwytach nad jakością kapusty i rzepy, które otrzymywał z doliny.

Dooley przeniósł klatkę Jacka z nie ogrzewanego garażu do swojego pokoju.

Izba Handlu, która na szkolnej murawie zorganizowała kiermasz pod hasłem „Ciepły jak wełna”, zapowiadała ostrą zimę, a Dora Pugh ze sklepu żelaznego zaprojektowała wystawę w oknie z wykorzystaniem łopat do śniegu, a także zapowiadała wyprzedaż lamp naftowych i bielizny termicznej.

Bukiet róż w domu pastora trzymał się bardzo długo, jak gdyby nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co miało nastąpić. Zanim płatki opadły na wypolerowany blat orzechowego stołu w jadalni, Puny postanowiła związać lodygi sznurkiem i powiesić je ogonkami do góry, do wysuszenia, słusznie zakładając, że pewnego dnia będą dla kogoś miłą pamiątką.

— Wujaszek Billy! Co słychać?

— Nie ma spoczynku dla potępionych, a prawi go nie potrzebują! — odpowiedział, chichocząc. — Pomyślałem po prostu, że zadzwonię, żeby sobie trochę pogadać i powiedzieć ojcu, że w naszym domu wszystko układa się pomyślnie.

— Zawsze bardzo się cieszę, słysząc takie wiadomości — odparł pastor, wkładając słuchawkę pod brodę i podpisując list, który właśnie napisał na maszynie.

— Nie wiem, jakie ma ojciec zdanie na temat dowcipów o księżach...

— Co tam wujaszek ma w zanadrzu? Dobrze zrobiłaby mi odrobina śmiechu.

— Więc, proszę ojca, pewien ksiądz nie chciał powiedzieć swojej żonie, że zamierza nauczać w Klubie Rotariańskim o grzechu cudzołóstwa. Rozumie ojciec, była bardzo odtąd dotąd, powiedział jej więc, że zamierza mówić o pływaniu łódką. Tak więc, jakiś czas później żona tego księdza spotkała jednego z członków klubu, który powiedział, że jej mąż wygłosił bardzo piękną i pouczającą mowę.

Na to ona odparła, że jest to zdumiewające, bo sam zrobił to tylko dwa razy w życiu. Za pierwszym razem zwymiotował, a za drugim — wiatr zerwał mu z głowy kapelusz.

Roześmiał się głośno.

— Naprawdę dobry, wujaszku Billy.

— Mogę go opowiadać przez całą zimę. Starczy mi do wiosny. Ojcu pierwszemu opowiedziałem, oczywiście po Rose.

— Gdzie go wujaszek usłyszał?

— Lubię słuchać dowcipów od przyjezdnych, bo wtedy nie zna ich nikt w mieście. Ten opowiedział mi gość w sklepie z używaną odzieżą. Był u nas przejazdem, a jechał z Arkansas. Wyrzucił wszystkie tomy *Encyklopedii Britannica*, w ogóle nie zniszczone. Mamy je w kuchni. Aż przyjemnie popatrzeć, jakie piękne są w nich rysunki ptaków i innych zwierząt.

— Cynthia mówiła mi, że nakłania wydawcę, aby zrobił coś z tymi rysunkami tuszem wujaszka.

— Cóż, proszę ojca, bardzo bym się z tego cieszył. Mam w materacu ponad tysiąc dolarów z tych rysunków w ołówku, które sprzedaliśmy podczas wystawy. Miałem trochę wyrzutów sumienia, bo niektóre z moich psów myśliwskich wyglądały jak lisy.

— Co, u diaska, zrobi wujaszek z taką kasą?

— Ubiorę Rose na święta, to po pierwsze. Nigdy przedtem nie miałem takich pieniędzy. Rose myśli, że jestem bogaty. Powinien ojciec zobaczyć, jak się do mnie przymila, odkąd mam odłożoną tę drobną sumkę. Człowiek nigdy nie dorobiłby się takich pieniędzy, wyplatając krzesła i robiąc karmniki.

— To fakt.

— Zamierzamy sprawić sobie choinkę, wie ojciec, po raz pierwszy od z górą trzydziestu lat. Zamierzam też zabawić się w świętego Mikołaja i podarować jej jedną czy dwie sukienki i buty, które widziałem w katalogu — wsuwane lakierki.

— A co powiedziałby wujaszek na garnitur dla siebie, przyjacielu?

Odkąd go znał, wujaszek Billy nosił garnitury nieżyjącego brata swojej żony.

— Cóż, proszę ojca, sam nie wiem.

— Dobry z wujaszka człowiek.

— Ja sam tak nie myślę, ale dziękuję ojcu. Wzajemnie.

Gdy skończyli rozmawiać, poczuł nowy zapach do pisania listów. Wujaszek Billy jest niczym najlepsze lekarstwo, pomyślał, parafrazując Pismo Święte.

Otwarły się drzwi, ale nawet zanim zdążył zobaczyć, kto wchodzi, poczuł ogarniające go przeżożone uczucie strachu.

— Dzień do-o-o-bry — powiedziała Edith Mallory, zamykając za sobą drzwi.

Podeszła prosto do krzesła Emmy i usiadła na nim, jak gdyby należało do niej.

— Jestem w cudownym nastroju! — obwieściła. Chyba nie potrwa to już długo, pomyślał.

— Przez cały dzień nic nie jadłam, z wyjątkiem malutkiego kawałka tostu na śniadanie. Ponieważ nie możesz przyjść na kolację w Święto Dziękczynienia, pomyślałam, że w Wesley jest prześliczna nowa restauracja, i po prostu wiem, że byłbyś nią zachwycony. Zarezerwowałam stolik na lunch, mając cień nadziei, że będziesz mógł ze mną pojechać. Mają tam zielone obrusy i zielone ściany — wiem, jak namiętnie kochasz zielony — i czy możesz sobie wyobrazić, że w ich menu jako dania kolacyjne figurują łos i bizon?! Spojrzała na niego pełna nadziei.

Nie kochał zielonego, a każdy, kto poluje i zabija łosia czy bizona, jest szaleńcem.

— Cóż? Co myślisz?

Otworzyła torebkę i wyciągnęła puderniczkę. Wpatrując się intensywnie w lusterko, wykrzywiła wargi w sposób, który wydawał mu się ohydny, a potem umalowała je obficie jaskrawopomarańczową szminką.

— Uhm — powiedziała, wysuwając język i oblizując usta.

Gdy założyła nogę na nogę, zauważył po raz pierwszy, że jej spódnica jest śmiesznie krótka.

Wstał z krzesła tak gwałtownie, że zahaczył o stojący na parapecie nad nim srebrny flakon, który poszybował przez pokój, spadł na podłogę i zatrzymał się przy drzwiach.

— Do licha! — zawołał. — Właśnie wychodziłem. Dooley ma gorączkę, rozbił sobie kolano. Piłka nożna, sama rozumiesz.

Był zaskoczony kłamstwem, które przeszło mu przez usta z taką łatwością, z jaką z automatu wysypuje się bilon. Skoczył w stronę wieszaka, chwycił kurtkę i właśnie ją nakładał, gdy ona wstała i podeszła do niego. Jednym gładkim, szybkim, płynnym ruchem zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego.

— Timothy... — szepnęła, a on poczuł na policzku jej oddech. Odsunął się od niej, próbując oderwać jej dłonie od swojej szyi.

— Edith...

— Timothy, wiem, co do mnie czujesz, co zawsze czuleś. Widzę...

Gwałtownym ruchem otworzył szeroko drzwi i wybiegł na ulicę, nie oglądając się za siebie, nie przestrzegając jakże słusznej, starej jak świat zasady o zamykaniu na klucz budynków kościelnych, nie zabierając teczek, nie zastanawiając się nad tym, że mógłby całą sprawę załatwić dużo lepiej, stawiając jej czoło i zachowując się jak prawdziwy mężczyzna w poniżających okolicznościach.

Uderzył poduszkę na sofie w salonie z taką siłą, że pękła, a z powstałej dziury posypało się pierze.

Rada parafialna. Oni mogli mu pomóc. A może powinien zadzwonić do Stuarta? W końcu, cóż może zrobić rada parafialna? Co on takiego zrobił, żeby ją do tego zachęcić, można by zapytać, i całkiem słusznie. Odpowiedź była prosta: Nic! Nigdy nic nie zrobił, najmniejszej rzeczy. Był dla niej

uprzejmy przez te wszystkie lata, zaciskał zęby i był uprzejmy, to wszystko, ale tak samo zachowywał się wobec wszystkich parafian, włącznie z jej biednym nieżyjącym mężem.

Czy minął Eda Coffeya, gdy wybiegł z biura i szedł potem spieszenie chodnikiem? Czy Ed siedział za kierownicą lincolna i przyglądał się mu, gdy on uciekał jak zając przed psem myśliwskim? Sama myśl o tym, że Ed mógłby nawet w tej chwili kiwać z politowaniem głową nad księdzem, który nie jest w stanie stawić czoła pracodawcy, była upokarzająca. Czy Ed już wiecznie będzie się musiał przyglądać, jak on przemyka się cichaczem, uciekając z kościelnych biur, uwięziony w deszczu, aż do chwili, gdy albo on, albo Edith się podda i ustąpi?

On z pewnością nigdy się nie podda.

Czuł jednak paraliżujący strach, że Edith Mallory też się nie podda. Było w niej coś nieugiętego; przez ponad trzydzieści lat stawiała na swoim, żyjąc z Patem Mallorym. Nie przywykła do tego, żeby się poddawać.

Nie był zachwycony tym, że odczuwał dziwny strach, jak dziecko z opowieści o złej macosze. I dlatego przyszło mu nagle do głowy, że jej bezpośrednie awanse były wstępem do czegoś dużo bardziej wyrafinowanego, czegoś, czego nie będzie w stanie rozpoznać i uniknąć?

Percy spojrzał na niego znacząco.

— Ten gość, który pracuje u ojca, przy budowie domu opieki...?

— Co z nim?

— Zupełnie mi nie leży.

— Rzeczywiście?

— Przychodzi tu od dwóch dni rano, rozkazując mi jak jakiemuś ciamajdzie. Miałem ochotę wsadzić mu głowę do kaszy, którą zamówił.

— Aha.

— Wielka szkoda, że nie było tu ojca przez dwa ostatnie dni rano. Przychodzi o tej samej porze co ojca przyjaciele i siada sam w przednim boksie. Zrób to, zrób tamto, biegnij tu, biegnij tam. Parrish Guthrie wydaje się przy nim święty.

— Mówią, że jest najlepszy w branży.

— Ja też go mogę co nieco nauczyć — groził Percy.

Po wyjściu z baru Grill zatrzymał się przed wystawą Księgarni Szczęśliwych Zakończeń. Szukał za szybą nowych tytułów, gdy Fancy Skinner wysiadła z samochodu, który zaparkowała przy chodniku. Zauważył, że Fancy ufarbowała sobie pasemko włosów na kolor swojego różowego cadilla-ca z tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku i miała na sobie sweterek z angory tej samej barwy.

— Co słyhać? — zawołała, machając do niego.

— Doskonale. Jak twój nowy salon?

— Wprost cudownie. Mój ekspres zepsuł się dzisiaj rano i idę do baru na kawę na dobry początek. Przy okazji, ten ojca osiłek zatrudniony przy budowie domu opieki...

— Aa, o kogo ci chodzi?

— Buck Leeper. Przyszedł, żebym obcięła mu włosy. Rozkazywał mi jak niewolnicy. Gdy powiedział mi, żebym mu wydała resztę, powiedziałam, żeby się schylił. Nie powinien ojciec pozwolić, żeby się tak szarogęsił.

— No, cóż.

Co innego miał powiedzieć.

— Powinien mi ojciec pozwolić zebrać sobie trochę włosy po bokach. Wygląda ojciec jak wieiórka.

— W porządku.

Więc teraz Buck Leeper jest jego osiłkiem, buduje jego dom opieki i to on jest odpowiedzialny za to, że się szarogęsi.

„Najdroższa Cynthio,

czasami, tylko na jedną chwilę, zapominam, że wyjechałaś, i z zaskoczeniem stwierdzam, że Twoja nocna lampka nie świeci się i że we wszystkich Twoich oknach jest ciemno. Muszę zawsze sobie przypominać, że już niedługo wrócisz do domu.

Mam nadzieję, że praca idzie Ci dobrze i że pracujesz z lekkim sercem. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku i jestem przekonany, że moje wyobrażenie o tym mieście jest dziecinne i prowincjonalne. Na pewno jest w nim wiele ciepła i humoru, więc powstrzymam się przed przestrzeganiem Cię, żebyś zawsze pilnowała portmonetki, poruszała się jedynie w bezpiecznych miejscach i modliła, zanim wsiądziesz do taksówki.

Posypałem korą Twoje rabaty z roślinami jednorocznymi i poprzycinałem trochę żywopłot. Myślę, że zarówno mnie, jak i Tobie będzie teraz łatwiej przez niego przechodzić.

A teraz najświeższe wiadomości:

W sobotę panna Pattie włożyła do torby podróźnej cały zapas batoników Snickers i pudełko kremu Pond's, po czym uciekła z domu. Dotarła aż do pomnika na miejskim skwerze, zanim znalazł ją Rodney i odtransportował do domu policyjnym radiowozem. Wygląda na to, że ta przejażdżka była jednym z najwspanialszych wydarzeń w ostatnim okresie jej życia, więc Rodney obiecał, że kiedyś przyjedzie i zabierze ją znowu. Porządny z niego gość.

W końcu miałem okazję usłyszeć, jak śpiewa Dooley w szkolnym chórze, i muszę ci powiedzieć, że jest absolutnie wspaniała. Ciarki przeszły mi po prawej nodze, a to znak, który mówi mi nieomylnie, że coś jest dokładnie takie, jakie powinno być. Przy okazji, nasz chór młodzieżowy przygotowuje olśniewający program, który będzie gotowy na Twój powrót na Boże Narodzenie.

Wczoraj po południu Barnaba wyrwał mi z ręki smycz i pobiegł przed Twój dom. Obwąchiwał wszystko bez końca, a potem wszedł na górę po schodach i położył się na Twoim ganku. Mogę wnioskować z tego jedynie, że niesłuchanie za Tobą tęskni, podobnie jak Twój szczerze oddany, Timothy..."

W niedzielę, w którą miała się odbyć w Mitford procesja adwentowa, jasno świeciło słońce, panował też jednak przenikliwy ziąb. Z dużą przyjemnością nałożył wełniany płaszcz z wielbłądziej sierści, który Puna przedtem wyszczotkowała i powiesiła na drzwiach od szafy. Płaszcz wisiał tam ponad dwa tygodnie, a on z niecierpliwością czekał, aż się oziębi. Zimy zrobiły się tak łagodne, że przez ostatnie kilka lat prawie w ogóle go nie nosił. Niech nadejdzie ostra zima!, myślał, gwizdząc pod nosem poranną pieśń.

O czwartej po południu mieszkańcy miasteczka zebrali się tłumnie w Lord's Chapel, gdzie szczękając zębami, stali w ławkach, podczas gdy chór przeszedł środkiem kościoła pod ołtarz. „O Syjonie, przynosisz dobre wieści, wznies się na wyżyny i śpiewaj!” Promienie popołudniowego słońca wpadały do środka przez okna witrażowe, zalewając sanktuarium wielobarwnymi plamami światła. Już samo to wystarcza, pomyślał, niepotrzebne są żadne słowa ani hymny.

Po mszy razem z Dooleyem poszli w ślad za procesją do kaplicy metodystów, gdzie na schodach czekał na nich chór młodzieżowy.

— Czy słyszycie? To aniołowie zwiastują Dobrą Nowinę — zaśpiewali, a ich ciepły oddech zamienił się w unoszące się na mroźnym powietrzu obłoczki pary. W każdym oknie zapalono świecę, a ludzie wypełnili nawę i stali na kościelnym dziedzińcu, słuchając historii narodzenia Jezusa czytanej z Ewangelii według świętego Łukasza.

Następnie wszyscy wylegli na boczną uliczkę, a potem szli dalej Main Street, śpiewając ze wszystkich sił w najróżniejszych tonacjach. W tej chwili prowadził ich już J.C. Hogan, który nie zważając na nic, cofał się pośpiesznie, fotografując nadchodzący tłum.

Na rogu Main Street i Lilac Road dołączyli do nich prezbiterianie z dziesięcioosobową orkiestrą dętą i poprowadzili zmarznięty, ale rozradowany regiment ulicą do kościoła baptystów, gdzie uczniowie niższych klas śpiewali *O małe miasteczko Betlejem*, przy akompaniamencie ich kaznodziei grającego na gitarze. Obejrzeliby również inscenizację scenki przy żłóbku, do której wszystkie kostiumy przygotowała żona kaznodziei.

Potem wszyscy stłoczyli się we wspólnej świetlicy, gdzie orkiestra dęta grała *Radość światu*, sprawiając, że w kredensach trzęsły się szklane drzwiczki. Członkinie Kościoła rozłożyły na stołach mnóstwo kanapek, herbatników, ciastek, cukierków domowej roboty, rozstawiły gorącą czekoladę i parujący jabłecznik.

— Wydaje mi się, że oto nadszedł właściwy moment, aby zregenerować nadwątlone siły — powiedział pastor do swojego prezbiteriańskiego kolegi.

— Jeszcze jedno wyznanie w tym mieście i niektórzy z nas nie będą w stanie wytrzymać do końca. Właśnie zrobiliśmy dwa kilometry.

— Wydaje mi się, że nie ma już innych wyznań, prawda? — zapytała panna Pruitt, szefowa szkoły niedzielnej.

— No cóż, zastanówmy się. Są jeszcze luteranie!

Edith Mallory przeciskała się przez tłum, niosąc kapiącą filiżankę jabłeczника. W jej oku dostrzegł coś, co zdawało się mówić, że on jest gwoździem, a ona młotkiem zdeterminowanym zdzielić go prosto w łeppek.

— Uroczą msza w Lord's Chapel — zauważyła chłodno.

— Tak, też mi się tak wydaje, a jak ci się podobała procesja?

— Procesja? Ja nigdy nie biorę udziału w adwentowej procesji, zawsze jadę samochodem.

— Rozumiem.

Odwrócił się tak szybko, że wytrącił jabłecznik z ręki pani burmistrz Cunningham i aby uciec przed Edith, skwapliwie pomagał przy wycieraniu rozlanego napoju. Gdy po chwili wyprostował nogi w kłębiącym się tłumie, Edith zniknęła.

Nie podnosząc głowy, odnalazł Dooleya i wyszedł do domu, aby rozgrzać się pod prysznicem i raz jeszcze przeczytać list, który czekał na jego nocnej szafce.

„Najdroższy Timothy,

nie, przekreśl to. Mój Najdroższy Sąsiedzie, przez cały dzień jeździłam taksówkami, pamiętając o Twojej radzie. Gdy przywołuję taksówkę, staram się modlić i Bóg był bardzo łaskawy, zsyłając mi uprzejmych, rozmownych i bardzo miłych kierowców. Jeden gonił nawet za mną chodnikiem, żeby wręczyć mi apaszkę, którą zostawiłam na siedzeniu. Czy możesz to sobie wyobrazić? Uważam to za prawdziwy cud.

O! Sklepy aż pękają w szwach od pięknych skarbów. Tak bardzo chciałabym mieć Cię tutaj! Dla bezpieczeństwa trzymałabym się Twojego ramienia, podczas gdy podziwialibyśmy sklepowe wystawy i wchodzili na chwilę na gorącą herbatę do jednego z tych cudownych hoteli ze skórzanymi miękkimi ławami i ważnymi kelnerami. Ty dawałbyś duże napiwki, żeby zrobić na mnie wrażenie, a ja ścisnęłabym Cię czule z wdzięczności za to, że przyjechałeś.

Moja praca zrobiła się teraz bardzo mozolna. Czasami zdaje się w jakiś cudowny sposób żyć własnym życiem i jakby pociąga mnie za sobą — to jak pływanie na desce surfingowej! Kiedy indziej znowu ciągnie się i ślimaczy, sprawiając, że rozpaczam, czy kiedykolwiek uda mi się jeszcze napisać chociaż jedno słowo albo narysować chociaż jeden rysunek. Odkryłam, że jeśli człowiek się nie podda-

je, tylko wytrwale brnie do przodu w tych trudnych okresach, nagle zupełnie zniecka olśniewa go najradośniejsza myśl albo pomysł — sposób na zrobienie czegoś, którego nigdy wcześniej nie widziałam — a potem znowu się zaczyna, i tylko trzeba pamiętać, żeby się mocno trzymać!

Ostatnio zdarza mi się robić przedziwne rzeczy. Jednego wieczoru przyniosłam do domu torbę z zakupami z delikatesów i — podczas gdy myślałam o naszych pocałunkach na lotnisku — położyłam pudełko lodów na łóżku, a kapelusz włożyłam do zamrażarki.

Co gorsza, mówię do siebie na ulicy, a to zupełnie niedopuszczalne! W rzeczywistości mówię do Ciebie, ale nikt by w to nie uwierzył. »Timothy — powiedziałam jednego dnia, przyglądając się wystawie u Tiffany'ego — tak bardzo chciałabym, żebyś dał się porwać uczuciom i nie czekając ani chwili, wsiadł do samolotu!« Skąd miałam wiedzieć, że obok mnie stoi kobieta? Spojrzała na mnie chłodno, a potem oddaliła się statecznym krokiem. Myślę, że to ta część o dawaniu się porwać uczuciom tak na nią podziałała.

Jestem podekscytowana wiadomością o śpiewie Dooleya, a szczególnie o tym, że wywołał on ciarki w Twojej nodze. Jeśli o mnie chodzi, to niezawodnym znakiem dla mnie, że coś jest absolutnie doskonałe, jest mrowienie na czubku głowy. W każdym razie jestem z Was bardzo dumna i już nie mogę się doczekać, kiedy usłyszę go w chórze, gdy przyjadę do domu dwudziestego trzeciego.

Wysłałam do Was wszystkich paczkę. Jest tam coś dla każdego, nie wyłączając mojego dobrego przyjaciela Barnaby oraz Jacka, dla którego przesyłam wyborny smakołyk. Gdybym miała wysłać Ci, wszystko, co mi o Tobie przypomina, otrzymałbyś natychmiast granatowy płaszcz z kaszmiru, gołębkowy kapelusz borsalino, pikantną szynkę, parę wędzonych bażantów, stolik do biblioteki z sekretną szufladą, lustro z rączką z kości słoniowej, siedemnastowieczny obraz olejny przedstawiający dwunastoletniego Jezusa nauczającego w świątyni, perski chodnik, podświetlany globus i błękitny szlafrok z Twoimi inicjałami na kieszeni. Proszę bardzo!

Nie zapomniałam też oczywiście o Puny. Trufle są dla niej i proszę, trzymaj się od nich z daleka. Mogą wywołać niezliczoną liczbę cukrzykowych śpiączek.

Czy mógłbyś poprosić pana Hogana, żeby przesyłał moją prenumeratę „Muse” pod ten adres? Myślę, że sama mogłabym zadzwonić do niego ponownie, ale za każdym razem gdy próbowałam, jego telefon w redakcji nie odpowiadał. Nie umiem sobie wyobrazić, skąd bierze informacje o wszystkich ważnych wydarzeniach. Przypuszczam, że zbiera je w Main Street Grill.

Zakończę już list i pójdę poszukać pantofli, których nie mogę znaleźć od wczoraj. Może powinienam zaglądnąć do zamrażarki.

Z najczulszymi wyrazami miłości dla Ciebie, gorącymi pozdrowieniami dla Dooleya, Barnaby i Jacka.

Nie był pewien swojego zdania co do kapelusza borsalino i miał już płaszcz, natomiast pikantna szynka wydawała mu się cudownym pomysłem.

Nucąc *Czy słyszyście? To aniołowie zwiastują Dobrą Nowinę*, zszedł na dół, z szeleszczącym w kieszeni szlafroka listem. Po kolacji z Dooleyem usiadł w salonie i przeczytał go jeszcze raz.

Był dopiero koniec listopada i uważał, że to jeszcze trochę za wcześnie na rozwieszanie światełek.

Mitford jednak było zupełnie pozbawione takich skrupułów — mrugające światełka ciągnęły się od jednego do drugiego końca Main Street; zielone, przystrojone wstążkami gałązki jedliny zdobiły latarnie; właściciele sklepów zapełnili okna wystawowe wszelkimi dobrami, od kiwającego głową świętego Mikołaja po pudełko darmowych szczeniaków z czerwonymi obrózkami i jemiolą.

Plac z choinkami został wytyczony na skraju Little Mitford Creek, naprzeciwko domku Winnie Ivey, i cały aż jeżył się od jodełek Frasera z sąsiedniego okręgu. Prawdę powiedziawszy, w którąkolwiek stronę by spojrzeł, widział choinkę przywiązaną do dachu samochodu albo ciężarówki i pełnego nadziei kierowcę śpieszącego do domu na wieczorne uroczystości.

Kolędy płynęły z głośników w Księgarni Szczęśliwych Zakonców, ożywiając koniec ulicy, a miejski pomnik został z szacunkiem udekorowany girlandami z bukszpanu i ostrokrzewu.

Avis Packard napełnił drewniane skrzynie przed Sklepem zielonymi gałązkami i górskimi jabłkami, a poza tym ogłosił promocję na jabłecznik w dzbanku.

Gdy pewnego ranka siedział w tylnym boksie, jedząc śniadanie, widział, jak Percy Mosely podnosi znajdujący się za grillem wóz i znosi na dół pudełko ciastek z bakaliami. Podawane z bitą śmietaną i wiśnią będą jego świątecznym specjałem deserowym. Percy własnoręcznie przygotował znajdujący się na ladzie napis: „Oszalejcie na punkcie naszych ciastek z bakaliami”.

Msza święta kolęd i czytania Pisma Świętego w Lord's Chapel zbliżała się w zastraszającym tempie, a po niej miały ruszyć pełną parą wszystkie pozostałe msze i uroczystości.

Nagle ogarnęły go wątpliwości, co powinien dać Cynthii i co mógłby dać Dooleyowi. Tak, w tym roku chciał też zanieść prezenty do Fernbank. Sama myśl o tym sprawiła, że głowa wydała mu się nagle dziwnie lekka i pusta, i w konsekwencji musiał zacząć szukać sensownych myśli, jak ktoś, kto szuka poszewek na poduszki, które zwiął ze sznurka gwałtowny wiatr.

Kilka razy złapał się na tym, że chodził w kółko po salonie, jak krążący po torach pociąg. Pociąg! Trzeba go będzie znieść ze strychu, co było idealnym zajęciem dla Dooleya Barlowe'a. Delegowanie obowiązków! Właśnie to powinien zrobić. I dlaczego dręczyć się tym, czego ludzie mogliby chcieć albo co mogłoby im się podobać. Dlaczego nie zapytać ich wprost? Nigdy jeszcze tego nie robił, ale ostatnio czytał artykuł, w którym stwierdzono, że ta strategia przynosi doskonałe rezultaty.

— Radiomagnetofon — powiedział Dooley.

— Co takiego?

— Radiomagnetofon, żebym mógł słuchać muzyki.

Ciekawe, jakiej muzyki, chciał zapytać, ale tego nie zrobił. I jak głośno?

Gdy rozmawiał tego wieczoru z Cynthią, oświadczyła:

— Przyrząd do masażu szyi! Pracuję pochylona nad tymi ilustracjami przez tak wiele godzin, że szyja sztywnieje mi jak kolek. Przyrząd do masażu szyi byłby najcudowniejszym prezentem, jaki potrafię sobie wyobrazić.

Przyrząd do masażu szyi. W całym swoim życiu nie dawał nikomu takiego prezentu. Jak dalece trzeba było pozwolić się porwać uczuciom, żeby podarować komuś przyrząd do masażu szyi?

W jej głosie usłyszał zmęczenie.

— Pracuję bardzo ciężko, żeby skończyć, a ponieważ mój wydawca jest obecnie w Europie, czuję się zupełnie bezradna, gdy przychodzi do zadecydowania, czy coś jest dobrze czy ile. To tak wspaniale usłyszeć, jak ktoś mówi: „Tak, to śliczne” albo „Na Boga, Cynthia, o czym ty myślałaś?” No, ale dość już o mnie. Co ty chciałbyś dostać na Boże Narodzenie, Timothy?

— Nie mogę powiedzieć, że o tym nie myślałem. Chcę ciebie i Dooleya, i Barnabę, i ognia na kominku w salonie, i wspaniałej uroczystej kolacji, i spokoju. Spokoju biorącego się z tego, że ty znowu jesteś w domu, że chłopiec odnajduje spokój, że jesteś zadowolona, ponieważ masz za sobą pomyślnie ukończone trudne zadanie. Tego i niczego więcej.

— Jakże jesteś mi drogi.

— Jestem? Chciałbym wiedzieć dlaczego.

— Może gdybyś wiedział dlaczego, wszystko by to zepsuło. Jest to myśl, przyznał.

— Czy nikt z twojej rodziny już nie żyje, z wyjątkiem Waltera i Katherine? Czy obydwójce zostaliśmy tak prawie zupełnie sami na świecie?

— Moja mama miała trzy siostry, ale tylko jedna z nich miała dzieci.

— Wobec tego masz jeszcze innych kuzynów! W jej głosie słychać było radość i nadzieję.

— Jedno z dzieci ciotki Lily zniknęło po rozwodzie, drugie zginęło w wypadku. Ciotka Martha w wieku czterdziestu pięciu lat poślubiła mężczyznę starszego od siebie o trzydzieści lat, a ciotka Peg była, jak zwykliśmy ją nazywać, starą panną. Natychmiast po ukończeniu college'u kazała wyszyć na swojej pościeli i obrusach własne inicjały, oświadczając, że nigdy nie wyjdzie za mąż.

Cynthia zaśmiała się.

— I co się z nią stało?

— Hodowała wygrywające konkursy astry i stała na czele lokalnego oddziału Córek Amerykańskiej Rewolucji.

— Niesamowite! — zawołała Cynthia, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

— Sama więc widzisz. Krewnych jak na lekarstwo, z wyjątkiem oczywiście tej hałaśliwej gromady z Irlandii. O ile sobie przypominam, Walter i ja byliśmy w jakiś sposób spokrewnieni z nieomal każdym obecnym na tej herbatce.

— Kocham Irlandczyków!

— Irlandczycy kochaliby ciebie — odparł.

Przyrząd do masażu szyi i radiomagnetofon to szalenie intrygujący początek listy zakupów, myślał, wykręcając numer telefonu panny Sadie.

— Co bym chciała? Och, jej, przypuszczam, że powinnam spędzać więcej czasu, zastanawiając się nad tym, czego bym chciała, niż czego mi potrzeba. Byłabym dużo bardziej interesująca, prawda, ojczu?

— Pani w żaden sposób nie może być już bardziej interesująca.

— Och, phi! No cóż, niech się zastanowię. — Nastąpiła chwila ciszy. — Nie mam zielonego pojęcia! Zapytam Louellę. Louello, czego chcę na Boże Narodzenie?

— Nowych pończoch, nowego różu i nowej halki — usłyszał dochodzącą z oddali szybką odpowiedź Louelli.

Panna Sadie zakryła słuchawkę ręką, ale mimo to usłyszał stłumioną rozmowę.

— Nie mogę prosić własnego księdza o pończochy i halkę!

— W takim razie proszę poprosić go o róż. Jest pani biała jak prześcieradło.

— Louella mówi, żebym poprosiła o róż, ojczu. Niezbyt czerwony i niezbyt różowy. Ojej, to naprawdę krępujące, może po prostu trochę cukierków ze sklepu. Lubimy nugaty.

Usiadł na sofie, śmiejąc się. Nigdy przedtem nie doświadczał tego dokładnie w taki sposób, ale z pewnością zaczynał go ogarniać przedświąteczny nastrój.

Zadzwoił do Dory Pugh ze sklepu żelaznego i poprosił, aby zamówiła worek specjalnej karmy dla królików. Następnie zadzwonił do Avisy ze Sklepu i zamówił dwa i pół kilograma belgijskich czekoladek — dwa dla sióstr w szpitalu i pół dla Louelli. Poprosił Avisy, aby przygotował dość żywności, żeby wypełnić dwanaście koszyków, i zarezerwował jego wyborne kości wołowe, poczynając od zaraz.

Nie zamierzał pytać Waltera, co chciałby dostać. Nie, zdecydowanie nie. Walter chciałby kaszmirowy sweter, marynarkę z Brooks Brothers albo pióro Mont Blanc. Równie dobrze mógłby poprosić o podświetlany globus na antycznej podstawie, czy też oprawny w skórę atlas, albo o obie te rzeczy jednocześnie.

Zamówił kalendarz na biurko do gabinetu Waltera i skórzaną ramkę na zdjęcie ich trojga na tle rodzinnego zamku — dla Katherine. Dali jednofuntowy banknot przechodzącemu obok irlandzkiemu chłopcu, który sfotografował ich nikonem Waltera, osiągając zachwycający rezultat. Na kolorowej odbitce, na której wszyscy wyglądali o wiele młodziej, widać było w tle sypiące się ruiny zamku. Jeszcze teraz, podejrzewał z czułym politowaniem, bezcenna fotografia płacze się luzem w jednej z przepastnych szuflad Katherine i wkrótce zaczyna ją zdobić ośle uszy.

Poszedł do banku, wybrał pięć szeleszczących banknotów studolarowych i wstąpił do sklepu po róż.

Proszę bardzo. Jestem już prawie zupełnie gotowy, pomyślał. Przez całą drogę do baru Grill gwizdał wesoło.

Uśmiechając się, Emma stała przed jego biurkiem i potrząsała torbą z domu towarowego w Wesley.

— To twój prezent bożonarodzeniowy — obwieściła. — Zgadnij, co to takiego!

Ponownie potrząsnęła torbą.

Każdego roku na całe sześć tygodni przed Bożym Narodzeniem nie mogła już dłużej wytrzymać i dawała mu jego prezent. Co gorsza, w dniu Bożego Narodzenia nigdy nie miała już do otworzenia żadnych własnych prezentów, ponieważ zawsze rozpakowywała je pośpiesznie tuż po ich otrzymaniu.

— Nie potrafię zgadnąć — odparł żałośnie. — Krawat?

— Pudło.

— Woda po goleniu!

— Nie starasz się.

— Kalkulator na baterie słoneczne.

— Ha! Znowu pudło.

Otworzyła torbę i rzuciła coś na jego biurko. Jej sztuka prezentacji zawsze pozostawiała wiele do życzenia.

— Przewodnik po restauracjach w Nowym Jorku! Spojrzał na książkę bez słowa.

— Wiem, że nigdy przedtem tam nie byłeś, więc kiedy pojedziesz odwiedzić swoją sąsiadkę, będziesz wiedział, jak się zachować.

Była z siebie tak zadowolona, jakby podarowała mu zegarek firmy Rolex.

— Kto powiedział, że jadę do Nowego Jorku?

— To znaczy, że nie jedziesz?

— Oczywiście, że nie.

— Nawet na weekend?

— Jak sama zauważyłaś.

— Chcesz powiedzieć, że zamierzasz zostawić ją samą sobie w tym zapomnianym przez Boga mieście? Bez żadnej pomocy z domu? Czy widziałeś, jakich oni tam mają mężczyzn w branży wydawniczej? Przystojnych! Inteligentnych! Wysokich!

Świadomie zostawiła ten ostatni argument na koniec, żeby dobić go ostatecznie.

— A co ty — pozwolisz, że zapytam — w ogóle wiesz o branży wydawniczej?

— Jak wiesz, oglądam telewizję, a to więcej, niż mogę powiedzieć o kilku innych osobach.

— Aha. To znaczy, że ludzie z branży wydawniczej często pojawiają się w telewizji?

— Cały czas! Bardzo przystojni i nieprzeciętnie inteligentni.

— Z tego, co widziałem ostatnio w księgarniach, występują w telewizji, ponieważ nie potrafią sobie znaleźć lepszego zajęcia. Jeśli o mnie chodzi, Emmo, ja jestem obecnie zajęty pięcioma mszami świątecznymi, festiwalem muzycznym, występem chóru młodzieżowego, chrztem, przyjęciem w szpitalu, tematem do dyskusji na śniadanie modlitewne mężczyzn i połączoną z noclegiem wizytą biskupa. Dziękuję za twój prezent i proszę cię bardzo — błagam — weź sobie dzisiaj wolne.

Potykał się w jej oświetlonej dwudziestopięciowatową żarówką piwnicy, przedzierając się przez podpisane pudełka. Mimo że najwyraźniej ktoś próbował ułożyć je w alfabetycznym porządku, światełka bożonarodzeniowe znajdowały się na pudle podpisanym: 1001 drobiazgów z sieni.

Chyba żadne inne zajęcie nie było tak idealnie stworzone do pracy zespołowej jak rozwieszanie światełek na krzewach. Gdy wziął pudełko na górę, do jej salonu, odkrył, że światełka przypominają zwój długich nitek ugotowanego makaronu.

Minęły całe trzy godziny, zanim krzewy po obydwu stronach jej ganku rozbliły ciepłym światłem. Znak życia w małym domku, nareszcie! Oceniał całość i podmuchał na zmrożone dłonie. Ani jednego samochodu na ulicy, ani jednej żywej duszy, która mogłaby zobaczyć jego arcydzieło, rozweselające całą okolicę i głoszące cudowną nowinę. Gdyby nie było tak późno, przyciągnąłby tutaj Dooleya, żeby mógł to zobaczyć.

Wszedł do domu, do jej salonu, wyłączył światełka na krzewach i zamknął drzwi wejściowe. W domu było bez niej bardzo pusto, a jednak gdziekolwiek by spojrzał, wyczuwał jej obecność — ten dom nie mógł należeć do nikogo innego, tylko do Cynthii. Podeszedł do półki nad kominkiem i przyjrzał się zdjęciu, którego wcześniej nie widział. Musiała mieć około szesnastu, siedemnastu lat i spoglądała na niego w taki sposób, że poczuł nagłe ukłucie w sercu. Jej jasne długie włosy rozpuszczone były swobodnie, a oczy przepełniała nadzieja.

— Cynthia — powiedział na głos, dotykając ramki.

Na półce stały też inne zdjęcia: jedno zapewne jej siostrzeńca, jedno rodziców, z jej matką w ozdobnym szalu z frędzlami, opartą na ramieniu mężczyzny, który wyglądał jak Douglas Fairbanks Junior, w dwurzędowej marynarce. Zauważył, że spoglądali w przeciwne strony, a mała dziewczynka stojąca obok nich robiła wrażenie zagubionej.

Wyłączył światła w salonie i poszedł wzdłuż korytarza do jej pracowni. Nie było w niej deski do rysowania, fotela i wielu z jej książek, a mimo to powitał go delikatny zapach wistarii.

— Cynthia! — powiedział, czując, że coś ścisną go w gardle.

Dlaczego ostatecznie nie miałby pojechać do Nowego Jorku na dzień czy dwa? Nie było to czymś niewyobrażalnym. Odezwał się stanowczo zbyt surowym tonem do Emmy, łajając ją za głupi pomysł. Ale czy on był głupi?

Mógłby zabrać Cynthię na kolację do jakiejś legendarnej restauracji, na przykład Sardi's albo Stork Club. Czy Stork Club nadal istniał? Jeśli nie, mogliby się wybrać do Plaza, co do której miał pewność, że nadal istnieje — czytał o niej w jakimś czasopiśmie. Może spadłby śnieg i wybraliby się na przejażdżkę dorożką po Central Parku, z nogami okrytymi kocem. Może oglądaliby okna wystawowe u Tiffany'ego i może, kto wie, weszliby do środka, a on kupiłby jej coś cudownego, coś, co sprawiłoby, że poczułaby mrowienie na czubku głowy.

Nie chciał myśleć o „mężczyznach z branży wydawniczej”, którzy rzeczywiście mogli zabiegać o jej towarzystwo podczas kolacji, sztuki czy koncertu. Ale dlaczego nie miałyby się cieszyć towarzystwem przystojnych, dynamicznych grubych ryb, tylko całymi wieczorami ślęczeć w obcym mieszkaniu, ciężko pracując na kawałek chleba?

Stał przy telefonie w jej pracowni i wdychał zapach perfum, który stał się tak nieodłączną częścią Cynthii jak oddychanie. Wyciągnął wizytówkę z portfela, wykręcił zapisany na odwrocie numer i poprosił o obciążenie kosztami połączenia własnego numeru.

Odebrał mężczyzna. Dźwięk głębokiego barytonu, jaki usłyszał, był dla niego takim szokiem, że nieomal odłożył słuchawkę.

— Czy... mógłbym rozmawiać z Cynthią Coppersmith?

— Z Cynthią? Ach, Cynthia właśnie się ubiera. Czy mogę ją poprosić, żeby zadzwoniła do pana jutro?

Jutro? To słowo uderzyło go w jakiś dziwny sposób.

— Nie, dziękuję — odpowiedział wolno. — Nie ma takiej potrzeby.

Rozdział piąty

BURZA ŚNIEŻNA

Przyglądał się owcy zmierzającej dziarskim truchtem w kierunku nawy i podążającym za nią dwóm łaciatym krowom, osiołkowi i wielbłądowi. Zauważył, że garb wielbłąda zsunął się na bok i uderza o podłogę, ale było już za późno, żeby cokolwiek na to poradzić.

Mędrcy posuwali się już pomiędzy ławkami w stronę ołtarza, gdzie anioł Gabriel i niebiańskie zastępy stały, niebezpiecznie balansując, na stopniach drabiny i przyglądały się scenie przy żłóbku.

W ciągu piętnastu minut — tyle zajmie dzieciom odegranie przedstawienia — szybko skoczy do świetlicy parafialnej, żeby napić się wody i zabrać notatki do kazania.

Jakie to niezwykle, pomyślał, wchodząc do ciemnego pokoju. Wygląda na to, że w moim fotelu siedzi anioł.

Czteroletnia Amy Larkin zwinięta była w jego ulubionym fotelu, a jej blade skrzydła z szyfonu drżały od jej łkania.

— Amy — powiedział, klękając obok niej. — Co się stało? Spojrzała na niego. Z jej oczu lał się strumień łez, a z nosa kapąło.

— Te duże anioły były dla mnie niedobre! Popychały mnie i wybiegały przede mnie, i nie pozwoliły mi stanąć na swoim miejscu! Byłam w korytarzu i one wybiegły przede mnie, i... i...

— I...

— I zgubiłam się! — zawołała z rozpaczą w głosie.

Podniósł ją z fotela i przytulił. Uderzyła go fala szczęścia, gdy tylko wziął w ramiona dziecko.

Po zakończeniu przedstawienia szedł między ławkami, na końcu procesji, niosąc Amy w ramionach. Gdy akolici usadowili się na swoich miejscach, zwrócił się do zebranych w kościele:

— Ten mały anioł odłączył się od niebiańskich zastępów. Margaret Anne?

Przyjrzał się ławkom, szukając wzrokiem jej matki.

Amy zacisnęła mocniej ramię na jego szyi i powiedziała głośno.

— Byłam z tymi dużymi aniołami i one wybiegły przede mnie, i zostawiły mnie, i zgubiłam się!

— Przyszło mi na myśl — przemówił — że wielu z nas być może zostawia za sobą takie właśnie małe anioły. Jako dojrzały chrześcijanie, czy nie zaniedbujemy niesienia pomocy tym, którzy mogliby skorzystać z naszej miłości i naszego świadectwa?

Postawił Amy na podłodze w chwili, gdy jej matka nadeszła pośpiesznie z tyłu kościoła, gdzie zajmowała miejsce w jednej z ławek.

— Taka sobie refleksja — dodał, uśmiechając się do swojej trzódki.

Nie mógł nie zauważyć, że Olivia nałożyła dzisiejszego ranka jeden z kapeluszy swojej ciotecznej babki. Na jej głowie nie był on jedynie antyczną osobliwością, ale zdecydowanie dodawał tajemniczości jej fiołkowym oczom i uderzającej urodzie.

Zauważył z ambony, że Olivia trzyma za rękę pannę Sadie, podczas gdy Hoppy ujmuje jej dłoń, a panna Sadie ściska mocno dłoń Louelli. Niezły bigos, pomyślał.

Mimo że prawda o ich pokrewieństwie prawie na pewno pozostanie sekretem rodzinnym, panna Sadie kiedyś opowiedziała mu o swoich planach. „Gdy Olivia będzie wychodzić za mąż, chcę otworzyć salę balową i wydać na ich cześć wspaniałe przyjęcie! Zostanie otwarta po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat, i na pewno po raz ostatni. Bardzo proszę, ojcze, proszę się za mnie modlić, bo te stare kości będą musiały wykrzesać z siebie mnóstwo energii, żeby podołać temu zadaniu. Jakże żałuję, że nie dowiedziałam się o swojej siostrzenicy, zanim zrobiłam się taka zniedołężniała. Mogłabym zrobić znacznie więcej !”

Po spotkaniu przy kawie płukał swoją filiżankę nad zlewozmywakiem, gdy nagle w drzwiach pojawiła się Edith, niosąc tacę z filiżankami po kawie. Mimo że kilka osób nadal kręciło się po świetlicy parafialnej, w kuchni byli sami.

Mówiła do niego, wkładając filiżanki do zmywarki, ale nie patrzyła na niego. Jej głos był zimny i spokojny.

— Timothy, wiem, że jesteś niezwykle namiętym mężczyzną. Zawsze to w tobie widziałam.

Mówiła tak, jakby czytała z jakiegoś dokumentu prawnego. Przeszył go zimny dreszcz.

— Wiesz, Timothy, że ciebie pragnę, i mam wszelkie powody, żeby wierzyć, że i ty mnie pragniesz. Oczekuję, że skończysz tę głupią zabawę w kotka i myszkę i pokażesz mi, co do mnie rzeczywiście czujesz.

— Edith...

— Zachowujesz się tak, jakby nadal żył Pat. Pat nie żyje. Jest całkiem martwy.

Gdy tak stał, przyglądając się z obrzydzeniem, jak skóra opina jej twarz, doświadczył nagłego, rozgrzewającego przypływu siły — uwierzył, że może stawić jej czoło i poradzić sobie ze wszystkim. Z dodatkową pomocą przyszła mu dość szczególna myśl, że jest od niej wyższy.

— Edith, jest coś, co powinnaś wiedzieć. Usłyszał lód w swoim własnym głosie.

— Cokolwiek by to było — odparła, kontynuując załadowywanie zmywarki. — Nie nudź mnie swoją pozą wielce świętego księdza. Mam już powyżej dziurek w nosie twojego pozowania na wielce świętego księdza.

— Aa, ojczy! — Do kuchni wszedł Ron Malcolm, wkładając płaszcz. — Zanim wyjdę, chciałbym porozmawiać z ojcem o pewnym problemie, który mamy na wzgórzu. Czy możemy wyjść na chwilę na korytarz?

Chciał uściskać na miejscu swojego rumianego szefa komitetu budowlanego. To cudowne wybawienie miało jednak jeden mankament — zdał sobie sprawę, idąc korytarzem.

Stojąc przy zlewozmywaku, poczuł, że całkowicie panuje nad sytuacją. Był absolutnie pewien, że raz na zawsze może powiedzieć Edith Mallory, co myśli, i to bez ogródek.

Postanowił wierzyć, że nie stracił tej okazji bezpowrotnie.

Zawartość paczki z prezentami od Cynthii rozeszła się nieomal natychmiast. Puny podzieliła się truflami z Joe. Joe, Barnaba pochłoniął zawartość paczki z delikatesów podpisanej jego imieniem, a Dooley zniknął na górze ze stanowczo zbyt dużą liczbą ciasteczek, cukierków, orzechów i chipsów.

Swoją część schował do kredensu, zostawiając jedynie pięknie zapakowane w pudełku ciasteczka, które ukrył w swojej szafce nocnej. Mimo że były zupełnie pozbawione cukru, okazały się tak wyśmienite, że z łatwością mógłby się od nich uzależnić. Zaczął marzyć o tym, by przed położeniem się spać zjeść jedno ciasteczko do herbaty, a jednocześnie obawiał się nadejścia chwili, w której wszystkie będą już zjedzone.

Nie myśl o tym w ten sposób, powiedział sobie. Myśl o tym tak: Gdy pudełko będzie puste, ona będzie już w domu.

Stuart Cullen przyjedzie w czwartek i zatrzyma się u niego na noc — w drodze na spotkanie wyżej w górach.

— Przyjeżdża papież — usłyszał, jak Puny informuje przez telefon swoją siostrę.

— Stuart nie jest papieżem — wytłumaczył jej. — On jest biskupem. To katolicy mają papieża.

— Mój dziadek mówił, że w całym życiu nie spotkał katolika, który miałby chociaż blade pojęcie o Piśmie Świętym...

— W takim razie — rzucił, pragnąc oszczędzić sobie krytycznej tyrady — zróbmy coś z pokojem gościnnym. Minęło już trochę czasu, odkąd mieliśmy gościa.

— Nigdy nie mieliśmy, koniec kropka, odkąd tu jestem. Trzeba go wywietrzyć, wytrzepać materac, postawić kwiaty — skąd je weźmiemy w środku zimy? Możemy użyć ostrokrzewu i zaoszczędzić na wydatkach na kwiaciarnię.

— Jesteś wspaniała! Zgadzam się. A przy łóżku położmy egzemplarz „Muse”. Stuart lubi się pośmiać.

Puny poświęci czwartek na pieczenie chleba i ciasta, a on upiecze polędwicę i zajmie się ziemniakami. Gdy przechodził obok Sklepu, Avis wręczył mu butelkę bordeaux, gratis.

— Skoro to sam papież — powiedział.

„Najdroższy Timothy,

przez cały ranek przechodziły śnieżyce i wszyscy na ulicy, w dole, są opatuleni w futra, czapki i szaliki, co przypomina scenkę z *Jakie cudowne jest życie*.

Ale, nie, niestety, bycie w tym ogromnym mieście samej wcale nie jest cudownym życiem!

Czasami myślę, żeby rzucić to wszystko i pojechać gdzieś w ciepłe tropiki, gdzie mogłabym nosić sarong! Chciałabym przez jakiś czas żyć ciałem, a nie wyłącznie głową.

Pracowałam zdecydowanie zbyt ciężko i nie mogę nocą wyłączyć swoich myśli. Leżę tu godzinami, myśląc o Tobie, o Mitford, o Main Street i o spokoju mojego kochanego domku — a wtedy mała armia stworzeń z nowej książki zaczyna maszerować gęsiego przed moimi oczami.

Ponownie zaczynam się zastanawiać nad ogonem małpy, który rysowałam dzisiaj rano, nad ryjem świni, który będę rysować jutro, nad oczami kurcząt z ciężkimi powiekami — czy kurczak powinien wyglądać aż tak seksownie??!

Może to tak trwać godzinami, aż wyczerpię wszystkie stworzenia, i wtedy wracam do rysowania i znowu zaczynam od początku roztrzasać ogon małpy, który — obawiam się — zdecydowanie za bardzo przypomina ogon collie. Wstaję więc i idę do moich materiałów źródłowych, a tam odkrywam, że się myliłam — on dokładnie przypomina ogon krowy rasy jersey!

To cena, jaką płacę za powiedzenie „dość” książkom o Violet. Mimo to chyba wyskoczyłabym przez okno, gdybym musiała napisać jeszcze jedną książkę o Violet! A tak przy okazji, moja gwiazda leży zwinięta obok mnie, gdy ja piszę ten list, i śni o dramatycznej ucieczce przed ogromnym czarnym psem, które mieszka w sąsiednim domu w jej rodzinnym miasteczku.

Czuję się podekscytowana na myśl o powrocie do domu i spędzeniu moich drugich świąt Bożego Narodzenia w Mitford. To najprawdziwszy dom, jaki kiedykolwiek miałam.

Czekałam i czekałam na list od Ciebie i jeśli go wkrótce nie dostanę, to zadzwonię do Ciebie do baru Grill i powiem Ci, że kompletnie oszalałam na Twoim punkcie, co sprawi, że się oblejesz okrutnym rumieńcem, a wszyscy Twoi kumple będą Ci się przyglądać z rozbawieniem.

Proszę bardzo! To powinno Cię zmusić do napisania do mnie. Jestem pewna, że odpowiesz na mój list.

Z wyrazami miłości, Cynthia".

*

Wcale nie zamierzał nie pisać, ale jak miał znaleźć wolną chwilę, żeby usiąść i napisać? Był to najbardziej pracowity czas w roku dla duchownych, nie wspominając o całej reszcie ludzkiej rasy. Poza tym, co miał zrobić z pytaniem, które natrętnie przychodziło mu na myśl: „Kim był mężczyzna, który odebrał Twój telefon?”

Jak odbiera mężczyzna, odłóż słuchawkę! W najśmielszych snach nie przypuszczał, że stanie się bohaterem takiego klasycznego, nieomal wodewilowego dowcipu. Mężczyzna wypowiedział jej imię z pewną poufałością. „Cynthia — powiedział — właśnie się ubiera”.

Ubiera się?

Było to nie do zniesienia. Na samą myśl o tym czuł wiercenie w żołądku. Po pierwsze, bez wątplenia nie miał zielonego pojęcia, jak należy postępować w romantycznym związku; nie miał pojęcia, jakie obowiązują zasady. A po drugie, szczególnie nie znajdował przyjemności w zabawie w ciuciu-babkę, odgadywaniu czyichś intencji i ogólnie rzecz biorąc — w odczuwaniu tej wywołującej skurcze żołądka niepewności towarzyszącej czemuś, co było bardzo bliskie przerodzenia się w zazdrość, a na co on, pod żadnym pozorem, nie zamierzał pozwolić.

Przypuszczał, że najlepszym rozwiązaniem było napisanie do niej natychmiast i zadanie pytania:

„Droga Cynthia,

kim był mężczyzna, który odebrał telefon, gdy dzwoniłem do Ciebie w niedzielę wieczorem?”

Może właśnie w ten sposób należało to załatwić. Nie miał jednak czasu, żeby to przemyśleć. Skreśli po prostu jakiś krótki liścik, w którym nie będzie żadnej wzmianki o tym incydencie, i zapomniał o całej sprawie. Co do jednego nie miał żadnych wątpliwości — Cynthia z pewnością nie była nie-

szczerą. Nie była typem osoby, która mówiłaby jedno i robiła drugie; był to zaledwie jeden z wielu powodów, dla których ją kochał.

Ale, znowu — czy naprawdę ją kochał? A może jedynie dał się porwać sile jej własnych impulsywnych uczuć?

Do licha!

Cisnął swoim notatnikiem o ścianę salonu dokładnie w chwili, gdy do pokoju wszedł Dooley.

— Hej — przywitał się Dooley, patrząc na notatnik. Spłonął gwałtownym rumieńcem.

— Hej.

— Kiedy pojedziemy po choinkę?

— W tej chwili — odparł. — Włóż kurtkę i weź rękawiczki. Ja pójdę po siekiere.

Śnieg zaczął padać w czwartek po południu.

Razem z Dooleyem ubrali choinkę poprzedniego wieczoru i poszedł do domu na lunch tylko po to, żeby jeszcze raz na nią popatrzeć. Tak! W domu zaczęły dziać się czary. Już od progu czuł ten zapach — wszechobecny aromat jedliny, lasu i wolności, nie dający się przygasić nawet zapachowi piekącego się chleba. Czuł, że ledwie dotyka stopami podłogi.

Barnaba zerwał się z leżącego przed sofą w salonie chodnika i z ciężkim odgłosem oparł przednie łapy na jego piersi, po czym należycie go oblizał. Czegóż więcej mógł żądać od życia? Pracy, którą kochał, ciepłego, wypełnionego upajającymi zapachami domu, własnego psa, dorastającego chłopca — i wszystkiego tego w atmosferze nieodgadnionego cudu narodzin Chrystusa.

— Proszę przyjść i zobaczyć pokój gościnny! — zawołała Puny, stojąc na szczycie schodów.

Pokój, który tak często był zamknięty i zimny, z wyłączonym ogrzewaniem i zamrożoną deską sedesową, był teraz ciepły i przytulny. Puny znalazła w szafie dodatkowe poduszki i oblekła je w wykrochmalone poszewki. Skradła pleciony chodnik sprzed jego własnego łóżka i fotel bujany z garażu. Na nocnej szafce stała butelka wody, a obok leżał egzemplarz „Muse”, sfatygowany egzemplarz czasopisma „Country Life” oraz czekoladka truflowa z pudełka, które Puny dostała od Cynthii.

Na górnej krawędzi ramki obrazu wiszącego nad łóżkiem umieściła gałązkę ostrokrzewu.

— Jak ojciec myśli, nie spadnie to na niego w nocy? Była wyraźnie zaniepokojona.

— Nie, nic mu nie będzie.

— Proszę się na mnie nie złościć, że zabrałam ojca chodnik. On jest biskupem, wie ojciec, a ojciec tylko...

— A ja jedynie skromnym księdzem.

— Bez obrazy.

— Ależ oczywiście!

Sięgnął do kieszeni i podał jej kopertę.

— Wesołych Świąt! Chociaż ja sam jestem jedynie skromnym księdzem, ty, z drugiej strony, jesteś aniołem. I trudno temu zaprzeczyć.

Jej podbródek drżał, gdy otwierała kopertę i wyjmowała z niej studolarowy banknot.

— Wiedziałam! — zawołała przez łyzy, zarzucając mu na szyję ramiona. — Nawet ojciec nie wie, jak bardzo ich potrzebowałam. Moja siostra straciła pracę, a jej najmłodsze jest chore i potrzebuje zastrzyków, i to jest po prostu najwspanialsza rzecz na świecie!

— W takim razie przestań płakać, jeśli możesz.

— Nic nie mogę na to poradzić! — tłumaczyła się, ocierając łyzy rękawem.

Podał jej swoją chusteczkę.

— Właśnie ją wyprasowałam. Wezmę papier toaletowy! oznajmiła, uciekając do łazienki.

Śnieg, który prószył delikatnymi płatkami, zaczął padać gęściej, gdy wracał do biura.

— Na ojca miejscu zostałam w domu — poradziła mu Puny. — Zapowiadali gwałtowną burzę śnieżną.

Jedną z jego największych wad było zwracanie zbyt małej uwagi na codzienne wiadomości. A ponieważ po raz kolejny nie poszedł na śniadanie do baru Grill, nic dziwnego, że brakowało mu podstawowych informacji.

— Wychodzę wcześniej na wypadek, gdyby na drogach zrobiło się ślisko — oznajmiła, wręczając mu jego czapkę i rękawice. — Niech ojciec nie zapomni wyciągnąć tego chodnika z holu z suszarki. To ostatnia rzecz, jaką prałam.

— Możesz na mnie liczyć.

— Ja bym nie wychodziła — poradziła ponownie. Otworzył drzwi i mrużąc oczy, spojrzał w niebo.

— Prawdopodobnie nic z tego nie będzie.

— Na ojca miejscu włożyłabym inne buty.

— No cóż, Puny, nie jesteś na moim miejscu i ciesz się z tego, bo w przeciwnym razie nie wychodziłabyś za męża za Joe Joe już w czerwcu.

Z zaskoczeniem zauważył, że wszystko było już pokryte grubą warstwą śniegu, nie wyłączając krzewów przed głównym wejściem do domu Cynthii. Wkładając czapkę, ruszył zwawym krokiem.

Rozłożyć tory kolejki po wyjeździe Stuarta jutro rano. Poroznosić koszyki. Kupić dość wstążki, żeby starczyło na przewiązanie radiomagnetofonu i zawiązanie kokardki. Zaprowadzić samochód do Lew Boyda. Zanieść czekoladki do szpitala. Pamiętać o rozmrożeniu kilograma wątróbki dla Russella, która znajdzie się w jego koszyku.

Czy powinien udekorować półkę nad kominkiem Cynthii, przyozdobić zielonymi gałązkami poręcze, zawiesić na drzwiach wianuszek? Oczywiście, że tak, powrót do domu pozbawionego bożonarodzeniowych dekoracji to żadna przyjemność.

Przechodząc obok domu Evie Adams, zauważył w oknie pannę Pattie, która mu pomachała; jedno spojrzenie wystarczyło, żeby się przekonał, że panna Pattie cieszy się na nadchodzące Boże Narodzenie. Uśmiechnął się i pomachał do niej. Cieszyłaby się jeszcze bardziej, gdyby wiedziała, że w jej koszyku znajduje się dwanaście batoników Snickers.

Gdy szedł ulicą, lodowaty śnieg zacinał mu prosto w twarz. Mimo że piękny, nie był jednak tak łagodny i przyjazny, jak czasami bywa górski śnieg. Był to śnieg tego rodzaju, który się znosi, dopóki się nie skończy.

Kiedy skręcił w drogę prowadzącą do biura, zauważył, że Mitford stawało się w szybkim tempie jedną z tych miniaturowych wiosek zamkniętych w szklanej półkuli, która po wstrząśnięciu i postawieniu na podstawie dosłownie aż kipiała od opadających płatków śniegu.

Poczta nadeszła dzisiaj późno. Widział Harolda Newlanda, uginającego się pod ciężarem torby z pocztą i opatulonego po uszy, żeby w ten sposób nie dać się zimnu.

— Nie wyślę ci świątecznej kartki — ostrzegła go Emma. — Postanowiłam przestać wysyłać kartki świąteczne, koniec kropka. Przynajmniej Harold nie musi się z nimi męczyć.

— To szlachetny gest.

— Co prawda to tylko kropla w morzu, ale zawsze coś.

Ucieszył się, widząc kremową kopertę na spodzie sterty kartek z życzeniami.

„Drogi Timothy,

dziękuję za liścik, który równie dobrze mógłbyś wysłać do ciotecznej babki, u której byłeś kiedyś na herbatce z tostem i śledziami.

Z pozdrowieniami, Cynthia”.

Gdy dotarł do domu o trzeciej po południu, ledwie widząc po drodze zielone markizy na Main Street, zrzucił płaszcz, czapkę i przemoczone półbuty i — nie zważając na zmrożone stopy — natychmiast podszedł do telefonu i wykręcił jej numer. Zajęte.

Stuart Cullen pojawił się u niego w drzwiach w kapeluszu, którego rondo wypełnione było po brzegi śniegiem, oraz w czarnym płaszczu, pokrytym na ramionach szronem, który do złudzenia przypominał używany do świątecznych dekoracji sztuczny śnieg.

— Ciężka droga — oznajmił, obsypując śniegiem leżący w holu chodnik i zdejmując rękawiczki i szalik. — A już myślałem, że nie dojadę. Zaczęła mi zamarzać przednia szyba. Ludzie zostawiali samochody na poboczu. Coś strasznego! Co tak pięknie pachnie? Umieram z głodu! Nie miałem czasu na lunch i spóźniłem się na kolację! Mógłbym zjeść nogę od stołu.

— Chippendale czy federalny?

— Po troszku każdego, jeśli nie sprawi ci to kłopotu. Jeszcze nigdy nie widział, żeby jego przyjacieli jadł tak łapczywie, nawet jako seminarzysta bez grosza przy duszy.

— Wspaniale być przy twoim stole, Timothy. Niektórzy księża, u których bywam, ledwie potrafią zagotować wodę.

Jedli kolację przy kominku, spoglądając jednocześnie na telewizor, żeby nie przegapić prognozy pogody.

— Rano muszę się dostać do podnóża góry, bez względu na wszystko. Modłę się, żeby to się skończyło.

— Jak na razie, nie ma nadziei — zauważył pastor, wskazując głową na okno.

Uliczne latarnie oświetlały padający równomiernie śnieg.

— Ale nasze służby miejskie bardzo dbają o to, żeby drogi były przejezdne, a władze okręgowe wyślą swoich ludzi do pracy w górach dzisiaj wieczorem. Myślę, że możesz się odprężyć.

— Odprężyć się! Brzmi to dla mnie jak słowo z jakiegoś obcego języka. A poza tym, co to w ogóle znaczy?

— Domyślam się, że nie chciałbyś usłyszeć wykładu, jaki mi wygłosiłeś kilka miesięcy temu na temat odreagowania, nieprzejmowania się, zwolnienia tempa i wyluzowania się?

— Z pewnością nie. Byłem dla ciebie bardzo surowy, ale podziałało. Prawdę powiedziawszy, uważam, że już od lat nie wyglądałeś tak dobrze.

Stuart wypił łyk bordeaux.

— Przy okazji, nigdy byś nie zgadł, kogo spotkałem zaledwie tydzień temu.

— Billa Muttona!

— Nie, dzięki Bogu. Peggy Cramer. Muszę przyznać, że nadal jest bardzo piękna, ale... — Stuart podrapał się w brodę, a jego twarz przybrała jakiś nieokreślony wyraz.

Ale co? Rak? Jakaś nieuleczalna choroba?

— Ale co, na litość?

— Ale nudna.

— Mogło być gorzej.

— Możliwe. W każdym razie myślę, że gdybyś ją zobaczył, mógłbyś mi podziękować za radę, jakiej ci udzieliłem wiele lat temu.

— Ależ ja ci dziękuję, przecież wiesz o tym. Była całkowicie słuszna. Ani razu nie żałowałem swojej decyzji.

— Muszę przyznać, że Martha nigdy mnie nie nudzi — prawdę powiedziawszy, jest wręcz odwrotnie. Przeglądnęła mój grafik i wynajęła dla nas willę na Arubie na tydzień. Aruba! Cóż za zaskakujący wybór. Pomyślałbym, że Anglia albo Francja — ale Aruba? Nie wiem nawet, gdzie to jest.

Mówi, że potrzebne jest mi słońce i miejsce, w którym ludzie nie są tak śmiertelnie poważni. Mówi, że muszę przestać być biskupem na cały tydzień.

— Trudne zadanie.

— Być może pomogą mi w tym musztardowe kąpielówki, które mi kupiła.

Śmiejąc się, unieśli do góry kieliszki.

— Za ciebie, Stuarcie, za twoje zdrowie.

— I za ciebie, Timothy, za twoje długie życie.

To wszystko było odległą przeszłością. Mogłoby się zdawać, że nigdy nie był zakochany w tej zmiennej istocie, dla której omal nie postradał zmysłów. A jednak miał ochotę dowiedzieć się czegoś więcej o Peggy Cramer. Czy wyszła za mąż? Czy miała dzieci? Ale nie, nie zapyta.

— Wyszła za mąż za neurochirurga. Dwoje dzieci, pięcioro wnuków. Pokazała mi ich zdjęcia. Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś wiedzieć? — Stuart uśmiechnął się.

Stuart zawsze obdarzony był tym wyjątkowym szóstym zmysłem.

— Powinieneś wiedzieć, że o ciebie pytała. Gdy powiedziałem, że się nie ożeniłem, zauważyłem w jej oczach wyraz politowania, więc wygłosiłem jej kazanie o twoim poświęceniu, oddaniu, o tym, jak bardzo kochają cię twoi parafianie, *ad infinitum*. Dzięki Bogu, że to wszystko było szczerą prawdą. Była pod wrażeniem.

Biskup pochylił się, żeby podrapać Barnabę za uszami.

— Więc co słyhać? Gdzie jest chłopiec?

— Czyta czasopismo weterynaryjne w swoim pokoju. Za chwilę zejdzie na dół, żeby się z tobą przywitać. Radzi sobie całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Śpiewa. Gra w piłkę nożną. Miły i interesujący chłopiec. Wierzę w niego.

— Co jeszcze?

— Nic takiego. Aktualnie mam mnóstwo spraw na głowie, ale kto ich nie ma?

— Czy chcesz mnie zmusić do tego, żebym zaczął być wścibski?

— A co cię interesuje?

— Kobiety w twoim życiu.

— Jeśli musisz wiedzieć... czy pamiętasz Edith Mallory?

— Tak. Wydawała uroczystą kolację, gdy byłem tu razem z Marthą kilka lat temu. Jej mąż to ten gość w spodniach w kratkę, jeśli się nie mylę.

— Już nie żyje.

— I coś mi mówi, że ona ma na ciebie chrapkę.

— To tak, jakbyś przechodził przez ulicę, pochłonięty własnymi sprawami, i gdy nagle podnosisz do góry głowę, widzisz zbliżający się walec, który lada moment wgniecie cię w asfalt.

— W takim razie to poważne.

— I poniekąd przerażające. Ona nie przyjmuje odmowy. Co zrobiłbyś na moim miejscu?

— Musisz ją ubiec. Powiedz jej, żeby się trzymała od ciebie z daleka.

— Ona nie chce tego słyszeć. Ma jakieś chore wyobrażenie, że jej pożądam.

— Typowe. Powinieneś to wiedzieć. Lecą na duchownych jak muchy na lep.

— To diagnoza, ale jaką terapię mi zalecasz? Szczerze mówiąc, ona budzi we mnie bardzo negatywne uczucia. Wydaje mi się, że rozumiem, co czuje kobieta, gdy jakiś mężczyzna nie chce jej zostawić w spokoju.

— Będziesz musiał stawić jej czoło. Swojego czasu też musiałem to zrobić i jeszcze raz całkiem niedawno. Czasami problem po prostu znika jak letnia mgła. Mówisz, że niedawno owdowiała. Może czas będzie tu dobrym lekarstwem.

— Nie wydaje mi się.

— Cóż, ufam twojej intuicji. Zrób to wkrótce i miej to już za sobą. Widzę, że cię to dręczy.

— Troszkę tak. Dobrze o tym porozmawiać. Wiesz, jak to jest...

— Oczywiście.

Patrzyli na ogień. Jakże kojąco działał. Wyraźnie jednak nasilał się wiatr. Targany jego podmuchami śnieg wirował i uderzał w szyby.

— Cudowny widok — zachwycił się Stuart, spoglądając na śnieg. — Jakże chciałbym się odprężyć i móc cieszyć się jego pięknem. Nie mogę jednak opuścić tego spotkania — może być warte okrągły milion dla diecezji. Dosłownie.

— Wydostaniemy cię stąd. Masz dobry samochód. Co powiesz na szklaneczkę porto? Nie tak starego jak twój gospodarz, ale jednak nabierającego sędziwego wieku.

— Wspaniale! A potem do łóżka.

Rozkoszował się widokiem Stuarta Cullena siedzącego przy jego kominku, drapiącego po głowie jego psa i pijącego jego porto.

— Czekam — powiedział biskup, a w jego oczach zamigotały figlarne iskierki.

— Na co?

— Do licha, Timothy, czy człowiek musi paść przed tobą na kolana, żeby wydobyć z ciebie chociaż jedno słowo?

— Ale ciebie już chyba bolą uszy od słuchania moich opowieści, że tak powiem.

— Ty szczwany lisie. Cynthia! Pamiętasz ją? Opowiedz mi wszystko i na litość boską, nie mów, że nie ma o czym mówić.

— Cóż. Od czego mam zacząć?

— Czy chodzicie ze sobą?

— Tak. Poprosiłem ją, a ona się zgodziła.

— I? Co dalej?

Walter i Katherine byli daleko w tyle za Stuartem, jeśli chodziło o najzwyczajniejsze wścibstwo. Ale od czego byli przyjaciele i biskupi? Dlaczego bronił się przed tą idealną okazją, żeby wszystko z siebie wyrzucić i być może dostać jakąś dobrą radę?

— Więc gdy zadzwoniłem do jej mieszkania w Nowym Jorku, odebrał jakiś mężczyzna.

Zauważył, że Stuart prawie wybuchnął śmiechem, ale udało mu się powstrzymać.

— Co powiedział?

— Powiedział: „Cynthia właśnie się ubiera”. — Poczł ogień na twarzy i jakby wiercenie w żołądku. Irytujące. — Powiedział: „Czy mogę ją poprosić, żeby zadzwoniła do pana jutro?”

— Czy powiedziałaś, kto dzwoni?

— Nie.

Stuart bębnił palcami po stole. Ten nawyk zawsze wydawał się Timowi naganny.

— Zapytaj ją o to — poradził w końcu, przestając bębnić palcami.

— Myślałem o tym.

— Jak długo?

— Przez kilka dni.

— Za długo! Zadwoń i zapytaj ją o to w tej chwili. Co ty na to? Wtedy będziesz mógł przestać o tym myśleć. Nie możemy — ani ty, ani ja — gromadzić zbędnego balastu, szczególnie o tej porze roku.

— W takim razie...

— Ja poczekam tutaj. Nie siedziałem sam przy kominku już ze sto lat.

Gdy poszedł na górę, zaglądnął do pokoju Dooleya i zobaczył, że chłopiec zasnął nad swoim czasopismem weterynaryjnym. Telefon zadzwonił trzy razy, zanim odebrała.

— Proszę?

Serce biło mu mocno.

— Cynthia?

— Timothy?

— Co słytać?

To nie wystarczy. Jej nie zadowala zdawkowa rozmowa. Ona oczekuje czegoś bardziej bezpośredniego i konkretnego, jak na przykład: „Strasznie za tobą tęsknię”.

— Strasznie za tobą tęsknię! — powiedział zupełnie szczerze.

— Naprawdę?

Nie zamierzał wypowiedzieć słów, które padły z jego ust, a już na pewno nie w tej chwili. Mimo to posypały się jak bilon z automatu.

— Kim był ten mężczyzna, który odebrał telefon, gdy dzwoniłem kiedyś w niedzielę?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Było cicho jak w grobowcu. I wtedy coś przerwało połączenie. Koniec. Przycisnął widełki telefonu.

— Cynthia? Cynthia!

Nie odłożyła słuchawki, tego był pewien. To na pewno telefon. Wiatr jęczał i smagał ściany jego sypialni. To prawdziwy winowajca! Ileż to razy zostawał w tych górach bez telefonu, a wszystko przez pogodę tak zmienną i kapryśną?

Przygnębiony zszedł do salonu.

— I co, dała ci kosza?

— Zapytałem ją o to i coś przerwało połączenie. Wiatr najprawdopodobniej zerwał gdzieś kabel.

— Modliłem się za was obydwój, gdy poszedłeś na górę.

— Ciężko być zakochanym.

— Bez wątplenia. Ale z kolei nie być zakochanym, też jest ciężko. Wiesz, co o tym myślę... o znalezieniu Marthy i jakie to miało dla mnie znaczenie? Zmieniło to całe moje życie, dosłownie.

— Zazdroszczę ci. Wydaje mi się, że wam poszło tak łatwo. A ja — sam nie wiem, jakbym... nie rozumiał całego procesu. Gdy rozglądam się dookoła, wydaje mi się, że wszystkim przychodzi to tak naturalnie, robią to nieomal jakby od niechcienia i z wdziękiem, a ja wpadam w pułapkę co kilka kroków. Tak więc, w końcu wszystko wydaje mi się jednym wielkim kłopotem. Zbyt dużo zachodu.

— Odnoszę wrażenie, że nie zaangażowałeś się do końca.

— Nie zaangażowałem się?

— Czegóż się kurczowo trzymasz, cały czas masz się na baczności — na wszelki wypadek. Przypomina mi się, co powiedział George Herbert — wiesz, ten angielski duchowny — „Miłość przywołała mnie do siebie skinieniem dłoni, jednak moja dusza zamknęła się w sobie i nie poszła za nią”. Czy nie mam racji?

Myślał o tym przez chwilę. Musi być ze sobą szczery.

— Może masz rację. Niczego nie... poświęciłem.

— Więc w pewnym sensie bawisz się jej uczuciami?

— Być może.

— Mogę ci powiedzieć, że kobieta zawsze to odgadnie i nie będzie z tego zadowolona.

— Po tym, jak odebrał ten mężczyzna, czułem się jakoś... głupio. Było mi jej żal, że jest tam sama, bez przyjaciół, nigdy nie wychodzi wieczorami. Potrzebowałem dłuższego czasu, żeby się przełamać i do niej napisać. Był to jedynie krótki list, najlepszy, na jaki potrafiłem się zdobyć. Oto co odpisała.

Powtórzył z pamięci oficjalną, gniewną notkę o śledziach i toście. Stuart ryczał ze śmiechu.

— Podoba mi się ta kobieta! Za każdym razem, gdy o niej mówisz, podoba mi się jeszcze bardziej. Nie owija w bawełnę i nie puszcza ci niczego płazem. Mój przyjacielu, taka kobieta zdarza się raz na tysiąc, a może nawet na milion. Lepiej połóż uszy po sobie i bądź gotów oddać się tej miłości, Timothy, bo w przeciwnym razie ją stracisz.

— Zastanawiam się nad całą tą historią z Peggy... to był okrutny cios, wszystko to razem.

— Zgadza się, to prawda. Ale to było ponad trzydzieści lat temu. Dlaczego nadal rozpamiętujesz rany wyniesione z tej znajomości?

Dobry Boże, każdemu z nas się dostało. Czyż Susan Hathaway nie była moją Peggy Cramer?

— Możliwe.

— Ja nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Niewiele brakowało, a skoczyłbym razem z tobą. Wprost do basenu bez kropli wody. Na samą myśl o tym czuję, jak oblewa mnie zimny pot. Ale nie mam sobie tego za złe, a dobry Pan sprawił, że cała sprawa wydaje mi się tak odległa, jakby to wszystko wydarzyło się w innym życiu.

— Sedno sprawy, Stuarcie...

— Sedno sprawy?...

— Małżeństwo. Wszystko sprowadza się właśnie do tego. W moim wieku jest to kwestia — wszystko albo nic. Nie istnieją połowiczne rozwiązania.

— Jestem skłonny przyznać ci rację. Ale spójrz, wygląda na to, że w chwili obecnej jesteś zawieszony właśnie gdzieś pomiędzy tymi dwoma biegunami. Zdecydowałeś się z nią chodzić, ale nie chcesz się do końca zaangażować. Kochasz ją, ale boisz się przyszłości.

Leżący przed kominkiem Barnaba ziewnął i przewrócił się na drugi bok.

— Nie oszukuj się — kontynuował Stuart. — Innym ludziom też nie przychodzi to łatwo. Ja i Martha też musieliśmy walczyć z przeciwnościami. Ja miałem czterdzieści jeden lat, ona czterdzieści trzy, i ani ja nie byłem wcześniej żonaty, ani ona zamężna. Ale wiedzieliśmy, Timothy. Ja wiedziałem, że pragnę schronienia, które może mi dać ta kobieta, a tylko Bóg wie, czego ona szukała we mnie, ale najwyraźniej to znalazła. Czego tak naprawdę chcesz? Skończyć jako staruszek chodzący niepewnie z balkonikiem, mrużący coś do siebie pod nosem, któremu nigdy nie dane było zaznać rozkoszy i piekła miłości?

— Rozkosz i piekło. Boję się i jednego, i drugiego. Nigdy wcześniej o tym nie myślałem. Przez całe swoje dotychczasowe życie nie przyznawałem się do tego przed sobą. — Czuł się zaskoczony odkryciem w sobie czegoś tak zaskakującego i surowego.

— Dobrze! Mamy jakiś punkt zaczepienia. Ta kobieta pragnie radosnego, nieprzewidywalnego związku, i kogo wybiera? Poważnego, raczej przewidywalnego gościa, który w środku jest wszystkim, czego szuka.

— Ale czy to wszystko... warte jest tego — przepraszam za wyrażenie — duchowego ekshibicjonizmu?

Stuart uśmiechnął się.

— Moje doświadczenie mówi mi, że tak — odparł.

O szóstej nad ranem rumak Stuarta był równo przysypany. Chociaż ulice były odśnieżone, przejeżdżający pług zepchnął jeszcze większą ilość śniegu na samochód.

Telefony znowu działały. Zadzwoił na posterunek policji, do Rodneya.

— Czy prowadząca w dół droga jest przejezdna?

— Jeśli się gdzieś wybieracie, to lepiej się pośpieszcie. Na razie drogi są w miarę przejezdne, ale ma jeszcze sypać. Zamykają przejazd w dół o ósmej. Właśnie dostałem wiadomość.

Razem z Dooleyem i biskupem pracowali w świetle latarni ulicznej przez godzinę, zrzucając łopatami śnieg z samochodu. W końcu opatulony po same oczy Stuart wszedł do auta.

— Módlcie się za mnie! — zawołał, zanim zamknął drzwi. Potem zawrócił samochodem na zamarzniętej ulicy i zniknął w obłoku dymu wydobywającego się z rury wydechowej.

Jak daleko sięgał wzrokiem, wszystko spowite było w bieli. Ale milion dolców to milion dolców.

Zmęczeni weszli do domu, gdy budził się blady dzień.

Około południa zaczął ponownie padać śnieg. Barnaba w kilku susach podbiegł do żywopłotu — złościąc przy tym ścieżkę w śniegu wystarczająco szeroką, by pomieścić małe sanki — załatwił swoje sprawy i natychmiast wrócił. Czarna kula, przykryta warstwą białego puchu, pędziła przez dom i strzepywała z siebie śnieg na całej długości, od tylnych do wejściowych drzwi.

— Kochane psisko!

— Kochany wariat — rzucił Dooley.

Boże, modlił się, nie pozwól, żeby wysiadła elektryczność. W garażu było drewna zaledwie na dwa dni, a może nawet mniej, a nikt przecież nie będzie się bawił w ciąганie bali w taką pogodę.

Postawił bożonarodzeniowe koszyki na ladzie, skończył je pakować i zawiązał kokardy, potem poszukał wyłożonych futrem, wysokich do kolan, sznurowanych butów. Nie może marnować czasu na bezcelowe kręcenie się po domu, jak powiedziała Puny. Musi sprytnie zabrać się do działania. Żaden argument nie był w stanie przekonać Dooleya, żeby poszedł razem z nim.

— Słuchaj, przyjacielu — rzucił ostro — chcesz prezentów od Mikołaja, to pomożesz mi je zanieść innym.

Gdy pogoda nie sprzyjała, nie mógł opanować złego humoru. Taktyka jednak okazała się skuteczna. Wzięli po dwa koszyki, a piąty zostawili w domu, do czasu, aż się wypogodzi. Nie dałoby się dzisiaj przejść brzegiem strumienia, żeby odwiedzić Bezdomnego Hobbesa. Jego buick zresztą też nie dojechałby dalej niż do chodnika, jeśli chciałoby mu się w ogóle wyprowadzać go z garażu.

— Nie możemy pozwolić, żeby panna Pattie się rozgadała, bo spędzimy tutaj cały dzień — ostrzegł Dooleya przed domem Evie Adams.

Dooley rzucił mu mordercze spojrzenie w chwili, gdy Evie otwierała im drzwi.

— Och, ojcze! — zawołała, wybuchając płaczem. — Tak bardzo się cieszę, że ojca widzę! I Dooleya! Ależ ty rośniesz! Wejdźcie, proszę, wejdźcie. Naprawdę zapraszam!

Poczuł się prawie jak papież.

Z jej łez można było wyciągnąć tylko jeden wniosek.

— Co tym razem zrobiła panna Pattie? — zapytał. Stali w kałuży.

— Weszła pod łóżko i nie chce spod niego wyjść! Mogłoby się wydawać, że to prawdziwa łaska boska, pomyślał.

— O tam, śpiewa na cały głos i nie wyjdzie za żadne skarby, chyba że kupię jej lalkę dzidziusia w błękitnym fartuszk, z długimi jasnymi włosami. Skąd ja wezmę lalkę dzidziusia w taką pogodę — nie mówiąc już o tym, żeby była w błękitnym fartuszk?

— Czy chciałabyś, żebym z nią porozmawiał?

Gdyby wzrok mógł zabijać, w tej sekundzie padłby trupem pod spojrzeniem Dooleya Barlowe'a.

Przed wejściem do chylącej się ku upadkowi posiadłości Porterów przestrzegł Dooleya.

— Niczego tam nie jedz.

— Prawie umieram z głodu — odparł Dooley, spoglądając gniewnie na pastora.

— Przeżyjesz. Jesteś przecież pełen kiełbasy bolońskiej.

— Naprawdę śmieszne.

— Tak mi się wydawało.

Drzwi otworzył im wujaszek Billy.

— Niech mnie kule biją, jeśli to nie pastor! Rose, chodź i sama zobacz! To nasz pastor i chłopiec!

Usłyszał jakiś szelest i po chwili ich oczom ukazała się panna Rose. Wyglądała dość srogo.

— Pastor? A czego on chce?

— Wygląda na to, że chce nam dać prezent od świętego Mikołaja.

— W takim razie powiedz mu, żeby wszedł do środka.

Roztopiony śnieg z ich butów zamienił się w dużą kałużę w holu w miejscu, gdzie na podłodze leżał fragment ręcznie rzeźbionej balustrady, która spadła tam przed wielu laty. Podniósł wzrok i spojrzął na portret przystojnego, wyrazistego Willarda, który prawie na pewno przewracał się w grobie.

Dooley wręczył im koszyk, w którym znajdowały się owoce, orzechy, cukierki, szynka w puszcce i ciasto z orzechami laskowymi.

— Wesołych Świąt! — powiedział.

— Spójrz tylko, Rose — przekonywał starszy mężczyzna, wyraźnie szczęśliwy i poruszony. — Czy to nie cudowne? Cóż, wracajmy szybko tam, gdzie jest ciepło. Zamarzniemy wszyscy na sople lodu, jeśli postoiemy tu jeszcze przez chwilę. Rose upiekła ciasto owocowe z kruszonką, które wręcz rozplywa się w ustach. Musicie usiąść z nami i poczęstować się.

— Ależ nie, wujaszku Billy. Nie możemy zostać, musimy się spieszyć. Zapowiadają dzisiaj dwadzieścia centymetrów śniegu i silne wiatry, a my mamy jeszcze kilka spraw do załatwienia.

— Jestem pewna, że ten chłopiec chętnie zjadłby kawałek ciasta — wtrąciła panna Rose, wyglądając jeszcze groźniej. — Księża nie jedzą tak jak reszta ludzi. Im smakuje tylko smażony kurczak.

— Wydaje mi się, że to metodyści lubią kurczaki — wyjaśnił wujaszek Billy.

Panna Rose chwyciła Dooleya za rękaw.

— Chodź ze mną! A oni niech sobie tutaj stoją i mielą jęzorami do końca świata. My zjemy po kawałku. Lubię chłopców! — Kiedy się uśmiechnęła, zaprezentowała przerażający stan swojego uzębienia.

Dooley oglądał się za siebie z rozpaczą, gdy ona ciągnęła go przez tunel z gazet, które wypełniały jadalnię, w kierunku znajdującego się na tyłach domu ogrzewanego mieszkania.

No cóż, nie ma spoczynku dla potępionych, a prawi go nie potrzebują, pomyślał pastor, idąc posłusznie za nimi.

Z trudem wspięli się na wzgórze, na którym stał Fernbank, zmagając się z coraz bardziej dokliwym wiatrem. Potem brodząc po łydki w śniegu, poszli w dół po krętej drodze dojazdowej. Gdy stali w kolejnej kałuży wody w kolejnym holu, panna Sadie podarowała Dooleyowi parę sznurówek zawiniętych w folię aluminiową i przewiązanych wstążką.

— Ojcie, jestem taka zmartwiona. Zamówiłam dla ojca najcudowniejszą puszkę mieszanki orzechowej, ale jeśli ta pogoda się utrzyma, UPS nigdy się tutaj nie dostanie.

— Proszę nawet o tym nie myśleć — powiedział.

— Louello, a może damy pastorowi czek na równowartość orzechów?

— Pyta pani aniołka, panno Sadie. To pani jest świętym Mikołajem!

— Nie ruszajcie się stąd — poleciała im, wychodząc z pokoju i wracając z czekiem.

Czek opiewał na kwotę pięciu dolarów trzydziestu dwóch centów i był wystawiony przez pannę Sadie, co potwierdzał zamaszty charakter jej pisma.

— Wesołych Świąt! — powiedziała radośnie. — Na wszelki wypadek, gdyby orzechy nie przyszły na czas! Nie uwzględniłam kosztów przesyłki i opłaty manipulacyjnej, ale powiększyłam kwotę o podatek stanowy.

Dosłownie dowlókł się pod drzwi przykrytego śniegiem, niebieskiego domku Betty Craig. Przedzieranie się przez wysokie zaspę śnieżną, wspinanie się na górę i schodzenie w dół, bieganie tu i tam,

uśmiechanie się podczas wczolgiwania się pod łóżko i jedzenia ciasta z kruszonką, którego wcale nie chciało się zjeść — wszystko to było bardzo wyczerpujące.

Jeszcze nigdy nie cieszył się tak bardzo z widoku własnego domu, który — otulony pierzyną śniegu, ze snującą się z komina, targaną podmuchami wiatru smugą dymu — wyglądał jak chatka na bożonarodzeniowej pocztówce.

— Jestem wykończony — oznajmił Dooley przy kolacji, siedząc nad zapiekaną kanapką z kiełbasą bolońską. — Za rok może sobie ojciec znaleźć kogoś innego. To sprawy kościelne. Powinien ojciec zaangażować do roznoszenia tych rzeczy kogoś z Kościoła.

— Mój przyjacielu, ty przecież jesteś kimś z Kościoła.

— Nie byłbym, gdyby mnie ojciec do tego nie zmuszał.

— Ja cię zmuszam?

— A co, myśli ojciec, że chodziłbym do kościoła, gdyby mnie ojciec nie zmuszał?

— W takim razie przestanę cię zmuszać. Możesz po prostu przestać tam chodzić.

— Zastanowię się.

— Nikt nie powinien chodzić do kościoła wbrew swojej woli. — On czasami musiał, ale to była już zupełnie inna sprawa.

Za piętnaście szósta Dooley wszedł do salonu.

— Wychodzę — rzucił niepewnie, nakładając puchową kurtkę.

— Gdzie wychodzisz, jeśli mogę zapytać?

— Do kościoła. Na próbę chóru.

— Nie musisz iść, wiesz o tym.

— Wiem. No cóż, na razie.

— Na razie.

Natychmiast podszedł do telefonu i wykręcił jej numer. Był zbyt zmęczony, żeby mówić, ale należało to załatwić. Cisza.

Jedynie Dooley i Jena Ivey zjawili się na próbie chóru młodzieżowego.

O ósmej zadzwoniła zaniepokojona Martha Cullen. Stuart nie dotarł na spotkanie, nie zadzwonił też do domu.

— Kupiłam mu telefon komórkowy, ale powiedział, że jest zbyt snobistyczny i nie wyciągnął go nawet z pudełka. Timothy, odchodzę od zmysłów. On zawsze dzwoni.

— Nic mu się nie stało, jestem pewien. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że utknął gdzieś na zboczu góry. Może zdarzył się jakiś wypadek. Powstaje wtedy kilkukilometrowy korek.

— Jestem taka nadopiekuńcza, że czasami myślę o nim jak o dziecku. Muszę się przyznać do tego przed tobą, Timothy. Nie jestem z tego dumna, ale czasami — niech Bóg mi wybaczy — traktuję go jak pozbawionego rozumu chłopca.

— Bez względu na to, co robisz, na pewno postępujesz słusznie. Szkoda, że nie masz czapki niewidki i nie możesz usłyszeć, jak śpiewa hymny pochwalne na twoją cześć. Nie martw się. Proszę! Zadzwoń do mnie, gdy będziesz miała jakieś wiadomości.

Zadzwoił do niego dyrygent chóru, który utknął u podnóża góry. Czy mógłby skontaktować się ze wszystkimi i odwołać próbę?

Przewodniczący Bractwa Ołtarzowego zatelefonował z kolei z wiadomością, że ktoś z kwiatarni zostawił czterdzieści cztery poinsecje na ganku przed kościołem i kwiaty zamarzyły na sople lodu.

Wiatr nasilił się. Zadzwoił Walter.

— Na litość boską, dowiedzieliśmy się, że spadło u was dziewięćdziesiąt centymetrów śniegu.

— Prawie. Naprawdę jednak martwi mnie to, że możemy mieć przerwy w dostawie prądu — w naszej społeczności jest tak wielu starszych ludzi...

— Włącznie z tobą, oczywiście.

— Ha. W razie czego mam tę kurtkę z kaszmiru, którą dostałem od ciebie na Boże Narodzenie.

— Czy znalazłeś czas, żeby przejrzeć te rodzinne dokumenty?

— A jak myślisz?

— Byłeś zbyt zajęty, jeszcze się do tego nie zabrałeś, przepraszasz za taką długą zwłokę, ale będzie to pierwsza rzecz, jaką się zajmiesz tuż po pierwszym styczniu.

— Sam bym tego lepiej nie powiedział.

— Wychodzimy na przyjęcie. Odezwij się wkrótce. Trzymaj się ciepło. Pozdrów od nas Dooleya.

— Czy przysłała paczka?

— Jest pod choinką.

— Wspaniale. Kocham cię, brachu.

— Wzajemnie, kuzynie. Katherine przesyła serdeczności. Musimy się gdzieś znowu razem wybrać w nowym roku. Przy okazji...

Czuł, jak zbliża się nieuchronnie. Aby uniknąć pytania na temat życia uczuciowego, zakrył słuchawkę ręką i krzyknął głośno: „Chwileczkę, już idę!”

Wiatr huczał wokół domu, ruszając zasłonami i pobrzękując wiszącymi na ścianach obrazami.

Wieczorne wiadomości donosiły, że główne lotniska w całym stanie zostały zamknięte, zamknięto kolejne międzystanowe autostrady, a szalejąca śnieżycą zyskała oficjalne miano burzy śnieżnej.

— Zimowa burza śnieżna jest jedną z najniebezpieczniejszych występujących w przyrodzie odmian burzy — ogłosił spiker, stojący z gołą głową na parkingu stacji telewizyjnej i wyglądający na wyraźnie zdezorientowanego.

Lodowaty śnieg sprawił, że domy w Mitford przypominały ułożone na tacy kostki lodu. Padające z okien światło oświetlało wirujące płatki śniegu, a ołowiane chmury sprawiały, że nawet dzień wydawał się jednym długim zmierzchem. Wszędzie dookoła wiatr porywał snujące się z kominów cienkie nitki dymu i ciskał je na ulice, sprawiając, że kłujące podmuchy arktycznego powietrza niosły ze sobą uspokajającą nutę mirry, pochodzącą z palonego w kominkach drewna.

Silne wiatry nie ustały. Gdziekolwiek zaspy zakrywające drzwi i okna były tak wysokie, że mający więcej szczęścia sąsiedzi musieli odkopywać przysypanych śniegiem domowników. Porzucone na ulicach samochody wyglądały niczym garby ogromnej białej dżdżownicy, wspinającej się wolno do znajdującego się na szczycie wzgórza domu Fernbank.

Percy Mosely mieszkał zbyt daleko za miastem, żeby dostać się do baru Grill i go otworzyć, ale mieszkający zaledwie jedną przecznicę dalej Mule Skinner zdołał otworzyć drzwi o siódmej rano we wtorek, zaparzyć ekstramocną kawę i usmażyć wszystkie dostępne plasterki bekonu. J.C. Hogan, który postanowił przeczekać burzę w znajdującej się na górze redakcji gazety, nie zwlekając ani chwili, zszedł do baru. Zmęczeni pracownicy służby miejskiej — którzy nie mogli uruchomić zamarzniętych silników dieslowskich w swoich pługach śnieżnych — byli jedynymi oprócz niego klientami.

Inaczej niż zwykle, ten śnieg nie przyciągnął dzieci do parku Baxter. Sanki pozostały w garażach. Ten śnieg był zupełnie inny — złowieszczy.

Zadzwoiła Martha. Stuart był cały i zdrowy. Schronił się w motelu pod Holding, spędziwszy pięć godzin na zboczu góry w korku spowodowanym przez okropny wypadek i kolejne trzy w zaspie na poboczu.

Dowiedział się, że ze względu na przeciążenie linii nie działają połączenia międzymiastowe, a w mieszkaniu Cynthii nadal nikt nie odbierał telefonu.

Wiatr wył i jęczał, nie ustając ani na chwilę. Widział, jak ruszają się zasłony w salonie, ale blask wirującego śniegu sprawiał, że nie był w stanie dojrzeć drugiej strony ulicy.

Sprawdził, czy w kuchennych szufladach są świece i zapalki, czy w latarce są baterie, a w lampie naftowej dość nafty. Celowo nie sprawdził zapasów drewna.

Do jej powrotu zostały jeszcze tylko dwa dni. Pogoda przecież się zmieni, ona dostanie się do domu i wysiadłszy z małego samolotu, pobiegnie mu na spotkanie roześmiana, z oczami niebieskimi jak chabry.

Najmniej istotną rzeczą wydawało mu się teraz to, kto odebrał telefon, gdy zadzwonił.

O czwartej po południu odkrył, że telefony znowu są głuche.

Dwie godziny później postawił czajnik na płycie kuchenki elektrycznej, żeby zagotować wodę. W chwili gdy przekreślał włącznik, zgasło światło. Wyglądało to tak, jakby on sam, własną ręką, włączył przycisk, który sprawił, że wszędzie dookoła zapanowała ciemność.

Rozdział szósty

WODA SKUTA LODEM

W niedzielę budzik zadzwonił o piątej.

Leżał w łóżku, trzęsąc się z zimna jak osika i słuchając nieustannego wycia wiatru. Ogrzewanie w kościele nie będzie działało, a jego parafianie nie zdołają się do niego dostać. Nigdy wcześniej nie opuścił mszy świętej w niedzielę z powodu pogody.

W myślach policzył znajdujące się w garażu kłody drewna. Wydawało mu się, że może naliczyć sześć albo siedem i ani kawałka więcej.

— Jak tak dalej pójdzie, to odmrozę sobie tyłek — oznajmił Dooley, który pojawił się w pokoju w spodniach od dresu i kurtce narciarskiej, po czym wślizgnął się do niego pod pierzynę.

Barnaba ziewnął i wsunął się pomiędzy nich.

— Nie idę do żadnego kościoła — zakomunikował Dooley, szczękając zębami.

— Ja też nie idę.

— Co zrobimy?

Jeśli było coś, z czego nie był szczególnie zadowolony, mieszkając pod jednym dachem z młodym chłopcem, to uczucie, że powinien znać wszystkie odpowiedzi.

— Za diabła nie wiem — odparł, tuląc się do Barnaby. — A ty jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

— Mógłby ojciec wstać i usmażyć trochę bekonu i kiełbasy bolońskiej.

— Jak? Pocierając o siebie dwa patyki?

— Ale ze mnie idiota, zupełnie zapomniałem. Po chwili usłyszał świszczące chrapanie Dooleya.

Dzień dobry, Cynthia? Timothy. Jaka u ciebie pogoda? Jego myśli po raz kolejny pobiegły ku temu, co mógłby powiedzieć, gdyby tylko udało mu się z nią skontaktować.

— Nie zaczynaj od nowa tej głupoty — powiedział na głos. Zastanów się lepiej, jak będą sobie radzić tego paskudnego, ohydneho ranka panna Sadie i Louella, wujaszek Billy i panna Rose, i pomódl się — na litość boską — żeby nic im się nie stało.

Przeżegnał się i zaczął się modlić po cichu. Wspomagaj nas litościwie, Panie, abyśmy pośród przeciwności i zagrożeń tej okrutnej burzy śnieżnej zawsze mogli liczyć na Twoją łaskawą i rychłą pomoc... Dzień dobry, Cynthia? Timothy. Coś nas rozłączyło, gdy rozmawialiśmy ostatnio, a kiedy próbowałem znowu do ciebie zadzwonić, nikt nie odbierał. Potem przez trzy dni nie działały telefony, więc co u ciebie słyhać?... Dobry Boże, daj mi czyste serce i odnow moją duszę... Dzień dobry, Cynthia, Timothy. Co u ciebie słyhać?

Istniał tylko jeden sposób na to, żeby skończyć z takim idiotyzmem. Wyszedł z łóżka i padł na kolana na podłodze, która wydawała się zimna jak lodowisko.

Ogień na kominku trzaskał żywo, a on postanowił nie myśleć o tym, że jego rozweselająca moc nie potrwa zbyt długo.

— Bardzo to przyjemne.

— Kielbasa bolońska, za którą warto oddać życie — powiedział, nabijając na widelec i wyjmując z patelni dwa grube przyrumienione plastry kielbasy, które położył na tost Dooleya. — Często się, przyjacielu, i nie żałuj sobie musztardy.

Jeśli chodziło o niego samego, to nie jadł takiego bekonu od czasów, gdy był jeszcze skautem. Przyglądał się obozowemu bałaganowi, jaki udało im się zrobić wokół paleniska. Nawet nie najgorszy sposób na życie.

Gęsty śnieg unoszony podmuchami wiatru uderzał o szyby w salonie, gdzie zamarzał na lód, tworząc grubą — nie przepuszczającą światła — powłokę. Mogłoby się wydawać, że są zawinięci w kokonie, który rozjaśnia jakieś niesamowite światło.

Wypił łyk kawy, którą zaparzył nad ogniem, w rondelku.

— Kogo wylosowałeś w szkole? Już dawno chciałem cię zapytać.

— Wylosowałem Bustera, ale nic mu nie kupiłem.

— Dlaczego?

— Wymieniłem go na kogoś innego.

— Naprawdę?

— Tak. Na Jenny.

— Aha.

— Musiałem dać temu Peeheadowi Wilsonowi półtora dolara, żeby się ze mną zamienił.

— Niezły interes, jeśli wziąć pod uwagę, co zyskałeś.

— Kupiłem jej książkę.

— Książkę! Wspaniale. Najlepszy prezent, jeśli jesteś ciekaw mojego zdania.

— O koniach.

— Ona lubi konie?

— Nienawidzi ich.

— Rozumiem.

— Kupiłem jej więc tę książkę, żeby mogła je poznać i polubić.

— Dobrze myślisz, przyjacielu.

Przysunęli się bliżej do jasności, jaka biła od ognia.

— Czy ojciec lubi Cynthię?

— Tak. Bardzo.

— Czy kochają ojciec?

— Nie wiem... Tak mi się wydaje.

— Jak to możliwe, że ojciec nie wie?

Naprawdę nie lubił tego uczucia, że powinien znać wszystkie odpowiedzi.

— Nie wiem, dlaczego nie wiem! A czy ty kochasz Jenny? Dooley wyglądał na przygnębionego.

— Nie wiem.

— Jednego jestem pewien — oznajmił pastor. — To najgłupsza rozmowa, jaką słyszałem od czasu, gdy rada parafialna uchwaliła nowy regulamin na temat zasad używania papieru toaletowego.

W niektórych miejscach zaspy były wysokie na sześć metrów i wszędzie na powierzchni śniegu — niczym szkląca się polewa na cieście — błyszczał lód.

Spacer w tym błyszczącym królestwie lodu był zupełnie niemożliwy, podobnie nie dało się zachować równowagi na tej idealnie gładkiej skorupie, która pokrywała całą ziemię.

Dwukrotnie nakładał kilka warstw ubrań i najcieplejsze buty, z mocnym postanowieniem, że pójdzie sprawdzić, jak sobie radzi panna Rose i wujaszek Billy, oraz że dotrze na wzgórze, do Fernbank, ale lód zawracał go z drogi, zanim zdołał dojść do garażu. Usiłując wyjść z domu drzwiami wejściowymi, zdołał zejść z ganku po schodach, ale potem poślizgnął się i zjechał w dół, zatrzymując się na stojącym na chodniku słupie telefonicznym.

Wzdłuż parapetów wiekowych okien oraz pod wszystkimi drzwiami upchali ręczniki. Odkręcili wszystkie krany, aby przynajmniej opóźnić zamarznięcie wody w rurach. W garażu znaleźli odłożone na wyprzedaj staroci drewniane krzesło z wysokim oparciem i komplet zniszczonych składanych snowowych stolików.

— Dzisiaj użyjemy krzesło, a stoliki zostawimy na jutro — zdecydował, rozglądając się bezwiednie po własnym salonie w poszukiwaniu drewna na opał.

Doszedł do wniosku, że Dooley Barlowe nie jest mięczakiem. Może i lubił narzekać, gdy wszystko szło gładko, ale umiał też być dzielny, gdy w oczy wiał wiatr.

— Jesteś w porządku, kolego.

— Kiedy Cynthia wraca do domu?

— Pojutrze.

— Idę o zakład, że nie.

I jaki prezent dałby jej, gdyby rzeczywiście wróciła do domu? Jak to często bywało, odłożył podjęcie istotnej decyzji na ostatnią chwilę, z nadzieją, że pomysł spadnie mu z nieba.

Myślał o swojej mamie, gdy drzemali na sofie pod stertą koców, chłonąc promieniujące ciepło jednego dużego psa. Kochała święta Bożego Narodzenia jak dziecko.

Gdy przyjeżdżał do domu z seminarium, prawie cały pokój, w którym spał, wypełniony był pudełkami, kolorowym papierem do pakowania i niezliczonymi metrami jej charakterystycznej białej atłasowej wstążki.

Cała szafa pełna była prezentów, które przygotowywała i kupowała przez cały rok, a dom pachniał tak, jak lubiła najbardziej — cynamonem i goździkami, pomarańczami i cebulą, kawą z cykorią i pieczonym chlebem.

Oczekiwała, że przywozie ze sobą przyjaciół i rozweseli dom, a gdy błagali ją, żeby usiadła z nimi przy stole i przestała podawać nowe dania, zawsze odpowiadała: „Ale to dla mnie największa radość!” I mówiła to zupełnie szczerze.

Podczas ostatnich świąt Bożego Narodzenia jego mamy była z nimi Peggy Cramer i Tommy Noles ze swoją narzeczoną, zadzwonił też z daleka Stuart Cullen. Dobrze pamiętał tę rozmowę, ponieważ Stuart Cullen prawie godzinę rozmawiał z jego mamą i sprawił, że się śmiała, siedząc w kuchni przy wiszącym na ścianie telefonie.

Bezwiednie kochał każdego, kto potrafił sprawić, że jego mama się śmiała.

Podarował jej tego roku broszkę, prześliczny drobiazg, który znacznie przekraczał jego możliwości finansowe, ale gdy zobaczył ją na wystawie u jubilera, wiedział, że jest to podarunek, który najlepiej zdoła wyrazić jego wdzięczność za lata wsparcia, za to, że wierzyła w niego od początku, bez względu na to, jak bardzo nie zgadzał się z nią w tym względzie ojciec.

Od jednej małej ametystowej broszki z perełkami oczekiwał, że powie wszystko. Przede wszystkim chciał powiedzieć, dziękuję za to, że byłaś ze mną, gdy postanowiłem zrobić rzecz niewyobrażalną i zostałem księdzem w Kościele episkopalnym, chociaż to właśnie ty — bardziej niż ktokolwiek inny — chciałaś, żebym został pastorem w Kościele baptystów.

Był to najgorszy z afrontów dla jej rodziny i nawet dla jej własnego serca. Kochała go jednak i stała u jego boku, mężna jak zbrojny pułk.

— Mamo — powiedział — nie znam sposobu, żeby powiedzieć ci...

— Nie musisz — odparła. — Widzę to wszystko w twoich oczach.

Spojrzał na Dooleya śpiącego pod górą nakryć. Prawie dokładnie o tej samej porze, rok temu, uciekł od niego, zjeżdżając z góry na rowerze — swoim bożonarodzeniowym prezencie — w mroźnym wietrze, gotów zrobić wszystko, żeby tylko zobaczyć twarz własnej matki.

Pomodlił się za Pauline Barlowe i dzieci wydane obcym jak miot kociąt z pudełka.

„W środku ponurej zimy przeszywający jęczał wiatr...”

Usłyszał dochodzący skądś ledwie słyszalny śpiew, usiadł i słuchał. Barnaba zawarczał.

„Ziemie mróz obrócił w kamień, a wodę skuł lód...”

Śnieg i śnieg, śnieg i śnieg, śnieg obfity spadł...

W środku ponurej zimy, wiele lat temu...”

Ktoś śpiewał jego prawie najbardziej ulubioną pieśń bożonarodzeniową, ale kto taki? I skąd dochodził ten głos?

Barnaba zeskoczył z sofy, szczekając.

— Mamy anioły w garażu! — zawołał, wsuwając stopy w lodowate buty.

Sopran i baryton z chóru, w butach z kolcami, które wbijały się w lód, przyciągnęli pod jego dom sanie. Do sań przymocowany był ładunek wysuszonego dębu. Nie był to cały sąg, ale pozwoli im odetchnąć przynajmniej na jakiś czas.

Równie dobrze mogliby zaparkować w jego garażu mercedesa i podarować mu kluczyki. Uradowani wyciągnęli razem z Dooleyem jeden kawałek drewna i porabali go na podpałkę.

Następnie wzięli drugi kawałek, z zamiarem przyrządzenia na nim swojej kolacji.

Potem połamali na kawałki krzesło, postanawiając zostawić składane stoliki na ekstramocne palenie w kominku w dzień Bożego Narodzenia.

Sprawy miały się zdecydowanie lepiej, chociaż nie było żadnych wiadomości ze świata zewnętrznego, które mogłyby to potwierdzić. Najnowsze doniesienia, relacjonował baryton, mówiły, że helikoptery zrzucają żywność w kotlinach i że na jutro oraz pojutrze przewidywany jest marznący deszcz.

Zostało im dość dębu, żeby jutro ogrzać salon. W ten sposób będą mieli szansę poczytać trochę i popisać i nie będą musieli siedzieć tępo, zupełnie przemarznięci, i przyglądać się, jak ich własny oddech zamienia się w unoszące się w powietrzu obłoczki pary. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio było mu tak lekko na sercu. Ktoś podarował im zapas drewna, a razem z nim bożonarodzeniowy nastrój.

— Znasz to? — zapytał Dooleya, który układał podpałkę na zgniecionej gazecie. — Śpiewaj razem ze mną! „Cóż mogę mu podarować, kiedy bieda u mnie niesłychana? Gdybym był pasterzem, dałbym mu barana... gdybym był mędrce, to już moja rola znana...” Niepewnie dołączył do niego Dooley.

— „Dam mu jednak to, co mam... serce jemu swoje dam”.

Nie tracił nadziei aż do rana tego dnia, w którym miała przyjechać. Poprzedniego dnia padało, a teraz, o świcie, słyszał nieubłagany marznący deszcz, wciąż chłuszczący z całej siły okna. Loty zostaną odwołane, a lotniska będą zamknięte.

Modlił się, prosząc o to, żeby mogli się zająć rozwieszaniem jedliny w kościele i żeby mógł odprawić popołudniową mszę w Wigilię i pasterkę. Po tym, jak na podobieństwo śmiertelnego całunu spowił ich mroźny oddech zimy, potrzebowali ożywczej obecności Dzieciątka; byli jej spragnieni.

W dalszym ciągu modlił się za pannę Rose i wujaszka Billy'ego, pannę Sadie i Louellę, i za wszystkich starszych, chorych, pozbawionych żywności czy ogrzewania. Odważył się nawet poprosić o zesłanie aniołów, i to niezwłocznie.

Zbliżał się właśnie do kuchennych drzwi, żeby wypuścić na zewnątrz Barnabę, gdy zrobił dziwną rzecz. Bez zastanawiania się i z czystego przyzwyczajenia przekręcił włącznik od płytki, na której stał czajnik.

Telewizor ryknął w salonie. W holu rozbłysło światło. Radio kuchenne zapowiedziało wyprzedzą w Toyocie. Krzyknął:

— Alleluja!

Dooley wrzasnął:

— Hot dog!

Barnaba dziko zaszczekał. A stojąca w garażu pralka zaczęła wirować.

Nigdy nie podjąłby się powtórzenia tego w przyszłości, ale czuł, że w jakiś sposób zdołał najpierw odciąć, a potem przywrócić dostawę prądu dla całego okręgu.

Gdy zadzwonił telefon, podskoczył, jakby ktoś ugodził go nabojem.

— Ojcie! Po prostu musiałam z kimś porozmawiać...

— Margaret Ann... Co się stało?

— Najgorsza z możliwych rzeczy. Schowałam wszystkie mikołajowe prezenty Amy w domu Lisbeth i zamierzałam zabrać je w Wigilię. Cóż, ojcie, wie ojciec, w jakiej strasznej dziurze mieszka moja siostra, tuż obok miejskiego cmentarza, a teraz na dodatek ten marznący deszcz odciął ją od światła...

Kompletnie.

— Tak! I w żaden sposób nie jestem w stanie ruszyć samochodu z podwórka, a co dopiero dojechać do Lisbeth. Co mam zrobić? To najśliczniejsza laleczka, jaką ojciec kiedykolwiek widział, sika w pieluszki jak oszalała, kosztowała niewyobrażalne pieniądze, a od Świąt Wielkanocnych nie dostałyśmy od jej ojca ani jednego czeku. Ach, i jest tam jeszcze różowy furgon ze światłami, i zestaw dla pielęgniarki, i błękitna sukienka, i skarpetki z falbankami. Och, ojcie! — płakała. — Amy tak liczy na świętego Mikołaja!

— Zobaczę, co się da zrobić. Daj mi pół godziny.

Syna Rona Malcolma nie było w domu, pomagał służbom miejskim rozsypywać sól i żużel. Esso Lew Boyda było zamknięte na cztery spusty. Nigdzie nie mógł znaleźć młodego mężczyzny, który kiedyś grabił u niego liście.

Zadzwonił do barytona.

— Czy jest jakaś szansa, żebyś pożyczył mi na kilka godzin swoje buty na kolcach? Wspaniale. Wystaw je po prostu do sieni.

Zadzwonił do soprana.

— Jakiego rozmiaru są twoje buty na kolcach? Doskonale. Nie będziemy wchodzić do środka, wystaw je po prostu na ganek.

— Dooley! — zawołał, przekrzykując mecz piłki nożnej w telewizji. — Czy możesz przyjść tutaj na chwilkę?

— Robię to ostatni raz — oświadczył Dooley, którego twarz zrobiła się czerwona jak burak.

Maszerował obok, niosąc w worku na plecach lalkę i furgon. Worek pastora zawierał sukienkę, skarpetki i zestaw dla pielęgniarki oraz wózek dla lalek, o którym Margaret Ann zapomniała wspomnieć.

— Jak się ojciec przewróci i stłucze sobie tyłek — zauważył Dooley — to nie będzie mógł ojciec odprawiać mszy. Jak ja stłukę sobie tyłek, to nie będę mógł grać w piłkę.

— Słusznie rozumujesz.

Robiąc każdy kolejny krok, musiał bardzo mocno stawiać stopę na grubej pokrywie lodu, żeby się nie wywrócić. Wiedział, że zapłaci za to jeszcze przed ranem bólem każdego mięśnia.

— Zostały nam tylko trzy przecznice. Myśl cały czas o tych stekach skwierczących w rondlu... tych pieczonych w piekarniku ziemniakach i całej kwaśnej śmietanie, którą będziesz mógł zjeść... i tym torcie z trzema warstwami czekolady — przysłanym przed burzą śnieżną przez jakiegoś życzliwego parafianina — który obecnie znajduje się w zamrażarce. Możesz go pochłonąć w całości!

Dooley mruknął.

Bar Grill na Main Street wydawał się zupełnie wymarły, co było przykrym widokiem.

— Ej, święty Mikołaju! — zawołał jeden ze ślizgających się wzdłuż Main Street i usiłujących rozrzucić sól pracowników służby miejskiej.

— Przynieś mi lalczkę! — zawołał inny. — Blondynkę, z niebieskimi oczami i czerwonego pick-upa z odtwarzaczem CD!

— Wesołych Świąt, ojczy! Wesołych Świąt, Dooley! Szef brygady uśmiechnął się i pomachał do nich.

— Dla mnie wystarczy plik pięćdziesięciodolarówek, z góry dziękuję.

— Zaraz się tym zajmiemy, chłopcy. Wyczyście swoje kominy. Nadeszły wiadomości od wszystkich.

W sypialni panny Sadie było ciepło jak w bani, a to za sprawą piecyka na naftę. Louella spała na sofie przystawionej do nóg łóżka panny Sadie, a żywiły się Nabs, Cheerwine, białym chlebem, parówkami wiedeńskimi i płatkami śniadaniowymi. Nie miały żadnych trudności z przechowywaniem mleka w ujemnych temperaturach — Louella otwierała jedynie okno i wystawiała karton na dach. Dla rozrywki przeglądały należące do panny Sadie albumy ze zdjęciami i wycinkami z gazet, czytały na głos Pismo Święte i śpiewały kolędy, żeby sprawdzić, kto lepiej pamięta słowa.

— Brakowało nam jedynie gorącej kąpieli ! — oznajmiła panna Sadie. — Ale teraz nadrabiamy zaległości.

Panna Rose i wujaszek Billy spędzili większość czasu w łóżku.

— Jedyne problem, wie ojciec, polega na tym, że Rose czasami siusia do łóżka, bo jest jej zbyt zimno, żeby wstać, i tak dalej. Wolałbym, żeby ojciec nikomu tego nie powtarzał.

— Ma się rozumieć.

— Strasznie pokłóciliśmy się o pudełko krakersów. Rose chciała zjeść wszystkie. Do licha, to ci dopiero musiałem się nakombinować. Udało mi się jednak odłożyć w tajemnicy przed nią puszkę sardynek, wie ojciec, tak więc w niedługim czasie zaczęliśmy o niej rozmawiać i postanowiliśmy podzielić po połowie to, co każde z nas ma, więc nie mogę narzekać. Przy Rose lepiej, żeby człowiekowi nie brakowało jedzenia, o nie.

— Doskonale wujaszka rozumiem.

— Kochani, ten koszyk, który przynieśliście, okazał się prawdziwym wybawieniem. Na zewnątrz szalał wiatr, a my siedzieliśmy sobie w łóżku, zajadając gotowaną w miodzie szynkę i maczając w sosie drożdżową bułkę. Ale cieszę się, że mamy to już za sobą.

— Amen. Trzymajcie się ciepło i nie wychodźcie z domu. Na ulicach jest nadal ślisko jak na ślizgawce.

— Proszę przyprowadzić jeszcze kiedyś chłopca, Rose bardzo go polubiła i chciałyby upiec dla niego całą blaszkę cynamonowych paluszków.

Ponieważ Bezdomny Hobbes nie miał telefonu, nie mógł się dowiedzieć, czy u niego wszystko w porządku. Przypuszczał jednak, że nie było to konieczne. Najbogatszy człowiek w miasteczku radził sobie najprawdopodobniej lepiej niż wszyscy inni. Miał przecież piec na drewno, który sprawiał, że w jego domu było ciepło jak w piekarniku, i umiejętności kucharskie, dzięki którym mógł przemienić kamień z potoku i filiżankę śniegu w prawdziwą ucztę.

A jak przetrwali burzę Evie Adams z panną Pattie i Betty Craig z Russellem Jacksem?

Według Evie, śnieg podziałał cudownie na jej mamę, która opatulila się w kupiony na wyprzedaży kombinezon narciarski i siedziała całymi dniami przy oknie, licząc płatki śniegu.

— Sto tysięcy czterdzieści trzy! — obwieściła dumnie, pokazując Evie końcową liczbę zapisaną w księdze przychodów i rozchodów jej nieżyjącego męża.

— Czułam się jak na wakacjach — przyznała Evie. — Paliłam cały czas w kominku i zdołałam przeczytać kryminał, od deski do deski!

Informacje o Russelu Jacksie nie były tak dobre. Właśnie gdy ojciec Tim zaczął się zastanawiać, czy Russell nie powinien wrócić na wiosnę do swojego domu na złomowisku, kościelny wyszedł na śnieg wbrew woli Betty Craig i przewrócił się, niosąc do domu drewno.

— Musiał tam leżeć blisko dwadzieścia minut, zanim zauważyłam, że go nie ma! — opowiadała zmartwiona siostra. — Miałam ochotę zabić tego starego nicponia!

Poczuł niewypowiedzianą ulgę. Opieka Betty nad Russellem kosztowała jego i Rona Malcolma czterysta dolarów miesięcznie, ale za każdym razem, gdy myślał o powrocie starszego mężczyzny do

tej chałupki na obrzeżach miasta, wiedział, że Dooley musiałby odejść razem z nim. Nie byłoby to dobre z wielu powodów, również takich, których nie miał w tej chwili ochoty rozważać.

Pomodlił się za powrót do zdrowia Russella i o pozostanie przy zdrowych zmysłach Betty.

„Burza śnieżna stulecia” — jak nazwały ją media, przeszła przez całe Wschodnie Wybrzeże i dotarła do Nowego Jorku, gdzie pokrywa śnieżna sięgała już ponad półtora metra i cały czas rosła. Wszystkie linie, odkrył ponownie, były zajęte.

— Wesółych Świąt, Timothy!

Czy to możliwe? Dzwoniła do niego Edith Mallory, ale jej głos brzmiał jakby inaczej.

— Dzisiaj po mszy o siedemnastej przyślę do ciebie Eda z małym co nieco dla ciebie i chłopca. Dwie msze w Wigilię mogą być wyczerpujące i na pewno nie będzie ci się chciało gotować.

— Ależ nie, proszę, zamierzaliśmy...

— Proszę, nie odmawiaj mi tej niewielkiej świątecznej przyjemności — powiedziała miło. — Będę posyłać koszyki również do innych osób mieszkających po drodze do was.

— Jesteś zbyt dobra, Edith. Może mogłabyś podarować to komuś innemu, komuś...

— Bardziej potrzebującemu? No cóż, może za rok! Prawdę powiedziawszy, chciałabym porozmawiać z tobą o bardziej potrzebujących. Myślę, że jestem gotowa, Timothy, zrobić to, co mi zalecałeś!

— A co takiego?

— Chcę wspomóc Szpital Dziecięcy w Wesley. Wiem, że to twoja duma i radość. Ale porozmawiamy o tym wkrótce. Od tej burzy telefony wręcz się urywają, wszyscy życzą mi Wesółych Świąt...

— Tak, i pozwól, że ja też się do nich dołączę. Wesółych Świąt, Edith!

Gdy odłożył słuchawkę, czuł się trochę dziwnie. Czy Edith przechodziła jakąś dziwną metamorfozę? Czy tylko mu się zdawało, czy Edith rzeczywiście byłaby gotowa wycofać się i zostawić go w spokoju?

Nigdy nie przeszkadzało mu kilka pustych ławek, jeśli wierni przepełnieni byli Duchem Świętym. Wierna grupka, która przyszła do kościoła w wigilię narodzin Dzieciątka Jezus, świętowała z radością.

Wielka radość mieszała się swobodnie z mniejszymi radościami. Spodziewane jest ocieplenie! Znowu zaświeci słońce! Dach nie przeciekł, rury nie pękły, przeżyliśmy!

Rzadko kiedy miał okazję oglądać takie serdeczne uściski i taki deszcz pocałunków, a nad tym wszystkim zielone wieńce przyozdobione białą gipsówką i migoczące świece na parapetach okiennych, podkreślające radosny nastrój.

„Radość świata, przyszedł Pan.

Modlił się, żeby ziemia mogła prawdziwie przyjąć swojego Króla.

W drodze powrotnej do domu, po mszy o siedemnastej, minął ich, samochodem Ed Coffey i nalegał, żeby wsiedli. Łańcuchy na kołach cięży lód na drodze, gdy Ed wioził ich do domu. Potem odprowadził ich pod drzwi, niosąc koszyk.

Kiedy razem z Dooleyem rozpakowywali stojący na ladzie koszyk, czuł potrzebę powiedzenia czegoś pozytywnego. Oto przecież kobieta przysłała jedzenie, jeszcze ciepłe z piekarnika, żeby nakarmić dwóch głodnych mężczyzn w zimną noc.

— To... bardzo miły gest ze strony pani Mallory — zauważył, odpakowując parujący pudding śliwkowy.

Dooley spojrzał na niego, jakby postradał zmysły.

— Przeklęta z niej wiedźma.

— Naprawdę?

— Nienawidzę tej kostuchy.

— Spróbuj powiedzieć to innymi słowami — poprosił całkiem serio.

— Nie lubię jej. Wydaje mi się dwulicowa, mówi jedno, a robi drugie.

— Rzeczywiście? Rostbef perfekcyjnie usmażony.

— Obiecała, że urządzi grilla dla szkoły niedzielnej — i nie urządziła. Powiedziała, że wyśle nas na wycieczkę do Grandfather Mountain — i nie posłała.

— Nie wysłała.

— Ktoś mówił, że ma na ciebie ochotę. Że chętnie zaciągnęłaby cię do łóżka.

— Kto tak mówił?

— Nie wiem. Ktoś. To prawda?

— Powiedzmy, że nie mam zamiaru iść z panią Mallory ani do łóżka, ani gdziekolwiek indziej.

— Złapanie jej to jak złapanie pająka.

— Proszę, zapomnij to, co usłyszałeś. I bez względu na to, co myślisz, odnoś się do niej z szacunkiem, gdy ją spotkasz. Zrozumiałeś?

Musiał zrozumieć, ponieważ powiedział coś, co pastor bardzo rzadko miał okazję usłyszeć:

— Tak, proszę ojca.

— Jeśli właśnie na tym polega chodzenie ze sobą — mruknął — to nic dziwnego, że czekałem z tym tak długo.

Ponownie wykręcił jej numer. Linie nadal były zajęte w czasie, gdy burza szalała w stanie Nowy Jork, kierując się w stronę Atlantyku.

Ludzie tłumnie ciągnęli na pasterkę, jakby stajenka była ostatnim przystankiem na ziemi. Mimo że płyty lodu nadal lśniły złowroźnie w całym miasteczku, syn Rona Malcolma posypał obficie drogę

do kościoła solą i piaskiem, dzięki czemu wielu mieszkańców mogło, po raz pierwszy od wielu dni, stanąć na ziemi pewną nogą.

Pozbawiony swojego przedświątecznego koncertu chór młodzieżowy śpiewał z taką radosną energią, że kościelna nawa nieomal drżała.

„Wyjdźcie na górę i rozgłoście to wszystkim, w całej okolicy.

Wyjdźcie na górę i rozgłoście, że narodził się nam Zbawiciel...”

— Wyjdźcie na tę górę i głoście to wszystkim — każdego dnia i całym życiem — powiedział na zakończenie mszy. — I idźcie w pokoju, kochać i służyć Panu.

— Amen! — odpowiedzieli wierni, odnowieni w Panu i ożywieni, mimo że dawno minęła pora, o której zazwyczaj kładli się spać.

Kilku parafian wsunęło mu do ręki kopertę. Od innych dostał ciasteczka, bułkę żurawinową i puszkę jego ulubionego przysmaku (o czym wszyscy wiedzieli) — mieszanki orzechowej. Wracając do domu, niósł więc całą papierową torbę prezentów. Wielu wypowiedziało słowa, które jego parafianom nigdy nie przychodziły zbyt trudno:

— Kochamy cię!

W poprzednich latach często odczuwał ogromne zmęczenie po pasterce. Dzisiaj miał ochotę krzyknąć na głos na ulicy, grać na trąbce i nieść transparent. Jego ciało — tak jak Dooleya — zalewała bożonarodzeniowa adrenalina.

— Brawo, przyjacielu! — powiedział w drodze do domu. — Słyszałem, jak długo potrafiłeś wytrzymać te wysokie dźwięki w *Dawno temu w królewskim mieście Dawida*.

Położył rękę na ramieniu chłopca. U jego boku szedł kolejny cud.

— A może otworzylibyśmy jeszcze dzisiaj po jednym prezencie?

— Na pewno nie spodoba się ojcu prezent ode mnie.

— To samo mówiłeś rok temu, a czyż nie nosiłem wszędzie ze sobą tego futerału na okulary? Towarzyszył mi nawet do samej Irlandii i z powrotem.

Kiedy ten chłopiec przestanie sam podcinać sobie skrzydła?

— Powiem ci jedno. Będiesz zachwycony tym, co dostaniesz ode mnie.

Dooley podniósł głowę i uśmiechnął się.

Siedząc na podłodze w salonie, w którego wszystkich oknach odbijały się mrugające na choince światełka, odwinął z kolorowego papieru książkę o weterynarii. Dooley miał rację. Nie podobał mu się prezent, który od niego dostał.

— Teraz będzie mógł ojciec leczyć Barnabę, gdy zachoruje.

— Aha.

— Może też ojciec leczyć Violet, gdy będzie chciała zwymiotować mysz.

— Zostawię to tobie.

— Niech ojciec spojrzy tutaj. Tutaj jest napisane, jak wyleczyć Jacka, gdy będzie miał robaki albo gdy zachoruje na świerzb.

— To ty jesteś tutaj lekarzem, nie ja.

— Tak, ale przecież nie będę tutaj mieszkał wiecznie.

— Nie? A gdzie będziesz mieszkał?

— Jak dziadek wyzdrowieje, przypuszczam, że wrócimy do tego starego domu, jeśli do tego czasu się nie zawali.

Zrozumiał, że trapiło to Dooleya już od dłuższego czasu, ale nie był wystarczająco domyślny, żeby to zauważyć.

— Coś z tym zrobimy, ale nie wiem jeszcze dokładnie co. Chcę, żebyś tutaj został, żeby było tak, jak jest teraz.

— Dobrze — odparł Dooley. — A gdzie jest mój prezent?

Siedział na brzegu łóżka, zdejmując buty, gdy zadzwonił telefon. To na pewno Walter, który często dzwonił do niego po pastercie.

— Wesołych Świąt, głąbie.

— Timothy?

— Cynthia!

Zapadła niezręczna cisza.

— Czy u ciebie wszystko w porządku? — zapytała. Jej głos wydawał mu się jakiś inny.

— Tak! Tak, u nas wszystko w porządku. Przeżyliśmy trudne chwile, ale jakoś sobie radzimy. Odkręciłem krany w twoim domu, żeby kapiała z nich woda, i nastawiłem termostat na sześćdziesiąt sześć... Myślę, że nic się nie stanie. Myślę, że najgorsze mamy za sobą.

— Dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna.

— Myślałem, że to Walter. Tak właśnie... aa, kiedyś go nazywałem.

Czuł, że ich rozmowa nie może ruszyć z miejsca, jak stojące na szczycie góry sanki, które uwięzły na skale.

— Mam nadzieję, że nie jesteś rozczarowany, że to nie Walter.

— Ależ oczywiście, że nie. Zdecydowanie nie! A u ciebie... czy u ciebie też wszystko w porządku?

— Nie przewróciłam się na oblodzonym chodniku, nie mieliśmy przerw w dostawie prądu, nie zabrakło mi jedzenia, jeśli o to pytasz. Ale z moim sercem nie jest dobrze — prawdę powiedziawszy, jest bardzo źle.

Czuł, jak jego własne serce bije mocno, gdy sanki ruszały ze szczytu. Przeczynał, że to będzie jazda wyczynowa klasy olimpijskiej, a nie beztroski zjazd na rondlu w dół Old Church Lane.

— Może zaczniemy od miejsca, w którym skończyliśmy wiele dni temu? — zaproponowała. —
Zadałeś mi wtedy pytanie.

Pytanie, kiedyś tak żywe w jego pamięci, było teraz skamieliną. Na samą myśl o tym, jak ma-
łostkowo zabrzmiałoby teraz, czuł, że ogarnia go wstyd.

— Tak, no cóż. Naprawdę nie warto zadawać go po raz drugi.

— Musiało jednak być coś warte — znalezienie odpowiedzi zajęło mi wiele dni. Odpowiedź,
Timothy, brzmi, że mężczyzna, z którym rozmawiałeś przez telefon, to mój wydawca i przyjaciel, Ja-
mes McNeely. Przyjechał z Europy załatwić sprawy służbowe w Nowym Jorku i przyszedł do własne-
go mieszkania. Zastał mnie w szlafroku, z zieloną maseczką bagienną na twarzy, przypominającą pa-
pier mâché. Potrzebował czegoś ze swojego biurka i powiedział, że jeśli zdobędę się na zmycie tego z
twarzy, zabierze mnie na kolację. Było już bardzo późno, ale ja marzyłam wręcz o tym, żeby się stąd
wyrwać i dostąpić tego cudownego przywileju porozmawiania o mojej pracy z kimś, kto nie tylko ją
rozumie, ale jest nią również żywo zainteresowany.

— Oczywiście — zgodził się, z trudem dobywając głos.

— Nawet nie słyszałam, jak zadzwonił telefon, kiedy się ubierałam. Tak głęboko włożyłam
głowę pod kran, próbując rozpuścić tę maseczkę! Wiele dni potem zadzwoniłam do niego do Francji,
usiłując się dowiedzieć, czy odebrał telefon do mnie. Dowiedziałam się, że pytał, kto dzwoni, żeby
przekazać mi wiadomość.

Zapadła cisza.

— Więc dlaczego nie zostawiłeś dla mnie wiadomości?

— Nie wiem.

Czuł się tak, jakby popełnił jakąś uczniowską zbrodnię, na przykład jakby palił papierosy w au-
tobusie albo jakby wrzucił żabę do toalety dla dziewcząt. Przeżywał prawdziwe katusze, słysząc, jak
wiele zamieszania zrobił z tak błahego powodu.

Wiedział, że będzie musiał się mocno trzymać i dobrze kierować saniami.

— Gdybym miał to zrobić ponownie, oczywiście nalegałbym, żeby z tobą rozmawiać. „Proszę
wyciągnąć tę kobietę spod prysznica czy gdziekolwiek w tej chwili jest i przyprowadzić ją do telefonu
— natychmiast! Tu mówi jej sąsiad!”

Usłyszał jej nieskrepowany, gardłowy śmiech, który tak bardzo lubił.

— Twój śmiech jest świąteczną muzyką, którą tak bardzo pragnąłem usłyszeć. Przepraszam, tak
bardzo przepraszam, że byłem taki małostkowy. Proszę, wybac mi.

— Och, Timothy! Jakie to było okropne nie móc pojechać do domu, nie mieć od ciebie żadnych
wiadomości, otrzymać ten straszny lodowaty list, który wrzuciłam do pieca, i gubić się w domysłach,
co się stało. I wszystkie linie były zajęte, i nie było żadnego sposobu, żeby z tobą porozmawiać... żeby

się z tobą skontaktować. A twój świąteczny prezent leżał cały czas na sofie... Czułam się taka samotna, taka odizolowana od ciebie...

— Tęsknię za tobą — przerwał jej. A potem zupełnie bezwiednie: — Potrzebuję ciebie...

— Czy możesz sobie wyobrazić, z jaką rozkoszą słucham tych słów? To świąteczna muzyka, którą ja tak bardzo pragnęłam usłyszeć.

— Nie mam żadnego twojego zdjęcia. Czasami nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądasz — czy nie masz nic przeciwko temu, że to mówię? Tak bardzo chciałbym ujrzeć twoją twarz.

— Zajrzę do jednej z tych budek i zrobię zdjęcia kilkunastu swoich śmiesznych min, i wyślę je do ciebie, jak tylko stopnieje śnieg.

— Cudownie! A kiedy wrócisz do domu? Już niedługo?

— Nie wcześniej niż w marcu. Gdyby nawet udało mi się przyjechać do domu, mogłabym zostać najwyżej trzy dni. A tutaj zaczął padać deszcz i wszystko zamarza, a praca tak bardzo mnie goni...

W jej głosie słychać było zmęczenie.

— Co mogę dla ciebie zrobić? W jaki sposób mogę ci pomóc?

— Kochaj mnie! Tęsknij za mną! Pragnij mnie! Och, Timothy, byłeś zazdrosny, prawda?

— Tak. Strasznie. Kotłowało się to we mnie przez wiele dni i gdy odebrałaś telefon, po prostu nie umiałem się powstrzymać. Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

— Jak to cudownie, że nadal potrafisz się sam zaskakiwać. Nie mogłabym cię kochać, gdybyś nie dawał się od czasu do czasu ponieść emocjom. To właśnie to czułe miejsce w twoim sercu, którego nigdy nie zdołasz do końca ukryć, sprawia, że cię kocham.

— Tak, ale to miejsce jest takie małe. Czy nie wołałabyś, żeby było większe?

— Wołałabym, dużo bardziej bym wołała, najdroższy.

Poczuł, jakby przyszła odwilż, jakby zaczął topnieć śnieg. Coś w nim zostało uwolnione i ulezione, a on oparł się wygodnie na poduszkach.

— Kocham cię, Timothy.

— Kocham cię, Cynthio. Szczerze. Bóg mi ciebie zesłał.

— Myślisz, że Bóg chciał, żebym dobijała się do twojego serca, które było zamknięte na cztery spusty?

— Myślę, że właśnie ty i tylko ty mogłaś to zrobić. Przeczytałem kiedyś coś takiego: „Bóg żąda, abyśmy — każdy w swoim czasie — wyrwali się z naszych warownych samotni i odnaleźli się nawzajem. Jedynie to jest w stanie uzdrowić udręczoną duszę i uwolnić serce, by się oddało miłości”. Zamknięte na cztery spusty serca, warowne samotnie, to to samo. Tak trudno...

— W to uwierzyć.

— Tak. Niewyobrażalnie trudno. Czasami ogarnia mnie strach. Ale nie ma innego wyjścia.

— Tak, teraz jesteś odważny, ty wielki głuptasie, ale poczekaj, aż wrócę do domu i rzucę się w twoje ramiona... czy uciekniesz?

— Sama myśl o tym sprawia, że brakuje mi powietrza — odparł szczerze. — I nie wiem, czy ucieknę. Nie chcę. Ale...

— Ale nie jest to wykluczone?

— To dziwne, ale nie ufam sobie, jeśli chodzi o moje zachowanie względem ciebie — mimo to ufam tobie. Ufam ci bezgranicznie i wierzę, że mnie nie zawiedziesz, ale obawiam się, że nie potrafię tego odwzajemnić...

— Ależ odwzajemniasz to właśnie w tej chwili.

— Tak. Ale to mnie... przeraża.

— Obejmij mnie, Timothy. Po prostu bądź ze mną. Gdzie jesteś, najdroższy?

— Leżę na łóżku. Czy słyszysz, jak chrapie Barnaba?

— Nie, ale bardzo bym chciała. Chciałabym być tam z tobą, chciałabym cię obejmować i żebyś ty też mnie obejmował.

Wszystkie stresy minionych tygodni, zła pogoda, dodatkowe obowiązki kościelne, wystąpienia na lunchach i apele, niepokoje serca — wszystko to skumulowało się, sprawiając, że czuł się tak, jakby do jego duszy wlewał się cement. Teraz nareszcie przyszedł czas, w którym cement zaczął ustępować.

— Potrzebuję cię — powtórzył, rozgrzany i szczęśliwy.

— Tak! Spalmy te stare stoły! — zawołał Dooley, przekrzykując muzykę płynącą z jego radiomagnetofonu.

— Spalmy ten stary radiomagnetofon! — odkrzyknął pastor.

Prawdę powiedziawszy, ogień, który powstał ze spalania składanych stolików, był jednym z najpiękniejszych, jakie udało im się rozpalić tej zimy.

Gdy miał za sobą uroczystą mszę świętą odprawianą w dzień Bożego Narodzenia, zrobił coś, o robieniu czego już prawie zupełnie zapomniał. Rozebrał się, włożył piżamę i szlafrok, a potem zaparzył dzbanek herbaty Darjeeling. Następnie wysłał Dooleya do jego pokoju, skąd dochodziło jedynie rytmiczne dudnienie muzyki, której Dooley słuchał z radiomagnetofonu.

Było na to tylko jedno lekarstwo.

Włożył płytę kompaktową do swojego odtwarzacza stojącego na szafce i z uśmiechem na ustach zasnął twardym snem, słuchając rumby — czy też może tanga?

Jena Ivey z Mitford Blossoms nie miała zielonego pojęcia, która kwiaciarnia w Nowym Jorku zagwarantuje, że doręczonym przez nią różom nie opadną łebki. On pamiętał jednak artykuł, który przeczytał swojego czasu w poczekalni u dentysty, informujący, że hotel Ritz-Carleton słynie ze swoich olśniewających kompozycji kwiatowych. Zadzwonił więc do Nowego Jorku, do kierownika hotelu, który podał mu nazwę kwiaciarni, a następnie zamówił dwanaście czerwonych róż i bukiet świeżej

lawendy, w cenie, która na początku wydawała mu się absurdalna, i poprosił o ich bezzwłoczne doręczenie w przewiązanym jedwabną wstążką pudełku.

Rozdział siódmy

WIĘCEJ NIŻ MUZYKA

„Najdroższy,

nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak żywe róże i lawenda uradowały swoją świeżością moje serce. Całe mieszkanie jakby ożyło, odkąd ma ich za swoich słodkich domowników, a ja nie wracam teraz do domu tak niechętnie z delikatesów, kiosku z gazetami czy kawiarni.

Dlatego też nie dziękuję Ci za same róże, które są wspaniale i radują oko, ani za ogromny bukiet lawendy, która wygląda tak, jakby została ścięta dosłownie przed chwilą. Pragnę Ci podziękować za ich cudowny urok, który koi, uspokaja i wyciąga do mnie przyjacielską dłoń.

Gdy doręczono kwiaty, próbowałam zadzwonić do Ciebie do biura, ale wciąż było zajęte. Postanowiłam więc skorzystać z innej drogi, którą wyznaczają pióro i papier, refleksja i czas.

Jakże wspaniałym przeżyciem jest zacząć kochać. Nie będę w tym miejscu mówiła o strachu, który zawsze zdaje się towarzyszyć temu uczuciu. Będę pisała jedynie o zwycięstwie, bo tylko jego posmak przepelnia dziś moje serce.

Gdy Cię poznałam, Timothy, nawet nie myślałam o tym, żeby jeszcze kogoś pokochać. Za nic w świecie nie chciałam ponownie płacić ceny miłości! Zamknęłam drzwi, ale Bóg ich nie zamknął.

Pamiętam ten wieczór, gdy przyszłam pożyczyć cukier. Mimo że zmiotłam jedynie z talerza resztki Twojej kolacji, miałam wrażenie, że wróciłam do domu. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, gdy siedząc przy Twojej kuchennej ladzie, odkryłam, że się w Tobie zakochuję.

Twój dom spowijała cisza i spokój, które przemówiły do mojego serca, a w Twoich oczach zobaczyłam coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej w oczach żadnego mężczyzny. Przypuszczałam, że to dobroć — i nie myliłam się. Potem wydawało mi się, że to dar współczucia — i też miałam rację.

Wyczuwałam jednak, że Bóg obdarzył Cię tymi cechami, aby ułatwić Ci spełnianie pośród Twoich wiernych i w Twojej społeczności Jego posłannictwa. Przez długi czas nie wiedziałam, czy w swojej wspaniałomyślności pomyślał także o mnie.

Wiele lat temu towarzyszyłam Elliottowi w podróży do Gwatemali. Kiedy on brał udział w spotkaniach, ja jeździłam po kraju z kierowcą i szkicownikiem, telepiąc się po ogromnych dziurach, aż dzwoniły nam zęby. Jechaliśmy wiele kilometrów przez dżunglę, nie widząc nic poza gęstą, nie ustępującą mgłą. Światło w tamtej części świata wydawało mi się dziwne i nieznajome, a czasami ogarniał mnie nieomal paniczny strach.

Nagle wyjechaliśmy na polanę. Przed nami rozciągało się ogromne powulkaniczne jezioro, którego widok dosłownie zaparł mi dech w piersiach. Jego powierzchnia była spokojna, błękitna i idealnie gładka, a światło, które zalewało polanę, zdawało się płynąć prosto z nieba.

Nigdy nie zapomnę zaskoczenia i zdziwienia, które towarzyszyło znalezieniu tego ukrytego i odległego jeziora.

Wydaje mi się, że znalazłam w Tobie takie ukryte miejsce, które jest ogromne i głębokie i o którego istnieniu — oprócz mnie — nie wie prawie nikt. Radość i ból towarzyszące myśli o szczęściu, jakie możemy znaleźć razem w tym ukrytym miejscu, są prawie nie do zniesienia, a mimo to dzisiaj chętnie się im oddaję.

»Miłość jest jak odra — powiedział Josh Billings —... im później w życiu się pojawia, tym gorzej się ją przechodzi«.

Niech Bóg ma nas w swojej opiece, mój najdroższy Timothy!

Kończę śmiechem i płaczem, czyli tym, co stanowi istotę życia, i śpieszę do deski do rysowania, z ogromną nadzieją, że — nareszcie — będę w stanie sprawić, żeby zebra przestała wyglądać jak duży pies w piżamie w paski!

Całuję Cię. Z wyrazami miłości, Cynthia".

„Najdroższa Cynthio,

gdy byłem dzisiaj w czytelnicy, Hessie Mayhew powiadomiła mnie, że klub miejski organizuje w lutym kurs tańców latynoamerykańskich. Powiedziałem jej, że mam prywatnego instruktora tańców latynoskich, czym bardzo ją zaskoczyłem.

Potem zaglądnąłem do działu dziecięcego i porozmawiałem z Avette o czytaniu panny Copper-smith.

»*Violet idzie do szkoły* i *Violet gra na pianinie* są moimi osobistymi faworytami — powiedziała — chociaż *Violet jedzie do Francji* jest przezabawnie śmieszna. A co ojciec wybiera?«

»Dzieła zebrane!« — odparłem.

Muszę Ci powiedzieć, że Hessie Mayhew zna się na rzeczy. Gdy zobaczyła, co wybrałem, wyraziła aprobatę. Powiedziała, cytując: »To Proust literatury dziecięcej!«

Teraz mam niezliczoną liczbę Twoich zdjęć, chociaż wszystkie znajdują się z tyłu, na obwolotach Twoich książek. Obecnie moje biurko w salonie zdobi egzemplarz *Violet jedzie na wieś*. Pisząc ten list, podnoszę od czasu do czasu wzrok i widzę ujmujące spojrzenie Twoich oczu, spoglądających na mnie z okładki książki. Obawiam się, że sama autorka wygląda niezwykle młodo, i jeśli to efekt pisania książek dla dzieci, jestem gotów spróbować tego zajęcia.

Zacznę dzisiaj wieczorem od książki znajdującej się na samym szczycie stosu, a potem zamierzam się przedrzeć przez wszystkie tomy, aż do samego spodu. Nie myśl w żadnym wypadku, że бага-

telizuję poświęcenie i ciężką pracę, które wkładasz w stworzenie każdej małej książeczki. Czuję się zaszczycony, mogąc poznać — nawet jeśli tylko w niewielkim stopniu — kulisy Twojej pracy.

Wujaszek Billy pyta o Ciebie i mówi, że chciałby, żebyśmy go odwiedzili, gdy wrócisz do domu. Ty i Dooley możecie się wybrać na bananowy pudding domowej roboty, którym wujaszek planuje nas poczęstować, a ja dołączę do Was później.

Opowiadał mi o pieniądzach, które ukrywa pomiędzy swoim materacem i sprężynami. Mówi, że panna Rose zazwyczaj prosi go o dziesięć albo piętnaście dolarów w poniedziałek. W środę chce dwadzieścia, a w każdy piątek prosi o dwadzieścia pięć.

Gdy zapytałem go, co panna Rose robi z tymi wszystkimi pieniędzmi, odpowiedział, że nie wie, bo jeszcze nigdy jej nic nie dał.

Wydaje mi się, że to jego najnowszy dowcip, chociaż tego nie powiedział.

Twój list mówił o zwycięstwie i chciałbym, aby mój także kończył się równie optymistycznym akcentem. Mimo to nie mogę pominąć milczeniem Twojej aluzji do ukrytego jeziora.

Twoje porównanie wydało mi się niezwykle i sprawiło, że od razu poczułem, iż na pewno Cię rozczaruję. Jezioro, które odkryłaś w Gwatemali, było tropikalne i ciepłe. Jezioro, które — jak mówisz — odkryłaś we mnie, egzystuje w klimacie będącym wytworem wyłącznie mojej własnej osobowości. I w tym właśnie tkwi problem.

Proszę, módl się za mnie w tej sprawie, moja najdroższa Cynthio. Jestem zdecydowanie za bardzo zaawansowany w latach, żeby przechodzić taki ciężki przypadek odry. Prawdę powiedziawszy, mam wysypkę na całym ciele i już chyba nie ma dla mnie ratunku.

Zawsze pamiętam o Tobie w modlitwach.

Dooley pyta o Ciebie, podobnie Emma i Puny. Płomień świecy rozbłysł w tej spowitej zimą wiosce i liczymy dni do Twojego szczęśliwego powrotu do domu.

Z wyrazami miłości, Timothy".

„Najdroższy Timothy,

to cudownie, że zadzwoniłeś dzisiaj wieczorem po przeczytaniu *Violet jedzie na wieś*. Prywatnie lubię ją najbardziej ze wszystkich swoich książek i bardzo się cieszę, że jej lektura sprawiła Ci radość.

Cieszę się również, że czytałeś ją na głos Barnabie i że jemu też się podobała. Wcale mnie nie dziwi, że komuś tak rozsmakowanemu w Wordsworcie jak on przypadła do gustu wiejska sceneria, chociaż jest mi przykro, że zdenerwował się, gdy pokazałeś mu obrazek, na którym Violet goni psa pasterskiego.

Gdziekolwiek idziemy, Violet spotyka się z licznymi objawami zainteresowania. Wkładam ją do małego neseserka, z którego wcześniej zdejmuję wieczko, i tak oto podróżuje, oblizując sobie łapy. Ekspedientki ze stoiska kosmetycznego u Bergdorfa wybiegają zza lady, aby dać jej darmowe próbki

kosmetyków — sole do kąpieli potrzebne do wieczornej toalety i tusz do rzęs. Lubią pryskać ją francuskimi perfumami, więc w rezultacie ledwie mogę wytrzymać z nią w taksówce w drodze powrotnej do domu!

Gdy był tu James, poprosił mnie, żebym napisała *Violet jedzie do Nowego Jorku*.

Zabrał mnie do takiej niesamowicie drogiej restauracji i użył takich przekonujących argumentów, że prawie zupełnie mu uległam. Nie powiedziałam, że się zgadzam, ale obiecałam, że się nad tym zastanowię. Zaliczka byłaby największą kwotą, jaką kiedykolwiek otrzymałam. Będę wdzięczna, jeśli będziesz się za mnie modlił w tej sprawie. To bardzo kłopotliwe zostać poproszonym o zrobienie czegoś, czego uroczyście obiecało się nigdy więcej nie robić!

Dziękuję za to, że podoba Ci się moja praca i że przynosi Ci radość. Niecierpliwie wyglądam listu, który napisałeś dzisiaj wieczorem, zanim do mnie zadzwoniłeś — wszystko razem biorąc, to za-wstydzająca obfitość szczęścia!

Oto te śmieszne zdjęcia, które zrobiłam sobie w budce na ulicy. Na wiosnę możesz poprzipinać je do tyczki w ogrodzie, żeby odstraszały wrony!

Wyciągnęłam kilka łądyżek lawendy z flakonu, wysuszyłam je trochę w tosterze i włożyłam pod poduszkę. Lawenda przynosi ponoć słodkie sny, czego życzę Ci na dzisiejszą noc.

Zawsze pamiętam o Tobie w modlitwie.

Z wyrazami najczulszej miłości — Twoja sąsiadka".

„Najdroższa Cynthio,

jest piątek wieczorem i właśnie wróciłem z długiego spotkania. Piszę jedynie, żeby powiedzieć Ci dzień dobry i że włączyłem światełka, które zdobią Twoje krzewy.

Mgła jest tak gęsta jak zupa z soczewicy, a one rzucają radosne światło. Skoro nie świeciły się w czasie świąt, mam nadzieję, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że włączyłem je teraz na kilka godzin, jako dowód mojej pamięci o Tobie w ten paskudny, ale piękny zimowy wieczór.

Niech Cię Bóg błogosławi i doda Ci skrzydeł do Twojej pracy.

Nie, użyj ich, aby przylecieć do mnie, do Mitford. Będę patrzył, jak szybujesz nad dachem swojego domku i z ogromną radością otworzę Ci moje okno, żeby wpuścić Cię do środka.

Myślę o Tobie i kocham Cię, Timothy".

„Timothy, Najdroższy,

Violet została zaproszona dzisiaj na kolację przez pannę Addison, która mieszka kilka drzwi dalej, na tym samym piętrze co ja.

Zaproszenie zostało doręczone przez jej lokaja albo kogoś w tym rodzaju — to szalenie snobistyczne miejsce — i było na godzinę szóstą wieczorem, o której to godzinie sędziwy kot panny Addison, Palestrina, zazwyczaj jada kolację.

Czy możesz sobie to wyobrazić?

Spotkałam pannę Addison kilka razy na korytarzu, czy też w holu na dole, i jest raczej starszą panią, całkiem uroczą, spowitą od stóp do głów w futra.

Lokaj, czy też ktokolwiek to jest, przyszedł po Violet punktualnie o szóstej, właśnie gdy skończyłam ją szczotkować, tak że aż błyszczała.

Ale, niestety, jaka z niej niewdzięcznica! Czy wiesz, co zrobiła dokładnie na pięć minut przed tym, zanim zadzwonił dzwonek? Wnosiłam do środka doniczkę z kwiatkiem, gdy ona wymknęła się na taras, który znajduje się na czterdziestym piętrze, wyskoczyła na balustradę i stała na niej, przyglądając się w wielkim skupieniu światłom wieżowca Chrysler Building.

Zostanie tam do ósmej, ponieważ po kolacji będą oglądać razem film z kasety wideo. (Mam nadzieję, że nie *101 Dalmatyńczyków*).

Jednego wieczoru wybrałam się całkiem sama na kolację do restauracji i muszę przyznać, że była dość droga. Kelner przyszedł do mnie w końcu i zapytał: »I jak znalazła pani stek?«

»Całkiem przez przypadek« — odparłam. »Przesunęłam trochę ziemniaki i groszek, i oto był!«

Och, Timothy, tak bardzo staram się przynosić plon tam, gdzie posłał mnie Bóg. Bardzo jednak tęsknię za domem. Wyczekuję z niecierpliwością naszej niedzielnej rozmowy.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia dla Ciebie i Barnaby. Pozdrów również ode mnie Dooleya. Tak bardzo chciałabym ujrzeć szczerzy wyraz jego twarzy i usłyszeć jego cudowny sposób wysławiania się. Gdy wrócę do domu, zrobmy razem coś wyjątkowego, na przykład... no cóż, pomyśl o czymś! Modlę się za Ciebie.

Serdeczne wyrazy szacunku dla Emmy i uściski dla panny Sadie i Louelli".

„Niedziela wieczór Najdroższa Cynthio,

właśnie skończyliśmy rozmawiać i wydawało mi się, że o tak wielu sprawach zapomniałem Ci powiedzieć. Teraz jednak, gdy usiadłem, żeby do Ciebie napisać, nic nie przychodzi mi do głowy.

Bardzo się cieszę, że Violet znalazła przyjaciela, mimo że jej wykwinna kolacja sprawiła, że przez całą noc wymiotowała i musiała biegać do pudełka. Jak jednak powszechnie wiadomo, smażone wątróbki przepiórki w maderze często wywołują takie sensacje.

Jeśli chodzi o nas, mieliśmy nasz tradycyjny niedzielny wieczorny bankiet. Smażona kiełbasa bolońska z podwójną musztardą dla Dooleya i proszę, żadnych kazań o zdrowym odżywianiu się. Ten przypadek mnie przerasta. Jeśli się nie mylę, nie zjadł ani jednego warzywa od czterech czy pięciu miesięcy i niech mnie kule biją, jeśli wiem, co z tym zrobić. Jakieś sugestie?

Zapomniałem wspomnieć, że w sobotę był tu łagodny, prawie że balsamiczny dzień. Panna Rose naciągnęła kalosze i spędziła godzinę — pomiędzy dwunastą a trzynastą — kierując ruchem. Po długim zamknięciu zaróżowiło to na powrót jej policzki — twierdzi wujaszek Billy.

Fancy Skinner ponownie przyparła mnie do muru w sprawie mojej fryzury i nalega, żebym pozwolił jej spróbować wyczarować na mojej głowie coś nowego. Waham się, ponieważ nie chciałbym sprawić przykrości Joe. Słyszałem jednak, że prawdopodobnie wkrótce wyjedzie razem z siostrą do Tennessee na tydzień. Może mógłbym wykorzystać jego dłuższą nieobecność jako pretekst. Co o tym myślisz?

Spotkałem Andrew Gregory'ego, który wyglądał niezwykle elegancko w kaszmirowym płaszczu i pytał o Ciebie. Najwyraźniej uważa, że skoro jestem Twoim sąsiadem, wiem o Tobie wszystko.

A mnie przyszło teraz do głowy, że nie wiem nawet, gdzie się urodziłaś.

No i proszę. To chyba wszystkie pilne sprawy, o których zapomniałem wspomnieć w czasie naszej rozmowy.

Najwyraźniej nie ma zbyt wielu ważnych rzeczy, o których można powiedzieć słynnej autorce i ilustratorce mieszkającej w Nowym Jorku, której kot wie dziej bardziej interesujące życie niż większość śmiertelników.

Cynthia, Cynthia — na samą myśl o tym, co powiedziałaś, czuję, jak na twarz wypływa mi rumieniec. Mam nadzieję, że jeszcze raz dokładnie przemyślisz tę skandaliczną propozycję, na wypadek gdybym chciał trzymać Cię za słowo.

Kończę ten list czymś w rodzaju niedowierzającego śmiechu i oczywiście, wyrazami miłości, Timothy".

„Niedziela wieczór Timothy!

Ty wilku w owczej skórze! Nie przesadzając, rumienię się jak pierwszoklasistka na myśl o tym, co powiedziałaś.

Być może będziesz chciał przemyśleć jeszcze raz tę niesamowitą propozycję. A co, jeśli postanowię trzymać Cię za słowo?

A może to był mój pomysł?

No cóż, kto to wie, gdy dwa serca biją jak jedno? I jakie to ma znaczenie?

Kocham Cię do szaleństwa. Jesteś taki zabawny i cudowny. Wiedziałam to, jak tylko zobaczyłam sos na Twoim policzku, gdy przyszłam pożyczyć cukier, zaraz po tym, jak się wprowadziłam.

Violet wyszła do mieszkania kilka drzwi dalej, na tym samym piętrze, pobawić się elektryczną myszą, w czasie gdy Palestrina — która jest za stara na taką dziecinadę — będzie się jej przyglądać.

Z radością wrócę do domu, gdzie czekają na mnie zwyczajni ludzie.

No cóż, prawie zwyczajni.

Ucałowania, Cynthia".

„Moja Najdroższa Sąsiadko, to był Twój niesamowity pomysł, nie mój, i bądź łaskawa o tym nie zapominać! Ja na pewno nie zapomniałem. Dobry Boże, ledwie jestem w stanie skupić myśli na swoich obowiązkach. I na tym właśnie polega problem.

Walczę z tym, czego starsi mężczyźni chorzy na odrę obawiają się najbardziej: nie jestem w stanie trzeźwo myśleć, zapominam, jak mam na imię, bezmyślnie błąkam się po ulicy, spóźniam się na spotkania i przychodzę zbyt wcześnie na lunch, nieustannie rozmyślając o pewnej kobiecie, która jedynie twierdzi, że ma odrę, a w rzeczywistości przechodzi tak lekką jej odmianę, że może spełniać swoje obowiązki z całkowitym spokojem i opanowaniem, podczas gdy biedny facet potyka się nieustannie, usiłując znaleźć własne buty, albo nawet dom, w którym mieszka.

Cynthio, Cynthio. Miej litość.

Twój, Timothy".

„Najdroższa Zabawna Osobo,

Twój poranny telefon, który zbudził mnie dziś rano — jakże był cudowny! Niczym kawa z koniakiem i jajka po benedyktyńsku. Niczym gorący prysznic i spacer po parku! Brak mi słów, ale niezupełnie.

Tak bardzo się cieszę, że podobały Ci się zdjęcia, chociaż jestem pewna, że byłeś po prostu uprzejmy. Potrafię być śmiertelnie poważna przed obiektywem aparatu, a ten kaptur wykończony futerkiem sprawił, że wyglądam dokładnie jak eskimoska kobieta, która spędziła cały ranek, żując kawałek skóry renifera.

Najdroższy, uwierz mi, że w żaden sposób nie mogę przyjechać teraz do domu. Muszę spędzać część każdego dnia na pracy, żeby skończyć ją w terminie. Gdybym teraz stąd wyjechała i przeniosła się do Mitford, straciłabym jedynie mnóstwo czasu i wprowadziła zamęt w swoim obecnym — w jakimś stopniu uporządkowanym — życiu.

Jak do tej pory, szło mi bardzo dobrze. Jeśli teraz będę kontynuowała pracę i nie poddam się, powinnam skończyć ją w terminie.

Mam więc pytanie, które sprawi, że serce podejdzie Ci do gardła...

A może Ty przyjechałbyś do Nowego Jorku?

Mógłbyś zamieszkać u mnie i w czasie, gdy ja pracowałabym, mógłbyś czytać, chodzić do księgarni albo zaglądać do mojej malutkiej kawiarenki, gdzie nie tylko mnie przyjęli jak swoją, ale gdzie na pewno chętnie zaopiekowałiby się Tobą.

Miałbyś tu dużo prywatności, bo to jest bardzo duże mieszkanie — a ja obiecuję, że Cię nie uwiodę. Ponieważ nigdy o tym nie rozmawialiśmy, chciałabym Ci powiedzieć, że naprawdę wierzę w tradycyjny sposób postępowania w sprawach miłości. Kocham Cię prawdziwie i czule i chciałabym, żeby wszystko było takie jak należy, proste i dobre, i tak, miłe Bogu. Dlatego właśnie jestem gotowa

poczekać na rodzaj bliskości, której większość ludzi oczekuje od znajomości z drugą osobą tuż po jej zawarciu.

Ale dość już o tym, czego nie zrobię, czas na to, żebym powiedziała, co będę robić!

Będę kupowała świeży chleb, świeże ryby i warzywa, i wszystkie inne rzeczy, które uwielbiasz, i będę dla Ciebie gotowała, a Ty zaoszczędzisz w ten sposób setki dolarów na drogich restauracjach, które będziesz mógł potem przekazać na rzecz Szpitala Dziecięcego!

Zabiorę Cię na sztukę, a bilety na nią dostanę od mojego wydawcy, i do sklepu z podświetlanym globusem, nie wspominając o Metropolitan Museum i nowojorskiej Bibliotece Publicznej.

A co najważniejsze, dam Ci tyle miłości, uczucia i szczęścia, ile tylko jestem w stanie ofiarować, a wydaje mi się — najdroższy Timothy — że jest tego dość sporo.

Proszę bardzo. Jak mógłbyś się temu oprzeć?

Twoja kochająca Cynthia".

„z biura

najdroższa cynthio,

ale ja jestem takim wiejskim chłopcem, prostakiem — krótko mówiąc, prowincjuszem najgorszego gatunku.

Wiem dlaczego nie wspomniałaś o tym, gdy rozmawialiśmy w niedzielę — chciałaś, żebym miał czas to przemyśleć. Jest to rzeczywiście, jedna z największych zalet listu, daje on czas na zastanowienie, dzięki czemu człowiek nie wykrzykuje pod wpływem impulsu, czy też chwilowej słabości jakiegoś nonsensu, w rodzaju — tak, przyjadę do Nowego Jorku i będę leciał samolotem, i czuł się osamotniony na lotnisku, i zgubię się, albo zostanę napadnięty, albo nawet zabity, nie wspominając już o tym, że na każdym rogu będzie nacierał na mnie tłum.

Nie. nie mogę tego zrobić, myślisz, że tylko żartuję, ale jestem śmiertelnie poważny, wszyscy wiedzą o moim strachu przed lataniem samolotem — co z resztą jest głównym powodem, dla którego przez dwadzieścia lat byłem nagabywany i namawiany na wycieczkę do Irlandii. Duże miasta są moją drugą wiejską fobią — przyprawiają mnie dosłownie o mdłości — co było jedynym powodem, dla którego razem z Katherine i Walterem, w czasie naszego pobytu w sligo, mieszkaliśmy na wsi.

Jestem gotów przyjąć z Twoich rąk każdą karę — ale nie mogę przyjechać do nowego jorku. masz rację, na samą myśl o tym, serce podchodzi mi do gardła, do licha, tak mi przykro,

z wyrazami miłości,

Timothy".

„Najdroższa Cynthio,

jest niedziela wieczorem i ponownie przeczytałem Twój list, czując się jak ostatni łajdak.

Twoja radość ducha jest światłem mojego życia. Gdy czytam ponownie o tych wszystkich cudownych rzeczach, które zrobiłabyś żeby mi sprawić przyjemność, moje głupie ograniczenia i przywary zawstydzają mnie.

Mogę jedynie mieć nadzieję, że mi wybaczysz i że będziesz wiedziała, że kiedyś, w jakiś inny sposób będę mógł Ci okazać swoją dobroć i miłość.

Ja też jestem bardzo nieszczęśliwy z tego powodu, że jesteś tam sama. Emma zapewnia mnie, że mężczyźni z branży wydawniczej są przystojni, niezmiennie wysocy, niektórzy mają nawet blisko trzy metry — albo i więcej — i wszyscy robią niesamowite kariery.

Posunęła się nawet do tego, żeby mnie przestrzec, że jeśli nie będę się dość starał, to na pewno stracę wszystkie względy, które z takim trudem udało mi się u Ciebie zdobyć, i ktoś sprzątnie Ciebie sprzed nosa. Wcale bym się nie dziwił, gdyby tak się stało ale modłę się do Boga, żeby do tego nie dopuścił.

Z pewnym pocieszeniem przeczytałem Twoją śmiałą deklarację odnośnie do tego, czego nie zrobisz. Rzeczywiście, nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy, ale jak widać, nadszedł właściwy czas, abyś to powiedziała. Nie mogę wręcz uwierzyć, że mamy taki sam pogląd na sprawy intymnej bliskości dwojga ludzi, który — jak powszechnie wiadomo — świat uważa za zdecydowanie przestarzały.

Kolejnym pocieszeniem jest fakt, że w tej kwestii świat nie ma z nami nic wspólnego.

Twoja szczerość w jakiś sposób otwarła szeroko moje serce i siła mojej miłości do Ciebie jest w tej chwili nieomal obezwładniająca. Wydaje mi się, że nie jestem wart całej Twojej troski, wysiłków, których się podejmujesz, i nieustającej cierpliwości, jaką wnosisz do naszego związku.

Już tylko za to muszę Cię kochać.

Moja Najdroższa,

śmiałybyś się, gdybym Ci powiedział, jak długo siedziałem i przyglądałem się tym dwóm zapisanym powyżej słowom, słowom, których nigdy przedtem nie napisałem w liście do żadnej innej osoby. Czy to możliwe, że trzeba było sześciu dekad, żeby te słowa uformowały się w mojej duszy, a potem bez ostrzeżenia pojawiły się na leżącej przede mną kartce papieru, w tak naturalny i samoistny sposób?

Już nawet za samo to muszę Cię kochać. Niedawno czytałem fragment listu Roberta Browninga do EBB, w którym pisze:

»Nie zamieniłbym smutku rozłąki z Tobą na najwspanialszą rozkosz, jaką tylko mogę sobie wyobrazić, ale bez Twojego udziału«.

Tę sentymentalną wypowiedź mogę skwitować tylko w jeden sposób — *c'est la vie*.

Mówię Ci też dobranoc, moja Najdroższa Ukochana. Zawsze pamiętam o Tobie w modlitwie. Timothy".

„Timothy,

rozumiem. Naprawdę rozumiem. Byłam w stanie wyczuć całą szczerą uczucie, która kryła się w Twoim napisanym na maszynie liście. Chwilami Twój strach przed tym miejscem śmieszy mnie. Po jakimś czasie jednak sama zaczynam się zastanawiać, co ja — u licha — tutaj robię?!

Wydaje mi się, że nie powinniśmy niczego zmieniać i starać się w jakiś sposób znajdować radość w naszej pracy i wzajemnym czekaniu. Wiem, że tkwi w tym głęboka mądrość! Ale czas mi ucieka, jak pchła, którą znalazłam dzisiaj w futrze Violet.

Czy możesz to sobie wyobrazić? Czterdzieste piętro, środek zimy — i pchła? Na pewno nie zła-pała jej u Bergdorfa. To pozostawia tylko jedną podejrzaną.

Palestrina!

Drzę na samą myśl o tym, co zrobię, gdy w skrzynce na listy pojawi się kolejne zaproszenie dla Violet!

Muszę przygotować coś, co chcę oddać do pralni chemicznej, a goniec będzie tu o piątej, kończę więc, z wyrazami miłości i zrozumienia, Cynthia".

„Najdroższy Timothy,

gdy wyciągałam wczoraj listy ze skrzynki, nie wiem, dlaczego przeoczyłam Twój cudowny list, który napisałeś w poniedziałek wieczorem. Jakie to dziwne, że nie znalazłam go tam wczoraj, ale jeszcze dziwniejsze, że zaglądnęłam do skrzynki ponownie dzisiaj rano, wiedząc, że dzisiejsza poczta jeszcze nie nadeszła.

Tak bardzo potrzebowałam Twojego listu ze słowami pana Browninga do Elizabeth i tymi czu-lymi słowami, którymi przemówiło do mnie Twoje serce. A to dlatego, że choć naprawdę rozumiem, dlaczego nie możesz tutaj przyjechać, Twoja odmowa bardzo mnie zasmuciła.

Miałam nadzieję, że będziemy mogli być tutaj razem, wolni od codzienności i beztroscy jak dzieci. Chciałam podzielić się z Tobą wszystkim, co wiem o tym dziwnie fascynującym mieście, oprowadzić Cię po nim i pochwalić się Tobą przed wszystkimi!

Ale nazwałeś mnie swoją najdroższą, a to znaczy więcej niż oglądanie wystaw u Tiffany'ego czy herbatka, którą moglibyśmy sączyć w hotelu Plaza.

Co więcej — napęła mnie szczęściem to, że zdobyłeś się na to, aby — sam z siebie — prze-mówić tak do mnie.

Nie było mi łatwo powiedzieć, czego nie zrobię — bardzo trudno było się domyślić, kiedy to powiedzieć! Potrafisz sobie wobec tego wyobrazić, jaką pociechą dla mnie było dowiedzenie się, że

zgadzamy się co do tej świętej rzeczy — i odkryć, że jesteś równie śmieszny i staromodny jak Twoja sąsiadka.

Gdy rozwiodłam się z Elliotem jedenaście lat temu, moi znajomi od razu chcieli mi kogoś »znaleźć«.

Och, jak ja tego nienawidziłam!

Już pierwszy mężczyzna, z którym się umówiłam, powiedział: »Cześć, bla, bla, bla, zabawny nosku, masz szalowe nogi, chodźmy gdzieś do hotelu«.

Chciałabym móc Ci powiedzieć, że wylałam mu na kolana filiżankę wrzącej kawy! W rzeczywistości jednak nie potrafiłam zrobić niczego więcej, jak tylko zamknąć się jeszcze bardziej w sobie! Nie umówiłam się z nikim przez następne trzy lata.

Przyznam Ci się, Najdroższy, w tajemnicy, że nie cierpię się umawiać. Dla mnie jest to prawdziwy koszmar. Tak bardzo się cieszę, że my nigdy się nie umawialiśmy i że nigdy nie będziemy tego robić! Jesteś po prostu chłopcem z sąsiedztwa i uważam, że to najwspanialsza interwencja boskiej Opatrzności od czasów, gdy Francja przeszła pod panowanie Henryka V.

Proszę Cię jednak, nie myśl, że nasz przyjaciel Andrew Gregory nie jest pod każdym względem wręcz cudowny. Jest księciem! Pomijając jednak kilka innych słodkich niezgodności, jest dla mnie za wysoki. Tak! Gdy chciał pocałować mnie w policzek, musiał niemal przykucnąć, żeby to zrobić, a ja za każdym razem wybuchałam śmiechem! Biedny Andrew. Zasluguje na znacznie więcej.

Ty i ja z kolei odpowiadamy sobie wielkością wręcz idealnie. Ponieważ mierzymy prawie dokładnie tyle samo, jesteśmy niczym para podpórek na książki.

Kończę, przesyłając senne życzenia rewelacyjnego kazania w Lord's Chapel w niedzielę. Proszę, zrób jego kopię w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń i przyslij mi pocztą. Będę siedziała po lewej stronie ołtarza, w małym kościółku za rogiem.

Przesyłam wyrazy miłości i modlę się za Ciebie, Cynthia.

PS. W mojej pracy cudowna hossa. Brak mi słów, żeby powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna. James pisze z Francji, że moje zebry są jak żywe. Nie widzi wśród nich ani jednej pary spodni od pizamy. Módl się za mnie, Najdroższy, będę w domu wcześniej, niż myślimy. Ucałowania dla Dooleya. Przesyłam jego podobiznę, którą narysowałam z pamięci".

„z biura

droga podpórko na książki, pragnę Cię poinformować, że mam prawie metr siedemdziesiąt pięć w butach, podczas gdy ty niecałe metr pięćdziesiąt osiem, co daje całe siedemnaście centymetrów pustej przestrzeni nad czubkiem Twojej głowy, i byłbym wdzięczny, gdybyś o tym nie zapomniała.

Dooley śmiał się z Twojego rysunku i musiał mu się spodobać, bo wziął go dzisiaj do szkoły. Fakt, że ktoś mógł narysować jego portret, był dla niego cudem, którego nie zbagatelizował. Puny

uważa, że to akt czystego geniuszu, a ja obiecałem zrobić dla niej kopię, gdy będę kopiował kazanie, które — nawiasem mówiąc — nie było rewelacyjne, chociaż panna Rose — ku mojemu zdziwieniu — stwierdziła, że było poruszające.

Nie zgodziła się nałożyć wsuwanych lakierów, które wujaszek billy zamówił dla niej z katalogu. Wystawiła je natomiast na półce nad kominkiem w jadalni, jako rodzaj ozdoby. W kościele pojawiła się w swoim odświętnym bożonarodzeniowym stroju. Wujaszek Billy miał na sobie nową koszulę i trzymał się tak prosto i sztywno, że zacząłem podejrzewać, iż nie wyciągnął tektury.

Zgodnie z planem, na wzgórzu ruszyły prace i idąc dzisiaj rano, słyszałem warkot i szum pracującego sprzętu, emma poprosiła mnie o tygodniowy urlop, jestem więc tutaj zupełnie sam, w jednej minucie na wpół zamarzając, to znów oblewając się potem, ponieważ nasz grzejnik nabawił się nerwowego tiku i włącza się oraz wyłącza o najdziwniejszych porach.

Gdy wczoraj rozmawiałem z Tobą, wydawałaś mi się pełna energii i zapału. Bardzo się cieszę, że panna Addison zaprosiła Cię na tę wytworną niedzielną herbatkę i że nie przyniosłaś do domu pcheł.

Podobnie jak poprzednio, lektura kolejnych Twoich książek sprawiła mi wręcz niewysłowioną przyjemność. Mam wrażenie, że pomiędzy linijkami odczytuję coraz to więcej znaczeń.

Z wyrazami miłości, Timothy

p.s. Dooley mówi cześć.

Dziękuję, że poinformowałaś mnie, kiedy się urodziłaś, chociaż, jak zwykle, zapomniałem zapytać, gdzie. Teraz już będę pamiętał zapisałem Twoją datę urodzin na ścianie obok mojego biurka, to moje pierwsze graffiti — z wyjątkiem oczywiście już legendarnego. TOMMY NOLES KOCHA PATTY FRANKLIN, które zapisałem kredą na drzwiach stołówki i przez które nieomal nie zginałem z ręk dyrektora, nie wspominając już o samej Patty Franklin.

Być może przyszedłaś na świat w stanie maine? albo w massachusetts? Jesteś zdecydowanie Jan-keską, nie mam co do tego żadnych wątpliwości

Oto nadchodzi harold"

„Najdroższy Timothy,

ostatnio bardzo źle sypiam. Chciałabym zadzwonić do Ciebie teraz, ale dźwięk telefonu o takiej porze może przyprawić o zawał serca. Sprawiłby ponadto, że Barnaba zacząłby szczeleć, a Dooley narzekać. Postaram się więc znaleźć pocieszenie w rozmowie z Tobą w taki właśnie sposób.

Przeczytałam coś cudownego: »Głęboko w swoich korzeniach — powiedział Roethke — wszystkie kwiaty zatrzymują światło«.

Na myśl przyszły mi od razu moje tulipany, zamarznięte w czarnej ziemi grządki, którą pomogłeś mi wykopać. Moja wyobraźnia zanurzyła się w niej niczym kret i zobaczyła wewnątrz zamarznię-

tej cebulki zielone jądro — ruchome i żywe, i świetliste, i niestrudzone, siłę, która przetrwa każdą zimową zawieruchę i wybuchnie, na przekór samej sobie, żeby powitać wiosnę.

Podtrzymuję światło, Najdroższy. Czasami jednak prawie zupełnie przygasa, a wtedy boję się, że zupełnie je stracę.

Dlaczego nie robię tego wszystkiego, co powinnam robić? Nie chodzę do biblioteki, do księgarni, nie oglądam sztuk w teatrze, nie słucham koncertów, nie podziwiam wielkiej sztuki?

Odpowiedź brzmi, że po godzinach, które spędzam pochylona nad deską do rysowania, nie mam już siły na nic, zamawiam więc danie na wynos z chińskiej restauracji albo wychodzę na chwilę do kawiarni i kładę się do łóżka przed wieczornymi wiadomościami tylko po to, żeby odkryć, że nie mogę zasnąć!

Chodzę jednak pilnie w każdy czwartek wieczorem na zajęcia kursu przygotowującego do bierzmowania, do małego kościółka za rogiem — i znajduję w tym ogromną radość.

Modłę się o to, żebyśmy mogli chodzić razem na długie spacerzy, biegać w deszczu i wskakiwać w kałuże! Czy wskoczyłbyś ze mną do kałuży? Przypuszczam, że nie, ale zamierzam się łudzić tą nadzieją, ponieważ cieszy mnie sama myśl o tym.

Teraz, gdy wstałam z łóżka, znalazłam papeterię, przyniosłam pióro i napełniłam je atramentem, poprawiłam poduszki, ustawiłam odpowiednio lampę i powiedziałam Ci, że nie mogę spać, zaczynam zasypiać.

Życie jest takie dziwne. Zupełnie nie potrafię się w nim połapać. Cieszę się, że Ty jesteś pastorem i potrafisz.

Twoja kochająca C".

„Moja Najdroższa C,

zastanawiałem się nad naszą wspólną kolacją tutaj, zanim zniknął w przestworzach, w tym maluteńkim samolociku. Nie mogę sobie przypomnieć, czym Cię wtedy poczęstowałem, kiedy i jak to przygotowałem, ani nawet jak uzgadniałem zamówienie z Avisem. Mimo że byłem absolutnie trzeźwy, mam wrażenie, że to wszystko działo się jak we śnie — pamiętam jedynie, że tańczyliśmy, że zadałem Ci diabelnie trudne pytanie, a ty byłaś czuła i cierpliwa, śmiałaś się do mnie radośnie.

Już samo to wspomnienie powinno mi wystarczyć, a mimo to nie mogę uwierzyć, że mogłem tak wszystko zapomnieć. Z pewnością działo się wtedy coś, co miało niewiele wspólnego z kolacją czy tańcem i co skłania mnie do zastanowienia się nad mądrością wiersza Aikena:

Muzyka, której z Tobą słuchałem, była więcej niż muzyką

Chleb, który z Tobą łamałem, był więcej niż chlebem...

Tak bardzo się cieszę, że zadzwoniłaś do mnie wczoraj w nocy. W niczym mi nie przeszkodziłaś, wręcz przeciwnie. Mam nadzieję, że znajdujesz w tym jakieś pocieszenie, jakkolwiek małe, że możesz do mnie zadzwonić o każdej porze.

Czy słyszysz? O każdej porze. Proszę, weź to sobie do serca.

Byłem już w parafiach, gdzie telefon mógł zadzwonić o każdej porze, od północy aż po sam świt. Mitford jest jednak powściągliwą parafią i wydaje mi się, że ostatni późny telefon, jaki pamiętam, to umierająca żona Hoppy'ego, która dzwoniła z prośbą o modlitwę — nie za nią, ale za niego.

Przyszło mi do głowy, że jestem nie tylko Twoim sąsiadem i przyjacielem, C, ale również Twoim pastorem. Wszystko to razem zdaje się stawiać Cię w dość skomplikowanej sytuacji i daje Ci wolność zwracania się do mnie tak, jak dyktuje Ci serce.

Z wyrazami najczulszej miłości na dzisiejszy wieczór i modlitwą, żebyś spała jak niemowlę, Timothy".

„Moja Droga Podpórko na Książki,

kazałem przywieźć sobie zapas drewna i na moim kominku płonie w tej chwili taki ogień, jakiego jeszcze nie widziałaś. Wszystko to sprawia, że mam ochotę napisać do Ciebie list, chociaż poprzedni wysłałem zaledwie wczoraj rano.

Odwołano spotkanie, dzięki Bogu. Dooley wybrał się z wizytą do Tommy'ego i zostanie tam na noc, a Barnaba czerpie przyjemność z drapania się. Żałuję, że Cię tutaj nie ma. To kolejna noc weselości w naszym zamarzniętym miasteczku.

Otrzymałem dzisiaj wiadomości od ojca Rolanda z Nowego Orleanu, który narzeka, że strumień moich listów wysychł niczym rzeka podczas suszy. Nie może pojąć dlaczego.

Przyrządzam właśnie pieczoną wieprzowinę i cały rondel białej fasoli — jeszcze jeden powód, dla którego żałuję, że Cię tutaj nie ma. Powiedziałem Puni, że muszę trochę odkurzyć swoje umiejętności kulinarne, zrobiła więc zakupy u Avisa, a ja zająłem się resztą.

W całym domu unosi się cudowny aromat, co przywodzi mi na myśl kuchnię mojej mamy. Zawsze dodawała do pieczeni wieprzowej skórkę pomarańczy i odrobinę brandy. Jej ulubionym dodatkiem do każdej pieczeni były anielskie podpłomyki, zwane tak, ponieważ miały zwyczaj odrywania się od talerza i krążenia nad półmiskiem.

Nie mogę nie przypomnieć sobie w tej chwili, że mój ojciec nigdy nie przychodził do stołu, gdy go proszono. Czekał czasami, aż skończymy albo aż wystygnie jedzenie, a potem siadał do stołu, bez słowa. Pamiętam rozczarowanie mojej matki i moją własną wściekłość, która często psuła przygotowany przez nią posiłek.

Potem zrozumiałem, że był to jego sposób na kontrolowanie domowego życia, na bycie władcą stojącym ponad przyziemną potrzebą jedzenia, kochania, przeżywania. Pamiętam, że nie zgodził się na

przyjęcie środków znieczulających podczas operacji nogi i jeszcze raz później, gdy na szczęście zrobił mu się niebezpieczny wrzód.

Gdyby matka nie była ulepiona z czegoś w rodzaju marcepana, stalowy charakter ojca stałby się moją życiową tragedią.

Dlaczego jednak marnuję atrament, żeby Ci o tym powiedzieć? Myśl ta przyszła mi do głowy razem z zapachami potraw, które wypełniły pokój, i nie dawała mi spokoju.

Czasami myślę o tym, żeby nie wysyłać listu, który do Ciebie napisałem, ale nalegałaś, żeby niczego nie skreślać, nie niszczyć i nie chować do szuflady, więc proszę bardzo.

Ktoś ostatnio powiedział mi po raz kolejny, że powinienem napisać w końcu ten dawno planowany zbiór esejów. Być może zrobię to, gdy przejdę na emeryturę, jeśli w ogóle to kiedyś nastąpi.

Stuart mówi, że powoli powinienem zacząć planować swoją emeryturę — ale jego rady sprawiają, że mam ochotę powiedzieć, och, przestań na chwilę być biskupem i pozwól mi błędzić po omacku, aż w końcu wpadnę do jakiegoś cholernego rowu, jeśli właśnie taki musi być mój koniec.

Tęsknię za Twoją radością ducha.

Z wyrazami miłości, Timothy".

„Mój Kochany,

zasuszyłam lawendę i zrobiłam z niej mnóstwo małych bukietów, które poupychałam w różnych miejscach. Przesyłam Ci kilka gałązek, abyś włożył do poduszki. Jeśli wydają Ci się zbyt ma-ciupęńkie, jak mawiają Anglicy, być może znajdzie się dla nich miejsce w Twojej szufladzie ze skarpetami.

Zerwałam wszystkie płatki z każdej zwiędłej róży i nappełniłam nimi dwie ozdobne misy, dzięki czemu nadal mogę się cieszyć ich cudownym zapachem. Tak bardzo nie chcę zupełnie ich stracić! Przesyłam Ci w kopercie garść płatków, żebyś rozrzucił je na resztkach śniegu.

James mówi, że nowa książka musi być innego formatu niż książki o Violet, i nawet większa niż *Mysz w stajence*. »Te stworzenia potrzebują przestrzeni!« — twierdzi, a ja zgadzam się z nim w każdym calu. Jutro po południu wybieram się do wydawnictwa i będę pracowała z grafikiem. Cieszę się na myśl o tym, że będę mogła z kimś porozmawiać, chociaż muszę przyznać, że dzięki tym cudownym ludziom, którzy prowadzą kawiarnię, czas płynie mi szybciej. Chciałabym, żebyś mógł ich poznać.

Pogoda tutaj jest nadal okropna. Znajdujące się w sąsiedztwie główne ujęcie wody zamarzło i pękło, zalewając na dwa dni wszystkie pobliskie ulice. Po kilku tygodniach biegania po mieście w obu-wiu uczennicy z Południa kupiłam sobie kozaki z futerkiem w środku.

Dostałam Twój list wysłany w sobotę rano. Przyfrunął tu chyba na skrzydłach! Dziękuję, że napisałeś o swoim ojcu. Kiedyś opowiem Ci o moim. Niestety, nie znalazłbyś w nim ani grama stali. Ulepiony był z trzech zasadniczych elementów: uroku, francuskich papierosów i talentu gawędziar-

skiego. Często bywał smutny, zawsze — całkowicie bezbronny i kochałam go do szaleństwa. Był zachwycony, że byłam dziewczynką — powiedział nawet kiedyś, że nie wiedziałby, co zrobić z małym człowieczkiem, który chciałby kopać piłkę albo łowić na muchę ryby.

Och, Timothy! Jestem taka nieszczęśliwa. Nie mogę już patrzeć na zebry, gnu, a już na pewno nie zniosłabym widoku kolejnego pancernika! Czuję się taka zmęczona.

Dałabym wszystko, żeby przekreślić to ostatnie stwierdzenie albo zacząć jeszcze raz od początku, bo właśnie to zawsze powtarzała moja mama. Zawsze mówiła, że jest zmęczona, a ja obiecałam sobie, że nigdy tego nie powiem, a przede wszystkim — Tobie. Ale ja naprawdę jestem zmęczona, więc sam widzisz. Czuję zmęczenie w każdej kości.

Chciałabym całować Cię bez końca. Tak jak na lotnisku. Nasze pocałunki sprawiły, że czułam się tak, jakbym unosiła się w powietrzu, na długo przedtem, zanim wsiadłam do malutkiego samolotku. Jestem znużona stąpaniem po ziemi, Najdroższy. Marzę o bujaniu w obłokach!

Z niewysłowioną tęsknotą, Twoja kochająca podpórka na książki".

„Najdroższa Podpórko na Książki,

poczekaj chwileczkę, właśnie usłyszałem śpiew samczyka kardynała. Siedzi na gałęzi pokrytego lodem krzewu za oknem mojego biura. Jego śpiew napełnił mnie takim optymizmem, że musiałem Ci od razu o tym powiedzieć. Śpiewa i śpiewa, jak gdyby nie mógł skończyć. Jego towarzyszka pikuje i nurkuje przy krzewie, wyrażając w ten sposób swą własną radość ze słońca, które nareszcie nam zaświeciło. Niech to będzie dla nas czymś w rodzaju pocieszenia i nadziei. Jadę z Dooleyem do Wesley kupić mu kurtkę z kapturem, ponieważ stara podarła się na ogrodzeniu, gdy roznosił bożonarodzeniowe koszyki. Pamiętaj, proszę, że Kocham Cię czule i modłę się za Ciebie żarliwie, i tak, też bardzo za Tobą tęsknię.

twój timothy".

Rozdział ósmy

PODTRZYMUJĄC ŚWIATŁO

Obudził się nagle z krzykiem na ustach i zobaczył, że Barnaba przygląda się mu z niepokojem.

W śnie stał na placu budowy Domu Nadziei, w chwilę po tym, jak Buck Leeper został poważnie ranny. Znajdująca się tuż nad kolanem rana była otwarta i odsłaniała kość, spodnie miał zbroczone krwią, a jej plama powiększała się, sunąc w górę, w kierunku koszuli.

Przetarł oczy, usiłując wyrzucić z pamięci obraz nieomal śmiertelnie rannego człowieka, którego twarzy nie widział, ale którego cierpienie było wyczuwalne.

Nigdy nie należał do ludzi usiłujących odgadnąć znaczenie snów, na podobieństwo psa usiłującego rozgryźć kość. Chciał wymazać go z pamięci, natychmiast.

Budzik miał zadzwonić dopiero za pół godziny, ale mimo to wstał z łóżka i wziął gorący prysznic, szorując głowę bardziej energicznie niż zazwyczaj, jak gdyby chciał w ten sposób przepędzić obraz najgorszego snu, jaki przyśnił mu się w ciągu ostatnich miesięcy.

— A ja już myślałem, że prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, niż ojciec znowu do nas przyjdzie — przywitał go Percy, podnosząc głowę znad grilla.

— Ostatnio jadam śniadania z Dooleyem.

— Śniadania jada ojciec z chłopcem, lunch podaje ojcu pomoc domowa, ja mam zamknięty lokal w porze kolacji i tak to się kończy.

Percy czuł się wyraźnie zraniony.

Ojciec Tim uśmiechnął się nieśmiało. Jeśli już komuś udało się zaskarbić względy Percy'ego, on zawsze sprawiał, że jego przyjaciel czuł się chciany i potrzebny, bez względu na to, jak wielkim łajdakiem okazywał się później. Rzeczywiście, dlaczego tak długo stronił od baru Grill, skoro był on dla niego najlepszym lekarstwem?

— Gdzie jest Velma?

— Tam. Obsługuje ojca koleśków.

Obrócił się i zobaczył Rona Malcolma oraz Bucka Leepera przy stoliku pod oknem. Znowu poczuł, jak ogarnia go strach na wspomnienie ponurego snu. Zauważył, że Velma stoi obok stolika niczym posąg, trzymając w ręce gotowy do przyjęcia zamówienia notes.

— Witam — powiedział J.C., wślizgując się do tylnego boksu.

— Jak leci?

— Powinien ojciec spróbować tego sosu — zaproponował wydawca „Muse”, który zamówił dla siebie podplomyki z sosem, paszteciki z parówką, dwa smażone jajka i kaszę.

— I dostać ataku serca, zanim wyjdę na ulicę? Nie, dziękuję, przyjacielu.

Mule podszedł do nich i klepnął go w ramię.

— Gdzie się ojciec podziewał, do licha? Niech się ojciec przesunie. Sprawdzałem już nekrologi z nadzieją, że może tam natrafię na jakiś ślad po ojcu.

— Natłok spraw. Cieszę się, że cię widzę. Biznes się kręci?

— Raczej idzie jak krew z nosa. A u ojca?

— W normie.

Jak dobrze było tu wrócić.

W przygotowanych przez Percy'ego jajkach można było spokojnie jeszcze raz usmażyć białko, ale kasza stanowiła klasę samą w sobie. Podczas gdy jego własna kasza bywała czasami trochę wodnista, kasza Percy'ego zawsze miała właściwą konsystencję i twardość i była aż żółta od masła. Już od

jakiegoś czasu nie jadł niczego równie wyśmienitego. I nic dziwnego. Przez dwa dni z rzędu ulegał i jadł razem z Dooleym smażoną kiełbasę bolońską.

— Mam nadzieję, że przez ten cały czas nie jadł ojciec tylko tego, co sam sobie ojciec przygotował — zagadnął Mule i zaczął wcinać omlet z dodatkiem wątróbki.

— Kiełbasa bolońska na śniadanie przez dwa dni z rzędu. Niewiele brakowało, a moje nazwisko rzeczywiście mogło się pojawić w nekrologach. Co nowego?

— Prezbiterianie zamierzają wystawić w tym miesiącu na aukcję cadillaca. Żeby jednak zachować ekumeniczny charakter imprezy, organizują ją w Domu Kombatanta — poinformował go J.C.

— Aha.

— Szkoła dostała nową flagę, która kiedyś powiewała na Białym Domu, i chór mieszany będzie śpiewał w czwartek, gdy będą ją wciągać na szkolny maszt.

— Słyszałem o tym. Dooley też tam będzie śpiewał.

— Rodney Underwood przyłapał kogoś na tym, jak wychodził przez tylne okno Collar Button. Złodziej uciekł, ale im udało się przechwycić dwa garnitury, worek z bielizną, wizytową koszulę i elegancką parasolkę.

— Nie przerywaj, nie będę musiał kupować w poniedziałek gazety.

— To — zauważył J.C. — są stare wiadomości. Ukazały się już w gazecie w ubiegłym tygodniu. Domyśliłem się, że ojciec jej nie czytał. Jeśli interesują ojca najświeższe wiadomości, to proszę kupić poniedziałkową „Muse”.

— Taki mądry, a nie wie — wtrącił się Mule. — Czy słyszał ojciec o tym, jak starsza pani Cranford wybierała się z wizytą do córki i poprosiła Coota Hendricka, żeby popilnował jej domu?

— Nie, nie słyszałem.

— Wróciła, a Coot ze swoim najstarszym synem wyszorowali jej dom. Od góry do dołu. Pożyczyli wszystkie drabiny, jakie tylko udało im się zdobyć.

J.C. nie wyglądał zbyt ciekawie, gdy śmiał się z pełnymi ustami.

— Nie rozumiem — odparł ojciec Tim.

— Coot myślał, że powiedziała: „wyszorujcie”, a nie: „popilnujcie”.

— Uhm — wymamrotał pastor.

— Szkoda, że ojciec tego nie widział — westchnął Mule. — Wie ojciec, że Joe Ivey zachorował na grypę...

— Ach, uch. Zamierzałem zajrzeć do niego dzisiaj rano i podciąć trochę włosy.

— Zgadza się, że jest ojciec trochę zarośnięty. Włosy z tyłu opierają się ojcu na kołnierzu.

— Aż tak źle?

Mule spojrział na niego znad szkieł.

— Właściwy moment, żeby podejść i zobaczyć się z Fancy. Pastor spuścił głowę i posmarował tost masłem.

— Obcięła w zeszłym tygodniu J.C.

Pastor przyjrzał się uważnie J.C., który gwałtownie poczerwieniał.

— Wygląda dokładnie tak jak przedtem.

— Na tym właśnie polega cała sztuka — przekonywał Mule. — Idziesz do pierwszego lepszego partacza i wychodzisz, wyglądając jak nie ten sam człowiek. Idź do profesjonalisty, a będziesz przypominał samego siebie.

Pastor uśmiechnął się.

— Przerzuciłeś się więc na uniseks, J.C.?

— Mam nadzieję, na litość boską, że nie rozpowie ojciec wszystkim, że byłem w salonie piękności. Do licha, Mule, prosiłem cię, żebyś zachował to dla siebie.

— Ale przecież nie powiedziałem nikomu, z wyjątkiem siedzącego tutaj księdza, który zresztą ma nadzieję wkrótce umrzeć — tłumaczył się Mule.

Ojciec Tim wybuchnął śmiechem.

J.C. zbierał sos z talerza ostatnim kawałkiem tostu.

— Powinienem przestać tu przychodzić...

— Dwadzieścia procent zniżki dla duchownych — zapewniał go Mule. — To o pięć więcej, niż dostałby ojciec w Wesley, plus benzyna tam i z powrotem, nie wspominając o dziurach, które powstały przez całą tę złą pogodę, a na których zgubiłby ojciec wszystkie kołpaki i jeszcze rurę wydechową. Wszystko to razem kosztowałoby ojca jakieś dwieście dolarów, i to bez napiwku.

— Jak długo można chorować na gripę? Mógłbym wytrzymać jeszcze jakiś dzień czy dwa.

— Tak, ale Joe dopiero co zachorował. Przypuszczam, że będzie leżał przez kilka tygodni. Nie będzie strzygł z grypą.

Natychmiast pomyślał o Puny Bradshaw. Idealnie się do tego nadawała. Przystrzyże go w sekundzie.

— Zastanowię się nad tym — skłamał.

Prawdę powiedziawszy, J.C. rzeczywiście wyglądał jakoś inaczej. Patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że ma grzywkę.

— Wejdz na moje miejsce — J.C. zaprosił Rona Malcolma, który podszedł do ich stolika. — Ja wychodzę. Niektórzy w tym mieście muszą pracować.

— Ja też spadam — rzucił Mule, wstając i zabierając swój rachunek. — Wystawiam na sprzedaż nowy dom, a przy okazji — zwrócił się do pastora — jak się ma ta atrakcyjna kobieta, którą podesłałem ojcu do sąsiedniego domu? Nie widziałem jej ostatnio.

— Chwilowo mieszka w Nowym Jorku.

— Znalazłem dla ojca sąsiadkę, że hej — opowiadał Ronowi Mule. — Najcudowniejsza para nóg pod słońcem.

Mule Skinner nie miał prawa poczytywać sobie za własną zasługę aktu Bożej Opatrzności, pomyślał pastor. Cała jego rola ograniczyła się tylko do załatwienia formalności dotyczących małego żółtego domku, który został przekazany Cynthii na własność przez pośrednika jej wujka.

Zbliżyła się do nich Velma z dzbankiem kawy.

— To znowu ja — powiedział Ron Malcolm, niepewnie spoglądając na żonę Percy'ego. — Wezmę sobie czystą filiżankę, jeśli nie masz nic przeciw.

Velma mruknęła i odeszła bez słowa.

— Jest wściekła jak osa na Leepera. Każdy jego przyjaciel jest jej wrogiem.

— Co teraz zrobił?

— To, co zwykle, to, co zwykle. Jest wobec niej obcesowy, wymagający i traktuje ją z wyższością. Gdyby mogła, chętnie nabiłaby go na widelec.

— Wczoraj w nocy miałem o nim okropny sen. Wypadek na budowie. Coś strasznego, nie daje mi spokoju.

— Najgorsze, co mu się przytrafiło, to utrata dwóch palców. Po jednym z każdej ręki, do pary, jak mówi. Zauważył może ojciec?

— Nasze kontakty towarzyskie do tej pory były dość przelotne. Nie, nie zauważyłem. A co z jego rodziną? Jakaś żona? Dzieci?

— Żadnych dzieci. Trzy żony. Nie będę się wdawał w szczegóły na temat tego, co się stało z ostatnią. Proszę mi wierzyć na słowo, nie chciałby ojciec tego wiedzieć. Z pewnością nie złagodziło to jego charakteru.

— Gdzie mieszka? Co robi w wolnym czasie?

Velma postawiła na stole przed Ronem kawę razem z dwoma saszetkami słodziku.

— Proszę — powiedziała krótko.

— Wynajmuje stary dom Tannerów, pamięta ojciec, który to? Trzeba dojść do samego końca Church Hill i skręcić w prawo w drogę prowadzącą do lasu. Tam właśnie stoi dom. Dość odludne miejsce. Nie mam zielonego pojęcia, co robi. Niewiele, przypuszczam, po całym dniu pracy na budowie. Ktoś opowiadał mi, że zajmował się modelarstwem. Chyba robił modele samolotów, nie wiem.

— Mówiłeś, że nieźle popija.

— Grunt, że nie odbija się to na jego pracy. Podobnie było z jego tatą przez wiele lat, potem rzeczywiście się rozpił.

— Czym się upija w takim razie?

— Wódką. Czystą.

Pastor zagwizdał.

— Muszę ojcu powiedzieć — wyznał Ron — że jest w nim coś, co mi się podoba. Nie, nie próbuję usprawiedliwiać jego zachowania, ale jest w tym człowieku... coś jak ten mały kawałek orzecha, którego nie można wydłubać z łupiny, nawet za pomocą szpikulca. Właśnie ten mały, tkwiący w łupinie kawałek, który w jakiś dziwny sposób wydaje się w porządku.

— Jak posuwają się prace?

— Pogoda trochę pokrzyżowała nam szyki, ale Buck zdołał wyprowadzić nas na prostą. Mówię ojcu, jest w tym najlepszy. Gdyby tylko jego rodzony tatuś nie tłukł go tak mocno, gdy był jeszcze dzieckiem...

— W tym cały problem. Jak tam Wilma?

— Słodsza niż łaciaty szczeniak.

W oczach Rona rozbłysły iskierki radości na wspomnienie żony, z którą przeżył czterdzieści lat. Jeśli był na tym świecie ktoś, do kogo zawsze można się było zwrócić z prośbą o pomoc i na kogo zawsze można było liczyć, to był to Ron Malcolm, który jego zdaniem, zajmował to miejsce na piedestale razem z Halem Owenem. Z tymi mężczyznami, stojącymi u jego prawego i lewego boku, był z pewnością pastorem, nad którym czuwała Opatrzność.

— Czuję się tak, jakby ktoś przekręcił mnie przez wyżymaczkę — obwieściła Emma.

Miała plamy na twarzy, podpuchnięte oczy i włosy w nieładzie.

— Jak myślisz, co ci jest? — zapytał szczerze zaniepokojony.

— Zjadłam wczoraj wieczorem cały sernik.

— Co takiego?

— Calusienki.

— Dobry Boże!

— Prosto z zamrażarki — dodała, prawie nie poruszając ustami. Wyglądała tak, jakby cała jej twarz była zdrtwiała.

— Jak?...

Zupełnie nie miał pojęcia, co powiedzieć.

— Wyrzuciłam go z aluminiowej formy prosto na kuchenną ladę i podzieliłam trzonkiem noża na pięć kawałków.

— Wielkie nieba! A gdzie był Harold?

— Wyszedł. Pojechał porozmawiać z kimś o zasadzeniu choinek na Boże Narodzenie na tych dwóch hektarach za domem. Nigdy nie zostawia mnie samej wieczorem. To był pierwszy wieczór, którego nie spędziliśmy razem od czasu naszego ślubu. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, coś we mnie wstąpiło — ten sernik stanął mi nagle przed oczami, jak spuszczone w teatrze kurtyna.

— Znam to uczucie.

— Nie zdążył jeszcze wyjechać na drogę, a ja otwierałam drzwiczki do zamrażarki i wyjęłam ze środka ciasto. Mogłam przynajmniej poczekać, aż się rozmrozi, ale nie, nic z tych rzeczy, bach, bach, połknęłam je niczym wilk. — Westchnęła głęboko, wyglądając na bardzo przygnębioną. — Mogłam zadzwonić i powiedzieć, że jestem chora, ale wiedziałam, że będzie ci potrzebny ten raport dla komitetu budowlanego.

Po raz pierwszy miał przed sobą Emmę, która czuła się zbyt źle, żeby być opryskliwa. Była łagodna jak owieczka, co — bez względu na cenę, jaką za to płaciła — nie było niemile widzianym obrotem sprawy.

Na jej twarzy malowało się cierpienie, gdy spojrzała na niego sponad okularów.

— Biorąc pod uwagę, że ser wywołuje u mnie okropną obstrukcję, najgorsze mam jeszcze przed sobą.

— Cóż — poradził nieśmiało, usiłując jej jakoś pomóc — postaraj się już więcej tego nie robić.

Na prośbę panny Sadie wybrał się do domu na wzgórzu, na zaimprovizowany lunch złożony z kapusty, białej fasoli, ciepłych bułeczek i pieczonego kurczaka.

— Panno Sadie — oznajmiła Louella przy wczesnym śniadaniu — prawie że zagłodziłyśmy tego biednego księdza na śmierć, żywiąc go samymi krakersami i kanapkami. Spróbujmy go teraz czymś podtuczyć.

Panna Sadie prychnęła.

— Pieczony kurczak w południe jest za ciężki, jeśli człowiek ma potem pracować. A może sałatka z kurczaka?

— Za dużo zachodu — obieranie ze skóry, duszenie, wyciąganie kości. Poza tym czuję, że ogarnia mnie chęć do gotowania.

— Och, jej.

Panna Sadie wzięła głęboki oddech. Jeśli Louelli zbyt długo wzbranio, jak to określała, „prawdziwego” gotowania, nagle wpadała w szal przyrządzania posiłków, które kosztowały fortunę, a którego rezultatów nie były w stanie zjeść za jednym, ani nawet za dwoma posiedzeniami. Oznaczało to konieczność zamrożenia wszystkich resztek w całej baterii pojemników. Wiedziała z kolei bardzo dobrze, że zapełnianie zamrażalnika powoduje bardziej wytężoną pracę silnika lodówki, co z kolei znajduje odzwierciedlenie w rachunku za prąd.

Starła się jednak zachować rozsądek. Nie miała nic przeciwko przegraniu jednej czy dwóch bitew, jeśli dzięki temu mogła wygrać całą wojnę.

W oczach panny Sadie igrały iskiereki.

— Czy wie ojciec, dlaczego zaprosiłam ojca na lunch?

Prawie nigdy nie znał powodu, dla którego panna Sadie zapraszała go na lunch. Jednego był pewien — będzie to niespodzianka; zawsze tak było.

— Biorą ślub! — obwieściła.

— To wspaniale. Cudownie! — Pochylił się w jej kierunku, nad stołem, i pocałował ją w policzek. — Gratulacje! To najwspanialsza wiadomość! Nie mógł nie przyznać, że czuł się trochę pomięty, że nikt do niego nie zadzwonił.

— Olivia chciała, żebym dowiedziała się pierwsza, a Hoppy miał powiedzieć ojcu w drugiej kolejności, ale musiał zająć się tym przypadkiem całej rodziny chorej na zatrucie pokarmowe, i Olivia zgodziła się, żebym to ja ojcu powiedziała.

Jeszcze nigdy nie wyglądała tak promiennie — jakby sama miała zostać panną młodą. Oto jedna z korzyści, jeden z przywilejów czy dodatkowych atrybutów bycia proboszczem.

Zadowolony, usiadł wygodnie na krześle w stylu królowej Anny.

— Już nie pamiętam, kiedy usłyszałem coś równie radosnego. Na kiedy planują ślub?

— W czerwcu! Olivia powiedziała: „Ciociu Sadie”. — Och, gdyby mógł ojciec wiedzieć, jaka jestem szczęśliwa, gdy słyszę, jak ona się tak do mnie zwraca! — „Ciociu Sadie, myśleliśmy o maju albo czerwcu. Co ciocia sądzi?” Odparłam: „Oczywiście, że w czerwcu! Tak każe zwyczaj!” A ona na to: „Ale czy nie jesteśmy trochę za starzy na przestrzeganie takiej tradycji? Czy to nie raczej dla młodych par?” A ja odpowiedziałam: „Ależ, moja droga, przecież ty jesteś młoda. Twoje serce ma zaledwie kilka miesięcy!” Tak więc, stanęło na czerwcu. Siedemnastego! Och, ojciec, nie posiadam się z radości! To pierwszy ślub w mojej rodzinie. Jak bardzo chciałabym, żeby wszyscy mogli się dowiedzieć, że Olivia jest moją krewną.

Gdy to mówiła, jej oczy na chwilę straciły blask.

— Panno Sadie, pouczała mnie pani przez dziesięć lat i zawsze byłem pani za to bardzo wdzięczny. Teraz ja udzielę pani rady w pewnej kwestii. Proszę zapomnieć o rozczarowaniu faktem, że nikt nie może się o tym dowiedzieć. Proszę nie pozwolić, aby choć na chwilę przyćmiło to pani radość. Odnalazłyście się z Olivią. Czyż to nie prawdziwy cud? Co za łaska! A wszystko dzięki małemu płaszczkowi, który przetrwał przez te wszystkie lata, żeby mogła pani w końcu odnaleźć ten dar serca. Udzielam pani nagany, panno Sadie. Proszę się rozchmurzyć!

Uśmiechnęła się i poklepała go po ramieniu.

— Ma ojciec absolutną rację. Proszę mnie pilnować, słyszy ojciec? Dobrze ojciec wie, że ja będę pilnować ojca.

— Och, to dla mnie ogromne szczęście, że ktoś będzie mnie pilnował. Bardzo tego potrzebuję.

— Ojciec, słyszałam... plotki. Wie ojciec, jak pewne sprawy się roznoszą. Niektórzy twierdzą, że nie jest wykluczone, że... no cóż, że nie jest wykluczone, że darzy ojciec szczególną sympatią swoją sąsiadkę, i że ta sympatia jest odwzajemniona.

Panna Sadie lekko się zaróżowiła. Najwyraźniej musiała zdobyć się na odwagę, żeby o to zapytać.

— Dobrze pani słyszała.

— W takim razie pewnego dnia, być może, będzie oprócz mnie jeszcze ktoś inny, kto będzie ojca pilnował?

— Jest... to możliwe. — Zamilkł na chwilę. — Może.

— Ojcie, proszę nie być zanadto ostrożnym. Nigdy nie radziłabym nikomu zapominać całkowicie o ostrożności, bo pewna doza ostrożności jest w życiu potrzebna. — Przez chwilę przyglądała się dłoniom opartym na kolanach, potem spojrzała na niego. — W byciu ostrożnym można się jednak posunąć za daleko.

Pokiwał głową w milczeniu. Nauczył się być swobodny i ufny jak dziecko w towarzystwie Sadie Baxter.

— A teraz — powiedziała — mam niespodziankę.

Ach, tak, cóż jeszcze mogło być nowego? Któż, oprócz Sadie Baxter, mógł dostarczać w dzisiejszych czasach prawdziwych niespodzianek? Oczywiście, Cynthia Coppersmith też nie pozostawała w tyle, gdy chodziło o niespodzianki.

— Ojciec wyraźnie promienieje!

— Śluby — powiedział. — Lubię śluby. Chrzty. Bierzmowania. Nawet pogrzeby, w pewnym sensie. Wydarzenia towarzyszące życiu są cudowne.

— Ja chcę, żeby moje ciało zostało poddane kremacji, wie ojciec.

— Tak, wiem.

— Zdecydowanie nie chcę być wystawiona w trumnie, żeby wszyscy się na mnie gapili. Poza tym to kosztuje fortunę. Kilka tysięcy dolarów, a teraz na dodatek sprzedają ci wyłożenie, którym można wyściełać trumnę! Jakby sama trumna nie wystarczała!

— Proszę pamiętać o swoim ciśnieniu — powiedział, śmiejąc się.

— Chcę, żeby moja urna znalazła się w różanym ogrodzie.

Proszę nie upychać mnie w tym gaiku rododendronowym. Za dużo tam cienia. A tak w ogóle, gdzie leży Parrish Guthrie? Czy właśnie tam został zakopany? Jeśli tak, to proszę mnie pogrzebać w drugiej części cmentarza.

— Do licha, powinienem był przynieść notatnik, żeby spisać te wszystkie życzenia.

Roześmiała się razem z nim.

— Czy to nie cudownie, że możemy rozmawiać z takim ożywieniem o śmierci? — Pociągnęła go za rękę. — Chodźmy, ojcie, chcę ojcu pokazać salę balową. I mam nadzieję, że doceni ojciec ten zaszczyt, bo ja i Louella jesteśmy jedynymi osobami, które widziały ją w ciągu ostatnich dwudziestu czterech lat. Och, nie. Pozwoliłam wejść do niej kiedyś Lutherowi, żeby złapał wiewiórkę.

Podał jej ramię dla bezpieczeństwa i poszli razem wolno.

— Zamierzam wydać na cześć Olivii i Hoppy'ego najwspanialszy bal, jaki tylko można sobie wyobrazić — oznajmiła — Chcę jej dać coś, co zapamięta do końca swojego życia.

Drzwi do sali balowej znajdowały się w holu, u stop imponujących schodów.

— Papa zaprojektował salę balową w tym miejscu, żeby nasi goście mogli zejść na dół, prezentując swoje paradne stroje, a potem znaleźć się w samym centrum zabawy. Zjeżdżali się do nas goście ze wszystkich stron, dopóki tato nie podupadł na zdrowiu.

— Słyszałem — powiedział łagodnie. — Podobno sam prezydent był tu z wizytą.

— Prezydent Wilson! Pamiętam, że dał mi cukierek toffi zawinięty w srebrny papierek. Trzymałam go przez lata. Potem pewnego dnia odwinęłam go po prostu z papierka i zjadłam! Wciąż jeszcze był dobry.

Wyciągnęła z kieszeni duży klucz i przekreśliła go w zamku.

— Louella dba o to, żeby zamek cały czas był naoliwiony. Używamy WD-40. A czym ojciec oliwi zamki?

— Dokładnie tym samym — odparł podekscytowany. Drzwi otwały się i panna Sadie weszła do środka.

— Proszę bardzo. I co ojciec myśli?

Spojrzała na niego, szukając oznak zachwytu, jakie zawsze wzbudzała ta sala.

— Ach — jęknął przerażony, rozglądając się za jakimś miejscem, gdzie mógłby usiąść.

— Widzę, że brak ojcu słów.

— Tak, rzeczywiście!

Okna zasłonięte były trzymającymi się na gwoździach, poszarpanymi prześcieradłami i kocami. Rozpadające się meble wszelkiego rodzaju stały wzdłuż ścian, pokryte kurzem i pajęczynami. Na niegdyś błyszczącym parkiecie, w miejscach, gdzie kapiąca woda utworzyła kałuże, widoczne były ogromne blade plamy. Niektóre klepki wypadły z podłogi i leżały porozrzucane, a rokokowe lustra na wszystkich ścianach wymagały nałożenia nowej warstwy srebra. Był to niezwykle kosztowny zabieg, o czym się kiedyś dowiedział.

Miał wrażenie, że znajduje się w jednym z pokoiów Porter Place. W jaki sposób uda się doprowadzić to wszystko do porządku przed czerwcem?

— Nie spojrzał nawet ojciec ani razu do góry! — W głosie panny Sadie usłyszał rozczarowanie. Podniósł głowę, a widok, który ukazał się jego oczom, zaparł mu na chwilę dech w piersiach.

— Widzi ojciec! Ludzie patrzą pod nogi, podczas gdy powinni spoglądać w górę!

— Dobra lekcja — powiedział wzruszony. — Zapamiętam ją na zawsze.

Cherubini i serafini baraszkowali w pobliżu dekoracyjnie zaznaczonej krawędzi sufitu i przemykali pośród różowych chmur. Aniołowie w błękitnych, szkarłatnych i purpurowych szatach ze złotym wykończeniem ciągnęli tłumnie do środka malowidła. Ich mieniące się skrzydła zdawały się przy-

prószone srebrem. W ramionach trzymali girlandy róż, a pojedyncze kwiaty, które wypadły z bukietów i spadały poza krawędź sufitu, wydawały się tak prawdziwe, że miało się ochotę podbiec, żeby je złapać.

— Brawo! — powiedział cicho, wciąż spoglądając do góry.

— Papa nazwał go Niebiańskim Pokojem, na pamiątkę czegoś, co widział w Anglii, w domu pewnego księcia czy lorda — nie pamiętam dokładnie.

— Rzeczywiście jest prawdziwie niebiański.

Na szczęście sufit przemókł tylko w jednym miejscu, a plama mogła z powodzeniem uchodzić za ciemną chmurę — jedną spośród całej gamy błyszczących cumulusów.

— Pewnego dnia opowiem ojcu o tym, kiedy to zostało namalowane i przez kogo — obiecała.

— Och, ojczu, będzie miał ojciec dość moich opowieści.

— Nigdy! — odparł szczerze.

Śmiał się dzisiaj i był szczęśliwy. Nie wiedział, dlaczego nie naliczył więcej słonecznych godzin w swoim życiu, tak się jednak stało. Bóg z pewnością zapraszał go do tego, ale on uparł się, żeby żyć w okowach własnej natury, a ona bywała samotnicza, a nawet melancholijna. Nie podobało mu się to, ale nie mógł nic na to poradzić.

Pod koniec tego dnia niczego nie pragnął bardziej niż otuchy płynącej z jej listów.

Dzisiaj rano przyszedł kolejny, który bez otwierania włożył do szuflady biurka. Nie mógł się doczekać chwili, gdy usiądzie spokojnie, żeby go przeczytać, gdy minie całe zamieszanie towarzyszące wspólnej kolacji z Dooleyem i gdy chłopiec będzie już na górze.

Przypomniawszy sobie, że powinien dorobić kluczyk do szuflady, w której trzyma jej listy. Szuflada miała zużyty zamek, ale nie odziedziczył do niego kluczyka. Bardziej nawet niż na tym, żeby nikt inny ich nie znalazł, zależało mu na tym, żeby chronić je ze względu na ich wyjątkowość, na ich... nie potrafił znaleźć innego słowa... kruchość.

Gdy ruszył w stronę kuchni, tęsknota, którą odczuwał przez cały dzień, wezbrała w nim znowu i zawrócił do biurka. Przeczytał tylko jedną linijkę, sam początek, coś, co doda mu sił, choćby na chwilę.

„Moja Podpórko na Książki,

u mnie trwa nadal sroga i ponura zima, praca nad książką idzie mi bardzo źle, a moje serce łaknie radości płynącej z przebywania w Twoim towarzystwie. Mimo to, podtrzymuję światło...”

— Nic nie działa lepiej na wnętrzu chłopca niż grzbiet konia — obwieścił Hal Owen, gdy zadzwonił wieczorem. — Pozwól mu przyjechać na weekend.

Ach, zrobił się zazdrosny o Dooleya. Polubił odgłos jego kroków, gdy biegł po schodach, i wyraz zdziwienia na twarzy, gdy przez dwa dni z rzędu jadł razem z nim na śniadanie kielbasę bolońską. Przywiązał się do tych nietuzinkowych pytań, które widział w jego oczach, do pojawiającego się od

czasu do czasu przebłysku uśmiechu, czy też do tych zwariowanych napadów śmiechu, które towarzyszyły jego zabawom z Tommym. Pogodził się nawet w pewnym sensie z hałasem tego przeklętego radiomagnetofonu, którego dudnienie rozlegało się nad salonem.

— Może przywieźć ze sobą Barnabę — nalegał Hal, wyczuwając jego wahanie.

— Chłopiec nie powinien waleśać się po domu ze starym trzęsącym się księdzem — powiedział pastor.

— Waleśanie się po domu z księdzem okazało się dla niego wybawieniem, jeśli chcesz znać moje zdanie. Zabiorę go po lekcjach, a ty odbierzesz go po mszy w niedzielę. Co ty na to? Domyślałam się, że chciałbyś mieć trochę czasu dla siebie...

Nie, pomyślał, wcale nie chciałby mieć czasu dla siebie. Miał czas dla siebie przez ostatnie sześćdziesiąt lat, a to wystarczyłoby każdemu człowiekowi. To dziwne odkrycie zaszokowało go.

— Timothy? Wszystko w porządku?

— Jak najbardziej. Zazdroszczę wam tylko trochę tej zapiekanki z kurczakiem, którą — jak słyszę — Marge będzie piekła w ten weekend.

— Wiesz, że jesteś zaproszony. To otwarte zaproszenie, aktualne od dwunastu lat.

— Od trzynastu, przyjacielu. I bardzo ci dziękuję. Ale innym razem. Chłopiec wyraźnie cofa się w swojej angielszczyźnie. Przez jakiś czas starałem się go pilnować, ale ostatnio trochę mu pofolgowałem. Marge odeśle go do domu z akcentem stypendysty imienia Cecila Rhodesa.

— Przypuszczam, że nie ma żadnych wiadomości od jego matki?

— Nie, zupełna cisza. A Russell powoli wraca do zdrowia po krótkotrwałym załamaniu spowodowanym upadkiem na śniegu.

— Co zamierzasz z tym wszystkim zrobić?

— Nie wiem. Nie udaje mi się obmyślić planu, który odpowiadałby każdemu z osobna, a co dopiero wszystkim razem. Jeśli Russell wróci do domu, Dooley będzie musiał odejść razem z nim.

— Będzie musiał.

— Hoppy twierdzi, że Russell będzie potrzebował kogoś, kto będzie go monitorował. Gdyby nie było w pobliżu Betty, Russell leżałby w śniegu, aż zaczęłyby nad nim krążyć myszołowy.

— Czy nie mógłbyś zapłacić komuś, kto wzięłby na siebie monitorowanie Russella?

— Kto chciałby mieszkać w tej nie ogrzewanej chałupce na środku złomowiska?

— Masz rację.

— Jest jeszcze jeden problem. Gdy wyprowadzi się Russell, na jego miejsce przyjdzie panna Pattie. To byłby koniec dla Betty Craig. Błagała mnie, żebym bronił ją przed panną Pattie.

— A co z ogrodami? Czy jest ktoś, kto mógłby się tym zająć?

— Nie znam absolutnie nikogo. Na szczęście Russell tak wspaniale doglądał ich przez te wszystkie lata, że ich utrzymanie nie będzie aż tak trudne. Ktoś jednak będzie musiał to robić. — Usłyszał własne westchnienie.

— Domyślam się, że ktoś płaci za jego pobyt u Betty.

— Tak, około czterystu miesięcznie plus składka na ubezpieczenie. Uważał, że te czterysta dolarów pokrywało znacznie więcej niż opieka medyczna nad Russellem Jacksem. W rzeczywistości, była to niewielka cena do zapłacenia za zdrowie psychiczne Betty Craig, jego własny spokój i nareszcie, a może przede wszystkim, wolność chłopca do skupienia się na nauce.

— Zważywszy na okoliczności — zauważył starszy kościelny, który zazwyczaj w lot pojmował sedno sprawy — wydaje mi się, że to wspaniały interes.

Ta myśl przyszła mu do głowy, gdy wstąpił do domu, żeby zmienić marynarkę przed uroczystością wciągnięcia flagi na maszt.

Dobra zabawa — to, co zawsze planował kiedyś mieć albo nieudolnie usiłował mieć, albo próbował niezręcznie wymyślić, jak mieć — właśnie jej poświęci nadchodzący weekend. Spróbuje się wyluzować i dobrze się bawić — zrobi coś wyjątkowego, coś oryginalnego.

W myślach przeanalizował listę możliwości. Zadzzwoni oczywiście do Cynthii, i to w chwili, gdy przyjdzie mu na to ochota, bez względu na to, czy połączenie będzie akurat tańsze czy droższe. Pójdzie odwiedzić Bezdomnego, który — o ile się orientował — nie odtajał jeszcze po burzy śnieżnej. Poza tym...

Spojrzał niewidzącymi oczami w lustro nad komodą, poprawiając krawat.

„Zadzzwonić do Cynthii i odwiedzić Bezdomnego” — na swojej liście nie potrafił dopisać żadnych innych punktów. Czy na pewno nie było niczego innego, co mógłby zrobić, niczego ciekawszego, czym mógłby się zająć tak jak inni ludzie? Czyż inni nie wyczekiwali z radością weekendu, nie cieszyli się na wyjście do restauracji albo na obejrzenie meczu piłki nożnej? Cóż, przecież poza barem Grill nie było żadnej innej restauracji, do której można byłoby wyjść, nie licząc oczywiście budki z hot dogami Macka Stroupe'a, niedaleko stacji ESSO. Był pewien, że to tylko jego wyobraźnia, ale hot dogi Macka zawsze smakowały jak olej silnikowy.

Jeśli natomiast chodziło o oglądanie meczu piłki nożnej, nigdy, ani razu, nie udało mu się oglądać go do końca. Jego myśli uciekały, zasypiał albo wstawał i wychodził z pokoju, zapominając wrócić, i zjawiał się dopiero, gdy mecz się skończył.

Prawdę powiedziawszy, nie miał zielonego pojęcia o tym, jak dobrze się bawić. Cynthia, z drugiej strony, nie dość, że najwyraźniej je miała, to jeszcze doskonale wiedziała, jak się do tego zabrać. Ściśle rzecz ujmując, nie robili zbyt wielu rzeczy, które można byłoby określić mianem dobrej zabawy, a mimo to zawsze dobrze się bawili. Z Cynthią działo się to jakby mimochodem.

Nałożył marynarkę, uśmiechając się. Piątek po południu i cała sobota. Tyle czasu zarezerwuje sobie na dobrą zabawę. Zobaczy, czy uda mu się dopiąć celu. Zadzwoi dzisiaj wieczorem do Cynthii i poprosi ją o jakieś propozycje.

Dooley nie zdradził się ani słowem, nic nie dał po sobie poznać. I chociaż spotkał się nie tak dawno z panną Pearson przed cukiernią, ona też nic nie powiedziała, że Dooley Barlowe będzie śpiewał solo, z asystą całego chóru mieszanego szkoły w Mitford.

Później zdał sobie sprawę, że trudno się dziwić, że chłopiec był tak drażliwy. Jeśli nie chodził jak w transie, to przeklinał pod nosem Barnabę.

— Słyszałem — ostrzegł pastor przy śniadaniu, w dniu wciągnięcia flagi na maszt.

— A ja słyszałem tylko, jak ten stary pies pierdnął.

— Dooley...

— Mówiłem tylko...

— Dooley...

Chłopiec spojrzał na niego zuchwale.

— Co zamierza ojciec w takim razie zrobić?

— To samo, co ostatnio.

Mycie czyjejś twarzy mydłem nie było środkiem zaradczym, który by mu się podobał, ale okazał się skuteczny w jego przypadku, gdy był dzieckiem. Był pewien, że istnieją nowsze, dużo sprytniejsze metody, które opisano w książkach z głęboką analizą psychologiczną. Jeśli chodziło o niego, to nie prosił się o te obowiązki i nie miał ochoty się dowiadywać, jakie są — jeśli w ogóle istnieją — najmodniejsze metody wymierzania kary za używanie brzydkich słów.

Postanowił jednak pójść na jedno nowoczesne ustępstwo.

Pozwolił Dooleyowi samodzielnie umyć twarz, podczas gdy on stał w drzwiach do łazienki, przypominając sobie karę, którą wymierzała mu jego mama za brzydkie słownictwo.

— Można wytrzymać — stwierdził Dooley, wycierając sobie twarz i spoglądając mu prosto w oczy. — To mydło jest dużo lepsze niż to stare, w kuchni.

Dobry chłopiec, chciał powiedzieć, ale się powstrzymał.

Dopiero to, co wydobyło się z ust chłopca, gdy wciągano flagę, sprawiło, że musiał łapać oddech z niepohamowaną radością. To Dooley to robił? Jego własny Dooley? Dlaczego nie pomyślał o tym, żeby zaprosić Puny i pannę Sadie, Percy'ego i Velmę, Hala i Marge, i Rebeccę Jane, Emmę — wszystkich znajomych? No tak, oczywiście, nic nie wiedział o tym, że Dooley zaśpiewa solo.

Ze wzruszenia aż ścisnęło go w gardle.

Widział, że panna Pearson potrzebuje kogoś, kto chwyci ją za stopy i przytrzyma na ziemi, bo w przeciwnym razie uniesie się i pofrunie nad szkołą jak wniebowzięta.

Spotkali się na chodniku, po programie, gdy razem z Dooleyem szedł do domu.

— Wielkie nieba, panno Pearson! — Nic więcej nie potrafił powiedzieć.

— Ojczy! — zawołała, sama też nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

W jej oczach widział łzy, gdy kilka razy potrząsał jej dłonią, nie będąc w stanie — z jakiegoś powodu — wypuścić jej z własnej ręki. Minęła ich Jenny z tornistrem na plecach.

— Byłeś naprawdę świetny — szepnęła miękko.

— Nie ma o czym mówić — rzucił Dooley, odbijając na chodniku piłkę do koszykówki.

— Nie umiem ci powiedzieć, jakie to było wspaniałe. To było cudowne przeżycie słyszeć, jak poprzez wydobywający się z twoich ust śpiew przemawia do nas sam Bóg. A jak doskonale akompaniował ci chór — pierwsza klasa! Jestem z ciebie dumny.

— To nic takiego.

— Nie, mój przyjacielu, to coś naprawdę wielkiego. Tak bardzo żałuję, że nie mogła tego słyszeć Cynthia. I twój dziadek. I panna Sadie. Wszyscy!

Dooley wzruszył ramionami.

— To tylko szkolne sprawy.

— Do licha, Dooley Jak się czułeś, stojąc przed tymi wszystkimi ludźmi i śpiewając na cały głos *Boże, błogosław Ameryce?*

Zauważył, że Dooley nie może powstrzymać uśmiechu, który nagle pojawił się na jego twarzy. Stało się to bez ostrzeżenia i najwyraźniej nie dało się opanować.

— Super — odpowiedział.

— Przypuszczam, że właśnie to mydło pomogło ci w zrobieniu tej cudownej rzeczy...

Dooley spojrział na niego łobuzersko.

— Tak, gdy używam tego starego cholerstwa z kuchni, to za żadne skarby świata nie mogę wydobyć z siebie głosu.

Zanim skręcił w stronę domu Mule'a, rozejrzał się uważnie na boki. Gdyby zobaczył, że ktoś nadchodzi, przystanąłby i zaczął się przyglądać paznokciom u rąk albo przyjrzałby się dokładnie korze na drzewie, które rosło na środku chodnika.

Nigdy w swoim życiu nie był w salonie piękności, żadna kobieta, z wyjątkiem jego matki, nie obcinała mu też nigdy włosów. Nie widział oczywiście niczego niewłaściwego w salonach piękności ani w fakcie, że kobieta obcina włosy mężczyźnie. Chodziło jedynie o to, że była to dla niego, jak na jedno posiedzenie, zbyt duża dawka nowości, po trzynastu latach z Joe Ivey, który — pomijając wystawioną na widok publiczny, tuż obok lakieru, żelu i pianki do układania włosów, brandy — wiedział, co lubi pastor i jak go obsłużyć.

Był też inny aspekt sprawy — ile to będzie kosztować, nawet z dwudziestoprocentowym rabatem? Dwa razy więcej niż u Joe, zapewne, żeby zwróciły się koszty zakupu tych nowych umywalek,

które kazała założyć, i nowej wykładziny, nie wspominając już o tych kolorowych rysunkach pudli, których samo tylko oprawienie, nie licząc tła — jak powiedział Mule — kosztowało dwieście dolarów.

Dwa razy tyle. Właśnie tyle powinien być gotów wyłożyć. Jeśli u Joe płacił sześć dolców, to u Fancy Skinner będzie musiał zapłacić dwanaście. Słyszał, że w dzisiejszych czasach napiwek rzędu dziesięciu procent jest obelgą. Trzeba było dać pełne dwadzieścia albo w ogóle nie zawracać sobie głowy. W ten sposób kwota rosła do czternastu dolarów i czterdziestu centów, które równie dobrze mógł zaokrąglić w górę, do piętnastu.

Rozpacz! Nigdy więcej tego nie zrobi, nawet gdyby miał mieć włosy jak Jan Chrzciciel. Puny kategorycznie odmówiła wykonania tej czynności. Twierdziła, że fryzura będzie nieporządna, a ona nie chce przyczyniać się do tego, żeby wyglądał poniżej swojego stanu. Zagroził, że sam obetnie sobie włosy, ale ona pozostała niewzruszona.

Dzięki Bogu, gdy otwierał drzwi, nie widział żywej duszy. Jednak na widok różowego dywanu i różowych ścian ogarnął go strach i panika. Obróci się na pięcie. Pójdzie do domu i pojedzie do Wesley z taką prędkością, na jaką tylko będzie go stać. Utrata kołpaka czy dwóch to przecież żaden dramat.

Już opuszczał podjazd, gdy Fancy zawołała do niego z okna na piętrze:

— Czy to pani była umówiona na piętnastą? Och, witam, ojczu, myślałam, że to moja trwała. Już idę, proszę poczekać. Proszę wejść do środka i rozgościć się. Czy poczęstuje się ojciec herbatą? Jest nie słodzona, ale mogę dać ojcu cukier, jak ojciec sobie życzy — proszę mi powiedzieć. A może chciałby ojciec coca-cola? Mamy zwykłą i dietetyczną, którą ojciec wybiera — proszę mi powiedzieć.

Gdyby Cynthia Coppersmith nie poradziła mu, żeby spróbował, uciekłby, nie oglądając się za siebie.

— Lubię ubierać się pod kolor mojego salonu — oznajmiła Fancy, która miała na sobie różowe rajstopy, różową tunikę z kaszmiru i różowe buty na wysokich obcasach, z paskiem wokół kostki.

— Cieszę się, że ojciec przyszedł. Obcięcie ojca sprawi, że przekroczę limit na ten tydzień.

Obróciła krzesło, w wyniku czego patrzył prosto w lustro. U Joe Iveya mógł wyglądać przez okno, wprost na wierzchołki drzew.

— Na każdy tydzień wyznaczam sobie limit. Tydzień temu byłam trochę pod kreską. Jeszcze wcześniej, trochę powyżej. Nigdy nie wiadomo, jaki będzie rezultat. Razem z wizytą ojca uda mi się przebić wynik ubiegłego tygodnia o sto dolarów!

Serce mu zamarło. Najwyraźniej piętnaście dolarów było stanowczo za niskim szacunkiem. Cóż, niech to będzie nauczka. Niech to będzie dla niego nauczka! Gdy naciągała mu przez głowę jakąś chustę, którą później rozłożyła na jego ramionach, poczuł skurcz w żołądku. Chusta była tak intensywnie różowego koloru, że rzucała cień na jego twarz.

— Idę o zakład, że nie nakładasz tego Buckowi Leeperowi.

— Słodziutki, jeśli Buck Leeper jeszcze kiedykolwiek się tu pojawi, to — za przeproszeniem — osobiście go stąd przepędzę za pomocą noża rzeźniczego.

— Aż tak źle?

— Proszę się poczęstować gumą. Leży tam, na czasopiśmie. Mule powiedział mi: „Fancy, nie musisz go obcinać i znosić jego obelg. Dam ci dwa razy tyle, ile on by ci zapłacił”. Czyż to nie było słodkie z jego strony? Tak więc, gdy następnym razem Pan Władca pokaże się w drzwiach, zamierzam go stąd wykurzyć. Jeśli oczywiście w ogóle się tutaj pojawi. Tak go potraktowałam, gdy próbował mną rządzić, że może tu już nie wrócić. Może na mój widok będzie przechodził na drugą stronę ulicy.

— Człowieku, ależ ma ojciec napiętą skórę głowy. Ani drgnie. Prawdopodobnie przez cały czas wysiła ojciec mózg. To przez to. A u niektórych ludzi skóra lata po głowie jak za luźny worek. Może odrobina masażu? Widzi ojciec, od razu lepiej, prawda? O, przepraszam! To te paznokcie. Boże, niewiele brakowało, a zrobiłabym ojcu dziurę w głowie. Są z plastiku. Moje za nic w świecie nie chcą urosnąć. Nie piłam mleka, gdy byłam dzieckiem. To przez to.

— Kto przychodzi na trzecią? — zapytał posepnie.

Kto, na litość boską, wejdzie tu i zobaczy go wystrojonego w ten pożałowania godny niby-szal?

— Nie zna jej ojciec, słodziutki. To ktoś nowy, z Baltimore. Och, spójrzcie tylko na tę szyję. Ale zarośnięta. Kto ojca obcina? Joe Ivey, oczywiście. Joe nigdy nie był w Nowym Jorku, żeby poznać wszystkie nowinki.

— Czy to znaczy, że ty byłaś?

— Nie, ale ja przeglądałam czasopisma. Sposób, w jaki ojca obcina, sprawia, że ojca twarz wygląda na zbyt szeroką. Skrócę ojcu włosy aż do samego dołu. To przypomina dżunglę.

Poczuł, jak ogarnia go panika. Dlaczego nie wziął czapki? Powinien był zabrać ze sobą tę starą ogrodową czapkę z drelichu, którą można było spłaszczyć. Mógł się stąd wymknąć i nałożyć ją, jak tylko znajdzie się za rogiem.

— Proszę — powiedział, czując, że za chwilę zacznie mu się łamać głos — niczego nie zmieniaj. Tak jak mówiłem, chcę mieć tę samą fryzurę. Proszę. Tylko podcięcie. Nic wielkiego.

Już od lat o nic nie prosił tak usilnie.

— Och, phi, wszyscy tak mówią. Szkoda, że nie widział ojciec, jak J.C. kulił się w fotelu, jakbym mu co najmniej chciała wydłubać oczy. Niech mi ojciec zaufa, w porządku?

Odcięła znad jego lewego ucha coś, co upadło z głuchym odgłosem na jego ramię. Bał się otworzyć usta, a zresztą po co? I tak było już za późno.

Nieźle, pomyślał, oglądając się w lustrze w domu. Nie miał dość odwagi, żeby przyglądać się swojej fryzurze w salonie. Całkiem nieźle. Rzeczywiście, jego twarz wydawała się szczuplejsza, a linia szczęki mocniej zarysowana. Nie mógł też uwierzyć, że wzięła od niego tylko sześć dolarów. Był tak

wdzięczny, że dał jej dziesięć. Niesamowicie, pomyślał, przyglądając się uważnie swojej głowie — miał nawet wrażenie, że przybyło mu włosów na czubku. Być może to ten masaż.

Słyszał bicie dzwonów w Lord's Chapel, gdy do tekstylnej torby wkładał kilka produktów z lodówki i puszkę kasztanów z kredensu.

Tęsknił za swoim psem i za swoim chłopcem. Nie zamierzał się jednak nad tym rozwodzić. Zamierzał zjeść kolację z Bezdomnym Hobbesem. Zamierzał w końcu — jeśli nawet tylko przez chwilę — dobrze się bawić.

Rozdział dziewiąty

POD WIATR

Odchodząca zima była naprawdę ciężka. Jej skutki dało się zauważyć wszędzie, od poluzowanych dachówek zaczynając, a na sypiących się kamiennych ogrodzeniach kończąc. Korzystając ze słonecznej pogody, która zapanowała pod koniec lutego i miała potrwać przez trzy dni, całe miasteczko było zajęte porządkowaniem połamanych przez burze śnieżne konarów i chodzeniem po dachach w poszukiwaniu uszkodzeń spowodowanych przez śnieg.

Ze stojącego na górze domu Fernbank docierał stukot młotków.

Jak niosła plotka, nie był to jednak ten jakże potrzebny i wyczekiwany przez całe miasteczko nowy dach; było to jedynie łatanie dziur.

Gdy jeden z pracujących na dachu robotników powiedział, ile kosztowałaby wymiana całej powierzchni, przez zgromadzony w barze Grill tłum bywalców przeszedł szmer zrozumienia.

Wszyscy dziwili się, dlaczego ktokolwiek w wieku panny Sadie i z jej możliwościami finansowymi chce mieszkać w domu, który sypie się jej na głowę. Wszyscy z przyjemnością dyskutowali na ten powszechnie znany i od lat ulubiony temat rozmów mieszkańców Mitford. Wszyscy bez wyjątku nie mogli pojąć i uwierzyć, że wytrzymała tam tak długo.

— I wcale nie zamierza zrezygnować — obwieścił robotnik, jakby posiadał jakieś poufne informacje od samej panny Sadie.

Stukot młotków na wzgórzu i widok konarów poukładanych wzdłuż krawężników zdawał się napępiać Mitford nadzieją. Kilka osób podobno słyszało śpiew drozda, a Jena Ivey twierdziła, że w jej ogródku za domem zakwitły trzy fioletowe krokusy.

— Dajcie sobie spokój — obwieścił Coot Hendrick. — Zima się jeszcze nie skończyła. Wspomnicie moje słowa.

„Najdroższy Timothy,

panna Addison wydała — jak mówi — koktajl dla czterech kotów z naszego bloku. Dzięki Bogu, Violet nie mogła pójść, bo właśnie dostała zastrzyk i nie była w nastroju do uczestniczenia w towarzyskich spotkaniach. Według słów woźnego, który przyszedł mi naprawić kran, lokaj panny Addison — a może główny lokaj, czy też kimkolwiek on jest — wyłożył małe kupki kocimiętki na srebrną tacę i postawił ją na podłodze w salonie.

Wszystkie koty podobno wpadły w szal.

Wspięły się na jedwabne zasłony z szantungu panny Addison i nieźle podrapały pazurami jej sofę w stylu Ludwika XIV. Potem wskoczyły na kuchenną ladę i połknęły wędzonego łososia, przeznaczonego dla przerażonych właścicieli kotów.

Już samo to wystarczy, żeby zapragnąć mieć psa.

Panna Addison tłumaczyła, że dowiedziała się, że kocimiętka jest wiosennym afrodyzjakiem, i zamówiła ją aż z północnego krańca stanu Nowy Jork. Zastanawiałam się nawet, czy nie kupić trochę tego przysmaku dla Violet, ale zrezygnowałam z tego pomysłu na zawsze.

Nasze ulice pełne są śnieżnej brei, która utrzymuje się uparcie i nie chce zniknąć, jakby gdzieś na północy topniał jakiś lodowiec. Zapomniałam zapytać w niedzielę, czy coś może się pokazało na mojej grządce z bylinami. Mógłbyś sprawdzić? Tak bardzo tęsknię za domem, że ledwie mogę to znieść. Tak ciężko pracuję nad tą głupią książką, że nieomal dostałam zęza. Nie poznasz mnie. Na lotnisku spojrzysz na mnie i powiesz: »Cynthia?« Potem szepniesz: »Nie, to niemożliwe«, i pójdziesz dalej.

Ale wierzę, że ta książka będzie naprawdę dobra. Jestem o tym przekonana. Wszyscy tutaj wydają się nią bardzo podekscytowani i modlą się żarliwie, żeby czytelnicy ją pokochali. Czy wiesz, że największą przyjemność sprawia mi właśnie widok dziecka czytającego moją książkę? Nie musi mu się nawet podobać. Sam widok małej główki pochylonej nad nią przepełnia mnie nieopisaną radością.

Czy czujesz to samo, gdy Twoje kazania przeszywają nasze serca i utwierdzają nas w przekonaniu, że coś powinniśmy robić tak jak do tej pory, a coś powinniśmy w sobie zmienić?

Dziękuję Ci za przesłaną kopię kazania. Miałam wielką potrzebę, aby to wszystko usłyszeć. Tak! Prawdziwa bliskość polega na otwartości, na przejrzystości. Zanim Duch Święty przywiódł mnie do pełnej bliskości z Chrystusem, byłam tak przejrzysta jak Twój żeliwny rondel. Trzeba nie lada odwagi, żeby obnosić się ze swoim najskrytszym »ja«, ale jak inaczej można dostrzec Boga w człowieku, który nie jest przejrzysty? No cóż, oczywiście, że można — ale rozumiesz, o co mi chodzi.

Jakże cudowny był Twój list, w którym wyznałeś, że Twoje uczucie do mnie sprawiło, że stałeś się bardziej przejrzysty. Czasami — cóż, prawdę powiedziawszy, tylko raz — miałam wyrzuty sumienia, że zakochałam się w Tobie. Czułam się winna, że pozbawiłam Cię czegoś, czegoś bardzo osobistego. Staram się nie myśleć o tym za dużo.

Z wyrazami czulej miłości, Twoja podpórka na książki".

„biuro

czwartek, koniec słońca — początek mgły, trzynaście stopni, barnaba chrapie, emma poszła wpłacić pieniądze dobry Boże! pozbawiłaś mnie czegoś? nie ma słów, które mogłyby wyrazić jak wiele mi dałaś i cały czas dajesz. Przez cały ten czas nie mogę pojąć — muszę przyznać z przykrością — jak to możliwe, że w ogóle mnie pokochałaś, w miarę jak zbliża się Post, coraz częściej myślę o tym, jak musieli się czuć apostołowie, gdy go stracili, gdy stracili miłość, która ich porwała i uszlachetniła, i uniosła ich na wyżyny, na które nigdy nie wspięliby się bez niego, musiała ich ogarnąć najczarniejsza rozpacz i zwątpienie, większa niż po zwykłej utracie ukochanej osoby, która trwała dopóki Duch Święty nie pojawił się na scenie i nie wypełnił białych plam. ja też zaznałem uczucia straty, przez te tygodnie, przez te miesiące Twojej nieobecności, miesiące, w czasie których zima nieustannie mroziła nasze dusze lodowatym oddechem, mimo to, myślę że to w pewnym sensie dobrze, że odkryliśmy i wzajemnie wyznaliśmy sobie nasze uczucia, i że zostaliśmy rozdzieleni, żeby to przemyśleć, przynajmniej ja tak czuję, i w tej chwili staram się podchodzić do tego filozoficznie, kiedy indziej znowu, marzę tylko o tym, żeby mieć Cię tutaj i żeby ugotować ci kolację, potem, moglibyśmy usiąść przy kominku i oglądać nowe katalogi ogrodnicze, no tak, na pewno odstraszyłem Cię wizją takich nudnych wieczorów, które mogłabyś spędzić grając w karty w klubie, albo tańcząc tango.

proszę, nigdy nawet nie myśl, że czegoś mnie pozbawiłaś, ale wiedz, że dałaś mi coś tak cennego i zachwycającego, że jest to wręcz niepojęte, i nigdy nie martw się, że Cię nie poznam, poznałbym te niebieskie oczy wszędzie, z zezem czy bez.

całuję Cię. niech Cię Bóg błogosławi i ma Cię w swojej opiece, marge i hal modlą się za Ciebie, podobnie Dooley — od czasu do czasu.

nadchodzi harold,

wyrazy miłości, timothy,

p.s. nic się nie pokazało, będę Cię informował na bieżąco".

— Pracuje teraz nad kazaniem, Esther. Czy może zadzwonić do ciebie za chwilę? Mówi, że dla odmiany on jest zajęty. Zadzwoni do ciebie albo ja zadzwonię. Trzydzieści minut. Na razie.

Słyszał, jak bębni palcami po biurku, czekając, aż on założy pokrywę na maszynę do pisania. Obrócił się na krześle.

— Tak? — zapytał zadowolony z tego, co udało mu się zrobić w niespełna pół godziny. — Czego chciała Esther?

— Słyszałeś o tej aukcji z samochodem, którą w piątek wieczorem urządzają w Klubie Kombianta prezbiterianie?

— Obiło mi się o uszy.

— Poprosili Esther, żeby upiekła ciasta.

— Bardzo słusznie — odparł, przypominając sobie ciasto, dzięki któremu omal nie przeniósł się do wieczności. Jej niezrównane ciasto pomarańczowe cieszyło się sławą we wszystkich okolicznych kościołach.

— Więc, dla odmiany, chciałyby zrobić coś z gatunku trzywarstwowych ciast czekoladowych, ciasto o nazwie „Lepsze-niż-seks”. Boi się jednak zmiany... mówi, że jest rozdarta.

— Aha.

— Chciała cię zapytać, czy powinna wystąpić z nowym ciastem i zrezygnować ze starego, które przyniosło jej sławę? Mówiła, że chciałyby poznać twoje zdanie do jedenastej, kiedy to będzie musiała zacząć piec.

— Już mogę jej odpowiedzieć.

— I jak brzmi twoja odpowiedź?

— Najlepsze są stare sprawdzone rozwiązania.

— Amen!

— Powiedz Esther, że głosuję za ciastem pomarańczowym, obydwoma rękami.

— Też tak myślę! Poza tym — dodała, spoglądając na niego sponad okularów — co może być lepsze niż seks?

Pomyślał, że jest chyba ostatnią osobą na ziemi, której powinno się zadać to pytanie. Niemniej jednak miał na ten temat własne zdanie.

— Z pewnością nie ciasto.

— Zadzwoń do niej — powiedziała Emma.

Nakładał właśnie kurtkę przed wyjściem, gdy zadzwonił telefon. — Timothy?

Na dźwięk jej głosu przeszył go zimny dreszcz, podobny do tego, jaki wywołuje skrzypiąca na tablicy kreda.

— Tak się cieszę, że cię jeszcze zastałam — zaczęła Edith Mallory.

— Co mogę dla ciebie zrobić, Edith?

— Myślę, że to raczej ja mogę coś zrobić dla Szpitala Dziecięcego — powiedziała tajemniczo.

— A co takiego?

— Pamiętasz, jak przekonywałeś mnie, że powinnam się zaangażować? Cóż, miałeś oczywiście rację. Absolutną, jak zawsze.

— Aha.

— Zgadnij co?

— Nie mam pojęcia.

— Och, Timothy, wyluzuj się odrobinę. Przynoszę dobre wieści!

Zauważył mimochodem, że w chwili, gdy zadzwonił telefon, słońce schowało się za chmurą.

— Strzelaj.

— Zamierzam przekazać na rzecz Szpitala Dziecięcego dziesięć tysięcy dolarów!

Jak bardzo chciał, żeby jego serce zabiło mocniej na taką nowinę. Dziesięć tysięcy byłoby wręcz nieocenione, nie mógł jednak wydobyć z siebie ani jednego słowa.

— Och, no dobrze! — powiedziała zirytowana jego milczeniem. — Piętnaście!

Nigdy przedtem nie udało mu się zdobyć pięciu tysięcy dolarów tylko dlatego, że trzymał usta zamknięte na kłódkę.

— Cudownie, Edith. Gdybyś wiedziała, jak bardzo są potrzebne i z jaką rozwagą zostaną spożytkowane.

— Chciałabym, żebyś mnie tam zabrał, żebym sama mogła się o tym przekonać, niezwłocznie.

— To znaczy, że chciałabyś się tam rozejrzeć?

— Oczywiście, poznać dyrektora, porozmawiać z lekarzami. Chciałabym przecież nawiązać z nimi jakiś kontakt.

Wydawała się lekko rozdrażniona.

— Jakie masz plany?

— Czy moglibyśmy tego nie odkładać? Może poniedziałek? Albo wtorek? Co ci bardziej odpowiada? Ed może nas zawieźć. Może moglibyśmy zjeść razem lunch?

Na samą myśl poczuł skurcz w żołądku.

— W poniedziałek na oficjalnym lunchu Kościoła episkopalnego w Wesley będę mówił o Domu Nadziei. We wtorek z kolei zanosi się na długie spotkanie z komitetem budowlanym. A co powiesz na środę albo może nawet czwartek?

— Nie dam rady.

— W takim razie...

Zapadła lodowata cisza. Wiedział, że czeka, żeby się jej przymilać i nadszukiwać. Być może powinien się trochę nagiąć ze względu na Szpital Dziecięcy. Może Ron Malcolm mógłby go zastąpić na spotkaniu w Wesley.

— Och, Timothy — zaszczębiotała, nagle topniejąc. — Po co się spierać o dzień czy dwa, gdy stawką jest życie dzieci? Wiem, jak bardzo, ale to bardzo jesteś zajęty... Oczywiście, możemy umówić się na środę.

— Dziękuję za twoje zrozumienie.

— Moje zrozumienie? Jak słodko z twojej strony, że to mówisz. Usłyszał, jak zaciąga się papierosem.

— W takim razie środa. O której godzinie?

— Odpowiada mi dziesiąta.

— Pozwól, że zadzwonię do szpitala, a potem jeszcze raz do ciebie.

— Cudownie! — odparła. On nazwałby to inaczej.

Już od świąt Bożego Narodzenia myśl o ametystowej broszce nie dawała mu spokoju. Gdzie mogła być? Poczul lekką panikę, że mógł ją zgubić. Nie widział jej — od jak dawna? Czy widział ją od chwili, gdy się tu przeprowadził? Tak, pamiętał, jak myślał o tym, że powinien ją zanieść do jubile-ra, do wyczyszczenia.

Zamknął oczy, starając się przypomnieć sobie, gdzie ją położył. Dlaczego nie wpadała mu od czasu do czasu w ręce, skoro jej nie zgubił?

Przeszukał pierwszą szufladę po lewej stronie w swojej komodzie, gdzie trzymał rzeczy, które nie były mu potrzebne, ale których nie chciał wyrzucać. Nie ma.

Otworzył drzwi do garderoby i spojrzał na górne półki. Może tam. Przyniósł krzesło, które stało obok szafy z kocami w holu, i wstawił je do środka. Ściągnął kilka mniejszych pudełek i postawił je na podłodze przy łóżku.

W miarę jak otwierał jedno po drugim, do góry unosiły się małe obłoczki kurzu. Ozdoby bożo-narodzeniowe z jego poprzedniej parafii. Szukał ich wszędzie. Co one tam robiły?

Guziki. Całe pudełko guzików. Wszystkie pochodziły z szuflady maszyny do szycia jego matki. Odłoży je dla Puny.

Potem pudełko chusteczek z monogramem jego matki, jej srebrne lustro z rączką, wieczorowa torebka z koralików, koronkowy kołnierzyk i misternie zdobiona szpilka do kapelusza. Była tam też jej obrączka, nawleczona na wstążkę i przewiązana. Domyślał się, że matka sama zawiązała supełek, gdy pod koniec musiała ściągnąć obrączkę z palca.

Razem z zapachem lat i stęchlizny poczuł jej szczególny zapach, może to były gardenie. Tak delikatny i ulotny, że ledwie wyczuwalny.

— Mamo... — powiedział na głos, znajdując w tym słowie jakąś dziwną otuchę, jakąś bliskość.

Pomyślał o pannie Sadie, która natknęła się na świadectwo narodzin i malutkie skarpetki. Ci, których kochała i którzy odeszli, zdawali się przez te wszystkie lata przemawiać do niej zza grobu.

Prawie sześćdziesiąt lat temu Willard Porter wyrzeźbił napis na belce stropu w domu, który pragnął ofiarować Sadie Baxter jako swojej żonie. Ostatniego lata panna Sadie poprosiła swojego pastora, żeby oglądnął belkę i powiedział jej, co tam jest napisane. Słowa, które znalazł, pełne były żarliwej wiary Willarda, że kiedyś zostaną mężem i żoną i że w końcu w ich życiu zagości pokój.

Teraz przemówiła matka panny Sadie, pomagając jej odnaleźć Olivię. Według niego, Rachel Baxter pragnęła, aby jej córka znalazła świadectwo chrztu zaraz po jej śmierci. Z jakiego innego powodu zostawiłaby ten dokument w tak łatwo dostępnym miejscu jak toaleta, gdzie jej córka na pewno zajrzałaby, przeglądając to, co zostało po matce? Rachel Baxter wyraźnie próbowała powiedzieć: „Biegnij i znajdź swoją siostrę!”

Co powiedziałaaby jego własna matka, gdyby mogła teraz do niego przemówić? Spojrzał na koronkowy kołnierzyk, który był dla niej tak cenny i w którym tak pięknie wyglądała.

Zdał sobie sprawę, że ścierpła mu noga i że już bardzo długo siedzi tak pośród pudełek. Mimo to nie znalazł broszki. Wsunął pudełka pod łóżko i wstał, czując się tak, jakby wrócił właśnie z dalekiej podróży i z jakiegoś dziwnego powodu nie mógł rozpoznać własnego domu.

Wstał z łóżka w środę rano, czując taki sam strach, jaki mógłby czuć na myśl o kanałowym leczeniu zęba. Dwóch zębów.

W barze Grill przyszło mu na myśl, że powinien zamówić smakołyk, który pomoże mu złagodzić ten stan zdenerwowania.

— Jajecznica z dwóch jajek na bekonie, z dodatkiem smażonych ziemniaków w plasterkach.

Percy przyjrzał się mu uważnie.

— Jest ojciec pewien?

— Ani cienia wątpliwości. Mam już dość jedzenia tego, co powinienem.

Percy zmarszczył czoło.

— Ale tylko ten jeden raz.

To straszne, gdy człowiek nie może sam przestrzegać własnej diety, tylko musi to robić na oczach całego miasta, zawsze chętnego do udzielania rad.

Prawdziwym jego marzeniem było sześć świeżych pączków od Winnie, trzech z polewą czekoladową i trzech z lukrem, po zjedzeniu których zostałyby mu jeszcze dość miejsca na jedną napoleonkę.

— O czym ojciec marzy? — Do boksu wślizgnął się Mule, bardzo elegancki w sportowej kurtce łososiowego koloru, którą znalazł na ostatniej letniej wyprzedaży u Evie Adams. Wiedząc, że nosi dokładnie taki sam rozmiar jak jej zmarły mąż, zjawił się pod drzwiami Evie o szóstej rano, znacznie wcześniej niż reszta tłumu, i kupił wszystko, co należało do Barneya, z wyjątkiem butów, które były wyjątkowo wąskie.

— Ta kurtka to naprawdę udana inwestycja — pochwalił zakup pastor.

— Trzy dolce. Słyszał ojciec, że powstaje miejskie muzeum?

— Esther mówiła mi o tym wczoraj. Zaczęli od remontu elewacji. Mają nadzieję uruchomić je ostatecznie za dwa lata. Prosiła mnie, żebym popytał, co powinno się w nim znaleźć, zaczynając od czegoś historycznego.

— Wstawcie tam grill Percy'ego. To żywa historia — zaproponował J.C., po czym upuścił wypakowaną teczkę na ławkę i zajął miejsce. — Albo co powiecie na jego tłuszcz do smażenia? Jest jeszcze bardziej historyczny.

Percy pogroził łyżką w kierunku tylnego boksu.

— Mów tak dalej, a sam staniesz się historią.

— Więc — powiedział pastor — pani burmistrz poprosiła mnie, żebym sporządził listę. Co myślisz, Mule?

— Nie pytaj go — poradził J.C. — Myśli tak wolno, że oglądnięcie *60 minut* zajmuje mu półtorej godziny.

— Mam pomysł — zawołał Percy znad grilla. — Ta ławka sprzed stacji Lew Boyda. Stoi tam, odkąd pamiętam. Opowiedziano na niej wiele kłamstw.

— Samochód panny Sadie — zaproponował Mule. — To chyba najstarszy samochód, jaki jeździ po naszych drogach. Niech ojciec zapisze.

J.C. wsypał do kawy cukier i zamieszał ją.

— Zbiornik na olej opałowy Winnie Ivey. Czysta rdza wystawiona na widok publiczny w samym sercu miasta.

— Nie wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że to prowadzi donikąd — westchnął pastor.

— Tak, lepiej zostawić to Esther. Ona na pewno coś wymyśli.

Nic nie powiedział, ale uważał, że zbiór wszystkich książek jego sąsiadki byłby doskonałym uzupełnieniem kolekcji — gdyby chcieli coś współczesnego.

— Uch — powiedziała Edith Mallory.

Był przejmująco zimny ranek w środę. Zatrzymali się pod Szpitalem Dziecięcym w Wesley dokładnie w chwili, gdy zza ołowianych chmur wyszło słońce i oświetliło fasadę budynku.

— To dobry znak — oznajmiła Edith. — Czuję to.

On niczego nie czuł, poza trudnym do zdefiniowania uciskiem w żołądku, który tłumaczył sobie jako początki wrzodu.

Spotkanie w biurze Johna Brewstera przebiegło gorzej, niż sobie wyobrażał. Po wręczeniu czeku Edith powiedziała dyrektorowi, na jaki kolor powinien pomalować ściany gabinetu, i zaproponowała, żeby pozbył się starych mebli i urządził wszystko od nowa.

— To, że jesteście instytucją charytatywną — powiedziała z pogardą — nie znaczy jeszcze, że musicie tak wyglądać.

John Brewster, którego pogody ducha najwyraźniej nic nie mogło zmącić, zabrał ich na wczesny lunch do stołówki, gdzie Edith rzuciła miazdzące spojrzenie na swoje bezmięsne danie, mówiąc im, jak bardzo nienawidzi szpitalnego jedzenia.

Poczuł ogromną ulgę, gdy John mrugnął do niego. Poradzę sobie z tym, mówiło jego spojrzenie, więc odpręż się i zjedz swoją kanapkę z tuńczykiem.

Oto, pomyślał pastor, cecha charakteru, którą za wszelką cenę muszę osiąść. Żyj i daj żyć innym! Łatwo przyszło, łatwo poszło!

Nie potrafił jednak równie lekko potraktować ich przechadzki po szpitalu, której celem było odwiedzenie dzieci. Nie mógł znieść sposobu, w jaki Edith wsuwała do każdego pokoju głowę, przyglądając się dzieciom, jakby były wypchanymi kukiełkami. Serce mu się krajało.

— Ojcie! — Dziewięcioletnia Gillian Murphy zawołała do niego z łóżka i wyciągnęła w jego kierunku ręce.

Pochylił się i przytulił ją, czując się tak, jakby przyjmował błogosławieństwo. Był wdzięczny, że Edith i John poszli dalej wzdłuż korytarza, ponieważ łzy napłynęły mu do oczu i potoczyły się po policzkach.

— Do licha! — zawołał, rozpaczliwie szukając chusteczki, której ze sobą nie wziął. — Widzisz, co narobiłaś?

Spojrzenie Gillian było nieomal matczyne.

— Ojciec jest smutny.

— Nie — odparł, uśmiechając się. — Jestem szczęśliwy. To ty sprawiłaś, że jestem szczęśliwy, bo mnie przytuliłaś.

— To ja jestem szczęśliwa dzięki ojcu — odpowiedziała Gillian, którą odwiedzał w tym pokoju, odkąd ponownie zaczął jeździć samochodem.

— Z tą niebieską wstążką we włosach wyglądasz jak anioł.

— To siostra Moody mi ją zawiązała. Chciałam różową, ale nie miała różowej.

— Podam przez kogoś różową wstążkę dla ciebie — obiecał, nie mając zielonego pojęcia, skąd ją weźmie!

Gdy tak szedł korytarzem za Edith ubraną w drogi kostium, do głowy przysłała mu myśl, że — używając języka Coota Hendricka — nie zaszkodziłoby przetrzepać jej skórę.

W samochodzie odsunął się od niej tak daleko, jak to tylko było możliwe. Stanałby na stopniu, gdyby samochody miały jeszcze coś takiego. Opuszczana szyba, która oddzielała ich od Eda Coffeya, była szczelnie zamknięta.

Edith przyglądała się swoim paznokciom, co nie wydawało mu się dobrym znakiem.

— Mam wrażenie, że twój pan Brewster nie był przesadnie wdzięczny.

— Ja...

— Sądząc po tym, co tam widziałam, nie wygląda na to, żeby codziennie ktoś dawał im piętnaście tysięcy dolarów.

— Ty...

— Sądząc po tym, co tam widziałam, wątpię, żeby wiedzieli, jak odpowiednio wykorzystać te pieniądze. Być może postąpiłam zbyt pochopnie.

„Pastor morduje w samochodzie kobietę, zbiega do New Jersey”. Ukryje się u Waltera. Nigdy nie znajdą go w tej piwnicy, gdzie jego kuzyn trzyma puszki z farbami.

— Może masz rację, Edith.

— Oczywiście wiesz, że zrobiłam to dla ciebie. — Obróciła się i spojrzała na niego. — Tylko to się naprawdę liczy. Zrobiłam to, żeby sprawić ci radość. — Potem uśmiechnęła się i otworzyła swoją torebkę z jaszczurczej skóry.

No to się zaczyna, pomyślał.

Wyjęła papieros z papierośnicy z monogramem i trzymając go w zębach, uśmiechnęła się do niego. Nadal patrząc na niego, potarła kamień zapalniczki, a potem zaciągnęła się głęboko.

— Ach — szepnęła, opierając się wygodnie.

Ich część samochodu wypełniła się błękitnym dymem.

— Dziękuję ci, mój drogi, drogi Timothy, za to, że dałeś mi okazję zrobienia czegoś dla... dla naszego Pana.

Nie potrafił wydobyć z siebie ani jednego słowa.

— Ojej — zawołała, widząc, że spódniczka podsunęła się jej wysoko nad kolana. — Niegrzeczna dziewczynka! — Podniosła głowę i spojrzała na niego, znowu się uśmiechając. — Czy uważasz, Timothy, że jestem niegrzeczną dziewczynką?

Gdyby otworzył usta, zacząłby mu się łamać głos, siedział więc cicho.

Przysunęła się do niego i położyła mu rękę na nodze.

— Och, mój drogi Timothy, gdybyś tylko pozwolił mi się... dotknąć. Nigdy, ale to nigdy więcej nie wątpiłbyś w uczucia twojej kochającej Edith.

— Edith... — odparł.

— Timothy.

Ponownie poruszyła ręką, przysuwając się jeszcze bliżej, i poczuł jej oddech na policzku.

— Stój! — zawołał, rzucając się do przodu i waląc w szybę. — Proszę się natychmiast zatrzymać!

Ed zjechał na parking przed sklepem obuwniczym Shoe Barn, a on wyskoczył z samochodu, zanim ten zdążył się na dobre zatrzymać.

— Widziałem ojca dzisiaj rano w tym samochodzie, jak przejeżdżaliście obok szkoły.

— Tak. No cóż.

Powrót na piechotę z Shoe Barn był okropny. Dwa razy w trakcie całej, mierzącej osiem kilometrów drogi, Ed Coffey zjeżdżał na pobocze i wołał: „Ojcze, pani Mallory mówi, że nie powinien ojciec spacerować w takim zimnie”.

Ani razu nie spojrzał na niego. Gdyby się odezwał, z jego ust popłynąłby potok najgorszych przekleństw, jakich nigdy wcześniej w swoim życiu nie używał, nawet w myślach. Nie, woli dalej zmagać się z lodowatym wiatrem, bo lepsze to niż to, co czekałoby go w samochodzie.

— Wydawało mi się, że mówił ojciec, że nigdzie nie pójdzie ojciec z tą wiedźmą.

— Rzeczywiście tak mówiłem. Wszystko jednak zależy od okoliczności.

Krojąc w kostkę jajko na sałatkę ziemniaczaną, cały drżał z przemożnego gniewu, który za wszelką cenę usiłował opanować. Od tego momentu sprawę będzie musiał poprowadzić John Brewster. Miał już dość wykazywania się dobrą wolą.

— Dzisiaj są moje urodziny — oznajmił Dooley, patrząc mu prosto w oczy.

— Do licha. Zupełnie zapomniałem. Bardzo cię przepraszam.

— Miałem nadzieję, że może ojciec coś powie, ale skoro nic ojciec nie mówi, to postanowiłem ojcu przypomnieć.

— Czuję się podle.

— Nie ma sprawy. Ja też prawdopodobnie nie będę pamiętał o urodzinach ojca.

— Błagam. Nie mów „bude”. Wszystko, tylko nie to.

— Chce ojciec wiedzieć, co chciałbym dostać na urodziny?

— Pozwól, że zgadnę.

— Dwadzieścia dolarów.

— Naprawdę?

— Jeden wielki dwudziestodolarowy banknot. Nie piątki, nie po dziesiątce ani nie w banknotach jednodolarowych.

— Bilon oczywiście też nie wchodzi w rachubę.

— Nie.

— Skąd zamierzasz go wziąć?

— Nie mam pojęcia. Po prostu chciałbym go mieć, to wszystko. Mówię ojcu, podobnie jak ojciec powiedział mi, że chciałby ten globus. Nie bede — nie będę w stanie go ojcu kupić, ale domyślałem się, że było ojcu źlej, gdy powiedział mi ojciec, co by ojciec chciał.

— Gdybyś miał dwudziestodolarowy banknot, co byś z nim zrobił?

— Nosiłbym go w kieszeni, owinąłbym go wokół tych dwudolarowych, które każe mi ojciec nosić. Wyciągnąłbym go po prostu, a Busterowi oczy wyszłyby z orbit.

Dooley zrobił tak zabawną minę, że pastor nieomal przewrócił się ze śmiechu na podłogę.

— Więc chcesz dwadzieścia dolców tylko po to, żeby je nosić?

— Byłoby super.

— Zmieniając temat, co chciałbyś na swoją urodzinową kolację? Wstąpię do Sklepu i kupię, co sobie zażyczysz.

— Befszyk.

— Co jeszcze?

— Lody.

— Befszyk i lody. A kielbasa bolońska?

— Mam już dość kiełbasy bolońskiej.

— Alleluja.

— Nie miałbym nic przeciwko jakiemuś tortowi. Tylko żeby był czekoladowy.

— Nie mam nic przeciwko upieczeniu ci jakiegoś tortu, jak tylko skończymy jeść.

— Świetnie — odparł Dooley. — Czy mogę zaprosić na kolację Tommy'ego?

Gdy Tommy wyszedł, poszli na górę.

— Cóż, przyjacielu, chciałbym ci pogratulować ukończenia trzynastu lat. No to grabuła.

Złożył banknot dwudziestodolarowy trzy razy. Dooley poczuł go w dłoni.

— A niech to! — zawołał, rozwijając nowy banknot. — Ale ekstra!

Nigdy nie miał dość widoku uśmiechu na twarzy chłopca.

Ta myśl zdawała się pochodzić z jakiegoś mrocznego zakątka jego duszy i wypłynęła na powierzchnię dokładnie w chwili, gdy podnosił leżącą na podłodze gazetę.

Broszka mamy jest w skrytce, w banku.

Gdy niósł ją do domu, w kieszeni, w niebieskim aksamitnym woreczku, dotarło do niego nareszcie, dlaczego jej szukał, dlaczego myśl o niej nie opuszczała go od kilku tygodni. Chciał ją podarować Cynthii.

Teren

Muzeum Miejskiego w Mitford

— I co myślisz? — zapytała Esther Cunningham.

Stali przed świeżo namalowaną tablicą, postawioną w ogródku przed domem panny Rose. Nawet widok lilii wodnych Moneta nie mógłby mu sprawić większej radości.

— Coś pięknego! — ocenił pastor jak najbardziej szczerze.

— Nawet w najśmielszych snach! Nawet w Wesley nie mają muzeum miejskiego! Wspomnisz moje słowa. Nawet się nie obejrzymy, jak zjawią się tutaj reporterzy ich stacji telewizyjnej!

— Bardzo dobrze. A kiedy zobaczymy pomnik?

— Och, jej, ten pomnik! Wydaje mi się, że ma za dużą głowę. Mam nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia. Ale wszystko razem biorąc, wygląda całkiem nieźle i kosztuje fortunę. Mam pewną sprawę do ojca. Wiem, że nienawidzi ojciec pozyskiwania funduszy...

— Esther...

— Mógłbyś coś zrobić, tylko ten jeden raz. I nie chodzi mi o pieczenie ciast. Mam na myśli duże pieniądze.

— Duże pieniądze? Ale dlaczego przychodzisz z tym do mnie? A co powiesz na baptystów? A może prezbiterianie? Mogliby wystawić na aukcję kolejnego cadillaca.

— Phi, nie udało im się nawet uzyskać ceny używanego subaru. Wszyscy zeszli się po to, żeby spróbować ciasta Esther Bolick.

— Aha. No cóż, jeśli chodzi o zdobywanie funduszy, moje zdanie jest takie...

Jej oczy rozbłysły.

— Nie zamierzam się tym zajmować — oświadczył, gotowy bronić swojego stanowiska za wszelką cenę.

Esther wybuchła głośnym śmiechem.

— Przez jedną chwilę myślałam, że już cię mam.

— Twój urok po części wynika właśnie z twojego wiecznego optymizmu. Uparcie wierzysz, że kiedyś uda ci się przyprzeć mnie do muru.

— Och, zobaczysz, że tak będzie — odparła, uśmiechając się.

— Przyjdzie taki dzień.

Post już niedługo się skończy, a wraz z jego końcem zawita nadzieja, jaką niosą ze sobą święta wielkanocne. Cynthia wróci do domu, a w parku Baxter zakwitnie forsycja. Słyszał, jak dzwony w Lord's Chapel wybijały godzinę dziesiątą, gdy zadzwonił telefon.

— Proszę?

Nie potrafił dokładnie zidentyfikować dźwięku, który słyszał w słuchawce.

— Proszę?

Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem jakby piśnięcie.

— Tim...

To była Cynthia, płakała.

— Wszystko w porządku — powiedział. — Nie musisz się śpieszyć. Jestem tu.

Słyszał jej stłumione łkanie, jakby zasłaniała słuchawkę dłonią.

— Jestem tu — powtórzył, czując, że serce bije mu jak oszalałe. Była chora, a może coś jej groziło? Dobry Boże.

— Nie... — zaczęła i znowu przerwała. — Nie mogę przestać — powiedziała. — Nic mi nie jest, po prostu... nie mogę przestać.

Nie zasłaniała już słuchawki dłonią, tylko płakała bez skrępowania, jak gdyby płacz był językiem sam w sobie, a on był go w stanie zrozumieć.

— Tak się cieszę... że tam jesteś — wydusiła z siebie. — Już dłużej tak nie mogę. To zbyt trudne...

— Rozumiem. Naprawdę rozumiem.

— Wydaje mi się, że już dłużej nie zniosę tego, że ty jesteś tam, a ja tutaj, i że nie robię nic innego, tylko pracuję, pracuję, pracuję... a na dodatek ta straszliwa tęsknota. I chociaż wiem, że to się już niedługo skończy, teraz wydaje mi się, że ta chwila nigdy nie nadejdzie. I James powiedział, że ostatnie strony książki są do niczego. Jestem na niego taka zła. Dlaczego był taki zajęty wjazdami po całej Europie, skoro teraz ma takie wymagania? Dlaczego nie siedzi tutaj i nie udziela mi tych wszystkich

wskazówek, których dawanie przychodzi mu tak łatwo w ostatniej chwili? I wiem, że nie powinnam tego mówić, Timothy, ale och, chcę to powiedzieć, muszę to powiedzieć, Timothy — jestem tak bardzo, tak bardzo zła na ciebie!

Usłyszał kolejną falę płaczu i wiedział, że bierze się ona z zakątka jej duszy, którego nigdy wcześniej nie dotknął i z którego istnienia do tej chwili nie zdawał sobie sprawy. W sposobie, w jaki odsłaniała się przed nim, była taka bezpośredniość, coś tak niewypowiedzianie intymnego, że poczuł, jak się rumieni.

— Cynthia...

— Nic... nic nawet nie mów. Wiedziałam, że nie powinnam dzwonić. Wiedziałam, że się rozkleję, gdy usłyszę twój głos. Wiem, że teraz potrwa to do końca kwietnia. Nie uda mi się wrócić do domu w marcu. Och, Timothy, dlaczego cię tutaj nie ma? Dlaczego nie możesz tu przyjechać choćby na weekend? Dlaczego musisz być taki uparty, zasadniczy i małostkowy? Dlaczego tak bardzo się boisz jeżdżenia taksówkami, że ktoś cię napadnie albo że przytrafi ci się coś jeszcze gorszego? Myślę, że to okropne z twojej strony, po prostu okropne, okropne!

— Jak długo dzisiaj pracowałaś? — zapytał.

— Dwanaście albo czternaście godzin... nie wiem.

— Czy jadłaś coś?

— Zjadłam trochę serka ziarnistego — odparła.

Przypominała mu Gillian Murphy w dniu, gdy dziewczynka wtuliła się w niego i płakała, bo jej mama nie przyszła jej odwiedzić w niedzielę.

Czuł się zupełnie bezsilny. Co miał powiedzieć? Idź, umyj twarz, odpocznij trochę i zobaczysz, że wszystko wróci do normy? Po raz pierwszy poczuł aż do bólu bezmiar dzielącej ich odległości. Wiedział, że nigdy się z tym nie pogodził. Ani razu, tak naprawdę, nie przyznał się przed sobą do tego, że wyjechała. Stłumił to w sobie. Gdy za nią tęsknił, znajdował sobie po prostu zajęcie.

— Do licha — powiedział miękko.

— Co mówiłeś?

— Mówiłem, że cię kocham, chociaż wiem, że mi nie wierzysz.

— Nie, nie wierzę! W ogóle ci nie wierzę. Uważam, że podoba ci się sam pomysł bycia zakochanym tak długo, jak jestem daleko od ciebie i nie stanowią żadnego zagrożenia dla twoich uczuć.

— Cynthia...

— Proszę. Zraniłam cię. Wiedziałam, że w jakiś sposób cię zranię, jeśli do ciebie zadzwonię.

— Nie mam pojęcia, co powiedzieć. To... ja cię ranię, i tak bardzo tego żałuję.

— Och, na litość boską! Przestań żałować! Nie rozczulaj się nade mną. Rusz się po prostu i zrób coś, Timothy... nie wiem co!

W jej głosie słychać było zmęczenie. On też nie wiedział.

Włożył niebieski woreczek do wewnętrznej kieszeni marynarki, mimo że tworzył widoczne zgrubienie.

Do teczki zapakował książkę, którą dostał od Emmy na Boże Narodzenie, skarpetki i bieliznę na zmianę, świeżą koszulę i nic więcej. Jeśli wyglądał na prowincjusza, to trudno.

Powiedział Emmie, że nie będzie go przez dwa dni, i odwrócił się do niej plecami, zanim jeszcze uśmiech pojawił się na jej twarzy.

— Jadę odwiedzić Waltera — zakomunikował biblioteczkę, co było zgodne z prawdą.

Zajrzy do znajdującego się na Manhattanie biura Waltera, dokładnie na pięć minut, żeby zobaczyć wyraz twarzy swojego kuzyna. Z ogromną przyjemnością wykręci 911, gdy oszołomiony Walter osunie się na fotel, nie będąc w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

Ta podróż była oczywiście szaleństwem. Nie miał ani cienia wątpliwości, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że do Wielkanocy pozostało zaledwie dziesięć dni i czekało go jeszcze mnóstwo przygotowań. Jakże często jednak zdarzało mu się robić coś szalonego? Ostatni raz zrobił coś szalonego tak wiele lat temu, że dzisiaj już nikt nie uważał tego za coś niezwykłego — połowa ludzi to robiła.

Na samą myśl o tym, że znajdzie się zupełnie sam na lotnisku w Nowym Jorku, jedynie z jej adresem na kawałku papieru, dostawał palpitacji. Musi to jednak przełknąć, jak dawkę kropli żołądkowych, i robić to, co postanowił.

— No, no — powiedziała Emma z błyszczącymi oczami.

Nie potrafiła tego dokładnie nazwać, ale nagle poczuła się bardzo dumna ze swojego pastora. Wydawał się jej przystojny, nawet jakby wyższy i — nigdy przedtem nie przyszło jej to do głowy — bardzo dystyngowany.

Stał przy zlewozmywaku, zmywając naczynia po kolacji, całkowicie pochłonięty planowaniem tego, w jaki sposób ją uszczęśliwi.

Zabierze ją do jednej z restauracji z przewodnika, czterogwiazdkowej oczywiście. Musiał jednak przyznać, że jeśli było coś, czego po prostu nie znosił, to był to zarozumiały lokaj — czy nie należało do zwyczaju wręczenie mu dwudziestu dolarów za samo wpuszczenie do środka, a może nawet pięćdziesięciu? Na samą myśl czuł, jak uginają się pod nim kolana.

Chciał, żeby wszystko poszło gładko, poczynając od przywołania taksówki. Jeśli o to chodzi, to w gwizdaniu mógł się równać z najlepszymi. Czyż nie byli w Holly Springs razem z Tommym Nolesem prawdziwymi mistrzami świata w gwizdaniu i czyż nie potrafili w promieniu ośmiuset kilometrów zbudzić umarłego?

Umył talerz po hamburgerach i zagwizdał najgłośniejszym jak potrafił, dla wprawy.

Usłyszał, jak Barnaba uderzył w biegu o drzwi do salonu, wyrzucając do góry pleciony chodnik. Poślizgnął się i wyhamował pod zlewozmywakiem, a potem stanął na tylnych łapach, szczęśliwy, że został przywołany.

— Proszę — zachęcił go pastor, podając mu ścierkę. — Ja zmywam, a ty wycierasz.

Być może powinien był ją powiadomić, zadzwonić i uprzedzić, że przyjedzie. Nie umiał się jednak na to zdobyć. Cały czas wyobrażał sobie, jak otwiera mu drzwi mieszkania i jak w jej oczach maluje się niebieskie zdziwienie. Wiedział, że chce, żeby właśnie tak wyglądało ich spotkanie.

Fakt, że dotarł cało do budynku, w którym mieszkała, przepełniał go ogromnym poczuciem sukcesu, chociaż w środku drżał cały jak uczeń, wyjmując po raz ostatni kawałek kartki i sprawdzając numer jej mieszkania, który — mimo że znał go na pamięć — cały czas zapominał.

— W czym mogę ojcu pomóc?

Przypuszczał, że to portier, cały wystrojony w galony i złote guziki.

— Przyjechałem z wizytą do kogoś, kto mieszka na dziesiątym piętrze. Powinienem był przywieźć kwiaty...

Rozejrzał się po ulicy, jak gdyby kwiaty mogły się wyłonić zza rogu.

— Czy mogę zapytać, z kim z dziesiątego piętra jest ojciec umówiony?

— Z panną Coppersmith. Z panną Cynthią Coppersmith. Jestem jej... księdzem.

— Doskonale. Zadzwonię do niej, żeby powiadomić ją o ojca wizycie.

Weszli do holu, gdzie portier, zdecydowanie za dobrze ubrany, by obsługiwać dzwonki, nacisnął energicznie dzwonek oznaczony 10C. Czekali.

— Na pewno bierze prysznic — rzucił pastor, usiłując być pomocny.

— Wydaje mi się, że widziałem pannę Coppersmith, jak wychodziła dzisiaj wcześniej rano, gdy ja wchodziłem. Nie jestem pewien.

Portier nacisnął dzwonek ponownie i czekał.

— Zapewne głośno słucha Mozarta. Proszę nie przestawać. Portier zadzwonił jeszcze raz, bardzo długo.

— Wydaje mi się, proszę pana, że nie ma jej w domu.

Ogarnęła go nagle „fala smutku”, jak mawiała jego mama. Miał wrażenie, że w jednej chwili opuściły go wszystkie siły, i poczuł, że musi na coś usiąść.

— Czy będzie pan tak uprzejmy i spróbuje jeszcze jeden raz? Nie chciał zabrzmieć tak żałośnie, ale stało się.

Portier zadzwonił ponownie.

— Myślę, że jej nie ma. Może wybrała się na zakupy.

Namacał palcami broszkę, jak dziecko szukające po omacku koca. Potem podniósł wzrok i zobaczył starszą kobietę w ciemnym futrze, wychodzącą z windy.

Szła o lasce, a obok niej szedł mężczyzna w liberii, niosący starszego długowłosego kota po-
każnych rozmiarów.

Czekał, aż prawie go minęła.

— Panna... Addison?

Odwróciła się i spojrzała na niego, mrużąc oczy. Mimo całego swojego prowincjonalizmu za-
uważył od razu, że panna Addison przeszła kilka operacji plastycznych i nosiła szkła kontaktowe. Z
bliska wyglądała jednocześnie na czterdzieści pięć i osiemdziesiąt trzy lata.

— Tak, a kim pan jest?

— Jestem przyjacielem Cynthii Coppersmith, mojej sąsiadki. To znaczy, w zasadzie, pani są-
siadki.

— Cóż za cudowny południowy akcent. Domyślam się, że jest pan ojcem, o którym mi opowia-
dała.

Nagle poczuł przyływ odwagi i pewności siebie.

— A co dokładnie pani mówiła?

— Och, że jest pan cudowny, między innymi.

Uśmiechnęła się, jak mu się zdawało, w wyjątkowo zagadkowy sposób.

— Mam nadzieję, że bycie cudownym nie uderzyło jednak ojcu do głowy.

— O to proszę się nie martwić, panno Addison! Musiał się powstrzymać, żeby nie rzucić się jej
na szyję.

— Domyślam się, że ma ojciec za sobą bardzo długą drogę.

— Tak, rzeczywiście. Wstałem przed świtem!

— Cóż — powiedziała, opierając się na lasce — zdradzę panu, gdzie jest panna Coppersmith,
ale proszę mi wierzyć, czynię to z ogromnym żalem.

Serce zabiło mu mocniej.

— Błagam — wyszeptał.

— Pojechała do domu do Mitford.

Rozdział dziesiąty

KUZYNI

— Czy ojciec był umówiony?

— W żaden sposób.

— Kogo mam zapowiedzieć?

— Proszę powiedzieć, że to jeden z jego irlandzkich kuzynów. To niespodzianka.

Uśmiechnęła się.

— On nie cierpi niespodzianek.

— Wiem.

— Ale zrobię wyjątek dla duchownego.

— Dziękuję.

Walter otworzył drzwi do biura i wyjrzał na zewnątrz.

— Dobry Boże! — zawołał, stając jak wryty.

— Ach i zaprawdę taki właśnie jest, kuzynie.

— Nie mogę w to uwierzyć!

— Ja też nie.

— W Nowym Jorku? Tutaj? Wiejski chłopiec, prostak...?

— Prowincjusz — dokończył za niego, uśmiechając się.

Uścisnęli się serdecznie, a Walter pocałował go w obydwie policzki, zgodnie ze zwyczajem, który poznał w Francji i uważał za doskonały pomysł.

„A potem było dużo poklepywania się i poszturchiwania, zupełnie jak dwóch chłopców” — opowiadała później sekretarka Waltera przyjaciółce.

— To właśnie, Timothy, jest Nowy Jork! — wyjaśnił Walter, usiłując przekrzyczeć hałas panujący w restauracji.

Uniósł do góry ogromną kanapkę z delikatesów i z namaszczeniem odgryzł pierwszy kęs.

— Tak jedzą wpływowi prawnicy? A co się stało z kuchnią francuską?

— Zupełnie wyszła z mody! A teraz wszystko mi opowiedz. Co cię tu sprowadza? Na jak długo przyjechałeś? Zadzwoń do Katherine, żeby sprzątnęła z łóżka w gościnnym pokoju świąteczne ozdoby!

Nie miał serca powiedzieć mu prawdy — że przemierzył setki kilometrów dzielące go od miejsca, którego nigdy nie zamierzał odwiedzić, tylko po to, żeby się dowiedzieć, że osoba, z którą przyjechał się zobaczyć, minęła go w powietrzu, lecąc w przeciwną stronę.

— Chodzi o to, że... — Za nic w świecie nie mógł wymyślić żadnego kłamstwa. — Przyjechałem odwiedzić Cynthię.

— To mi się podoba!

— A jej nie było w domu.

Widelec Waltera z czosnkową marynatą zawisł w powietrzu.

— Pozwoliła ci przemierzyć całą tę drogę i nawet nie było jej w domu?

— Nie wiedziała, że przyjadę — odparł przygnębiony. — To miała być niespodzianka.

— Tak, i spotkała właśnie ciebie.

Dzięki Bogu Walter nie śmiał się do rozpuku. Prawdę powiedziawszy, jego kuzyn przyjął tę wiadomość wyjątkowo poważnie.

— Poleciała dzisiaj rano do Mitford.

— Straszny pech, przyjacielu. Ale Katherine oszaleje z radości, jak cię zobaczy. Zostaniesz oczywiście na weekend!

— Prawdę mówiąc, jestem w drodze na lotnisko. Walter spojrzął na niego i pokiwał głową.

— Znam cię od pięćdziesięciu sześciu lat i nigdy nie przestajesz mnie zadziwiać.

— Co wydaje ci się takie dziwne?

— Po pierwsze, że zdobyłeś się na odwagę, żeby tutaj przyjechać — wiemy, jakim przeżyciem jest dla ciebie taka wyprawa. I że przyjechałeś, nie uprzedzając o tym Cynthii! Jak na wiejskiego pastora, to bardzo romantyczny gest.

— Myślę, że „głupi” byłoby właściwym słowem.

— Mówiąc szczerze, podoba mi się moje słowo i zamierzam przy nim pozostać. Zawsze potrzebowałeś długiego rozbiegu, kuzynie, ale jak już się rozpędzisz, to czapki z głów.

— Masz ziarenko zboża pomiędzy przednimi zębami.

— To znaczy, że ją kochasz?

— A jak myślisz?

— Odpowiedz tylko na moje pytanie.

— Tak. Ma na mnie... dobry wpływ.

— W jakim sensie?

— Sprawia, że wydostaję się ze swojej skorupy.

— Jest to osiągnięcie.

— Rozśmiesza mnie.

— Mów dalej.

— Ufam jej. Jest taka autentyczna.

— Jak Katherine.

— No cóż...

Roześmiali się obaj, myśląc z czułością o szczerzej, obdarzonej ciętym językiem Katherine.

— Nie całkiem dokładnie taka jak Katherine — wyjaśnił pastor — ale tej klasy.

— To znaczy, pierwszej.

Po blisko trzydziestu latach Walter nadal uważał swoją żonę za najatrakcyjniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek miał okazję poznać.

— Co zamierzasz z tym wszystkim zrobić?

— Nie mogę pojąć, dlaczego wszyscy uważają, że powinienem coś z tym zrobić. Czy samo to, że ją kocham, nie wystarcza?

— Nie. Tak właśnie jest z takimi uczuciami. Musisz znaleźć dla nich jakąś przystań. Nie można zawiesić ich w próżni. Poproś ją o rękę.

Poczuł, jak wali mu serce.

— Albo zarumieniłeś się, albo skoczyło ci ciśnienie — zauważył Walter.

— Czasami boję się zrobić kolejny krok, ale myśl o tym, żeby zawrócić, jest jeszcze bardziej przerażająca.

— Przychodzi taki czas, gdy nie ma już odwrotu. Będiesz wiedział, jak to się stanie.

— Dziękuję za twoje zrozumienie. Czasami potrafisz być naprawdę...

— Podły — powiedział Walter, kończąc za niego zdanie.

— Kocham cię, przyjacielu.

— I my ciebie kochamy, Timothy, i chcemy dla ciebie wszystkiego, co najlepsze. Wiesz, że się o to modlimy.

— I bardzo was proszę, nie przestawajcie. Muszę się stąd wydostać. Po której stronie ulicy powinienem stać, żeby przywołać taksówkę na lotnisko?

— Zaprowadzę cię w najlepsze miejsce. Katherine nigdy mi nie uwierzy, że tu byłeś. Będzie myślała, że mam halucynacje wywołane przez antybiotyk, który biorę na zapalenie zatok.

— Czy jest tu gdzieś w pobliżu jakiś sklep?

— Czego szukasz?

— Różowej wstążki — odparł i od razu poczuł się pewniej.

Gdy skręcił i znalazł się na Wisteria Lane, zobaczył światło w pokoju Dooleya, ale w sąsiednim małym domku było zupełnie ciemno. Czekał na wolne miejsce w samolocie przez ponad cztery godziny. Spędził je w fotelu na lotnisku, drzemiąc i starając się nie myśleć o cennym czasie, który marnuje.

Był zupełnie wyczerpany.

— Boże — powiedział na głos, a słowo to było jednocześnie prośbą i podziękowaniem.

Gdy wjeżdżał samochodem do garażu, zaczęło padać. Słyszał, że Barnaba szczeka jak oszalały w kuchni.

Na powitanie Barnaba oblizał mu dokładnie brodę, a potem poszli razem do pokoju Dooleya. Chłopiec spał mocno, pomimo ryku włączonego na cały regulator radiomagnetofonu. Wyłączył muzykę, przykrył chłopca kocem i zmęczony wyszedł na korytarz.

Namacał palcami niewielkie zgrubienie na piersi, wyciągnął niebieski woreczek i schował go do komody. Potem rozpakował teczkę.

Dlaczego w domu obok nie świeciło się światło? Czy Cynthia spała? Czy — w istocie — dotarła szczęśliwie do domu?

Podszedł do okna i spojrzał na jej dom. Zobaczył, jak w jej sypialni rozbłysło światło, na chwilę przed tym, jak dzwony w Lord's Chapel wybiły jedenastą.

Pośpiesznie ochlapał twarz wodą, umył ręce i zęby, uczesał włosy, żałując każdej sekundy, którą musiał temu poświęcić.

Deszcz przerodził się w ulewę, gdy biegł przez żywopłot, a potem wbiegał po tylnych schodach, starając się stać jak najbliżej drzwi w chwili, gdy pukał. W końcu sam otworzył drzwi, których nigdy nie zamykała, i zawołał:

— Cynthia! Jesteś tam? — Cynthia! — zawołał jeszcze raz, przechodząc przez kuchnię i kierując się w stronę schodów.

Pojawiła się w końcu na półpiętrze, w szlafroku, a jej głowa jeżyła się od różowych, tak dobrze mu znanych, wałków.

— Dzień dobry — powiedział, ociekając wodą, która kapała wprost na dywan.

Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Nigdy nie zgadniesz, gdzie byłem.

— Nie mam pojęcia.

Jej głos był zimny jak ciemna strona księżyca.

— W Nowym Jorku. Byłem w Nowym Jorku. Poleciałem, żeby się z tobą zobaczyć.

— Byłeś... w Nowym Jorku?

Nawet w półmroku, jaki panował, dostrzegł w jej oczach wyraz całkowitego zdumienia.

— To miała być niespodzianka.

— Nie wierzę ci!

— Panna Addison zaprosiła mnie na lunch, ale poszedłem z Walterem do delikatesów.

Zobaczył tysiące emocji, które w jednej sekundzie pojawiły się na jej twarzy, a potem ona sama równie szybko znalazła się u stóp wąskich schodów i płacząc, rzuciła mu się w ramiona.

Nikt do tej pory nie przytulił go w taki sposób. Miał wrażenie, jakby jego sąsiadka włożyła w ten gest całą nagromadzoną energię. Poczuł, jak zalewa go fala ciepła i jak nagle ustępuje trawiące go poczucie pustki.

— Cynthia — wyszeptał, czując, że za chwilę sam się rozplacze z radości.

— Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! — powiedziała, łkając. — Nie mogę uwierzyć, że poleciałeś do Nowego Jorku, że naprawdę zrobiłeś dla mnie coś tak cudownego, a potem...

— A potem okazało się, że ciebie tam nie ma. Byłem...

— Zdruzgotany! Czułam się dokładnie tak samo, gdy przyjechałam do domu i okazało się, że cię nie ma. Dooley powiedział, że wyjechałeś na dwa dni, żeby odwiedzić kuzyna. Tak bardzo chciałam, żeby to była niespodzianka! Miałam zapukać do twoich drzwi, a ty wyszedłbyś, człapiąc, z salonu, Barnaba przybiegłby w podskokach i oblizałby mi twarz, i pocałowałbyś mnie, i...

— A ja miałem zapukać do twoich drzwi, a ty byłabyś zaskoczona, i wiedziałabyś, że naprawdę...

— Że co naprawdę?

— Że naprawdę cię kocham. Wtedy byś wiedziała. Udowodniłbym ci to. I mogłabyś się tym już nie dręczyć.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu prosto w oczy. Pomyślał, że jej wałki do włosów nigdy nie wyglądały tak pięknie.

— Nigdy nie zapomnę, że to zrobiłeś.

Pocałował ją. Był to długi, powolny pocałunek, który zdawał się leczyć jakiś pradawny lęk. Poczul mrowienie na czubku głowy, jakby Joe Ivey zaaplikował mu hojną dawkę Sea Breeze.

Usiedli w objęciach na pierwszym stopniu schodów.

— Wydaje mi się, że właśnie poczułem mrowienie na czubku głowy — powiedział ochryłym z przejęcia głosem.

— A ja myślałam, że mają cię przechodzić ciarki w prawej nodze. To ja mam czuć mrowienie na czubku głowy!

— To znaczy, że nie poczułaś?

— Nie mogę skłamać. Nie poczułam.

Wyglądał na tak przygnębionego, że roześmiała się szaleńczo.

— Mój głupiutki! — zawołała, całując go w policzek. — Mój głupiutki, głupiutki chłopiec!

Zadzwoił do biura i powiedział Emmie, że się spóźni.

— Spóźnisz się? Wydawało mi się, że jesteś w Nowym Jorku.

— Byłem w Nowym Jorku, ale teraz jestem w Mitford.

— To wszystko tłumaczy — odpowiedziała z wyższością.

O dziewiątej trzydzieści w drzwiach domu pastora zjawiała się Cynthia.

Nakrył do śniadania w jadalni — w ciągu spędzonych tu trzynastu lat zdarzyło mu się to zaledwie kilka razy. Za oknem do karmnika przyleciały ptaki, a ciepłe promienie słońca ogrzewały zmoczone nocnym deszczem konary drzewa.

— Timothy — oznajmiła z czymś na kształt podziwu w głosie. — Przeszedłeś sam siebie!

I rzeczywiście była bliska prawdy. Smażone na ruszcie kielbaski z doliny, kasza, omlet z grzybami i ser żółty Monterey Jack, domowej roboty sos od Avisy Packarda, angielskie bułeczki drożdżowe z marmoladą z pomarańczy z kawałkami skórki i kawa, która jeszcze kilka minut temu była w ziarenkach.

— Uwielbiam taki sos! — zawołała, częstując się po błogosławieństwie. — Uwielbiam kaszę!

Już od samego patrzenia na nią radowało mu się serce. Widok Cynthii pałaszującej śniadanie niczym wilk morski sprawiał mu ogromną przyjemność.

Zamoczyła kawałek chleba w sosie.

— Postanowiłam, że nie napiszę *Violet jedź do Nowego Jorku*. Wydaje mi się, że James ma mnie za jakąś dojną krowę, stworzoną po to, by spełniać wszystkie jego zachcianki. W ostateczności mogę napisać *Violet jedź do Mitford!* Co ty na to?

— Cudownie! Tak trzymaj!

— *Violet wybiera się z wizytą do pastora! Violet wyjeżdża na zasłużone wakacje na południe Francji! Violet ma już dość bycia kotem i zamienia się w psa!*

— Sypiesz bestsellerami jak z rękawa — odparł, smarując dla niej masłem angielską bułeczkę drożdżową.

— Och — zaśmiała się, rozsiadając się wygodnie — tak bardzo się cieszę, że jestem w domu.

— Wybierzmy się po śniadaniu na spacer.

— I odwiedzimy pannę Rose i wujaszka Billy'ego?

— Czy musimy? Gdy zapraszała nas ostatnio, straszyla paluszkami cynamonowymi czy może puddingiem bananowym? No cóż, moglibyśmy przynajmniej oglądnąć tablicę, jaką w ich ogródku postawiła pani burmistrz.

— Chodźmy też na zakupy do Sklepu, to przygotuję obiad dla ciebie i Dooleya.

— Wspaniale! Zgadza się. A po drodze możemy zaglądnąć do Lord's Chapel, żebyś obejrzała nowe klęczniki. Ale, oczywiście, zobaczysz je też w niedzielę. Jej oczy nagle przyblakły.

— Muszę wracać jutro po południu.

— Nie...

— Chodzi o końcową korektę. Nic nie można na to poradzić. To są... mój najdroższy, skradzione chwile.

Skradzione chwile.

Ujął jej dłoń i odwrócił, żeby zobaczyć mały wzgórek po jej wewnętrznej stronie. Pocałował go miękko i przytulił do policzka. Skradzione chwile.

Chętnie zostanie najbardziej podstępny z złodziei.

Przypomniał sobie wykładowcę z seminarium, który do szklanki włożył pięć dużych kamieni. Symbolizują one to, co w życiu najważniejsze, wyjaśnił wykładowca i zademonstrował, jak małe ka-

myczki, czyli mniej ważne sprawy, można z łatwością dorzucić i potrząsając szklanką, tak je ułożyć, żeby wypełniły szczeliny.

Gdy jednak w pierwszej kolejności do szklanki zostały wsypane małe kamyczki, duże już się w niej nie mieściły.

Zadzwoił do Emmy.

— Prawdę powiedziawszy, w ogóle dzisiaj nie przyjdę.

Ostatnim razem, gdy w ogóle nie przyszedł do pracy — pamiętała — okazało się, że jest śmiertelnie chory. Tym razem jednak jego głos z pewnością nie wskazywał na to, że coś mu dolega. Wyglądało raczej na to, że w całym swoim życiu nie czuł się tak świetnie.

Właśnie stali w drzwiach, wychodząc z domu, gdy zadzwonił telefon.

— Ojciec?

— Tak, Evie?

— Proszę mi wybaczyć, że dzwonię do domu, ale musiałam zapytać... Czy mógłby ojciec, czy byłby ojciec tak miły i wstąpił do mnie na kilka minut?

Słyszał, że Evie usiłuje powstrzymać łzy, które zawsze cisnęły się jej do oczu, gdy rozmawiała ze swoim księdzem.

— Tym razem nie stało się nic naprawdę złego, to tak... Zawahała się przez chwilę, a potem z jej ust wydobył się szloch: — ... To tak ogólnie.

— Już idę — odparł.

— Co znalazła pani w swojej pończosze? — chciała wiedzieć panna Pattie.

— W mojej pończosze? — zapytała Cynthia, odruchowo spoglądając na nogi.

— Myśli, że to Boże Narodzenie — wyjaśniła Evie, pomagając mamie zająć miejsce na sofie, gdzie usiadła pulchna i pogodna niczym cherubinek.

— Piekłyśmy to wszystko przez całe przedpołudnie! — obwieściła radośnie panna Pattie.

— Naprawdę? — Cynthia podjęła rozmowę ze starszą, siedzącą na sofie kobietą.

— Ja piekłam, Evie polewała sosem. Sos do chleba kukurydzianego przygotowujemy osobno. Nie lubimy bylejąkości. — Panna Pattie zmarszczyła nos.

— Teraz się jej wydaje, że jest Święto Dziękczynienia — wyjaśniła Evie, wyglądając na zrozpaczoną. — Lubi święta.

— Proszę się poczęstować udkiem ! — Panna Pattie wyciągnęła w kierunku Cynthii zieloną popielniczkę. Zaskoczona Cynthia najpierw się w nią przez chwilę wpatrywała, potem wybrała coś na niby i ugryzła duży kęs. Pastor zauważył, że nawet próbowała go przeżuwać.

— Wyśmienite! — zadeklarowała dzielnie, wycierając kąciki ust palcami. — Dokładnie takie, jak lubię! Soczyste w środku, z chrupiącą skórką!

— Czy aby nie za suche?

Panna Pattie pochyliła się lekko, czekając z zainteresowaniem na odpowiedź.

— Ani trochę!

— Jeśli o mnie chodzi, to najbardziej lubię kuperek.

— Mamo, na litość boską! — zawołała Evie.

— Proszę się poczęstować sosem żurawinowym i podać go żonie — panna Pattie zwróciła się do pastora. Podała mu egzemplarz „Southern Living”, który leżał na stoliku pod lampką.

— Domowej roboty, wie ojciec.

— Dziękuję — odpowiedział, podając czasopismo Cynthii, jakby było rozżarzoną węglą.

— Och, na Boga, zupełnie zapomniałam. — Panna Pattie uniosła brzeg sukienki i zatknęła go za kołnierzyk. — Ojczy, czy mógłby ojciec odmówić modlitwę przed posiłkiem?

— Jesteś wspaniała — powiedział.

Zboczyli z drogi, żeby usiąść na ławce w ogródku przy księgarni.

— Naprawdę?

— Tak, że zjadłaś to udko. Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się.

— Uważam — kontynuował dziwnie wzruszony — że to najbardziej wspaniałomyślny gest, jaki kiedykolwiek widziałem.

— Czy ty nie zachowałbyś się tak samo? Widział, że jej oczy się uśmiechają.

— Wiesz, że nie, i o tyle mniej mam dla siebie szacunku. Ale tobie przyszło to... jakoś naturalnie.

— Tak, ale szczerze mówiąc, wolę ciemne mięso.

Roześmiali się tak głośno, że ktoś idący Main Street zaglądnął podejrzliwie do małego ogródka.

— Prawdę powiedziawszy, byłam śmiertelnie przerażona — powiedziała w końcu.

— Dlaczego?

— Bo nie chciałam przynieść ci wstydu ani zranić Evie, ani też rozczarować panny Pattie. Ale nie mogłam tak siedzieć i wpatrywać się w popielniczkę w kształcie żaby. Zjadłam więc udko.

— Brawo — powiedział i ścisnął jej dłoń.

— Pierwszy raz... pomagałam ci w pracy. To był zaszczyt, Timothy.

Gdy szli do Sklepu, myślał o wyrazie ulgi, jaki zobaczyli na twarzy Evie, i o panie Pattie siedzącej dostojnie na sofie i pochrapującej spokojnie. Mimo to wizyta nie była niczym więcej jak tylko plastrem nałożonym na otwartą ranę. Zawsze bolała go frustrująca małość rzeczy, które był w stanie zrobić. „Wielkie sprawy zostawmy Bogu” — powiedział mu kiedyś kolega z seminarium. „Naszym zadaniem jest wypełnienie szczelin. Coś na podobieństwo kalfatażu*”.

* Kalfataż — uszczelnianie pakułami i smołą szpar na okręcie. (Przypisy pochodzą od tłumaczki).

Gdy kupowali warzywa w Sklepie, nagle przypomniał sobie wypowiedziane śpiewnym głosem przez pannę Pattie słowa: „...i podać go żonie”.

Gdy oglądając karczochy, Cynthia podniosła na chwilę wzrok, poczuł, jak jego twarz zalewa fala ciepła, i tylko z największym trudem zdołał spojrzeć jej w oczy.

Przygotowała wyśmienitą kolację u niego w kuchni. Dooley jadł jak wilk i po umyciu z prędkością światła naczyń poszedł do Tommy'ego, gdzie miał spędzić noc.

Teraz siedzieli razem na sofie, trzymając się za ręce i słuchając z jego odtwarzacza jednej z jej płyt Mozarta. Dzisiejszy wieczór z pewnością nie był odpowiednią porą na tango. Czy może rumbę?

Na kominku trząsał niewielki ogień, a on myślał, że właśnie tego pragnął przez całe życie. W jakimś nigdy nie dopuszczonym do głosu zakamarku jego duszy, w miejscu, którego nigdy nie zauważał — albo też, do którego istnienia nie chciał się przyznać — żyła tęsknota, żeby siedzieć z kimś w tym przedziwnym spokoju. Czuł się dziwnie kompletny, jakby ktoś umieścił w układance jej ostatnią brakującą część.

— Jak poradziłeś sobie w Nowym Jorku? — zapytała, opierając głowę na jego ramieniu. — Bałeś się?

— Czy się bałem? Bałem się tam pojechać, ale jak już się tam znalazłem, byłem... nieomal szczęśliwy, wydaje mi się. Najgorszy jest chyba lot, start, a potem lądowanie. Ale w końcu opuścił mnie strach i spotkałem poczciwego taksówkarza i pannę Addison, i Waltera. Panna Addison niezmiernie mi współczuła. Powiedziała, że dokładnie to samo spotkało ją w Wiedniu.

— Naprawdę? Opowiedz mi o tym.

— Pojechała do Wiednia, żeby zrobić niespodziankę mężowi, który był tam w delegacji służbowej, a on w tym czasie leciał do niej do Paryża.

— Z Paryża do Wiednia, z Nowego Jorku do Mitford, to to samo — wyszeptała przytulona do jego policzka. — Jesteś moim bohaterem.

Miał wiele zalet, ale nigdy wcześniej nie był bohaterem. Odchrząknął.

— Obawiam się, że nie chciałbym już tego powtórzyć. Wydawało mu się, że powinien to powiedzieć, dla porządku.

— Czy widziałaś Palestrinę?

— Barnaba wśród kotów! Ogromna! Nie przypadłem jej do gustu. Widziałem to w jej oczach. Wolałbym nie zostać z nią sam na sam w jednym pokoju.

— Och, Palestrina tylko tak strasznie wygląda. Śmiali się donośnie.

Ach, jak dobrze było się śmiać! Dlaczego nie śmiał się częściej? Zadawał sobie to pytanie setki razy. No tak, ale z kim miał się śmiać? Przecież nie z Emmą! A wydobycie uśmiechu z Dooleya Barlowe'a równało się znalezieniu igły w stogu siana.

Przygarnął ją do siebie i powiedział:

— Mam coś dla ciebie.

— Nowy dowcip od wujaszka Billy'ego!

— Minęło już kilka miesięcy, odkąd wujaszek Billy opowiedział mi jakiś dowcip.

— W takim razie nie potrafię zgadnąć.

— Zaraz wrócę — przeprosił ją, zauważając, że Barnaba zajął po nim ciepłe miejsce na sofie.

Gdy po chwili wrócił do salonu, zastał ją przytuloną do jego psa, który jeszcze pachniał świeżością po popołudniowej kąpieli.

— Gdyby Violet Coppersmith mogła cię teraz zobaczyć... — zażartował.

— Atak serca!

Poszedł do kuchni i wyciągnął z szafki jeden z herbatników Barnaby.

— No dobrze, druhu, zmykaj stąd!

Barnaba zeskoczył z kanapy i rzucił się w pogoń za herbatnikiem, który wpadł pod fotel z wysokim oparciem.

Dlaczego po przemierzeniu schodów, gdy podawał jej niebieski aksamitny woreczek, z trudem łapał oddech? Dlaczego gdy siadał obok niej, kości w kolanach skrzypiały mu jak nie naoliwiona ogrodowa furтка? Nie mógł jednak nie zauważyć, że jej twarz rozjaśniła się jak krzewy przed jej drzwiami, gdy przyozdobił je światełkami na Boże Narodzenie.

— Czy mogę nie śpieszyć się z zajrzeniem do środka? Wciągnęła nogi na kanapę i usiadła na stopach, opierając się o poduszki.

— Nie ma pośpiechu.

Trzymała woreczek w dłoniach, w radosnym napięciu badając kształt przedmiotu, który znajdował się w środku.

— Wydaje mi się, że to księżyc!

— Tak! Strzał w dziesiątkę. I gwiazdy też tam są. Zebrałem je wczoraj w nocy, po deszczu.

Nagle do oczu napłynęły jej łzy.

— Cynthia! Do licha!

— Przepraszam! — zawołała, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. — Nie robię tego celowo. Ja po prostu kocham... twoje serce, Timothy.

Wsunęła w końcu dłoń do woreczka, ujęła w palce broszkę i wyciągnęła ją.

— Należała do mojej matki — wyjaśnił.

Chciał powiedzieć więcej, prawdę powiedziawszy, przygotował sobie nawet niewielką mowę, ale wszystko gdzieś uleciało.

Trzymała ją na dłoni i wpatrywała się w nią jak porażona, a po policzkach płynęły jej łzy. Dobry Boże, pomyślał, czy to się nigdy nie skończy? Była jeszcze gorsza niż człowiek z poddasza, który

płakał jak dziecko za każdym razem, gdy coś go wzruszyło. Co gorsza, płacz jego sąsiadki był tak samo zaraźliwy jak jej śmiech — czuł, że jego też zaczyna ścisnąć w gardle.

— Cynthia, przestań natychmiast! — rozkazał głosem kaznodziei.

Spojrzała wtedy na niego i zaśmiała się, dotknęła dłonią jego twarzy i pochyliła się w jego stronę, całując go w czoło.

— Dziękuję — powiedziała.

Później przypomniał sobie, że jego mama zrobiła dokładnie to samo — pocałowała go w czoło, podziękowała mu i płakała.

Szli do jej domu, przechodząc gęsiego przez szczelinę w żywopłocie.

— W takim razie zobaczymy się jutro — powiedział, stojąc na ganku. — O której powinniśmy wyjechać na lotnisko?

— Najpóźniej o dwunastej.

— Załatwione — obiecał, przesuwając palcem po jej policzku.

— Podpórki na książki — szepnęła, otaczając jego szyję ramionami.

— W całym swoim życiu nie widziałem nikogo tak ślicznego. Spojrzała na niego przepelniona radością.

— Nie poproszę cię, żebyś się ze mną ożenił.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co powiedziała. Stał bez ruchu, jak gdyby najdrobniejszy gest czy oddech mogły sprawić, że niczym królik w polu stałby się łatwym celem dla psa myśliwskiego.

W słabym świetle na ganku zauważył, że jej oczy nabrały hipnotyzującego koloru barwinka. Uśmiechnęła się i dodała:

— Będziesz to musiał zrobić sam, najdroższy.

— Aha.

Pomyślał, że wygląda dokładnie tak, jak mogłaby wyglądać Violet siedząca na brzegu stawu rybnego.

Gdy udało mu się już bezpiecznie przedostać na drugą stronę żywopłotu, odkrył, że jego krążenie jakby ustało. Miał wrażenie, że zamienił się w lód. Małżeństwo!

Zaniósł broszkę na górę, a w jego głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Dlaczego strach zdawał się zawsze stać na straży jego radości i za każdym razem skutecznie ją tłumić?

Położył broszkę na komodzie, myśląc o tym, jak niechętnie się z nią rozstawała, żeby mógł ją oddać do wyczyszczenia i naprawienia zapięcia. Ustąpiła w końcu, obiecując, że zawsze będzie ją nosiła, a już na pewno nałoży ją na swoje bierzowanie do Lord's Chapel. Poszedł spać, mając przed oczami obraz Stuarta Cullena kładącego na jej głowie dłonie przy balustradzie przed ołtarzem.

Leżąc w ciemnościach, modlił się o to, by opuściło go poczucie strachu i zamętu, zawstydzony, że nie potrafi zrobić tego, co inni najwyraźniej są w stanie robić każdego dnia — podjąć decyzji i konsekwentnie realizować jej w życiu.

O północy przypomniał sobie, że nadal nie ma tytułu dla swojego wielkanocnego kazania.

Zamierzał mówić o „Radosnej niespodziance”, bo przecież właśnie tym przede wszystkim była rezurekcja, następując po horrorze egzekucji, pośpiesznym pogrzebie i utracie nadziei przez apostołów.

Z drugiej jednak strony, „Wszystko dla miłości” zawierało całe przesłanie narodzin Chrystusa, Jego śmierci i zmartwychwstania w zaledwie trzech słowach. Stanowiło esencję, skondensowaną wersję, ostatnie słowo.

Temat miłości, przyszło mu do głowy, zdawał się nie odstępować go na krok.

„...i podać go żonie” — usłyszał poprzez sen głos panny Pattie. „...i podać go żonie”.

Po posępnym czuwaniu w Wielki Czwartek, poranek Wielkiego Piątku przywitał Mitford padającym śniegiem.

— A nie mówiłem? — uśmiechnął się Coot Hendrick, który jako jeden z wielu przyczyniał się do zaparowywania okien w Main Street Grill.

— O Boże — jęknął J.C. Hogan, który nie cierpiał śniegu, a już szczególnie nie przyjmował z radością spełnienia proroctwa kogoś, kto zamiast zębów miał w ustach pniaki.

Zakrojone na szeroką skalę łatanie dachu domu panny Sadie zostało ukończone, a praca w sali balowej szła w dobrym tempie.

— Ojciec — powiedziała, dzwoniąc zaraz po tym, jak ziemia zrobiła się biała — co ojciec myśli o tym śniegu?

— Staram się o nim w ogóle nie myśleć! — odparł z uczuciem.

— Louella kupiła słomkowy kapelusz na Wielkanoc. ale twierdzi, że nie można nosić słomkowego kapelusza, gdy dookoła leży śnieg.

— Wielkanoc nie polega na pięknej pogodzie. Proszę powiedzieć Louelli, żeby nałożyła swój nowy słomkowy kapelusz. Będziemy wyglądać go w kościele.

Panna Sadie przerwała na chwilę rozmowę i zawołała szczebiotliwie:

— Mówi, żebyś go nałożyła bez względu na pogodę, będzie go wyglądał!

— Jak idą prace w sali balowej?

— Och, ojciec! Nie uwierzy ojciec, ile to kosztuje. Nieomal zemdlałam, gdy usłyszałam, ile będzie kosztować samo oczyszczenie futryn okiennych. Musiałam usiąść, cały pokój wirował mi przed oczami. Postanowiłam jednak się tego podjąć! Czy myśli ojciec, że Pan Bóg uzna to za złe sprawowanie pieczy — wydawanie tylu pieniędzy na pokój, do którego prawdopodobnie nigdy więcej już nie zajrzemy?

— Panno Sadie, proszę pomyśleć tylko o tych wszystkich harfiarzach tłoczących się w niebie, o tych pałacach i ulicach ze złota — myślę, że zgodzi się pani ze mną, że sam Pan Bóg też wie coś o przepychu i rozmachu.

— Jest moją jedyną krewną, ojciec.

— Oczywiście. Zgadzam się w stu procentach. Proszę zaokrąglić do stu dwudziestu.

— Do tej pory nie miałam dla kogo tego robić.

— Nie zabierze pani tego ze sobą, panno Sadie, i nie wydaje mi się, żeby Lord's Chapel była w stanie unieść... kolejny dowód pani hojności.

— Niech ojciec zgadnie, kogo zamierzam zaprosić?

— Nie mam pojęcia.

— Absaloma!

— Wspaniale.

— Ale jego siostra nie przyjdzie. Jestem tego pewna. Czy nie uważa ojciec, że osoba, która nazywa się chrześcijanką, mogłaby wybaczyć i zapomnieć po tych wszystkich latach?

— Dlaczego myśli pani, że tego nie zrobiła?

— Zapytałam Absaloma, gdy nauczał w Lord's Chapel w czasie ojca pobytu w Irlandii. Powiedziałam: „Absalom, czy Lottie wybaczyła mi to, że za ciebie nie wyszłam?” Byłam bardzo bezpośrednia!

— Tak trzeba.

— Absalom potrząsnął jedynie głową i odparł: „Nie, Sadie, bardzo mi przykro, ale nie”. Wiedziałam, że go to martwi. I wypaliłam wtedy coś, co chciałam powiedzieć już od ponad sześćdziesięciu lat. Powiedziałam: „A ja myślałabym, że będzie mi wdzięczna za to, że cię nie poślubiłam, bo dzięki temu mogła cię mieć tylko dla siebie!

— Ostre słowa — powiedział, uśmiechając się.

— Absalom śmiał się, ale głęboko w sercu czułam się bardzo podle, że to powiedziałam.

— Chrześcijanie rzadko kiedy dorastają do naszych wyobrażeń, panno Sadie.

— Uważam, że powinien ojciec wiedzieć, że wybaczyłam jej to, że ona mi nie wybaczyła.

— Tak trzymać!

Westchnęła i usłyszał w jej głosie rzadko dające się wyczuć zmęczenie.

— Coś mi się wydaje, że dobrze by pani zrobiło, gdyby ktoś panią przytulił.

— Gdyby ktoś mnie przytulił?

— Czy zdarzyło się to pani chociaż raz od ostatniej niedzieli?

— Nie przypominam sobie, ale robotnik poprawiający stiuki uścisnął mi dłoń.

— Zaraz tam będę — obiecał.

Stojąc pośród gruzu leżącego na podłodze sali balowej, panna Sadie oparła się na lasce i spojrzała na niego.

— A co z Dooleyem?

— A co miałoby być?

— Czy nie zrobił ojciec jeszcze tego, o czym mówiliśmy? — zapytała cierpko. — Miał ojciec zrobić swoją część i rozglądnać się po szkołach.

— Tak, no cóż, rzeczywiście. A ja nie zrobiłem jeszcze swojej części, bo prawdę powiedziawszy, tak bardzo nie chciałbym nigdzie wysyłać chłopca. Błagam, proszę mnie nie łąać, panno Sadie. Mówię po prostu szczerze, jak się sprawy mają.

— Mam nadzieję, że wybaczy mi ojciec moje słowa, ale to bardzo egoistyczne podejście.

Zapadła znacząca cisza.

— Zajmę się tym — powiedział w końcu, czując się tak, jakby z trudem przełknął gorzką pigułkę.

— „Miłość jest rzeczywistą potrzebą, nieodpartym wymogiem serca” — odczytał na głos urywek starego eseju na temat małżeństwa, który znalazł w swoich materiałach.

— „Każda prawidłowo skonstruowana istota ludzka, która jest w stanie doświadczać uczucia samotności... i poszukuje szczęścia i spełnienia, odczuwa potrzebę miłości. Bez niej życie jest niekompletne...”

Barnaba opuścił głowę na przednie łapy.

Czy to rzeczywiście prawda, że bez miłości życie jest niekompletne? Bez miłości Chrystusa tak, bez wątpienia, absolutnie. Ale bez miłości drugiej ziemskiej istoty? Nigdy nie uważał, że jego pozbawione miłości, kawalerskie życie jest niekompletne.

— „Serce, które nie odczuwa miłości, jest zimne, umysł, który nie jest w stanie jej doświadczyć, jest jałowy...”

Zawiesił na chwilę głos. Wciąż sypie. Dooley uczy się. Barnaba chrapie. W domu robi się coraz chłodniej.

— „Należy więc szukać towarzysza, pokrewnej duszy... która w każdych okolicznościach odczuwałaby, czuła i postępowałaby dokładnie tak jak my... Jest to towarzysz, z którym już łączą nas więzi duchowej harmonii, a właśnie odkrycie tych więzi jest celem bliskiej znajomości poprzedzającej małżeństwo”.

Z którym już łączą nas więzi duchowej harmonii...

W takiej chwili prawdziwy mężczyzna sięga po fajkę, ale on przecież nie pali. W takim momencie prawdziwy mężczyzna marzy o kropli whisky, ale on przecież nie pije. Wobec tego stało się dla niego jasne jak słońce, że to, czego pragnie teraz najbardziej, to z kimś porozmawiać.

Kto by to mógł być? Nie Walter. On już dorzucił swoje trzy grosze. Nie Katherine, która nieźle by go złażała za to, że jeszcze tego nie zrobił.

Przyszła mu do głowy Marge Owen, pierwsza osoba, z którą się zaprzyjaźnił, gdy przybył do Mitford. Przez te wszystkie lata zawierzyli sobie wzajemnie wiele sekretów, ale nie widywał się z nią często, odkąd Rebecca Jane pojawiła się w Meadowgate, a do jego domu zawitał Dooley. Poza tym, dokładnie wiedział, co powie: „Posłuchaj swojego serca, Timothy”.

Do licha! Właśnie w tym tkwił cały problem. W jednej chwili jego serce przepełniała tęsknota za Cynthią, w drugiej — na samo wspomnienie o małżeństwie jego serce zamieniało się w lód. Jego serce wodziło go to tu, to tam, dokładnie jak Barnaba, gdy uczył się chodzić na smyczy.

O czym tak naprawdę chciał rozmawiać? O co chciał zapytać?

Usiadł za biurkiem w salonie, spoglądając nie widzącymi oczami na żywoplot, za którym rozciągał się park Baxter.

Czy może ją kochać bez reszty i bez pamięci, nie poświęcając jednocześnie swojej miłości do Boga? Czyż ich miłość nie pochodzi właśnie od Boga? Nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

W takim razie, w jaki sposób małżeństwo wpłynęłoby na jego pracę duszpasterską? Jak mogłaby na tym ucierpieć? Nie, pomyślał. Nie tak powinno brzmieć to pytanie. Spróbuj tak: jak mogłaby na tym zyskać?

Unikał jednak prawdziwego problemu, i dobrze o tym wiedział. Prawdziwym problemem nie była miłość ani zdrada, ani nawet to, czy jego praca mogłaby zyskać jakiś nowy wymiar, czy też go stracić.

Prawdziwym problemem był strach.

Próbował go bliżej określić i przychodziło mu to z ogromnym trudem. To był strach przed całkowitym oddaniem się, zawierzeniem komuś, utratą kontroli.

Raz już tak do końca zawierzył swoje życie, myśląc, że na tym koniec. A teraz zdarzyło się to i musiał stawić temu czoło, i zachować się sprawiedliwie w stosunku do niej i do siebie. Ale czy nie było za późno na sprawiedliwość?

Gdyby się mieli pobrać, co z jego piekielną cukrzycą i nawykami określającymi jego styl życia? Czy potrafiłby dzielić z kimś łóżko po latach sypania w pojedynkę?

Jeszcze jedno. Nie było całkiem bez znaczenia, że Cynthia przyznawała się do tego, że sypia z kotem. A czy on nie sypiał z psem, wielkości sofy? A czyż koty i psy nie były naturalnymi wrogami od zarania dziejów? Mógł to sobie z łatwością wyobrazić — wszyscy razem, leżący na jednym łóżku jak sterta rzuconych podczas przyjęcia płaszczy. Jeden niewłaściwy ruch...

Rozważanie małżeństwa jako takiego było jedną kwestią, a zastanawianie się nad bolesnymi szczegółami, samą techniką — i prozą codzienności — czymś zupełnie odmiennym.

Wiedział jednak, że potrzebuje jej jak powietrza — jej radosnego towarzystwa, jej promiennej otwartości, jej wspaniałego poczucia humoru. Wiedział również, że ich pocałunki i bliskość wywoływały w nim często stan bolesnego rozdarcia, który dodatkowo pogarszały jego starania, by nie ulec, by zachować niezależność, by nie dopuścić do przzerwania muru, którym się odgradził, by jego miłość nie wybuchła z ogromną siłą niczym woda przedzierająca się przez rozerwaną tamę.

Wczoraj w kuchni zderzyli się z Dooleyem łokciami, wychlapując zawartość swoich szklanek na podłogę. Gdy przykucnęli, żeby posprzątać, ciemna coca-cola Dooleya wymieszała się z jego bezbarwnym dietetycznym Sprite'em. Wytropienie ich odrębnych konturów było niemożliwe. Czy był gotów wtopić się w życie drugiej ludzkiej istoty na resztę swojego życia i czy pragnął, aby ona zrobiła to samo?

Do tego oczywiście sprowadzało się przesłanie Pisma Świętego w kwestii małżeństwa — jedno ciało. Nie dwie odrębne istoty, dwie niezależne jednostki schodzące się jedynie w porze kolacji lub ocierające się o siebie w holu, trzymające się kurczowo swojej odrębności, broniące się przed inwazją. Jedno ciało!

Jeśli w ogóle byłby do tego zdolny, czy potrafiłby tak żyć? Czy był w stanie pogodzić całkowite oddanie sprawom Kościoła z całkowitym oddaniem się jej? Czy mógł sobie w tym względzie zaufać?

Esej nazwał zdolność do prawdziwej i oddanej miłości „świętym ogniem, którego nie należy palić przed bożkami”.

Święty ogień. A jeśli święty, to w takim razie wieczny? Znajdował w tym słowie pewne pocieszenie. Wieczny ogień.

Panie, zabierz ten strach i zdław go. Zgań wroga, od którego pochodzi wszelki strach, i obdarz mnie łaską, abym był mężczyzną, jakim pragnąłbyś mnie widzieć, bez względu na to, co mi przeznaczyłeś. Jeśli mam przeżyć z nią, z tą śliczną... cudowną istotą resztę mojego życia, to proszę, otwórz szeroko drzwi. Niech staną otworem, błagam! A jeśli nie podoba ci się to, cóż, w takim razie...

Nie potrafił sobie wyobrazić tej drugiej możliwości, nie potrafił sobie wyobrazić życia bez niej. Nawet podczas modlitwy jego serce było niestałe i kłamliwe i miało się pomiędzy dwoma biegunami.

Mimo że do zmroku pozostały jeszcze najwyżej dwie godziny, przygotował kolację dla Dooleya, włożył ją do piekarnika, zapiął Barnabie czerwoną smycz i wyruszył w odwiedzinę do Bezdomnego Hobbesa.

Nie rozmawiał z Bezdomnym o niczym szczególnym, ale mimo to wychodząc od niego, czuł się zrelaksowany.

Nie było to bez znaczenia dla księdza, że miał takie miejsce, gdzie mógł pójść i gdzie nikt go nie oceniał, o nic nie wypytywał i nie oczekiwał od niego, że będzie kimś wyjątkowym. Siedzieli ra-

zem przed piecem na drewno, zadowoleni ze swojego towarzystwa, czyniąc sobie nawzajem wiele dobra i nawet się o to nie starając.

Zamierzał się właśnie położyć, gdy usłyszał staroświecki brzęk dzwonka u drzwi wejściowych.

Barnaba zbiegł szybko po schodach i warcząc, przycupnął przy drzwiach, przy szczelinie na listy.

Nie miał najmniejszego pojęcia, kim jest wysoka, koścista, rudowłosa kobieta, która stoi na jego ganku obstawiona walizkami i przygląda mu się badawczo spoza grubych, dwuogniskowych szkieł.

— Witam, kuzynie Timothy — powiedziała gardłowym głosem. — To ja, kuzynka Meg ze Sli-go.

Rozdział jedenasty

MEG

W dwuogniskowych okularach jej oczy wyglądały jak powiększone oczy muchy, którą widział na okładce książki do przyrody Dooleya.

— Kuzynka... Meg?

Przytrzymał Barnabę, który nadal warczał, za obrożę.

— No wiesz — wyjaśniła, zakładając włosy za uszy — podwieczorek u kuzynki Erin. Zaprasza-
łeś mnie, żebym cię odwiedziła, jak będę w Ameryce.

— Aha — odparł, stojąc niezręcznie w drzwiach.

— Ucieliśmy sobie pogawędkę przy serwantce z chińską porcelaną. Piłeś sherry.

Pamiętał osławioną, będącą od wielu lat w posiadaniu rodziny, serwantkę z porcelaną Erin Do-
novan, ale co do ucinania sobie przy niej pogawędkę z kimkolwiek...

— Czy nie dostałeś kilka miesięcy temu mojego listu? Zdawała się go przytłaczać.

— List? — A list! Na fiołkoworóżowym papierze. — Oczywiście! Proszę... wejdz do środka...

— Czy mogłabym pożyczyć dwadzieścia dla kierowcy? Musiałam wziąć taksówkę. Oddam.

— Oczywiście — rzucił, wkładając rękę do kieszeni i podając jej banknot.

Kiedy ona podeszła do taksówki, która czekała przy krawężniku, sięgnął do stojącej w holu szafki i wyciągnął dodatkową smycz. Przypiął Barnabę do jednego końca, a drugi przywiązał do porę-
czy.

Z największym trudem podniósł walizki i postawił je w holu, a potem przyglądał się jej, jak w świetle ulicznej lampy idzie z powrotem na ganek.

Zamaszysty krok, pomyślał, i jakby zmęczenie, widoczne w lekko przygarbionej sylwetce. Wy-
glądała jak kosmos, roślina o charakterystycznej wysokiej łodydze.

— Kuzynko Meg — powiedział, usuwając się na bok, żeby mogła wejść do środka — witaj w Mitford.

Minęła go, nieomal się o niego ocierając, w płaszczu, który pachniał zbutwiałymi gazetami i masłem orzechowym.

— Wielkie nieba, co za pies! — zawołała.

Zamknął drzwi i przekręcił zamek, zupełnie zdezorientowany.

Wtasczył bagaże do pokoju gościnnego i postawił je w środku, potem zszedł na dół, żeby przygotować coś do jedzenia dla swojego gościa.

— Umieram z głodu — powiedziała z naciskiem, ponownie zakładając włosy za uszy.

Siedziała przy małym stoliku pod oknem kuchennym i wpatrywała się w pusty talerz. Zważywszy na pełne nadziei spojrzenie jej oczu, można by pomyśleć, że ma przed sobą kryształową kulę, w której widzi rosyjski kawior.

— Mam nadzieję, że do rana ci to wystarczy — powiedział, podając jej niezwykle grubą kanapkę z pieczenią.

Podniosła kromkę chleba i zagłębła do środka.

— Staram się nie jadać mięsa, z wyjątkiem niedzieli.

— Aha. W takim razie zupełnie nie wiem, co jeszcze mógłbym ci dać. Mam zupę w kredensie...

— Z puszki?

— Niestety, tak.

— Myślę, że to wystarczy — odparła, odgryzając tak duży kęs, że odwrócił się do niej plecami, aby mogła go bez zażenowania przeżuć.

— Usiłuję przypomnieć sobie naszą pogawędkę — kontynuował rozmowę. — Niech no pomyślę. Przypuszczam, że rozmawialiśmy o należącej do kuzynki Erin serwantce z porcelaną, która dotarła aż do Ameryki, a potem w cudowny sposób wróciła do domu.

Było jasne, że nie może poprzestać na tym, co już powiedział, ponieważ nadal słyszał, jak je. Stał przy zlewozmywaku i udawał, że wyciera talerz, który nie był mokry.

— Może mogłabyś mi pomóc w odtworzeniu naszego drzewa genealogicznego. Zebraliśmy w Irlandii mnóstwo zapisków i przeróżnych dokumentów, wypełniając nimi całą torbę, a moim zadaniem jest ich uporządkowanie. Szczerze mówiąc, jeszcze do niej nie zaglądałem i boję się tego jak bolącego zęba.

Co jeszcze mógł powiedzieć? Wątpił, żeby interesowało ją muzeum w Porter Place albo zbiórka funduszy na zakup specjalnych śpiewników dla chóru młodzieżowego. Brnął dalej.

— Będziemy mieli sobie tyle do powiedzenia o Sligo, jestem pewien. Ale oczywiście, gdy już odpoczniesz. Znam to uczucie, gdy po podróży samolotem mamy wrażenie, że nasz mózg owinięty jest watą.

Odwrócił się i zobaczył, jak wyciera rękawem usta i pije łyk herbaty.

— Aa... co powiesz na jeszcze jedną kanapkę?

— Jak najbardziej. Świetnie. Czuję, że mogłabym zjeść konia z kopytami.

Dał jej kanapkę i podciągając się na rękach, usiadł na ladzie obok zlewozmywaka.

— Powiedz mi wobec tego, kuzynko, jak jesteśmy spokrewnieni?

— Mój pradziadek i twój pradziadek byli przyrodnimi braćmi, oczywiście.

Najwyraźniej wcale jej to nie przeszkadzało, że ktoś na nią patrzy, gdy ona mówi z pełnymi ustami.

— A cioteczna babka Fiona — dodał — też gdzieś się tam pojawia... To zapewne siostra mojego dziadka.

— Siostra mojego dziadka — wyjaśniła Meg, wychylając połowę szklanki herbaty.

Zaboląa go utrata na samym wstępie ciotecznej babki Fiony na rzecz drugiej strony.

— Twój pradziadek, Michael, poślubił Glynis Flanagan. Mieli sześcioro dzieci: Lornę, Fergus, Sybilę, Tyrone'a, Cormaca i Lisbeth. Fergus wyemigrował do Ameryki, gdy miał czternaście lat, i później ożenił się z Letty Noonan. Urodzili im się Matthew i Stephen, i oczywiście Mała Betty, która tuż po urodzeniu zmarła na gorączkę.

— Wielkie nieba! Jak ty jesteś w stanie to wszystko zapamiętać?

Być może gdyby została na dzień lub dwa, mogłaby w mgnieniu oka rozprawić się z torbą, która stała na podłodze w garderobie.

— Twój wujek Stephen ożenił się z Katie Crain z Pensylwanii, która, jak mówią, była wielką pięknoscią. Walter jest ich potomkiem. Dwa lata wcześniej twój tato, oczywiście, poślubił Madelaine Howard z Missisipi, której pradziadek zasiadał w senacie razem z panem Jeffersonem. Matthew i Madelaine mieli ciebie, i ani ty, ani Walter nie zdecydowaliście się na przedłużenie rodu.

Być może tylko mu się zdawało, że powiedziała to obojętnym tonem.

— Mój pradziadek — kontynuowała, odgryzając duży kęs — poślubił Gillian Elmurry, która miała Reagana, Fionę, Briana, Kevina, Erica i Inis. Reagan poślubił Deirdre Connors i oni z kolei mieli Allie, Meg, Nolle'a, Anthony'ego, Stephena, Mary i...

Wydawało mu się, że powiedziała Josepha. Recytowanie całego drzewa genealogicznego z pełnymi ustami nie było oczywiście łatwym zadaniem.

— Nolle, jak być może sobie przypominasz, latał kilkakrotnie z Lindberghiem*, zanim urodzili mu się Arthur, Allen, Asey i Abigail.

— Anthony, oczywiście, poślubił Daphne, a ja jestem ich córką. Nie mam żadnego rodzeństwa. Prawdziwy ewenement w irlandzkiej rodzinie katolickiej...

— Wobec tego, jesteśmy dla siebie?...

— Kuzynami.

— Rozumiem — przytaknął, chociaż prawdę powiedziawszy, nie rozumiał.

Być może dlatego, że był na nogach od piątej, a teraz była już jedenasta, ale czuł się tak, jakby ktoś właśnie przeczytał mu całą Pierwszą Księgę Kronik.

Przestrzegł Dooleya, gdy ten zszedł na dół w sobotę rano.

— W pokoju gościnnym ktoś śpi.

* Charles Lindbergh (1902-1974) — pilot amerykański, który w dniach 20-21 maja 1927 roku pierwszy dokonał samotnego przelotu nad Atlantykiem, z Nowego Jorku do Paryża.

— W całym swoim życiu nie słyszałem takiego trzaskania i szurania w środku nocy... Wyglądało to tak, jakby ktoś wypuścił tam na wolność całą zgraję cholernych skazańców.

Wykapany dziadek, pomyślał pastor. Dooley Barlowe często budził się jako stary człowiek, chociaż do łóżka kładł się zazwyczaj jako chłopiec.

— A kto tam jest?

— Kuzynka. Z Irlandii.

— Z Irlandii. To gdzieś w Szkocji.

— Pudło.

— To może gdzieś w Anglii.

— Sprawdź.

Dooley podszedł do globusa stojącego na biurku pastora.

— Byłem cholernie blisko.

Poszedł do biura, stawiając kroki w takt warkotu pracującego na wzgórzu sprzętu, i dwa razy przeczytał tam swoje wielkanocne kazanie. Przemawiając do wychodzących na ogród okien, które ukazywały gałęzie drzew obsypane rodzącymi nadzieję pąkami, utwierdził się w przekonaniu, że „Wszystko dla miłości” jest odpowiednim tytułem — poczuł do żywego jego słuszość.

Zadzwoił do domu o pierwszej, żeby porozmawiać z Puny, która miała przyjść upiec wielkanocną szynkę. Wiadomość, że ktoś jest w domu, była dla niej zupełnym zaskoczeniem.

— Jest w pokoju gościnnym — wyjaśnił. — Zmęczenie po podróży samolotem, z pewnością. Jestem pewien, że niedługo zejdzie.

— Chciałby ojciec, żebym zrobiła jej coś do jedzenia, gdy się pojawi?

— Zjadła dwie kanapki z pieczenią i wypila połowę dzbanka herbaty wczoraj wieczorem, ale jestem pewien, że chętnie zjadłaby coś przed kolacją. Och, tak — nie jada dań mięsnych, z wyjątkiem niedzieli.

Puny doznała najwyraźniej szoku, bo w odpowiedzi usłyszał jedynie ciszę.

O trzeciej po południu Puny zadzwoniła do biura.

— Lepiej niech ojciec przyjdzie do domu. Ojca kuzynka nadal jest na górze, a podłoga nawet nie zaskrzypiała. Pukałam do drzwi o drugiej — według mnie tyle godzin snu powinno wystarczyć nawet największemu śpiochowi — żadnego odzewu. Musiała znaleźć ten klucz wiszący na ścianie i zamknąć się od środka, bo próbowałam nacisnąć klamkę w obawie, że może, no wie ojciec...

— Że nie żyje?

— Wszystko jedno. Może powinien więc ojciec przyjść do domu.

Puny czekała na niego przy tylnych drzwiach.

— Zeszła na dół zaraz po tym, jak skończyliśmy rozmawiać.

— Tak?

— Chciała coś do jedzenia. Nałożyłam jej trochę sałatki i razem z bułką postawiłam na tacy. Uciekła z nią na górę i powiedziała, żeby nie spodziewać się jej przy kolacji.

— Zdaje się nie sprawiać zbyt wiele kłopotu.

Zauważył, że Puny jest jakby zamyślona, a może to była tylko jego wyobraźnia?

O szóstej wieczorem zapukał delikatnie do jej drzwi.

— Kuzynko Meg? Cisza.

Zapewne zjadła tylko lunch i natychmiast zasnęła. Podróż samolotem potrafi zrobić swoje, sam dobrze wiedział. Zaraz po powrocie do domu z Irlandii miał wrażenie, że jego mózg spowija wata. Przez dwa kolejne dni nie był w stanie logicznie myśleć, aż wreszcie skończyło się na tym, że wszystko i wszyscy wydawali mu się bardziej wyraziści, jak gdyby ktoś uniósł zasłonę, która dotąd przysła-
niała mu zmysły.

Po północy zbudził go trudny do zidentyfikowania dźwięk. Barnaba postawił uszy i zawarczał.

Wstał i podszedł do drzwi sypialni, potem wyszedł na korytarz i słuchał. Poznałby ten dźwięk na końcu świata. Dochodził z pokoju gościnnego. Była to maszyna do pisania, dudniąca potwornie z prędkością stu kilometrów na minutę, jak gdyby każdy klawisz był drewnianym młotkiem, którym ktoś wali w podłogę.

Ręczna maszyna do pisania marki „Royal”, doszedł do wniosku. Da sobie głowę uciąć.

Wrócił do swojego pokoju i zamknął drzwi. Jeśli Dooleyowi to nie przeszkadza, to dlaczego miałoby jemu przeszkadzać?

W całym mieście zielone pędy przebijały się przez jeszcze wilgotną od topniejącego śniegu ziemię i prawie wszyscy odczuwali dreszcz rozkoszy powodowany cudownym zapachem, który unosił się w powietrzu.

Poniedziałek Wielkanocny „udał się ładny”, jak określił to jeden z mieszkańców miasteczka, a przedstawiciele przeróżnych wyznań wysypywali się ze swoich kościołów w Mitford z odnowionymi sercami.

Na trawniku przed kościołem prezbiterian stanął drewniany krzyż przyozdobiony kwitnącą winoroślą, paprocią, galaksją i leśnym mchem. Kilkanaście białych doniczkowych lilii stało wzdłuż alejki prowadzącej do Lord's Chapel, a baptyści udekorowali swoją przydrożną ambonę szeroką szarfą z napisem: „Alleluja!” Metodyści natomiast postanowili przywitać wschód słońca biciem dzwonów, grających miłe melodie.

Wujaszek Billy Watson streścił, według pastora, cały nastrój poranka w kilku zaledwie słowach. „Zaraz uniosę się w powietrze” — oświadczył starszy mężczyzna, opuszczając kościelny ogród z gałązką forsycji w klapie.

Po mszy o jedenastej ojciec Tim poszedł z Dooleym do domu, spodziewając się, że jego gość będzie na nich czekał. Mając to na względzie, przed poranną mszą nakrył stół w jadalni, używając do tego celu porcelany Haviland, która kiedyś należała do jego babci.

Na kuchennej ladzie znalazł przykrytą niezbyt szczelnie folią szynkę, która z jednej strony uszczuplona była o pokaźny kawałek. Zajrzał pod przykrywkę naczynia z potrawką z fasoli i zauważył, że brakuje jednej trzeciej potrawy. W zlewozmywaku leżało metalowe kółeczko z puszki coca-coli.

Poszedł na górę i zapukał do jej drzwi.

— Kuzynko Meg? Żadnej odpowiedzi. Zapukał głośniej.

— Tak, słucham? Usłyszał skrzypnięcie łóżka.

— Wesołych Świąt! Czy nie chciałabyś zjeść z nami lunchu?

— Już zjadłam, dziękuję.

Stał przez chwilę, pocierając brodę. Potem zszedł na dół, zawinął szynkę, włożył ją do zamrażalnika i powiedział do Dooleya:

— Nie zdejmuj odświętnego ubrania. Idziemy na wielkanocny obiad rodzinny do pani burmistrz Cunningham, potem odwiedzimy twojego dziadka.

Dooley spojrzał na niego z aprobatą.

— Najwyższy czas, żebyśmy się wybrali gdzieś z wizytą. Nigdy nigdzie nie wychodzimy.

— Zawsze kiedyś jest ten pierwszy raz — odparł, podziwiając ubiór i wygląd Dooleya tego ranka.

— Wielkie nieba, Timothy, kto odebrał telefon pod twoją nieobecność? Talullah Bankhead*?

— Moja kuzynka Meg. Z Irlandii.

— Nie wydaje mi się, żeby miała jakiś szczególnie irlandzki akcent — oceniła Cynthia.

— Odebrała wykształcenie w Ameryce.

— Uhm. Przyjechała z wizytą?

— Tak. Jest pisarką.

— Och, jej!

— Píše książkę o potomkach emigrantów z czasów wielkiego głodu.

- Czy ty też się do nich zaliczasz?
- Nie, ale ona twierdzi, że jest ich pełno w tych górach.
- Na jak długo przyjechała twoja kuzynka?
- Nie wiem.
- Nie wiesz?
- Nie.
- Aha.
- A co słyhać w mieście? — zapytał, zmieniając temat.
- Jest brudne, zanieczyszczone i nieciekawe. A co słyhać w Mitford?
- Jest ciche, czyste i sielskie. I trochę nudne, mówiąc całą prawdę.

* Talullah Bankhead (1903-1968) — aktorka amerykańska.

— Nudne?

— Bo nie ma tu mojej sąsiadki. Odkąd wyjechała, nie śmiałem się porządnie ani razu.

Opowiedziała mu dowcip tak nieprzyzwoity, że wujaszek Billy z pewnością odmówiłby włączenia go do swojego repertuaru.

Śmiał się, opierając się o miękkie oparcie sofy, nareszcie zrzucając z siebie ciężar całego tygodnia i intensywne przeżycia towarzyszące liturgii oraz całą glorię świąt wielkanocnych, za których sprawą zawsze wpadał w wir obowiązków.

— Proszę bardzo! — powiedziała. — Czy teraz czujesz się lepiej?

— Zdecydowanie.

Poczuł, że na twarz wypływa mu beztroski uśmiech.

— Pod koniec kwietnia wyprowadzam się, James się wprowadza, książka będzie gotowa do druku, a ja wracam do domu. Na dobre.

— Poważnie?

— Jak najbardziej! Nie przepędzisz mnie nawet kijem. A teraz ty zgadnij, jakiego mam gościa.

— Palestrina!

— David. Pomaga mi spakować kilka rzeczy i zabieram go dzisiaj wieczorem do teatru. Jest taki przystojny, tak dobrze mu się wiedzie i mam z niego taką pociechę. Nie mogę się już doczekać, kiedy się poznacie.

— Ja też. Miłego wieczoru i pozdrów go ode mnie.

— Dziękuję. Timothy?

— Tak?

Jego serce przepełnione było miłością, mimo to na chwilę zamarło.

— List do Filipian 4, 13, na litość boską.

— Dzień dobry.

Stała przy kuchennym zlewozmywaku i stawiała na tacy kolację. Miała na sobie wypłowiały szydełkowy szlafrok, a na stopach pantofle. Jej gęstwina rudych włosów związana była z tyłu czymś, co wyglądało na pasek od szlafroka. Trzeba było dużo dobrej woli, ale myślał, że gdyby tylko się ubrała i przestała lekliwie się garbić, można byłoby ją uznać za na swój sposób atrakcyjną.

— Och, kuzynko. Jak leci?

Zdjął buty przy drzwiach, żeby nie wnieść do domu błota, i zauważył, że radio nastawione jest na stację z muzyką country.

— Wspaniale — odpowiedziała swoim gardłowym głosem. — Wcześniej dzisiaj wróciłeś.

Na tacy stała puszka coca-coli, ale nie potrafił zidentyfikować tego, co znajdowało się na jej talerzu.

— Co Puny zostawiła nam na kolację?

— Duszony kurczak z ryżem.

— A co ty jesz?...

— Ryż z konfiturą z malin i białym serkiem ziarnistym.

— Aha.

— Być może przypominasz sobie, że potrawy mięsne jadam tylko w niedzielę.

Przyszło mu do głowy, że wygląda jak łodyga azjatyckich lili Evie Adams, które trzeba było podierać każdego lata.

— Zjesz z nami kolację, oczywiście. Wyszła z kuchni i skierowała kroki na korytarz.

— Przepraszam, ale właśnie mam przyływ siły twórczej.

— Myślałem, że będziesz wychodziła i rozmawiała z ludźmi. Zbierała materiały, że tak powiem.

Odwróciła się i spojrzała na niego swoimi powiększonymi zielonymi oczami.

— Na to przyjdzie oczywiście czas, później.

— Czy ciebie to nie budzi?

— Czy co mnie nie budzi? — chciał wiedzieć Dooley.

— Cały ten huk w gościnnym pokoju?

— Jaki huk?

To chyba było wystarczającą odpowiedzią na jego pytanie.

— Słyszałam, że masz gościa — powiedziała Emma.

— Kuzynka. Z Irlandii.

— Uhm. Nikt jej nie widział, nie wyłączając twojej pomocy domowej. Można by pomyśleć, że pomoc domowa powinna ją spotkać.

— Nie wychodzi zbyt często, ale wkrótce zamierza się pokazać. Będzie chciała porozmawiać z potomkami emigrantów z czasów wielkiego głodu.

Emma spojrzała na niego sponad swoich połówkowych szkieł.

— Z którymi potomkami?

— Jak się ma Harold?

— Zrędzi.

— A to dlaczego? Jego żona świetnie gotuje, ponadto pracuje zawodowo i zarabia, i trzyma w domu porządek jak sierżant w koszarach.

— Usiłuję go przekonać do sypiania w piżamie.

— To wszystko tłumaczy.

— Mówi, że nigdy nie da się namówić. Wiesz, że baptyści są uparci. Członkowie Kościoła episkopalnego śpią w piżamach, podobnie luteranie. Nie mam pewności co do metodystów.

— Z metodystami nigdy nie wiadomo.

— Mówi, że sypia tak, jak go Pan Bóg stworzył, i że jemu to wystarcza.

— Może powinnaś się skoncentrować na ważniejszych rzeczach. Co by było, gdybyś wygrała tę bitwę, a przegrała wojnę?

— Czasami nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz — wygrać bitwę, przegrać wojnę...

— Czy siejecie w tym roku jakieś warzywa?

— Harold sieje. Powiedziała mu, że jeśli zobaczą jakieś tyczki z fasolą, to go zostawię. Rok temu ten ogród o mało nie wpędził mnie do grobu. Ledwie zdążyłam wrócić z miesiąca miodowego, a już musiałam zakasać rękawy i zabrać się do zbierania fasoli, pomidorów, ogórków i cukinii, a potem jeszcze to wszystko zamarynować. Harold nie tknie żadnych warzyw z zamrażalnika. — Westchnęła głęboko.

— Ten Harold! — powiedział, usiłując ją pocieszyć.

O jedenastej piętnaście w barze Grill było nadal pusto. Ponieważ zamiast śniadania miał spotkanie, był głodny jak wilk i z przyjemnością usiadł przy ladzie.

— W dzisiejszym menu mamy dwie propozycje lunchu — poinformował go Percy.

— Tak? A jakie?

— Bierz... albo nie.

— Biorę.

— Lepiej niech się ojciec zastanowi. To może być wątróbka.

— W takim razie poproszę o kanapkę z ciemnego chleba, z pomidorami i niewielką ilością majonezu.

— Pomidory nie są jeszcze zbyt dobre. Za wcześnie. Proponowałbym ser topiony na grillu.

— Za dużo tłuszczu. Wezmę omlet z grzybami.

— Dzisiaj mam tylko marynowane, nie z hodowli.

— Wobec tego omlet bez dodatków.

— Skończyły mi się te brązowe jajka, które ojciec lubi. Mam tylko białe. Chwileczkę. Może mam jeszcze kilka brązowych w piwnicy.

— Nie, w porządku. Za dużo kłopotu.

— Niech ojciec nie będzie taki szybki. To potrwa tylko sekundę.

Percy zniknął za grillem, otworzył właz w podłodze i zszedł do piwnicy, gdzie trzymał niektóre produkty. Wrócił po chwili i zamknął właz.

— Nie ma.

Pastor podrapał się w głowę.

— Nieźle się trzeba namęczyć, żeby dostać tu cokolwiek do zjedzenia. A może hot dog z dodatkami?

I trochę wytchnienia dla mnie, pomyślał.

— Nie dostarczyli mi jeszcze bułek. Powinny być lada moment.

— Omlet z białych jajek, bez dodatków. Tylko szybko — powiedział, czując, że gwałtownie rośnie mu poziom cukru.

— Mam ochotę dzisiaj rano na jakąś sensacyjną wiadomość — rzucił Percy, wyjmując z lodówki dwa jajka. — Księża non stop wysłuchują jakiś sensacji. Jakie są najświeższe nowiny?

— Wujaszek Billy kupił sobie na święta nową marynarkę. Pierwszy nowy ciuch od trzydziestu lat.

— Ta wiadomość jest zbyt mało interesująca, żeby zawracać sobie nią głowę. Niech ojciec mówi dalej.

— Omer Cunningham wrócił do miasta.

— Cholera, słyszałem to już ponad tydzień temu. Ma ojciec prawie tak samo aktualne wiadomości jak „Muse”.

— To jest dobre. Bezdomny Hobbes ma psa.

Percy przewrócił oczami. Widział, że niczego nie uda mu się wydusić z pastora.

— To ładny mały piesek w brązowe i białe łatki, ale nie szczeka. Nazwał go Bezgłosy. Bezdomny i Bezgłosy. Jak ci się to podoba?

Percy pomyślał, że jego klient wydaje się zafascynowany swoją opowieścią o psie.

— Miałem na myśli coś bardziej interesującego. Na przykład — słyszałem, że przed świętami spacerował ojciec po Mitford ze swoją ładną sąsiadką. Velma powiedziała mi dzisiaj rano, żebym się czegoś dowiedział, bo już nie może wytrzymać z ciekawości.

Pastor wpatrywał się w znajdującą się za grillem osłonę.

— Tak myślałem, że nie będzie chciał ojciec piśnąć ani słowa. Proszę, oto ojca omlet. Co ojciec myśli?

— Wygląda sucho.

— Niech ojciec weźmie trochę sosu — zaproponował Percy, wskazując na stojące na ladzie słodki. — Od Los Angeles po Nowy Jork wszyscy jedzą sosy.

— Jaki smak?

— Proponuję ostry. Oczy wyjdą ojcu na wierzch. Niedbale nałożył łyżką na talerz trochę sosu.

— Niech no tylko ojciec spojrzy — powiedział Percy, wyciągając spod lady serwetkę i pokazując mu ją.

— Czy to nie bije wszystkiego?

Od razu rozpoznał jeden z misternych rysunków Bucka Leepera.

— Buck Leeper narysował to dzisiaj rano. Wygląda to jak wygrawerowane czy coś takiego. Oczywiście, jak mi życie miłe, nie potrafiłbym powiedzieć, co to jest.

— Łodzik.

— No, a wracając do tematu — powiedział Percy — co mam powiedzieć Velmie?

Powinien był pójść do domu, tak jak początkowo planował, gdzie menu było bardziej zróżnicowane i gdzie nikt nie zadawał mu trudnych pytań.

— A co z ojca miłą sąsiadką? — zapytała Puny, gdy wstąpił do domu, po drodze z baru Grill, żeby zabrać notatnik.

— To znaczy?

— Dochodzą mnie różne plotki.

— Plotki?

— Wie ojciec.

Barnaba siedział przy jego nogach i przyglądał mu się. Dziwne, ale odniósł wrażenie, że w jego oczach dostrzegł pytanie.

— Nie, nie wiem. Czy ja wtrącam się w sprawy twoje i Joe Joe?

— Wydawało mi się, że będzie ojciec dumny, mogąc się tym pochwalić.

— Pochwalić się czym?

— Że jest ojciec zakochany.

— A czy ja jestem zakochany?

— Zjem ojca lodówkę, jeśli ojciec nie jest.

— Byłby niezły widok — rzucił ponuro.

— Jestem ojca pomocą domową. Powinnam się o tym dowiedzieć jedna z pierwszych, nie sądzi ojciec?

Wyglądała tak ślicznie w swoim fartuchu w zielono-białe paski, że nie potrafił jej niczego odmówić. Gdyby kiedykolwiek stracił Puny Bradshaw i to światełko, które zapalało się za każdym razem, gdy wchodziła do jego domu, musieliby go szukać nad strumieniem.

— Ach, Puny.

Usiadł na wysokim krześle przy ladzie, czując się nagle tak, jakby opuściły go wszystkie siły.

— Wiem, jak się ojciec czuje — powiedziała.

— Naprawdę?

— O tak.

— No cóż, to dobrze, że jest ktoś, kto wie, bo ja sam nie bardzo wiem.

— Tak mi się wydawało.

— Naprawdę?

— Chętnie bym ojca przytuliła, gdyby ojciec tego źle nie rozumiał.

— Nie rozumiałbym.

Podeszła do niego, objęła go i przytuliła. On też ją przytulił.

— Jesteś najlepsza z najlepszych — powiedział, starając się, żeby nie załamał mu się głos.

— Wzajemnie i po dwakroć. A teraz proszę zabrać ten nos z podłogi.

Zaśmiał się.

— Masz to załatwione.

Idąc do biura, poczuł, że ten ogromny ciężar, który nosił na barkach od wielu dni, w jakiś cudowny sposób się ulotnił.

Nie miał pojęcia, co zrobić z Meg Patrick.

Po co jednak robić cokolwiek, skoro chwilowo nikomu nie sprawia kłopotu? Rzadko ją widywał, a w nocy zamykał drzwi do pokoju, aby w ten sposób odgrodzić się od dudnienia, które przypominało harce zajęcy w stodole. Najwyraźniej sama sprzątała w swoim pokoju, ponieważ nie robiła tego Puny. Przypuszczał też, że sama sobie prała.

Sytuacja była dość dziwna, ale po co się martwić czymś, co najwyraźniej nie jest tego warte?

Emma odebrała telefon, a potem zakryła ręką mikrofon.

— Modliszka — oznajmiła z kwaśną miną.

— Nie ma mnie — odburknął.

Wstał i wyszedł na chwilę za drzwi, aby nie kłamać w żywe oczy.

Edith Mallory przychodziła falami, jak wzburzony ocean. Przybijała do brzegu z hukiem, to znów cofała się. Jeśli uciekając z jej jadącego samochodu, nie wyraził wystarczająco dobitnie swoich uczuć, to co jeszcze miał zrobić?

— Prosiła o modlitwę — poinformowała go Emma, zamykając usta jak zapięcie w plastikowych torebkach śniadaniowych Ziploca.

To ostatnia osoba, za którą miał ochotę się modlić.

— Mówi, że ma guza.

Emma zabębniła palcami po blacie biurka.

— Mam nadzieję, że za karę, że to mówię, nie uderzy we mnie piorun, ale sama chętnie nabiłabym jej guza.

Było mu to na rękę, że Emma Newland czasami wyrażała jego prawdziwe uczucia, a on nie musiał ponosić konsekwencji.

— No tak. W takim razie pomodłę się za nią.

Oczywiście, że to zrobi. Jak tylko poprosi Boga, żeby wybaczył mu ten palący gniew, który nie chce go opuścić.

— Słyszałem, że ojciec się żeni.

Uśmiechając się, Coot Hendrick stał w drzwiach stacji benzynowej ESSO Lew Boyda, której po tych wszystkich latach już prawie nikt nie nazywał Exxon.

— Gdzie to słyszałeś? — zapytał, czując, że krew odpływa mu z twarzy.

— W barze Grill.

Coot gotów był stać w drzwiach, dopóki nie usłyszy satysfakcjonującej go odpowiedzi.

— Tak, przypuszczam, że powiedzieli ci też, że odkryto ślady życia na Marsie? Nie mówiąc już o tym, że cena benzyny spada do czterech centów za litr.

— Żartuje ojciec — powiedział Coot, a oczy zrobiły mu się okrągłe ze zdziwienia.

— Domyślam się, że słyszałeś też, że widziano Elvisa Presleya, jak robił zakupy w Sklepie.

— Niech mnie kule biją.

Coot usunął się na bok, drapiąc się w głowę, a pastor z Lord's Chapel wszedł spokojnie do środka.

Sprawdził, czy na grządkach z bylinami u Cynthii coś się już zieleni, choć wiedział, że jest jeszcze za wcześnie. Początek kwietnia w Mitford był jeszcze porą hibernacji, a od wiosny dzieliło ich sześć pełnych tygodni.

Żaden z mieszkańców nie siał ani nie sadił niczego w ziemi przed piętnastym maja. Tę datę można było wyryć złotymi zgłoskami, ponieważ ilekroć zasadził coś wcześniej, gorzko tego żałował.

Wszystkie niecierpki posadzone trzy lata temu czternastego maja zamieniły się w wodnistą papkę okalającą jego trawnik przed domem. Rok czy dwa lata wcześniej usiłował przechytryć naturę i posadził dwunastego maja piętnaście sadzonek kosmosów tylko po to, żeby następnego ranka znaleźć je wszystkie ścięte przez najsilniejszy mróz tej zimy. Nie, zaprawdę, w tych górach nie należało lekceważyć tej daty.

„droga cynthio,

w twoich grządkach nic nowego, a co u ciebie? widziałem pannę rose w podkoszulku z wyprzedaży u prezbiterian, z napisem: »Żyj w zgodzie z naturą, zrób imprezę«. nosiła go z fasonem, chętnie zobaczę twoją nową książkę, szczególnie te zebry, u nas wszystko po staremu, dooley pieje trele w chórze młodzieżowym jak słowik, mimo że głos zaczyna mu się trochę załamywać i z pewnością czeka nas zmiana, zacząłem znowu biegać, po tym jak hoppy zbeształ mnie bez litości, co umocniło mnie w moim postanowieniu, czy robisz te ćwiczenia na szyję, o których mówiliśmy, proszę nie zapominaj o nich / wszyscy o ciebie pytają, modlę się wiernie za ciebie.

Twój, timothy"

„Drogi Timothy,

dostałam jeszcze jeden Twój list, zaadresowany do mnie, ale z pewnością napisany do jakiejś dalekiej krewnej. Boisz się, po prostu to czuję. Boisz się swoich uczuć, a jeśli myślisz, że jesteś jedyną osobą, która się boi, to bardzo się mylisz. Jestem przerażona.

Dlaczego? Bo Cię kocham, a Ty, mimo wszystko, nie jesteś w stanie temu sprostać, co sprawia, że moje serce się smuci i prowadzi mnie do wniosku, że znowu zrobiłam wszystko źle.

Zamykam oczy i wysyłam ten list, ale nakazuję mojemu sercu, aby pozostało otwarte.

Twoja, Cynthia".

Usiadł przy biurku w salonie i schował głowę w dłoniach. Dlaczego uporczywie wracała do tematu małżeństwa? Czy samo doświadczenie chodzenia ze sobą nie było na tyle świeże, żeby mogło im wystarczyć na jakiś czas, żeby można mu było przypisać jakąś wartość?

Musiał przyznać, że była skomplikowaną kobietą, bardzo uczuciową i wrażliwą. A on chwilowo nie znajdował w sobie dość siły, żeby stawić temu wszystkiemu czoło.

Ojciec Roland, wieczny romantyk, pisał do niego, że opuszcza swoją liczną parafię w Nowym Orleanie i wyjeżdża do Kanady: „...na pustkowiu, Timothy! Tak, zaiste, parafia licząca niespełna sto dusz, a wielu z nich mieszka w chatkach. Coś w rodzaju Mitford, tak jak je sobie wyobrażam. Koniec stresu, Timothy, koniec wypalenia... Jedynie wycie wilków głąchą nocą i świeży pstrąg, i czas, żeby szukać odnowy ducha.

Ludzie są wspaniali pod każdym względem. Prawdę powiedziawszy, to głównie ze względu na nich jestem gotów zaakceptować uposażenie, z którego śmiałybyś się do rozpuku i które, mogę Cię zapewnić, zagwarantuje, że będę żył skromnie. Bogu niech będą dzięki!"

Parafia w kanadyjskiej głuszy. Oto pomysł. Chyba najlepszy, jaki kiedykolwiek przyszedł mu do głowy. I pomyśleć, że absolutnie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby sam to zrobił.

Ale, nie. Niech się dzieje, co chce, jego miejsce jest w Mitford.

— Sama robi swoje pranie, tak?

Przeglądał pocztę, która przyszła do domu, w poszukiwaniu „Anglican Digest”.

— Chyba nie ma innej możliwości. Zostawia po sobie pralnię dokładnie taką, jaką ją zastała, nieskazitelnie czystą. Ale trochę to dziwne, że jest tu już od tygodnia i ani razu nie widziałam jej na oczy. Gdyby nie to, że od czasu do czasu słyszę, jak spuszcza wodę w toalecie, to w ogóle nie wiedziałabym o jej istnieniu.

— To jeden sposób — zauważył. — Następnym razem, gdy będziesz na górze, może mogłabyś przynieść na dół magazyn „Country Life”, który zostawiłem w pokoju gościnnym dla Stuarta, podczas burzy śnieżnej. Jest tam artykuł, na podstawie którego chciałbym przygotować kazanie — o wyplataczach koszyków. W filozofii wyplatania koszyków jest pewien intrygujący wątek teologiczny.

— Mimo to nie uda mi się go przynieść. Zamyka swoje drzwi na cztery spusty.

— Aha.

— Nie cierpię pozamykanych drzwi. Działają mi na nerwy.

— Uhm.

— Jak się ma ojca sąsiadka? Kiedy wraca do domu?

— Pod koniec kwietnia — odpowiedział, czując ukłucie w sercu.

— Modłę się za ojca — oświadczyła Puny, zmiernając w stronę jadalni z butelką olejku cytrynowego i szmatką do ścierania kurzu.

Telefon wyrwał go z lekkiej drzemki na sofie w salonie.

— Timothy?

— Zgadza się. Jak się masz, kuzynie?

— Prawdę powiedziawszy, dopiero doszedłem do siebie po twojej wizycie w Nowym Jorku. Katherine mówi, że nie wolno ci tego już więcej razy robić — mogłem dostać ataku serca.

— Powiedz jej, żeby się nie martwiła.

— Raz wystarczy, prawda?

— Można tak powiedzieć.

— A jak się mają sprawy z twoją sąsiadką? Co za pech, że wasze samoloty minęły się w powietrzu.

— Walter, czy pamiętasz niejaką Meg Patrick z herbatki u Eris Donovan? Jedną z kuzynek.

— Meg Patrick. Meg Patrick...

— Wysoka. Burza rudych włosów. Nosi dwuogniskowe okulary.

— No tak, oczywiście, ty pamiętasz wszystko, bo piłeś tylko sherry. Wszyscy pozostali pili whisky w filiżankach.

— Wobec tego nie pamiętasz jej?

— Ile kuzynek i kuzynów tam było — dwudziestu czterech? Trzydziestu dwóch? Nie, mam białą plamę. Dlaczego pytasz?

— Zjawiała się w moim domu. Zupełnie znikąd.

— Bez żadnego uprzedzenia?

— Hm, przyszedł list, kilka tygodni temu. Dziękowała w nim za zaproszenie. Niech mnie kule biją, jeśli pamiętam, żebym to robił. Ale... nieważne. Jak się ma Katherine?

— Pracuje charytatywnie przez cztery dni w tygodniu. Śpiewa starszym, a nie ma słuchu za grosz — ubóstwiają ją. Prowadzi lekcje wychowania plastycznego z upośledzonymi dziećmi, a nie umie narysować prosto jednej kreski — szaleją za nią. Roześmiał się.

— W takim razie, daj ją do telefonu. Chciałbym się jej poradzić w pewnej kwestii prawnej.

— Misiu!

Ileż to razy przez te wszystkie lata jej głos podnosił go na duchu.

— Jak się mają sprawy... z Cynthią? Pozwoliliśmy ci przebrnąć spokojnie przez święta, nie dzwoniąc do ciebie, żeby o to zapytać, ale dość tego dobrego.

— Katherine...

— I nie baw się ze mną w kotka i myszkę! Dociekliwe umysły chcą wiedzieć, Timothy! Nie leciałbyś do Nowego Jorku, gdyby to nie było bardzo ważne — albo śmierć w rodzinie... albo miłość!

— Katherine, jesteś okropna.

— Wiem, mój miły. A teraz opowiedz mi wszystko.

— Wydaje mi się, że dzwoni telefon...

— Timothy, rozmawiasz przez telefon.

— Do licha — mruknął posepnie.

— Od samego początku — dodała.

Słyszał, jak oddalona o setki kilometrów, w domu na przedmieściach Nowego Jorku rozsiada się wygodnie w klubowym kraciastym fotelu, opierając stopy na otomanie i dzwoniąc lodem w szklance swojego nieodłączonego piwa imbirowego.

No to się zaczyna.

Posąg Willarda, który zobaczył w studiu rzeźbiarza, był dokładnie taki, jak mówiła pani burmistrz — miał za dużą głowę. Nigdy nie odważyłby się powiedzieć ani słowa, gdyby nie fakt, że panna Sadie będzie mijala pomnik za każdym razem, ilekroć pójdzie po zakupy do Sklepu.

— Głowa... jest za duża — powiedział swoim głosem kaznodziei.

Niechętnie wydawał opinię na temat dzieła sztuki, bo była to oczywiście kwestia bardzo subiektywna.

Rzeźbiarz wolno obszedł dookoła gliniany model, podczas gdy pastor wpatrywał się w podłogę.

— Ma ojciec rację, oczywiście — zgodził się rzeźbiarz.

No proszę! A gdyby się nie odezwał? Wielkością głowy Willard rywalizowałby z łosiem kanadyjskim. Panna Sadie tak byłaby tym wszystkim zde gustowana, że robiłaby swoje zakupy spożywcze na autostradzie, skąd skręt w lewo, do Goer's Market, byłby czystym samobójstwem — gdyby wcześniej nie otruła się, jedząc ich produkty.

Wujaszek Billy pojechał z nim do Wesley, ale w studiu artysty nie odezwał się ani słowem. Gdy znaleźli się na chodniku, ujął dłoń pastora i potrząsnął nią ze śmiertelną powagą.

— Rose będzie dumna, że ojciec wszystkiego dogląda. Dałbym sobie rękę uciąć, że ten posąg wyglądał jak facet z balią na karku.

— Jak ci się podobał ślub w niedzielę? — zwrócił się do Emmy.

On sam uważał, że był wspaniały i piękny, i cudownie było spotkać starych parafian i ich córkę, która mimo że mieszkała teraz w Wirginii, nadal uważała Lord's Chapel za swój rodzinny kościół.

— Czy widziałeś ten notes oprawiony w skórę z jaszczurki, który leżał na tej małej półeczce na lewo od ołtarza?

— Notes oprawiony w skórę z jaszczurki?

— Wciśnięty tam, tuż obok Świętej Rodziny, jak jakiś wyrzut. Musiał go tam zostawić ktoś, kto układał kwiaty. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

— Ale było tam tyle innych rzeczy, które mogły przyciągnąć oko wierzącego. Szesnastu gości weselnych — piękne młode kobiety, przystojni młodzi mężczyźni — i wszyscy jaśnieli jak płonące świece.

— A on rozpraszał uwagę jak pryszcz na nosie.

— Solo na trąbce było zachwycające, w każdym punkcie tak doskonałe jak niektóre z nagrań, które słyszałem. A kwiaty — absolutnie najcudowniejsze kwiaty, jakie kiedykolwiek zdobyły Lord's Chapel — nie uważasz?

— Myślałabym, że ci, którzy układają kwiaty, powinni zatrzymać się na chwilę i rzucić okiem na cały ten kram, zanim wybiegną w pośpiechu z kościoła. Gdyby zrobili to, co do nich należy, zobaczyliby notes w skórze z jaszczurki leżący na półce.

— Retabulum nigdy nie wyglądało wspanialej...

— Nie ma nawet sezonu na jaszczurki!

— Emmo, Emmo, Emmo. Cóż jeszcze mógł powiedzieć.

Zapomniał zabrać broszkę do jubilera, gdy jechał wczoraj do Wesley. Zabierze ją dzisiaj i odwiedzi przy okazji Szpital Dziecięcy.

Przypominając sobie, że widział niebieską wstążkę pośród rzeczy mamy, ukląkł i wyciągnął spod łóżka pudełko. Zwinął wstążkę i włożył ją do kieszeni marynarki, po czym podszedł do komody, żeby wyciągnąć broszkę.

Broszki jednak tam nie było.

— Była tam, gdy ścierałam kurze — poinformowała go Puny. — W tym małym aksamitnym woreczku.

— Może włożyłem ją do kieszeni, jadąc wczoraj do Wesley na spotkanie z rzeźbiarzem. Którą marynarkę miałem na sobie?

— Nie mam pojęcia. Niech ojciec zagłądnie do błękitnej.

— Tak to jest, gdy ma się za dużo ubrań — rzucił ostro. Pamiętał nie tak odległe czasy, mniej więcej rok temu, gdy miał tylko dwie marynarki. Teraz miał pięć.

Czy mógł schować ją do kieszeni spodni? Ale te spodnie powędrowały właśnie dzisiaj rano do pralni. Co drugą środę Puny Bradshaw zbierała wszystkie ubrania, które ostatnio nosił, i bez względu na to, czy było to konieczne, czy też nie, oddawała je do pralni. On przekonywał ją, że Anglicy prawie nigdy nie oddają swoich ubrań do pralni chemicznej, a ona przekonywała go, że nie dość, że nie jest Anglikiem, to jeszcze czasami się poci, i na tym koniec dyskusji.

Zadzwoił do pralni i błagał ich, żeby sprawdzili kieszenie jego spodni, jak tylko pojawi się ich samochód. Żeby nie myśleć o rosnącym niepokoju, przeszukał wszystkie swoje garnitury i marynarki, włącznie z tymi, których aktualnie nie nosił.

Jeśli Cynthia włożyła kiedyś swój kapelusz do zamrażarki, a na łóżku położyła pudełko lodów, to kto wie, co on mógł zrobić, gdy myślami był gdzie indziej — a tam właśnie bywał ostatnio najczęściej.

Gdy Evie Adams zadzwoniła do niego do biura o dziesiątej, zaczął marzyć o jakimś wikarym, diakonie czy kimkolwiek. Miał dzisiaj dwa spotkania, tak fatalnie zaplanowane, że mógł się pożegnać z lunchem, szybki wyjazd do Wesley połączony z kupnem dwóch koszul i papieru plakatowego dla Dooleya oraz wizytę na placu budowy Domu Nadziei, żeby zobaczyć postęp robót, jaki dokonał się w zaledwie kilka dni panowania dobrej pogody. Nie wspominając już o tym, że czekało go jeszcze mnóstwo pracy nad kazaniem.

Evie chciała wiedzieć, czy mógłby przyjść najszybciej, jak to możliwe, i tym razem nie pytał, co znowu zrobiła panna Pattie. Po raz kolejny zamarzył o jakiejś pomocy i nagle zdał sobie sprawę, że marzy o Cynthii. Cynthia wiedziałaby, co zrobić. Ona zajęłaby się tym i sprawiła, że w sercu Evie na nowo zagościłaby nadzieja.

Cynthia potrafiła wszystko naprawić, nawet szczególnie się o to nie starając.

Cynthia potrafiła zjeść udko, a on nie potrafił. Bez względu na to, jak bardzo by się starał, nigdy nie potrafiłby zjeść udka.

Rozdział dwunasty

WIARA, NIE UCZUCIE

Uczucie paniki, jakie kiedyś odczuwał, minęło. Tym razem będzie tak samo, powiedział sobie. Musi kierować się wiarą, nie uczuciem.

Przypomniał sobie, co kiedyś powiedziała Emily Dickinson: „Prawda musi docierać do nas stopniowo, żeby nas nie oślepić”. Po całej agonii związanej z propozycją Cynthii chodzenia ze sobą, czy nie pogodził się i nie Oswoił z całym pomysłem? Czy prawda nie dotarła do niego i czy proces ten nie był stopniowy?

No właśnie. Zajmie się innymi sprawami, z których jedna sama w sobie była jak kubek zimnej wody.

Nie, nie mógł posłać Dooleya do szkoły, ponieważ — jak powiedział mu Walter — nie był jego prawnym opiekunem. Serce aż podskoczyło mu z radości, gdy to usłyszał.

„Ale — poradził jego kuzyn — jego dziadek może to zrobić. Mimo że Russell nie jest prawnym opiekunem Dooleya, jest jego najbliższym krewnym i można to przeprowadzić na podstawie ustnej zgody. Nie zaszkodziłoby oczywiście, gdybyś miał ją na piśmie”.

Przekonanie Russella do takiego pomysłu to jedno, a wytłumaczenie tego Dooleyowi — to drugie. I jak będzie sobie radził pośród zamożnych dzieci, które prawdopodobnie nigdy w życiu nie sływały słowa „bede” i które uważały, że „ofiara” to bohater nagłówek z pierwszych stron gazet.

Jak przebrnie przez zajęcia z literatury, algebry, fizyki, chemii? Był spokojny o algebrę, z pewną pomocą ze strony korepetytora, ale reszta...

Z drugiej strony, nie miał żadnych problemów z wyobrazeniem sobie Dooleya zadbanego, w granatowej marynarce — tak, w rzeczy samej. I śpiewającego w jakimś szkolnym chórze, i zadziwiającego samego siebie na boisku.

— Bądź dla niego dobry — powiedział sobie, zbierając siły do zadania, które go czekało.

Zadzwoił do Meadowgate Farm i poprosił Marge o modlitwę w tej istotnej sprawie.

— Och, Tim. Czy zwykła miłość nie jest cenniejsza niż wymyślna edukacja? Ale oczywiście, musimy mu pozwolić pojechać, prawda?

— Tak mi się wydaje, tak. Taka okazja zdarza się raz w życiu. Mówimy tu o dwudziestu tysiącach dolarów rocznie. Z pewnością nie jest to kwota, którą ja mógłbym z łatwością wysupłać, i oczywiście nikt inny nie zaofiaruje się tego zrobić. Sadie Baxter jest aniołem ze skrzydłami, harfą i aureolą...

— Całym kramem!

Zadzwoił do Cynthii, żeby omówić temat szkoły. Nie widział powodu, żeby wspominać o jej ostatnim liściku, który stwierdzał jednoznacznie, że nie potrafi kochać. Może miała rację, ale on się nie podda. Wiara, nie uczucie!

— Co dzisiaj porabiasz?

— Zabieram pannę Addison na lunch do mojej kawiarenki! Nigdy nie była w kawiarni! Mówi, że chce pić mocną kawę z kubka i zjeść coś tak treściwego jak lunch farmera. Ona przecież przez całe swoje życie pijała tylko z najdroższych porcelanowych filiżanek!

— No proszę, oto i kolejny sąsiad, na którego masz zbawienny wpływ!

— Czy... na ciebie też miałam zbawienny wpływ, Timothy?

— Nie potrafię tego wyrazić jak zbawienny.

Poczuł, że coś ścisza go za gardło, zupełnie bez żadnego powodu.

— Potrzebowałem wczoraj twojej pomocy.

— Naprawdę?

Jej głos zabrzmiał tak, jakby usłyszała jakąś wspaniałą nowinę.

— Zadzwoiła Evie Adams i poszedłem do niej, ale zrobiłem to wszystko bez serca. Myślałem o tym, że ty umiałabyś sprawić, że wszystko wydawałoby się w porządku.

— Ale, oczywiście, nic nie jest w porządku.

— Nie. I nie będzie, dopóki nie zostanie zbudowany Dom Nadziei.

— Czy uważasz, że to ważne, aby sprawiać, żeby wszystko wydawało się w porządku, jeśli w rzeczywistości nie jest?

— Nie zawsze. Ale w tym przypadku, tak, bardzo ważne. Przez chwilę milczała.

Postanowił nie wspominać o broszce. Znajdzie się. Mimo że nie znaleziono jej w pralni, znajdzie się.

Wyszedł z biura dużo później niż zwykle — zapadał już zmierzch — i zobaczył Bucka Leepera idącego po drugiej stronie ulicy, opierającego się silnemu wiatrowi, który wiał przez cały dzień. Pomyślał, że mężczyzna wygląda na rozpaczliwie samotnego. Może było to coś w jego opuszczonych ramionach — trudno mu jednak było to określić.

— Co zrobimy? Zawieziemy go tam, kopiącego i krzyczącego?

— Nie byłby pierwszym chłopcem, który został zawieszony do szkoły w takim stylu.

— Proszę się nie obrazić, panno Sadie, ale co pani wie o chłopcach zawożonych do szkoły?

— Ojciec, nie trzeba być łotrem, żeby go zagrać w sztuce, podobnie nie trzeba być chłopcem, żeby wiedzieć, że kopanie i krzyczenie z powodu prywatnej szkoły jest bardziej zasadą niż wyjątkiem.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

Oparła się na lasce i spojrzała na niego przeciągle.

— To pan Oliver Wendell Holmes powiedział kiedyś, że umysł zarażony jakimś nowym pomysłem już nigdy nie wraca do poprzedniego stanu. Należy zarazić umysł tego chłopca nowymi pomysłami.

— Dlaczego jest pani tak bardzo zainteresowana rozwojem chłopca?

Już od jakiegoś czasu chciał o to zapytać. Przy stawce dwudziestu tysięcy rocznie był ciekaw.

— Jest nie oszlifowanym diamentem, to jasne jak słońce. Mój tato też taki był, podobnie Willard Porter. Udało im się wiele osiągnąć bez niczyjej pomocy. Chciałabym zobaczyć, co się dzieje, gdy pomoc dociera do chłopca, który jest zupełnie surowy, ale w którym drzemią nieskończone możliwości.

— Panno Sadie, czy to nie przypomina tego, co zrobił w pani przypadku wujek Haywood? Przekonał pani rodziców, żeby wysłali panią do wyszukanej szkoły, w obcym kraju, i każda sekunda tam spędzona była dla pani koszmarem. Wyszukana szkoła, bez względu na to, gdzie się znajduje, będzie dla Dooleya Barlowe'a niczym obcy kraj. W istocie, pojedzie tam, mówiąc obcym językiem, jeśli rozumie pani, o co mi chodzi.

— Wujek Haywood myślał, że wyszukana szkoła to odpowiednie referencje, żeby wyjść dobrze za mąż — odparła oschle. — Nie miało to nic wspólnego z zarażaniem mojego umysłu nowymi pomysłami!

Minęło ponad siedemdziesiąt lat, a samo wspomnienie o wujku Haywoodzie było dla panny Sadie nadal przykrością. Wykrzywiła twarz, jakby właśnie zjadła cytrynę.

Dooley podniósł głowę znad zadania domowego, które odrabiał, siedząc przy biurku w salonie.

— Widziałem dzisiaj tę kobietę. Wchodziłem po schodach, a ona była w holu i wyciągała z szafki naręczne papieru toaletowego.

— Aha.

— Zobaczyła mnie, weszła z powrotem do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

— Uhm.

— Oczy to ona ma, nieprawda?

— Zielone, wydaje mi się. Musimy porozmawiać.

— Kiedy?

— Och, przypuszczam, że wkrótce.

Nie teraz. Nie jutro. Niekoniecznie w najbliższym tygodniu, ani też w następnym. Ale... wkrótce.

— O czym?

Dooley wpatrywał się w niego z kamienną twarzą.

— Och, o tym i owym.

— Niczego nie zrobiłem. Usiadł na brzegu biurka.

— Nic nie zrobiłem.

— To właśnie powiedziałem.

— W takim razie nie masz żadnego powodu do zmartwienia. Absolutnie żadnego. Zwykła rozmowa, to wszystko.

— Ja, w każdym razie, wypaliłem tylko dwa. Buster Austin wykopał całą paczkę. Cholera! Wcale nie chciał tego wiedzieć.

— Naprawdę?

— To on je ukradł, nie ja. Tommy i ja staliśmy po drugiej stronie ulicy, gdy on to robił.

Nie, zdecydowanie nie chciał tego wiedzieć. Ale stało się i będzie musiał się tym zająć, a w konsekwencji — przeprowadzić zupełnie inną rozmowę.

Dooley skorzystał z chwili przerwy, żeby zmienić temat.

— Czy kupił mi ojciec koszule?

— Kupiłem. Nie było w kratkę. Tylko niebieskie.

— Gdzie są?

— Zrobiłeś się strasznie dociekliwy — powiedział, cytując Cynthię Coppersmith.

Tamci chłopcy w swoich granatowych marynarkach zrobią z tego chłopca miazgę. To będzie prawdziwy cud, jeśli on to w ogóle przeżyje.

Miał nadzieję, że to, co powiedział chłopcu przy śniadaniu, dotarło do niego, ale nie był pewien.

Czy on sam nie wypalił swojego czasu kilku papierosów? Niewiele brakowało, a razem z Tommym Nolesem spaliliby stodołę Nolesów. Dzięki Bogu, ugasili ogień, rzucając się na tłące się siano i tarzając się w nim. Wepchnęli osmalone siano pod całą stertę, w tylnej części strychu. Chodził potem przez kilka tygodni z opalonymi włosami, a ojciec przyglądał mu się badawczo swoim dziwnie nieobecny spojrzeniem.

Kradzież jednak była czymś zupełnie innym. Zadawanie się z chłopcem, który nie tylko pali, ale na dodatek kradnie — to poważna sprawa. Miał nadzieję, że jasno udało mu się wyrazić swoje zdanie na ten temat i że Dooley przyjął to do wiadomości. Czasem rozmowa z Dooleyem Barlowe'em przypominała mówienie do ściany.

Był zadowolony, że Mitford Blossoms doręczyła kwiaty akurat w dniu, gdy Emmy nie było w pracy. Jena Ivey zapukała do jego biura i weszła do środka, niosąc długie pudełko.

— Dzień dobry, ojczu!

Widział w jej oczach ten zabawny uśmiezek, gdy mu je wręczała.

— Ojca urodziny są dopiero w czerwcu, więc musi to być jakaś specjalna okazja.

— Aha.

Spojrzał na pudełko, jakby zawierało parę szczypców do grilla.

— Najlepsze, jakie miałam, ojczu. Wiem, jaki ojciec jest wybredny, jeśli chodzi o róże.

Powinien być zachwycony, pomyślał. On jednak czuł się tak, jakby mu ktoś w czymś przeszkodził.

— Dziękuję, Jena. Do zobaczenia. Wiem, jak to jest, gdy nie ma nikogo, kto mógłby przypilnować interesu.

Przytrzymał jej drzwi.

— Nie chce ojciec zajrzeć do środka, zanim wyjdę?

Jena lubiła mieć szansę zobaczenia wyrazu twarzy ludzi, którym doręczała kwiaty ze swojej kwiaciarni.

— Oczywiście, nie musi ojciec czytać bileciku, dopóki tu jestem.

Starając się okazać uprzejmość, podniósł pokrywkę i spojrzał z nie ukrywanym podziwem na tuzin róż. Wyglądały tak, jakby ktoś ściął je w pobliskim ogrodzie zaledwie kilka minut temu — nawet poranna rosa wciąż zdobiła ich płatki.

— Spryskane wodą mineralną — poinformowała dumnie Jena, czytając mu w myślach. — I co ojciec myśli?

— Myślę, że prowadzisz najlepszą kwiaciarnię w tych górach — jesteś bezkonkurencyjna.

Wyglądała na rozczarowaną.

— Ktoś kiedyś powiedział, że na całym Wschodnim Wybrzeżu.

— W takim razie, na Wschodnim Wybrzeżu! Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Objął ją, ponieważ wiedział, że szefowa jego szkoły niedzielnej ceniła sobie ten sposób okazania serdeczności.

— No cóż, mam nadzieję, że róże sprawią ojcu radość. Jesteśmy zachwyceni śpiewem Dooleya w chórze! Myślę, że razem z nim uda nam się wiele osiągnąć w ciągu najbliższych kilku lat.

W ciągu najbliższych kilku lat? Pokiwał smutno głową. Stanęła na chodniku.

— Przydałby się ojcu flakon? Mogę pobiec na drugą stronę ulicy i coś ojcu przynieść.

— Nie, dziękuję. Mam coś, co się idealnie nada. Gdy odchodziła pośpiesznie, zawołał za nią:

— Niech cię Bóg błogosławi! Dziękuję!

Mimo że róże znajdowały się w pokoju od niedawna, w powietrzu już można było wyczuć ich delikatną świeżość.

Położył pudełko na biurku. Przez całe swoje życie miał słabość do róż i ona o tym wiedziała. Być może myślała o nim, tak jak on myślał o niej, każde z nich przerażone na swój sposób, z sobie tylko znanych powodów.

Przypomniał sobie, jak niepewnie zapytała: „Czy na ciebie też miałam zbawienny wpływ?”

Oczywiście, że tak. Zasługiwała na medal już za samo to, że w ogóle zauważyła jego istnienie. Bo przecież, gdyby się tak nad tym zastanowić, kim w końcu był, jak nie zwykłym prowincjonalnym pastorem? Nie był ani tak wysoki, elegancki czy dowcipny jak Andrew Gregory, który posiadał całą

szafę kaszmirowych marynarek, mówił po włosku, francusku i trochę po rosyjsku, a na dodatek jeździł mercedesem wielkości niemieckiego czołgu.

Już samo to, że wydeptała do niego ścieżkę przez żywopłot, było cudem. Ale że jeszcze na domiar wszystkiego go kochała? To już można było uznać za zjawisko nadprzyrodzone.

Wstawił róże do flakonu, każdą osobno, i postawił na szafce z segregatorami, gdzie promienie porannego słońca rysowały jasne obwódki na ich płatkach.

Miał wrażenie, jakby w pokoju rozbłysło światło.

Zaglądnął do domu po popołudniowym spotkaniu i zobaczył leżącą na kuchennym stole kartkę od Meg Patrick: „Dzwoniła C. Cpersmth”.

Załoczył Barnabie czerwoną smycz i poszedł pośpiesznie do biura, myśląc o tym, że w ogóle nie zasługuje na te róże. Na nic od niej na zasługuje, nawet na to, by usłyszeć jej głos.

Co z nim było nie tak? Myślał przecież, że ją kocha, był pewien, że ją kocha — a teraz miał wrażenie, że znajduje się w żelaznym uścisku jakiejś niemocy.

Przed oczami stanął mu obraz jednej z krów rasy Guernsey Hala, która podeszła do będącego pod napięciem ogrodzenia i odskoczyła gwałtownie, oszołomiona. Samo wspomnienie o małżeństwie było dla niego jak ogrodzenie pod napięciem; było barierą wywołującą brutalny szok, do której pokonania nie potrafił się zmusić.

Dlaczego, w ogóle, bał się małżeństwa? Miał do niej całkowite zaufanie i wiedział, że go nie ośmieszy, nie zrani jego dumy ani nie wyrządzi mu żadnej innej krzywdy, której nie potrafi sobie wyobrazić.

Problem polegał na tym, że to on sam się ośmieszał i sam wyrządził sobie krzywdę — co zawsze sprowadzało się do tego, że ją rozczarowywał.

Gdy rozmawiał przez telefon z Katherine, usiłował nie zdradzić się ze swoimi obawami. Ale krok po kroku, jak woda żłobiąca cierpliwie kamień, wyciągnęła to z niego.

— Misiu, strach nie pochodzi od Boga. Wiesz o tym dobrze.

— Tak, wiem.

— Więc jak myślisz, od kogo?

— Oczywiście, że od wroga.

— Strzał w dziesiątkę! Gdyby nie było to słuszne według Boga, przepęłniłby twoje serce biorącą się z rozsądku ostrożnością, nie paraliżującym strachem. Ale dopóki ty nie osiągniesz spokoju, nic nie będzie w porządku — bez względu na to, jak w porządku będzie się wydawać. I wierz mi, wygląda to wszystko bardzo dobrze... przynajmniej dla ciebie. Nie jestem pewna co do niej, oczywiście, ale prawdopodobnie stać ją na znacznie więcej.

— Nie zasługuje na jej prawość — powiedział.

— Oczywiście, że nie. Nie zasługujesz nawet na jedno jej spojrzenie za to, jak się bawisz jej uczuciami. Wydaje mi się jednak, że pomijając wszystko inne, ta znajomość jest prawdziwym darem niebios, więc co tu mówić o zasługiwaniu na cokolwiek? Dobry Bóg upuścił ją niemal u twojego progu, a inni samotni ludzie, z którymi rozmawiałam w kościele, przemierzają cały świat w poszukiwaniu kogoś, z kim mogliby chociażby zjeść kolację!

Katherine potrafiła człowiekowi nagadać, nie ma co.

— Zdecydowanie uważam, że powinieneś przestać jęczeć, jak to nie zasługujesz na to czy na tamto. Mężczyźni, którzy się czegoś śmiertelnie boją, zawsze tak mówią, bo im się wydaje, że to brzmi szarmancko czy skromnie. Niestety, grubo się mylą. Brzmi to sztucznie i pompatycznie.

— Katherine, czy to przyjacielska porada czy upuszczanie krwi?

— Prosiłeś o prawdę. A po drugie uważam, że powinieneś wreszcie skończyć z tą defensywą. Powiedz jej, że potrzebowałeś czasu, żeby oswoić się z pomysłem chodzenia ze sobą, i podobnie potrzebujesz go teraz. Dlaczego się wycofujesz, skoro ona w ogóle nie naciska? Nie poprosiła cię nawet, żebyś się z nią ożenił!

— No tak.

To prawda. Cynthia nie poprosiła go, ale implikacje były... paraliżujące.

— Może powinnam wybrać się do centrum i zaprosić ją na lunch.

Dobry Boże!

— Proszę — powiedział błagalnie — nawet o tym nie myśl. No to dopiero nawarzył sobie piwa...

Z nadzieją poprawienia sobie akcji serca przed telefonem do niej biegł przez chwilę w miejscu przed swoim biurkiem, sprawiając, że stary budynek trząsł się w posadach. Pomyślał, że brzmi to zupełnie tak, jakby Meg Patrick sporządzała indeks do swojej książki.

Przestań mówić — nie zasługuję...

Poproś, żeby dała ci trochę czasu...

Ale najpierw podziękuj jej za róże...

Gdy usiadł i wykręcił jej numer telefonu, poczuł, że jest lekko spocony.

— Proszę?

— Cynthia?

— Timothy?

— Tak.

— Co... słyszeć? — zapytała.

— Och, mnóstwo rzeczy. Pojawiły się pierwsze zielone listki na twoich malwach...

— Rozmawiałam wcześniej z twoją kuzynką.

— Aha.

— Robiła wrażenie dość... zadomowionej.

— Tak.

Nastąpiła chwila przerwy, którą chciał wykorzystać, ale nie mógł.

— Brak ci tchu — zauważyła.

— Tak... biegłem.

— Och.

— ...żeby podziękować ci za róże. Są jeszcze śliczniejsze niż te, które przysłałaś mi ostatnio.

Nie umiem ci powiedzieć, jak... Zupełnie nie wiem, co powiedzieć...

Tak bardzo chciał powiedzieć, że na nie nie zasługuje, bo była to przecież najprawdziwsza prawda.

— Cynthia, jesteś... taka dobra i troskliwa, zawsze...

Nie znajdował wręcz sił, żeby mówić dalej. Dlaczego zapomniał pomodlić się, zanim zadzwonił? Najnormalniej w świecie bredził.

— ...i dlatego chciałem ci po wielekroć podziękować. Kwiaty zupełnie przeistoczyły moje biuro...

Na drugim końcu panowała głucha cisza.

— Cynthia? Jesteś tam?

— Timothy — odpowiedziała głosem, który z trudem rozpoznał. — Nie posyłałam ci róż.

— Nie...?

— Nie przyszłoby mi to do głowy — powiedziała tym obcym głosem.

Czuł jedynie tępy ból w okolicy serca.

— I nigdy nie przyjdzie, Timothy.

Usłyszał dźwięk odkładanej słuchawki i przeciągły sygnał. Potem usiadł przy biurku, odczuwając rozpacz, którą ledwie był w stanie znieść.

Dzwony w Lord's Chapel wybiły godzinę czternastą. Jeszcze nigdy ich dźwięk nie wydawał mu się tak żałosny. Brzmiały tak, jakby obwieszczały czyjąś śmierć.

Oszołomiony sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą kopertę z kwiaciarni, której przeczytanie chciał zostawić sobie na wieczór. Wyjął kartkę i przeczytał:

„Guz łagodny.

Twoja modlitwa podziałała, jak zawsze. Ucałowania, Edith".

Dooley połknął kolację i pobiegł na górę odrobić zadanie. Zostawił pastora samego przy kuchennej ladzie.

Nie zapukał do drzwi pokoju gościnnego i nie zaproponował zjedzenia z nimi posiłku — mówiąc szczerze, zapomniał, że ktokolwiek jest w domu.

Poszedł do salonu i ciężko usiadł na sofie, nadal czując rozdzierający ból w okolicy serca. Usłyszał splukiwaną w toalecie wodę, a zaraz potem odgłos maszyny do pisania.

Tatamtatamtatam...

Zaczynała dzisiaj wcześniej, o jakieś pięć godzin wcześniej niż zwykle, według jego obliczeń. Być może dochodziła do siebie po zmęczeniu spowodowanym podróżą samolotem — jakiegokolwiek by było — i wracała do normalnego rytmu pracy. Nie miał pojęcia, dlaczego zmęczenie miałoby się utrzymywać przez ponad dwa tygodnie. Być może doszło do komplikacji w związku z jakimiś lekami, które przyjmuje.

Tatamtatamtatam...

A tak w ogóle, to gdzie to cholerstwo stoi? Na małym biurku, które odziedziczył razem z domem? Czy może na podłodze? Sądząc po odgłosach, pisała na podłodze, a już samo to wystarczyłoby, żeby uszkodzić sobie kręgosłup i leżeć potem przykutym do łóżka przez wiele dni.

O siódmej trzydzieści Dooley najwyraźniej skończył odrabianie lekcji i włączył swój radiomagnetofon.

Bumbubumbumbumbumtamtatamtatam...

Barnaba stał przy schodach, wyjął, a pastor siedział na sofie nieruchomo.

Kanapka leżała mu na żołądku jak kamień.

Wpatrywał się w drewnianą tacę na swoich kolanach i w kartkę papieru listowego, na której napisał dwa słowa:

„Droga Cynthio...”

— Kuzynko Meg!

O dziewiątej wieczorem mocno zapukał do drzwi, jak agent federalny, starając się, by go usłyszała pomimo stukotu maszyny.

— O co chodzi? — odpowiedziała w końcu.

— Czy mogłabyś podejść do drzwi? Chciałbym zamienić z tobą słowo.

Nastąpiła chwila ciszy.

— W porządku.

Po dłuższej chwili, która zdawała się wiecznością, otworzyła drzwi na całe pięć centymetrów i przycisnęła twarz do szpary.

— O co chodzi? — zapytała głosem, który przypominał trochę niższe oktawy waltorni.

— Muszę ci powiedzieć, że twoja maszyna hałasuje, jakby na piętrze pracowała ekipa budowlana. Czy mogłabyś postawić ją gdzie indziej?

— W porządku — odparła, zamykając drzwi.

— Chwileczkę! Poczekaj. Otwórz drzwi! Przekręciła gałkę i wyjrzała przez szczelinę.

— Słuchaj. Wydaje mi się, że powinnaś się pokazać, zaczerpnąć trochę świeżego powietrza. Mam pomysł. Obudzę cię o szóstej rano i zjemy śniadanie w naszym barze Grill na Main Street. Poznasz tam wielu ciekawych ludzi. Niektórzy z nich mogą się nawet okazać potomkami imigrantów z czasów wielkiego głodu. Nie musisz się specjalnie ubierać. Obowiązuje strój swobodny.

Obrócił się na pięcie i poszedł w kierunku schodów.

— Nie dam rady. Mam terminy, których muszę się trzymać — zawołała za nim.

Nie odwrócił się.

— Któż ich nie ma? Oczekuję, że o siódmej będziesz ubrana i gotowa. Zapukam do drzwi o szóstej.

Gdy zapukał, nie odpowiedziała.

— Kuzynko Meg!

Gdy się uparł, był w stanie zbudzić umarłego. Usłyszał, jak zaskrzypiały sprężyny łóżka.

— Jest szósta! — zawołał. — Przyjdę po ciebie o siódmej! Cisza.

Zaglądnął właśnie do lodówki i znalazł potrawkę z dodatkiem cukinii, którą Punny przygotowała na weekend. Wyglądała tak, jakby padła łupem szarańczy. Co gorsza, z jej kajmaku cytrynowego zostały tylko resztki.

O siódmej zapukał ponownie.

Cisza.

— Kuzynko Meg! Jak nie wyjdiesz, to ja wchodzę!

Słowa posypały mu się z ust zupełnie mimowolnie, wcale jednak nie żartował.

Usłyszał jej ciężkie kroki, jakby miała na nogach buty wojskowe. Otworzyła drzwi i wyslizgnęła się na zewnątrz, potem przekreśliła klucz w zamku i schowała go do kieszeni.

— Dzień dobry, kuzynie — przywitała go, zakładając włosy za uszy.

Na chodniku przed barem Grill spotkali Bucka Leepera.

— Chciałem przedstawić panu moją kuzynkę, Meg Patrick.

— Miło mi — powiedziała, wsuwając ręce do kieszeni płaszcza.

Nadzorujący budowę Domu Nadziei skinął głową i wyrzucił na ulicę niedopałek papierosa.

— Panno Patrick.

— Sprawy na wzgórzu mają się dobrze — zauważył pastor.

— Mogłoby być lepiej.

Leeper wyminął ich i wszedł do baru przed nimi, kierując się do swojego stolika przy oknie.

Pastor przywitał się z ludźmi z Collar Button i Irish Wollen, którzy siedzieli przy ladzie. Gdy szli w stronę tylnego boksu, czuł, że odprowadzają ich spojrzenia wszystkich osób obecnych w barze.

Najpierw Velma nalala im kawę, a potem podszedł do nich Percy, z trudem ukrywając swoją ciekawość.

— Percy, poznaj moją kuzynkę, Meg Patrick. Z Irlandii.

— Z Irlandii?

Percy zajrzał do boksu jak do wnętrza klatki, która zawiera rzadki okaz pandy.

— Mule Skinner twierdzi, że jest Irlandczykiem.

— Jesteśmy dalece spokrewnieni ze Skinnerami — odparła, poprawiając okulary. — Bardzo dalece.

— Ten Skinner wcale nie jest tak odległy. Właśnie nadchodzi. Jak podać pani jajka?

— Smażone — powiedziała — z pieczonym pomidorem.

— Z czym?

— Z pieczonym pomidorem.

To dziwne życzenie nie przypadło do gustu Percy'emu.

— Kasza albo smażone ziemniaki w plasterkach to wszystko, co mamy.

Wydawało mu się, że Percy powiedział to przez zęby.

— Czy ziemniaki obieracie i kroicie w plasterki na miejscu czy kupujecie... gotowe?

Ojciec Tim mieszał kawę, mimo że nie było w niej nic do zamieszania.

— Gotowe, jak wszystkie inne smażone ziemniaki w plasterkach stąd do Kalifornii.

— Czy do smażenia używacie najlepszych olei roślinnych?

— Musi mi pani wierzyć na słowo.

— Poproszę wobec tego same jajka i tost z chleba pełnoziarnistego, bez masła.

— Lepiej niech sobie pani weźmie do tego pyszną parówkę Percy'ego — poradził Mule, siadając przy stoliku.

Błagam, nie mów tego, pomyślał pastor. Ale ona oczywiście to powiedziała.

— Dania mięsne jadam tylko w niedziele.

Percy Mosely na pewno nie pozwoli mu o tym prędko zapomnieć.

Puny zajrzała do niego do biura następnego ranka, żeby odebrać swój czek.

— Proszę, zabierz to do domu — powiedział, podając jej flakon pełen róż.

— Na Boga, ależ są piękne! Kto je ojcu dał?

— Modliszka.

— Kto taki? Nie odpowiedział.

— Czasami zupełnie nie wiem, o czym ojciec mówi.

— Nie ty jedna — odparł.

Pomyślała, że jeszcze nigdy nie miał tak dziwnego wyrazu twarzy.

Gdzie była broszka? W pralni chemicznej jej nie znaleźli. Przeszukał na czworakach cały pokój, włącznie z garderobą, nie wspominając już o każdej kieszeni i szufladzie.

Można było oszaleć. Jeśli coś tak ważnego mogło przepaść tak łatwo, co jeszcze mogło zniknąć bez śladu albo zostać zaniedbane przez jego nieuwagę? Na tym właśnie polegał cały problem.

Ostatnimi dniami miał kłopoty ze znalezieniem odrobiny spokoju we własnym domu.

Puny czyściła wszystkie dostępne żaluzje, zasłony, gzymsy i rolety, przez co zjedzenie w domu lunchu było prawie niemożliwe.

Połowa siódmej klasy telefonowała wieczorem, by poprosić Dooleya o pomoc w rozwiązaniu zadania domowego z matematyki.

Na domiar złego, jego kuzynka zrobiła sobie z jego domu hotel, w którym jedzenie znikало jak w jakiejś czarnej dziurze.

Pamiętał czasy, gdy oprócz niego w domu nie było nikogo, a ciszę mąciło jedynie tykanie zegara.

Kto mógłby usłyszeć tykanie zegara, zagłuszone hałasem ręcznej maszyny do pisania marki „Royal”, radiomagnetofonu z dwoma głośnikami, odkurzacza, pralki, dzwoniącego telefonu i wody w toalecie splukiwanej nad jego głową za każdym razem, gdy usiłował zdrzemnąć się na sofie?

Przyszło mu do głowy, że wszystkie osoby kręcące się pod jego dachem, z wyjątkiem jego samego, mają rude włosy. Zaczął się zastanawiać, czy być może jest to z tym związane.

„Niekoniecznie wąpimy — powiedział C.S. Lewis — że Bóg zrobi to, co dla nas najlepsze. Obawiamy się raczej, jak bardzo będzie to boleć”.

Spędził godzinę na kolanach, prosząc o to, co najlepsze, wierząc w to, co najlepsze, i z góry dziękując Bogu za to, co najlepsze. Nie, nie wąpił, że Bóg zrobi to, co dla niego i dla niej najlepsze. Ale tak, obawiał się, jak bardzo może to boleć.

W biurze napisał na maszynie krótki list, który zamierzał wysłać razem z poranną pocztą.

„Droga cynthio,

kwiaty były podziękowaniem od parafianki, która myślała, że ma raka, prosiła o modlitwę i dowiedziała się, że wszystko jest w porządku, przepraszam za pomyłkę.

wiem, że to list do dalekiej krewnej, ale za pięć minut mam spotkanie z nauczycielami szkoły niedzielnej dla dorosłych. Napiszę wkrótce długi list”.

Przez chwilę przyglądał się temu, co napisał, a potem dodał:

„Myślę o Tobie”.

Ponieważ nie bardzo miał pojęcie, co jeszcze mógłby powiedzieć, wyciągnął kartkę z maszyny do pisania i podpisał ją odręcznie.

„Z wyrazami miłości, Timothy”.

Nie dodał, że nikt przed nią nie rzucił w trakcie rozmowy z nim słuchawką.

— Puk, puk! — powiedziała Puny, otwierając drzwi. — Musiałam pójść do Sklepu, żeby kupić mąkę kukurydzianą. Zamierzam upiec dzisiaj dla ojca chleb kukurydziany.

— Alleluja!

Raz w miesiącu Puny pobłażała jego słabości i piekła chleb kukurydziany. Złotobrazowy, parujący po rozkrojeniu i wołający o masło wypiek Puny Bradshaw zdobyłby błękitną wstążkę na stanowych finałach.

— Chciałabym o coś ojca zapytać.

Usiadła na ławce dla gości, trzymając na kolanach torbę z zakupami.

— Strzelaj.

— Pamięta ojciec, mówiłam, że pralnia wygląda dokładnie tak, jak ją sama zostawiam? To dlatego, że oprócz mnie nikt tam nie zagląda. Ojca kuzynka jej nie używa.

Podniosła brwi i spojrzała na niego.

— Uhm.

— Rodzi się więc pytanie — trzy tygodnie w tej samej pościeli? A jak ojciec uważa, ile par bieleznych może ona tam mieć ze sobą?

Sądząc po wyrazie twarzy Puny, sama myśl była przerażająca.

— No cóż...

— A poza tym, kiedy znosi na dół talerze?

— W środku nocy?

— Przypuszczam, że wie ojciec, że ładuje je do zmywarki bez względu na to, czy rzeczy w środku są czyste czy brudne. Kiedyś razem z umyтыми naczyniami znalazłam tam brudny talerz, szklanekę i sztućce.

— Ach — westchnął.

— Poza tym, gdzie wyrzuca śmieci ze swojego kosza?

— Dobre pytanie. Nie wiem.

— Nie do worka pod zlewozmywakiem, mogę to ojcu zagwarantować. I nie do pojemników na śmieci w garażu.

Dała mu chwilę na zastanowienie.

— Dzisiaj wieczorem przygotuję dla ojca ładną chudą pieczeń i zamierzam poczekać, aż wróci ojciec do domu, bo w przeciwnym razie mogłoby z niej nic nie zostać, jeśli rozumie ojciec, o co mi chodzi.

Powiedział to z prawdziwą niechęcią.

— Nie martw się. Ona jada dania mięsne tylko w niedziele. Puny pokręciła z niesmakiem głową.

Gdy w środę rano wszedł do baru Grill, panowała tam taka dziwna cisza, że przez chwilę miał wrażenie, że znajduje się na cmentarzu.

Przez te wszystkie lata tak bardzo przyzwyczał się do panującego w tym miejscu hałasu, że nieomal go nie zauważał. Teraz natomiast zauważył jego brak.

Był przygotowany, że Percy da mu niezłe popalić za kuzynkę, ale on, zajęty przyjmowaniem zamówienia, podniósł jedynie wzrok i nawet nie dał poznać po sobie, że zauważył jego wejście.

Usiadł w tylnym boksie dziwnie zaniepokojony. Wczoraj rano zjadł śniadanie z Dooleyem, dlatego nie był w barze. Co umknęło jego uwagi? Czy stało się coś, o czym nie słyszał?

Odwrócił się i spojrzął na drzwi. Gdzie był Mule? Gdzie był J.C.? Słyszał jedynie dzwonienie sztućców o talerze i szuranie butów po podłodze, jak gdyby cały Grill czekał w napięciu na jakieś przełomowe wydarzenie.

Velma bez słowa nalała mu kawę.

— Czy ktoś... zmarł?

— Żałuję, że nie — rzuciła krótko i zabrała dzbanek do następnego stolika.

Traktowali go z taką obojętnością, jakby był przejezdnym turystą.

J.C. usiadł ciężko przy jego stoliku, rzucając teczkę na siedzenie. Przyszło mu do głowy, że czerwona twarz redaktora w połączeniu z trzydziestoma kilogramami nadwagi nie jest dobrym znakiem.

— Mam nadzieję, że błagał ojciec Boga na kolanach — mruknął.

— O co?

J.C. przyglądał mu się z niedowierzaniem.

— Naprawdę nie wie ojciec, co się dzieje?

— Nie mam pojęcia.

— Edith Mallory wbiła Percy'emu nóż w plecy.

Otarł spoconą twarz chusteczką, która nosiła ślady długiego używania.

— To ona jest właścicielką tego lokalu, gdyby ojciec nie wiedział. Podniosła mu czynsz...

— Dużo?

— Drugie tyle, da ojciec wiarę? Nikt w tym mieście nie podnosi czynszu o drugie tyle.

— A ile to jest?

— Ponad dwa tysiące dolców każdorazowo — to rozbój w biały dzień. Percy byłby w stanie opłacić taki czynsz jedynie przez podniesienie cen. Chciałby ojciec płacić cztery dolce za jajko liliputa z wody podane na toście? Ci ludzie nigdy na to nie pójda. Mack Stroupe krąży jak sęp dokładnie w chwili, gdy my tu rozmawiamy. Jeśli Percy zamknie interes na Main Street, Mack zamierza rozbudować swoją budkę z hot dogami i serwować śniadania. Kasza u niego będzie smakowała, jakby była gotowana w skrzyni korbowej.

— Edith Mallory...

— Niech mnie ojciec posłucha — powiedział J.C. — Mam wzgląd na to, że nie jest ojciec zwolennikiem używania brzydkiego języka, ale muszę to powiedzieć. Wie ojciec, co to za baba.

Na wypadek, gdyby nie wiedział, J.C. mu wyjaśnił.

— Więc jeśli nie zaakceptuje podwyżki czynszu, będzie się musiał wynieść?

— Bez dwu zdań.

— A jeśli zaakceptuje, będzie musiał podnieść ceny i zacznie tracić klientów...

— Właśnie.

— Myślałem, że ktoś umarł.

— No tak, cóż, nie jest to wykluczone i może to być Percy. To może go zabić. Ten bar jest całym jego życiem. A gdyby ojciec zapomniał, to „Muse” mieści się dokładnie nad nim, schodami na górę. Kto wie, kiedy mnie listonosz wręczy podobne pisemko?

— Gdzie jest Mule?

— Szuka jakiegoś miejsca, gdzie Percy mógłby się przenieść. Main Street Grill nie na Main Street? Niewyobrażalne.

— Pat Mallory nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś takiego — stwierdził J.C. — Każdego dnia przez całe swoje życie jadł śniadanie w barze Grill, żeby tylko uciec przed tą barakudą. Zapłaciłby Percy'emu, żeby go nie zamykał.

Velma zatrzymała się przy ich stoliku, żeby nalać kawę J.C.

— Nie martw się — wydawca „Muse” usiłował pocieszyć żonę Percy'ego — istnieje na tym świecie jeszcze coś takiego jak siła mediów...

— Cokolwiek to oznacza... — odparła Velma. Mule przysiadł się do nich.

— Słuchajcie, nic nie ma w całym mieście.

— Nic nie znalazłeś? — zapytał J.C.

— Jedna nędzna klitka wciśnięta za Shoe Barn, i też do niej należy.

— Czy ona naprawdę myśli, że Percy może spokojnie zapłacić nowy czynsz, czy chce się go po prostu stąd pozbyć? — zapytał pastor.

— Chodzi o to, żeby się go pozbyć. Ma jakiś wyszukany sklep z odzieżą damską, który chce sprowadzić z Florydy i który przyciągnie klientelę z Wesley, Holding i całej okolicy.

Stwierdził, że przez to wiercenie w żołądku nie przełknie ani kęsa.

— Ile mamy czasu?

— Dzisiaj jest dwunasty kwietnia, zgadza się? Mamy czas do połowy maja i ani dnia dłużej. Percy błagał ją, żeby mu dała trochę czasu, ale myśli ojciec, że się zgodziła? Oczywiście, że nie.

— Musi być jakiś sposób.

Wystarczyło mu jedno spojrzenie na twarz stojącego przy grillu Percy'ego, na której wyraźnie malowało się cierpienie.

— Jest jedna szansa... — rzucił Mule.

Pastor zastanawiał się, dlaczego pośrednik handlu nieruchomościami wierci w nim dziurę wzrokiem.

— Mógłbym wywlec na światło dzienne jakieś brudy — powiedział J.C. — i opisać je na pierwszej stronie. Przybiegłaby tu z miejsca, żeby podarować mu akt własności, nie mówiąc już o obniżeniu czynszu...

— Przestań gadać głupoty i zacznij mówić z sensem — warknął Mule.

— Widzi ojciec? — zagadnął J.C. — Wszyscy stali się tacy drażliwi. Aż człowiekowi robi się niedobrze.

Pojawiła się Velma, przesunęła zamówienie J.C. na koniec stołu i postawiła przed pastorem jajka z wody.

— Jadłeś już śniadanie? — zapytała Mule'a.

— Płatki śniadaniowe o szóstej rano — wyjaśnił. — Zjadłbym nogi od tego stołu, ale Fancy pilnuje, żebym przestrzegał diety niskotłuszczowej.

— Tańczy tak, jak mu zagra Fancy — mruknął J.C., przekuwając widelcem żółtko jajka.

Mule spojrzał na pastora.

— Słyszałem, że zna ojciec Edith Mallory dość dobrze...

— Jest parafianką Lord's Chapel.

— Kilka razy wozila ojca tym swoim lincolnem, nie wspominając o tym, że widziano was razem, jak jeździliście po Wesley...

— Czysto zawodowa znajomość.

Tost zaczął mu nagle smakować jak styropian.

— Wie ojciec, co mówią ludzie...

— Nie — odparł chłodno. — Nie wiem, co mówią ludzie, a ponadto...

— Mówią, że wpadł jej ojciec w oko...

— Czy to znaczy, że wierzysz we wszystko, co usłyszysz?

— No cóż, znając ojca tak dobrze, jak się znamy, i znając ją, jak wolałbym jej nie znać, nie wierzę w to, co słyszę, ani odrobinę. Chodzi mi jednak o to, żeby...

— Chodzi ci o to, żeby ojciec wkradł się w łaski węża — przerwał J.C. — Gdybyś choć raz w życiu otworzył swoje Pismo Święte, zobaczyłbyś, że nic z tego nie wyszło.

Mule położył rękę na ramieniu pastora. Wyglądał na bardzo zatroskanego.

— Jedno słowo z ust ojca i wszystko mogłoby się zmienić. Korona by ojcu z głowy nie spadła. Przepraszam za wyrażenie, ale jeśli ona szaleje na ojca punkcie, tak jak mówią ludzie, to mógłby jej ojciec przemówić do rozsądku i na pewno by ojca posłuchała.

— Jest mi przykro, że Percy został przyparty do muru, ale nie dam z siebie zrobić ofiary całopalnej. Moja odpowiedź brzmi: „nie”.

To nie było zwykle przekomarzenie się przy śniadaniu. To była poważna sprawa; czuł, że to kwestia życia i śmierci. Mimo to, pomysł złożenia go jak jagnięcia na ołtarzu wydawał mu się odrażający. Nie zamierzał bezwolnie poddawać się tej taktyce.

— Nikt nie mówi, żeby zrobił ojciec coś, czego musiałby się ojciec wstydzić — kontynuował Mule, jakby całej mowy pastora wysłuchał jednym uchem, a drugim wypuścił. — Niech ojciec zabierze ją tylko na jakąś miłą kolację do Wesley. I powie jej, że Grill jest jednym z najstarszych biznesów w miasteczku. Tato Percy'ego otwarł go pięćdziesiąt dwa lata temu. To, do cholery, historyczne miejsce...

— Słuchaj. Nie mam żadnego wpływu na Edith Mallory — i nic mnie nie obchodzi, co mówią ludzie. Jeśli ona chce dwóch tysięcy dolarów miesięcznie i może je dostać, to co takiego mógłbym powiedzieć, co skłoniłoby ją do zmiany zdania? Myślisz, że jest gotowa zrezygnować z dwudziestu czterech tysięcy rocznie, bo uważa, że jestem... jestem...

— Tak — rzucił J.C.

— Poza tym — powiedział Mule — czy to nie ojca działka?

— Jaka działka?

— Przekonywanie ludzi.

— Jak idzie? — zapytał Ron Malcolm, zajmując miejsce obok wydawcy „Muse”.

— Beznadziejnie — mruknął J.C., co zdawało się odzwierciedlać uczucia całego stolika.

Ron zdjął czapkę i spojrzał na pastora.

— Pastorze, przyszła mi do głowy pewna myśl... Zna ojciec Edith Mallory dość dobrze. Zastanawiałem się, czy jest coś, co mógłby ojciec zrobić, coś, co mógłby ojciec powiedzieć. Mam wrażenie, że ona by ojca wysłuchała.

Gdyby J.C. Hogan miał czelność się do niego uśmiechnąć albo gdyby Mule Skinner mrugnął do niego w ten swój głupi sposób, z którego słynął, najnormalniej w świecie zwymiotowałby.

Rozdział trzynasty

POMIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

Obsiedli go jak stado much.

Potem, gdy przeredził się tłum tych, którzy przyszli na śniadanie, dołączył do nich Percy, a w jego oczach widać było nieme błaganie, skierowane wyraźnie wprost do niego.

To była zmowa.

Skoro teraz pobierała dziesięć i pół, co byłoby w stanie nakłonić Edith do podarowania lekką ręką dwudziestu czterech tysięcy rocznie? Nic, w czym on chciałby maczać palce.

Więc jaki to miało sens?

Z drugiej jednak strony, gdyby się zawnął i wymyślił coś, co być może doprowadziłoby jedynie do symbolicznego wzrostu czynszu?

Może sala jej imienia w miejskim muzeum...

W zaistniałych okolicznościach wydawało mu się, że byłby w stanie nakłonić do tego pomysłu Esther Cunningham. Przeworsowanie go na forum rady miejskiej to już jednak zupełnie inna sprawa.

A może ogród zasadzony na jej cześć? On i reszta stałych klientów baru Grill chętnie własnymi rękami wyrwaliby pniaki z miejskiego skweru.

Ale z tym pomysłem mógł się pożegnać — skwer miejski schowany był za pocztą. Edith chciałaby coś, co ludzie widzieliby z Main Street, z tabliczką, którą mogliby przeczytać z sąsiedniej ulicy — oświetlonej nocą z obydwu stron, najlepiej wiecznym ogniem.

Jak mógł się w to wszystko wplątać?

A tak całkiem serio, co kuzynka Meg robiła ze swoimi śmieciami?

Gdy starszy mężczyzna zadzwonił do biura, od razu poczuł się radośniej.

— Wujaszku Billy, co słychać?

— Całkiem nieźle, zważywszy na to, że spadłem z czterometrowej drabiny.

— Dobry Boże! Nic sobie wujaszek nie złamał? To prawdziwy cud, że wujaszek żyje!

— Proszę ojca, prawdę powiedziawszy, spadłem tylko z ostatniego szczebla.

— Aha.

Wydawało mu się, że wujaszek Billy jest rozczarowany.

— To mój nowy dowcip.

— Miałem się roześmiać?

— O to zazwyczaj chodzi przy opowiadaniu dowcipów.

— Lepiej niech wujaszek wymyśli jakiś nowy dowcip. Tym śmiertelnie mnie wujaszek przstraszył.

— Powinien ojciec wiedzieć, że już od lat nie byłem na drabinie. Po ostatnim razie zostawiłem ją opartą o dom, żeby spróchniała. Omijam drabiny z daleka.

— To bardzo dobra zasada. Jak się ma panna Rose?

— Jest chytra jak lis.

— W jakim sensie?

— Codziennie dobiera się do moich pieniędzy i przesuwa je troszkę na swoją stronę materaca.

— I co wujaszek na to?

— A cóż mogę zrobić? Jak tylko nie widzi, idę tam i przesuвам je z powrotem w to samo miejsce, gdzie leżały przedtem.

— Bardzo rozsądnie.

— Jak się ma ojca chłopiec? Widziałem go w kościele. Rośnie jak na drożdżach.

— Zgadza się. Powiedziałbym, że kwitnie.

— Chcielibyśmy, żebyście przyszli do nas latem na ciasto z owocami, gdy będzie sezon na owoce. I niech ojciec przyprowadzi tę ładną blondynkę, która wczółgała się razem z Rose do jej domu dla lalek i znalazła tam moje rysunki tuszem.

Przypomniał sobie, jak Cynthia weszła za panną Rose na czworakach do czarnej dziury pod daszkiem, która była miejscem jej dzieciennych zabaw.

— Przyjdziemy — obiecał, zamierzając dotrzymać obietnicy.

— Czy rozmawiał już ojciec z nim? — zapytała panna Sadie.

— Nie, miła pani — odpowiedział przygnębiony.

— Czy wymyślił już coś ojciec? — chciał wiedzieć Mule.

— Nie, do cholery — odpowiedział niezadowolony, że ktoś usiłuje na nim wyrzucić presję.

— Czy zrobiłeś już coś z tymi rodzinnymi papierami? — dopytywał się Walter.

— A jak myślisz?

— Och, Timothy. A przecież masz pod swoim dachem rodowitą Irlandkę...

— No to podaj mnie do sądu — odparł.

Wrócił do domu wcześniej i zastał ją przeszukującą jego półki w salonie.

— Jak ci idzie książka? — zapytał.

— Świetnie — odpowiedziała, chowając nos w tomiku irlandzkiej poezji.

Pomyślał, że w szlafroku wygląda dokładnie jak sowa płomykówka.

— Zastanawiałem się... co robisz ze swoimi śmieciami? Mam nadzieję, że daliśmy ci kosz?

— Segreguję je — odparła.

— Aha.

— Papier do jednego worka, puszki aluminiowe do drugiego.

— To cudownie. Możemy je zabrać przy następnym wyjeździe do Wesley, nie będą ci zajmowały miejsca w pokoju.

— W porządku — zgodziła się. — Nie ma pośpiechu.

— Chciałbym, żebyś jutro rano poszła ze mną do baru Grill.

— Ach, nie. Akurat nie jestem w nastroju, żeby znosić te wszystkie ciekawskie spojrzenia.

Kij do poganiania bydła to najlepsze określenie. Ale musi być uprzejmy. Co więzy krwi, to więzy krwi.

— Zapukam o szóstej, tak jak poprzednio. I kuzynko... Udawała, że nie słyszy. Polizała tylko palec wskazujący i przewróciła stronę.

— Będziemy czekać na ciebie z kolacją. Szósta trzydzieści.

— Raczej nie...

— Punktualnie — przerwał jej głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Jego kuzynka siedziała przy kuchennym stole naburmuszona.

Zastanawiał się, gdzie ten irlandzki dowcip, cudowne poczucie humoru, nie kończące się opowieści, z których słynęli ich przodkowie? Skąd ona w ogóle pochodzi? Ze Szkocji?

Postawił na stole pieczeń Puny z chudego mięsa, jeszcze skwiercząca po wyciągnięciu z piekarnika, i podszedł do kuchenki, żeby podać zielony groszek.

— Na Boga! — zawołał Dooley.

Odwrócił się i zobaczył, że jego kuzynka poczęstowała się ogromnym kawałkiem mięsa i kroiła go z pasją za pomocą noża i widelca.

— W niedzielę zjadłam tylko grejfruta, więc dzisiaj zrobię sobie dzień mięsny...

— Poczekamy na błogosławieństwo — powiedział spokojnie.

Trzymając widelec w jednej ręce, a nóż w drugiej, siedziała na krześle, pochylona do przodu. Co, na Boga, mógł zrobić, żeby w tych wystraszonych oczach pojawił się uśmiech?

Podczas błogosławieństwa sięgnął po dłoń Dooleya, ale ona trzymała w swojej widelec.

Jak to możliwe, że przy tak wilczym apetycie jej chude kości nie obrosły ani gramem tłuszczu? Przemiana materii, przypuszczał. Gdzie on, do licha, się podziewał, gdy rozdawano dobrą przemianę materii?

— Ile razy byłaś w Stanach? Nie przypominam sobie, czy mi mówiłaś.

— Kilka, w pewnych odstępach czasu.

— Zatrzymywałaś się zapewne u kuzynów?

— Czasami.

— A gdzie dokładnie?

— Raz w Oregonie.

— I gdzie jeszcze?

— W Massachusetts.

— U kogo się tam zatrzymałaś?

— Nie znacie się — odparła.

— A może jednak.

— Kuzyn Riley.

— Uhm. Na pewno chodzi ci o Rileyę Kavanagha, tak? Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Nie, nie o niego.

Wziął głęboki oddech, który niestety przerodził się w westchnienie.

— Dooley, co słyhać w szkole?

— Nic — odparł Dooley.

Prowadzenie konwersacji z tą parą było tak stymulujące jak wnoszenie głazu na stromą górę.

— W takim razie, opowiedz nam o swojej książce. Jak się... zaczyna?

Zręcznie nałożyła porcję zielonego groszku na widelec.

— Zaczyna się dokładnie tak, jak zaczął się sam horror.

— Aha.

— Pewnego ranka w tysiąc osiemset czterdziestym piątym roku irlandzki farmer odkrył, że stało się coś straszego. Książka zaczyna się tym, co miał na ten temat do powiedzenia. Cytuję: „Był ciepły słoneczny dzień, gdy nagle zauważyłem, że gęsta mgła unosi się stopniowo ku wierzchołkom gór. Gdy mnie otoczyła, poczułem dojmujący chłód. Natychmiast ogarnął mnie strach zwiastujący jakąś tragedię. Następnego ranka, gdy przemierzałem okolice... odkryłem, że cały plon ziemniaków zniszczyła zaraza. Liście poczerniały i zwisały luźno z krzaków, a w powietrzu unosił się nieprzyjemny odór”.

— Ohyda — jęknął Dooley.

— Poruszające — powiedział pastor, wiedząc, jak to tragiczne wydarzenie wyniszczyło i doprowadziło nieomal do zagłady cały naród.

Dziwnym trafem jednak najdłuższa mowa, jaką miał okazję usłyszeć w jej wykonaniu, nie była jej autorstwa.

— Jak myślisz, kiedy uda ci się skończyć tę książkę?

— Skończę ją, jak przyjdzie na to czas.

— Rozumiem. A jak myślisz, jak długo... u nas zostaniesz?

Wśród Irlandczyków kuzyni zza oceanu zawsze byli przyjmowani z ogromną serdecznością, nie był jednak pewien, na ile serdeczności będzie go jeszcze stać.

Założyła włosy za uszy i spojrzała na niego z poważną miną.

— Tak długo, jak mi pozwolisz, kuzynie.

„Drogi Timothy,

rzucenie słuchawki w czasie rozmowy z Tobą było głupim i dziecinnym gestem, ale nic nie mogłam na to poradzić. Stało się. Coś mnie napadło.

Przyszedł Twój list, w którym wyjaśniasz mi pomyłkę. Usiłowałam wzbudzić w sobie skruchę za to, co zrobiłam. Szczerze mówiąc jednak, nie czuję żadnej skruchy, ale za to jestem Ci skłonna wybaczyć.

Gdy zaczęłam myśleć o tym, jak przyleciałeś do Nowego Jorku, żeby zrobić mi niespodziankę i pocieszyć mnie, poczułam, jak topnieje w moim sercu lód, i nie mogłam Cię nie kochać.

Czyż nie wybraliśmy, a szczególnie ja, najgorszego możliwego momentu? Gdybym tylko była tutaj, gdy przyjechałeś, jak myślisz, czy sprawy mogłyby potoczyć się inaczej? Czy myślisz, że lód w Twoim sercu mógłby stopnieć już na wieczność?

Postanowiłam wrócić do Mitford pod koniec miesiąca i zamieszkać tam na zawsze, bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Nic mnie już stamtąd nie wygoni, nawet sąsiad, który jest czuły i kochający w jednej chwili, a zaraz potem odległy i obojętny.

Z niewiadomego powodu poruszenie tematu małżeństwa zmało nawet tę słodką radość, którą znajdowaliśmy w chodzeniu ze sobą. Smuci mnie, gdy myślę, że moglibyśmy to wszystko zaprzepaścić tylko dlatego, że znaleźliśmy się w trudnym punkcie na naszej drodze i że nie możemy go przekroczyć. Można by się spodziewać, te dwoje mądrych ludzi mogłoby przystanąć, przypatrzeć się przeszkodzie i wymyślić jakiś sprytny sposób na jej ominięcie albo pokonanie! To znaczy, spójrz tylko, co pan Edison, zupełnie sam, zdołał zrobić z żarówką!

Być może moglibyśmy zostać przyjaciółmi, Timothy. Ale przyszedł czas, żebym przestała proponować, co moglibyśmy zrobić albo kim moglibyśmy razem być, i zostawiła to wszystko w rękach Boga.

Jeśli myślisz, że to wspaniałomyślny i szlachetny gest, to się mylisz. Po prostu nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Cynthia".

Podszedł do biurka i zupełnie odrętwiały otworzył dolną szufladę, w której trzymał jej listy, po czym położył na wierzchu kopertę. Wpatrywał się przez chwilę w szufladę, usiłując zebrać myśli.

Mógłby przysiąc, że plik listów był grubszy, że było ich dużo więcej. Ale z drugiej strony, wszystko wydawało mu się teraz mniejsze i mniej intensywne niż kiedyś.

— Dooley, jak ci się podoba pomysł wyjechania do szkoły na jesieni?

(Podejrzliwie).

— Dokąd?

— Do Wirginii, być może. To sąsiedni stan. Mógłbyś przyjeżdżać do domu na wakacje, a ja mógłbym przyjeżdżać do ciebie na szczególne okazje i przywozić ze sobą Barnabę.

(Długa chwila ciszy).

— Nie podoba mi się.

— Miałbyś wszystkie możliwe przywileje, nie mówiąc już o tym, że poznałbyś tam przyjaciół na całe życie — i że śpiewałbyś w chórze dwa razy większym niż twoja grupa ze szkoły w Mitford.

(Zdecydowanie).

— Nie jade.

Dokładnie tak będzie wyglądała ich rozmowa. Równie dobrze mógłby odczytać ją z kartki papieru.

Nagle stanął przed koniecznością przekonania dwojga ludzi do zrobieni a czegoś, czego absolutnie nie mieli zamiaru robić. Dlaczego wszyscy oczekiwali od księdza, że tak cholernie łatwo uda mu się osiągnąć to, co niemożliwe, skoro najwyraźniej było to zadanie dla Boga?

Bóg nigdy nie przemówił do niego słyszalnym głosem, ani razu. Ale zdarzały się chwile, gdy mówił do jego serca, i to bardzo zdecydowanie.

Pochłonięty modlitwą w piątek rano otrzymał silne, ale proste polecenie:

„Idź do Bucka Leepera i porozmawiaj z nim”.

To polecenie, którego nie przyjmował z jakąś szczególną ochotą, było natarczywe. Pojawiło się nie tylko wtedy, gdy modlił się na kolanach, ale ponownie, gdy mył ręce nad umywalką w biurze i gdy biegł do szpitala.

Był świadom skutków opieszałości, gdy w grę wchodziło posłuszeństwo wobec woli Boga. Oswald Chambers uznał ten temat za szczególnie istotny. „Świadoma zgoda na coś, co jest nam przykre, to jedno, a poddanie się temu za sprawą Boga to coś zupełnie innego. Jeśli Bóg cię tam skieruje, to weźmie wszystko w swoje ręce... Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości — pisał dalej Chambers. — W chwili, w której staniesz się posłuszny światłu, Syn Boży przemówi przez ciebie w tym względzie.

Jeśli ksiądz nie potrafił wyciągnąć ręki do zbłąkanego, to kto miałby to zrobić — a w istocie, kto by to zrobił?

W drodze na plac budowy Domu Nadziei postanowił, że będzie mówił szczerze. Żadnych gier, ukrytych zamiarów, żadnego owijania w bawełnę. I niech się dzieje, co chce.

Buck Leeper był sam w przyczepie. Obrócił się dookoła na trzeszczącym krześle obrotowym i spojrzał na niego.

— Chciałem porozmawiać — zaczął pastor.

— O czym?

— Prawdę powiedziawszy, nie wiem. Po prostu porozmawiać. Lepiej pana poznać.

Nadzorca budowlany zaciągnął się głęboko papierosem.

— Proszę usiąść — powiedział.

Leeper oparł stopy na biurku, zakładając nogę na nogę. Nic tu po tobie, zdawały się mówić jego zabłocone buty, ale pastor, nie zrażony, usiadł naprzeciwko, po drugiej stronie biurka.

— Chyba powinienem ojca uprzedzić, że nie lubię księży.

— Nie pan jeden.

— To wzgórze to nie teren misyjny.

— Jestem tu prywatnie.

Było to kłamstwo, ale zdecydował się je powiedzieć.

— Mój dziadek był księdzem — wyjaśnił Buck, mrużąc oczy.

— Mój też, baptystą.

— To samo.

— Czy znał pan swojego dziadka?

— Nie, ale za to słuchałem o nim przez całe życie. Nic dobrego. Zgasił papieros w popielniczce.

— Ojciec pana taty?

Leeper bawił się srebrną zapalniczką i pastor zauważył, których palców mu brakuje.

— Tak. Dzięki niemu mój staruszek został najpodlejszym dzieckiem księdza w całym Missisipi.

— Pochodzi pan z Missisipi?

— Tak. Urodziłem się tam i wychowałem.

— Ja też.

Leeper wydał się z siebie okrzyk zdziwienia.

— Mały świat.

— W której części?

— Północny wschód. Booneville.

— Holly Springs — powiedział pastor. — Sześćdziesiąt kilometrów od Booneville w linii prostej.

Kolejny okrzyk zdziwienia i dziwny śmiech.

— Niesamowite. Leeper spojrział na zegarek.

— Może zje pan z nami kolację któregoś dnia?

Nadzorca budowlany wyciągnął papierosa z otwartej, schowanej w kieszeni koszuli paczki. Zapalił go zapalniczką i zaciągnął się.

— Raczej nie.

— Wobec tego proszę zaglądnąć do mnie do biura na filiżankę kawy... kiedykolwiek.

Leeper wstał nagle i podszedł do drzwi, po czym ściągnął z wieszaka kurtkę i kask. Pastor stanął obok niego.

— Ten rudowłosy dzieciak to ojca?

— Dooley?

— Nie wiem, jak ma na imię. Niech mu ojciec powie, że jak jeszcze raz przyjdzie tu czegoś szukać, to skopię mu tyłek. To samo tyczy się jego koleżki.

— Oni...

— Niech mu ojciec powie, że nie żartuję. Tu można stracić życie.

Leeper otworzył drzwi. Cała przyczepa drżała od wibracji pracującego sprzętu jak zabawka.

— Muszę zaglądnąć do wykopu — powiedział, nakładając kask. — Niektórzy w tym mieście muszą pracować.

Wiosna była już blisko, co do tego nikt nie miał wątpliwości.

W „Muse”, tuż pod zdjęciem autorki zrobionym trzydzieści lat temu, pojawiła się z powrotem rokroczna kolumna Hessie Mayhew, poświęcona ogrodnictwu. Pierwszy artykuł sezonu zawsze zdradzał, gdzie aktualnie bawi Pani Wiosna.

Wyglądało na to, że w chwili obecnej postanowiła zatrzymać się na dywanie z mchu i fiołków w dolinie, gdzie temperatura była o całe pięć stopni wyższa.

„Nie wyglądajcie jej — ostrzegała Hessie — bo ona przychodzi dopiero wtedy, gdy stracimy nadzieję. Gdy już popadniecie w rozpacz z powodu jeszcze jednej śnieżycy w kwietniu albo silnego przymrozku zaraz po tym, jak zasadziliście fasolę, ona nagle pokaże się w cudownej paradzie kwitnących jabłoni panny Baxter — nie wspominając już o krzewach bzu wzdłuż Main Street i dzikich hiacyntach na brzegu strumienia w pobliżu ślicznego domu Winnie Ivey”.

Na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie pamiętał, jak wygląda dziki hiacynt, Hessie naszkicowała kwiat z pamięci, a J.C. odtworzył go z uderzającą precyzją.

Stary kościelny siedział w krytym perkalem fotelu, naprawiając budzik Betty Craig. Zawartość zegarka rozrzucona była na stoliku pod lampką.

— Wygląda na to, że doskonale się tutaj czujesz — powiedział jego gość, siadając na brzegu łóżka.

— Ten cholerny zegarek wskazuje dwunastą, odkąd się tutaj wprowadziłem. Jak się ojciec ma na wiosnę? Lepiej?

— Lepiej nie mówić.

Russell Jacks zaśmiał się i zakaszłał gwałtownie.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece — powiedział, a jego oczy zwilgotniały.

— Może lepiej, żebym ci to od razu powiedział, Russell. Znaleźliśmy kogoś, kto będzie doglądał ogrodów. Nie jest to bynajmniej nikt twojego formatu. Myślę, że nie ma już prawdziwych ogrodników, których można by zatrudnić. Ale potrzebny jest ktoś, kto się tym zajmie, a upłynie jeszcze trochę

czasu, zanim ty w pełni odzyskasz siły. Jak tylko lekarz stwierdzi, że jesteś zdrowy, wrócisz do pracy. Co o tym myślisz?

— Zgadzam się. Miałem nadzieję, że będę mógł wrócić do pracy, ale nie mogę. Staram się, jak tylko potrafię, pomóc pannie Betty. Jak się ma nasz chłopiec? Czy nie sprawia ojcu kłopotu?

— Nie, ani trochę.

Poczuł ukłucie w sercu. Teraz albo nigdy, pomyślał.

— Russell, zastanawiałem się, czy zgodziłbyś się... czy pozwoliłbyś nam jesienią wysłać chłopca do dobrej szkoły, gdzie mógłby nauczyć się więcej, gdzie mógłby rozwinąć swoje talenty...

— Wysłać go?

— Może do Wirginii. Niedaleko. Moglibyśmy co jakiś czas jeździć do niego, a on przyjeżdżałby do domu na wakacje i święta.

Russell przyglądał się w milczeniu dwóm sprężynkom od zegarka, które leżały na jego dłoni. W końcu zapytał:

— A co ojciec chciałby zrobić?

— Nie chcę, żeby wyjeżdżał. Chciałbym zatrzymać go tutaj, w Mitford, ale nadarzyła się wyjątkowa okazja. Ktoś zaoferował się zapłacić za jego naukę, dać mu szansę, jaka zdarza się tylko raz w życiu. — Wpatrywał się w chodnik, czując chłód, jaki zapanował w pokoju. — Uważam że powinniśmy pozwolić mu pojechać.

— Chcę, żeby było tak, jak chce ojciec — odparł Russell.

— Przyniosę papiery, gdy nadejdzie czas.

Serce miał ciężkie jak kamień, gdy wychodził z domu Betty Craig, a najgorsze dopiero go czekało.

Nie otrzymał żadnych wskazówek od Opatrzności, co zrobić z Edith Mallory. A przerobił już wszystkie najbardziej nieprawdopodobne warianty, jakie przyszły mu do głowy.

Jaki był najgorszy scenariusz?

Mógł pójść do niej i z nią porozmawiać — powołać się na ciągłość, historię, tradycję baru Grill i miejsce, jakie zajmował w sercach mieszkańców Mitford. Wtedy przypominała mu się jej dłoń na jego nodze albo jak był uwięziony w tym jej cholernym samochodzie, pędzącym z prędkością, która nie gwarantowała ujęcia z życiem, gdyby zdecydował się z niego wyskoczyć.

Gdyby Percy Mosely i Mule Skinner, i J.C. Hogan, i Ron Malcolm wiedzieli, o co go proszą, nigdy by się na to nie odważyli. Byli przecież jego przyjaciółmi. Człowiek nie poprosiłby o to najgorszego wroga.

Oczywiście, oczekiwali od niego tylko, żeby spróbował, jeden jedyny raz. Nikt nie mówił przecież, że ma zbierać te ciągi wielokrotnie.

Usiłowali zagrać na jego próżności, mówiąc mu, jak to Edith go posłucha i zrobi wszystko, o cokolwiek ją poprosi. Z tego, co mówili, można by wywnioskować, że jest samym papieżem. On jednak był świadom, jak naprawdę wygląda sytuacja — nie zdołali go oszukać. Mimo że chcieli polechtać jego ambicję, on dobrze wiedział, na co się zanoszą — i instynktownie przed tym się bronił.

W niedzielę po mszy Ron zaciągnął go do klubu country, a Dooley uprosił go, by pozwolił mu pójść do domu, zjeść kanapkę i pojeździć na rowerach z Tommym.

Przy stoliku w rogu zobaczył Bucka Leepera, który jadł posiłek z jakimś mężczyzną w garniturze.

— Szef — wyjaśnił Ron. — Przyjechał zorientować się, jak postępują prace. Są moimi gośćmi. Pomyślałem, że nie miałby ojciec ochoty do nich dołączyć.

— Wybrałem się kiedyś z wizytą do pana Leepera.

— Żartuje ojciec.

— Urodziliśmy się w miejscowościach oddalonych od siebie o zaledwie sześćdziesiąt kilometrów — w Missisipi.

— Niech mnie kule biją. Niesamowite. Co on na to?

Pastor powtórzył słowa nadzorca budowlanego, jego okrzyk zdziwienia i całą resztę.

— Koniec cytatu.

Ron roześmiał się serdecznie. Szczerze mówiąc, nie udało mu się tak rozbawić nikogo od czasu, gdy ostatnio wygłosił słowo wstępne przed kazaniem o duchowej apatii.

— Podejmiemy do ich stolika, gdy będziemy wychodzić. Na pewno spodoba się ojcu Emil Kettner. Szczery. Wzbudza zaufanie. Ceni Bucka, uważa go za prawdziwy filar firmy.

— A co sądzi o jego picciu... o jego wyniosłym zachowaniu?

— Wie o tym. Pilnuje go — wymaga, aby raz na pół roku przeszedł pełne badania lekarskie.

— Kura znosząca złote jajka...

— W pewnym sensie. Ale to coś więcej. Wydaje mi się, że Emil kocha tego bracha.

Andrew Gregory podszedł do nich, żeby się przywitać, emanując

— na ile pastor był to w stanie ocenić — jeszcze większym urokiem, niż gdy widział go ostatnio. Gorąca włoska krew jego matki najwyraźniej stanęła w szranki z angielską powściągliwością jego ojca i odniosła zwycięstwo.

— Mam książkę, którą być może zechciałby ojciec przeglądać. Bardzo wczesna. Wspaniałe sztychy, cudowna oprawa. Proszę zajrzeć kiedyś na poranną kawę. Ron, mam nadzieję, że i ty mi nie odmówisz. Dla ciebie, książka o mostach. Niemiecka. Z osiemnastego wieku.

— Załatwione — odparł pastor.

— Bardzo chętnie — podziękował za zaproszenie emerytowany przedsiębiorca budowlany. — Kto wie, czego się można dowiedzieć ze starej książki?

— Nasz ksiądz i nasz przewodniczący komitetu budowlanego! — wykrzyknęła Edith Mallory.

Miał wrażenie, że rzuciła się na ich stolik jak sęp na padlinę.

— Dzień dobry, dzień dobry! — przywitała ich. Obydwaj mężczyźni wstali.

— Edith...

— Timothy, uważam, że twoje kazanie było doskonałe. Wierz mi, tak bardzo pragnęłam usłyszeć to, co powiedziałeś nam o strachu. Przez te dni, gdy czekałam na wyniki testu, strach mnie absolutnie zżerał. To cudowne, co powiedziałeś o... jak to nazwałeś... o modlitwie za... za...

— Zawierzenia.

— Tak! Pozbądź się tego. Oddaj to Bogu.

— Jak się czujesz?

— Wspaniale! Lepiej niż kiedykolwiek. Czy nie widać?

Chwyliła go za rękę i zobaczyła, że rozcięcie jej bluzki jest znacznie głębsze, niż wydawało mu się godzinę temu, przy drzwiach w kościele.

Widząc, że Ron Malcolm gapi się na jej dekolt jak szczeniak, chwyciła palcami diamentowy wiśiorek u szyi.

— Mała pamiątka, którą podarował mi Pat — zaszczebiotała.

— Aha...

— Widzę, że omawiacie jakieś męskie sprawy, więc wrócę do mojego kotleta cielęcego. Zadzwoń do ciebie jutro, Timothy. Taki drobiazg, który chciałabym załatwić, zanim wyjadę do Hiszpanii w maju. *Hasta vista!*

Ron pokiwał głową, gdy się odwróciła i odeszła.

— Przez chwilę miałem wrażenie, że to ojca zje na lunch — mniejsza o cielęcinę.

Zrobiło mu się słabo.

— Cała ta zgraja z baru Grill stawia mnie pomiędzy młotem a kowadłem.

— Myśli ojciec, że nie wiem? — odparł jego przyjaciel, uśmiechając się.

Buck Leeper zniknął, kierując się w stronę męskiej toalety, akurat gdy oni wstali, żeby wyjść. Ron przedstawił pastora Emilowi Kettnerowi i został porwany przez skarbnika klubu na pięciominutowe spotkanie.

Kettner był postawnym mężczyzną i robił wrażenie serdecznego. Miał stalowoszare włosy, okulary w srebrnych oprawkach i błękitne oczy o przeszywającym spojrzeniu.

Dwaj mężczyźni usiedli przy filiżance kawy.

— Cóż, mam nadzieję, ojciec, że Buck nie przerósł ojca oczekiwań.

— Obawiam się, że niestety tak.

Roześmiali się.

— Doceniam ojca szczerą. Tak, on rzeczywiście przerasta oczekiwania. Sam nie wiem, jak udaje nam się ująć całość, wysyłając go do pewnych prac. Ale z drugiej strony, nie uszlibyśmy całość, gdybyśmy go nie wysłali. Dom Nadziei to duży projekt.

— Zgadza się.

— Przyjechałem tu, żeby się temu przyglądać, sprawdzić wszystko. To taki mały ukłon w stronę ojca komitetu budowlanego. Prace idą pełną parą. — Przerwał na chwilę. — Buck jest cięty na duchownych, może ojciec zauważył.

— Tak, wydaje mi się, że zauważyłem.

— Jego dziadek był księdzem, który dość brutalnie traktował swojego syna. Niestety, syn kontynuował tradycję. „Pan... karze grzechy ojców na synach...”

— „...do trzeciego, a nawet czwartego pokolenia” — powiedział pastor, kończąc werset z Księgi Liczb.

— Praca to jedyna dziedzina życia, w której Buck nie zawodzi i nie popełnia błędów. W tym biznesie nie ma człowieka, który byłby lepszy od niego.

— Wierzę panu.

— Nie chcę go usprawiedliwiać. Coś się jednak wydarzyło w jego życiu, wiele lat temu, gdy był jeszcze w Missisipi. Nikomu tutaj nigdy nie udało się dowiedzieć, co dokładnie. Jakaś strata, coś tragicznego. Czuł się odpowiedzialny. To wszystko, co wiem.

— Dziękuję za pana szczerą.

— Dziękuję za zrozumienie. Zamierzam zaglądnąć jeszcze raz na plac budowy, a potem pędzę do Memphis. — Wyciągnął z kieszeni marynarki wizytówkę. — Jestem do dyspozycji, gdyby mnie ojciec potrzebował.

Nadzorca budowlany wrócił do stolika, ściągnął kurtkę z oparcia krzesła i kiwnął głową w kierunku ojca Tima.

— Zbierajmy się — zwrócił się do Emila Kettnera.

— Mam — oznajmił J.C. w poniedziałek rano. — Nie spałem do drugiej nad ranem, usiłując coś wymyślić. To właśnie to. Na pewno zadziała.

Mule dał znak Percy'emu.

— Czy możesz tu przyjść na chwilę, kolego? J.C. mówi, że coś wymyślił.

Percy opuścił swoje miejsce przy grillu.

— Pośpiesz się. Smażę tyle bekonu, że mógłbym wykarmić cały pluton.

J.C. wyciągnął chusteczkę i otarł twarz.

— Czy stary Pat Mallory nie przychodził tu każdego ranka i nie przesiadywał całymi dniami, odkąd przeszedł na emeryturę? Czyż nie wydawało mu się, że umarł i poszedł prosto do nieba za każdym razem, gdy jadł parówkę Percy'ego z podplomykiem Velmy? Czyż nie wysiedział dziury w ka-

napce, czytając gazety, aż się rozlatywały, w tym pierwszym boksie? Chodziłem w kółko po pokoju ostatniej nocy, aż nagle — bęc! — oświeciło mnie!

J.C. przystanął na chwilę i spojrzął na słuchaczy.

— Zmienimy nazwę na — Grill u Pata. Każda wdowa by na to poszła.

Usiadł zadowolony, jakby właśnie zdradził swoim przyjaciołom najlepszy pomysł, na jaki wpadła ludzkość od czasów wymyślenia krojonego chleba.

— I co myślicie?

— Po moim trupie — rzekł Percy.

Zarzucił ręcznik na ramię i poszedł dumnym krokiem do swojego bekonu.

— No cóż — powiedział Mule.

— Do cholery! — prychnął redaktor.

— Przynajmniej próbowałeś — pocieszył go pastor.

Przez kilka błogosławionych chwil oczy wszystkich spoczywały na J.C. Hoganie. Teraz wszystkie głowy ponownie obróciły się w jego stronę.

Czekali, aż przeredzi się tłum, żeby Percy mógł wypić z gośćmi tylnego boksu filiżankę kawy.

— Jak w rodzinnym grobowcu — zauważył Mule.

— Myślisz, że też podniesie ci czynsz za twoje biuro na górze? — ojciec Tim zapytał J.C.

— Dostałem list wczoraj. Czynsz ten sam, ale za to prasy drukarskie mogą chodzić dopiero po siódmej wieczorem. Doprowadziło mnie to do szewskiej pasji. A ja myślałem, że to kraj wolnej prasy.

— Powinno ci to być zupełnie obojętne — zauważył Mule. — I tak nigdy nie uruchamiasz swoich pras przed siódmą. Raczej bliżej północy.

— Tak, ale rzecz w tym, że powinno to być zależne tylko i wyłącznie od mojego widzimisie — wyjaśnił J.C. — Napisała też, że nie będę miał przejścia schodami do baru i że będę musiał korzystać z tylnego wejścia.

Wytał twarz chusteczką.

— Wiedźma na miotle...

— A kto by chciał schodzić po schodach, żeby wejść do sklepu pełnego kobiet? — zapytał Mule.

J.C. rozglądnął się po pomieszczeniu, w którym zrobiło się spokojnie.

— Gdzie jest Percy?

— W piwnicy — odparł pastor. — Widziałem, jak schodził tam przed chwilą.

— Co się stanie z Velmą? Wiemy, że Percy'ego to zabije, więc nie ma się nad czym zastanawiać — wyjaśnił J.C.

Mule wypił kawę do dna.

— Velma powiedziała, że będzie musiała wrócić do pracy. Mają jakieś oszczędności, ale nie za wiele. Wiecie, jak pomogli swoim dzieciom, wysłali je do college'u, a jednemu kupili ten mały domek...

— Oto i on — powiedział pastor.

Percy usiadł przy ich stoliku z filiżanką kawy. Wyglądał na przygnębionego.

— Jakby nie dość było tego wszystkiego, wysiada mi kręgosłup. W dodatku przysłali mi kaszę jęczmienną zamiast kukurydzianej — nigdy w życiu nie uda mi się sprzedać kaszy jęczmiennej.

— Chciałem ci powiedzieć, że rozmawiałem z kimś, kto zajmuje się handlem nieruchomościami — powiedział Percy'emu pastor. — Wydaje mi się, że ma idealne miejsce dla baru Grill, czy to tu... czy tam...

— Kto to taki? — rzucił gniewnie Mule. Pastor uśmiechnął się.

— Pan Bóg.

— Och — westchnął Mule.

— To dokładnie ten sam gość, który sprowadził tu pięćdziesiąt dwa lata temu mojego tatę — powiedział Percy, ożywiając się. — Wszyscy mówili, że mój tato jest szalony, że chce karmić ludzi, gdy obok toczy się wojna. On był jednak pobożnym człowiekiem i gdy dobry Bóg dał mu szansę, on z niej skorzystał i zajął się gotowaniem. Bochenek chleba kosztował piętnaście centów, kilogram ziemniaków osiem, a czynsz wynosił dziesięć dolarów miesięcznie.

— Oleomargaryna była biała — kontynuował Mule. — Kupowało się ją w plastikowych workach, z małą kolorową kapsułką w środku. Naciskało się tę kapsułkę i wydostawała się z niej jakaś zabarwiona substancja. Potem mieszało się całą zawartość worka, aż margaryna nabierała ładnego koloru i wyglądała tak, że myślałeś, że to masło.

— Nie myślcie, że ja sam nie modliłem się raz czy dwa — mówił dalej Percy — szczególnie w siedemdziesiątym czwartym. Był raz taki tydzień, gdy największy rachunek, jaki wystawiłem, był na kanapkę ze smażonym jajkiem i batonik Baby Ruth.

Rozmowa ucichła i wszyscy spojrzeli na pastora.

— Muszę uciekać — powiedział całkiem szczerze.

— Kiedy zamierza to ojciec zrobić? — zapytał Mule.

— Dzisiaj.

Dokładnie zaplanował sobie, co jej powie, gdy zadzwoni do niego, żeby omówić z nim ten „drobiazg”, o którym wspominała. Przemyślał też dokładnie, co jej powie, gdy będą jechać na lunch... jego samochodem.

Zapisał wszystko na kartce, przygotowując się jak do kazania. Potem chodził po pokoju, powtarzając na głos to, co zamierzał powiedzieć.

Poprosi ją o znaczne zmniejszenie proponowanej podwyżki czynszu, uzasadniając to tym, że Grill jest lojalnym, długoterminowym najemcą, który zawsze płacił czynsz w terminie i nigdy nie prosił o nic ponad odrobinę farby i nową toaletę. Czego może zażądać sklep z odzieżą damską? Wszystkiego, poczynając od tapet, a na dywanach kończąc, nie wspominając nawet o usunięciu zacieku na suficie, który od czasu burzy śnieżnej powiększał się jak obłok chmury.

Gdyby się nie ugięła i nie zgodziła na mniejszą podwyżkę czynszu, wtedy zamierzał prosić ją o więcej czasu, powiedzmy, do końca czerwca, dopóki Percy nie znajdzie jakiegoś innego miejsca.

Na wypadek gdyby zadzwoniła, nie poszedł na lunch, wypił jedynie dietetycznego Sprite'a i zjadł paczkę krakersów. Starł kurz z półek z książkami, próbował napisać list do Cynthii, ale niestety, bez sukcesu, i w zamian skreślił kilka listów do dzieci ze Szpitala Dziecięcego. Ponieważ nie pozwalał Emmie, aby zbyt długo przetrzymywała oczekującą rozmowę, nigdzie nie dzwonił na wypadek, gdyby zadzwoniła Edith i musiała się śpieszyć z powodu telefonu jakiejś innej, dzwoniącej do biura osoby.

Chciał być gotowy i był gotowy. Zaczynał się niecierpliwić. Znalazł nawet dwie pozytywne rzeczy, które mógł powiedzieć Edith Mallory o niej samej, i zapisał je na kartce, na wypadek, gdyby zapomniał, co to takiego.

Zaprosi ją na lunch do Wesley, na jutro, do tego miejsca z zielonymi obrusami — zrobi wszystko, co w jego mocy, i niech się dzieje wola Boga.

Jeśli chodzi o strategię, będzie się trzymał konkretów. I — będzie panował nad sytuacją. Był tylko jeden problem. Nie zadzwoniła.

Rozdział czternasty

Z POWROTEM W DOMU

Czekał dwa dni.

Skoro ona do niego nie zadzwoniła, on zadzwonił do niej. Magdolen powiedziała mu, że panna Edith musiała pojechać niespodziewanie na Florydę, coś związanego z jakimiś dawnymi interesami pana Mallory'ego. Nie, nie wiedziała, kiedy wróci, i tak, jedzie do Hiszpanii w maju, jak tylko nowy sklep wprowadzi się do jej budynku na Main Street.

Poprosił o jej numer na Florydzie i nosił go ze sobą w kieszeni jak bombę zegarową.

Stronił też od baru Grill.

Tatamtatamtatamtatam...

Zapukał mocno do jej drzwi.

— Kuzynko Meg! Cisza.

— Cholera, zabierz swoją maszynę z podłogi!

Szedł już z powrotem, gdy odrobinę uchyliła drzwi i spojrzała na niego gniewnie.

— Jeśli nie masz nic naprzeciw — powiedziała — lepiej mi się pracuje na podłodze. Nie potrafię myśleć na krześle.

Nie tylko na krześle nie potrafisz myśleć, powiedział sam do siebie. Odwrócił się i spojrzał na nią.

— Z podłogi!

Trudno musi być trzasnąć drzwiami, otwartymi jedynie na osiem centymetrów.

Robił to, co do niego należy.

Spędził kilka godzin, telefonując, sporządzając listę szkół i osób, z którymi należy się kontaktować, łącznie z księdzem, który pomagał chłopcom z biedniejszych środowisk dostać się do wybranych szkół z internatem, a także przygotowujących na studia.

Dooley będzie musiał przejść testy, w tym testy kompetencyjne z angielskiego, fizyki, chemii i algebry. Na pewno będzie potrzebował korepetycji z języka angielskiego. I nie, nie sposób, w jaki się wysławia, będzie kwestią jego być albo nie być, ale to, jak będzie mu szło pisanie wypracowań z języka ojczystego.

Będą też — a może przede wszystkim — potrzebowali silnego poparcia i rekomendacji dwóch lub trzech jego obecnych nauczycieli.

O trzeciej po południu zostawił na chwilę całe to wyczerpujące zadanie i dla rozrywki poszedł odwiedzić chorych w szpitalu.

Później zdał sobie sprawę, że skoro odwiedzanie chorych w szpitalu stanowiło jego ulubioną formę rozrywki, to było z nim naprawdę źle.

Joe Ivey załatwiał dzisiaj jakieś sprawy poza miastem i na znajdujących się u szczytu schodów drzwiach do swojego zakładu wywiesił tabliczkę z napisem: „Zamknięte”. Czując się jak podstępny złodziej, zadzwonił do Fancy Skinner, u której ktoś odwołał wizytę i która mogła go w takiej sytuacji przyjąć.

— Dobry Boże! Nie mogę pojąć, co też się dzieje ojcu z tymi włosami nad uszami. Znowu wygląda ojciec jak wiewiórka. A mnie się wydawało, że ojca z tego wyleczyłam.

— Gdybym była mężczyzną i zobaczyłabym, że z naprzeciwka nadchodzi Joe Ivey, przeszłabym na drugą stronę ulicy. A tak w ogóle, to czym on ojcu obcinał włosy, zardzewiałym ostrzem piły?

— Czy zgadnie ojciec, ile kawy wypiałam dzisiaj rano? Nie uwierzy mi ojciec. Cały dzbanek! Nigdy w życiu nie wypiałam całego dzbanka kawy! Muszę przyznać, że gadam po tym jak najęta. Proszę zobaczyć, jak trzęsą mi się ręce. Mam nadzieję, że nie odetnę ojcu ucha ani nie zrobię ojcu dziury w głowie. Proszę się nie ruszać, na litość boską. Widzi ojciec, o co mi chodzi? O te kępki włosów nad uszami. Gotowe! Proszę spojrzeć. Sto razy lepiej — a nawet nie skończyłam.

— Domyślam się, że ojciec wie, co się dzieje w barze Grill. Mule jest tak przygnębiony, że aż trudno uwierzyć. Można by pomyśleć, że traci dach nad własną głową. Powiedział mi, że zamierza ojciec się postarać, żeby zmieniła zdanie. Skoro jest ojciec księdzem i tak dalej, to być może zdoła ojciec nakłonić ją do wszystkiego. Osobiście jest mi to zupełnie obojętne, czy będziemy mieć sklep z damską odzieżą, czy też nie. Ja zamawiam wszystko z katalogów i zupełnie mi to odpowiada, z wyjątkiem oczywiście butów. Nie zamówiłabym butów z katalogu, a ojciec?

— Och, nie. Czy widzi ojciec ten maluteńki nerw, który mi pulsuje w oku? To takie krępujące. Zapomniałam, że zawsze mi się tak dzieje, gdy wypiję dzbanek kawy. Zupełnie nie wiem, dlaczego to zrobiłam. Nie mam zielonego pojęcia. Mule powiedział: „Tylko nie wypij tego całego dzbanka kawy”, ale potem poszedł do baru, a ja wypiałam. Czy zdarza się ojcu zrobić coś, przed zrobieniem czego ktoś ojca przestrzegali, i ojciec wie, że ta osoba ma rację, ale mimo to ojciec to robi, bo nie może nic na to poradzić?

— Ma ojciec napiętą skórę głowy. Powinien ojciec spróbować się zrelaksować. Daję głowę, że bycie księdzem to ciężki zawód. Mam na myśli tych wszystkich ludzi, którzy tylko patrzą, czy aby postępuje ojciec zgodnie z tym, czego ojciec naucza, prawda?

— Nie zapytałam nawet ojca, czy chciałby ojciec dietetyczną coca-colę? A może wołałby ojciec Sprite'a? Proszę mi powiedzieć. Oferuję zimne napoje gratis. Często wolałabym kawę, ale tyle po niej sprzątnięcia — jak po paleniu w kominku. Mule powiedział: „Czy chcesz palić w tym roku w kominku?” A ja odpowiedziałam: „Nie. Tyle po tym sprzątnięcia”. Założę się jednak, że ojciec pali w kominku. Wygląda ojciec na kogoś, kto pali w kominku.

— Och, Boże, ależ mieliśmy zimę! Czy przyszedłoby ojcu coś takiego do głowy? Ja jeszcze nie doszłam całkiem do siebie. Burza śnieżna! Da ojciec wiarę? I śnieg w kwietniu. Czy to może był marzec? Nie pamiętam. Odkąd otworzyłam ten salon, nie mam czasu nawet pomyśleć.

— No proszę, niech ojciec spojrzy na siebie. Jest ojciec przystojny, że aż przyjemnie popatrzeć. Czy ma ojciec dziewczynę? Mule mówił mi coś o ojca sąsiadce. Niech sobie przypomnę. Och, tak. Nie powinnam tego powtarzać, ale co mi tam — mówił, że ma wspaniałe nogi. Czy naprawdę ją ojciec lubi? Nie musi mi ojciec odpowiadać — wiem, że to osobiste pytanie. Ale mam nadzieję, że tak, bo ludzie nie powinni mieszkać sami. To szkodzi zdrowiu. Oczywiście, ojciec ma psa. To podobno pomaga.

— No i co? Co ojciec myśli? Widzi ojciec, jak to wyszczupła ojcu twarz? Powinien mi ojciec pozwolić raz na jakiś czas nałożyć ojcu maseczkę. Mówię całkiem poważnie. Mężczyźni w Los Angeles i w Nowym Jorku robią to na co dzień. To oczyszcza pory. Och, i Włosi, oni też robią sobie maseczki. Oni noszą nawet torebki, wiedział ojciec? Włosi są inni. Moja przyjaciółka chodziła kiedyś z Włochem. Był strasznym macho, nie uwierzyłby ojciec. Jak można być macho i nosić torebkę, zastanawiam się? Nie mam zielonego pojęcia.

— Och, jej, ta kawa naprawdę mnie nakręciła. Tak, to będzie dziesięć dolarów. Nie, sześć! Zapomniałam — ojciec jest duchownym.

Zamknął drzwi do salonu, potem zamknął oczy i modlił się.

Równie dobrze mógłby oczekiwać, że uda mu się zmienić bieg rzeki, co że z tej rozmowy wyniknie cokolwiek dobrego — ale gdzie była jego wiara?

Ed Coffey odebrał telefon w mieszkaniu Edith w Boca Raton.

— Rozmawia z kimś na tarasie, ojczu.

— Mogę zadzwonić później.

— Och, nie. Jestem pewien, że panna Mallory będzie chciała z ojcem rozmawiać.

Czekał całą wieczność.

— Proszę — powiedziała Edith, wydychając dym do słuchawki.

— Edith, mówi Tim.

— Tak, Timothy.

Sądząc po entuzjazmie, jaki usłyszał w jej głosie, mógł być kimś z izby skarbowej.

— Jaka u was pogoda?

— Ładna.

Nie poddawał się.

— U nas też. Mówiłaś, że chcesz o czymś porozmawiać, zanim wyjedziesz do Hiszpanii...?

— Nic pilnego.

Czyżby mówiła przez zęby?

— Aha. A mogę zapytać, kiedy wracasz do domu?

— Nie wiem. Ale wiem, dlaczego do mnie dzwonisz.

— No cóż, żeby dowiedzieć się, o czym chciałaś porozmawiać przed wyjazdem do Hiszpanii...

— Dzwonisz, bo już niedługo pozbawię cię twojego ukochanego baru Grill i chciałbyś odwieść mnie od tego pomysłu.

— Edith...

— Nie mam pojęcia, co wy, mężczyźni, widzicie w tej lepkiej dziupli w ścianie. Mój mąż chodził tam każdego ranka, przez całe swoje życie. Można by pomyśleć, że płacili mu za otwieranie lokalu. Magdolen i ja błagałyśmy go, żeby zjadł coś sensownego we własnym domu, ale nie! Szedł prosto do baru, jadł tam Bóg wie co i wracał do domu, cuchnąc tłuszczem, co — według mnie — go zabiło.

— Tłuszczem?

— Wbrew zaleceniom lekarza zajadał się parówkami, podplomykami, kaszą i wieloma innymi rzeczami, które siały spustoszenie w jego organizmie. I gdzie jest teraz?

Odpczywa w pokoju, chciał powiedzieć.

— Podniesienie czynszu o drugie tyle jest...

— ...jest rozsądnym posunięciem, Timothy. Jest tutaj mój księgowy. Właśnie o tym rozmawialiśmy. Spróbuj się postawić na moim miejscu. — Jej gniew ustąpił, a jego miejsce zajął znany mu płaczliwy ton. — Jeśli ja nie zaopiekuję się Edith, to kto to za mnie zrobi?

Jej nastrój przechodził metamorfozę. Mrugała rzęsami, po prostu to czuł.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, gdy wrócisz do domu — powiedział.

Westchnęła do słuchawki.

— Nie pozwolę, żebyś się wywinął od zrobienia dla mnie pewnej drobnej rzeczy, chociaż mam nadzieję, że będziesz próbował.

— Nie mam pojęcia — stwierdziła pani burmistrz, wysysając przez rurkę resztki swojej dietetycznej coca-coli. — Jeśli ktoś chce podnieść czynsz, podnosi czynsz. To nadal wolny kraj, chociaż Bóg raczy wiedzieć, jak długo to jeszcze potrwa z tą hałastrą, którą wysłaliśmy do Waszyngtonu.

— Nie możemy mu nadać rangi zabytku czy coś takiego?

— To nic nie zmieni. A tak w ogóle, dlaczego nie porozmawiasz o tym z właścicielką? Słyszałam, że wpadłeś jej w oko.

Sposepniał.

— Pani burmistrz, jeśli nie pani, to kto może nam pomóc w walce z postępem w tym miasteczku?

— Prawdę powiedziawszy, czuję się zbyt stara, żeby zwalczać postępek. A jeśli zdradzi ojciec komukolwiek, że tak powiedziałam, to powiem, że ojciec kłamie. Marzę tylko o tym, żeby zanurzyć się z Rayem w Winnebago i pojechać na ryby do Kolorado.

— Zabierzcie mnie ze sobą! — poprosił błagalnym głosem.

Zakończyli właśnie czytanie psalmu poprzedzającego antyfonę, gdy podniósł oczy i ujrzał wyjątkowy obrazek.

Barnaba podążał wolno przejściem pomiędzy ławkami, podczas gdy para zdumionych szwajców przyglądała mu się z niedowierzaniem.

Dotarł do pierwszej ławki w lewym rzędzie i zatrzymał się, odwracając się tak, że patrzył prosto w oczy przestraszonego mężczyzny.

Czy to był sen? Nie, to był koszmar, bo Barnaba lizał teraz jakiegoś zupełnie nieznanego — przypadkowego turystę — w prawe ucho.

— „Miłość niech będzie bez obłudy!” — płynęły słowa Pisma Świętego. — „Mieście wstręt do złego, podążajcie za dobrem!”

Jak mógł zapomnieć o zamknięciu drzwi do garażu? Nigdy w życiu nie zapomniał zamknąć drzwi do garażu. Słyszał śmiech, zaraźliwy jak odra.

— „...W okazywaniu czci jedni drugim wyprzedzajcie! Nie opuszczajcie się w gorliwości! Bądźcie płomiennego ducha!”

Barnaba spojrział na ambonę, potem westchnął i położył się, opierając głowę na bucie przybyśsza. Mężczyzna wytarł okulary i ucho chusteczką, uśmiechając się szeroko, po czym z wytężoną uwagą wysłuchał do końca czytania z Listu do Rzymian.

— „Nikommu złem za złe nie odpłacajcie. Starajcie się dobrze czynić wobec wszystkich ludzi! Jeżeli to jest możliwe, o ile to od was zależy, żyjcie w zgodzie ze wszystkimi ludźmi! Umiłowani, nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości, lecz pozostawcie to pomście Bożej. Napisano bowiem: »Do Mnie należy pomsta, Ja wymierzę zapłatę« — mówi Pan”.

To zdumiewające, doszedł do wniosku, że jego pies stał przy odmawianiu *Credo* i potem jeszcze raz, gdy śpiewano pieśń na zakończenie.

„Droga Cynthio,

już niedługo rozbłyśnie na powrót światło w ciemnych oknach małego żółtego domku; krzewy zakwitną, drzewa okryją się liśćmi, a strzyżyki zbudują gniazdo pod Twoim dachem. Przybywaj więc spiesznie do domu, aby te wszystkie dobre rzeczy mogły się zdarzyć.

Jeśli powiesz mi, kiedy przyjeżdżasz, chciałbym wyjechać po Ciebie na lotnisko.

U nas wszystko w porządku, jest tylko jedna rzecz, która mnie smuci i o której chciałbym Ci powiedzieć. Szukam szkoły dla Dooleya. Na szczęście jest ich niemało, ale przed jesienią muszę zorganizować dla niego trochę korepetycji. Prawdopodobnie wybierzemy się na mały przegląd szkół, jak tylko skończą mu się zajęcia w szkole w Mitford, w czerwcu.

Cieszymy się na Twój powrót do domu”.

Zastanawiał się, jak podpisać list. Być może mógłby się tym nawet zadrećzać, ale postanowił tego nie robić. Czy ją kochał? Oczywiście. Co do tego nigdy nie miał wątpliwości.

„Z wyrazami miłości, Timothy”.

— Gdzie te KitKaty, co były w szufladzie w kuchni?

— Gdzie są KitKaty, które były w szufladzie w kuchni?

— No właśnie, gdzie te KitKaty? — zapytał Dooley.

— Gdzie są KitKaty?

— To ja pytam ojca. Tu nie.

— Tu ich nie ma.

— To właśnie powiedziałem. Nie mógł powstrzymać śmiechu.

— Dooleyu Barlowe, mam ochotę skrócić ci szyję.

— Będzie mnie ojciec musiał złapać — odparł Dooley, uśmiechając się.

— Na Boga, spróbuj zadać to pytanie poprawnie. Według Marge Owen mówisz jak stypendysta imienia Cecila Rhodesa. No, nie daj się prosić.

— Gdzie są te cholerne KitKaty?

— Tak lepiej. A odpowiedź brzmi: nie wiem.

— Ja myślę, że to ta kobieta je zjadła.

— A może to ty je zjadłeś, tylko o tym zapomniałeś?

— Takich rzeczy nie zapominam. Pamiętam, czy jadłem batoniki, szczególnie że te odłożyłem dla siebie i Tommy'ego.

— Zajmę się tym — obiecał.

Co było gorsze — wywołane tikiem nerwowym drganie prawego policzka, które męczyło go ostatnio, czy ściskanie w żołądku?

— Koty? — zapytała, przyglądając mu się, jakby nie mogła zrozumieć, o co mu chodzi. — Nie cierpię kotów.

— Nie. Chodzi mi o batoniki. Batoniki, które były w szufladzie, po lewej stronie od zlewozmywaka. To szuflada Dooleya ze słodyczami.

— Nic nie wiem o żadnych batonikach — odparła z obrzydzeniem. — Nie tykam się słodyczy.

Co mógł powiedzieć?

Mgła była gęsta, popołudnie zimne, a jej samolot się spóźniał. Pił kawę w kawiarence terminalu, wielkości garderoby w jego sypialni, i wyglądał przez okno, pilnie wpatrując się w niebo.

— Ciężkie warunki pogodowe w Charlotte — poinformowano go w recepcji lotniczej. — Kolejna godzina, może dwie.

Przeczytał zostawioną przez kogoś gazetę, sprawdził mocz, zrobił na odwrocie serwetki parę notatek do kazania, przeszedł się kilka razy po pomieszczeniu i przyglądał się lekturze kilku przypadkowych podróźnych. Grisham, Clancy i Steel zdawali się bezapelacyjnie wygrywać.

Mgła przerodziła się w deszcz, gdy samolot pasażerski Fokker podchodził do lądowania, dwie i pół godziny po planowej godzinie przylotu.

Patrzył na nią, kiedy pojawiła się w drzwiach, a potem schodziła po schodach samolotu, pod parasolem, który gorliwy pracownik linii lotniczych rozłożył nad jej głową.

Poczuł, że jakaś nić porozumienia została zerwana, jak gdyby mogło się okazać, że będzie musiał zacząć ją poznawać jeszcze raz, od początku, i jak gdyby wracała do niego z bardzo daleka.

Trzymając parasolkę linii lotniczych w jednej ręce, pomógł Cynthii zająć miejsce na przednim siedzeniu, postawił z tyłu klatkę z Violet i załadował do bagażnika walizki.

Miał przemoczone buty. Kto by pomyślał, że z niebios spadnie taka ulewa, skoro jeszcze w południe Mitford skąpane było w słońcu i wszędzie słychać było śpiew ptaków?

Odniósł parasolkę do stanowiska lotów i pobiegł do samochodu.

— Cholera — powiedział, wślizgując się za kierownicę samochodu. Powitał go ledwie wyczuwalny zapach wistarii.

— Dziękuję, Timothy.

— Za co?

— Za to, że na mnie czekałeś. Za to, że w ogóle przyjechałeś. Za to, że na dodatek przemokłeś do suchej nitki.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odpowiedział, usiłując rzeczywiście tak myśleć.

Gdy zbliżali się do Mitford, ucichła i zaczęła szukać czegoś nerwowo w portmonetce.

— Ojej! — zawołała.

— Co się stało?

— Mój klucz do domu! Był na breloczku, który zostawiłam w apartamencie. To okropne.

— Nie martw się. Mam twój klucz, pamiętasz? Był mi potrzebny, żeby dostać się do twojego domu i zabrać światełka na Boże Narodzenie.

— Dzięki Bogu!

Usiadła z powrotem wygodnie na fotelu i uśmiechnęła się do niego.

Był pod wrażeniem jej ciepłej obecności i tego, jak wyglądała w ciemnoróżowym wełnianym kostiumie koloru hiacyntów.

Mimo że ich rozmowa nie szła jak po maśle, poczuł się lepiej — jakby ktoś dodał mu otuchy.

Nie mógł jednak znaleźć jej klucza.

Siedziała w kuchni, z Violet wijącą się w klatce i Barnabą szalejącym w garażu, podczas gdy on przeszukiwał szuflady biurka. Zamierzał wpiąć klucz do swojego pęku kluczy, ale nigdy tego nie zrobił, a teraz ganił się za to, że w tak głupi sposób udaje mu się gubić ważne rzeczy. Wolał nawet nie myśleć o broszce — nie w tej chwili, bo byłoby to ponad jego siły.

Wrócił do kuchni.

— Nie tylko ty nie możesz znaleźć swojego klucza. Włożyłem go do szuflady w biurku i najnormalniej w świecie go tam nie ma.

Włączył palnik pod czajnikiem i usiadł naprzeciwko niej, przy stole.

— O Boże — westchnęła.

Violet prychnęła. Słyszał, jak Barnaba uderza w drzwi oddzielające garaż od holu.

— Być może któreś z twoich okien jest niedomknięte?

— Nigdy nie zamykam okien od strony twojego domu, ponieważ tak często je otwieram latem.

— Wobec tego mógłbym użyć twojej drabiny — moja nie jest wystarczająco długa — i znajdziesz się w domu szybciej, niż myślisz.

— Cudownie! Postaram ci się jakoś to wynagrodzić.

— Nawet o tym nie myśl. Napijmy się najpierw herbaty, co ty na to?

— Z ogromną chęcią! A czy masz odrobinę mleka dla Violet?

— Jeśli Dooley nie wypił całego kartonu — odpowiedział, przeszukując lodówkę.

Zostawił Cynthię z herbatą i talerzykiem maślanych ciasteczek, a Violet ze spodeczkiem mleka, i poszedł po swój płaszcz przeciwdeszczowy, który wisiał w garażu.

Gdy wchodził z powrotem do holu, usłyszał dobiegającą z kuchni rozmowę.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry. Jestem Cynthia, sąsiadka z domku obok.

— Meg Patrick.

— Tak, no cóż...

Usłyszał trzaśnięcie otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Jego kuzynka była prawdopodobnie ubrana w ten zjedzony przez mole szydełkowy szlafrok i miała na sobie pantofle z dziurami na palcach. Na samą myśl przeszły go ciarki.

— I jak... upływa pani tutaj czas? — zapytała Cynthia.

— W porządku. Bardzo przyjemnie, wszystkie wygody. A mój kuzyn jest takim troskliwym człowiekiem.

— Tak, zgadzam się z panią całkowicie. Jesteście... bliskimi kuzynami?

— Prawdę powiedziawszy, nie. Trzeci stopień pokrewieństwa. Chociaż w Irlandii ludzie tak ze sobą spokrewnieni często stają się sobie bardzo bliscy — nie do rzadkości należą takie małżeństwa.

— Naprawdę?

— Moja własna mama wyszła za mąż za kuzyna.

— Rozumiem.

— To na razie.

— Na razie.

Wszedł do kuchni w chwili, gdy jego kuzynka wspinała się już po schodach, i zobaczył, że oczy Cynthii są okrągłe ze zdumienia.

Przetrzywał właśnie podręczną szufladę w kuchni w poszukiwaniu dłuta i młotka, gdy zadzwonił telefon.

— Czy mogłabyś odebrać? Powiedz, że jestem zajęty i że oddzwonię.

Nie mógł się już doczekać, kiedy wytarga tę cholerną drabinę z jej piwnicy i wlokąc ją ze sobą, obejdzie jej dom w ulewnym deszczu, poszukując nie domkniętego okna.

— Proszę? — powiedziała Cynthia.

— Dzień dobry. Czy zastałam pana domu?

— Jest w tej chwili zajęty. Czy może do pani oddzwonić?

— Proszę mu tylko powiedzieć, że Edith wróciła i że już nie może się doczekać, kiedy będzie się mogła z nim spotkać na tę małą pogawędkę, o której kiedyś mówiliśmy. Być może przy kolacji. Może zadzwoni do mnie później? Proszę mu powiedzieć, że mogę wysłać po niego samochód... w każdej chwili.

— Ach, tak?

— Pani musi być tą pomocą domową, o której tak dużo słyszałam. Cynthia rzuciła słuchawką telefonu.

— Wielkie nieba — szepnęła, oblewając się szkarłatnym rumieńcem. — Nie pozwoliłam jej dokończyć. Nie wiem, co mnie napadło.

— A kto to... był?

— Nie wiem, co we mnie wstąpiło, nigdy w życiu nie zdarzyło mi się rzucić słuchawką telefonu, a teraz zrobiłam to dwa razy z rzędu.

Wolno schował młotek do jednej kieszeni.

— Dzwoniła Edith — powiedziała. — Ta kobieta z lincolna. Schował dłuto do drugiej kieszeni.

— Najnormalniej w świecie ustawiają się do ciebie w kolejce.

Miała bardzo dziwny wyraz twarzy. Czy wybuchnie zaraz płaczem, czy też rzuci w niego jakimś przedmiotem? Stał zupełnie bezbronny na środku kuchni.

— Ustawiają się... w kolejce? — zapytał łamiącym się głosem.

— Najpierw twoja tak zwana kuzynka, która sprawia wrażenie, jakby wprowadziła się tutaj na stałe, i dziękuję ci za to, że nigdy mi nie powiedziałeś, że jest olśniewającą pięknoscą! A teraz ta... ta Edith, która mówi, że może przysłać po ciebie samochód w każdej chwili, żebyście mogli spotkać się

na tę pogawędkę, której tak nie możecie się doczekać. Bardzo mi przykro, że musiałeś wyjechać po mnie na lotnisko, bo najwyraźniej zupełnie zdezorganizowało to twoje bujne życie towarzyskie.

Chwyliła klatkę Violet i wybiegła z domu, a potem w dół po schodach, zanim zdążył się zorientować, co się w ogóle stało.

— Cynthia! Gdzie biegniesz? — zawołał, stając w drzwiach.

Padający deszcz był nie tylko jednostajny — przerodził się w prawdziwą ulewę.

Odwrociła się i spojrzała na niego gniewnie, już przemoczona.

— Do miejsca, gdzie ludzie są uczciwi i przyzwoici, i gdzie mówią szczerą prawdę, a nie kłamstwa!

— Mam nadzieję, że ta Valhalla nie znajduje się w sąsiednim domu, bo tam się, niestety, nie dostaniesz.

Przez chwilę wyglądała na zbitą z tropu.

— Wobec tego zamieszkać w swoim samochodzie! — zawołała i pobiegła w stronę żywopłotu.

Był już na ganku, gdy nagle to do niego dotarło.

Nie mógł użyć jej drabiny, żeby dostać się do środka, ponieważ drabina znajdowała się w piwnicy, a jedyna droga do jej piwnicy prowadziła przez drzwi w holu.

Gdyby nie był prawie abstynentem, wypiłby podwójną szkocką. Z lodem, i to natychmiast. Dlaczego ostatnio miał wrażenie, że zamiast mózgu ma wodę? Nie był w stanie myśleć logicznie przez pełne pięć minut.

Jedynym wyjściem było wybicie okna w piwnicy. Ale czy będzie się mógł wtedy dostać do holu przez znajdujące się u szczytu schodów drzwi? O ile dobrze pamiętał, te drzwi były przeważnie zamknięte na klucz.

Czy byłby w ogóle w stanie wyciągnąć tę jej mamucią drabinę przez okno w piwnicy, nawet gdyby udało mu się najpierw samemu przez nie wślizgnąć? Czyż nie widział tych okien, gdy wydobywał Violet ze zsypu na węgiel, i czyż nie były wyjątkowo wąskie?

Ślusarz. To jedyny ratunek.

Ale gdy zadzwonił do jedyne reklamującego swoje usługi w okolicy ślusarza, usłyszał tylko automatyczną sekretarkę. Bez przekonania zostawił mu wiadomość, prosząc, żeby do niego zadzwonił, i odłożył słuchawkę, czując, jak pod jego płaszczem przeciwdeszczowym zaczynają się zbierać kropelki wody.

Przeszedł przez nasiąknięty wodą trawnik, przedostał się przez żywopłot i skierował swoje kroki za żółty domek, mijając po drodze jej garaż. Zobaczył niewyraźny zarys jej głowy na przednim siedzeniu w szarej mazdzie.

Meg Patrick olśniewającą pięknnością? Wzdragał się na samą myśl. Czy pracowała tak ciężko w Nowym Jorku, że zaczynał ją zawodzić wzrok?

Okna do piwnicy były nie tylko zbyt wąskie, żeby wyciągnąć przez nie drabinę, ale zdecydowanie za małe, żeby mógł wejść przez nie do środka.

Wszedł do garażu, ociekając wodą, i zapukał do okna jej samochodu.

Opuściła je do połowy.

— Dzień dobry, czy to rezydencja panny Coppersmith?

— Tak — odparła z kamienną twarzą.

— Szanowna pani, mamy pewien problem. Jestem za wielki, żeby wejść przez pani okno do piwnicy i wyciągnąć pani drabinę, która zresztą i tak jest na to za szeroka. Sama więc pani widzi... Ale może zechciałaby pani chwilowo zmienić swój adres i wprowadzić się do domu pastora, gdzie — jestem pewien — ogień na kominku i talerz zupy byłby całkiem dobrym rozwiązaniem?

— Czy nie macie chłopca?

— Chłopca?

— Tak, chłopca, który jest wystarczająco mały, żeby przedostać się przez okno w piwnicy.

— Niestety, w chwili obecnej, droga pani, cierpimy na ogromny brak chłopców. Poza tym, drzwi prowadzące z pani piwnicy do holu mogą być zamknięte, co oznacza, że nie udałoby się nam dostać do środka, nawet gdybym zorganizował cały tuzin chłopców.

Popatrzyła przed siebie, na wiszącą na ścianie motykę i westchnęła głęboko.

— Czy pamięta pani, czy drzwi z holu do piwnicy są zamknięte?

— Zawsze je zamykam, gdy gdzieś wyjeżdżam, żeby nic... nie weszło po schodach na górę.

— Zupełnie słusznie — odpowiedział, również wzdychając.

— Przypuszczam, że nie chciałby pan spróbować wejść przez zsyp na węgiel? — zapytała, nadal na niego nie patrząc.

Violet wiała się w klatce stojącej na siedzeniu pasażera.

— Nie, miła pani, wchodzenie przez zsyp na węgiel nie mieści się w naszych kompetencjach. Taka jest polityka firmy. Próbowaliśmy tego kiedyś, ale nasi ludzie cały czas ześlizgiwali się w dół i lądowali dokładnie w miejscu, z którego zaczęli.

— To wierny obraz moich stosunków z najbliższym sąsiadem — rzuciła gniewnie.

— W rzeczy samej — odpowiedział zadowolony z siebie.

Siedzieli na przeciwległych końcach sofy w salonie, a pomiędzy nimi na poduszce leżało pudełko chusteczek higienicznych.

Violet spała zwinięta w kłębuszek na kolanach Cynthii, a Barnaba leżał na chodniku w kuchni, przywiązany za smycz do gałki tylnych drzwi. Pastor stwierdził, że ma tylko dwie możliwości: może zostawić swojego psa w garażu, gdzie będzie się czuł ukarany, mimo że w niczym nie zawinił, albo przywiązać go do gałki od drzwi, gdzie — gdyby Violet wyrwała się swojej pani — drzwi wyrwane z zawiasów będą najgorszym, co może się zdarzyć.

Deszcz zacinał w okna, ogień na kominku trzaskał, zegar tykał.

— Kocham tykanie zegara — powiedziała ze smutkiem. Kichnęła.

— Czy ktoś jeszcze ma twój klucz?

— Na zdrowie. Nikt z wyjątkiem Davida, który podróżuje obecnie w interesach na Dalekim Wschodzie.

Mógłby wybić szybę w jej zewnętrznych drzwiach, ale nie powiedział tego na głos. Kichnęła.

— Na zdrowie — powiedział.

— Mógłbyś stanąć na tylnym ganku i Dooley mógłby ci wejść na ramiona, przechylić się przez barierkę i spróbować otworzyć okno w łazience na dole — powiedziała.

— Niezły pomysł.

Oczami wyobraźni widział, jak ta cyrkowa figura przewraca się wprost do znajdującego się w dole błota, a oni sami wychodzą z tego jedynie z drobnymi złamaniami. Kichnęła.

— Na zdrowie. Może ślusarz oddzwoni.

— Może.

Otoczyła się ramionami.

— Zamieniam się w sopel lodu.

— Może się położysz, a ja poprawię drewno na kominku?

— Jestem na nogach od czwartej rano — stwierdziła. Wyglądała bardzo mizernie.

Przyniósł poduszkę z fotela, a ona położyła się posłusznie. Przykrył ją wełnianym pledem w kratkę, który leżał złożony na oparciu sofy.

— Teraz lepiej? — zapytał, patrząc na jej zwiniętą postać. Ledwie usłyszał, jak szepnęła:

— Jak w niebie. Położył dłoń na jej czole.

— Ciepłe — stwierdził i kichnął.

Spędziła noc na sofie, pod stertą koców, nie chcąc przyjąć propozycji skorzystania z jego łóżka.

Przyniósł jej parę swoich skarpetek i usiadł na przeciwległym końcu sofy, trzymając jej stopy na swoich kolanach, i do drugiej nad ranem spał w pozycji siedzącej.

Obudził się, gdy kuzynka Meg spuściła wodę w toalecie nad jego głową, i dołożył dwa kawałki drewna do kominka. Potem wszedł na górę, czując, jak ogarnia go gorączka.

Po wizycie ślusarza następnego ranka odprowadził Cynthię do domu, taszcząc w jednej ręce klatkę z Violet, a w drugiej jej torbę podróżną. Poszedł do samochodu po jeszcze dwie walizki, które — bez przesady — były równie ciężkie jak bagaż Meg Patrick, przeniósł je przez żywoplot i zaniósł na górę, do jej sypialni.

Stała na puszystym dywanie w pokoju, którego nigdy przedtem nie widział, i przyglądała mu się. Z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu wcale nie był zdziwiony, że odczytuje w jej oczach własne myśli i uczucia, chociaż nie miał pojęcia, jakie one naprawdę są.

Wziął ją w ramiona i stali tak przez chwilę — bez słowa.

Potem poszedł do domu, gdzie zaglądnął do górnej szuflady biurka w poszukiwaniu chusteczki i znalazł klucz do jej domu.

Zjadł śniadanie z Dooleyem, ale zajął do baru Grill na kawę.

— Edith Mallory wróciła — obwieścił. — Porozmawiam z nią w tym tygodniu.

— Lepiej niech się ojciec pośpieszy — poradził J.C. Bolały go mięśnie, a głowa pękała.

— Na litość boską, nie spodziewajcie się cudów. — Od spotkania z Edith Mallory wolałyby karę chłosty.

— Percy stwierdził, że do tego nie dojdzie — powiedział Mule. — Mówi, że wydarzy się coś, co temu zapobiegnie.

J.C. wytarł twarz.

— To się nazywa negacja, kolego.

— Chciałbym cię o coś zapytać. Czy uważasz, że moja kuzynka Meg jest... atrakcyjna?

— W tych okularach — stwierdził Mule — jest brzydka jak noc.

— A bez okularów?

— Nigdy nie widziałem jej bez okularów. Przypuszczam, że musi wyglądać całkiem nieźle. Wysoka, szczupła, ładne nogi, wspaniałe włosy. Ale zbyt dziwna, jeśli wie ojciec, o co mi chodzi.

Percy podszedł do nich i usiadł przy ich stoliku.

— Tak, kochani, już dłużej nie mam zamiaru się tym przejmować.

W takim razie, zastanawiał się pastor, dlaczego drżały mu ręce, gdy wlewał do swojej kawy śmietankę?

Zaprzyjaźnieni pracownicy ze szpitala zadzwonili, żeby zapytać, czy mogą wpaść przed lunchem.

Kichnął. Dobrze! Może zabrać się z nimi w drodze powrotnej i zgłosić się na pogotowie.

O jedenastej do jego biura weszły trzy siostry w towarzystwie Hoppy'ego Harpera w granatowej kurtce, którą narzucił na zielony kitel. Towarzyszył im J.C. Hogan.

— Da-dam! — zawołała siostra Kennedy, wręczając mu jakiś pakunek.

Nastąpiło, jedno po drugim, kilka błysnięć lampy błyskowej. Gdy przejrzał na oczy, przeczytał napis ułożony z mosiężnych liter na drewnianej tabliczce:

Dla Ojca Tima ~ ukochanego przyjaciela i powiernika ~ za trzynaście lat, podczas których leczyłeś zgrają ze szpitala w Mitford najlepszym z możliwych leków: miłością. My też Cię kochamy!

— Ja to napisałam — obwieściła siostra Kennedy, uśmiechając się z dumą.

— Powiedziałem jej, co ma napisać — dodał jego lekarz.

— A ja poprawiłam wszystkie błędy ortograficzne — zapewniła go siostra Phillips.

Siostra Jennings rzuciła mu się na szyję.

— A ja nie kiwnęłam nawet palcem, ale osobiście wpadłam na ten pomysł!

J.C. założył nowy film do aparatu, podczas gdy Emma wzięła tabliczkę z rąk pastora i zaczęła się rozglądać za miejscem, w którym mogłaby ją powiesić.

— Usiądźcie, proszę, i poczęstujcie się kawą. I bez obrazy, ale minęło już czternaście lat, odkąd ojciec przemierza prowadzącą pod górę drogę do szpitala — wyjaśniła jego dumna sekretarka.

— Ojczy, zapewne wie ojciec, kto mówi.

Niestety, rzeczywiście wiedział. Dzwoniła pani dyrektor ze szkoły, do której uczęszczał Dooley.

— Chciałam ojca poinformować, że Dooley Barlowe został zawieszony w obowiązkach ucznia na dziesięć dni szkolnych za posiadanie wyrobów tytoniowych i za palenie papierosów na terenie szkoły.

Zapadła głucha cisza. Oburzenie Myry Hayes było tak wielkie, jakby decyzja pochodziła od sędziego Sądu Najwyższego. Kichnął i do oczu napłynęły mu łzy.

— Kiedy mam go odebrać?

— Natychmiast — odparła.

I to właśnie w chwili, gdy potrzebowali poparcia każdego nauczyciela, który zechciałby im pomóc...

— Idź do swojego pokoju i nie wychodź, dopóki nie będę w stanie się tym zająć — polecił Dooleyowi.

Trząsł się z zimna i marzył tylko o tym, żeby się położyć.

Zdołał zdjąć ubranie, włożyć piżamę i przenieść koce z sofy na swoje łóżko. Potem nałożył skarpety, które miała na sobie Cynthia, i wślizgnął się do lodowatej pościeli.

Zasnął, zanim zdążył wyłączyć lampę.

Rozdział piętnasty

PANI WIOSNA

Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak chory.

Przez trzy dni Dooley usługiwał mu, kursując tam i z powrotem pomiędzy oddzielnymi żywopłotem domami, biegał do apteki i do Sklepu, podgrzewał zupę i przynosił ją na górę, i ogólnie rzecz biorąc, starał się być przydatny.

Wycucie chwili jest najważniejsze, pomyślał pastor, który czerpał wiele korzyści z niedawnego nierozważnego czynu Dooleya.

Nowa i bardzo groźna postać grypy, połączona z zapaleniem zatok, stwierdził Hoppy, który przyjechał do niego z wizytą domową, w masce i rękawiczkach. Zaglądnął mu do gardła, wysłuchał jego oddechu przez stetoskop, ugniatał go przez chwilę, jakby był melonem, i pośpieszył na drugą stronę żywopłotu, żeby w ten sam sposób potraktować jego sąsiadkę.

Najwyraźniej nie chcąc się zarazić, jego kuzynka wychodziła tylko nocą, jak karaluch. Wykradała tyle książek z jego półek, że raz słyszał, jak pokonywała schody dwukrotnie, tam i z powrotem. Za drugim razem jęknął donośnie, żeby go usłyszała przez zamknięte drzwi do jego pokoju.

Dooley wszedł do niego następnego dnia rano, wyraźnie blady.

— Słyszałem, jak ojciec jęczał w nocy, jakby ojciec umierał, Czy ojciec umiera?

— Bez obaw — odparł, czując, że jego zatoki działają jak rynny.

— W każdym razie, niech ojciec spróbuje się nie dać, gdyby zechciał ojciec być tak miły — śmiertelnie mnie ojciec wystraszył

— A skoro mowa o byciu śmiertelnie wystraszonym, to poczekaj, aż wyzdrowieję, łobuzie. Czegoś takiego jeszcze nie widziałeś!

Dooley zbladł jeszcze bardziej. Dobrze! Powinien się bać. Dać się tak wyrzucić ze szkoły jak zużyty przedmiot, złamać ten cholerny regulamin, strzelić sobie takiego samobójczego gola...

— Chce ojciec piwo imbirowe czy herbatę?

— Herbatę, dziękuję, a przy okazji, poproś mojego psa, żeby tu przyszedł — powiedział ponuro. — Wiem, że zaczął sypiać w nogach twojego łóżka.

— Cynthia była chora, że hej, gdy widziałem ją ostatnio.

— Opowiedz mi o tym.

— Stara Violet złapała mysz, która weszła do domu, gdy Cynthia była w Nowym Jorku. Została ją na środku jej łóżka. Ohyda.

— Wydawało mi się, że ona lubi myszy.

— Nie na wół zjedzone — odparł Dooley, który robił wrażenie dobrze zorientowanego.

— Gdy przyniesiesz herbatę, chciałbym, żebyś usiadł na fotelu przy lampie i trochę mi poczytał.

— Co chciałby ojciec, żebym ojcu poczytał? Dlaczego nie miałby popuścić wodzy fantazji.

— Szekspira.

Dooley podniósł palec do gardła i skierował go w dół.

— Uch.

Gdy chłopiec zszedł na dół, wykręcił jej numer, ale linia była zajęta.

Dooley przyniósł mu „Muse” do jego fotela w salonie, razem z kanapką z kiełbasą bolońską.

— Chce ojciec musztardę czy keczup?

— Musztardę.

To było życie. Albo mogłoby być, gdyby nie fakt, że nadal był prawie umierający.

Na pierwszej stronie było to cholerne zdjęcie, jak gdyby nic innego nie działo się w tym mieście. Dlaczego jego nos wygląda jak cebulka tulipana? A ten grymas na twarzy — czy właśnie tak wygląda, kiedy się uśmiecha? Najchętniej nigdy w życiu nie oglądałby już swoich zdjęć.

— Proszę — powiedział Dooley — czas na ojca lekarstwo. Mam nadzieję, że ojcu pomaga. Ja jestem prawie zupełnie wykończony.

— Jeśli masz zamiar zostać weterynarzem, to lepiej zacznij się przyzwyczajać do sprawowania opieki nad chorymi.

— Czy mogę iść do Tommy'ego po szkole?

— Postradałeś zmysły? Dooley przewrócił oczami.

— Na wypadek, gdyby to do ciebie nie dotarło, masz szlaban na wyjścia z domu. Bardzo poważna sprawa. Porozmawiamy, jak tylko poczuję się na siłach. A teraz przejdźmy do innych spraw. Muszę przyznać, że wspaniale czytałeś *Hamleta*. Dzisiaj wieczorem zabierzemy się do Dickensa.

— A kto to taki?

— Zaledwie jeden z najwybitniejszych powieściopisarzy języka angielskiego, ale ma bardzo potoczny styl, więc się dobrze posil.

— O Boże — jęknął Dooley, marząc o tym, żeby wrócić do szkoły.

— Chciałbym też rzucić okiem na twoje wypracowanie z angielskiego, które piszesz o moim psie.

— On nie jest... tylko ojca psem. Ja też tu przecież mieszkam.

— No dobrze, a kto go karmi, szczotkuje i kąpie?

— Mógłbym go szczotkować. I czasami mógłbym mu dawać jedzenie...

— Niezły pomysł. Możesz się tym zająć.

Dlaczego błędnie założył, że dziesięciodniowe zawieszenie w obowiązkach ucznia ma tylko złe strony?

Jak zwykle przeglądał gazetę w poszukiwaniu językowych lapsusów J.C., ale znalazł tylko jedną perełkę:

„Mieszkaniec Mitford ukarany za jazdę z niedozwoloną mądrością”.

Wyrwał fragment gazety, żeby wysłać go do Waltera. Na stronie trzeciej Hessie Mayhew kontynuowała swoją doroczną sagę.

„Pani Wiosna nareszcie zawitała do naszego miasteczka i sceptycy uwierzyli, że przybyła, aby oczarowywać nas tak długo, jak tylko zechce tu zabawić.

Zwiastując swą obecność mniej dyskretnie niż w poprzednich latach, przyozdobiła już w kilku miejscach brzeg strumienia fuksją i floksem i rozrzuciła niedbale, tu i tam, bukiety fiołków, znajdując szczególne upodobanie w leśnych ścieżkach za budynkiem poczty.

Zawsze, oczywiście, szukamy dotknięcia jej czarodziejskiej różdżki w Lord's Chapel, gdzie stworzone przez kościelnego — Russella Jacksa — ogrody radują co roku nasze oczy. Tam Pani Wiosna nakłoniła grójeczniki, aby zakwitły odrobinę wcześniej, wyczarowując w ten Sposób cudowne tło dla starych kamiennych pomników. Wybierzcie się tam koniecznie na spacer i obejrzyjcie je, bo jest czym nacieszyć oko,

Nie ma zupełnie potrzeby powiadamiać Was o ogromnym białym obłoku, który — w chwili, gdy piszemy — sadowi się nad posiadłością Fernbank. Jak wszyscy widzą, jabłonie panny Baxter po raz kolejny robią wszystko, co w ich mocy, by uczynić Mitford najpiękniejszym miastem na świecie.

Bądźcie jednak rozsądni — wstrzymajcie się z sadzeniem nowych roślin. Zostało nam jeszcze dziesięć dni, więc uzbrójcie się w cierpliwość i poczekajcie jeszcze trochę”.

Hessie zakończyła artykuł fragmentem wiersza Johna Clare'a*:

Śnieg na szczycie domu już nie gości;

Strzecha pstrzy się zielenią mchu jasną;

Krople wody kapią miarowo z wysokości,

Gdzie wesole sople wisiały niedawno,

Pac-pac — z przyjemnym pluskiem wpadają

Do ustawionych przy wejściu balii;

A w obfitym pobliskim stawie pływają

Radośnie beztroskie gęsi i kaczki.

Promienie słońca wewnątrz domu zdobią;

Co dzieci witają z radością,

I znowu na mokrą ulicę wychodzą,

By się nacieszyć bliską wiosną.

Termin sadzenia roślin, piętnasty maja, był również terminem, w którym miała zapaść decyzja w sprawie baru Grill.

Upuścił gazetę na podłogę. Jak to możliwe, że czas upłynął tak szybko? Najpierw szok wywołany samą wiadomością, co samo w sobie jakby zajęło trochę czasu. Potem burzliwe dyskusje i wyjazd Edith na Florydę, a teraz jego choroba.

* John Clare (1793-1864) — poeta angielski.

Jeśli nie zdarzy się cud, to czeka ich Bóg raczy wiedzieć co — atak serca Percy'ego, zupełnie nowa praca dla Velmy i brak nadziei na wypicie przyzwoitej filiżanki kawy, chyba że w pozycji na baczność, przy półce na ścianie w cukierni Winnie Ivey.

To coś więcej niż ryzyko utraty symbolu. To — doszedł do wniosku — pogwałcenie powszechnego życia wielu ludzi, którego dodatkowym wymiarem jest ciągłość i wspólnota.

Podszedł do sofy, zaniósł do Boga krótką, ale bardzo intensywną prośbę i wykręcił jej numer.

— Proszę?

— Edith?

— Dzień dobry, Timothy. Magdolen właśnie poszła do Sklepu, więc chwilowo pełnię obowiązków własnej sekretarki.

— Jestem chory...

— Tak, słyszałam. Bardzo mi przykro.

— To dlatego nie zadzwoniłem wcześniej...

— Tak, nie miałam od ciebie żadnych wiadomości, od czasu gdy twoja pomoc domowa w środku rozmowy ze mną rzuciła słuchawkę...

— To jakieś zakłócenia na łączach, jestem pewien.

— Co proponujesz, Timothy? Aha, bądź uprzejmy wziąć pod uwagę, że nie zamierzam się z tobą spotykać, dopóki całkiem nie wyzdrowiejesz, mimo że jesteś moim księdzem.

— Będę zupełnie zdrow już za kilka dni. Co powiesz na lunch w Wesley w czwartek?

— Zastanowię się — odpowiedziała głosem, który jednoznacznie wskazywał, że nie zamierza tego zrobić.

Jego kuzynka nadal nie chciała im towarzyszyć w wyjściach do kościoła. W odpowiedzi na liścik, który wsunął pod jej drzwi, zostawiła mu liścik na kuchennym stole:

„Nie wybiorę się z wami, ale jestem wdzięczna za zaproszenie. Kuzynka Meg”.

Nie uszło jego uwagi, że nie nałożyła zakrętki na słoik pikli.

— Dzień dobry.

— Dzień dobry — odpowiedział, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że zamiast słuchawki trzyma w ręce sztangę. — Czy czujesz się już lepiej?

— Lepiej niż co?

— Lepiej niż ktoś wyciągnięty spod wieżowca.

— Tylko odrobinę. A ty?

— Fatalnie, jeśli mam wyznać prawdę.

— Prawda bardzo rzadko wychodzi na jaw, Timothy. Postanowił nie przegapić okazji.

— Prawda jest taka, że Edith Mallory zamieszana jest w coś, o czym nie miałem ci okazji powiedzieć, i to właśnie z tego powodu dzwoniła do mnie i zaprosiła mnie na kolację, a jeśli kuzynka Meg jest olśniewającą pięknnością, to ja jestem Dawidem Michała Anioła.

No właśnie. Nie chciał, żeby zabrzmiało to tak gniewnie, ale nagle zdał sobie sprawę, że czuje gniew. Dlaczego musiał się tłumaczyć ze swojego życia prywatnego Cynthii Coppersmith?

Ona najwyraźniej nie chciała o tym rozmawiać.

— Dziękuję za to, że wysyłałeś do mnie Dooleya. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi to pomogło.

— Prawdę powiedziawszy, wiem. Dla mnie też jest prawdziwym dobrodziejstwem. Nie byłem w stanie podnieść się z łóżka przez pierwsze dwa dni. Co powiedział Hoppy?

— Mam wszystko to samo, co ty.

Podpórki na książki, chciał powiedzieć, ale tego nie zrobił.

— To znaczy wszystko, z wyjątkiem zapalenia zatok, Bogu niech będą dzięki.

— Więc jednak jest balsam w Gileadzie.

— Gotuję zupę, resztką sił, której nabrałam po zjedzeniu krakersa — powiedziała. — Czy przysłać ci trochę?

— Wspaniale! Powiedziałem Puny, żeby nie przychodziła, dopóki nie wyginą wszystkie zarazki, więc chwilowo radzimy sobie sami. O której godzinie chciałabyś, żeby przyszedł po nią Dooley?

— Około piątej — odparła. — Nie będę dodawać marchewki, żeby Dooley też ją zjadł. Jeszcze jedno pytanie, ze śmietaną czy bez?

— Bez — odpowiedział.

— Z cienką, niedużą kromeczką chleba kukurydzianego ze złotą chrupiącą skórką, prosto z piekarnika czy bez?

— Z! — zawołał, czując, że cały gniew go opuścił.

Edith Mallory chciała, żeby się czołgał przed nią na kolanach. On jednak nie zamierzał robić niczego więcej poza ponownym telefonem do niej — jak tylko wróci z apteki po zrealizowaniu recepty Dooleya.

Dooley zjadł pełny talerz zupy Cynthii, zmiotł swoją porcję chleba kukurydzianego włącznie z okruszkami i opadł na sofę, nie będąc w stanie się ruszyć.

— Zamęczył mnie ojciec na śmierć — powiedział, szczękając zębami z ogarniającego go zimna.

— No to remis — odparł pastor, okrywając go pledem.

— Timothy, nie jestem organizacją charytatywną. Brązowy papieros Edith leżał, tłąc się w popielniczkę na stole.

— Nie to chciałem powiedzieć, Edith.

— Księża są takimi idealistami, zupełnie jak dzieci. Nie mają żadnego pojęcia o interesach.

— Doskonale zdaję sobie sprawę, że musisz dbać o to, by twoje inwestycje były dochodowe, że musisz sprawować dobrą pieczę nad...

— W takim razie przestań mnie nakłaniać, żebym zrobiła to, o co prosisz. Dwudziestoprocen-towa podwyżka czynszu nie jest warta zachodu.

Zamieszała wsypyany do herbaty słodzik, w czasie gdy lunch rozchodził się w jego systemie trawiennym niczym żółć.

— Pani burmistrz zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby powstrzymać postęp w tym miasteczku, a jeśli myślisz, że te brudne sklepiki na Main Street są czarujące, to wiedz, że są ekonomicznym balastem najgorszego gatunku. Spójrz tylko na tę koszmarną markizę nad Grillem i tę łuszczącą się farbę.

— Pozwolisz, że ci przypomnę, że zadbanie o tę koszmarną markizę i łuszczącą się farbę należy do obowiązków właściciela nieruchomości, nie najemcy.

— Nie łap mnie za słowa. Elegancki sklep z damską odzieżą z Florydy, gdzie ludzie mają pojęcie o interesach, przyciągnie tu więcej takich sklepów. Podniesie to czynsze na całej ulicy. Co więcej...

— Zniszczy niepowtarzalny charakter tego miejsca, którego stworzenie zajęło ponad pół wieku. Wymaże coś, co stanowi istotę duchowego i materialnego bytu miasteczka, oraz zniszczy poczucie wspólnoty, które zanika bezpowrotnie w wielu zakątkach kraju — coś, do czego rozpaczliwie pragniemy powrócić, chociaż w większości przypadków jest już zdecydowanie za późno...

— Na litość boską — powiedziała ze zniecierpliwieniem — przestań wygłaszać mi kazanie. Poczekaj z tym, aż znajdziesz się w kościele! Zawsze wiedziałam, że jesteś staromodny, ale nawet mi się nie śniło, że możesz mieć takie archaiczne poglądy.

— Może rzeczywiście tak jest. Chciałbym też powiedzieć, że podwojenie czynszu jest nieuczciwe i jest oczywistym sposobem na pozbycie się baru Grill z tej ulicy. Jeszcze jedna rzecz. Czy szacując wpływy z dzierżawy tego lokalu na potrzeby eleganckiego sklepu z odzieżą damską, wzięłaś pod uwagę koszty remontu, jakiego z pewnością będą się domagać od właściciela?

— Wszystko to zostało wzięte pod uwagę i decyzja już zapadła. Jeśli twoi ludzie nie zapłacą czynszu, jakiego oczekuję — zupełnie uzasadnionego w przypadku Main Street — sklep z odzieżą zajmie lokal szesnastego maja. I nie, nie mogę czekać, aż twoi ludzie znajdą jakieś inne miejsce, jeśli takie w ogóle istnieje, ponieważ właściciele sklepu muszą się zainstalować szesnastego albo znaleźć inne miejsce. Wierz mi, zamierzam dopilnować, żeby tu zostali.

— Kelner — powiedział — czy mogę prosić rachunek? Nerwowym ruchem zgasła papierosa w popielnicze.

— I nie oczekuj, jak znakomita większość duchownych, że ja zapłacę.

Na jej obronę musiał przyznać jedną rzecz, ale tylko jedną — nie bawiła się z nim w ciuciubabkę.

Percy powinien być przygotowany na to, że będzie się musiał spakować i nie oglądać za siebie.

Nie potrafił oddzielić smutku od złości. „Daj upust swojemu gniewowi — radził mu kilkakrotnie biskup — bo w przeciwnym razie przerodzi się on w przygnębienie, a wtedy pójdziesz na dno razem z połową swojej parafii”.

Nie czuł się na siłach, aby pojechać na swoim skuterze do wiejskiego sklepiku Absaloma Greera, mimo że pogoda była wręcz idealna. Nie wyzdrowiał też na tyle, żeby wrócić do joggingu, a ciśnienie okularami w kominek było stanowczo zbyt teatralnym gestem.

Nastawił więc garnek zupy, podał Dooleyowi lekarstwo, poczytał mu trochę z jego książki o weterynarii i wyszczotkował Barnabę. Potem, w czasie gdy zupa wykipiiała na kuchenkę, zasnął na sofie wyczerpany.

— Czy wyzdrowiałeś już, kuzynie? — zawołała przez dziesięciocentymetrową szparę.

Zakaszłał rozdzierająco i przyłożył do twarzy chusteczkę. Potem wysiakał nos, najgłośniejszym jak potrafił. Zamknęła drzwi.

No, pomyślał. To powinno sprawić, że będzie się trzymała z daleka jeszcze przez jakiś dzień czy dwa.

— Nie zmieni zdania, Percy. Zrobiłem wszystko, co było w mojej mocy.

Percy wydawał się jeszcze szczuplejszy niż zwykle, a pod oczami miał czarne podkowy.

— Dziękuję, ojcze. Wiem, że można na ojca liczyć. O to wcale się nie martwiłem.

— Kuchnia Percy'ego zaczyna odzwierciedlać jego samopoczucie — powiedział J.C. — Popatrzcie na tę parówkę.

Na poparcie swojej tezy próbował nakłuć parówkę nożem, ale ona przeturlała się jedynie po talerzu. Mule spojrzał karcąco na Percy'ego.

— Musisz się trzymać, kolego. Nie możesz się załamywać, a już na pewno nie tutaj.

— Depresja — stwierdził J.C. — To mu dolega. To i negacja.

— Depresja rodzi się z gniewu — dodał pastor. — Musisz się wyładować.

— Moglibyśmy wszyscy pojechać do Wesley i się upić — zaproponował Mule.

— Świetnie — odparł J.C. — tylko, że w tym towarzystwie nikt nie pije — z wyjątkiem ojca, oczywiście, który od czasu do czasu pociąga kropelkę sherry.

— Zapomniałem — powiedział Mule — że J.C. chodzi do klubu AA, ja nie piję nic mocniejszego niż woda ze studni, a Percy został wychowany w rodzinie baptystów i nigdy w życiu nie wziął do ust ani kropli alkoholu.

Percy nałożył na tost resztkę kaszy z masłem.

— Jeśli chcecie znać moją opinię, to powiem wam, że bycie baptystą może wpędzić w nałóg.

— Więc co ma zrobić Percy, żeby się wyładować? — zapytał pastor. — Musimy zrobić burzę mózgów.

— Powiem wam co — obwieścił J.C. — Poproś Omera Cunninghama, żeby zabrał cię do tego starego samolotu i obleciał z tobą okolice, do góry i na dół, tam i z powrotem. To wystarczy. Będziesz tak szczęśliwy, gdy z powrotem znajdziesz się na ziemi, że będzie ci wszystko jedno, nawet gdyby mieli zrobić z twojego baru muzeum kołpaków.

— Pozwól, żeby Fancy nałożyła ci maseczkę — poradził Mule. — Za darmo. Na koszt firmy.

— Co takiego? — zapytał Percy, który wyglądał na wykończonego.

— Maseczka na twarz. Oczyszcza pory. Percy wstał i poszedł do męskiej toalety.

— Przyprawiamy go o mdłości — rzucił J.C.

— Do piętnastego zostało nam tylko osiem dni. Pastor ściągnął okulary i przetarł oczy.

— Więc jakie mamy wyjście?

— Wyjścia nie ma — zabrzmiała wyjątkowo filozoficznie odpowiedź Mule'a.

Nie widział jeszcze, żeby Dooley Barlowe wyglądał tak mizernie i blado. Otworzył puszkę piwa imbirowego, poszedł na górę i usiadł na brzegu jego łóżka.

— Kupiłem ci zapas KitKatów na kolejny tydzień — powiedział, podnosząc do góry torebkę. — Dziękuję za to, że korzystasz z nich tak, jak uzgodniliśmy.

— Jeden co drugi dzień i bez oszukiwania — powiedział Dooley, a wyglądał tak, jakby miał gorączkę. — Zostaw je tutaj, bo w przeciwnym razie wpadną w ręce tej kobiety.

Pastor wsunął torebkę pod łóżko.

— Proszę. Tutaj nikt ich nie znajdzie. Więc jak się czujesz?

— Wydaje mi się, że umieram.

— Znam to uczucie. Porozmawiamy, jak poczujesz się lepiej.

— Kto się opiekuje Cynthią?

— Ja. Przejąłem pałeczkę.

— Jak ona się ma?

— Wciąż nie za dobrze.

— Czy ożeni się z nią ojciec?

— Cóż... — odpowiedział, czując, jakby nagle zabrakło mu powietrza.

— Tak czy nie? Ja bym się ożenił na ojca miejscu.

— Nie jesteś na moim miejscu.

— Bardzo się z tego cieszę.

— A dlaczego tak bardzo cię to cieszy?

— Bo z ojca mruk.

— Bo jest ojciec mrukiem. Jak się nad tym zastanowić, to ty też nie rozpływasz się w uśmiechach. Dlaczego ożeniłbyś się z Cynthią na moim miejscu?

— Bo jest fajna. Bo jest zabawna.

— Co w niej jest takiego zabawnego?

— Wzięła tę mysz za ucho i rzuciła we mnie, gdy się z niej śmiałem.

— Rzucanie nieżywą myszą jest zabawne?

— Tak, jeśli nie można zrobić nic innego — odparł Dooley.

Grypa Dooleya trwała dłużej niż jego własna, ale on zmusił się do wstania z łóżka. Cynthia nadal snuła się po domu w szlafroku i z wałkami we włosach, tak zupełnie pozbawiona energii, że za ledwie była w stanie odebrać pocztę.

— Powinnaś dać sobie czas na pełne odzyskanie sił — powiedział, pijąc filiżankę herbaty w jej pracowni. — Byłaś zupełnie wycieńczona po zakończeniu pracy nad książką. Teraz musisz odpoczywać. Nie forsuj się.

Nigdy nie potrafił korzystać z własnych rad.

Zerwał kilka kwiatów i postawił je wazonie na szafce w jej kuchni, kupił też dla niej w Księgarni Szczęśliwych Zakończeń zbiór aforyzmów. Zajrzał do Winnie Ivey po napoleonkę, którą miał ochotę połknąć gdzieś w krzakach w drodze do domu, ale którą dostarczył prosto pod jej drzwi.

Jednego wieczoru czytał jej na głos, o ona blada siedziała ze stopami opartymi na otomanie. Znosił też cierpliwie jej męczące wzdychanie.

Otworzył nawet jakąś miksturę o przykrym zapachu i nakarmił nią Violet, która w rewanżu za fatygę otarła się o jego kostkę.

Jeśli na tym właśnie polega małżeństwo, myślał, to ma niezłą próbkę. Cynthia Coppersmith spijała jego czułą troskę jak śmietankę, nie wysiliwszy się nawet, żeby zdjąć z włosów wałki.

— Ta kobieta wyjechała! — zawołał Dooley ze swojego pokoju. Stał w drzwiach i spojrzał na chłopca.

— Wyjechała? Kiedy?

— Jak ojciec poszedł do biura. Widziałem, jak schodziła cichaczem po schodach.

Podszedł do drzwi do pokoju gościnnego i spróbował przekręcić gałkę. Zamknięte.

— Wróci — powiedział Dooleyowi.

— A niech to.

— Jutro wieczorem porozmawiamy. Będziesz już wystarczająco zdrowy, a poza tym pora będzie wręcz idealna. Wracasz do szkoły w poniedziałek.

Dooley naciągnął na głowę przykrycie.

— No, no! Widzę, że zdecydowałaś się wyjść z domu. To dobra nowina.

— Musiałam zrobić kilka osobistych sprawunków — odparła, znikając w kuchennych drzwiach w swoim szynelu.

„Kocham Cię” — zacznie jak najbardziej szczerze.

„Chciałbym, żebyś zawsze o tym pamiętała”.

Potem powie mu o szkolnym regulaminie i o tym, że jest on ustalany dla wspólnego dobra, nie mówiąc już o dobru jednostki, które w tym przypadku ma kolosalne znaczenie dla zdrowia.

Następnie poruszy kwestię posiadania niewłaściwych przyjaciół i po raz kolejny skupi się na istocie kradzieży w kontekście jej wpływu na osobowość i wolność duchową.

Zakończy ostrzeżeniem, którego przekazanie polecił mu Buck Leeper. Był to kolejny przykład naruszenia zasad, lekceważenia ustalonych granic. Nie pozwoli, aby ten styl zachowania stał się regułą, nie zamierzał też uciekać się do żadnych gróźb, których potem nie mógłby spełnić.

Zastanawiał się przez chwilę, co Dooley lubi najbardziej: bawić się z Tommym, śpiewać w chórze, słuchać radiomagnetofonu i jeść hamburgery.

Aby wzmocnić dziesięciodniowe zawieszenie w obowiązkach ucznia, mógłby zabronić mu wszystkiego z wyjątkiem chóru — ale czy powinien zabronić mu wszystkiego jednocześnie, czy też zastosować metodę gradacji? I na jak długo? Zadzwoń do Marge Owen, która wychowała dwóch chłopców i ma dość umiejętności, żeby zrobić to jeszcze raz.

Poruszał się po grząskim gruncie i dla dobra Dooleya nie chciał zrobić fałszywego kroku.

Na życzenie dwóch pracujących matek Kościół episkopalny w Wesley przesunął termin porannego spotkania na popołudnie, ale zapomniał go o tym powiadomić. Ponieważ razem z panią burmistrz Cunningham i przedstawicielem rady miejskiej w Wesley pełnił rolę prelegenta, musiał zmienić swoje plany, żeby tam pojechać.

— Porozmawiamy, jak wrócę do domu — powiedział Dooleyowi, który czuł się na tyle dobrze, że mógł oglądać telewizję.

Ale gdy wrócił do domu, chłopiec już spał, pochrapując, z wilgotnymi kosmykami rudych włosów przyklejonymi do czoła.

Spojrzał na jego piegowatą twarz i wyciągniętą spod nakrycia rękę, wdzięczny za wszystko, co wniósł do jego domu, nie wyłączając troski i zmartwienia.

Barnaba, który spał w nogach łóżka chłopca, nie podniósł głowy, ale za to otworzył jedno oko.

Miał przed sobą najlepsze lekarstwo, jakie kiedykolwiek zostało zaaplikowane Dooleyowi Barlowe'owi. Jego pies mógł najzwyczajniej w świecie uleczyć człowieka z choroby, pomijając godny podziwu fakt, że — na dodatek — uczęszczał do kościoła.

Przed rozebraniem się do snu wyrzwał przez okno w sypialni i zadzwonił do sąsiadki.

— Cześć — powiedział, gdy odebrała telefon.

— Cześć.

— Co słysząc w sąsiednim domku? Czy mi się wydaje, czy też zapaliłaś bożonarodzeniowe światełka?

— Świętuję.

— Sama?

— Nie byłabym sama, gdybyś do mnie przyszedł.

— Hm — powiedział niezdecydowany.

— Bez zobowiązań.

W porządku. Wybrał się z wizytą.

Zaprosiła go, żeby usiadł na dwuosobowej kanapce w jej pracowni.

— Co takiego świętujesz?

Musiało to być coś doniosłego, bo ściągnęła wałki z głowy i wyglądała olśniewająco.

— Że żyję.

— Byłaś aż tak chora?

— Nie ma to nic wspólnego z tym, że jest się chorym. Oddychamy, biegamy po domu w bieliznie, chodzimy do sklepu, wykopujemy cebulki tulipanów albo planujemy, że to zrobimy, gotujemy zupę i płacimy rachunek za prąd, i ani przez chwilę się nad tym nie zastanowimy — żyjemy! To dar! Nie rozważałam tego w jakiś szczególny sposób. Nie starałam się być poetycka ani introspektywna. Spojrzałam po prostu dzisiaj po południu na podłogę — dokładnie w to miejsce — i zobaczyłam, jak światło wpada przez okno i kładzie się na jej deskach. Poraziło mnie to. Zapało mi dech w piersiach. Zupełnie ścięło mnie z nóg. Milczał, patrząc na nią.

— Tyle było życia w tych promieniach światła kładących się na drewnianej podłodze, w sposobie, w jaki delikatnie wnikały w słój. Ta mała plama na podłodze wręcz promieniowała czułością. A potem znikła.

Nie mógł przestać na nią patrzeć i nawet nie próbował.

— Wiesz o tym? — zapytała miękko.

— Wiem — odparł.

— Nie każdy wie — powiedziała.

— Tak.

Przez drzwi do pracowni usłyszeli tykanie zegara w holu. Siedziała przycupnięta na krześle przy swojej desce do rysowania.

— A może przyszlabyś tutaj i usiadła obok mnie? — poprosił.

Zsunęła się z krzesła, podeszła do niego i usiadła obok, a on wziął ją za rękę. Siedzieli przez chwilę w milczeniu, w plamie światła, które padało z lampy.

Nagle zrozumiał, że chce ją pocałować, przytulić, ale że na to nie zasługuje. Nie zasługuje nawet na to, żeby tutaj siedzieć — mężczyzna, który nie potrafi się zdecydować.

Przechyliła głowę na bok, w ten swój sposób.

— O czym myślisz?

— Że chciałbym cię pocałować — odparł. — Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Uśmiechnęła się.

— Bez zobowiązań?

— Tak — powiedział. — Bez zobowiązań.

Nie mógł nic na to poradzić, że Dooley miał niegroźny nawrót choroby w sobotę wieczorem i że sam nie czuł się zbyt dobrze. Nie zamierzał też zasnąć w niedzielę po powrocie z kościoła i drzemać do popołudnia, kiedy to z kolei zasnął Dooley i był nieprzytomny, aż do kolacji. Chciał omówić z nim całą tę sprawę tego wieczoru, zanim chłopiec pójdzie do szkoły następnego ranka, ale gdy usiadł na brzegu łóżka Dooleya, był w stanie powiedzieć tylko tyle:

— Słuchaj, to nie może się powtórzyć. Słyszysz mnie?

Dooley sprawiał wrażenie, jakby go słyszał, ale on nie potrafił sobie do końca wybaczyć, że nie załatwił tego we właściwy sposób.

Bzy kwitły tak pięknie i bujnie, że liczni mieszkańcy miasteczka przychodzili podziwiać krzewy.

— Musisz pójść w dół, za Lord's Chapel — Hessie Mayhew radziła Winnie Ivey. — Jest tam taki piękny biały krzew, że nie będziesz mogła uwierzyć własnym oczom! Weź ze sobą aparat!

— Chodź i spójrz tylko! — zawołała jednego ranka zza żywoplotu Cynthia.

Barnaba nieomal go wywrócił, biegnąc na jej podwórko, gdzie stary krzew, schowany w połowie za garażem, tonął wręcz w pachnących kwiatach.

Andrew Gregory zaprosił parę przyjaciół z Baltimore, żeby „przyjechali na bzy”, i wziął ich na spacer, tam i z powrotem, po Main Street, aby przedstawić im wszystkich od kierownika poczty po Dorę Pugh, która zmieniła wystawę w sklepie żelaznym i prezentowała obecnie torebki z nasionami, mączkę kostną, szpadle ogrodowe i drewniane kraty.

W niedzielę pastorowi było tak lekko na sercu, jak rzadko kiedy.

Szedł do domu, nieomal pływając, dopóki nie zobaczył Percy'ego i Velmy jadących Main Street, po nabożeństwie u prezbiterian.

Percy go nie widział, ale on widział go wyraźnie — był wstrząśnięty wyrazem bólu, który tak wyraźnie malował się na szczerej twarzy przyjaciela, jakby już dłużej nie dało się go ukryć.

Rozdział szesnasty

W PIWNICY

— I zapanowała rozpacz — powiedział J.C., który nie mógł przełknąć ani kęsa.

— Ostatnia wieczerza — rzucił Mule. — Z własnym Judaszem. Wszyscy widzieli informację wywieszoną na drzwiach:

PO RAZ OSTATNI

Po lunchu Main Street Grill zostanie oficjalnie zamknięty. O nowym adresie zostaną Państwo powiadomieni. Dziękujemy za korzystanie z naszych usług.

J.C. wpatrywał się w swój kubek z kawą.

— Pomagałem im się pakować wczoraj wieczorem. Coś straszego.

— Ja będę pomagał jutro — powiedział Mule — a Fancy przyjdzie pomóc Velmie. Omer załadowuje tutaj, a Lew Boyd rozładowuje z drugiej strony. Mamy do pomocy czwórkę dzieci z college'u w Wesley, a Coot i Ron będą kursować swoimi ciężarówkami do magazynu.

— Świetnie — ocenił pastor. — Będę tutaj jutro o świcie. J.C. przewrócił oczami.

— Powodzenia z tym, co jest w piwnicy.

— A co tam jest?

— Pięćdziesiąt dwa lata działalności w branży gastronomicznej. Masz tam kukurydzą w puszkach wielkich jak ten boks, nie wspominając o pomidorach w zalewie i kiszzonej kapuście. Masz tam zepsute lady chłodnicze, stare krzesła do siedzenia przy barze, zardzewiałe blaszane szyldy, transportery na mleko i szafę grającą, do podniesienia której trzeba będzie ze czterech mężczyzn. Czy wiedział ojciec, że w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym w tym barze była szafa grająca? Jego tato próbował się trochę wyluzować i iść z duchem czasów. Percy nie da wyrzucić dosłownie niczego, więc zbierajcie siły.

— Ty nie pomagasz jutro przy pakowaniu? — chciał wiedzieć Mule.

— Muszę wypuścić kolejny numer gazety.

— Jak zamierzasz przedstawić to wydarzenie? — zapytał pastor.

— Zamierzam rozdmuchać je na całej pierwszej stronie. Duże zdjęcie informacji wywieszonej na drzwiach. Nagłówek następującej treści: „Przeczytajcie i zapłaćcie”. Dookoła pierwszej strony zrobimy czarną ramkę — ostatni raz „Muse” zrobiła coś takiego podczas drugiej wojny światowej. Co myślicie?

— Sprawdź, czy nie ma jakichś błędów ortograficznych — poradził Mule, który wyglądał na zaniepokojonego. — To bardzo ważna sprawa. Należy się jej szacunek.

J.C. wytarł twarz chusteczką.

— To zmieni moje cholerne życie. Nie podchodzę z entuzjazmem do wydarzeń, które zmieniają moje życie.

— Kup sobie kuchenkę elektryczną i zacznij gotować — poradził Mule. — Wy, kawalerzy, nie macie pojęcia o Bożym świecie.

— Chłószcz nas dalej — powiedział pastor.

J.C. wychylił się z boksu i spojrzął w kierunku drzwi wejściowych.

— Widzę Macka Stroupe'a z wykałaczką w zębach. Właśnie kończy krycie dachem tej szopy, którą zbudował, żeby przejąć interes Percy'ego.

— Jest tam też ten ojca człowiek z Collar Button. Ściska rękę Percy'ego jak właściciel zakładu pogrzebowego. Jest też Esther i Ray, obydwójce ryczą jak dzieci. Na Boga, od samego patrzenia na to robią mi się wrzody na żołądku.

— Za dwa dni zabiją deskami twoje schody — zauważył Mule.

— Wysłałem jej list z żądaniem, żeby naprawiła tylne schody, bo w przeciwnym razie zabiorę stąd swoje prasy drukarskie.

— Ja bym z tą wiedźmą na miotle nie zadzierał — poradził Mule. — Bo może się skończyć tak, że będziesz musiał drukować swoją gazetę nad strumieniem.

J.C. zmrużył oczy i spojrzął w stronę drzwi.

— Velma zupełnie się rozkleiła.

— Wypuście mnie — poprosił ojciec Tim.

Poszedł z Velmą Mosely do cukierni Sweet Stuff, gdzie Winnie posadziła ją w fotelu na zapleczu i pozwoliła jej zrobić to, czego Velma najbardziej potrzebowała — to znaczy wypłakać swoje oczy.

List od ojca Rolanda, wprost z jego „prymitywnej chatki w dziczy”:

Zawieziono go łódką do domu parafianina, gdzie podano obiad dla czternastu członków Kościoła, złożony ze steków z łososia pieczonych na węglu. Twierdził, że nie jadł czegoś tak wykwintnego od czasów pobytu we Francji przed wstąpieniem do seminarium. Jego miodowy miesiąc w dzikich lasach północnej Kanady wyraźnie nabierał kolorów, aczkolwiek płaca była symboliczna.

List od człowieka z poddasza, George'a Gaynora, który odkrył kilku współwięźniów, z którymi się modlił i studiował Pismo Święte:

„W tym trudnym miejscu Bóg obdarzył mnie hojnie łaską i znalazłem inne dusze wrażliwe na Ewangelię Jezusa Chrystusa. Modłę się wiernie za ojca”.

Liścik od Cynthii, niosący ze sobą delikatną nutę wistarii:

„Dziękuję za opiekę, jaką mnie otoczyłeś podczas mojej choroby. Zachowywałam się rzeczywiście jak ostatnia niewdzięcznica, ale Ty zdawałeś się tego nie zauważać, za co jestem Ci bardzo wdzięczna”.

Na kartce znajdował się rysunek Cynthii przedstawiający Cię w szlafroku, wycieńczoną chorobą, podczas gdy on siedział naprzeciwko niej, w błyszczącej zbroi, i czytał jej na głos Wordswortha.

Ach, jakże lubił pocztę. Zawsze. Nigdy nie wiadomo, na co natrafi, przeglądając nadesłane listy. To jak ciągnięcie losów na loterii, z których każdy może się okazać szczęśliwy.

List od pani dyrektor szkoły Dooleya na pewno nie był taką perełką.

„Drogi Ojciec,

Dooley powiedział mi, że Ojciec nie zganił go w żaden sposób za jego skandaliczne zachowanie. Wiadomość ta zarówno mnie zaskoczyła, jak i rozczarowała.

Zrzucanie całego ciężaru obowiązku wychowawczego na szkołę jest poważnym zaniedbaniem moralnej odpowiedzialności, chociaż, niestety, jest to styl postępowania prawie zawsze preferowany przez dzisiejsze nowe pokolenie żałośnie obojętnych rodziców.

Wystarczy jedynie czytać gazety i oglądać telewizję, żeby natychmiast zauważyć, do czego nieuchronnie prowadzi takie zaniedbanie.

Oczekuję, że ojciec obmyśli i wymierzy w domu stosowną karę, o którym to fakcie niezwłocznie mnie ojciec poinformuje.

Myra Hayes”.

„Szanowna Pani — mógłby odpowiedzieć — skopałem siedzenie Dooleya Barlowe'a, goniąc za nim po całym parku Baxter, za to, że wyjawiał przed Pani urzędem moją moralną rozwiązłość. Nie wymyśliłem jeszcze stosownej kary za zbrodnię palenia papierosów na terenie szkoły, ale niech będzie Pani spokojna, że jak tylko się to stanie, będzie to coś, co Pani z największą radością zaaprobuje. Z poważaniem”.

Wstał jak zwykle o piątej i zadzwonił do szpitala, żeby uprzedzić, że nie może przyjść dzisiaj rano z wizytą do chorych na wszystkich oddziałach, ale że na pewno stawi się jutro.

Odczytał poranną modlitwę i lekcję, spędził też chwilę na kolanach, modląc się za Percy'ego i Velmę. Potem poprosił Ducha Świętego, żeby otworzył jego serce na jakąś specjalną modlitwę za będących w potrzebie. Natychmiast przyszedł mu do głowy Buck Leeper.

O szóstej naciągnął sztruksowe spodnie robocze i dżinsową koszulę i obudził Dooleya oraz ich gościa. Nie czuł się na siłach, żeby oglądać przy śniadaniu swoją kuzynkę, ale mimo to zapukał.

— Pobudka ! — zawołał tak głośno, że na pewno było go słychać na parkingu prezbiterian i jeszcze dalej.

Dwoje z jego najlepszych przyjaciół było wyrzucanych na bruk i z tego powodu był niesamowicie wściekły. Jeśli jego kuzynka myśli, że może zlekceważyć jego pukanie, to lepiej niech się nad tym zastanowi.

Gdy pojawiła się w kuchni z naburmuszoną miną, w swoim szlafroku i pantoflach, zapoznał ją z kilkoma zasadami, które powinien był wyłożyć jasno na początku — i to bez ogródek.

Dooley gapił się na niego z otwartymi ustami.

— I — poinformował swojego podopiecznego — jeśli ci się wydaje, że to szczyt moich możliwości, to poczekaj, aż się zabiorę do ciebie. Innymi słowy, przyjacielu, to była tylko przygrywka.

Dooley Barlowe nie odezwał się ani słowem podczas śniadania, podobnie jak jego kuzynka i on sam.

— Gdzie jest Percy?

Oczy Velmy były czerwone i podpuchnięte.

— W piwnicy — odpowiedziała.

Miał wrażenie, że znajduje się w grobowcu. Idąc po drewnianej podłodze, słyszał własne kroki, mimo że był w tenisówkach.

— Zobaczysz, że jeszcze wrócicie do biznesu — powiedział z przekonaniem.

Velma nic nie odpowiedziała. Wrzucała do pudełka sztuczce razem z łopatkami do przewracania omletów, cedzakami i metalową tarką. Dźwięk zdawał się odbijać od ścian, które były ogołoczone z tradycyjnej kolekcji nieaktualnych kalendarzy, reprodukcji przedstawiających tunele oraz zbioru emblematów Cheerwine i Dr. Peppera.

Zniknęło zdjęcie Percy'ego i poprzedniego gubernatora z autografem, podobnie jak i zdjęcie taty Percy'ego mocującego się z aligatorem na Florydzie. Zdjęcia wnuków usunięte zostały z wewnętrznej ścianki kasy, zdjęli też nieco sfatygowaną tabliczkę z napisem: „Smaczne duże porcje, szybka obsługa, niskie ceny”.

Westchnął, ponieważ nic lepszego nie przychodziło mu do głowy.

— Mule ma opóźnienie — poinformowała go Velma. — Proszę się poczęstować kawą.

Nalał sobie filiżankę kawy i zszedł po szerokich drewnianych schodach do piwnicy.

Nigdy przedtem nie był w podziemiach baru, w pomieszczeniu o glinianych ścianach, zabudowanych półkami i oświetlonym dwoma nie osłoniętymi słabymi żarówkami.

— Percy?

— Tutaj — zawołał do niego Percy, wychodząc zza pieca.

W panującym mroku bladość twarzy jego przyjaciela była wstrząsająca.

Znał w swoim życiu księży, którzy potrafili rozśmieszyć ludzi stojących w obliczu katastrofy, ale on się do nich nie zaliczał. Przez wszystkie lata swojej posługi duszpasterskiej nigdy nie potrafił się zdobyć na dowcipną uwagę, która chociaż na chwilę przyćmiłaby ból po jakiejś stracie.

— Jak leci? — zapytał cicho. Percy spojrział w drugą stronę.

— Wydaje mi się, że nie potrafię zrobić następnego kroku.

— A może chciałbyś zrzucić z siebie ten ciężar, zanim zaczniemy?

— Myślałem, że będę umiał sobie z tym poradzić — żalił się Percy, siadając razem z pastorem na ostatnim stopniu. — Ale nie umiem, na to przynajmniej wygląda.

— Trzydzieści cztery, trzydzieści pięć lat. To szmat czasu.

— Nawet więcej. Miałem dziesięć lat, gdy stanąłem za ladą. Tatę bardzo bolał ząb i zostawił Grill pod moją opieką, a on pojechał w tym czasie do dentysty.

— Jak sobie radziłeś?

— Stałem na skrzynce po chlebie i smażyłem bekon jak dorosły mężczyzna. Nigdy wcześniej nie smażyłem bekonu ani niczego innego. Mama musiała zawieźć tatę. Bardzo cierpiał. Spojrzała na mnie, stojąc w drzwiach, i powiedziała: „Percy, poradzisz sobie”. Nigdy tego nie zapomnę.

— Miała rację. Poradzisz sobie.

— Chodzi ojcu... o to?

— Tak. O to.

— Jak w ogóle do tego doszło, że muszę sobie radzić — oto pytanie. Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie jest Bóg, gdy człowiek Go potrzebuje.

Gorąca filiżanka kawy ogrzała jego zimne dłonie.

— Możesz wierzyć lub nie, ale On jest właśnie tutaj, razem z nami.

— Jest ojciec księdzem. Łatwo ojcu mówić.

— Nie do końca. Sam miewam chwile zwątpienia. Upadam...

— Wykształcenie, które ojciec zdobył, wszystko zmienia.

— Wykształcenie, koniec końców, nie ma aż tak dużego znaczenia. Ważna jest nasza osobista więź z Bogiem. Koniec kropka. Ot, i cała mądrość.

— Modliłem się o to do Boga.

— Na pewno otrzymasz odpowiedź.

— To nie jest żadna odpowiedź.

— Muszę ci powiedzieć, że On zawsze odpowiada. I zawsze mierzy prosto do celu.

— No to muszę powiedzieć, że tym razem strzelił i spudłował. Pastor rozglądnął się dookoła po ciemnej ponurej piwnicy.

— Ktoś powiedział, że mieniące się najjaśniejszym blaskiem diamenty kryją się w najciemniejszych zakątkach ziemi...

— To znaczy?

— W Księdze Izajasza Bóg powiedział: „Przekażę ci skarby schowane i bogactwa głęboko ukryte, ażebyś wiedział, że Ja jestem Pan...” Chwile ciemności mogą być najlepszymi chwilami.

— Muszę przyznać szczerze, że tato powiedział mi, iż to Bóg pomógł mu założyć ten biznes. Dlaczego ten sam Bóg miałby mnie teraz stąd wyrzucać?

— Być może przygotował dla ciebie coś innego. Coś naprawdę cudownego. Być może nadszedł czas, Percy, żeby rozważyć inne opcje...

— Zostanie bez pracy w wieku sześćdziesięciu lat, z żoną pracującą na akord w fabryce rękawiczek — przyjacielu, to żadna opcja. Ścinanie, transportowanie i obwoźny handel drewnem też nie jest żadną opcją, nie z moim krzyżem. I mogę też ojcu powiedzieć od razu, że nalewanie benzyny na stacji Lew Boyda też nie jest opcją, ani teraz, ani w cholernej przyszłości. Tak więc... nie mam żadnych opcji.

— Może rzeczywiście nie masz.

Słabe promienie światła wpadały do środka przez małe okienko, które wychodziło na chodnik przy Main Street.

— Ale może Bóg ma — dodał pastor. — Słuchaj. Jeśli Bóg zabiera coś dobrego, zastępuje to czymś lepszym. Czyż Jezus nie powiedział swoim uczniom: „Pożyteczne jest dla was moje odejście”? I myślisz, że Mu uwierzyli? Nie, wpadli w prawdziwą rozpacz — czuli się osieroceni, opuszczeni, a do tego byli prawdopodobnie źli.

Percy patrzył na piec.

— Ale gdy został zesłany Duch Święty, uczniowie mieli coś więcej niż Chrystusa pośród siebie — teraz był w ich sercach.

Tak! Już samo mówienie o tym napełniało go radością. Poklepał przyjaciela po ramieniu.

— Tak więc, Percy, zbierz całą swoją wiarę i przygotuj się na coś lepszego.

Percy wstał i spojrzał na niego gniewnie.

— Lepiej rzeczywiście do czegoś się weźmy i zapakujmy te pudła. Zaczniemy od kapusty na górnej półce, a potem schodźmy w dół, aż do wieprzowiny i fasoli. Nie będziemy się zabierać do szafy grającej, dopóki nie pojawią się chłopcy z college'u.

W południe wpadł Mack Stroupe z workiem hot dogów ze wszystkimi dodatkami, a Winnie Ivey przyniosła tuzin rożków z kremem i napoleonek. Collar Button podarował skrzynkę coca-coli „Classic”, Coot Hendrick przyniósł świeżo upieczone ciasto od swojej mamy, szef policji przywędrował z workiem jabłek, a Joe Ivey włożył za pasek butelkę brandy, zapiął marynarkę i przyszedł do baru Grill, gdzie podawał butelkę każdemu, kto miał ochotę spróbować szlachetnego trunku.

Joe przyjrzał się uważnie pastorowi.

— Na ojca miejscu nie pozwalałbym chłopcu podcinać sobie włosów.

— Dooleyowi?

— Fatalnie przystrzygł ojcu boki — ocenił Joe. — Ma ojciec ochotę na łyka?

— Dziękuję, ale nie. Ja uznaję tylko sherry.

— Sherry też można się nieźle ululać — poinformował go Joe.

— A niech to! — zawołał Mule. — To nie kwaśna, tylko zabójcza kapusta. Wyniosłem na górę już trzy pudła. Kto to w ogóle je?

— Nikt — odparł pastor. — Właśnie dlatego tak dużo mu zostało.

Mule spojrział na schodzącego w dół po schodach J.C. Na pasku na szyi zwisał mu nikon.

— Myślałem, że przygotowujesz do druku gazetę.

— Powiedziałem już wszystko, co mam do powiedzenia.

— My nie spakowaliśmy jeszcze wszystkiego, co mamy do spakowania, więc zabieraj się do dzieła. Został jeszcze duszony piżmian.

Mule kopnął puste pudełko, tak że padało na nie światło sześćdziesięciowatowej żarówki.

— Nie cierpię duszonego piżmiana.

— Nie musisz go lubić, żeby go pakować.

— Zapomnij o tym, Jose. Ja swoje odrobiłem. Usiądę sobie i będę się wam przyglądał.

J.C. podrapał się i usiadł na stopniu.

Przy władze do piwnicy pojawiła się Fancy, ubrana w obcisły kaszmirowy sweterek, różowe getry i białe kozaczki na szpilkach.

— Hu, hu, Mule, złotko, Coot wrócił z pustą ciężarówką. Czy następna partia jest już gotowa? Jeśli nie, to będzie nam potrzebny, żeby umyć podłogę.

— To potrwa jeszcze chwilę.

— Świetnie. Och, ojczy, nie powiedziałam Joe Iveyowi ani słowa, że przerzucił się ojciec na mnie.

Przerzucił się?

— Jestem zupełnie wykończony — stwierdził Percy. — Jaka szkoda, że nie pogryzam, nie żuję ani nie palę — cokolwiek.

— Joe proponował ci kropelkę brandy — zauważył Mule. — Mogłeś sobie strzelić jednego.

— Nie, dziękuję — odparł ponuro Percy — wytrzymałem bez tego sześćdziesiąt lat i nie zamierzam teraz zaczynać.

— Alkohol źle działa na nerki — poinformował ich J.C. — Nie mówiąc o tym, że wysusza skórę, niszczy żyłki w nosie, powoduje drżenie rąk i rujnuje koordynację ruchową. Słyszałem, że ludzie, którzy piją dżin, zaczynają chodzić bokiem, jak kraby.

Mule podrapał się w głowę.

— W klubie country piją mnóstwo dżinu, ale nie zauważyłem, żeby ktokolwiek chodził bokiem.

Szpilki Fancy stukały nad ich głowami jak kastaniety.

— Jak sobie radzicie, moi mili? — Wujaszek Billy wsadził głowę do włazu i próbował dostrzec coś w mroku.

— Doskonale zrobiliby nam jakiś dowcip! — zawołał pastor. Zapakowali razem siedemdziesiąt dwa pudełka, z których znaczna część zawierała łatwo tłukące się przedmioty, już potłuczone.

— Pozwolicie, że opowiem go wam, stojąc tutaj? — zapytał wujaszek Billy. — Mój przyjaciel artretyzm, niestety, nie pozwoli mi zejść do was.

Wszelka aktywność ustała w czasie, gdy starszy mężczyzna wyprostował się, żeby wnieść swój wkład w ten poruszający dzień.

— Czy znacie, przyjaciele, ten o gościu, który szukał odpowiedniego kościoła?

— Nie! — odpowiedzieli chórem słuchacze.

— No więc, jeździł po całej okolicy, aż w końcu znalazł nieduży kościółek, w którym ksiądz i parafianie czytali coś na głos. Usłyszał następujące słowa: „Nie zrobiliśmy tego, co powinniśmy byli zrobić, a zrobiliśmy to, czego nie powinniśmy byli robić”. Gość zajął miejsce w ławce i westchnął z ulgą. „Alleluja” — powiedział do siebie. „No to nareszcie znalazłem swoich”.

Pastor zaśmiał się serdecznie.

— Najwyższy czas, żeby wujaszek dołączył do swojego repertuaru coś o naszej gromadce.

— Jeszcze jeden, wujaszku Billy — poprosił Mule.

— Jeden gość poszedł do lekarza i bardzo długo opowiadał, co mu dolega. No więc lekarz udzielił mu wyczerpującej porady, co ma robić, żeby wyzdrowieć. Gość już prawie wychodził, gdy lekarz zawołał: „Chwileczkę. Nie zapłacił mi pan za moją poradę”. „Zgadza się — odpowiedział gość — bo nie zamierzam z niej skorzystać”.

— Ten wydrukuję — stwierdził J.C., zapisując dowcip w notesie.

— No cóż, będę się zbierał. To okropne, co spotyka dwójkę naszych przyjaciół. Razem z Rose uważamy, że jesteście wspaniali, Spróbujcie się tym nie zadrećzać.

Wujaszek Billy zniknął z otworu w podłodze, a oni z niechęcią wrócili do pracy.

Fancy pojawiła się na górnym stopniu, pochyliła się i szepnęła:

— Percy, Velma znowu płacze.

— A co ja mam na to poradzić? — zapytał gniewnie Percy. Stał, obejmując ramionami dużą beczkę.

— Pozwól jej płakać — poradził pastor. — To pomaga. J.C. wyciągnął szyję i nasłuchiwał.

— Ratuj się kto może. Lucrezia Borgia*.

* Lucrezia Borgia (1480-1519)— córka papieża Aleksandra VI, słynna z piękności; jako księżna Ferrary gromadziła na swoim dworze uczonych i artystów.

Mule zmarszczył czoło.

— Kto?

— Przykucnę za piecem — powiedział pastor. Przy włązie do piwnicy pojawiła się Edith Mallo-
ry.

— Kto tam jest? — zapytała.

— Mule Skinner, Percy Mosely i J.C. Hogan — odpowiedział Mule, spoglądając do góry.

— Kiedy skończycie?

— Dzisiaj.

— A dokładnie o której?

— Nie mamy pojęcia.

— Życzyłabym sobie, żeby nie było to później niż o północy, zgodnie z umową. Czy jest z wa-
mi ojciec Tim?

— Nie widzę go tutaj.

— A jak pan myśli, gdzie może być?

— Bóg raczy wiedzieć.

— Proszę pamiętać, że boksy też mają zniknąć. Widzę, że nadal są przymocowane do ścian. Na
pewno przypomina pan sobie, że krzesła też ma nie być.

Percy zacisnął pięści.

— Pan Coffey wyjeżdża im na spotkanie do Wesley jutro rano.

W drodze powrotnej będzie prowadził, a ich ciężarówka będzie jechała za nim. Zajmą lokal
punktualnie o ósmej.

Krocząc dumnie, Edith zniknęła z ich pola widzenia.

— Może już ojciec wyjść — powiedział Mule w stronę pieca.

Wynieśli ostatnie pudełka na górę, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać.

— Dajcie mi latarkę — poprosił pastor. — Chciałbym się jeszcze raz rozglądać.

Wydawało mu się, że nigdy dotąd nie czuł takiego zmęczenia i takiego psychicznego bólu. Ma-
rzył tylko o tym, żeby pójść do domu i położyć się do łóżka. Nie chcieli jednak zostawić przez nie-
uwagę żadnych cennych rzeczy, które Percy mógłby potem spieniężyć. Właściciel Collar Button za-
proponował pięćset dolarów za szafę grającą, pod warunkiem, że Percy sprzeda mu również płyty,
wśród których znajdowały się: *Mężczyzna na sześćdziesiąt minut*, *Miętowy burbon* i *Pucybut z Chatta-
nooga*. Percy powiedział, że się zastanowi.

Mule zamiótł betonową podłogę i postawił w kącie miotłę. Jakie to dziwne, że z całej pięćdzie-
sięciodwuletniej historii rodzinnego biznesu została jedynie zniszczona miotła.

Rozświetlił światłem latarki mroczną przestrzeń, która z nastaniem wieczoru zrobiła się chłod-
niejsza i bardziej wilgotna. Nie byłby w stanie znieść kwaśnego zapachu ziemi ani chwili dłużej i po-
stanowił, że plany wysprzątania jego własnej piwnicy mogą poczekać jeszcze kilka lat.

Skierował snop światła na belki stropu, w miejsce, gdzie od warstwy ubitej ziemi dzielił je niecały metr. Może ktoś schował tam kilka z tych starych blaszanych reklam — zainteresowanie właściciela Collar Button wskazywało, że muszą być dość cenne.

I wtedy to zobaczył.

Rozdział siedemnasty

ZŁAMANE ZAKAZY

Ron Malcolm zagwizdał.

— Wszystkie belki są spróchniałe, ale wygląda na to, że najgorsze kryje się pod tylnym boksem.

Widział jedynie stopy Rona wystające z miejsca, do którego się wczołgał, pomiędzy stropem a warstwą ubitej ziemi.

— Na Boga, powiedz Percy'emu, żeby przestał skakać tam na górze.

— Percy! — zawołał pastor z dołu.

— Co takiego?

— Przestań na chwilę.

Nie powiedział Percy'emu, co zobaczył. Wspomnił tylko, że wydaje mu się, iż Ron Malcolm, jako były budowniczy, mógłby chcieć oglądnąć interesującą konstrukcję stropu.

— Jak szybko możesz tu przyjść? — zapytał, dzwoniąc z budki telefonicznej przed Księgarnią Szczęśliwych Zakończeń, i Ron przybiegł natychmiast.

Ron wyczołgał się ze szczeliny.

— Po czterdziestu latach w budownictwie za cholerę nie chciałbym zginąć przygnieciony kupą gruzu.

— Aż tak źle?

— Nie uwierzyłyby ojciec. Sosna z południa, bardzo stara i spróchniała na wskroś. Widziałem to już setki razy. To cud, że wszyscy nie wpadliśmy do piwnicy. Szczególnie tylny boks — to jak siedzenie na bombie.

— Nowi najemcy wprowadzają się jutro rano.

— Nie tutaj. Jak miejski inspektor budowlany to zobaczy...

— Czy moglibyśmy do niego zadzwonić, sprowadzić go tutaj, żeby się temu przyglądnął... teraz?

— Teraz?

— Edith Mallory musi się o tym dowiedzieć, ale byłoby zapewne lepiej, gdyby usłyszała o tym z ust jakiegoś lokalnego autorytetu.

— Jest jedenasta w nocy...

— Jak długo może potrwać remont?

Ron podniósł wzrok i rozejrzał się dookoła.

— Dwa, sześć miesięcy. Przy takich konstrukcjach wiele rzeczy wychodzi na jaw dopiero w trakcie prac. Kto wie? Minimum może dwa miesiące. Trzeba wyrzucić wszystkie belki... położyć nową podłogę... Może uda się uratować część starej podłogi. Nie wiem. Widziałem, jak kiedyś stało się coś podobnego w kościele — jeszcze kilka niedziel i zawaliłaby się cała lewa strona.

— Będą też chcieli sprawdzić klatkę schodową, która prowadzi do drukarni J.C. Cała ta część budynku jest dość niepewna, o ile sobie przypominam.

— Zastanówmy się nad tym — zaproponował pastor, siadając na ostatnim stopniu.

Edith Mallory wyglądała tak, jakby się wystroiła na lunch przy brydżu, mimo że była prawie północ. Bębniła palcami po blacie swojej kuchennej lady, przy której usiedli na wysokich krzesłach. Papieros tlił się w popielniczce.

— Spróchniałe — powiedział pastor.

— Doszczętnie — dodał były budowniczy. — Zamierzam poinformować o tym z samego rana inspektora miejskiego, bo to bardzo poważna sprawa. Stan stropu stanowi zagrożenie dla życia.

Miał wrażenie, że mięśnie jej twarzy napięły się, przez co ogromne oczy wydawały się jeszcze większe.

— Jutro o siódmej rano przyjeżdża do Wesley ciężarówka ze sklepu, który się wprowadza.

— Istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdy inspektor zobaczy ten strop, nie wyrazi na to zgody.

Z jej ust padło przekleństwo.

— Remont potrwa dwa miesiące, może dłużej. Co gorsza, budynek może kryć w sobie i inne niespodzianki.

Zgasła tłący się papieros.

— Pojutrze lecę do Hiszpanii. Siedziała nieruchomo jak porażona.

— Mam nadzieję, że to nie jakiś naprędce spreparowany fortel, który umożliwi waszemu przyjacielowi pozostanie w budynku...

— Pozostanie w budynku? — powtórzył ojciec Tim. — Jego już tam nie ma. Do północy, pamiętasz?

Wpatrywała się w zegar ścienny, a jej lewym policzkiem szarpał nerw.

— Jak długo będziesz w Hiszpanii?

— Trzy miesiące — odpowiedziała gniewnie. — Potem wybieram się w rejs dookoła świata.

— Mówiłaś, że sklep z odzieżą damską będzie musiał pójść gdzie indziej, jeśli nie zajmie lokalu jutro, zgadza się?

— Tak — powiedziała, zwracając się do niego z wściekłością — to są dokładnie moje słowa i dokładnie to będą musieli zrobić.

Wyciągnęła z paczki jeden ze swoich brązowych papierosów.

— To ohydne miejsce zawsze sprawiało mi tylko same kłopoty.

— Być może któraś inna spośród osób, z którymi prowadzisz interesy, będzie zainteresowana tym lokalem...

— Chciałam to sfinalizować przed wyjazdem. — Wstała i zaczęła chodzić po kuchni. — Przypuszczam, że wydaje ci się, iż zdążę znaleźć nowych najemców do środy?

— Mam dla ciebie najemcę. Spojrzała na niego pobłaźliwie.

— Naprawdę?

— Tego samego, który wynajmował twój lokal przez ostatnie trzydzieści cztery lata.

Prychnęła.

— Słyszałem, że będziesz spędzać więcej czasu w swoim domu na Florydzie.

— Dobrze słyszałeś.

— Podpisz kontrakt na dzierżawę z Percym i przeprowadź niezbędny remont. Dzięki temu miejsce znajdzie się w dobrych rękach i nie będziesz musiała jeździć tam i z powrotem, żeby udobruchać najemcę płacącego wysoki czynsz. Nie musiałabyś płacić za wymyślne dywany, odnowienie ścian i sufitu, instalować luksusowej toalety.

— Przerwał na chwilę i przeszedł do sedna sprawy. — Dzierżawa na pięć lat i podwyżka czynszu o dwadzieścia procent. Spojrzała na niego gniewnie.

— Chyba żartujesz.

— Pięć i dwadzieścia — powiedział spokojnie.

Jej lewym policzkiem ponownie zaczął szarpać nerw.

— Rok i czterdzieści procent.

— Pięć i dwadzieścia, i ty wymieniasz markizę. My oczyścimy i pomalujemy przednią ścianę budynku.

— Tak — poparł go Ron.

Stała na środku kuchni nieprzejednana.

— Rok i trzydzieści. Koniec, kropka. Pastor podniósł się z krzesła.

— Szczęśliwej podróży, Edith. Ron poszedł za nim do drzwi.

Przekręcał już gałkę, gdy weszła za nimi do holu.

— W takim razie, niech będzie. Pięć i dwadzieścia.

Odwrócił się, żeby stanąć twarzą w twarz z jej bezsilnym gniewem. Edith syknęła i wypowiedziała siarczyste przekleństwo, którym — pomimo całej jego ordynarności — nie był w najmniejszym stopniu zdziwiony.

— Percy wyszedł z tego obronną ręką — stwierdziła Emma. — I tak musiałby się wynieść, żeby mogli przeprowadzić remont. Poza tym wszystko zdarzyło się w samą porę, zanim cały bar się zawalił i zanim ludzie zrobiliby wokół tego wrzawę.

Niedokładnie takie znaczenie miały słowa z Księgi Izajasza, ale Bóg sprawił, że Percy znalazł w ciemnościach skarb. Tam, w tej mrocznej piwnicy, były spróchniałe belki — które, w dziwny sposób, okazały się na wagę złota.

— To cudownie — powiedziała Cynthia. Jesteś bohaterem dnia!

Nigdy nie był bohaterem dnia ani tygodnia. Odkrył, że nagle czuje się wyższy, a nawet szczuplejszy. Nie miał pojęcia, jak to jest możliwe. Nie chciał jednak pozwolić, aby taka drobnostka uderzyła mu do głowy. Nie chciał też, aby cokolwiek przytłumiło najważniejsze uczucie, jakie rozpie-rało jego serce — radość.

Zmianie miał ulec wygodny tryb życia — i była to pożyteczna zmiana — ale wkrótce wszystko miało wrócić do normy. Percy nie umrze, Velma nie będzie płakać, on będzie mógł dostać talerz zupy poza własnym domem i życie będzie trwało nadal.

Poszedł do kościoła, ukląkł i modlił się, nieźle śmiejąc się razem z Panem Bogiem, gdy wyznał Mu, że nie miał pojęcia, iż uda mu się zakończyć wojnę z Edith Mallory — i wyjść z niej zwycięsko.

Będzie musiał coś zrobić z Meg Patrick, ale nie wiedział co.

Musiał też skontaktować się jeszcze z kilkoma szkołami i spotkać z co najmniej dwoma nauczycielami Dooleya w sprawie referencji, które miał nadzieję zdobyć.

I najważniejsza sprawa, w czerwcu, to znaczy za miesiąc, rozpoczyna się przerwa wakacyjna w szkole w Mitford, więc powinien się pośpieszyć i przeprowadzić rozmowę z Dooleyem Barlowe'em.

Czerwiec, pomyślał, siadając z uczuciem niepokoju przy biurku. Miesiąc, w którym rozpoczną się wizyty korepetytora, Puny wyjdzie za mąż i wyjedzie na dwa tygodnie, Hoppy i Olivia wezmą ślub w Lord's Chapel i panna Sadie wyda na ich cześć przyjęcie w Fernbank, a w dodatku, a może przede wszystkim, przyjedzie biskup, aby przeprowadzić doroczną ceremonię bierzmowania — podczas której zarówno Dooley, jak i Cynthia zostaną przyjęci do Kościoła. Tym razem biskupowi będzie towarzyszyła Martha i czuł się zobowiązany jakoś zorganizować ich wolny czas.

Miał wrażenie, że w czerwcu ma się wydarzyć coś jeszcze, ale z ulgą doszedł do wniosku, że nie może sobie przypomnieć.

Postanowił zrobić małą przerwę i pojechał na wieś, aby spotkać się z bratem Greerem.

Usiedli na ganku przed sklepem, z którego roztaczał się widok na ciągnące się za drogą pastwisko, i wypili po puszcze wyjętego ze skrzynki Cheerwine.

Barnaba spał z głową opartą na stopie starego pastora.

— Ta garstka ludzi nadal potrzebuje kaznodziei — powiedział do Absaloma.

— Zaniosem to do Pana Boga i postanowiłem poczekać, aż to we mnie dojrzeje.

— I?

— Zrobię to.

— Cudownie! Wspaniale!

Radosne światło w oczach przyjaciela natychmiast nappełniło go otuchą.

— Jak mogę się tam dostać i tak dalej?

— Rodney Underwood, nasz szef policji, obiecał, że będzie po ciebie przyjeżdżał i zawoził na miejsce w każdą środę o szóstej. Trudno samemu poruszać się w tamtych okolicach, a na dodatek to niezbyt bezpieczny rejon. Jesteś pewien, że chcesz to robić?

— Pan Bóg przemówił do mojego serca i powiedział mi, o czym mam nauczać, jestem więc zdecydowany to zrobić. „Oto teraz czas upragniony, oto teraz dzień zbawienia”. Wielu ludzi zamierza pojednać się z Panem Bogiem jutro, ale jutro nigdy nie nadchodzi. Mam zacząć od tego i powiedzieć też o czymś, co jeszcze napisał święty Paweł do Koryntian: „Jeżeli więc ktoś pozostaje w Chrystusie, jest nowym stworzeniem. To, co dawne, minęło, a oto wszystko stało się nowe”.

— Amen! — zakończył pastor.

— Zagłdniesz do nas od czasu do czasu?

— Może brat na to liczyć — odparł ogrzany entuzjazmem starszego mężczyzny.

Buck Leeper wykrzyknął przekleństwo do słuchawki i powiedział tylko tyle:

— Niech ojciec tutaj przyjdzie. Natychmiast.

Przyjechał dzisiaj rano do kancelarii samochodem, ponieważ była sobota i musiał załatwić kilka spraw, ale nie przyszło mu do głowy, żeby pojechać na plac budowy. Nie zamykając kancelarii na klucz, pobiegł w górę Old Church Lane, kierując się wprost na Church Hill, wdzięczny, że włożył buty do joggingu.

W głosie Bucka Leepera było coś, co powiedziało mu jednocześnie wszystko i nic. Stało się coś straszego, nie miał co do tego wątpliwości.

Serce waliło mu mocno, gdy biegł na szczyt góry, a potem w dół na plac budowy Domu Nadziei. Ciszę przeszywał dochodzący od strony szpitala ostry dźwięk sygnału karetki.

Pobiegł w kierunku grupy mężczyzn stojących obok sterty drewnianych bali i zobaczył coś, co wyglądało na leżącego na ziemi chłopca.

— Dobry Boże! — modlił się, mając wrażenie, że serce zaraz pęknie mu z bólu. — Nie pozwól, żeby to był Dooley!

To nie był Dooley.

— To Tommy — powiedział Dooley.

Na jego twarzy malował się przerażający obraz bólu i strachu. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, gdy pastor przygarnął go do siebie.

Nad wszystkimi górował Buck Leeper, który przeklinał tak gwałtownie, że pastor aż się cofnął.

— Nie mówiłem ojcu, żeby kazał ojciec tym dzieciakom trzymać się z daleka od mojej budowy? Mam nadzieję, że jest ojciec zadowolony z tego, co ojciec widzi.

Widział chłopca, leżącego na plecach i nieprzytomnego. Bładość jego czoła podkreślał straszliwy ciemny guz. Jego krwawiąca lewa noga była rozplątana od łydki aż po udo, odsłaniając kość. Widział już tę scenę we śnie o Bucku Leeperze. Był porażony tą przerażającą zbieżnością.

Instynktownie zrobił krok w stronę Tommy'ego.

— Niech go ojciec nie dotyka — warknął Leeper. Dooley łkał.

— Bawiliśmy się na tej stercie bali. Zaczęły się staczać, a Tommy upadł na nie. Zjechał po nich i upadł na ziemię. Gdy zaczęły się staczać, ja zeskoczyłem.

Z ust Dooleya wydobył się głęboki jęk. Mężczyźni stali obok, przerażeni i bezsilni.

— Nie pracowaliśmy dzisiaj. Przyjechaliśmy tylko, żeby sprawdzić... — szepnął ktoś.

Potem nagle zjawili się pośród nich sanitariusze z karetki i milczący ranny chłopiec został ułożony na wózku, zamknęły się drzwi i karetka ruszyła pod górę, a oni zostali, oszołomieni.

Obecność Bucka Leepera zdawała się chłonać otaczające ich powietrze i pastor miał wrażenie, że zaczyna mu brakować tchu. Widział już kiedyś gniew tego człowieka, ale to było coś innego, coś bardziej przerażającego niż gniew.

Odruchowo rozglądnął się za swoim samochodem, ale oczywiście go tam nie było, a Buck Leeper odwrócił się i pobiegł do swojego czerwonego pick-upa.

Spojrzał bezradnie na mężczyzn.

— Chodźmy!

Rzucili się pędem do zaparkowanej obok ciągnika ciężarówki.

— Martwię się o głowę, nie o nogę — powiedział Hoppy.

— Wilson zakłada mu na nogę opatrunek uciskowy i natychmiast zabieramy go do Wesley. To musiał być gwóźdź — w miarę, jak chłopak się staczał, gwóźdź rozrywał nogę. Niewiele brakowało, a przebiłby tętnicę udową. Widziałem tętnicę i nerw tuż obok. Kilka milimetrów i mógłby się wykrwawić na śmierć, zanim zdążylibyśmy do niego dojechać. W Wesley zrobią mu tomografię mózgu. Poprosiłem o konsultację doktora Hadleigha. Doskonały fachowiec. Neurochirurg. Pomiedzy czaszką a obrzękiem może znajdować się krew, krwiak. Będzie musiał przebywać pod ciągłą obserwacją.

— Czy nadal jest nieprzytomny?

— O tak. A co z jego rodzicami?

— Nie mogę się z nimi skontaktować. Odpowiada automatyczna sekretarka.

— Słuchaj — powiedział Hoppy, z wyrazem troski na twarzy — modłę się za to... na ile się to zda.

— Zda się na wiele więcej, niż możemy to sobie wyobrazić — odparł pastor, który nie potrafił opanować drżenia w środku.

Pośpieszyli do Wesley, starając się nie tracić karetki z oczu. Zżerało go poczucie wstydu i winy. Nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wcześniej czuł się tak okropnie; zranił Tommy'ego swoimi własnymi rękami, aktem bezsensownego i niewybaczalnego zaniedbania.

Spojrzał na Dooleya, którego twarz nadal pozostawała nieruchoma i biała jak płótno. Odpowiedzialność za Dooleya była nie tylko realna, była też ciągła — dwadzieścia cztery godziny na dobę. Poniósł porażkę, zawiódł, ciągnął jedynie na pół etatu, podczas gdy najwyraźniej potrzebna była praca w godzinach nadliczbowych.

Osiem kilometrów za Mitford minęła ich ciężarówka Bucka Leepera i prowadziła do samego szpitala.

Nigdy przedtem nie czuł się tak bezwartościowy, tak przerażony i tak beznadziejnie bezsilny.

Przyjechali przerażeni rodzice Tommy'ego, po odsłuchaniu wiadomości od ojca Tima, w której prosił, żeby zadzwonili do niego na trzecie piętro szpitala w Wesley.

Chciał im tylko powiedzieć: „Przepraszam, to moja wina”, ale gdy weszli, nie zdołał wydobyć z siebie ani jednego słowa. Duchowny, który nie potrafi pocieszyć człowieka w chwili próby? Czuł się żałośnie bezradny.

Buck Leeper wchodził i wychodził z pomieszczenia dla palących, starając się być cały czas w pobliżu.

— Nie ma krwika — obwieścił doktor Hadleigh, który właśnie odczytał zdjęcie. — Nie wiemy, jak długo będzie nieprzytomny. Może to potrwać kilka godzin albo kilka dni. Prawdę powiedziawszy, może to też być kwestia tygodni, ale mamy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Mama Tommy'ego spojrzała na ojca Tima i wyciągnęła do niego rękę.

— Proszę z nami wejść, ojcze.

Być może było to coś w jej głosie, ale czuł, jakby jego wina została wybaczona. Zaczął płakać, nie potrafiąc powstrzymać łez, i weszli razem do pokoju Tommy'ego.

— Zwymiotowałem — powiedział Dooley, wycierając usta i wsiadając do samochodu.

— Dobrze.

— Już od dłuższego czasu chciało mi się wymiotować. Czy on umrze?

— Nie.

— To moja wina — powiedział Dooley, wyraźnie cierpiąc.

— Dlaczego?

— To był mój pomysł. Tommy mówił, żebyśmy lepiej już tam nie chodzili. Pan Leeper nam zabronił.

Jechali w milczeniu. Była dziewiąta wieczorem. Czekali w szpitalu aż do zakończenia operacji okropnej rany nogi chłopca. Odczuwał niesamowite zmęczenie, złość i niewypowiedziany smutek — stanowczo zbyt wiele jak na jeden raz.

— Czy jest ojciec wściekły? — zapytał cicho Dooley.

— Tak — odpowiedział zdecydowanie. Nastąpiła długa chwila ciszy.

— Tak mi przykro — szepnął Dooley.

— Rzeczywiście?

— Tak.

— Odnoszę wrażenie, że ostatnio robisz wszystko, co tylko możliwe, żeby skomplikować sobie życie.

Dooley patrzył przed siebie.

— Wyrzucają cię ze szkoły, a twój przyjaciel nieomal traci życie, a wszystko dlatego, że złamałeś zakazy. Sam mogłeś stracić życie. Co się z tobą dzieje? Powiedz mi.

— Po prostu to zrobiłem, to wszystko.

— Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś?

— Dla zabawy.

— Co było w tym takiego zabawnego?

— Palenie, zabawa na tej stercie bali, zabijanie czasu.

— Nie wydawało mi się, żebyś się świetnie bawił, gdy przez palenie musiałeś siedzieć w domu przez dziesięć dni. A dzisiaj ile miałeś dobrej zabawy?

— Nie wiem.

— Wypadek zdarzył się około jedenastej. Jak długo bawiliście się na stercie bali?

— Dopiero żeśmy zaczęli. Jakieś dziesięć minut.

— Dziesięć godzin udręki za dziesięć minut zabawy.

Dooley milczał.

— Zastanów się nad tym. Jesteś wystarczająco mądry, żeby zrozumieć, że to głupie.

Wysłanie go teraz do szkoły mogło się wydawać karą, a nie nagrodą. Takie jednak były fakty i nie było na to żadnej rady.

— Jeśli chodzi o Tommy'ego, jego udręka będzie trwała znacznie dłużej niż dziesięć godzin. Minie dziesięć tygodni, trzy, a może nawet sześć miesięcy, zanim jego noga się zagoi. A gdy już będzie mógł zacząć chodzić bez kuli, może się okazać, że utyka.

Nie wspomniał o tym, że chłopiec może leżeć przez wiele tygodni w śpiączce albo że w wyniku urazu głowy mogą powstać poważne komplikacje.

Może Dooleyowi Barlowe'owi wcale nie była potrzebna rozmowa, tylko porządne złożenie skóry. Szczerze mówiąc, nie potrafił sobie wyobrazić siebie wymierzającego mu taką karę, ale być może był to powód, dla którego teraz znajdowali się w tej okropnej sytuacji.

Dooley odezwał się dopiero, gdy wjeżdżali do garażu.

— Tak — powiedział wolno. — To było głupie.

Siedział przy kuchennym stole z Cynthią, jedząc talerz jej zupy z pora i opowiadając o tym, co się właśnie wydarzyło.

Usłyszał, że otwierają się drzwi do gościnnego pokoju. Jeśli Meg Patrick zejdzie po jego schodach, przejdzie jego holem i zjawi się w jego kuchni, gdzie usiłował zaznać trochę spokoju, rozmawiając ze swoją sąsiadką, wyrzuci ją na ulicę, razem ze szlafrokiem i całą resztą, a za nią polecą jej walizki zbliżone wagą do dwóch packardów sedanów z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego.

Kuzynka musiała odczytać jego myśli, ponieważ usłyszał odgłos szczelnie zamykanych drzwi.

— Nikt nie jest doskonały — stwierdziła Cynthia.

— Parafrazując z grubsza słowa świętego Pawła, dlaczego robię to, czego nie chcę zrobić, i nie robię tego, co chciałbym zrobić? Jest to według mnie jedno z najważniejszych i najtrudniejszych pytań postawionych przez Pismo Święte.

Pokiwała głową.

— Dlaczego tak zupełnie sobie nie radzę, Cynthio? Nie radzę sobie z tobą, nie radzę sobie z Dooleyem? Do licha, przecież w tym życiu musi chodzić o coś więcej niż tylko o wygłoszenie raz na jakiś czas porywającego kazania. A jeśli o tym mowa, to moje jutrzejsze kazanie jest jeszcze całkiem w proszku. Zamierzam zdać się na los i poprosić Ducha Świętego, żeby zrobił to za mnie — od początku do końca. Po tym, co dzisiaj widziałem, kazanie, nad którym pracowałem, wydaje mi się... miałkie.

Wstał i zaczął chodzić po kuchni.

— Mam w każdym razie dość głoszenia kazań.

— Timothy! To niemożliwe, żebyś naprawdę tak myślał.

— Och, ale ja naprawdę tak myślę. Mam już po dziurki w nosie ograniczeń, dwudziestominutowych kazań i tego pustego gadania. Właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że pragnę, aby Duch Święty przejął kontrolę. Wchodząc na ambonę, nie chcę mieć ze sobą niczego... „zapisanych na maszynie stron ze sobą nie przynoszę, pozwól mi jedynie przy Twoim krzyżu trwać, o Panie, proszę”. Jestem zmęczony nieustannym wysiłkiem trzymania w rękach wodzy i podążania to w jednym, to w drugim kierunku, bo tam prowadzą mnie autorytety albo bo tam ciągnie mnie kongregacja, albo bo tam rzuca mnie znak czasów. Jutro będę mówił o zakazach — i o ich łamaniu — i jaką płacimy cenę, gdy decydujemy się zaspokajając za wszelką cenę nasze płaskie, nienasycone pragnienia.

Przyglądała mu się ze spokojem.

— Tak bardzo się cieszę, że jesteś tu ze mną — powiedział, czując się nagle słaby i wyczerpany.

Podeszła do niego, otoczyła go ramionami, przytuliła i poklepała delikatnie po plecach, i wtedy zdał sobie sprawę z czegoś, z czego nie zdawał sobie sprawy wcześniej — Cynthia Coppersmith była jego przyjacielem.

Nie zamierzał już czekać ani chwili dłużej. Zamierzał zająć się wszystkim tym, co zaniedbał, i żyć tak, by nigdy nie mieć w tym względzie żadnych zaległości.

Po drugiej mszy porozmawia z rodzicami Tommy'ego i przyzna się do swojego zaniedbania, które polegało na tym, że nie przestrzegł Dooleya, a następnie zaoferuje swoją pomoc na wszystkie trudne dni, które ich czekały.

Potem porozmawia z Dooleyem i przedstawi mu propozycję dotyczącą szkoły. Być może moment nie był właściwy, ale to właśnie czekanie na właściwy moment doprowadziło do tego tragicznego wydarzenia.

Na koniec był winien bez dwu zdań przeprosiny Buckowi Leeperowi.

Wyszedł do pierwszej mszy rozpalony energią i wiarą, których starczyło mu również na drugą mszę, i wygłosił kazanie, które sprawiło, że poczuł mrowienie na czubku głowy.

Przez całe lata modlił się o to, by znaleźć w sobie dość duchowej odwagi i wiary, żeby zupełnie zrezygnować z notatek. Jego modlitwa została wysłuchana, wiedział to. Poczul się tak, jakby ktoś zdjął z jego ramion przygniatający ciężar.

— Nikt nie jest doskonały — powiedziała mama Tommy'ego.

— Ale gdybym porozmawiał z Dooleyem, wymógł na nim posłuszeństwo wobec zakazów...

— Być może okazałoby się to skuteczne — nie wiadomo. Co się stało, to się nie odstanie, ojcie. Bycie rodzicem to trudne zadanie.

Święte słowa.

Stał przy łóżku nadal nieprzytomnego chłopca, a potem, trzymając się za ręce z jego rodzicami, modlił się. Dooley siedział w poczekalni i patrzył przez okno.

— Proszę pozwolić mi wejść na chwilę — poprosił siostrę. — Są przyjaciółmi.

Gdy Dooley wyszedł z pokoju Tommy'ego, pastor przyjrzał się uważnie jego twarzy, szukając w niej jakiejś odpowiedzi. To miejsce w sobie, do którego chłopiec tak długo i zaciekle bronił dostępu, zostało wyzwolone. Proces, który mógł trwać całe lata, zajął tylko kilka minut.

Usiadł na łóżku Dooleya.

— Jest coś, co musisz wiedzieć.

Dooley podniósł wzrok znad książki o weterynarii.

— Co takiego?

— Kocham cię — powiedział.

Wszystko mu wyłożył, bez owijania w bawełnę, i powiedział, dlaczego jego wyjazd do szkoły jest taki ważny, i że wierzy w niego oraz w jego szczególne umiejętności i zdolności, tak samo jak panna Sadie i jego nauczyciele.

— To będzie bardzo pracowite lato. Będą ci potrzebne korepetycje, będziemy musieli wybrać się z wizytą do kilku szkół — i na pewno będziesz chciał spędzić trochę czasu z Tommym. Z całą pewnością proces powrotu do zdrowia będzie dla niego bardzo trudny.

Przemówił do chłopca z głębi serca i czekał na realizację scenariusza, który przygotował sobie w myślach — Dooley powie, że nie zamierza tego zrobić i rozpocznie się ścieranie przeciwnych stanowisk.

Chłopiec patrzył na leżącą na jego kolanach książkę.

Być może mógłby się postarać lepiej to sprzedać, potraktować to jak prawdziwą kampanię, ale nie, przedstawił to w prosty i zwyczajny sposób, i postanowił poczekać na rezultat.

Pochylił się i przytulił chłopca. Dooley się nie opierał i nie próbował odsunąć.

Poszedł do domu w lesie, który — jak się okazało — znajdował się na końcu wyboistej drogi, i ujrzał stojący na podwórku samochód Bucka Leepera.

Z wyjątkiem wycieczek nad Strumień, żeby zobaczyć się z Bezdomnym Hobbesem, rzadko zbaczał z utartego szlaku. Stał przez chwilę na podwórku, spoglądając w las i słuchając śpiewu ptaków.

Gdy wszedł na ganek i zapukał do zewnętrznych drzwi, poczuł dochodzący z domu gorzki zapach popiołu z wygasłego kominka.

W holu pojawił się Buck ze szklanką w ręce. Nie podszedł do drzwi, tylko zatrzymał się w połowie drogi. Chwiał się lekko na nogach.

— Czego ojciec chce?

— Chcę z panem porozmawiać.

Stał, zasłaniając światło, które wpadało z drugiej strony korytarza — ciemna, bezkształtna zjawia, której twarzy pastor nie był w stanie dojrzeć. Zamieszał gwałtownie szklanką i wychylił jej zawartość.

— Otwarte.

Ojciec Tim otworzył drzwi i wszedł do środka. Nadal nie widział twarzy Bucka.

— Chciałbym przeprosić. Nastąpiła chwila ciszy.

— Proszę bardzo.

— Powiedział mi pan, żeby chłopiec trzymał się z daleka od placu budowy, a ja z nim o tym nie rozmawiałem. Miałem zamiar, ale tego nie zrobiłem. Przepraszam za całe zamieszanie, jakie wywołało to w życiu wszystkich, których to dotyczy. Bardzo tego żałuję.

— Droga do piekła jest wybrukowana dobrymi intencjami. Czyż nie tak się mówi? Powinien ojciec wiedzieć.

Buck wrzucił niedopałek papierosa do kominka.

— Niech ojciec usiądzie — powiedział, stając w świetle padającym z okien.

Mógł usiąść na krześle przy drzwiach, ale instynktownie podszedł do sofy, wchodząc dalej, w głąb prywatnego terytorium skrytego mężczyzny. Buck wyszedł z pokoju i wrócił z butelką, potem usiadł na krześle naprzeciw niego i nalał szklanekę wódki. Siedział zgarbiony, opierając łokcie na kolanach, z butelką w ręce.

— Przyszedł ojciec porozmawiać? Proszę, niech ojciec mówi. Nie przyszedł porozmawiać, przyszedł go przeprosić.

— Miałem nadzieję spotkać pana w szpitalu, gdy byłem tam w południe.

Buck napił się trochę ze szklanki.

— Ja byłem tam rano.

— Aha.

Nastąpiła długa chwila ciszy. W całym pokoju czuło się gorzki zapach popiołu z kominka.

— Napije się ojciec? — zapytał Buck, kierując w jego stronę szyjkę butelki.

— Nie, dziękuję.

— Dobrze ojcu robi.

Gdy Buck Leeper się śmiał, dźwięk zdawał się dochodzić z samej jego głębi i przypominał odgłos czegoś wrzącego na palniku.

— Dlaczego jak trzeba zakasać rękawy i zabrać się do roboty, to księża zawsze zawodzą?

— Co ma pan na myśli?

— Nauczacie o życiu wiecznym, ale zupełnie nie szanujecie doczesnego.

— Ależ mnie zależy na życiu doczesnym — odparł.

— Nie na tyle, żeby uważać na parę głupich dzieciaków, które robią wszystko, żeby się zabić.

— Oczy zamieniły mu się w szparki. — Powinien był ojciec sprać im za to solidnie tyłki.

— Czy kiedykolwiek chciał pan zrobić coś właściwie, ale się panu nie udało?

Buck wypił zawartość szklanki i przeklął.

— A ojciec? Niech mi ojciec powie.

Buck wstał i podszedł do okna. Stojąc plecami do pastora, spoglądał na las. Nastąpiła długa chwila ciszy, a potem padły te słowa:

— Przeze mnie zginął kiedyś dzieciak.

Za oknem pastor zobaczył wiewiórkę przeskakującą z jednej gałęzi na drugą. Milczał.

— To była moja pierwsza praca na budowie. Miałem siedemnaście lat. Oszalałem na punkcie tego sprzętu. Jego siła, nawet kolory mnie fascynowały. Mój starszy brat pozwolił mi jeździć koparką. Powiedział, że jeśli się nie spiszę, to skopie mi tyłek, stąd do Missisipi.

Buck postawił szklankę na parapecie i zapalił papierosa, przeklinając ojca.

— Potem jednej nocy zabrałem dzieciaka na budowę, wsadziłem do kabiny, pokazałem mu dół, który kopałem, i pozwoliłem mu nabrać chwytności ziemię. Padało przez tydzień i ziemia była bardzo grząska. Podjechałem koparką zbyt blisko krawędzi dołu i gdy podnieśliśmy wysięgnik koparki z ładunkiem, ziemia pod nami się osunęła. — Zaciągnął się głęboko papierosem. — Maszyna wpadła do dołu, a ja wyskoczyłem. Ale podczas upadku... wyrzuciła na zewnątrz dzieciaka i przygniotła go swoim ciężarem. Gdy ściągnęliśmy ją, on...

Zataczając się, Buck odsunął się od okna i cisnął butelką w kominek. Uderzając w kamień, rozbiła się na drobne kawałki. Drobinki szkła posypały się z brzękiem po drewnianej podłodze.

Po policzkach popłynęły mu łzy.

— Ten dzieciak — powiedział chrapliwym głosem Buck — był moim bratem.

Gwałtowna burza płaczu i przekleństw szalała wokół niego przez kilka godzin, kiedy próbował pomóc przetrzymać najgorsze chwile mężczyźnie, który nie miał dokąd pójść ze swoim bólem.

W pewnym momencie Buck podniósł drewniane krzesło i nim też rzucił w kamienny kominek, roztrzaskując je na kawałki. Pastor cofnął się, gdy noga przeleciała przez podłogę i wylądowała u jego stóp. Największy głupiec, pomyślał pastor, uciekłby z tego pełnego przemocy miejsca, ale on nie był w stanie biec.

Cała żołączy goryczy, cierpienia, bezsilności i nienawiści wylewała się z mężczyzny, który walczył o swoje życie, przeklinając Boga, ojca i wreszcie samego siebie.

Jednak w czasie gdy z Leepera uchodził jad, pastora zaczął przepełniać głęboki spokój. Nie próbował zrozumieć tego, co się dzieje, i nie próbował niczego mówić. Siedział tylko, modląc się po cichu, i był razem z nim.

Była już dziesiąta, gdy zostawił Bucka Leepera śpiącego na sofie, na którą upadł. Wyszedł z domu, zszedł po schodach i wszedł do swojego samochodu.

— Nie uwierzysz — powiedziała Emma. — Zgadnij, co zamierzają zrobić Velma i Percy. Do trzech razy sztuka.

Emma uwielbiała bawić się do znudzenia w swoje dwie ulubione gry: „Do trzech razy sztuka” i „Ostatnie słowo”. Obydwu nie cierpiał.

— Naprawdę muszę?

— Tak — odpowiedziała głosem nie znoszącym sprzeciwu.

— Zamierzają aa... — Nigdy nie był w tym dobry. — Pojechać na Hawaje! — powiedział zrezygnowany.

Wyglądała na zupełnie zaskoczoną.

— Jak się domyśliłeś?

— To znaczy, że naprawdę jada? Wielkie nieba! Wybrałem po prostu najbardziej nieprawdopodobną rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

— Kiedy oni dokładnie tam się wybierają. Musisz mieć szósty zmysł. Ich dzieci zrobiły zrzutkę i zebrały dość pieniędzy na rejs statkiem. Velma zadzwoniła do mnie wczoraj wieczorem. Czy to nie bije wszystkiego na głowę? O ile mi wiadomo, Velma Mosely nigdy nie wypuściła się poza granice okręgu, z wyjątkiem jednej wizyty u kuzynki, kiedy to zresztą cierpiała na chorobę lokomocyjną.

Percy i Velma na Hawajach? Tak, to rzeczywiście było wszystko.

Emma odebrała telefon.

— Poczekaj chwileczkę, Evie. Emma oparła słuchawkę na piersi.

— Czy chce ojciec rozmawiać z Evie? — szepnęła.

Nie, nie chciał rozmawiać z Evie. Co mógłby zrobić? Wpaść do niej po lunchu i przyglądać się, jak panna Pattie wygląda przez okno? Wziąć Evie za rękę i po raz kolejny się z nią pomodlić? Obawiał się, że nie zdołałby znieść po raz kolejny widoku cierpienia. Nie, nie chciał rozmawiać z Evie.

Sięgnął po słuchawkę.

— Dzień dobry, Evie.

— Dzień dobry, ojczy! Dla odmiany, nie dzwonię, żeby ojca o coś poprosić...

— Nie ma sprawy — powiedział, zauważając dziwną lekkość jej głosu. — Możesz mnie poprosić, o co tylko zechcesz.

— Chciałam jedynie powiedzieć, że mama miała dzisiaj rano przebłysk świadomości i poprosiła mnie, żebym do ojca zadzwoniła i coś ojcu powiedziała.

— Naprawdę?

— Chciała, żebym zadzwoniła — powiedziała Evie, z trudem powstrzymując łzy — i powiedziała ojcu, że ona ojca kocha.

Poczuł się tak, jakby ktoś ugodził go w samo serce.

— Powiedz jej, proszę, że ja też ją kocham. — Oczywiście, że tak było. Zapomniał jedynie o tym na chwilę. — Powiedz jej, że przyjdę po lunchu, żeby ją przytulić.

Rozpromieniony odłożył słuchawkę.

— I co tym razem zrobiła panna Pattie? — zapytała Emma.

Percy zadzwonił, żeby zdać mu relację, jak przebiegły negocjacje z prawnikiem Edith dotyczące dzierżawy. Z tego, co mówił, wynikało, że inspektor miejski nie znalazł nic bardzo niepokojącego, z wyjątkiem spróchniałych belek i podłogi. Niezbędne były jedynie drobne naprawy, żeby zlikwidować przeciek z dachu, ponadto należało wymienić instalację wodno-kanalizacyjną w łazience. Koniec końców, ustalono, że Grill będzie mógł na nowo rozpocząć działalność piętnastego sierpnia.

— Przywiozę ojcu jeden z tych zwariowanych T-shirtów — obiecał Percy.

— Ojczy? — Dzwoniła mama Tommy'ego. — Tommy próbuje mówić.

Prosto z biura pobiegł z Barnabą do szkoły i spotkał Dooleya, gdy ten, niosąc swój plecak, wychodził samotnie z budynku. Wydawało mu się, że jeszcze nigdy nie wyglądał tak smutno.

— Tommy próbuje mówić — powiedział z trudem.

Twarz Dooleya uległa metamorfozie. Po raz pierwszy w życiu pastor miał okazję oglądać prawdziwe uosobienie radości.

Z Barnabą ciągnącym ich na smyczy biegli przez całą drogę do domu.

Rozdział osiemnasty

SUFIT

W skali jeden do dziesięć swoje siły vitalne ocenilby w granicach dwa i pół.

Wiek, do licha, i cukrzyca. I zero tortu czekoladowego, chociaż za jeden kawałek człowiek byłby gotów zaprzedać duszę.

Myślał, żeby zabrać Cynthię do Wesley na przyzwoitą kolację, do tej restauracji z zielonymi obrusami, ale przypomniał sobie brązowy papieros Edith Mallory tłący się w popielniczce i stwierdził, że to ponad jego siły.

Codziennie po szkole zawoził Dooleya do szpitala, gdzie Tommy okrutnie wolno wracał do zdrowia.

Tommy składał już razem słowa, ale gdy dochodził do końca zdania, zapominał, co powiedział na początku. Mocne bóle głowy wraz z zaburzeniami wzroku towarzyszyły wszystkim innym następstwom wypadku i operacji.

Pastor siedział przy swoim biurku w biurze, spoglądając przez wysokie okna na drzewa. Może powinien zacząć brać witaminy.

— Panno Sadie — powiedział, gdy odebrała telefon — czuję się jak stary, wyeksploatowany duchowny. Czy mogę panią odwiedzić, żeby usłyszeć opowieść o suficie w sali balowej? Przyniosę dla nas lunch.

— Tylko nie pizzę — poprosiła — mam po niej zgagę!

Najwyraźniej nawet panna Sadie wypróbowała nowo otwartą pizzerię dla zmotoryzowanych na autostradzie.

— Proponuję coś nieskomplikowanego, na przykład kanapki z białego chleba — ojciec przynosi dodatki.

Godzinę później, niosąc torbę z zakupami ze Sklepu, wspiął się na wzgórze do Fernbank i na ręce gospodyni przekazał prowiant w postaci indyka i szynki w plasterkach oraz słoika musztardy na miodzie.

— Zapomniałyśmy ojcu powiedzieć, że nie lubimy chleba oliwkowego. — Zajrzała podejrzliwie do torby. — Czy to chleb oliwkowy?

— Zdecydowanie nie.

— Dobrze! Powiedziałam: „A co, jeśli przyniesie chleb oliwkowy?” A Louella odpowiedziała: „To będziemy musiały go zjeść. Tak wypada!”

Przez cały lunch pobrzękiwali lodem w szklankach z mrożoną herbatą, śmiali się zupełnie bez powodu, a Louella mówiła do niego: „Słonko”.

Podczas deseru, na który składał się talerz fig, powiedział im, jak wspaniale wyglądają, a one z kolei pochwały jego marynarkę, zdrowy wygląd i szczupłą sylwetkę, i zanim zdążył zdać sobie sprawę, nie czuł się już jak stary duchowny, ale jak chłopiec.

Panna Sadie otworzyła drzwi do sali balowej, popychając je laską.

— Po raz pierwszy od wielu dni nie miałam tutaj dzisiaj robotników i nie umiem ojcu powiedzieć, jak bardzo się cieszę z tej ciszy. Nie mam pojęcia, jak udaje nam się znieść cały ten zgiełk, chyba tylko dzięki łasce Boga. Czy ojca dom był kiedykolwiek postawiony na głowie?

— Raz pralka zalała mi kuchnię.

— Phi ! To znaczy, że życie ojca oszczędzało.

Gdy tak stali i przyglądali się wnętrzu, ujęła go za ramię.

— Szaleństwo Sadie Baxter, oto, co właśnie podziwiamy. Ale ta sala balowa będzie jeszcze piękniejsza niż tego wieczoru, gdy prezydent Wilson tańczył dokładnie w tym miejscu z moją śliczną mamą.

Poczuł powiew nowego życia, odnowy, który zdawał się spowijać cały ogromny pokój. Była w nim jakaś świeżość i nadzieja.

— Czy Olivia widziała, co się tutaj dzieje?

— Oczywiście, że nie! I nie zobaczy, dopiero w dniu przyjęcia. Modłę się, żeby miała wrażenie, że znalazła się w samym niebie. Och, ojczu, w całym moim życiu nigdy nie zależało mi tak bardzo na tym, żeby coś było tak doskonałe! Co ojciec myśli?

— Myślę, że pani modlitwa została wysłuchana — odparł, patrząc na świeżo odnowione okna, sięgające od samej podłogi aż po sufit, i rusztowanie wzniesione po to, żeby robotnicy mogli dosięgnąć płam na suficie i ścianach.

Wszystko, włącznie z białym płótnem na podłodze i meblach, pokryte było cieniutką warstwą białego pyłu, sprawiając, że we wczesnopopołudniowym świetle cały pokój wydawał się zaczarowanym miejscem, skąpanym w złocistokremowej poświacie. Monotonię koloru łamał jedynie barwny

sufit, gdzie aniołowie w powiewnych szatach frunęli z chmur i przemykali pośród cherubinów z dumną wyższością.

— Proszę mi powiedzieć, co mogę zrobić? — zapytał. Propozycja upieczenia szynki jakoś nie wydawała mu się właściwa.

— Absolutnie nic. Firma cateringowa z Charlotte zajmuje się wszystkim — poczęstunkiem, kwiatami, muzyką, krzesłami. A koszty? Niebotyczne, gra słów zupełnie przypadkowa. Zamknęłam po prostu oczy i skoczyłam.

— Domyślam się, że zamierza pani włożyć jakąś wspaniałą nową suknię?

— Oczywiście, że nie! Jestem za stara na nowe suknie. Widzi ojciec, nie mam już dość czasu, żeby je znosić.

Otoczył ją ramieniem.

— Chodźmy do mojej sypialni, odpocząć w trakcie naszej rozmowy. Ale najpierw chciałabym, żeby ojciec na coś popatrzył.

— Tak, miła pani — zgodził się. Uniosła laskę w stronę sufitu.

— Widzi ojciec tego anioła, o tam? Tego, który się uśmiecha? Jak może ojciec zauważył, nie wszystkie anioły się uśmiechają.

— Tego na samym końcu po prawej stronie, z różą w ręce?

— To jedyna pojedyncza róża na suficie. Wszystkie inne róże są w girlandach albo w pękach. Proszę też zauważyć, jak miękko powiewa za nim jego szata. A widzi ojciec te małe stóпки, które spod niej wystają? Czyż nie są śliczne?

— Zachwycający! Prawdę powiedziawszy, ze wszystkich podoba mi się zdecydowanie najbardziej.

— A co myśli ojciec o jego skrzydłach? — zapytała.

— Wyglądają, jakby je muskał autentyczny wiatr.

— Proszę, niech ojciec dobrze zapamięta sobie ten widok — powiedziała, biorąc go pod rękę.

Ciesząc się perspektywą zajmującej opowieści, weszli na górę, zadowoleni jak dzieci.

— Widzi ojciec tamto miejsce?

Wyglądnęli przez okno w jej sypialni na teren znajdujący się bezpośrednio przed sadem.

— To stara pralnia. Nasz dom był jeszcze daleki od ukończenia, gdy sprowadziliśmy się na to wzgórze, więc wszyscy zamieszkaliśmy w pralni, jak rodzina cyganów. China Mae miała pokój z tyłu. Był mniej więcej wielkości garderoby w Lord's Chapel! I w całym budynku nie było ani centymetra kwadratowego drewnianej podłogi! Tylko klepisko, pozamiatane i twarde jak cement. Żyło nam się ciężko, ojciec, cisnęliśmy się jak sardynki w puszce, ale to był najszczęśliwszy okres w moim życiu. Po długim dniu pracy w tartaku tato przysuwał się do tego dużego kominka, mama siadywała i zajmowała się szyciem, a ja z niespożytą energią robiłam ubranka dla lalek.

Zaśmiała się lekko i wzięła go za ramię.

— Usiąźmy, zanim się przewrócimy.

Usiedli w starych fotelach z wysokimi oparciami, naprzeciw siebie, w miejscu, gdzie zawierzyła mu tyle bolesnych tajemnic.

— Och, ten zapach gotowanych potraw, który China Mae potrafiła wyczarować w tej pralni! Nie przypominam sobie, żeby cokolwiek w życiu pachniało lepiej niż kurczak i kluski... chyba że chleb kukurydziany pieczony w żeliwnym rondlu — albo szarlotka!

— Proszę nawet nie zaczynać, panno Sadie...

— W jej małym pokoiku nie było nic poza piecem na drewno, naszymi garnkami i rondlami, jej łóżkiem — było tam też Pismo Święte, mimo że nie umiała czytać — wieszakiem na ubrania i cynową balią wiszącą na ścianie. Wszyscy korzystaliśmy z tej samej znajdującej się na zewnątrz toalety — oczywiście w różnych porach! Wydaje mi się, że życie w ten sposób doprowadziło mamę do rozstroju nerwowego, ale gdy nasz dom został ukończony i wprowadziliśmy się do niego, płakałam. Naprawdę. Mogłabym mieszkać w pralni przez resztę życia. Pamiętam, że tato zaczął nam opowiadać o swoim ogromnym planie. Powiedział, że na początek najważniejsze jest zasadzenie sadu. Drugą w kolejności rzeczą było ozdobienie malowidłem sufitu w sali balowej. A trzecią, doprowadzenie do wizyty w naszym domu pana Woodrowa Wilsona. Nie chciał żadnych członków gabinetu ani senatorów, ani nikogo z Kongresu — chciał samego prezydenta!

— I słusznie!

— Gdy sad już rósł, tato zaczął wysyłać listy do Włoch. Widzi ojciec, pisał, szukając kogoś, kto przyjechałby do nas i ozdobił malowidłem sufit w sali balowej. Pewien człowiek z Asheville chciał się podjąć tej pracy, ale tato oglądnął jego rysunki i stwierdził, że mu się nie podobają. Cały czas powtarzał: „Artysta musi być Włochem”. Na wypadek, gdyby ktoś rzeczywiście przyjechał z Włoch, nauczyłam się z książki trzech słów. Nie miałam zielonego pojęcia, co znaczą, ale byłam bardzo dumna. Musiała się ich też nauczyć China Mae. „*Tempo é denaro!*” Czy wie ojciec, co to znaczy?

— Nie mam pojęcia — odparł, uśmiechając się.

— To dobrze. Dowie się ojciec później. No więc, żeby nie zanudzać ojca zbędnymi szczegółami...

— Ależ bardzo proszę — przerwał. Zaśmiała się.

— Wszystko to wydarzyło się dawno temu i byłam zbyt mała, żeby zwracać uwagę na drobiazgi. Wiem tylko, że tato napisał wiele listów i otrzymał wiele próbek rysunków w kopertach z dziwnymi znaczkami. Potem kazał wybudować rusztowanie w sali balowej — dokładnie takie jak to, które stoi tam teraz, tyle że tamto było drewniane. Pewnego dnia na naszym ganku pojawiło się dwóch nieznanomych — niewysoki ciemnowłosa mężczyzna z uśmiechniętą twarzą i szczupły ciemnowłosa chłopiec ze smutną twarzą. Był to Michelangelo i jego syn, Leonardo! „Wielkie nieba — powiedziała

mama — człowiek posyła po włoskich artystów i proszę, kto się u niego zjawia!" Nazywali się Francesca i pochodzili z Florencji. Przez trzy tygodnie chodziłam i powtarzałam: „Michelangelo i Leonardo Francesca z Florencji!" Nigdy wcześniej nie słyszałam takich słów!

Tato przedstawił nas sobie, a ja dygnęłam i powiedziałam: „*Tempo é denaro!*" Angelo śmiał się i śmiał, tak więc nasze powitanie wypadło cudownie, ale oni prawie w ogóle nie mówili po angielsku.

Mama zaprowadziła ich do ich pokoju na końcu korytarza, China Mae ugotowała dla nich wspaniały posiłek, a oni podwinęli spodnie i zabrali się do pracy. Czy nie myślałby ojciec, że artysta powinien podwijać rękawy? Ale oni zawsze podwijali spodnie. Nigdy tego nie zapomnę.

Angelo i Leon malowali freski. To jak akwarela, ale wykonuje się ją na mokrej zaprawie. I trzeba malować bardzo szybko, bo gdy zaprawa wyschnie, to nie złapie koloru. Przygotowywali więc tyle zaprawy, ile mogli potrzebować danego dnia, a jeśli część jej wyschła, zanim zdążyli ją pomalować, odcinali ją. Pamiętam, że zaczęli od zdobienia wokół sufitu. Pracowali nad nim przez co najmniej osiem albo dziewięć miesięcy, codziennie z wyjątkiem niedziel. W niedziele znikali w swoim pokoju albo pakowali plecak i wędrowali po okolicy, robiąc rysunki w szkicownikach.

Ubóstwiałam zaglądać do ich pokoju, bo obaj mieli nad swoimi łózkami piękne krzyże i utrzymywali u siebie taki porządek, że nie mogłam uwierzyć własnym oczom. To właśnie tam Leon codziennie wieczorem pobierał nauki. Angelo był jego nauczycielem i doskonale radził sobie z udzielaniem lekcji. A codziennie po lunchu mama uczyła Leona angielskiego.

Okazało się, że Leon był smutny, ponieważ zmarła jego mama, a Angelo zawsze się śmiał, usiłując go rozweselić. Leon miał tylko dwanaście lat, ale smutek sprawiał, że wyglądał na dużo starszego. Dooley przypomina mi Leona bardziej, niż może sobie ojciec wyobrazić. Cokolwiek by powiedzieć, łagodne usposobienie mojej mamy miało na niego bardzo dobry wpływ i zanim zdążyliśmy się obejrzeć, potrafił powiedzieć: „Lubię zielony groszek!" albo „Jest dzisiaj bardzo ciepło".

Wiem, że moja mama go tego nie nauczyła, ale powiedział kiedyś: „Sadie, jesteś piękna, *bella*". Może sobie ojciec wyobrazić? Wydawało mi się, że jestem brzydka jak noc. Ale widziałam, że mówi szczerze. Wystarczyło spojrzeć na jego twarz.

— Ach, ci Włosi! — powiedział pastor, uśmiechając się.

— Czyż nie są wspaniali, ojcze? Ale na Boga, miałam wtedy tylko dziesięć lat i nadal bawiłam się lalkami!

Gdy skończyli malować zdobienie wokół sufitu, tato stwierdził, że jest doskonale. Z ust mojego taty to była prawdziwa pochwała.

Trzeba było harować jak wół, żeby zasłużyć sobie u niego na uznanie. Potem rozpoczęła się praca nad samym sufitem. Och, był bardzo wymagający. Wracał do domu z tartaku i stawał na środku pokoju, patrząc na sufit, aż dostawał bolesnego skurczu w szyi. Wiedział dokładnie, gdzie mają znajdować się anioły i jak mają się wysypywać róże. Z czasem po suficie zaczęły fruwać anioły, a w tle za

nimi Leon wyczarował chmury różanego koloru, namalował też aniołom włosy i powłóczyste szaty. Miał tylko dwanaście lat, ojczec, a malował jak anioł!

Pracowali tak ciężko, że mama na własną odpowiedzialność dała im dzień wolnego. „Po prostu idźcie!” — powiedziała. „Ja zajmę się panem Baxterem, gdy wróci do domu”. Zapytałam, czy mogę pójść z nimi. Na to mama: „Nie, należy im się odpoczynek”. Angelo powiedział: „Proszę!” i przez chwilę sam wyglądał na tak smutnego, że dostałam pozwolenie i poszłam! Do końca moich dni będę pamiętać poczucie szczęścia, jakie towarzyszyło mi, gdy wędrowałam po wzgórzach i łąkach z Angelem i Leonem. Był to jeden z najcudowniejszych dni w moim życiu, dopóki nie wydarzyła się ta okropna rzecz.

Nie ma ojciec pojęcia, co znajdowało się w ich plecaku! Kredki i szkicowniki, i tomik z poezją, nie wspominając o oliwie z oliwek prosto z Włoch i jabłkach, i serze, i chlebie, i kurczaku — i garstce młodych ziemniaków z naszego ogrodu. Gdy znaleźliśmy się na łące, wykopali niewielkie wgłębienie w ziemi i zrobili ognisko, i upiekli w nim ziemniaki, dokładnie tak jak trzeba, i przełamaliśmy je na pół, wsypaliśmy do środka trochę grubej soli i dodaliśmy po kropelce oliwy, i... och, mój Boże!

— Panno Sadie, nie mogę zrozumieć, jak to się stało, że mrożona zapiekanka z kurczaka stała się podstawą pani wyżywienia!

Roześmiała się.

— Nic nie smakuje tak dobrze jak kiedyś w dzieciństwie, prawda, ojczec?

— O tak!

— Nawet kolory były bardziej intensywne. Pamiętam szkarłat i akwamarynę, których Leon używał do malowania niektórych szat. Nigdy później nie widziałam czegoś takiego. Nie chodziło jednak o wyciśniętą z tubki farbę, ojczec. To były moje dziecięce oczy — wszystko było takie żywe, co za dar!

Pokiwał głową. Panna Sadie dawała mu wspaniałą lekcję o życiu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Cudownie było zamienić się na chwilę rolami.

— Gdy zjedliśmy, Angelo chciał się położyć na chwilę w trawie i przespać, i powiedział Leonowi, żeby zaopiekował się Sadie. Leon zawsze robił to, co nakazał mu ojciec, więc zbiegliśmy z górki na pazurki i co znaleźliśmy? Stary sad! Nigdy wcześniej nie widziałam starego sadu. Nasze drzewa były bardzo małe i młode, a ziemia w sadzie wygrabiona i wysprzątana jak podłoga w salonie. W tym sadzie wszędzie na ziemi leżały jabłka, cały dywan jabłek, i były tam setki motyli — prawie w ogóle nie było widać trawy! I ten zapach, ojczec! Był to cudowny aromat, którego nigdy nie zapomniałam.

Wolno potrząsnęła głową.

— Zapominam, jakie słodkie wspomnienia nas nawiedzają, gdy tylko się na nie otworzymy.

Zadowolony zsunął buty.

— Leon gonił za motylem, a ja, troszkę dalej w dole, wypatrzyłam stare drzewo, którego gałęzie wręcz urywały się od czerwonych jabłek. Były inne niż te w sadzie i wyglądały na bardziej czerwone i słodkie. Rzuciłam się pędem w stronę tego drzewa — a potem nagle zaczęłam spadać i wszystko zrobiło się czarne jak smoła. Wbiegłam na starą studnię... deski, które ją przykrywały, były spróchniałe i miękkie jak masło. W jednej sekundzie byłam w sadzie, w świecącym słońcu i moje serce przepełniała radość, a w następnej...

— Zupełnie jak w życiu — zauważył.

— Tkwiłam tam jak kawałek sera pimiento w oliwce. Wpadłam do studni z jedną nogą wyprostowaną, a drugą zgiętą w kolanie i przyciśniętą do piersi. Ból był tak potworny, że myślałam, iż umrę. Musiałam zemdleć, a gdy przyszłam do siebie, było mi bardzo zimno. Mimo że świeciło słońce, ja byłam zmarznięta na sople lodu. Próbowałam zawołać Leona, ale kolano tak mocno uciskało mi pierś i ból był tak straszny, że byłam w stanie jedynie szeptać. Szeptać! Kto usłyszałby szept w takim ogromnym sadzie na takim ogromnym wzgórzu? Słyszałam, jak woła mnie Leon: „Sadie! Sadie!” W jego głosie słyhać było rozpacz, ponieważ nie umiał znaleźć właściwych angielskich słów. Nawoływał mnie przez dłuższą chwilę, aż w końcu krzyknął: „Lubię zielony groszek! Sadie, lubię zielony groszek!”

Och, ojciec, byłam taka nieszczęśliwa. Chciałam umrzeć i mieć to za sobą. Po chwili usłyszałam również głos Angela, który mnie nawoływał. Ich głosy to się zbliżały, to znów oddalały, a ja nie mogłam się nawet ruszyć. Zdrętwiały mi ręce, jedną nogę też miałam zupełnie zdrętwiałą i czułam się jak sople lodu. Potem głosy ucichły i czułam się taka samotna, i zaczęło padać.

Niech mi ojciec wierzy, modlitewnik był dla mnie jedynie zbiorem zadrukowanych stron, dopóki nie wpadłam do tej studni. Zna ojciec to powiedzenie: Jak trwoga, to do Boga? W tej studni spotkałam Boga i do dzisiaj jestem Mu za to wdzięczna. Powtarzałam: „Aniele, Stróżu mój” i „Ojciec nasz, który jesteś w niebie”, i „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj” setki razy. Ale dopiero wtedy po raz pierwszy naprawdę modliłam się do Boga. Myślę, że to właśnie wtedy Bóg przemówił po raz pierwszy do mojego serca — dokładnie w dniu, w którym ja zaczęłam mówić do Niego!

Cały czas padało. Przez lata studnia wypełniła się ziemią, patykami i liśćmi, ale do dna było jeszcze daleko. Utknęłam na głębokości około dwóch metrów, ale wiedziałam, że jeśli wkrótce coś się nie zdarzy, to będzie po mnie. Pamiętam, że słyszałam, jak woła mnie tato. Wydaje mi się, że zasypiałam na chwilę, a potem budziłam się z płaczem. Oddychałam z największym trudem. To wszystko było tak straszne, że brak mi słów, żeby to opisać.

Dowiedziałam się później, że deszcz zmył mój zapach i psy z miasta nie mogły mnie wytropić. Spuszczali je, ale one rozbiegały się na wszystkie strony i po chwili wracały, żeby się położyć. Mama mówiła, że szukali mnie do zapadnięcia zmroku. Leon poszedł spać około drugiej nad ranem i nie mógł zasnąć. Wpatrywał się w okno, modląc się do Najświętszej Maryi Panny, a wtedy zobaczył świa-

zło. Unosiło się w powietrzu, mówił, i robiło się coraz jaśniejsze, ale nie raziło go w oczy. To było delikatne światło, bardzo kojące. Gdy opowiedział później całą historię mamie, była ona w stanie na tyle zrozumieć jego słowa, że dowiedziała się, iż światło było delikatne i pełne czułości i przypominało mu jego mamę.

Mówiła, że światło zamieniło się w anioła, bardzo pięknego anioła, tak jak te ozdoby sufit w Kaplicy Sykstyńskiej. Anioł miał na sobie przepiękną błękitną szatę, wykończoną złotem i uśmiechał się. Wezwał go skinieniem ręki przez okno. Leon bardzo szybko włożył spodnie i buty, obudził Angelo i razem wybiegli na zewnątrz, prosto w ciemność.

Angelo nie widział anioła, ale wierzył swojemu synowi i biegł razem z nim. A Leon mówił, że anioł nie dotykał ziemi, tylko unosił się nad nimi, wyprzedzając ich nieco, a bijące od niego światło wskazywało im drogę. Nie przyszło im do głowy, żeby wziąć ze sobą lampę, ale widzi ojciec, nie była im potrzebna, bo anioł unosił się nad nimi, rozświetlając noc, i Angelo położył się obok studni, i zaczął stopę o duży kamień, i chwycił Leona za kostki. Leon spuścił się do studni i trzymając mnie za ramiona, bardzo delikatnie zaczął przesuwac mnie do góry i na boki, tak że po jakimś czasie udało mu się podnieść mnie trochę do góry.

Ból był nie do zniesienia, ale pamiętam, jaką ogromną ulgą było dla mnie znalezienie się w innej pozycji. Słyszałam, że Angelo przez cały czas modlił się bardzo głośno. Czułam, że chroni nas modlitwa i światło, byliśmy w nich skąpani. Cóż, ojciec, udało im się jakoś wyciągnąć mnie do góry i wydobyć na zewnątrz, i Angelo płakał z radości, i wziął mnie na ręce, i zaniósł do domu, a to cudowne światło towarzyszyło nam przez całą drogę.

Był jak zahipnotyzowany.

— Naprawdę — powiedziała — bardzo mi się chce pić po tej szynce. Czy mógłby ojciec wejść do mojej łazienki i przynieść mi trochę wody? Na umywalce stoi szklanka.

Myślami odbiegł tak daleko w czasie tej niebiańskiej wędrówki, że wszystkie jego troski wydały mu się bardzo odległe, a serce ogarnęło dziwne uczucie lekkości. Wrócił ze szklanką wody, dumny, że mógł zrobić coś dla panny Sadie.

Uniosła szklankę pewną ręką i upiła łyk.

— Dobra czysta woda ze studni! Dziękuję! Niech tylko ojciec pomyśli. Tato zabierał Leona, już jako czteroletniego chłopca, do muzeów i katedr w całej Florencji, gdzie oglądał prace włoskich mistrzów, a potem wracali do domu i Leon malował te obrazy z pamięci! Angelo powiedział, że Leon narysował i namalował twarz Madonny blisko czterysta razy, zanim przyjechał do Fernbank. Jak więc ojciec widzi, nie ma w tym nic dziwnego, że przywołał anioła w pełnym rynsztunku. W dzisiejszych czasach też dużo słyszy się o aniołach, ale czy zauważył ojciec, że najczęściej noszą strój biznesowy?

— Znak czasów — odparł z namysłem.

— Byłam strasznie posiniaczona, obolała i miałam wiele zadrapań, ale nic sobie nie zламаłam, z wyjątkiem dwóch żeber w miejscu, gdzie tak mocno uderzyłam się kolanem w pierś. Niewiele brakowało, a tato bardzo rozgniewałby się na Leona, że spuścił mnie z oczu, i na mamę, że pozwoliła mi z nimi pójść. Ale ja powiedziałam tacie, co myślę, i zmienił zdanie! Wydaje mi się, że zrobił coś wyjątkowego dla Angela, ale nie wiem co.

Po tym wydarzeniu wszystko wróciło do normy. Angelo malował anioły i cherubiny, a Leon malował chmury i szaty i pomagał przy malowaniu róż. Wtedy stało się coś cudownego. Angelo przyszedł do taty i powiedział swoją łamaną angielszczyzną: „Wiem, że mój syn miał mi pomagać tylko w malowaniu zdobień wokół sufitu, tła i tym podobnych, ale jestem przekonany, że jest już gotów namalować anioła. Czy zaufa nam pan? Jeśli się nie uda, wytniemy ten fragment i zaczniemy od nowa, a stracony czas nadrobimy w niedzielę.

To, że Angelo zaproponował, iż w razie potrzeby będzie pracował w dzień świąty, było czymś niesamowitym. Ale co miał powiedzieć tato? Stał przed nim Angelo, na którego twarzy malowało się szczęście i nadzieja, i Leon, na którego twarzy malował się smutek i tęsknota. Tato wymówił swoje pierwsze słowo w języku włoskim. Powiedział: „*Bellissimo!*”

I tak w dniu, w którym Leon skończył trzynaście lat, zaczął malować anioła, którego ojcu pokazałam. Namalował anioła, który prowadził ich do studni w środku nocy — jedyne anioła na suficie, który się uśmiecha. Chciał namalować w jego ręce różę, w dowód sympatii dla mnie, ale mimo że miałam wtedy tylko jedenaście lat, miałam dość rozumu, żeby powiedzieć mu, iż powinien namalować tę różę dla swojej mamy. I tak zrobił.

Siedział przez chwilę, milcząc, jak widz w kinie, po obejrzeniu filmu, który oszołomił jego zmysły.

— Brak mi słów, panno Sadie.

— Ja nie mogę narzekać na tę przypadłość, ojczcie. Zaśmiali się delikatnie, nie chcąc, aby czar prysnął.

— W miarę, jak Leon malował anioła, jego smutek ustępował. To tak, jakby skończył opłakiwać stratę, i stał się najradośniejszym, najśłodszym chłopcem pod słońcem. Myślałam, że mi serce pęknie, gdy odeszli. Tak bardzo ich pokochałam. Nie ma ojciec pojęcia, jak wiele razy myślałam o Leonie i pragnęłam go zobaczyć. Był jednak ode mnie dwa lata starszy i musi teraz być w bardzo podeszłym wieku... ma dziewięćdziesiąt dwa lata, jeśli jeszcze żyje. Zamknęła oczy i westchnęła.

— Wspomnienia dają nam bardzo dużo, ale też dużo zabierają. Czuję się tak, jakby opadły ze mnie wszystkie siły.

— Powiniennem być przynieść torebkę pączków od Winnie.

— Mógłby ojciec zejść na dół do kuchni po herbatę. Mamy dużo nie słodzonej dla ojca, ale ja wolę słodką!

— Już się robi — odparł z radością.

Gdy znalazł się w biurze, zadzwonił na informację i dowiedział się, jak ma to zrobić — włącznie z tym, jaka jest różnica czasu i kiedy są tańsze połączenia.

Nigdy przedtem nie dzwonił przecież do Włoch.

Tommy dzisiaj się śmiał. Chociaż dalekie to było od spontanicznej wesołości, stanowiło radosną muzykę dla uszu pastora.

Psalmista powiedział, że śmiech jest najlepszym lekarstwem. Słowa te były oczywiście prawdziwe w odniesieniu do tego, który śmiechu słuchał, jak również w odniesieniu do tego, który się śmiał.

Chciał słuchać śmiechu Tommy'ego na okrągło i widzieć, jak Dooley Barlowe śmieje się razem z nim.

Być może gdyby rzeczywiście się postarał, udałoby mu się wymyślić coś zabawnego, co mógłby zrobić.

Cynthia! Oto wspaniały pomysł. Była zabawna, nawet się o to nie starając. Zapyta ją, co mógłby zrobić.

Rozkoszując się balsamicznym wiosennym powietrzem, przeszli wieczorem wzdłuż Main Street, najpierw w górę, po stronie, gdzie znajdował się bar Grill, a potem w dół, po stronie gdzie stał budynek poczty, następnie przeszli przez ulicę i na ukos przez ogródek za jego domem, a potem usiedli na ławce w parku Baxter.

— Myślę, że powinieneś się przebrać za goryla — zaproponowała.

— Ależ, Cynthia, bądź rozsądna.

— Timothy, bycie zabawnym i rozsądnym nie ma ze sobą nic wspólnego.

— Za goryla?

— Mówię poważnie. Wybuchł śmiechem.

— Nie umiem sobie tego nawet wyobrazić.

— W tym cały problem — powiedziała zupełnie spokojnie. — Ja bym to zrobiła. Prawdę powiedziawszy, zawsze chciałam to zrobić.

— W takim razie, może to ty przebrałabyś się za goryla?

— Oczywiście, że nie. To ty chcesz być zabawny, a ja nie zamierzam cię w tym wyręczać.

Wydawało mu się, że spogląda na niego figlarnie.

— Czy nie mógłbym zrobić czegoś innego?

— Och, myślę, że mógłbyś zrobić setki innych rzeczy. Ale przebranie się za goryla jest zdecydowanie najlepsze, więc po co zastanawiać się nad innymi możliwościami?

— Żałuję, że cię zapytałem — powiedział, czując się pokonany. Uśmiechnęła się, spoglądając na niego jakby z odrobiną wyższości.

— Czy pójdziesz ze mną do Fernbank na przyjęcie na cześć Hoppy'ego i Olivii? W czerwcu?

— Hm — powiedziała.

— No więc?

— No dobrze, pójdę. Z przyjemnością.

Nagle zdał sobie sprawę, że do tej pory nie byli nigdzie razem, oficjalnie. To zupełnie nowe i inne doświadczenie i było sprawą oczywistą, że wszyscy będą to komentować.

Poczuł nagły przypływ odwagi i pewności siebie, więc objął ją ramieniem.

— Gdybyś kiedykolwiek... — zaczął i przerwał. — To znaczy, gdybyś... — Zastanowił się przez chwilę. — Innymi słowy...

— Wyrzuc to z siebie — poradziła mu.

— W takim razie, załóżmy, że żyłabyś z duchownym...

Wydawało mu się, że serce bije mu tak mocno, że słyszczyć je aż pod pomnikiem.

— Że żyłabym z duchownym?

— No wiesz...

— W grzechu?

— Ależ oczywiście, że nie — zaprzeczył.

— To znaczy, masz na myśli sytuację, w której byłabym żoną duchownego?

— No tak. Gdybyś kiedykolwiek znalazła się w takiej roli, co byś robiła? To znaczy Jakimi sprawami... jak spędzałabyś czas? Tak tylko pytam, oczywiście,

Poczuł na czole kropelki potu. Co się w ogóle stało? Wcale nie chciał się wdać w taką rozmowę.

— Jak wiesz, ja już mam własną pracę. A bycie żoną duchownego byłoby drugim pełnoetatowym zajęciem.

— Puny powiedziała mi dokładnie to samo.

— Nie umiem grać na pianinie ani na organach.

— W większości kościołów ktoś robi to odpłatnie.

— Nie mam za grosz słuchu.

— Większość kościołów ma swoje własne chóry. Zmarszczyła czoło i spojrzała na niego pośpiesznie.

— Na pewno nie urządziłabym obiadów ze spaghetti jako daniem głównym ani kolacji, na które trzeba byłoby usmażyć sterty naleśników.

— Zgadza się z tobą w zupełności!

— I nie mogłabym pracować w wybielaczu ani prasować obrusów na ołtarze.

— Zazwyczaj nie brakuje chętnych do Bractwa Ołtarzowego.

— Ale — powiedziała — mogłabym prowadzić szkołę niedzielną!

Ujrzał ciepłe światło w jej oczach i niepokonaną nadzieję w jej uśmiechu.

— ...z czarną tablicą i kolorową kredą — opowieści z Pisma Świętego, ilustrowane! Prawdę powiedziawszy, nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

— Zaczyna pani od jutra! — zawołał, dając się ponieść emocjom.

— I mogę urządzić raz w roku herbatkę z tortami, ciastami owocowymi, sorbetami i całą resztą. Ale ostrzegam, tylko raz w roku, bo to potwornie wyczerpujące zajęcie.

— Cała parafia przybiegnie w podskokach. Jego serce przepełniała duma.

— No tak — powiedziała. — To wszystko. To wszystko, do czego się nadaję, plus od czasu do czasu mogę zastąpić kogoś z parafian przy czytaniu podczas mszy. Och, i żadnych chorągwi ani klęczników ręcznej roboty.

— Zgoda — odparł, obejmując ją ramieniem i całując w policzek.

Odpowiadała mu kobieta, która wiedziała, czego chce — i czego nie chce.

— Chwileczkę — powiedziała, odsuwając się do niego — rozmawialiśmy na temat, co by było gdyby, nie na serio, pamiętasz?

— Ależ, tak — odparł, rumieniąc się. — Oczywiście. Pamiętam.

Telefon zadzwonił, gdy szedł zgasić światło w swojej sypialni.

— Cześć — powiedziała.

— Cześć.

— Zastanawiałam się.

— Uhm.

— Nasza rozmowa o byciu żoną duchownego to były tylko żarty... tak?

— Och, tak. Jedynie... czysta abstrakcja.

— W takim razie, chciałabym coś dodać... skoro tylko żartowaliśmy.

— Tak, bardzo proszę!

— Tak, mam własną pracę i kocham ją, i chciałabym ją kontynuować, ale gdybym była żoną duchownego i naprawdę go kochała, to chciałabym robić coś, o czym zapomniałam wspomnieć dzisiaj wieczorem. A to ważniejsze od herbat i nauczania... Otoczyłabym najczulszą opieką samego duchownego.

Milczała przez chwilę.

— To wszystko — powiedziała miękko. — To wszystko, co chciałam powiedzieć. Dobranoc, Timothy.

Gdy wyłączył światło w sypialni, podszedł do okna w wykuszu i spojrzął w dół, na mały żółty domek, w którego oknie tuż pod dachem świeciła się lampa.

— Dobranoc — szepnął, a od jego oddechu zaparował mały fragment szyby.

— Niech ojciec natychmiast przyjdzie do domu — powiedziała Puny, z trudem łapiąc oddech.

— Co się stało?

— Niech ojciec przyjdzie najszybciej, jak to możliwe — powtórzyła.

Poszedł.

Rozdział dziewiętnasty

HASTA LA VISTA

Puny czekała na niego w drzwiach do kuchni.

— Nie uwierzy ojciec własnym oczom — powiedziała.

— Co? Co się stało?

Przemaszerowała przez hol i podeszła do schodów.

— W całym swoim życiu nie widziałam czegoś takiego. To bije wszystko na głowę.

Pośpieszył za nią na górę.

— Co się stało?

— Najbardziej odrażająca rzecz na świecie.

— Co masz na myśli?

Zatrzymała się przy drzwiach do pokoju gościnnego.

— Przeżyłam na tym świecie trzydzieści cztery lata i nie widziałam... widzi ojciec ten chodnik? Musiała myśleć, że wkłada klucz do kieszeni, ale on wypadł jej na chodnik, gdzie go znalazłam.

Przekręciła gałkę i otworzyła szeroko drzwi.

Puny miała rację. Nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Od nie pościelonego łóżka po worki ze śmieciami, którymi zasłana była cała podłoga, w pokoju panował zupełny chaos. Nieład zdawał się tu manifestować w każdym szczególe — nawet obrazy na ścianach wisały krzywo.

— Czuje ojciec ten zapach? — zapytała jego pomoc domowa. — Te rzeczy nie były prane i nikt nie sprzątał tu od dwóch miesięcy. Za życie w takich warunkach można pójść do więzienia.

Wszedł wolno do pokoju.

Zobaczył swoje książki rozrzucone dookoła, wiele z nich było otwartych i leżało na podłodze okładką do góry. Wszędzie z worków na śmieci wysypywała się ich zawartość: opakowania z KitKatów, stare gazety, zabazgrane strony, butelki po wodzie mineralnej, zmięte papierowe serwetki, folia aluminiowa, puszki po napojach. W kącie znajdowała się sterta brudnych ubrań.

— Jak w chlewie! — oceniła Puny, wyraźnie rozwścieczona. — I niech ojciec spojrzy na to łóżko.

Zobaczył, że pełno było na nim okruszków. Na poduszce leżały resztki kanapki, a otwarta torebka chipsów wsunięta była pod koc.

Maszyna do pisania stała na jedynym wolnym skrawku podłogi, na rolkę nałożona była kartka papieru. Po całym pokoju rozłożony był w kawałkach — jak mu się wydawało — maszynopis książki, a zasadnicza jego część leżała rozrzucona w nogach łóżka.

Wziął do ręki jedną stronę i przebiegł po niej wzrokiem. Zrobiło mu się gorąco.

— Dobry Boże!

To na pewno nie było o tragedii wielkiego głodu.

— Przeczytałam jedną stronę i myślałam, że się spalę ze wstydu. To, co ona pisze, przypomina napisy na ścianach w toaletach publicznych. Powinniśmy najnormalniej w świecie zapakować to wszystko do worków i spalić w całości. — Puny trzęsa się z gniewu. — A co ojciec powie na to?

Wskazała na stojący na toaletce pusty karton po mleku. Nie, pokazywała na coś, co leżało obok — to była broszka.

— Znalazłam ją na półpiętrze — wyjaśniła Meg Patrick, biała z wściekłości. — Zamierzałam ci ją dać, ale zapomniałam. Leżała najnormalniej w świecie na toaletce, w twoim własnym domu, na widoku — do licha, przecież jej nie ukradłam. A co ty robiłeś w moim pokoju? Oczekiwałam, że uszanujesz moją prywatność, tak jak ja bez zarzutu szanowałam twoją.

Stała na korytarzu przed drzwiami do pokoju gościnnego, z rękami wsuniętymi głęboko w kieszenie szynelu, przewiązanego w taliu paskiem, i spoglądała na niego gniewnie.

— Zamierzałem poprosić cię jedynie, żebyś posprzątała swój pokój, ale dochodzę do wniosku, że nie to chcę powiedzieć.

— Co wobec tego chcesz powiedzieć?

Zauważył, że jej powiększone źrenice rozszerzają się niebezpiecznie.

— Chcę powiedzieć, że zawiozę cię na lotnisko do Holding albo na dworzec autobusowy do Wesley, wedle twojego życzenia, i że wyjedziemy stąd punktualnie o ósmej wieczorem. Będę ci wdzięczny za pozbieranie moich książek i staranne ich ułożenie oraz za zabranie stąd twojego maszynopisu, zanim się go osobiście pozbędę.

Zatrzasnęła za sobą drzwi dopiero, gdy skończyła przeklinać wszystkich jego przodków w linii męskiej, na pradziadku skończywszy.

Z wielkim trudem zniósł walizki po schodach i załadował je do bagażnika. Jego kuzynka poprosiła, żeby zawiózł ją na dworzec autobusowy w Wesley.

— Nie mam żadnych pieniędzy — powiedziała gniewnie. — Liczyłam na szczodrość serca kuzyna wobec krewnej, która przemierzyła taki szmat drogi, by przybyć tu z rodzinnego kraju. Ponadto miałam nadzieję, że moje potrzeby spotkają się z takim troskliwym zrozumieniem, z jakim twoje spotkały się w Sligo, gdzie spijałeś naszą gościnność jak śmietankę.

Powstrzymał się przed wygłoszeniem riposty, która i tak na nic by się nie zdała, i z pliku pieniędzy, które wybrał z banku zaledwie dzisiaj rano, wyciągnął dwa banknoty. Wręczył je jej bez słowa.

Razem z nimi pojechał Dooley, żeby mogli sprawić niespodziankę Tommy'emu i odwiedzić go w szpitalu.

Jego gość, który spędził pod jego dachem dwa ostatnie miesiące, przez całą drogę na dworzec nie odezwał się ani słowem, a gdy znaleźli się na miejscu, oddalił się bez słowa pożegnania.

— Cudownie — powiedział Dooley. Wyjął mu to z ust.

Zanim Percy oddał szafę grającą w ręce właściciela Collar Button, odkrył, że jest warta więcej niż pięćset dolarów — dużo więcej. Potem, zanim zdołał zamieścić ogłoszenie w gazecie w Wesley, Esther Cunningham udało się odwieść go od tego pomysłu i namówić, żeby przekazał szafę grającą razem ze zbiorem pierwszych blaszanych reklam papierosów Camel, Dr. Peppera i pieczywa Sunbeam na rzecz muzeum.

— Pomyśl tylko o odliczeniach od podatku — zachęcała, spoglądając na niego sponad parówki w cieście z Hardee's. — I pomyśl o tym, jak będzie się prezentowało twoje nazwisko na niedużej tabliczce, umieszczonej na ścianie obok tej szafy grającej. Co powiesz na: „Jeden z pierwszych egzemplarzy Wurlitzera, dar Percy'ego i Velmy Moselych, właścicieli baru Main Street Grill, otwartego w czasie drugiej wojny światowej”. Jak ci się to podoba?

W środę pani burmistrz zwołała u siebie w domu nieformalne spotkanie najbliższych współpracowników, pośpiesznie dodając, że Ray przygotowuje dania na grillu, ze wszystkimi dodatkami.

Tematem spotkania był festyn, który miał uświetnić otwarcie pierwszej sali w muzeum oraz postawienie pomnika Willarda Portera na trawniku przed budynkiem.

— Droga pani burmistrz — oznajmił pastor, który przybył wcześniej, z opakowaniem zawierającym sześć puszek dietetycznego Sprite'a — ma pani zdecydowaną słabość do festynów.

— Burmistrzowie miewają skłonności do dużo gorszych rzeczy — odparła. Na jej twarzy i szyi pojawiły się czerwone plamy, co wskazywało na szczególny entuzjizm dla tego projektu.

Posadziła go w pokoju dziennym, skąd mógł obserwować Raya, jak kończy przygotowywać sałatkę z surowej kapusty.

— Zrelaksuj się — powiedziała. — Muszę zadzwonić do szpitala i sprawdzić, czy mój najmłodszy wnuczek nie przyjdzie na świat w najbliższym czasie.

— Kolejny wnuczek? — zdziwiony zwrócił się do Raya.

— Numer dwadzieścia cztery! — odrzekł dumnie Ray, mieszając poszatkowaną i polaną dressingiem domowej roboty kapustę. — Esther lubi być na miejscu, gdy się to dzieje, ale ten ostatni zwodzi nas już od ponad tygodnia.

— Nie chce przyjść na świat i spojrzeć prawdzie w oczy, przypuszczam. I wcale mu się nie dziwię.

Ray pokiwał głową nad meandrami współczesnego życia.

— Czy mogę ci w czymś pomóc?

— Może ojciec wsypać lód do szklanek. Będzie sześć osób. Stół jest nakryty, krzesła przy stole, chleb kukurydziany się piecze. Mamy dobry czas.

— No cóż — zawołała Esther, wpadając do pokoju — ani znaku. Przypuszczam, że nikt mu nie powiedział, że Cunninghamowie mają w zwyczaju nie marudzić, tylko dziarsko zabierać się do roboty.

Po kolacji pani burmistrz zajęła miejsce w pluszowym obrotowym fotelu bujanym i otworzyła dyskusję.

— Uważam, że w czasie odsłaniania pomnika powinna grać orkiestra — powiedziała. — Jak myślicie, czy prezbiterianie, którzy grają podczas procesji adwentowej, zrobiliby to za darmo czy też zażyczyliby sobie astronomicznej kwoty?

— Zadzwoń — obiecała Ernestine, notując to w zeszycie.

— Myślę też, że należałoby zlecić naprawę szafy grającej, żebyśmy mogli zademonstrować jej możliwości, słuchając jakiejś piosenki. Ale oczywiście, będzie nas to kosztować.

— A co nie kosztuje? — zapytał Linder Hayes, miejski prawnik i członek rady. — Ile?

— Sto dolców.

— Czy będziemy pobierać opłatę za wstęp?

— No myślę! Dwa dolary od osoby — mężczyzna, kobieta czy dziecko — i żadnych zniżek dla jakichkolwiek frakcji.

— Z jakimi kosztami powinniśmy się jeszcze liczyć?

— To zależy od tego, co uda nam się ustalić na tym spotkaniu. Ernestine, przedstaw im nasze pomysły.

— A więc — zaczęła sekretarka, rumieniąc się gwałtownie, gdy oczy wszystkich zwróciły się na nią — sporządziliśmy listę zabawnych rzeczy do zrobienia. Będziemy zaczynać licytację od pewnej kwoty początkowej w dolarach i licytować do uzyskania najwyższej oferty.

— Podaj nam przykład — poprosił pastor.

— Cóż, pomyśleliśmy, że ktoś mógłby pocałować świnie. Doszliśmy do wniosku, że licytacja w tym przypadku powinna się zacząć od stu dolarów.

— Jeśli Esther zgodzi się to zrobić, daję ci tyle z miejsca — obiecał pastor.

Pani burmistrz przyjęła wyzwanie.

— Nie uda się wam mnie przestraszyć. Lubię świnie. Zapisz mnie do całowania świni.

— W same usta? — zapytała Ernestine, zawiesiwszy rękę z piórem w powietrzu.

— Niech będzie sto pięćdziesiąt — powiedziała Esther.

— Niech będzie pięćset — zaproponował Ray. — Nie rozdrabniajcie się! Przecież przyświeca nam szlachetny cel.

— Pięćset — powiedziała Ernestine, zapisując kwotę.

— Kto, u licha — zapytał Linder — wyłoży pięćset dolarów, żeby zobaczyć, jak ktoś całuje świnię?

— Zrozumiałeś wszystko na opak, Linder, złotko, zresztą nie pierwszy raz. Pieniądze nie są po to, żeby zobaczyć, jak ktoś całuje świnię. Mają pomóc w renowacji drugiej sali w naszym jedynym i niepowtarzalnym miejskim muzeum, które odda ducha tego wyjątkowego miejsca oraz zobrazuje losy jego mieszkańców, nie wspominając o tym, że będzie cennym dokumentem dla potomnych.

— Ale...

— Całowanie świni jest jedynie... — Esther szukała właściwego słowa.

— Ozdobą! — dokończyła Ernestine.

Ray brał udział w spotkaniu z kuchni, gdzie wyszedł, żeby posprzątać po kolacji.

— Zanim zdążymy wyremontować dwadzieścia dwa pokoje, Porter Place znowu zrobi się historyczny.

— Namówcie Percy'ego, żeby wykonał taniec brzucha — zaproponował Joe Ivey. — To powinno się spodobać.

— Zapisz to — poleciła Esther. — Pięćdziesiąt dolarów. Gdyby grał na gitarze hawajskiej, moglibyśmy wziąć siedemdziesiąt pięć.

Ray wszedł do pokoju, niosąc garnek i ścierkę.

— Powiedzcie mu, żeby nałożył spódniczkę z trzciny — doradził. — To robi furorę. Mam jeszcze coś. Ktoś mógłby nosem toczyć orzeszek ziemny w dół Main Street. Widziałem kiedyś, jak to się robi. Za to też moglibyście dostać niezłą sumkę.

— Zależy, kto będzie go toczył — zauważył pastor. — Na przykład, gdyby podjęła się tego Esther, mogłaby zdobyć pięćset, podczas gdy Coot Hendrick, nie będąc żadną osobistością w miasteczku, zdobyłby mniej.

— A może zapiszemy do tego ojca? — zaproponowała Esther, spoglądając uważnie na pastora.

— Na mnie nie liczcie.

— Jedzenie potraw przyrządzonych przez pannę Rose... to byłoby niezłe — powiedział Joe Ivey.

— Nie dałbym się na to namówić za żadne skarby świata — stwierdził Ray, który następnie zarzucił ścierkę na ramię i poszedł z powrotem do kuchni.

— Czy ktoś rozważał może jakieś bardziej godne sposoby pozyskiwania funduszy? — zapytał Linder.

— Bardziej godne? — prychnęła pani burmistrz. — Nikt nie da ci gotówki za godność. Już samo sprzedawanie historii jest wystarczająco trudne, a co dopiero mówić o godności.

— Tak tylko zapytałem — wytłumaczył Linder.

— Numer z orzeszkiem ziemnym na pewno przyciągnie tłumy — zauważył Ray, nie chcąc, żeby pomysł upadł.

— Czy uważacie, że ktoś powinien go toczyć wzdłuż całej Main Street? — zapytał Joe. — Przecież to strasznie daleko. A może by tak od księgarni do cukierni?

— Dobrze — zgodziła się pani burmistrz. — Możesz to zapisać.

Ernestine podniosła rękę.

— Mam pomysł — powiedziała, rumieniąc się gwałtownie. — Moglibyśmy zrobić demonstrację tego, jak pies ojca reaguje na słowa Pisma Świętego. Nikt jeszcze czegoś takiego nie widział. Może udałoby się nam dostać sto dolarów.

Pastor westchnął.

— Mam szczerą nadzieję, że to wszystko nie dzieje się w czerwcu.

— Dwudziestego czwartego czerwca — odparła pani burmistrz, spoglądając na stół, na którym Ray stawiał szarlotkę domowej roboty.

W czasie popołudniowego joggingu, gdy biegł ulicą Main Street, spotkał J.C. Hogana.

— Gdzie się żywisz? — zapytał, dysząc ze zmęczenia,

— Sam sobie gotuję na kuchence elektrycznej. Mule i Fancy mi ją dali. Spaliłem więcej, niż zjadłem.

— Zaglądnij do nas kiedyś wieczorem, a razem z Dooleyem uruczmy cię hamburgerem.

— Jak się ma twoja kuzynka? Nie widziałem jej ostatnio. Otarł czoło rękawem.

— Wyjechała. Zniknęła. Ślad po niej zaginął.

Nie potrafił opanować uśmiechu, który pojawił się na jego twarzy. J.C. roześmiał się, co nie zdarzało się często.

— *Hasta la vista?*

— Zgadza się. Słyszałem, że już zaczęli remont w Grillu.

— Dochodzi stamtąd taki hałas, że nie potrafię zebrać myśli, żeby napisać chociaż jedno pełne zdanie.

— Skorzystaj z pomocy lokalnych korespondentów. Jestem pewien, że Hessie Mayhew mogłaby podesłać ci materiał na stronę czy dwie.

— Ha, ha. Czy widziałeś Percy'ego?

— Wyjeżdżają dziesiątego czerwca. Zamierzasz nagłośnić sprawę festynu na rzecz muzeum?

— Jakiego festynu na rzecz muzeum?

— Biegnij czym prędzej do pani burmistrz. Wszystko ci opowie.

J.C. ruszył truchtem, kierując się na północ, a pastor pobiegł na południe.

Zabrał pannę Sadie, żeby zobaczyła postęp prac na placu budowy Domu Nadziei. Wyszli z samochodu, a ona oparła się na lasce i spojrzała przed siebie na pnącą się do góry konstrukcję i na błękitne grzbiety gór w oddali.

Popatrzył na nią z czułością.

— Czasami w niepozornym człowieku kryje się wielkie serce, panno Sadie.

— Kogo ma ojciec na myśli?

— Panią — odpowiedział, kładąc dłoń na jej ramieniu. Buck Leeper zostawił operatora dźwigu i podszedł do nich.

— Buck Leeper, panna Sadie Baxter, szczodra dama, której zawdzięczamy Dom Nadziei.

Buck zdjął kask. Nieśmiało wyciągnął rękę, ale zaraz potem ją cofnął.

— Ziemia — powiedział.

— Nie ma nic złego w ziemi — odparła wesoło.

— Miło mi panią poznać, panno Baxter.

— To mnie jest miło pana poznać, panie Leeper. Słyszałam cudowne rzeczy o pana umiejętnościach i jestem dumna, że to właśnie pan podjął się tego zadania.

— Dziękuję — powiedział, odchrząkując.

Wcale mu się nie przywidziało. W wyrazie twarzy Bucka Leepera widać było zmianę, i to wyraźną zmianę.

— Do zobaczenia w szpitalu — pożegnał się z pastorem.

Czyniąc najwyraźniej mimowolny ukłon w stronę panny Sadie, powiedział:

— Droga pani. — Odwrócił się następnie i odszedł pośpiesznie.

— Nieśmiały — stwierdziła, patrząc w stronę odchodzącego nadzorca budowlanego.

— Dwa tysiące czterysta dolarów! — zawołała Cynthia, siedząc przy jego kuchennym stole i pijąc herbatę.

— Niesamowite.

— Jak myślisz, co z nimi zrobi?

— Nie wiem. Schowa je pomiędzy materacem i sprężynami. Tak przypuszczam.

— Jakże chciałabym, żeby tego nie robił! Życie jest zbyt krótkie, żeby chować pieniądze pomiędzy materacem i sprężynami.

— Zgadza się.

— Pięć z jego rysunków pojawi się jesienią. W twardej oprawie. Wydawnictwo albumowe! Oczywiście razem z innymi dziełami.

— Wspaniały eksponat dla muzeum.

Wujaszek Billy zostanie co najmniej lokalną znakomitością.

— Znalazłeś już korepetytora?

— Wygląda na to, że w naszej okolicy jest niejaka Louise Appleshaw. Stara panna. Doskonała w angielskim, ale surowa.

— Surowa. Ojej.

— Jeśli chodzi o angielski, Dooley Barlowe potrzebuje kogoś surowego. Będzie przychodziła po południu, trzy razy w tygodniu, i zostawała u nas na kolację.

— Zawsze dla kogoś gotujesz. Nie tęsknisz za swoją kuzynką, prawda? — Przechyliła na bok głowę i uśmiechnęła się.

— Masz na myśli moją atrakcyjną, olśniewająco piękną kuzynkę?

— W rzeczy samej.

— Co cię napadło, żeby nazwać ją piękną?

— Ależ ona naprawdę jest piękna, nie uważasz? Taka wysoka i szczupła... tym z nas, którzy są niewysocy i pulchni, wydawała się...

— Nie jesteś niewysoka i pulchna. Niewysoka — tak, ale nie pulchna.

— Dziękuję — powiedziała słodko. — Nie poluję na komplement, szczerze, ale czuję się nie tylko niewysoka i pulchna, ale na dodatek bardzo wiekowa...

— Jesteś zaledwie dzieckiem, na litość boską. Sercem i duchem znacznie młodsza ode mnie. Nieporównanie młodsza.

— No cóż... — powiedziała, spoglądając na niego.

— Wyglądasz cudownie. Wszyscy tak mówią.

— Naprawdę?

— Zdecydowanie tak.

— To znaczy, kto?

— Wujaszek Billy uważa, że jesteś niezwykle atrakcyjna. I Mule Skinner cały czas mówi o twoich nogach — aż trudno uwierzyć.

— Naprawdę? To cudownie.

— Możesz być wdzięczna, że nie bawimy się w ulubioną grę Emmy: „Ostatnie słowo”.

— Co to za gra?

— Ja mówię ci coś cudownego, co o tobie słyszałem, a ty, ponieważ masz ostatnie słowo, powinnaś powiedzieć o mnie coś jeszcze miłszego. To niesamowicie trudna zabawa.

— Mnie wydaje się łatwa — stwierdziła.

— Pamiętaj tylko, że właśnie powiedziałem ci kilka bardzo miłych rzeczy.

— Ha, na pewno uda mi się ciebie przebić.

— W takim razie strzelaj.

— Jesteś seksowny, dowcipny, a przebywanie w twoim towarzystwie to prawdziwa przyjemność.

— Kto tak powiedział?

— Ja.

— To musi być coś, co powiedział ktoś inny. Wyglądała na zbitą z tropu.

— Och.

— No widzisz? Nikt nie powiedział niczego, co warto byłoby powtórzyć.

— Avis Packard mówił, że dobrze gotujesz.

— To zaledwie okruchy z pańskiego stołu.

— I Puny powiedziała mi kiedyś, że nie niszczysz koszul.

— Ach, cudownie.

— Niech pomyślę...

Zmarszczyła czoło, udając, że intensywnie myśli.

— No dobrze, skończmy już z tą grą. Wiedziałem, że mi się nie spodoba. — Wypił łyk herbaty.

— Jestem więc taki, jak mówiłaś?

— A co mówiłam? Zapomniałam.

— No wiesz. Seksowny, dowcipny, i że przebywanie w moim towarzystwie to prawdziwa przyjemność.

— Masz swoje lepsze chwile. Nie jesteś taki oczywiście przez cały czas.

— Oczywiście. Roześmiała się.

— Kocham, gdy przestajesz być taki poważny i zaczynasz żartować.

— Czego ty nie kochasz? — zapytał, wpatrując się w nią uważnie.

Spojrzała na niego.

— Och, przemoczonych rękawiczek, czekolady bez orzechów i mężczyzny, który nie potrafi się zdobyć na to, żeby wziąć cię za rękę, gdy ta czeka i się o to prosi.

Ujął jej opartą na stole dłoń.

— Co jeszcze? — zapytał.

— Że nigdy nie zostałam zaproszona na kolację, ani jeden raz. Wstał, nadal trzymając ją za rękę.

— Mam idealne miejsce!

Na śmierć zapomniał o tłącym się papierosie Edith Mallory. Myślał jedynie o przytulnych zielonych ścianach, zacisznym kąciku dla niepalących, który tak mu się podobał, o uśmiechniętym kierowniku sali i o menu, które oprócz łosia, żubra i renifera proponowało też świeżego górskiego pstrąga.

— Masz coś w kolorze hiacyntów... — powiedział.

— Włożę to! Jeśli ty włożysz tę błękitną marynarkę.

— Umowa stoi — powiedział podekscytowany jak chłopiec.

— Mam bardzo dobre zdanie o Dooleyu Barlowie! — powiedziała panna Pearson, nauczycielka muzyki.

Zakradł się do jej domu jak pospolity złodziej, myśląc, że raczej wolałby zostać zdzielony szpicrutą niż zauważony przez Myrę Hayes, która mieszkała jedną przecznicę dalej.

— Tak, ale ostatnio narobił sobie trochę kłopotów.

— Wiem — powiedziała, wyglądając na zasmuconą. — Ale pracuje tak ciężko i jest taki zdolny. Wierzę w niego, widzi ojciec. Byłoby wspaniale, gdyby mógł wyjechać do jakiejś dobrej szkoły i korzystać ze wszystkich przywilejów.

— Szkoła w Mitford sama w sobie jest przywilejem, ale skoro jest taka okazja... to dla jego dobra. Czy zechciałaby pani napisać list polecający?

— To się rozumie samo przez się — odparła, natychmiast biorąc do ręki pióro. — Zrobię to od razu. I ojciec...?

— Tak?

— Proszę nie mówić Myrze Hayes, że to zrobiłam.

— Przysięgam na pamięć mojej mamy — obiecał.

Louise Appleshaw miała się pojawić w domu pastora w pierwszą środę po zakończeniu roku szkolnego i natychmiast rozpocząć korepetycje.

Rozmawiał z nią przez telefon i mimo że bez wątplenia zdawała się potwierdzać panującą o niej opinię osoby surowej, położył po sobie uszy i realizował opracowany plan.

Była najlepsza, mówili mu wszyscy, i powinien bez zastanowienia ją zaangażować, bo w przeciwnym razie będzie musiał się zadowolić drugim sortem.

Wypisał czek pokrywający pierwsze trzy popołudnia nauki oraz książki, których zażądała, wysłał go i z ulgą wymazał całą sprawę z pamięci.

Od czasu powrotu z Irlandii potykał się o stojącą w jego garderobie torbę z rodzinnymi dokumentami.

Czy ktokolwiek inny potykałby się o jakąś torbę przez ponad dziewięć miesięcy? Surowo potępniał nawyk odkładania wszystkiego na później, ale — jak powiedziałby Coot Hendrick — nikt by mu w tym nie dorównał.

Zaciągnął torbę w okolice nóg swojego łóżka, usiadł na podłodze i otworzył ją.

Pocztówki, stara korespondencja rodzinna, wypożyczona z pełnym zaufaniem przez Erin Donovan, zdjęcia, które podarował mu ten jakże miły starszy sąsiad Erin, którego dziadek znał jego dziadka...

Zamyślił się nad mglistą podobizną swojego dziadka jako młodego mężczyzny, który stał wyprostowany i poważny gdzieś na polach, z psem myśliwskim u nogi. Czy w twarzy, która spoglądała na niego, odbijała się jego własna twarz?

Odłożył zdjęcie na bok, żeby pokazać je Dooleyowi i Cynthii.

Przetrząsał zawartość torby, szczęśliwy, że obcuje ze wszystkim, czego doznał i nauczył się w Sligo, z miłością, która otaczała go ze wszystkich stron, i uprzejmością, z którą się spotkał. Złapał się na tym, że zastanawia się, czy słusznie postąpił z Meg Patrick, ale odsunął od siebie tę myśl. Oczywiście, że postąpił słusznie.

U kogo to mieszkała w Massachusetts? U Riley'a Kavanagha? Zawsze myślał o tym, żeby zadzwonić do Riley'a, który kiedyś przysłał mu książkę na Boże Narodzenie.

Gdzie był ten notes w oprawie z nazwiskami i adresami członków rodziny? Oczywiście na samym dnie. Wyciągnął go i sprawdził pod nazwiskiem Kavanagh, potem spojrział na zegarek. Właśnie zaczynały się tańsze połączenia. Idealnie.

Usiadł na brzegu łóżka i wykręcił numer.

— Proszę?

— Dzień dobry, czy to Riley Kavanagh?

— Przy telefonie.

Przedstawił się i przypomniał kuzynowi o książce, którą od niego dostał na Boże Narodzenie, a potem rozpoczęli długą rozmowę. Zdał mu dokładną relację z herbatki u Erin Donovan, usiłując przypomnieć sobie jak najwięcej nazwisk, żeby zaspokoić rozbudzoną ciekawość Riley'a.

— A potem, oczywiście, kuzynka Meg gościła u mnie z... dość długą wizytą.

Pastor usłyszał w słuchawce ogłuszającą salwę śmiechu, a potem okrzyk Riley'a: „Jest u niego kuzynka Meg! Jest u niego kuzynka Meg!”

W tle rozległa się prawdziwa eksplozja histerycznego śmiechu. W całym swoim życiu nie słyszał takiego nie kontrolowanego wycia.

— Riley! — wrzasnął do słuchawki.

— Och, miejcie litość! — zawołał Riley, z trudem łapiąc oddech. — Masz na myśli kuzynkę Meg, która ma wilczy apetyt?

— W rzeczy samej.

— Ma w pokoju jak w chlewie? Oczy jak sowa płomykówka?

— Niestety, tak.

— Jak długo jest u ciebie?

— Cóż, ja... właśnie wyjechała. Była u mnie przez dwa miesiące.

— Dwa miesiące! — Riley zawołał do kogoś w pobliżu. — Była u niego przez dwa miesiące!

Znowu ochrypli rubaszny śmiech, a potem usłyszał, jak ktoś mówi:

— Biedactwo. Czy nie ma problemów z ciśnieniem?

— Riley...

— Wybacz nam, Tim. Jeśli śmiech ma rzeczywiście taką uzdrawiającą moc, jak się powszechnie uważa, to jestem zabezpieczony na całe życie. To ty nic nie wiesz o kuzynce Meg? — Riley energicznie wydmuchał nos.

— A co mam wiedzieć?

— Pyta, co ma wiedzieć!

Prawdziwy tłum podsłuchujących wybuchł spazmatycznym śmiechem. Nic dziwnego, że Cynthia Coppersmith wpadła w nawyk rzucania słuchawką telefonu podczas rozmowy. Rozmówcy mogli okazać się prawdziwie nieznośni.

— Boże, miej litość! — zawołał Riley, wracając wreszcie do przerwanej rozmowy. — Od czego mam zacząć?

— Od początku — powiedział krótko.

— Kuzynka Meg jest najzwyklejszą w świecie oszustką! Ona nie jest nawet kuzynką.

— Nie!

— Ależ, tak. Ma układ z kimś w Sligo, kto daje jej znać, który z nieszczęsnych kuzynów włóczył się ostatnio po miejscowych cmentarzach w poszukiwaniu swoich przodków, i na ile zdołałem się zorientować, jeździ od jednego tak zwanego kuzyna do drugiego, bez centa przy duszy. Można powiedzieć, że jest zawodową irlandzką kuzynką. Ale nie to jest najgorsze.

Bał się zapytać.

— A co jest najgorsze?

— Chce wiedzieć, co jest najgorsze!

Po raz kolejny Riley wybuchł śmiechem, który wywołał następną ogłuszającą salwę chichotu w tle.

Zatupał niecierpliwie nogą, czekając. Czuł, jak czerwienieje mu twarz, a koloratka zaczyna go uwierać w szyję. Co, u licha...

— Najgorsze jest to — oznajmił Riley — że nie jest nawet Irlandką!

— Nie jest nawet Irlandką?

Coś zaczęło w nim wzbierać. Była to najdziwniejsza mieszanina uczuć. Co to — na Boga — było? W końcu wydostało się na powierzchnię i pozwoliło zdefiniować.

Był to śmiech.

— O ile wiemy, nigdy nawet nie była w Irlandii — dodał Riley. — Jej człowiek w Sligo wysyła te listy, w których pisze, że przyjeżdża zza oceanu. Bawiła u nas czterech po kolei przez siedem miesięcy. Można powiedzieć, że tobie się upiekło.

Gdy już zaczął się śmiać, nie mógł przestać. Prawdę powiedziawszy, zwijał się ze śmiechu na podłodze, przyciskając słuchawkę do ucha i usiłując złapać oddech, żeby wydusić z siebie słowo przeprosin — chociaż, gdyby się nad tym zastanowić, niby dlaczego miałby przeproszać?

Rozdział dwudziesty

CZERWIEC

Czerwiec.

Gdy przewrócił kartkę podręcznego kalendarza stojącego na biurku i zobaczył na odwrocie to słowo na osiem liter wypisane u góry ozdobną czcionką, wziął głęboki oddech.

Trzymaj się, usiłował dodać sobie odwagi.

— Niech ojciec powie po prostu: tak — prosiła Puny, promieniejąc.

— Tak — odparł, również promieniejąc. — Będę zaszczycony. Ale czy muszę oddać cię już na zawsze?

— No przecież ojcu mówię, że wrócę!

— Tak, ale musisz mi to częściej powtarzać, żebym nie zwątpił.

— Jest ojciec jak duże dziecko. Przypuszczał, że ma rację, jak zwykle.

Zawiózł broszkę do Wesley do naprawy i wyczyszczenia.

Począł do chwili, gdy zaczęły się tańsze połączenia, i zadzwonił do Tiffany'ego, zamawiając dwa prezenty ślubne i znosząc wiadomość o łącznej cenie jak mężczyzna.

Kupił gumową maskę kaczki i schował ją do szuflady w biurku. Jak tylko ustąpią bóle głowy u Tommy'ego, zamierzał sprawić, żeby chłopiec śmiał się do rozpuku.

Usiłując walczyć ze swoimi skłonnościami do odkładania wszystkiego na później, sporządził menu na kolację, którą podejmie biskupa i Marthę wieczorem czternastego, po popołudniowym ślubie Puny, a przed mszą z ceremonią bierzmowania i wczesnym lunchem następnego dnia — na który nierozważnie obiecał ugotować szynkę.

Poszukał kilku wolnych dat w gąszczu zobowiązań wpisanych do kalendarza, następnie zadzwonił do dwóch szkół i umówił się na wizyty. Oznaczało to zaczynanie sprawy od końca, ponieważ Dooley nie poddał się jeszcze szkolnemu testowi predyspozycji, nie miał jednak czasu do stracenia. Wiedział, że chłopiec poradzi sobie z matematyką, i musiał wierzyć, że korepetycje pomogą mu się podciągnąć w umiejętnościach językowych. Ulokowanie go w odpowiedniej szkole przed jesienią stanowiło dla niego bez wątpienia prawdziwe wyzwanie, którego powodzenie opierało się w dużej mierze na jego nadziei, że wszystko się uda.

Na koniec poinformował Dooleya o czekających ich zobowiązaniach towarzyskich.

— Pójdziemy na ślub Puny i Joe Joe oraz na ślub i przyjęcie do Harperów.

— Super.

— Prawdę powiedziawszy, kupujemy ci właśnie dzisiaj nową marynarkę. Granatową dwurzędówkę! — poinformował go z dumą. — Będziesz w niej wyglądał... — Przypomniał sobie słowo, któ-

rego użył sprzedawca z Collar Button rok temu, żeby przekonać go do zakupu nowej sportowej marynarki. — ...olśniewająco.

— Po dwakroć super! — zawołał Dooley.

Wychodził już do baru Grill na śniadanie, gdy uświadomił sobie, że baru nie ma.

I tak postanowił, że wymknie się na chwilę z biura.

Przy wejściu do Oksfordzkich Antyków, na ławce z początków osiemnastego wieku, obok urny z Sussex z końca wieku dziewiętnastego, siedział Andrew Gregory.

— Ojcie! Zapraszam, niech ojciec do mnie zagładnie.

— I wzbogaci kolekcję antyków?

Przystojny Andrew odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się.

— Czekałem, aż ojciec będzie przechodził w pobliżu. Mam przepiękną książkę, która na pewno ojca zainteresuje.

— Zastąpienie lunchu ucztą duchową z pewnością wyjdzie mi na dobre.

— Prawdę powiedziawszy, wygląda ojciec świetnie. Mówiąc szczerze, słyszałem, że... — Andrew zamilkł dyskretnie.

— Tak?

— ...że ojciec i ojca sąsiadka być może się pobierzecie.

— Ja też słyszałem tę plotkę. Wiesz, jak wygląda życie w małych miasteczkach.

— Niestety tak. W każdym razie, gdyby to była prawda, to chciałem powiedzieć, że jest ojciec wielkim szczęściarzem.

Uśmiechnął się i pokiwał głową.

— Gdyby to była prawda, musiałbym ci przyznać rację.

— Zapraszam na talerz minestrone*. Poszperałem trochę i przygotowałem ją wedle starej rodzinnej receptury. Może usiąść ojciec przy moim bezcennym stole georgiańskim i zajrzeć do książki.

* Minestrone — włoska zupa warzywna z dodatkiem mięsa, podawana z parmezanem.

Jakże mógł odmówić?

Podczas gdy promienie ciepłego czerwcowego słońca wpadały przez okna do wnętrza sklepu, on — straciwszy poczucie czasu — siedział przy mahoniowym stole i z zadowoleniem przewracał strony książki poświęconej wczesnej sztuce religijnej.

Jego uwagę przykuła jednak inna książka. Znalazł ją w stosie na jednym z krzeseł przy stole.

Było to cudowne zobrazowanie obecności motywu łodzika w sztuce, poczynając od średniowiecza, aż po przełom wieków. Genialne rysunki techniczne i wizje artystów próbowały uchwycić tajemne piękno najbardziej urokliwego członka królestwa mięczaków.

Podeksycytowany zapłacił Andrew i poszedł dalej, czując przyływ sił witalnych.

Sześćdziesiąt dolarów za lunch! Nieważne, pomyślał, *tempo é denaro*, cokolwiek to znaczy.

Tommy wyjdzie ze szpitala do domu mniej więcej wtedy, gdy Louise Appleshaw zacznie przychodzić do nich na popołudniowe korepetycje. Nie będą musieli już więcej jeździć do Wesley, a Dooley będzie mógł codziennie składać Tommy'emu krótką wizytę, w przerwie pomiędzy lekcjami z panną Appleshaw a kolacją.

Dooley czuł się zobowiązany opiekować się swoim przyjacielem, rozweselać go i pomagać mu przetrwać trudne chwile. Pomagał mu nawet w prostszych lekcjach. Chłopiec, który był świadkiem przerażającego zdarzenia, kiedy to Tommy otarł się o śmierć, i czuł się za to częściowo odpowiedzialny, a co za tym idzie — winny, wyciszył się i złagodniał.

Noga Tommy'ego miała najwyraźniej bardzo dobry wpływ na serce Dooleya.

Nie mógł być obecny podczas pierwszej wizyty panny Appleshaw ze względu na pogrzeb o piętnastej. Na szczęście ta wizyta nie łączyła się z kolacją.

Gdy wrócił do domu, zastał chłopca, który wyglądał na strapionego, siedzącego przy biurku w salonie, przed istnym gąszczem książek i papierów.

— Jak ci poszło?

— Zaraz zwymiotuję — odpowiedział Dooley.

— Postaraj się nie.

— Czy widział ją ojciec?

— Kogo?

— Tę nauczycielkę, która przysłała tu dzisiaj i namieszała mi w głowie.

— Nie, nie widziałem jej. Rozmawialiśmy tylko przez telefon.

— Oto jej podobizna — obwieścił Dooley, chwytając mazak i rysując ze złością pociągłą twarz, spiczasty nos, zmarszczone czoło i kreskę w miejsce ust.

— To mi wygląda na wiedźmę — stwierdził ze śmiechem.

— Ma ojciec absolutną rację.

— Dooley, na litość boską, wyluzuj się i naucz się czegoś nowego. Jeśli masz coś osiągnąć w tym życiu, musisz posługiwać się w mowie i w piśmie poprawnym angielskim. Bez dwu zdań.

Do licha, przecież już raz stoczył z nim tę bitwę.

— Nie chcę jechać do tej szkoły, i nie.

— I już! I przestań nastawiać się wrogo do czegoś, jeszcze zanim zdążyłeś to poznać. W następnym tygodniu, zaraz po ślubie Puny, wybieramy się z wizytą do Elmhurst.

— Nie chcę też iść na żaden bzdurny ślub.

— Idź odwiedzić Tommy'ego — rzucił gniewnie — i wróć na kolację. A tymczasem popracuj nad swoim stosunkiem do życia.

Przyglądał się Dooleyowi, jak idzie przez ogród, przechodzi przez żywopłot i znika w parku Baxter. Mały zrzęda, pomyślał. Z każdym dniem kocham go coraz bardziej.

Niesamowite. Louise Appleshaw wyglądała dokładnie tak, jak na rysunku Dooleya. Rozpoznałby ją wszędzie.

Wyglądała tak surowo, że pomyślał, iż przełamie trochę lody przy prezentacji.

— Louise... — zaczął, wyciągając rękę.

— Wydaje mi się, że nie powinien się ojciec zwracać do mnie po imieniu.

— Oczywiście...

— Nie chcielibyśmy, żeby ojca parafianie plotkowali, tym bardziej że obydwójce jesteśmy stanu wolnego i przychodzi nam się spotykać w intymnej domowej atmosferze.

Poczuł gwałtowny skurcz w żołądku. Co gorsza, musi przygotować dla tej osoby kolację.

— Mam skurcze żołądka — obwieścił Dooley, którego oczy wyglądały na nabiegłe krwią.

— Ja też — powiedział pastor.

Nadal siedzieli w kuchni, nie będąc w stanie się ruszyć po tym, jak Louise Appleshaw wstała od stołu i nie pozwoliła się odprowadzić do drzwi, tylko wyszła z domu sama.

— Nie cierpię ty stary wiedźmy.

— Pozwól, że cię o coś zapytam — powiedział znużonym głosem. — Czy mógłbyś powiedzieć: „Nie cierpię tej starej wiedźmy”? Spróbuj, dokładnie tak jak ja.

— Nie cierpię tej starej wiedźmy.

— Świetnie. Komu potrzeba korepetycji? Dooley wyglądał na przygnębionego.

— Powiedz mi, że nie idziesz do sklepu żelaznego.

— Nie ide do sklepu żelaznego.

— Żle.

— Nie idę do sklepu żelaznego — powiedział Dooley.

— Dobrze.

— A może ojciec mógłby mnie uczyć?

— Tobie nie tyle potrzeba nauczania, ile chęci poprawy i uświadomienia sobie problemu. Pomyśl, zanim się odezwiesz, i poprawę będziesz zawdzięczał sobie sam.

— Wiele osób mówi tak jak ja.

— Nieważne.

Był wyczerpany. A ponieważ Louise Appleshaw była uczulona na wszystko, co zawierało jęczmień, owies, rodzynki, orzechy, ananasy, białą mąkę, cukier, krowie mleko, chleb świętojański, czekoladę, daktyle, pory, kapustę, fasolę, wołowinę, wieprzowinę i pomidory, co — na litość boską — miał zrobić z kolacją w piątek?

Doznał takiego olśnienia, że zadzwonił do chłopca, nie czekając, aż wróci do domu.

— Spójrz na to w ten sposób. Jeśli się z tym pogodzisz i dasz z siebie wszystko, będziesz miał to z głowy, zanim się obejrzyś. Jeśli zaczniesz się nad sobą rozczulać, ty będziesz cierpieć, ja będę cierpieć, Barnaba będzie cierpieć. Jaki to ma sens?

Dooley milczał, zastanawiając się. Nauczył się rozpoznawać jego milczenie — kiedy było pełne namysłu, kiedy wrogie, a kiedy bezmyślne.

— Mnie sprawia to jeszcze większy ból niż tobie, przyjacielu. Ja muszę dla niej gotować. Co damy jej do zjedzenia dzisiaj wieczorem?

— Migdałki szczura, brzuch węża i żabie wymiociny.

— W porządku, to jej menu. A co zjemy sami? Dooley roześmiał się. Strzał w dziesiątkę!

— Hamburgery ze wszystkimi dodatkami i frytki — powiedział chłopiec.

— Umowa stoi — odparł.

Nie, nie było w okolicy żadnej innej osoby, która udzielałaby korepetycji z języka angielskiego, z wyjątkiem pewnego studenta z college'u w Wesley, który — według relacji jednej osoby — cały pokryty był tatuażami.

Nie pozostawało mu nic innego, jak skorzystać z własnej rady.

Pogódź się z tym, Timothy, i daj z siebie wszystko.

Nadeszły ślubne prezenty, zapakowane w charakterystyczny błękitny papier i przewiązane zwykłą białą wstążką. Jedna sprawa załatwiona i sto do załatwienia, pomyślał, wyjmując z garderoby swój ciemny garnitur. Zrzucił tyle kilogramów od czasu tych bez trosk dni przed przełomową datą, gdy okazało się, że jest chory na cukrzycę...

Przymierzył garnitur i stanął przed lustrem. Nieźle. Włożył jeszcze kwiatek do butonierki i garnitur będzie wyglądał jak nowy.

Podszedł do okna w wykuszu i spojrzał na okno pod dachem, oświetlone światłem rzucanym przez lampkę nocną.

Zapragnął, żeby była w tej chwili razem z nim, żeby siedziała w fotelu z wysokim oparciem. Wiedziała, czy garnitur należy zwięzić, czy wystarczy go jedynie odprasować. Poza tym chciał jej pokazać zdjęcie swojego dziadka i zapytać, czy dostrzega jakieś podobieństwo.

To, że mógłby być do kogoś podobny, miało dla niego duże znaczenie. Nie przypominał swojej matki, która była piękna, ani swojego ojca, który był przystojny. „Klocek” — powiedział kiedyś o nim jakiś nieżyczliwy sąsiad.

Ale dlaczego nagle potrzebował kogoś, kto pomógłby mu podjąć prostą decyzję, jakich wiele podejmował zupełnie sam w ciągu swojego życia.

Prawda polegała na tym, że nie tyle potrzebował, ile chciał, żeby ktoś mu w tym pomógł.

Prawda ta dotarła do niego niczym prawdziwe objawienie.

— Dooley!

Stanął w drzwiach do sypialni i zawołał w głąb korytarza. Drzwi 422 do pokoju gościnnego były szeroko otwarte, dzięki Bogu. W pokoju nie było już jego kuzynki oszustki, a sypialnia wysprzątana była na błysk. Miał nadzieję, że Punny Bradshaw nie znajdowała się obecnie na pogotowiu szpitala w Wesley, gdzie mogła trafić po wykonaniu najbardziej parszywej roboty od czasów wojny burskiej. Dał Jej dodatkowe dwadzieścia pięć dolarów, na widok których pojaśniały jej oczy, ale tylko odrobinę.

— Co? — zapytał Dooley, wychodząc na korytarz.

— Proszę, wejdź do mnie na chwilę. Chciałbym się ciebie poradzić w pewnej sprawie.

Dooley wszedł do środka, spoglądając na niego gniewnie.

— Do licha, dlaczego jesteś taki zły?

— Szkoda, że nie widział ojciec, jakiego mi nadawała zadania.

— Co ci zrobiła?

— Jak mi dała zadanie! — odpowiedział Dooley, podnosząc głos.

— Nie musisz podnosić głosu, żeby mówić poprawnie w ojczystym języku — stwierdził gderliwie. — Co myślisz o tym garniturze? Czy nie jest trochę za luźny?

Dooley obszedł go dookoła, jakby był pomnikiem Willarda Portera stojącym na trawie przed miejskim muzeum.

— Wygląda ojciec grubo.

— Grubo? Na pewno?

— Tak, szczególnie w pasie.

A niech to! Ostatnie miejsce, w którym ktokolwiek chciałby wyglądać grubo.

— No dobrze, zaniosę go do przeróbki. Chciałbym zobaczyć cię jeszcze raz w twojej dwurzędowej marynarce.

Dooley nie ociągał się ani przez chwilę, tylko pobiegł czym prędzej do swojego pokoju i włożył na piżamę w paski nową marynarkę.

— Super — ocenił pastor. — A oto krawat. Daję ci go, żebyś włożył go do tej marynarki.

— Krawat? Czy muszę nosić krawat?

— Tak, musisz nosić krawat.

— Ohyda.

— Możesz sobie wybrzydzać, ile chcesz, i tak włożysz ten krawat.

— Paskudztwo.

— Ohyda i paskudztwo. Co za słownictwo.

— Idę spać — oświadczył Dooley.

— No to spadaj — powiedział pastor — i nie zapomnij się pomodlić.

Bezdomny przywitał go w drzwiach.

— Proszę dalej! Proszę dalej! Musi mieć ojciec nos niczym pies gończy — właśnie zaparzyłem kawę.

Barnaba, którego prowadził na czerwonej smyczy, wbiegł w podskokach do małego domku, z nosem przy podłodze.

— Szuka Bezgłosego! — wyjaśnił pastor.

— O tam, na swoim legowisku. — Bezdomny wskazał na krótkowłosego psa w ciapki, który do nich mrugał. — Nie umie szczekać, ale umie mrugać. Widzi ojciec, jak mruga. Właśnie w ten sposób szczeka do Barnaby.

Barnaba szczeknął w odpowiedzi na mrugnięcie. Potem podszedł do psa w ciapki i obwąchał go. Bezgłosy ani drgnął.

— Słodki, prawda?

— Zgadza się w zupełności!

Pastor przysunął się do pieca. Mimo że dzień był ciepły, ogień rozpalony przez Bezdomnego, żeby mógł zaparzyć kawę, był bardzo kuszący.

— Cieszę się, że cię widzę, przyjacielu. Gdy przychodzę do ciebie nad strumień, mam wrażenie, że znalazłem się w domu.

— Jest ojciec tu tak mile widziany jak jaskółka na wiosnę — w dzień czy w nocy, czy świeci słońce, czy pada deszcz.

— Dziękuję. Powiedz mi, jak twoi ludzie znajdują pastora Greera.

— Cóż, proszę ojca, kochają go, naprawdę. Jest jednym z nich. On kiedyś też walczył z Bogiem tak, jak oni teraz, znajdują więc wspólny język. Naucza z tego ogromnego pnia w każdą środę i ludzie ściągają do niego tłumnie.

— A jak się mają sprawy z gorącą zupą?

— Od czasu do czasu coś skapnie. Baptyści przysłali sto dolarów w ubiegłym tygodniu, które poszły na pięć par butów.

— Prezbiterianie wpłacili pięćdziesiąt w lutym. Te z kolei poszły na lekarstwo dla dwójki dzieciaków. Co do metodystów, nic mi nie wiadomo.

— Przypuszczam, że i oni niedługo sprawią ci jakąś niespodziankę. Wczasowicze znowu zawitali do miasteczka. A oto nasz wkład. — Podał mu kopertę.

— Podoba mi się ksiądz, który chodzi z wizytami domowymi — powiedział Bezdomny, wsuwając kopertę pod materac — i wielce ojcu dziękuję. A teraz, niech ojciec usiądzie.

Złożył w kostkę koc dla swojego gościa i położył go na nieomal zupełnie pozbawionym siedzenia krześle z drewnianym oparciem.

— Moje krzesło już niedługo zupełnie będzie pozbawione siedzenia, żeby lepiej pasowało do mojego psa, który jest pozbawiony głosu.

Śmiejąc się, pastor usiadł. Gdy tylko to zrobił, pies w ciapki przeleciał w powietrzu i wylądował mu na kolanach. Niewiele brakowało, a przewróciłby się do tyłu.

— Podoba mi się pies, który ma wycucie chwili! — zawołał. Barnaba spojrział na niego i zawarczał.

— Nie złość się.

Bezdomny pochylił się, żeby podrapać dużego psa za uszami.

— Jak się ojcu układa z ojca przyjaciółką?

Pastor westchnął. Potem się uśmiechnął. Potem jeszcze raz westchnął.

— To dobry początek — zachęcił ojca Bezdomny, podchodząc do pieca i nalewając dwie filiżanki mocnej kawy.

Nigdy przedtem nie wydawał za męża panny młodej.

Fakt, że panną młodą była Puny Bradshaw, stanowił jedną z największych radości jego życia.

Szedł do ołtarza przez środek kościoła baptystów, jakby płynął w powietrzu, i nie mógł oderwać oczu od uroczej istoty u swojego boku. Każdy jej pieg zdawał się błyszczeć i każdy loczek rudych włosów, wydostających się spod małego kapelusika, który miała na głowie, zdawał się jaśnieć.

Gdy cofał się, zostawiając ją przed ołtarzem, przelotnie ujął dłoń i poczuł zaskakującą szorstkość. Ta ręka zmywała jego podłogi, szorowała jego toalety, prasowała jego koszule, ścieliła jego łóżko, przygotowywała jego posiłki, cerowała jego skarpety i karmiła jego psa. Tak jak stał, miał ochotę paść na kolana i ją ucałować.

— Teraz jesteśmy rodziną! — obwieściła Esther Cunningham tak głośno, że słyhać ją było chyba przy pomniku.

— Pani burmistrz — powiedział — zawsze łączyło nas pewne pokrewieństwo. W sensie filozoficznym.

Gdy Puny zjawiała się na przyjęciu w swojej czarującej sukni, z trudem opanował wzruszenie. Przyfrunęła do miejsca, gdzie stał razem z księdzem baptystów, i gorąco go uściskała.

— Ojczy! — powiedziała.

Ojczy. Po raz pierwszy usłyszał to zawołanie w sposób, w jaki nie słyszał go nigdy przedtem.

Być może przegapiłem co nieco w tej dziedzinie życia, ale — dzięki Bogu — nie do końca.

Gdy wrócił do domu po ceremonii ślubnej, Cynthia panowała nad sytuacją.

Pieczeń dopiekała się jak należy, podobnie ziemniaki. Świeże szparagi były umyte i znajdowały się w garnku do gotowania potraw na parze. Masło było wystawione na zewnątrz, żeby zmiękło, bułeczki wyrosły, warzywa na sałatkę były umyte, część drobno posiekana, dressing do sałatki był gotowy, camembert dojrzały, a butelka merlota otwarta, by wino zdążyło pooddychać.

W chwili, gdy pojawił się w drzwiach, odwróciła się w jego stronę i uśmiechnęła.

Dobry Boże, co ona takiego ze sobą zrobiła? Wyglądała tak olśniewająco, że stanął jak wryty.

— To ten fartuch — wyjaśniła, czytając w jego myślach. — Mężczyznom podobają się kobiety w fartuchach.

Pocałował ją czule.

— Proszę! — szepnęła przytulona do jego policzka. — Nie można zaczynać od deseru.

— Cynthia, Cynthia. — Wziął ją w ramiona. — Co to za dziwne uczucie szczęścia mnie przepenia?

— Byłeś na ślubie — poinformowała go. — Widziałeś kogoś, kto miał odwagę złożyć obietnicę. To dodaje wigoru!

— Obróć się — poprosił.

— Po co?

— Sprawdzam, czy nie masz wałków na głowie.

Roześmiali się histerycznie. Czyż nie zabrał jej z wizytą do biskupa rok temu, z zapomnianym wałkiem wiszącym we włosach? Z dużymi oporami zgodziła się mu wybaczyć, że nie dał jej znać — chociaż, Bóg mu świadkiem — robił wszystko, co w jego mocy, żeby jej o nim powiedzieć.

Przy kolacji Dooley Barlowe wyglądał jak z żurnala, prezentował nienaganne maniery i tylko raz powiedział — „nie bede”.

Cynthia Coppersmith sprawiła, że biskup się roześmiał, a Martha głośno wyraziła swoje uznanie, a jeśli chodzi o niego, nie dane mu było zrobić niczego więcej poza nalaniem wina, nagrodzeniem komplementem umiejętności kucharza, wyrażeniem podziwu dla sukienki Marthy i odmówieniem błogosławieństwa.

— Dam ci trochę odpocząć — uspokoił Stuarta, który był mu za to niezwykle wdzięczny.

Gdy Stuart i Martha poszli położyć się spać w wyszorowanym, lśniącym od czystości, zdezynfekowanym i gruntownie doprowadzonym do porządku pokoju gościnnym, włożył do kieszeni niebieski aksamitny woreczek i zaprowadził Cynthię do salonu.

— Raz ci to już dałem, nie musisz mi więc ponownie dziękować.

— To dobrze! Jestem zbyt zmęczona, żeby zachwycać się czymkolwiek poza absolutnym sukcesem twojej uroczystej kolacji.

— Naszej uroczystej kolacji. Westchnęła pełna szczęścia.

— Nieważne.

Usiedli na sofie, a on wręczył jej broszkę.

— Dziękuję — powiedziała, pociągając nosem. — Znaczy to dla mnie więcej, niż możesz sobie wyobrazić.

— Czy zamierzasz się rozplakać?

— Oczywiście, że nie!

— Świetnie! — Wziął ją za rękę. — Czy nałożysz ją jutro?

— Do moich pantofli! — odparła.

Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak kiedyś spotkał Cynthię na ulicy, tuż przed mszą w kościele, w haftowanych pantoflach, których nie zmieniła na buty przez roztargnienie. Objął ją i spojrzał jej w oczy.

— Jutro rano biskup udzieli ci sakramentu bierzmowania, którego zadaniem jest utwierdzenie cię w wierze. Ale ty sama codziennie też utwierdzasz mnie w pewnym przekonaniu.

— W jakim znowu przekonaniu, na Boga?

— Że miłość jest boskim darem i że nie można się przed nią cofać. Dziękuję ci za to, że się nie cofnęłaś.

Przytuliła głowę do jego policzka, a on pogłaskał ją po czole. Dzwony w Lord's Chapel wybijały właśnie godzinę jedenastą, gdy odkrył, że usnęła w jego ramionach.

Jego serce rozpieła duma, gdy patrzył, jak podchodzą do ołtarza.

Myślami cofnął się do chwili, gdy po raz pierwszy zobaczył Dooleya Barlowe'a — bosego, nie domytego, szukającego jakiegoś „ustronnego miejsca”.

Dzisiaj miał okazję podziwiać nie tylko chłopca w nowej dwurzędowej marynarce, ze swobodnym uśmiechem na twarzy, ale prawdziwy cud.

Tuż za Dooleyem podążała Cynthia, rozpromieniona, w stroju ozdobionym broszką z perłami i ametystem. Cynthia! Jeszcze jeden cud w jego życiu.

Kandydaci do bierzmowania zostali przedstawieni biskupowi przez Hala i Marge Owenów, którzy stali obok nich przez całą uroczystość.

Widok Stuarta Cullena kładącego dłonie na ich głowach i odmawiającego odwieczną modlitwę polecającą ich Bożej opiece, poruszył go dużo bardziej, niż się spodziewał.

Prawdę powiedziawszy, od rozplakania się jak dziecko uchroniła go jedynie nagła myśl, że zapomniał przynieść półmisek na szynkę.

Esther Bolick zadzwoniła dzwonkiem, prosząc o ciszę w świetlicy parafialnej.

— Cieszę się — oświadczył Stuart Cullen — że Lord's Chapel nie urosła aż tak duża, żebyśmy nie mogli stanąć wokół stołu, trzymając się za ręce.

Pełen entuzjazmu tłum stanął w kręgu, podczas gdy ktoś wyciągnął Rebeccę Jane Owen spod składanego krzesła i udaremnił pięcioletniej Amy Larkin szalony pościg za nakręcaną zabawką, która wyłoniła się niespodziewanie z pomieszczenia szkoły niedzielnej.

— Przepelnij nasze serca wdzięcznością, Ojcze, za wszystkie Twoje łaski, i spraw, abyśmy dostrzegali potrzeby innych, przez Jezusa Chrystusa Pana naszego.

— Amen!

Ojciec Tim dołączył do Stuarda i Marthy na początku kolejki do bufetu, żeby Cullenowie mogli zjeść i wyruszyć w dalszą drogę na kolejną mszę — uroczystość wmurowania kamienia węgielnego i wyświęcenie diakona.

— Timothy — zapytała Martha, nakładając sobie fasolkę szparagową — czy zamierzasz poślubić tę przemiłą kobietę?

— Ależ, tak. Olivia już jakiś czas temu pytała mnie, czy udzielę jej ślubu.

— Nie Olivie! Cynthię! Roześmiał się.

— Ależ, Martho...

— Nie wykręcaj się. Czas płynie nieubłaganie, mój drogi. Widzę, że ona robi, co do niej należy.

A ty?

Gdy chodziło o wtrącanie się w nie swoje sprawy, Martha była wierną kopią Katherine.

— Nie możemy robić wszystkiego, Timothy. Mężczyźni też muszą coś zrobić. Gdy Stuart w końcu to zrozumiał, wszystko zaczęło się układać. A przy okazji, czy jest tu dzisiaj to słynne pomarańczowe ciasto?

— Sprawdzę — obiecał, opuszczając swoje miejsce w kolejce, żeby już nie wrócić.

Wypatrzył Emmę Newland, która nie zaszczyciła ich swoją obecnością na mszy od czasu, gdy wyszła za mąż za Harolda i „została na powrót baptystką”.

Zobaczył pannę Sadie, Louelle, Hoppy'ego i Olivie, gadających jak najęci przy pianinie.

Dooley i Cynthia stali w kolejce z Owenami i o ile mógł ocenić, ciasto pomarańczowe nie weszło w skład poczęstunku na dzisiejszym przyjęciu.

W zamian ukroił kawałek ciasta kokosowego domowej roboty i zaniósł go do stołu, tam, gdzie siedziała Martha, przyniósł biskupowi filiżankę kawy, wziął na ręce Amy Larkin i pochwalił jej buty z lakierowanej skóry, podniósł z podłogi pluszowego misia, ucałował dwóch starszych parafian, uściskał kilkoro w różnym wieku, usiadł z Rebecką Jane, która ugryzła go w nos i ssała przez chwilę klapę jego marynarki, przyjął całą serię entuzjastycznych gratulacji z okazji bierzmowania Dooleya, przeszukał kuchnię i znalazł dodatkowe nakrycie dla ośmioosobowego stolika, który go nie dostał, zabrał się do podawania kawy konającym ze zmęczenia przedstawicielkom Kobiet Kościoła Episkopalnego z Wesley, i sprawdził, jakim wzięciem cieszy się szynka, które — zważywszy na gołą kość, jaką zobaczył na tacy — było ogromne.

Wyprowadził Stuarda i Marthę bocznymi drzwiami, pomachał im na pożegnanie i wrócił, by dołączyć do Dooleya, Cynthii, Owenów i Rebecki Jane, na ostatni, schowany specjalnie dla niego, kawałek ciasta kokosowego Esther Bolick, okraszony zupełnie niezłym żartem wujaszka Billy'ego Watsona.

Tommy pytał o Bucka Leepera, który wiernie odwiedzał go w szpitalu, ale nie był u niego ani razu, odkąd Tommy wrócił do domu.

Pastor przypuszczał, że Buck Leeper stanowczo za bardzo szanował cudzą prywatność, żeby nachodzić czyjś dom. Sprawa miała się zupełnie inaczej w przypadku bezosobowego terenu szpitala.

Zgrzał się lekko, biegnąc na wzgórze, na plac budowy, z książką pod pachą. Niecodziennie zdarzała mu się okazja upieczenia dwóch pieczeni na jednym ogniu.

Buck Leeper siedział przy biurku, odwrócony do drzwi plecami.

— Buck?

Krzesełko zaskrzypiało, gdy jego ciężka postać obróciła się dookoła, zwracając się w stronę drzwi. Nadzorca budowlany zaledwie skinął głową.

— Dwie sprawy...

— Pierwsza — powiedział Buck, gasząc papierosa.

— Tommy pyta o ciebie, brakuje mu spotkań z tobą. Chętnie powiedziałbym ci, jak trafić do jego domu, gdybyś zechciał złożyć mu wizytę.

Buck odchrząknął.

— Druga.

— Wpadło w moje ręce coś, co chciałbym ci dać.

Buck wstał, gdy podawał mu książkę. Patrzył na nią przez chwilę, zanim wziął ją do ręki.

Pastor wzruszył ramionami.

— Pomyślałem, że może ci się spodobać.

Buck w milczeniu przyglądał się okładce, wyciągając z tkwiącego w kieszeni koszuli pudełko Lucky Strike papierosa. Trzymał go nie zapalonego, kładąc na biurku książkę i otwierając ją. Potem pochylił się nad książką i wolno przewrócił kilka stron.

Pastor otarł czoło rękawem.

Nadzorca budowlany tak długo trwał pochylony nad książką, że pastor pomyślał, iż zapomniał o obecności w pomieszczeniu drugiej osoby.

Buck odwrócił się w końcu i spojrzał na niego.

— Dziękuję.

— Bardzo proszę. Cóż, nie będę zajmował ci czasu.

— Gdzie jest dom tego dzieciaka? Powiedział mu, pokazując, jak ma się tam dostać. Gdy wychodził, Buck odezwał się:

— Jest coś, co powinienem ojcu powiedzieć.

— Co takiego?

— Nikt tutaj nie wie tego, co kiedyś ojcu powiedziałem.

— Nikt nie dowie się tego ode mnie. Buck zapalił papierosa.

— Pójdę odwiedzić chłopca.

— Dobrze, na pewno się ucieszy.

Bieg w dół był zdecydowanie przyjemniejszy niż bieg pod górę.

Do Elmhurst był kawał drogi, ale gdyby się pośpieszyli, zdążyliby pojechać tam i z powrotem w jeden dzień, docierając do domu o północy. Jego napięty kalendarz nie pozwalał na marnowanie czasu.

Dooleyowi Barlowe'owi nie podobało się jednak Elmhurst, gdzie do przerwy wakacyjnej pozostał już tylko jeden dzień.

Nie podobał mu się ponury wygląd budynków z cegły, chłodny styl bycia dyrektora szkoły, żaden z nauczycieli i ani jeden z uczniów, nie mówiąc już o burch, źle leżących szkolnych mundurkach. Nie chciał też przełknąć ani kęsa w jadalni, w której panowała przykra cisza.

Chłopiec miał wycucie smaku, trzeba mu było przyznać. Tak bardzo śpieszyło im się, żeby wy dostać się stamtąd jak najprędzej, że buick dobił do garażu półtorej godziny przed planowaną godziną powrotu.

Gdy Olivia Davenport szła środkiem kościoła, wsparta na ramieniu doktora Leo Baldwina, goście weselni gapili się na nią bezwstydnie jak podziwiający jakiś rzadki zakątek turyści.

Nigdy jeszcze nie widziano czegoś takiego w Mitford — bohaterki zakończonego sukcesem przeszczepu serca, która wyglądała jak gwiazda filmowa, słynnego kardiochirurga z Bostonu w stanie Massachusetts, i sukni ślubnej, o której będzie się mówiło w miasteczku jeszcze przez wiele następnych miesięcy, a może nawet lat.

Ten ślub, jak ktoś zupełnie słusznie zauważył, był „nie byle wydarzeniem”.

Jeśli ślub doktora Waltera Harpera i Oli vii Davenport był nie byle wydarzeniem, to to, co nastąpiło po nim w Fernbank, zasługiwało na jeszcze bardziej zaszczytne miano.

Ludzie przychodzili tylko po to, żeby zobaczyć długą procesję samochodów, która wiła się wzdłuż Main Street, a potem w górę Old Church Lane.

— To ślub czy pogrzeb?

Hattie Cloer, właścicielka Goer's Market znajdującego się na autostradzie, zażywała właśnie niedzielnej popołudniowej przejażdżki samochodem ze swoim synem. Jej chihuahua, Darlene, siedziała swojej pani na ramieniu i wystawiała przez okno głowę.

— Chyba pogrzeb — ocenił jej syn. — Widziałem długą czarną limuzynę zaparkowaną przy drodze dojazdowej do kaplicy.

— Och, jej — powiedziała z ubolewaniem Hattie. — Mam nadzieję, że to nie biedna Sadie Baxter pożegnała się z tym światem. To przecież jej kościół.

— Słyszałem, że kiedyś gościła u siebie prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Chyba prezydenta Jacksona, jeśli się nie mylę, albo Roosevelta — odparła Hattie.

Wchodząc do sali balowej Fernbank, miało się wrażenie, że wstępuje się do innego świata.

Wszyscy bez wyjątku po przekroczeniu progu sali wzdychali z zachwytem, radości czy zaskoczenia, w efekcie czego na ganku robił się zator, a kolejka gości ciągnęła się w dół po schodach, aż do

okrągłego skweru przed domem. Nikomu nie przeszkadzało stanie na trawie, mimo że niektórym grzęzły obcasy w miękkiej ziemi, ponieważ słyszeli, że w środku czeka na nich cudowne widowisko.

Wielu z nich nigdy nie było na murawie przed domem Fernbank i widziało jedynie wierzchołek dachu ponad drzewami. Od lat wszyscy słyszeli, że dom popada w ruinę, ale widzieli jedynie luszczącą się tu i tam farbę, a więc nic gorszego niż to, co mieli u siebie w domu.

Nikt nie oparł się czarowi tego miejsca, nakrytych białymi obrusami stołów na trawniku i młodych, atrakcyjnych nieznajomych w czarnych muszkach, którzy uśmiechali się i nalewali im szampa, i podawali zielony jak limona poncz, i sprawiali, że czuli się jak monarchowie.

Ogromne kosze tuberoz, winorośli, dzikich róż i innych kwiatów ustawione były po obu stronach wejścia na ganek, rozsiewając cudowny zapach. Z otwartych okien sączyły się natomiast dźwięki muzyki — Mozarta, jak ktoś powiedział — przepełniając słodczą powietrze, aż po same sady.

Wujaszek Billy Watson stał przy końcu kolejki i poprawiał krawat.

— Na litość Boga — westchnął, głęboko poruszony całą uroczystością. Po raz ostatni przyjrzał się krytycznie pannie Rose i stwierdził, że przeoczył metkę, która wystawała jej przy kołnierzyku. Wsunął ją do środka.

Absalom Greer czuł dziwne bicie serca. Kiedy minęło te ponad sześćdziesiąt lat od chwili, gdy zbiegł po tych schodach i pojechał razem z Sadie Baxter miejskim samochodem jej ojca, wierząc całym sercem, że ona zostanie jego żoną?

Hessie Mayhew nie czekała w kolejce. Weszła śmiało po schodach, przeszła przez ganek, wślizgnęła się do środka, znalazła wolne krzesło i zarekwirowała je dla siebie — rzucając na nie swój notatnik.

Następnie wyjęła notes i pióro. Nie przyszła przecież tutaj, żeby się dobrze bawić; przyszła do pracy. Udało jej się w końcu nakłonić J.C. Hogana, żeby pozwolił jej pisać nie tylko do rubryki poświęconej ogrodnictwu.

Już samo czekanie w kolejce gości weselnych było dla pastora dużym przeżyciem. Gdy ją poznał, Olivia Davenport umierała i na własne oczy widział, jak przerażająco bliska była śmierci. A teraz podziwiać jej olśniewającą urodę i doświadczać jej radości... to był kolejny cud w całej serii cudów.

Hoppy Harper uściskał mu serdecznie dłoń i nie wypuszczał jej ze swojej ręki przez dłuższą chwilę. Działając jako drużyna, połączyli swe siły i modlili się za Olivie, i połączyło ich to na całe życie.

Ale być może uczuciem, które dominowało nad wszystkimi innymi, gdy tak przesuwał się w górę kolejki razem z Cynthią i Dooleyem, była ta nowa dziwna świadomość, że tworzą rodzinę. Czuł, że łączy ich więź, której zrozumienie przekracza jego możliwości, jakby w trójkę stanowili ogniwa jednego łańcucha.

Było to nowe uczucie i czuł się nim oszołomiony, jeszcze zanim sięgnął po szampa.

Esther Bolick upiekła tort weselny, wystawiony na okrągłym stole, z którego do samej podłogi spływał tiul koloru kości słoniowej, przyozdobiony kaliami.

— Prawdziwe dzieło sztuki! — pochwalił szczerze.

Esther dosłownie wykręcała sobie dłonie, patrząc na swoje dzieło.

— Mówię prawdę, w całym swoim życiu nie robiłam czegoś tak skomplikowanego. Nie spałam do późna w nocy. Trzy różne torty, każdy trzywarstwowy — na tej podstawie, którą przywiozła firma cateringowa, wygląda jak Empire State Building.

— A co myślisz o drugim dziele sztuki w tym pomieszczeniu?

— Ojej, nie miałam ani chwili czasu, żeby się rozglądnać. Gdzie ono jest?

— Tam, na górze.

Esther spojrzała i wydała z siebie okrzyk zachwyty.

— Kto to namalował?

— Leonardo i Michelangelo.

— Nie mówi ojciec poważnie!

— Ależ jak najbardziej! — odparł.

Po raz kolejny podszedł do okna, które wychodziło na okrągły skwer z drogą dojazdową przed domem, i wyjrzał na zewnątrz. Samoloty zawsze się spóźniały, czyż nie?

I wtedy zobaczył taksówkę podjeżdżającą pod drzwi wejściowe, i wyszedł szybko, i zbiegł po schodach, i był na miejscu, żeby przywitać wysokiego, ciemnowłosego dżentelmena, który był wnukiem Leonarda Francesci.

Sadie Baxter zeszła z parkietu w swojej sukni szmaragdowego koloru, opierając się na ramieniu Leo Baldwina. Leo odszukał laskę panny Sadie i podał jej ją w chwili, gdy ona się odwróciła i zobaczyła wchodzącego do sali balowej mężczyznę.

Na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia i pastor podszedł do niej natychmiast, obawiając się, że szok mógłby.

Ale panna Sadie szybko odzyskała równowagę i wyciągnęła dłoń do młodego mężczyzny, pytając z niedowierzaniem:

— Leonardo?

Roberto ujął jej dłoń i ucałował.

— Jestem Roberto, wnuk Leonarda. Mój dziadek wielbi twoją urodę i wdzięk, i niezmiernie żałuje, że nie mógł przyjechać sam.

Uczył mnie posłańcem bardzo szczególnej wiadomości dla swojej przyjaciółki z czasów dzieciństwa.

Pastor był oczarowany wyrazem jej twarzy, gdy czekała niecierpliwie, żeby usłyszeć wiadomość, która przebyła tysiące kilometrów, i nadchodziła po prawie osiemdziesięciu latach od ostatniego spotkania.

— Mój dziadek poprosił mnie, żebym powiedział: *Tempo é denaro!*

Roberto uśmiechnął się i skinął głową.

Nikt jeszcze nie widział, żeby Sadie Baxter tak się śmiała — to był prawdziwy napad śmiechu. Goście zaczęli się przybliżać, skuszeni kolejnym dreszczem emocji w dniu iście niezwykłych przeżyć.

— Czy nadal lubi — zapytała, wycierając oczy koronkową chusteczką — zielony groszek?

— Ogromnie! — odparł Roberto.

Panna Sadie ponownie wzięła Roberta za rękę.

— Usiądźmy, zanim się przewrócimy. Chcę wszystko wiedzieć!

— Panno Sadie — przerwał pastor — zanim pani odejdzie... a co *Tempo é denaro* w ogóle znaczy?

— Nie powiedziałam ojcu? Czas to pieniądz!

— Czy to niebo? — zapytała Cynthia, gdy tańczyli.

— Co najmniej przedsiónek.

— Wszyscy tak bardzo cię kochają.

— Wszyscy?

— Tak — szepnęła, przytulona do jego policzka. — Wszyscy.

— Nie wiem, czy sprostam oczekiwaniom.

— To ty sprowadziłeś tutaj Roberta.

— Tak. Nic ci nie powiedziałem, bo chciałem... Nie byłem pewien, czy nam się uda. Zadzwo-
niłem do Florencji do jego dziadka, który odebrał telefon, ale zapomniał już cały swój angielski. Oddał słuchawkę synowi, który mówi trochę po angielsku, a potem Roberto, którego angielski jest bezbłędny, zadzwonił do mnie. Powiedziałem: „Proszę, gdyby mógł pan to zrobić, sprawiłoby to komuś ogromną radość”. I Roberto odparł: „Życie mojego dziadka upłynęło na sprawianiu radości innym. Przyjadę”. Na stanowisku linii lotniczych we Florencji czekały bilety i oto, chwalić Boga, jest z nami Roberto.

— To najcudowniejszy prezent pod słońcem.

— Panna Sadie tak często jest tą, która obdarowuje...

— Jak długo tu będzie?

— Tylko kilka dni. W czasie jego obecności zaprosimy Andrew na kieliszek sherry. Mogą sobie gadać po włosku, a my przygotujemy coś specjalnego dla panny Sadie i Louelli. Roberto zajmie mój słynny pokój gościnny. Nie ma oczywiście Puny, która mogłaby nam pomóc, ale jakoś sobie poradzimy.

— Pomogę ci — obiecała. Uścisnął jej dłoń.

— Zawsze mi pomagasz.

W czasie, gdy przygrywała im ósmioosobowa orkiestra, widział, jak sala wiruje wokół nich, ukazując ich oczom cudowną, skąpaną w popołudniowym świetle panoramę.

Zobaczył Absaloma Greera, jak śmieje się razem z Roberto i panną Sadie.

Zobaczył Andrew Gregory'ego, jak wznosi toast na cześć nowożeńców, i pannę Rose stojącą sztywno z uśmiechniętym wujaszkiem Billym, ubraną w swój czarny kostium, popołudniowy kapelusz i odpowiednie buty.

Zobaczył Bucka Leepera, jak stoi nieporadnie w drzwiach, trzymając kieliszek szampana w szorstkiej dłoni, a także Rona i Wilnę Malcolmów, usiłujących zwabić go do środka.

Była tam też Emma w kapeluszu i Harold wyglądający na onieśmiałego, i Esther Bolick siedząca na krześle i wachlująca się z wyraźną ulgą, i Dooley Barlowe idący w stronę panny Sadie, która uśmiechała się do niego promiennie.

Zobaczył Winnie Ivey z policzkami różowymi z emocji, biorącą coś wykwintnego z tacy, z którą właśnie przechodził obok kelner, podczas gdy J.C. Hogan naradzał się z Hessie Mayhew pod palmą w doniczce.

Ujrzał też Louellę w eleganckiej sukni, która podkreślała ciepło jej kawowej karnacji, tańczącą z Halem Owenem.

Twarze gości w skąpanej w słońcu panoramie wydały mu się nagle piękniejsze niż wszystkie niebiańskie twarze na suficie. Niech zastępy aniołów tłoczą się nad ich głowami, krzycząc — hosanna. On chciał się znajdować dokładnie tu, gdzie był, spowity mgiełką wistarii.

— A niech to — przywitał ich Dooley, gdy zbliżali się do niego po zejściu z parkietu — ale blisko siebie tańczyliście.

— Nie dość blisko — odparła Cynthia figlarnie.

— Dooley, a może zatańczyłbyś z Cynthią?

Dooley, który nie potrafił sobie czegoś takiego wyobrazić, zaniemówił. Korzystając z okazji, Cynthia porwała Dooleya i wciągnęła go natychmiast w radosny wir na parkiecie.

Ten, kto się waha, jest zgubiony!, pomyślał pastor, uśmiechając się.

— Pani Walterowa Harper?

— We własnej osobie!

— Czy mogę pocałować pannę młodą?

— Byłabym zrozpaczona, gdyby ojciec tego nie zrobił.

Pocałował ją w obydwie policzki i stał, trzymając ją za ręce i nie mogąc się oprzeć czarowi jej błyszczących fiołkowych oczu.

— Jest pani wielką piękną, pani Harper. Ale jeszcze większe piękno kryje pani w sercu. Nie powiem, że Hoppy jest szczęściarzem, bo nie wierzę w szczęście, tylko w łaskę. Niech Bóg błogosławi wam obydwójgu największym szczęściem, zawsze.

— Dziękuję. Czy mogę pocałować mojego księdza i przyjaciela?

— Będę zawiedziony, jeśli tego nie zrobisz. Pocałowała go w obydwa policzki i zaśmiali się.

— W całym swoim życiu nie czułam się tak otoczona łaską Bożą i tak szczęśliwa. Cudowny mąż, kochająca i rozpieszczająca mnie ciocia... i ta wspaniała sala balowa, która wiem, że została przygotowana specjalnie dla nas. Jak można znieść tyle szczęścia?

— Rozkoszuj się nim. W pełni sobie na nie zasłużyłaś.

— Mam nadzieję, że już niedługo ojciec zrobi to samo.

— To?

— Mam na myśli małżeństwo, dzielenie swojego życia z drugą osobą.

— Nie wiem, czy potrafiłbym...

Spojrzała na niego, uśmiechnięta, ale poważna.

— Nie pamięta ojciec? List do Filipian 4,13, na litość boską!

Rozdział dwudziesty pierwszy

PEWNOŚĆ

Prywatny nauczyciel Dooleya napisał starannym wąskim pismem:

„Do wszystkich zainteresowanych: Jeśli chodzi o matematykę, Dooley Barlowe jest geniuszem”.

Czuł się pokrzepiony. Gdyby tak jeszcze Louise Appleshaw udało się sprawić cud...

Powiedział jej to.

— Panno Appleshaw, przyznaję się do tego, że oczekuję cudu...

— Pastorze, cudu się nie oczekuje. Cud, przynajmniej częściowo z definicji, jest czymś zupełnie nieoczekiwanym.

Spojrzała na niego z wyższością.

Zamienił się w robaka i wypełznął z pokoju.

Andrew Gregory zaglądnął do nich na kieliszek włoskiego wina w drodze na kolację z przyjaciółmi w klubie.

Roberto włożył ulubiony fartuch pastora, wsunął krawat pomiędzy guziki koszuli i zajął się tworzeniem najbardziej kuszących aromatów w historii domu.

— *Ossobuco!* — obwieścił Roberto, zdejmując pokrywkę z garnka jedną ręką, a drugą wachlując drewnianą łyżką.

— Mmmmm! — zawołała Cynthia, wchodząc z naręczem kwiatów do domu z ogrodu. — Zachwycający!

— A niech to! — wykrzyknął Dooley, który zszedł na dół zwabiony zapachem.

— Och, na Boga! — westchnęła z zachwytem panna Sadie, która przybyła ze swoim zwyczajowym prezentem dla gospodarza — mrożoną zapiekanką z kurczaka firmy Swanson i mrożonym ciastem z bakaliami Sary Lee.

Louella z uznaniem wciągnęła zapach.

— To na pewno nie są zimne nogi z kapustą!

Toasty sypały się tak obficie jak płatki śniegu podczas zeszłorocznej burzy śnieżnej.

Za Leonarda, który połamany reumatyzmem leżał w łóżku we Florencji.

Za pomyślność Roberta w Mitford!

Za zdrowie panny Sadie!

Za szybki powrót do zdrowia Louelli po operacji kolana, której wkrótce miała się poddać.

Za sukcesy Dooleya w nowej szkole.

Za gościnność gospodarza!

Za urok i urodę gospodyni!

Za Olivię i Hoppy'ego przebywających obecnie w Brown's Hotel, w Londynie!

Avis Packard zadzwonił, żeby się dowiedzieć, czy wszystko przebiega pomyślnie, poruszony faktem, że kroił cielęcinę dla prawdziwego Włocha, który zna się na rzeczy.

Roberto pokazał im zdjęcia żony i trójki ślicznych dzieci, zdjęcia prac swojego dziadka w domach i kościołach Florencji, i samego Leonarda, z tym samym chłopięcym uśmiechem na twarzy, który pamiętała z jego dawnej wizyty w Fernbank panna Sadie.

Pastor w całym swoim życiu nie widział takiej obfitości toastów, gotowania, nalewania oliwy i oliwek, obierania czosnku ani nie słyszał takiego mnóstwa śmiechu i żartów.

Było to tak, jakby Roberto był jednym z nich i jakby nareszcie wrócił do domu.

Strzał w dziesiątkę.

Dooleyowi podobała się druga szkoła, którą odwiedzili. A niby dlaczego miałyby mu się nie podobać? Cynthia wybrała się z nimi i sprawiła, że cały czas się śmiali.

Co więcej, ani razu nie pozwoliła dyrektorowi zajmującemu się przyjęciami do szkoły, że to on prowadzi z nimi rozmowę kwalifikacyjną, ale że jest dokładnie odwrotnie.

Mimo że uczniowie wyjechali na wakacje i nie mogli im nic opowiedzieć o atmosferze panującej w szkole, Dooley poczuł sympatię do uprzejmego dyrektora, który przyszedł prosto ze swojego

domu, znajdującego się tuż obok, ubrany w szorty, mokasyny i bawełnianą koszulkę, żeby oprowadzić ich z entuzjazmem po szkole.

Podobało mu się też laboratorium z mózgiem w słoju, sala gimnastyczna, bieżnia, boisko i stajnie, gdzie stajenny posadził go na swoim własnym wierzchowcu i klepieniem w zad sprawił, że koń ruszył żwawo wokół placu, unosząc na grzbiecie Dooleya, który z trudem się na nim utrzymywał.

— Musi jeszcze trochę popracować — ocenił stajenny. Inspekcja pokoi w internacie nie wypadła już jednak tak pomyślnie.

— Ohyda — stwierdził Dooley.

— Zaniedbane — ocenił pastor.

— To nie jest żaden problem — pocieszyła ich Cynthia i zaczęła opowiadać o farbie i zasłonach.

Podsumowując, udana wycieczka, z której wrócili do domu o drugiej nad ranem, padając ze zmęczenia.

Wokół pomnika kapitana Willarda Portera koncentrowały się bez wątpienia obchody pierwszego — a już wkrótce dorocznego — festynu na rzecz muzeum w Mitford.

Stał na świeżo przystrzyżonym trawniku przed Porter Place, tajemniczo udrapowany brezentem i otoczony budkami.

W pobliżu krzewów bzu Joe Ivey ustawił krzesło do strzyżenia i stół, na którym leżały wszystkie niezbędne w jego fachu przybory, od puszek z talkiem i butelek Sea Breeze po szczoteczkę do omiatania szyi i maszynkę do golenia na baterie. Golenie kosztowało trzy dolary, strzyżenie sześć, a cały dochód miał zostać przekazany na rzecz muzeum.

Po przeciwległej stronie koła, najdalej jak mogła się odsunąć od konkurencji, miała swoje stanowisko Fancy Skinner. Ubrana była w pulower z dekoltem w kształcie litery V i rybaczki, a cały jej strój był w kolorze jasnej cytrusowej zieleni. Gdy ktoś dziwił się na głos temu zaskakującemu odejściu od jej ulubionego koloru, wyjaśniła, że „usiłuje przebić się przez całą tę wrzawę i wyróżnić z tłumu, co właśnie, jak wszyscy powinni wiedzieć, jest istotą biznesu”.

Fancy oferowała manikiur za pięć dolarów oraz woskowanie ust i pedikiur za dziesięć (za zawieszoną na lince zasłoną). Jak zaznaczyła jednak później w liście do rady miejskiej, miejsce, które jej przydzielono, miało jeden mankament. Mack Stroupe gotował tuż obok jej budki hot dogi, w rezultacie czego powstawał hałas, jak również zapachy, które były całkowicie nieodpowiednie dla zabiegów upiększających.

Winnie Ivey wystawiła na stoisku umieszczonym pod wiażem pączki ze swojej cukierni. Stoisko dzieliła ze swoim kuzynem, który zrobił trzydzieści kanapek z serem pimiento, trzydzieści z krojoną szynką i serem oraz czterdzieści z sałatką z kurczaka. Wszystkie kanapki przechowywała w lodzie w przenośnej lodówce.

Po drugiej stronie wiązu stały cierpliwie w cieniu dwie lamy, przyglądając się tłumowi. „Pogłaszcz lamy. Pięćdziesiąt centów” — głośno przytwierdzona do drzewa tabliczka.

— Pięćdziesiąt centów to zdecydowanie za dużo za pogłaskanie lamy! — stwierdziła młoda mama, która postanowiła zainwestować w pączki.

Jej trzyosobowe stadko stało, wyjąc na sam widok lamy.

Były tam ciasta upieczone przez Esther Bolick, która narzekała, że ślub Harperów i festyn na rzecz muzeum następowały zbyt szybko po sobie. Jej ciasta jednak znikwały w okamgnieniu, a zdobywające nagrody dwuwarstwowe ciasto pomarańczowe czekało na licytację w samo południe, żeby stać się własnością tego, który da najwięcej. Można je było oglądać w otwartym namiocie, gdzie najmłodszy wnuk Percy'ego i Velmy Mosely oganiał je od much za pomocą łapki.

Na ganku można było dostać bezpłatną lemoniadę, co stanowiło jedyny ukłon rady miasta w stronę gościnności — nie licząc oczywiście przenośnej toalety, która stała na niewielkim wzniesieniu tuż obok drzwi do piwnicy i przechylała się niebezpiecznie w lewą stronę.

Dora Pugh zorganizowała miniaturowy sklep ogrodniczy pod namiotem, z kurczątkami, które dopiero się wykluły, żeby sprawić radość dzieciom. Dziesięć procent dochodów ze sprzedaży Dory miało zostać przekazane na rzecz muzeum, podczas gdy Andrew Gregory postanowił przekazać na ten cel cały dochód ze sprzedaży swojego angielskiego cytrynowego wosku do mebli, który wystawił na osiemnastowiecznej ławce ogrodowej z drewna tekowego, pod drzewem judaszowym.

— A niech to ! — powiedział z uznaniem J.C. Hogan, wycierając twarz chusteczką. — To prawdziwy maraton.

Od oficjalnego otwarcia festynu, w przeciągu zaledwie jednej godziny zrobił cztery rolki filmu. Na jednej z nich uwiecznił panią burmistrz Cunningham, jak stoi na schodach Porter Place z panną Rose i wujaszkiem Billym po prawej i lewej stronie.

Według wujaszka Billy'ego, panna Rose rozpoczęła dzień w wyjątkowo złym nastroju i zdecydowanie odrzuciła jego pomoc w doborze garderoby.

Pokazała się na jednej z najważniejszych uroczystości, jakie kiedykolwiek odbyły się w Mitford, ubrana w skórzaną kurtkę lotniczą z czasów drugiej wojny światowej, czarny popołudniowy kapelusz ze zgniecioną na płasko jedwabną peonią, która się oderwała i zsunęła w okolice ucha, dwukolorowe półbuty i suknię w kwiaty, która należała do jej matki. Zdecydowała się też na torebkę z korkowych kóleczek, które kiedyś wyścielały kapsle z butelek pepsi-coli.

W tej beznadziejnej sytuacji wujaszek Billy zdołał wyegzekwować tylko jedno ustępstwo — jego żona pozwoliła mu zasnuć swoje buty.

Gdy orkiestra dęta maszerowała po trawniku, grając standardy, tłum stawał się coraz większy. Ponadto nikt nie pamiętał, żeby na ulicy kiedykolwiek przedtem zamknięto ruch, co wyraźnie przyczyniało się do panującej wokół atmosfery radosnego podniecenia.

Lista atrakcji dnia była zapisana ręcznie na tablicy, która huśtając się, stała na sztaludze przy chodniku wzdłuż Lilac Road.

Długa lista zawierała między innymi następujące punkty programu:

„Ujrzyjcie na własne oczy,
jak dobrze znana Wam osoba
toczy orzeszek ziemny NOSEM!”

„Obejrzyjcie, jak Percy Mosely
wykonuje taniec brzucha
w spódniczce z trzciny!”

— Nie wykonuję żadnego tańca brzucha — obwieścił Percy, który opalony wrócił do domu z Hawajów. — Powiedziałem jej to jasno, ale Esther Cunningham nie przyjmuje odmowy i teraz ma na swoim sumieniu kłamliwą reklamę.

— Ach, Percy — ktoś usiłował go przekonać — nie daj się prosić. To na dobry cel.
Przeszła obok nich orkiestra, zagłuszając gniewną orację Percy'ego.

— Naprawdę — powiedział szef policji Rodney Underwood, jedząc hot doga i rozmawiając z pastorem — żyjemy przekonani, że jesteśmy małym miasteczkiem. Potem robimy coś tak wielkiego jak dziś i rozumie ojciec, od razu wyglądamy jak Nowy Jork.

Esther Cunningham podeszła do nich, ubrana w nowy kostium z czerwonego lnu.

— Turyści ciągną tu jak muchy — stwierdziła z obrzydzeniem. — Mogliby dać nam spokój na cholerne pięć minut.

Rodney starł z dłoni chili.

— Jest czerwiec, Esther. Zawsze w czerwcu przyjeżdżają do nas turyści.

Spojrzała na swoją marynarkę.

— Nie cierpię lnu. Możesz się przyjrzeć temu kostiumowi? Wygląda jak wyjęty psu z gardła. Pakuję się i wyjeżdżam do Kolorado, jak tylko się to skończy.

Oddaliła się, żeby kupić sobie pączka.

— Myślałem, że to festyn — stwierdził Mule Skinner, przybywszy prosto po rundce golfa — ale mnie bardziej przypomina to cyrk.

— Dużo ludzi — wyjaśnił pastor.

— Za rok powinni raczej pomyśleć o grillu i zapiekance ze słodkich ziemniaków. Hot dogi nie będą pasować.

— Poprosimy Percy'ego, żeby otworzył własną budkę.

— Kiedy zaczynają się pokazy, całowanie świni i inne?

— O pierwszej, jeśli ktoś w ogóle dożyje tej chwili — udzielił informacji pastor.

— Mack Stroupe?

Pastor pokiwał głową, śmiejąc się. Dwa psy przemknęły obok nich, goniąc wiewiórkę. Rodney pobiegł za kimś, kto niósł torbę, z której odpadło dno i wysypywały się ściereczki oraz bułeczki z otrębami, zakupione w budce „Library Ladies”.

— Czy to ojciec występuje w „Pokazie z psem posłusznym Słowu Bożemu”? — zapytał Mule.

— Tak — westchnął pastor. — Nie miałem wyboru, to albo toczenie tego cholernego orzeszka ziemnego...

— Przy Esther Cunningham mój sierżant z wojska to Matka Teresa.

Podnieśli wzrok i zobaczyli Hattie Cloer zmierzającą w ich kierunku z Darlene na smyczy.

— W nogi — syknął Mule, ale było już za późno.

— Ojcie — zaczęła Hattie — jak bliskim trzeba być śmierci, żeby ksiądz udzielił ostatniej pomocy?

— Bardzo bliskim — rzucił Mule, usiłując podtrzymać rozmowę. Darlene obnażyła zęby i warknęła na pastora.

— Wczoraj w nocy byłem bliska poproszenia Clyde'a, żeby zadzwonił do ojca — oświadczyła Hattie. — Leżałam w łóżku, nie zmrzywszy oka, aż do samego rana, bo jak mi się wydaje, miałam straszne gazy. Och jej, byłam taka rozdęta! Ale wie ojciec, bolało mnie dużo bardziej niż przy zwykłych gazach. To było coś naprawdę poważnego, po prostu to wiedziałam. Powiedziałam więc: „Clyde, złotko, obudź się i dotknij tego”. Przewrócił się więc z jednego boku na drugi i przysunął w moją stronę, i dotknął mnie, i natychmiast usiadł, i zadzwonił na pogotowie, ale wykręcił zły numer i dozwonił się do tawerny Charliego na autostradzie. A do czasu, gdy skończył rozmawiać, ja już poczułam się lepiej i wstałam, i ugotowałam garnek fasolki szparagowej, która właśnie przyszła do sklepu. A wiedząc, jak ojciec lubi fasolkę szparagową, pomyślałam, że może ojciec będzie chciał przyjechać i kupić kilogram albo pół. Nadaje się do zamrożenia. Wie ojciec, że dla duchowieństwa daję dwadzieścia pięć procent zniżki. Ale w każdym razie cała ta sytuacja sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać, że być może powinien ojciec do mnie przyjechać...

— Możesz do mnie dzwonić o każdej porze — pastor powiedział Hattie, która odeszła, ciągnąc za sobą wciąż warczącą Darlene.

— Na miejscu ojca zastrzegłbym sobie numer — poradził mu Mule.

Punktualnie o godzinie pierwszej pani burmistrz stanęła na stopniach prowadzących na ganek, a orkiestra dęta zagrała *Boże, błogosław Ameryce* i wszyscy się przeżegnali.

Klub Rotariański wypożyczył na festyn prawdziwe morze składanych krzeseł, które ustawiono w równych rzędach na trawniku w pobliżu schodów.

Panna Sadie, Louella, Roberto, ojciec Tim, Cynthia, Dooley i Andrew Gregory siedzieli w pierwszym rzędzie.

Pastor spojrział z niepokojem na pannę Sadie. Jak zareaguje, widząc pomnik człowieka, którego kochała przez tak wiele lat? Łagodnie to ujmując, nie miała wielkiego szacunku dla oficjalnej pompy.

Pani burmistrz podziękowała wszystkim za przybycie, przypomniała o bezpłatnej lemoniadzie i rozpoczęła wygłaszanie przygotowanego przemówienia, które — o ile był w stanie ocenić — napisała dla niej Hessie May he w.

Podziękowała panie Rose i wujaszki Billy'emu za ich obywatelski gest, jakim było przekazanie ich domu na rzecz muzeum, i wszyscy bili brawo.

Panna Rose wstała i ukloniła się, w wyniku czego jej zgnieciona na płasko jedwabna peonia wyślądowała na trawie.

Następnie pani burmistrz opowiadała przez dłuższą chwilę o Willardzie Porterze, jego głębokich więzach z Mitford, jego wspomianej z wdzięcznością hojności wobec Kościoła prezbiteriańskiego, jego błyskotliwym wkładzie w rozwój przemysłu farmaceutycznego i szlachetnej architekturze domu, który przez prawie siedemdziesiąt lat stanowił centralny punkt miasteczka. Umarł we Francji, powiedziała na zakończenie, ku chwale Boga i Ojczyzny.

Ernestine Ivory stała obok pomnika, z ręką na brezencie. Esther Cunningham dała znak orkiestrze, która natychmiast zaczęła grać.

Potem dała znak Ernestine, która — oblewając się rumieńcem — zerwała okrycie z pomnika.

Z ust wszystkich zebranych wyrwał się jęk zachwyty. Nastąpiła chwila ciszy.

Potem wszyscy wstali, bili brawo, gwizdali i wiwatowali. Był to pierwszy pomnik, jaki kiedykolwiek został wzniesiony w Mitford, i opinia publiczna była zgodna — było na co popatrzeć.

Willard Porter stał, spoglądając na błękitne góry, które wznosiły się za miasteczkiem, ze wzrokiem skierowanym ku wolności i z dłonią na sercu. Szlachetność manifestowała się w każdym szczególe jego przystojnej twarzy i w każdym calu jego oficerskiego munduru. Rabata kwiatów wyrastała u jego stóp.

— Och, jej — powiedziała panna Sadie, korzystając z chusteczki. Roberto pokiwał z uznaniem głową.

— A niech mnie! — zawołał Dooley.

Niektórzy wciąż bili brawo, gdy orkiestra zaczęła maszerować wokół pomnika.

Pomyślał, że jeszcze nigdy nie widział, żeby panna Rose wyglądała tak cudownie — stojąc u boku wujaszki Billy'ego, salutując pomnikowi swojego brata i wybijając stopą rytm muzyki granej przez orkiestrę.

— Cały dowcip — objaśniała pani burmistrz, stojąc na schodach — polega na tym, że za każdym razem, gdy trzeba przywołać do porządku psa pastora, pastor musi jedynie zacytować fragment Pisma Świętego i jego pies...

— Barnaba — dodał pastor.

— Barnaba... się uspokaja i posłusznie kładzie. Tłum roześmiał się.

— Proponuję pięćdziesiąt dolarów za demonstrację — obwieściła, rozglądając się dookoła.

Cisza. Śpiew ptaków.

— Nie dwadzieścia pięć, więc nawet o tym nie myślcie. Pięćdziesiąt! To niewysoka cena, żeby zobaczyć coś, czego nie zobaczycie nawet w telewizji! I pomyślcie, do czego się ta pięćdziesiątka przyczyni — do dodania do tego wspaniałego muzeum, które nie ma równych w całym stanie, jeszcze jednej sali...

W tylnym rzędzie podniosła się jedna ręka.

— Trzydzieści pięć!

— Dajcie spokój! — zawołała Esther. — Czekam na pięćdziesiątkę albo przechodzimy do całowania świni.

— Pięćdziesiąt! — zawołał jakiś głos gdzieś z okolicy łam.

— Czy ktoś daje pięćdziesiąt pięć? Cisza.

Esther dała znak orkiestrze, która uderzyła w werble, gdy pastor prowadził Barnabę pod schody. Nie wiedział, czy ma się śmiać czy płakać. Nie mógł pojąć, jak w ogóle dał się do tego namówić.

— Muszę wam jednak powiedzieć — wyjaśniła Esther — że w żaden sposób nie zamierzamy się naśmiewać ze Słowa naszego dobrego Pana. Zamierzamy pokazać wam wszystkim i każdemu z osobna, co powinniśmy robić, gdy słyszymy Jego Słowo... a mianowicie pozwolić, aby pokierowało naszym sercem.

— Amen! — rzucił ktoś.

J.C. upadł w trawę na kolana i spojrzał przez obiektyw swojego aparatu. Był pewien, że ten numer nie obejdzie się bez jakiegoś ciekawego wydarzenia.

W tym momencie Cynthia Coppersmith podniosła się ze swojego miejsca w pierwszym rzędzie, trzymając w ręce coś, co wyglądało na dużą torebkę. Gdy uniosła ten przedmiot do góry, żeby wszyscy mogli go zobaczyć, oczom widzów ukazała się biała głowa Violet. Kot siedział spokojnie, przyglądając się tłumowi.

— Ten kot jest w książkach w bibliotece — powiedział ktoś.

Zachowując bezpieczną odległość, Cynthia odwróciła się i pozwoliła Barnabie, żeby ją zobaczył. Violet spojrzała na niego z góry z porażającym lekceważeniem.

Barnaba nieomal przewrócił pastora, gdy rzucił się w kierunku winowajczyni — torebki, którą Cynthia podała Dooleyowi.

Jego donośne szczekanie niosło się do pomnika i dalej, do ESSO Lew Boyda, a każdy zżerany przez ciekawość widz miał okazję doświadczyć siły jego oburzenia.

Pastor przemówił swoim głosem kaznodziei:

— „Wy zatem, bracia, powołani zostaliście do wolności. Tylko nie bierzcie tej wolności jako zachęty do hołdowania ciału...”

Barnaba zawahał się. Postawił uszy do góry. Połuźnił smycz.

— „...wręcz przeciwnie, miłością ożywieni służcie sobie wzajemnie!”

Czarny pies westchnął i wyciągnął się na trawie.

— „Bo całe Prawo wypełnia się w tym jednym nakazie: Będiesz miłował bliźniego swego jak siebie samego”.

Barnaba nie poruszył się, tylko podniósł wzrok i spojrzął żałośnie na pierwszy rząd. Ponieważ nic innego nie przychodziło mu do głowy, pastor uklonił się. Tłum entuzjastycznie zaczął bić brawo.

— Doskonały fragment z Listu do Galatów 5, 13 i 5, 14! — pochwalił wesoły nowy ksiądz z Kościoła baptystów.

— To było warte pięćdziesiąt — zawyrokował Mule Skinner, zadowolony, że zna psa osobiście.

Kiedy Dooley śpieszył zanieść Violet do jej słonecznego miejsca na okiennym parapecie w domu, Esther ponownie zajęła swoje miejsce na schodach i rozglądnęła się dookoła.

— Zastanówcie się nad tym dobrze — powiedziała.

Ktoś usłyszał kwik świni dochodzący zza kolumny na ganku, co wywołało jedynie większy aplauz.

Linder Hayes podszedł do schodów i zatrzymał się u ich stóp, prostując się na całą długość swojego metra dziewięćdziesiąt cztery i pół. Jego zaczerpnięty z sali sądowej sposób bycia sprawił, że widownia natychmiast się uciszyła.

— Panie i panowie, z tej wyjątkowej i wiekopomnej okazji rozpoczniemy teraz licytację, która pozwoli wszystkim tu obecnym na własne oczy ujrzeć unikatowe i historyczne wydarzenie, ujrzeć, innymi słowy, jak pani burmistrz tego wspaniałego miasteczka... całuje... świnię.

Wstrzymali oddech. Esther Cunningham pocałuje świnię? Przez cały tłum i wszystkie budki przetoczyła się fala wrzawy. Coot Hendrick, to możliwe, ale Esther Cunningham?

— Dwadzieścia pięć dolarów! — ktoś krzyknął. Linder podniósł rękę, żeby uciszyć tłum.

— Muszą państwo żartować — powiedział głębokim barytonem, który wyćwiczył, żeby poruszać serca przysięgłych. — Ten przedostatni punkt programu nie zostanie zlicytowany za nędzną kwotę dwudziestu pięciu dolarów. Prawdę powiedziawszy, żadna suma pieniędzy nie jest w stanie w pełni zrekompensować tego bezcennego aktu poświęcenia i obywatelskiej odpowiedzialności...

— Do cholery, pośpiesz się — syknęła Esther.

— Licytacja, przyjaciele, rozpocznie się od kwoty pięciuset dolarów.

Zdumiona cisza przerodziła się we wrzawę. Linder ujął w palce podbródek i wyglądał na zamyślonego. Esther dostała wysypki.

Ktoś stojący pod więzem krzyknął:

— Pięćset!

Linder uniósł do góry rękę.

— Czy ktoś da pięćset dwadzieścia pięć? Cisza.

— Pięćset po raz pierwszy, pięćset po raz drugi, pięćset po raz trzeci. Sprzedane.

— I możecie mówić o cholernym szczęściu, jeśli chcecie znać moje zdanie — powiedział Percy, stojąc pod wiązem, we wzorzystej koszulce w musztardowe liście palmy i czerwone mały.

— Czy możemy prosić o przyprowadzenie świni?

Tłum czekał w wielkim napięciu. Co to będzie za świnia? Maciora? Prosiak? Co za różnica?

Ray zszedł po schodach, trzymając na rękach świnie. Przytrzymał ją, kiedy Esther ją pocałowała.

Tłum wiwatował i błysnął flesz J.C.

— Jeszcze raz! — zawołał J.C. — Świnia się poruszyła! Esther zrobiła to jeszcze raz. Jeszcze więcej okrzyków i gwizdów. Esther zwróciła się w stronę tłumu, który — dobrze wiedziała — podczas następnych wyborów udzieli jej w głosowaniu mocnego poparcia, i uniosła do góry obydwie ręce w geście triumfu.

— Ledwie żyję — żaliła się Winnie Ivey. — Wstałam o czwartej nad ranem, żeby usmażyć te wszystkie pączki, i proszę, już ta godzina, a ja nie miałam w ustach niczego oprócz połowy kanapki z serem pimiento.

— Został już tylko jeden punkt programu — pocieszył ją, usiłując odnaleźć wzrokiem w kłębiącym się tłumie Cynthię. — Przyniosę ci trochę lemoniady.

Zobaczył ją — była zajęta przypinaniem pechowej peonii do kurtki lotniczej panny Rose. Dostrzeżenie jej w tłumie sprawiło mu przyjemność, widok jej jasnych włosów i sukienki w kolorze zielonego jabłka. Na nogach miała tenisówki, bo wysokie obcasy zapadłyby się jedynie w trawnik, i wyglądała zupełnie jak dziewczynka.

Ujrzał Dooleya i Jenny przyglądających się lamom. Cudownie, pomyślał. A przy ławce Andrew stał Roberto. Obydwaj mężczyźni gestykulowali żywiołowo — rozmawiając po włosku, bez wątpienia.

— Ojcie! Ojciec najwyraźniej promienieje! — To panna Pearson, nauczycielka muzyki Dooleya, która szła za rękę ze swoją mamą.

Ten błogi stan, jak miał się wkrótce dowiedzieć, może być wyjątkowo krótkotrwały.

— Wybawiłem się za wszystkie czasy, a ojciec? — zapytał wujaszek Billy.

— Jeszcze jeden punkt programu — powiedział, marząc o tym, żeby móc wypożyczyć hamak i się na nim położyć.

— Nawet jeszcze nie słyzałem szafy grającej.

— Ja też nie.

Wujaszek Billy westchnął.

— Podłączyli ją w pokoju na przodzie domu. Mam szczerą nadzieję, że nie uruchomi się w środku nocy i nie zacznie grać.

Spojrzał w kierunku alei biegnącej za Porter Place i zobaczył wolno jadącego czerwonego pick-upa. Buck Leeper wyglądał przez okno, spoglądając na zgromadzony na trawie tłum, jego śmiech i panujący nastrój radosnego wyczekiwania.

Pomachał ręką.

— Buck!

Buck podniósł do góry rękę, skinął głową i zniknął.

— Niech mnie diabli, jeśli nie pomachał ojcu ręką — powiedział Mule, który przechodził w pobliżu z lemoniadą dla Fancy. — Co w niego wstąpiło?

Pastor był zdania, że raczej coś z niego wyszło.

Esther znowu stała na stopniach prowadzących na ganek. Jeśli po tym obfitującym w wydarzenia dniu nie nabawi się zapalenia krtani, to będzie prawdziwy cud.

— Ilu z was miało okazję oglądać, jak ktoś toczy po ulicy orzeszek ziemny za pomocą własnego nosa?

Ludzie zaczęli kręcić głowami i wzruszać ramionami. Najwyraźniej nikt jeszcze czegoś takiego nie widział. Niektórzy wcale nie chcieli tego oglądać. Byli też tacy, którym było to zupełnie obojętne.

— Ja widziałem bieg w workach! — krzyknął jeden z kolegów Dooleya z klasy.

— To nie to samo — prychnęła pani burmistrz. — To jest sto razy lepsze. Właśnie dlatego zaczniemy licytację od dużej kwoty.

Tłum jęknął. Niektórzy odeszli. Dwóch emerytów zasnęło, siedząc na składanych krzesłach w pobliżu krzewów bzu.

— Żeby zobaczyć, jak nasz zupełnie nowy pastor z Kościoła baptystów toczy orzeszek na odcinku pomiędzy księgarnią a cukiernią... rozpoczniemy licytację od kwoty pięciuset dolarów!

— Nie znowu! — krzyknął zirytowany widz.

— To cholera tyle, ile trzeba zapłacić za samochód!

— Na Boga, czym pan jeździ?

Z tłumu wysunął się ktoś zupełnie nieznajomy. Jak wszyscy wyraźnie widzieli, był to turysta. Był w przeciwsłonecznych okularach, miał na sobie drelichowe spodnie, blezer i mokasyny włożone na boscie stopy.

— Nie dałbym pięciuset dolarów, żeby zobaczyć, jak tylko jeden przedstawiciel duchowieństwa z waszego miasteczka wykonuje to niezwykle oryginalne zadanie, żeby zdobyć pieniądze na szlachetny cel...

Kilka osób popatrzyło na siebie. Nie dość, że ten człowiek był turystą, to jeszcze na dodatek Jankesem.

— Bardzo chętnie jednak zasiliłbym skarbiec waszego miasta kwotą pięciuset dolarów, żeby zobaczyć, jak robią to wszyscy duchowni — jako drużyna.

— Lepiej się nie zastanawiaj — szepnął do pani burmistrz Linder.

Pastor czuł, jak Esther, która miała oczy jak sokół, wierci w nim wzrokiem dziurę, mimo całej dzielącej ich od miejsca, gdzie stał z wujaszkiem Billym, odległości.

Pani burmistrz wzięła głęboki oddech i zawołała:

— Kto da pięćset, żeby zobaczyć jak wielebny Sprouse toczy orzeszek?

Głowy poruszyły się gwałtownie w geście dezaprobaty.

— Przyjmij tamtą ofertę albo daj sobie spokój — syknął Ray.

— Gdzie jest ojciec? — zapytała Esther, doskonale wiedząc, gdzie jest.

Miał ochotę schować się pod samochód.

— Tutaj! — krzyknął Mule.

— Gdzie jest pastor Trollinger z Kościoła metodystów?

— Tutaj! — zawołała żona pastora, która nie mogła się doczekać, żeby zobaczyć, jak jej mąż toczy nosem orzeszek.

Oczy Esther prześwietlały tłum.

— To zostaje nam tylko doktor Browning z Kościoła prezbiterian.

— Nie ma go tutaj — poinformował kapelmistrz. — Ma dzisiaj pogrzeb.

— Gdzie? — zapytał Ray.

— Ash Grove.

— Ernestine — poleciła pani burmistrz — pobiegnij tam, to tylko trzy kilometry, i powiedz mu, żeby przyszedł, jak tylko rzuci ziemię.

— Oczywiście — zgodził się Ray — pięćset dolców to pięćset dolców.

Włókł się do domu o czwartej po południu, zmęczony życiem. Dooley i Cynthia szli tuż za nim Main Street, śmiejąc się aż do samych drzwi jak hieny.

— Trzeba przyznać — stwierdziła Cynthia — że to był twardy ekumeniczny orzech do zgryzienia.

Nawet się nie uśmiechnął, mimo że u Cynthii, oczywiście, jej ohydny kalambur wywołał atak histerycznego śmiechu.

Dooley zamknął swoją książkę do angielskiego.

— Nie jadę do tej szkoły — oświadczył.

— Naprawdę?

Nie odezwie się ani słowem, nawet gdyby miał to przypłacić życiem. Żadnych bitew dzisiaj wieczorem, jedynie lektura gazety. Przez pewien czas panowała zupełna cisza.

— Ten mózg w słoju — jak ojciec myśli — czyj może być?

— Nie mam pojęcia.

— Dyrektor szkoły mówił, że jeżdżą do Waszyngtonu na autokarowe wycieczki i że robią też inne ciekawe rzeczy.

— Aha.

— Jest w porządku.

— Uhm.

— Ten stajenny mówił, że mogę jeździć na jego koniu, ile tylko zechcę, jeśli będę przy nim pomagał.

— To chyba dużo pracy.

— Ciekawe, jak wygląda strój do gry w piłkę?

— Nie mam pojęcia.

— Podobają mi się szkolne barwy.

— Czarny i szary.

— Wszystko ojciec pokręcił. Różowy i pomarańczowy.

— Ach.

— Moglibyśmy pomalować mój pokój, a potem powiesić plakaty. Cynthia ma różową narzutę na łóżko i mówiła, że mogłaby mi jadać.

Dlaczego zawsze zadawał sobie tyle trudu, żeby przekonać do czegoś chłopca? Od tej pory, być może, powinien trzymać gębę na kłódkę i pozwolić, aby Dooley przekonał się sam.

Gdy nadeszło pudełko z papierem listowym z monogramem od Waltera, zdał sobie sprawę z najgorszego — jutro są jego urodziny.

Dopiero je obchodził — wydawało mu się, że minęło zaledwie kilka tygodni. A tak w ogóle, ile miał lat? Nigdy nie pamiętał. Kiedyś przez pomyłkę dodał sobie jeden rok, co zgorszyło jego przyjaciół. Odjąć sobie kilka lat, tak, to zrozumiałe, ale dodać?

Przeliczył szybko na kawałku papieru.

Sześćdziesiąt dwa.

Cholera.

Ale czym tu się martwić?

W wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat Artur Rubinstein wystąpił z jednym ze swoich najbardziej porywających recitali w Carnegie Hall.

Mając osiemdziesiąt dwa lata, Churchill napisał swoją *Historię narodów anglojęzycznych* — liczącą cztery tomy.

A czyż Eamon de Valera nie sprawował godności prezydenta Irlandii, gdy miał dziewięćdziesiąt jeden lat? Nie wspominając o Grandmie Mosesie, który malował — i na tym zarabiał — jeszcze w wieku stu lat.

Wstał zza biurka i wciągnął brzuch.

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, ojczy! Ode mnie i od Rona. Nie będzie nas dzisiaj po południu w domu i zanim wyjedziemy, chcieliśmy życzyć ojcu, żeby ten rok był jeszcze bardziej udany niż wszystkie poprzednie!

Po telefonie Wilmy zadzwoniła Evie, która dokładnie przećwiczyła z panną Pattie, co ta ma powiedzieć. Słyszał szept Evie w tle.

— Powiedz to, mammo!

— A co takiego miałam powiedzieć?

— Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Nastąpiła chwila ciszy, a potem usłyszał głos panny Pattie w słuchawce.

— Mam nadzieję, że wygra ojciec na loterii! Ryknął śmiechem.

Evie chwyciła słuchawkę.

— Za nic nie chciała tego powiedzieć! Mówię najprawdziwszą prawdę, a tak długo z nią ćwicyłam...

— Evie — przekonywał ją — nie martw się. Bardzo mi się podobało to, co powiedziała panna Pattie. To było bardzo oryginalne, bije na głowę typowe życzenia.

— No cóż...

Usłyszał w jej głosie przeblysłk uśmiechu.

Doszedł do wniosku, że już nigdy więcej nie będzie marzył o tym, żeby zostać mleczarzem. Co jak co, ale jednego był pewien — kochał swoją pracę.

Nie miał pojęcia, jaki spisek mogła knuć Cynthia z Dooleyem.

Roberto polecał do domu, Andrew Gregory miał gości, panna Sadie i Louella były zupełnie wykończone radosną atmosferą ostatnich dni i niechętnie przyjmowały nawet telefony, Esther spełniła swoją groźbę i pojechała z Rayem na ryby...

A może Cynthia z Dooleyem nic nie knuli. Może zapomnieli.

Czyż on nie zapomniał o urodzinach Dooleya? A kiedy są Cynthia? Ogarnęła go chwilowa pani-ka.

Chwileczkę, to ta data — zapisana na ścianie przy biurku, jego jedyne graffiti od czasów szkoły podstawowej. Dwudziesty lipca. Odetchnął z ulgą.

Był pewien, że zapomnieli.

W porze lunchu widział Cynthię w jej ogródku, przycinającą od niechcenia jakiś krzew. A gdy zadzwonił do domu o piętnastej trzydzieści, żeby sprawdzić, czy Dooley przygotował się do lekcji z panną Appleshaw, nic w głosie chłopca nie wskazywało na to, że zanoszą się na coś niezwykłego.

Poszedł do domu wcześniej, niosąc spory zbiór kartek, które otrzymał od przedstawicielek Kobiet Kościoła Episkopalnego w Wesley, szkoły niedzielnej, Waltera i Katherine, Winnie Ivey, Emmy, panny Sadie i Louelli, i jeszcze kilkunastu innych osób.

Gdy wchodził do domu tylnymi drzwiami, zobaczył Cynthię wchodzącą po swoich schodach z czymś dużym schowanym pod kurtką i spoglądającą ukradkiem w jego stronę. Gdy go zobaczyła, odwróciła wzrok, jakby w ogóle nie istniał.

Czy zranił jej uczucia po całej tej aferze z tym cholernym orzeszkiem, gdy ona się z niego śmiała, a on nie podzielał jej wesołości? Był tym niezłe rozdrażniony, ale miał przecież powody. Przez wiele dni pracował bardzo dużo i był najnormalniej w świecie wykończony. Poleć tam, poleć tu, zrób to, zrób tamto, a potem... jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, musiał iść na czworakach środkiem Main Street.

Nakłuł sobie palec. Sprawdził mocz. Potem włożył swój strój do joggingu i pobiegł do parku Baxter, a potem jeszcze dalej.

Dyszząc, usiadł na starym kamiennym murku, biegnącym za placem budowy Domu Nadziei, w najwyższym punkcie Mitford. Ile czasu minęło od chwili, gdy ostatnio spoglądał na tę zieloną dolinę, rozciągającą się przed nim niczym misterny patchwork?

Odkąd przyszedł na świat, miał okazję być świadkiem wielu zmian, ale widok, który roztaczał się przed nim, zmienił się niewiele. Tam rzeka mieniąca się w słońcu. Tam znowu wijąca się droga, zbudowana kiedyś dla samochodów towarowych. A tam rozrzucone pośród drzew kościelne wieżyczki, sterczące do góry, jakby specjalnie po to, żeby ktoś mógł je policzyć.

Usłyszał dobiegający z oddali gwizd i ujrzał pędzący przez dolinę nieduży pociąg. Gwizd pociągu, pianie koguta, dźwięk deszczu stukającego o blaszany dach — ta prosta muzyka prawie zupełnie zniknęła z jego życia i bardzo mu jej brakowało.

Życie jednak pełne było wartościowych rzeczy, które w jakiś niewytłumaczony sposób zdawały się znikać.

Zupełnie niespodziewanie przypomniał sobie zielono-szafirową szklaną kulkę, którą w wieku dwunastu lat uważał za najpiękniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek widział.

Nosił ją w kieszeni, pokazując ją jedynie mamie i oczywiście Tommy'emu Nolesowi, który przeżegnał się trzy razy i powiedział, że wolałby umrzeć, niż powiedzieć komuś o jej istnieniu.

Pokazywanie jej innym byłoby jakby zbezczeszczeniem jej tajemnego piękna. Dlatego zachował ją tylko dla siebie, nigdy nie używając jej do gry. Z czasem przestał jednak o nią dbać, jej istnienie mu spowszedniało, i nawet nie pamiętał, gdzie ją zgubił, a może zostawił.

W pewnym sensie bolał nad stratą tej kulki. Nie chodziło mu o sam przedmiot, tylko o jego sekretne i wyjątkowe piękno.

Czy obecność w jego życiu Cynthii nie była czymś podobnym? Kochał jej ciepło i wyjątkowość, ale nigdy o nią wystarczająco nie zabiegał. Raz po raz nierozważnie pozwalał jej odejść i tylko dzięki łasce Pana nie odeszła od niego na dobre.

Pamiętał te chwile, gdy się przed nim zamykała, chroniąc swe serce. Utrata jej poruszającej otwartości sprawiała, że czuł się zimny jak lód, jak gdyby ogromna chmura przesłoniła słońce.

A gdyby zamknęła się przed nim na dobre? Wstał i zaczął biec wzdłuż kamiennego murku, zapominając o roztaczającym się przed nim widoku.

Nigdy nie rozumiał zbyt dobrze swoich uczuć do Cynthii, ale wiedział i rozumiał jedno — nie chciał balansować na krawędzi, bojąc się zrobić krok do przodu i z przerażeniem myśląc o odwrocie.

Poczuł ogromny ciężar na sercu, taki sam, jaki tak często mu dokuczał, odkąd pojawiła się w jego życiu, a on nie był w stanie do końca jej pokochać.

Być może ten ciężar nigdy nie zniknie; być może nie da się osiągnąć prawdziwego wyzwolenia w miłości. I z pewnością nie może jej poprosić, żeby go przyjęła takim, jaki jest obecnie — niedoskonałym, pełnym obaw, niepewnym.

Odwrócił się, spojrział do góry i wciągnął powietrze.

Przepiękny zachód słońca zaczął roztaczać się nad doliną, a na sklepieniu nieba rozbłysły pierwsze gwiazdy. Stał na tym wzgórzu, pochłonięty swoimi egoistycznymi obawami, podczas gdy to cudowne zjawisko zdawało się wprawiać w drżący zachwyty same cząsteczki otaczającego go powietrza.

Poczuł lzy na policzkach i zdał sobie sprawę, że ciężar zniknął, a jego serce stało się lekkie. Każda chmurka nad doliną była zabarwiona różowym światłem i szerokie lawendowe pasma pstrzyły się na górskich łąkach.

Dobry Boże!, pomyślał, szkoda, że nie ma tutaj Cynthii.

Ale Cynthia była niedaleko — w małym żółtym domku. Wystarczyło tylko zbiec ze wzgórza i przebiec przez park. Była niedaleko, nie w Nowym Jorku ani jakimś innym odległym zakątku, tylko tutaj, siedziała na swojej dwuosobowej kanapce albo dawała jeść Violet, albo nawijała swoje włosy na te przeklęte wałki.

Nagle uświadomienie sobie jej bliskości w jakiś trudny do wytłumaczenia sposób pozbawiło go nieomal tchu. Przypomniawszy sobie długie zimne miesiące, gdy domek obok stał pusty i ciemny, i trudne rozmowy telefoniczne, i tęsknotę — a potem w końcu wróciła do domu.

Na sam jej widok zakręciło mu się w głowie — a mimo to po raz kolejny zdołał zdławić swoje najgłębsze uczucia i zachować dystans w stosunku do jedynej kobiety, jedynej ludzkiej istoty, jaką znał, która potrafiła zjeść udko.

Ze zdziwieniem odkrył, że biegnie. Słyszał tylko bicie własnego serca i odgłos własnych pospiesznych kroków. Czuł ogromne palące pragnienie, żeby jak najszybciej ją znaleźć i zobaczyć jej

twarz, i powiedzieć jej o tym, co dopiero teraz zaczynał rozumieć, i czego nie był w stanie już dłużej ukryć.

„Przychodzi czas, gdy nie ma już odwrotu” — powiedział Walter.

Biegł dalej, czując ruch własnych nóg, muskający go wiatr i pulsowanie w skroniach. Wydawało mu się, że mógłby zamienić całą tę kotłującą się energię w jeden ostry wewnętrzny płomień, stały ogień, tysiąc dziękczynnych słów.

Ociekając potem, w biegu omijał chłodne altanki na Old Church Lane, a potem biegł przez park Baxter. Tak bardzo pragnął zobaczyć jakiś znak życia w małym żółtym domku, wiedzieć, że ona tam jest, że czeka i że nie zamknęła przed nim swojego serca.

W jej domu było ciemno, jego dom natomiast jaśniał światłem w każdym oknie, jak gdyby w środku działo się coś cudownego.

Przebiegł przez żywopłot, wbiegł do własnego ogródka i zobaczył ją, stojącą w drzwiach jego domu. Otworzyła mu drzwi i czekała, trzymając je szeroko otwarte, gdy on wbiegał po schodach. Przez jedną ulotną chwilę, na którą czas zdał się stanąć w miejscu, poczuł, że przybiegł w końcu do celu, do którego zmierzał przez całe swoje życie.

Zanim rozpoczęła się msza o jedenastej, wielu członków Lord's Chapel otworzyło biuletyn leżący na ławce i przeczytało ogłoszenia parafialne.

Pierwszego sierpnia wystąpi w przykościelnych ogrodach regionalny chór młodzieżowy. Spotkania modlitewne mężczyzn przy śniadaniu w czwartki będą się rozpoczynać o siódmej, nie o siódmej trzydzieści. I prosba do tych, którzy przynieśli swoje naczynia na brunch z biskupem, żeby odebrali rondle i półmiski z kuchni.

Bezpośrednio pod nazwiskami tych, którzy ofiarowali w dniu dzisiejszym kwiaty, znaleźli następującą informację:

„Niniejszym informuję, że w związek małżeński zamierzają wstąpić Cynthia Clary Coppersmith z parafii Kaplicy Naszego Pana i Zbawiciela i ojciec Timothy Andrew Kavanagh, pastor tej parafii. Jeśli ktokolwiek z Was znałby jakiś powód stojący na przeszkodzie temu świętemu małżeństwu, zobowiązany jest go wyjawić”.

